

MISTRZOWIE  LITERATURY

SAUL BELLOW



DAR HUMBOLDTA



SAUL
BELLOW

DAR
HUMBOLDTA

Przekład
Krystyna Tarnowska
Andrzej Konarek



DOM WYDAWNICZY REBIS
Poznań 2003

Zbiór ballad opublikowany przez Von Humboldta Fleishera w latach trzydziestych natychmiast stał się sensacją. Humboldt był człowiekiem, na którego wszyscy czekali. Ja, na moim Środkowym Zachodzie, czekałem z niecierpliwością, możecie być tego pewni. Pisarz awangardowy, pierwszy z nowego pokolenia, przystojny, jasnowłosy, postawny, poważny, dowcipny, a ponadto wykształcony. Ten facet miał wszystko. Cała prasa zamieściła recenzje z jego książki. Jego fotografia ukazała się w „Timie” bez obelg, a w „Newsweeku” z pochwałami. Czytałem *Ballady Arlekina* z entuzjazmem. Studiowałem na uniwersytecie Wisconsin i myślałem o literaturze dniami i nocami, o niczym innym. Humboldt objawił mi nowe sposoby brania się do rzeczy. Byłem w ekstazie. Zazdrościłem mu szczęścia, talentu, sławy i w maju pojechałem na Wschód, żeby na niego spojrzeć i może otrzeć się o niego. Autobus linii Greyhound, jadący przez Scranton, odbył drogę mniej więcej w pięćdziesiąt godzin. To nie miało znaczenia. Okna autobusu były otwarte. Nigdy dotąd nie widziałem prawdziwych gór. Drzewa puszczały pąki. Było to jak *Pastoralna* Beethovena. Czułem się obsypany zielenią, w środku. Manhattan też mi się spodobał. Wynająłem pokój za trzy dolary tygodniowo i znalazłem pracę domokrażnego sprzedawcy szczotek firmy Fuller. I byłem nieprzytomnie podniecony wszystkim. Napisałem do Humboldta długi wielbiący list i zostałem zaproszony do Greenwich Village na rozmowę o literaturze i stosunku do świata. Mieszkał na Bedford Street, niedaleko Chumley’s. Najpierw dał mi kawy, a potem nalał dzinu, do tej samej filiżanki.

– No cóż, dość przystojny z ciebie chłopiec, Charlie – powiedział. – Nie jesteś przypadkiem trochę za sprytny? Chyba wcześniej wyłysiejesz. I te ogromne, pełne uczucia, piękne oczy. Ale na pewno kochasz literaturę, i to jest najważniejsze. Masz w sobie wrażliwość – dodał.

Jeśli idzie o używanie tego słowa, był pionierem. Wrażliwość zrobiła później zawrotną karierę. Humboldt był dla mnie bardzo dobry. Przedstawił mnie różnym ludziom w Greenwich Village i dał mi książki do recenzowania. Zawsze go kochałem.

Powodzenie Humboldta trwało około dziesięciu lat. W końcu lat czterdziestych zaczął iść na dno. Na początku lat pięćdziesiątych ja stałem się sławny. Nawet zarobiłem kupę pieniędzy. Ach, pieniądze, pieniądze! Humboldt z pieniędzy robił mi zarzut. W ostatnich latach życia, jeżeli nie był w takiej depresji, że przestawał mówić, jeżeli nie siedział u czubków, chodził po Nowym Jorku i opowiadał złe rzeczy o mnie i o moim „milionie dolarów”.

– Weźcie takiego Charliego Citrine’a. Przyjechał z Madison w Wisconsin i zastukał do moich drzwi. Teraz ma milion dolarów.

Który pisarz czy intelektualista tyle zarabia – może Keynes? Zgoda. Keynes, postać znana na całym świecie. Geniusz ekonomiczny, znakomitość Bloomsbury – mawiał Humboldt. – Ożenił się z rosyjską baleriną. Potem przyszły pieniądze. Ale kim, u diabła, jest Citrine, żeby się tak bogacić? Byliśmy kiedyś bliskimi przyjaciółmi – dodawał słusznie. – Ale w tym facecie jest coś wynaturzonego. Czemu po zrobieniu takich pieniędzy zagrzebał się w zabitej deskami dziurze? Co on robi w tym Chicago? Boi się, że go zdemaskują?

Ilekoć umysł miał dość jasny, używał swoich talentów, żeby mi dać kopniaka. Znakomicie mu się to udawało.

A mnie nie pieniądze były w głowie. Ach, Boże, skąd, chciałem się wybić. Umierałem z ochoty zrobienia czegoś naprawdę dobrego. I ta tęsknota za dobrem miała swoje początki we wczesnym i szczególnym poczuciu istnienia – zanurzony w szklanych głębiach życia, szukając po omacku, z przejęciem i rozpaczliwie, sensu, człowiek żywo świadomy malowanych zasłon, Mai, kopuł z barwnego szkła, plamiących białą promiennością wieczności, drgających w intensywnej próżni, i tak dalej. Miałem bzika na punkcie takich rzeczy. Humboldt wiedział o tym, naprawdę, ale pod koniec nie mógł się zdobyć na okazanie mi choć odrobiny życzliwości. Chory i obolały, w żaden sposób nie chciał mi popuścić. Podkreślał tylko sprzeczności między malowanymi zasłonami i wielką forszą. Ale pieniądze, które robiłem, robiły się same. Robił je kapitalizm dla swoich własnych mętnych i śmiesznych powodów. Za sprawą świata. Wczoraj przeczytałem w „The Wall Street Journal” o melancholii dostatku: „Nigdy w ciągu pięciu tysiącleci spisanej historii ludzkości tak wielu nie żyło w takim dostatku”. Umysły formujące się w ciągu pięciu tysiącleci niedostatku są wykoślawione. Serce nie może się pogodzić z tego rodzaju zmianą. Czasem po prostu nie chce jej zaakceptować.

W latach dwudziestych dzieci w Chicago poszukiwały skarbów w marcowej odwilży. Pagórki brudnego śniegu formowały się wzdłuż krawężników, a kiedy śnieg topniał, woda spływała skręconymi połyskliwymi strumykami do rynsztoka i można było wtedy znaleźć wspaniałe łupy – kapsle od butelek, kółka zębate, jednocentówki z głową Indianina. Zeszłej wiosny, prawie już starszy pan, zorientowałem się nagle, że idę wzdłuż krawężnika i szukam. Szukam czego? Co ja robiłem? Powiedzmy, że znajdę dziesięciocentówkę?

Powiedzmy, że znajdę pięciocentówkę? Co wtedy? Nie wiem, jak to się stało, że dusza dziecka wróciła, ale wróciła. Wszystko się roztopiało. Śnieg, rozsądek, dojrzałość. Co Humboldt by na to powiedział?

Kiedy donoszono mi o jego obelżywych uwagach, często przyznawałem mu słusność.

– Dali Citrine’owi nagrodę Pulitzera za książkę o Wilsonie i Tumultym. Pulitzer jest w sam raz dla kurw – dla kurwiątek. Lipna nagroda robiąca reklamę w gazetach, przyznawana przez łajdaków i analfabetów. Człowiek staje się chodzącą reklamą Pulitzera, więc nawet jak wyciągnie kopyta, na pierwszym miejscu w nekrologu jest napisane: „Zmarł laureat nagrody Pulitzera”. – Uważałem, że coś w tym jest. – I Charliemu dostał się Pulitzer dwa razy. Najpierw była ta kiczowata sztuka, ta, co mu przyniosła fortunę na Broadwayu. A do tego jeszcze prawa filmowe. Dali mu procent od wpływów brutto! Wcale nie mówię, że to naprawdę plagiat, ale coś mi ukradł – moją osobowość. Wbudował moją osobowość w swojego bohatera.

Nawet w tym, chociaż brzmiało to obłąkańczo, miał chyba trochę racji.

Był wspaniałym gawędziarzem, improwizatorem wygłaszającym gorączkowe non stop monologi, był mistrzem wśród oszczerców. Kogo Humboldt opluskiwał, ten w gruncie rzeczy dostępował czegoś w rodzaju zaszczytu – jakby posłużył Picassowi za model do dwunosego portretu albo Soutine’owi do oskubanego kurczaka. Pieniądze zawsze wprawiały go w trans. Rozkoszował się mówieniem o ludziach bogatych. Wychowany na nowojorskich brukowcach często wspominał zachwycające skandale minionej epoki. – Peacles i Daddy Browning, Harry Thaw i Evelyn Nesbitt, a na dodatek era jazzu, Scott Fitzgerald i multimilionerzy. Dziedziczki Henry’ego Jamesa znał na pamięć. Bywało, że sam układał komiczne plany zdobycia majątku. Ale jego prawdziwym bogactwem była literatura. Przeczytał tysiące książek. Zwykł mówić, że historia jest koszmarem i kiedy ten koszmar trwa, on usiłuje dobrze się wypaść. Bezsensowność powiększała jego erudycję. Nad ranem czytywał grube książki – Marksa i Sombarta, Toynbeego, Rostovtzeffa, Freuda. Kiedy mówił o bogactwie, miał możliwość porównywać rzymski luksus z zamożnością protestanckiej Ameryki. Na ogół przechodził z kolei do Żydów – Joyce’owskich Żydów w cylindrach pod giełdą. I kończył połączoną czaszką czy też maską pośmiertną Agamemnona, którą wykopał Schliemann. Tak, Humboldt umiał mówić.

Jego ojciec, węgierski Żyd emigrant, galopował z kawalerią Pershinga przez Chihuahua, ścigając Pancho Villę w Meksyku dziwek i koni (zupełnie inaczej niż mój ojciec, mały dzielny człowieczek, który unikał takich rzeczy). Jego stary skoczył głową naprzód w Amerykę. Humboldt opowiadał o długich butach, trąbkach wojskowych i biwakach. Potem przyszedł czas na limuzyny, luksusowe hotele, pałace na Florydzie. W okresie prosperity jego ojciec mieszkał w Chicago. Zajmował się handlem nieruchomościami i miał apartament w Edgewater Beach Hotel. W lecie sprowadzał syna. Humboldt też znał dobrze Chicago. W czasach Hacka Wilsona i Woody’ego Englisha Fleisherowie mieli stałą lożę na Wrigley Field. Jechali na mecz pierce-arrowem albo hispano-suizą (Humboldt miał bzika na punkcie samochodów). I były czarujące córki Johna Helda juniora, śliczne, w kombinezonach. I była whisky i gangsterzy, i kolumnada mrocznych jak przeznaczenie banków na La Salle Street, z pieniędzmi kolei żelaznej, przemysłu mięsnego i zbożowego zamkniętymi w stalowych skarbcach. Kiedy przyjechałem z Appleton, o tym Chicago nic mi nie było wiadomo. Bawiłem się z polskimi dziećmi w komórki do wynajęcia pod torami kolei nadziemnej. Humboldt jadał oblewane czekoladą przekładane kokosowe u Henriciego. Nigdy nie widziałem wnętrza Henriciego.

Natomiast kiedyś widziałem, jeden raz, matkę Humboldta w jej ciemnym mieszkaniu na West End Avenue. Twarz miała podobną do twarzy syna. Była niema, gruba, o szerokich wargach, owinięta w płaszcz kąpielowy. Włosy miała białe, sterczące jak u mieszkańców wysp Fidzi. Na wierzchu jej dłoni zobaczyłem plamy wątrobowe, a na ciemnej twarzy jeszcze ciemniejsze plamy wielkości oczu. Humboldt pochylił się i mówił do niej, ale nie odpowiedziała i tylko wpatrywała się w niego z jakąś miażdżącą kobiecą urazą. Był przygnębiony, kiedy wychodziliśmy z domu, i powiedział:

– Puszczają mnie do Chicago, ale miałem szpiegować starego, kopiować zawiadomienia o stanie jego konta i numery rachunków, zapisywać nazwiska jego dziwek. Chciała go pozwać do sądu. Jest obłąkana, rozumiesz? Swoją drogą on stracił wszystko w czasie krachu. Umarł na serce gdzieś na Florydzie.

Tak wyglądało tło tych dowcipnych, wesołych ballad. Humboldt cierpiał na psychozę maniakalno-depresyjną (według własnej diagnozy). Miał komplet dzieł Freuda i czytał periodyki psychiatryczne. Kiedy człowiek przeczyta *Psychopatologię życia codziennego*, wie już, że codzienne życie jest psychopatologią, Humboldtowi wcale to nie przeszkadzało. Cytował mi często króla Lira: „po miastach bunt, w państwach rozterka, w pałacach zdrada; więź rwie się między ojcem i synem”. Wymawiał z naciskiem „między ojcem i synem”... „katastrofalne zamieszki do grobu nas odprowadzą”¹.

1 W. Szekspir, *Król Lir*, akt I, scena. 2, przełożył W. Chwałewik.

Cóż, tam właśnie odprowadziły go w siedem lat później katastrofalne zamieszki. A kiedy teraz ukazały się nowe antologie, poszedłem i przejrzałem je u Brentana. Nie znalazłem wierszy Humboldta. Tym skurwysynom, tym literackim grabarzom i politykom nie podobał się staromodny Humboldt. Więc całe to myślenie, pisanie, odczuwanie nie zdało się na nic, wszystkie wypadły na tyły wroga, żeby odzyskać piękno, nie doprowadziły do niczego, a tylko go zniszczyły. Umarł w nędznym hoteliku na bocznej ulicy od Times Square. Ja, pisarz innego gatunku, zostałem, żeby go opłakiwać w chicagowskim dobrobycie.

Wniosła myśl, że jest poetą amerykańskim, na pewno sprawiała, że Humboldt czuł się niekiedy jak ósmy cud świata, jak smarkacz, jak błazen, jak głupiec. Żyliśmy życiem cyganerii, życiem studentów, pośród zabaw i uciechy. Może Ameryce nie była potrzebna sztuka i wewnętrzny cud. Miała ich tyle na zewnątrz. USA były wielkim przedsięwzięciem, ogromnym przedsięwzięciem. Im większe one, tym mniejsi my. Więc Humboldt zachowywał się jak ekscentryczny i komiczny podmiot. Ale zdarzały się przerwy w jego dziwactwach, kiedy zatrzymywał się, żeby pomyśleć. Usiłował odciąć się myśleniem od tego amerykańskiego świata (ja też to robiłem). Widziałem, że Humboldt zastanawia się, co robić między wtedy a teraz między urodzeniem i śmiercią, żeby rozstrzygnąć pewne wielkie wątpliwości. Ale od tego rozmyślania nie stawał się zdrowszy na umyśle. Próbował narkotyków i alkoholu. W końcu trzeba było zastosować kuracje wstrząsowe. On to postrzegał jako walkę Humboldta z szaleństwem. Szaleństwo okazało się o wiele silniejsze.

Ja sam nie miałem się ostatnio zbyt dobrze, kiedy Humboldt zadziałał, można powiedzieć, zza grobu i w sposób zasadniczy zmienił moje życie. Mimo naszej wielkiej kłótni i piętnastu lat oziębłości, zapisał mi coś w testamencie. Objąłem spadek.

Był interesujący i zabawny, ale staczał się w obłąd. Elementu patologicznego mogli nie zauważyć tylko ci, którzy śmieli się za głośno, żeby cokolwiek widzieć. Humboldt, ten wspaniały, nieobliczalny, przystojny mężczyzna o jasnej, szerokiej twarzy, ten czarujący, wygadany, głęboko udęczony człowiek, do którego byłem tak przywiązany, z pasją budował swoje życie na motywie Sukcesu. I naturalnie umarł jako Bankrut. Co innego może wynikać z pisania takich rzeczowników dużymi literami? Ja osobiście zawsze ograniczałem liczbę moich uświęconych słów. Według mnie Humboldt miał za długą ich listę – Poezja, Piękno, Miłość, Ziemia Jałowa, Alienacja, Polityka, Historia i Podświadomość. I naturalnie Psychoza Maniakalno-Depresyjna, zawsze dużą literą. W jego przekonaniu wielkim Cyklofrenikiem Ameryki był Lincoln. I Churchill, z tymi swoimi, jak je nazywał – melancholiami – był klasycznym przypadkiem cyklofrenii.

– Zupełnie jak ja – mówił Humboldt. – Ale pomyśl, Charlie. Jeżeli Energia jest Radością, a Dynamizm jest Pięknem, Maniak Depresyjny wie dużo więcej o Radości i Pięknie niż ktokolwiek inny. Bo kto ma tyle Energii i tyle Dynamizmu? Może pogłębienie Depresji to strategia Psyche? Czy Freud nie powiedział, że Szczęście nie jest niczym innym, jak tylko remisją Bólu? A zatem im więcej Bólu, tym intensywniejsze jest Szczęście. Ale to ma swoje wcześniejsze źródło, a Psyche wytwarza Ból z rozmysłem. Tak czy inaczej Piękno i Dynamizm niektórych osobników wprawiają Ludzkość w osłupienie. Kiedy Maniak Depresyjny wyrwie się swoim Furiom, nikt nie zdoła mu się oprzeć. Podbija Historię. Myślę, że pogarszanie stanu jest pewną tajemną techniką podświadomości. A co do twierdzenia, że wielcy ludzie i królowie są niewolnikami Historii, uważam, że Tołstoj nie miał racji. Nie oszukuj się, Charlie, królowie są ludźmi najczęściej chorymi. Maniakalno-depresyjni bohaterowie wciągają Ludzkość w swoje cykle i porywają ją za sobą.

Biedny Humboldt nie narzucał długo swoich cykli. Nie stał się nigdy centrum promieniowania swojej epoki. Depresja przywaliła go na dobre. Skończyły się okresy euforii i poezji. W trzy dziesiątki lat po tym, jak *Ballady Arlekina* przyniosły mu sławę, umarł na serce w domu noclegowym na Czterdziestej którejś tam Zachodniej Ulicy, w jednej z tych śródmiejskich filii Bowery. Zdarzyło się, że byłem tej nocy w Nowym Jorku. Przyjechałem za interesami, to znaczy w żadnej dobrej sprawie. Większość moich spraw nie prowadziła do niczego dobrego. Odsunawszy się od wszystkich, mieszkał w budynku zwanym The Ilcombe. Pojechałem później, żeby rzucić okiem na tę ruderę. Opieka społeczna umieszczała tam starych ludzi. Umarł w ohydnie gorącą noc. Ja nawet w Plaża Hotel nie czułem się dobrze. Powietrze było gęste od tlenku węgla. Z warczących urzędów klimatyzacyjnych kapało na ludzi idących ulicą. Zła noc. Lecąc nazajutrz rano odrzutowcem do Chicago, znalazłem w „New York Timesie” nekrolog Humboldta.

Przypuszczałem, że Humboldt umrze niedługo, bo dwa miesiące wcześniej widziałem go na ulicy i wydawał mi się naznaczony śmiercią. Nie dostrzegł mnie. Był zszarzały, otyły, chory, zakurzony, kupił sobie precla i jadł. Jego lunch. Przyglądałem mu się spoza zaparkowanego samochodu. Nie podszedłem do niego, czułem, że nie mogę. Tym razem moje interesy na Wschodzie były uczciwe, nie uganiałem się za żadną dziwką, tylko przygotowywałem artykuł do jednego z pism. Rano w tym dniu latałem nad Nowym Jorkiem w procesji helikopterów Straży Przybrzeżnej, towarzysząc senatorowi Javitsowi i Robertowi Kennedy'emu. Potem zaproszono mnie na oficjalny lunch w Central Parku, do słynnej Tawerny na Łące. Byłem, jak się to

mówi – w „pierwszorzędnej formie”. Jeżeli nie wyglądam dobrze, wyglądam na wykończonego. Ale wiedziałem, że wyglądam dobrze. A poza tym miałem pieniądze w kieszeni i oglądałem wystawy na Madison Avenue. Gdyby mi wpadł w oko krawat Cardina albo Hermesa, mógłbym go kupić, nie pytając o cenę. Brzuch miałem płaski, a na sobie bokserskie slipy z czesanej bawełny, osiem dolarów para. Zapisałem się w Chicago do klubu sportowego i z wysiłkiem człowieka w średnim wieku utrzymywałem dobrą formę. Rozgrywałem szybkie, zaciekle mecze squasha. Więc jak mogłem mówić z Humboldtem? To zbyt wiele. Kiedy siedziałem w helikopterze, przelatując nad Manhattanem, oglądając Nowy Jork, jak gdybym płynął w łodzi o szklanym dnie nad tropikalną rafą, Humboldt prawdopodobnie gmerał pośród swoich butelek, szukając odrobiny soku, żeby go zmieszać z porannym dżinem.

Po śmierci Humboldta ćwiczyłem jeszcze intensywniej. W zeszłym roku na Święto Dziękczynienia uciekłem w Chicago przed chuliganem. Wpadł z ciemnej uliczki, aleja byłem szybszy. Błyskawiczny refleks. Uskoczyłem w bok i popędziłem środkiem jezdni. Jako chłopiec nie byłem specjalnie dobrym biegaczem. Jak się to działo, że w wieku lat pięćdziesięciu kilku obudził się we mnie instynkt ucieczki i zdobyłem się na wielkie zrywy szybkości? Później tego samego wieczoru mówiłem chętnie:

– Na sto jardów ciągle jeszcze jestem lepszy od rabującego ludzi narkomana.

I przed kim chętnie się tą siłą moich nóg? Przed młodą kobietą imieniem Renata. Leżeliśmy w łóżku. Opisałem jej moją ucieczkę – biegłem niczym strzała, frunałem. A ona powiedziała, jakby to była sceniczna replika (ach ta kurtuazja, dobre maniery pięknych dziewczyn):

– Jesteś w cudownej formie, Charlie. Nie jesteś specjalnie wysoki, ale masywny, mocno zbudowany i taki elegancki – powiedziała, głaszcząc moje nagie boki.

Więc mój kumpel Humboldt umarł. Prawdopodobnie jego kości rozsypały się już we wspólnej mogile nędzarzy. Może w jego grobie nie ma nic prócz kilku grudek sadzy. Ale Charlie Citrine wciąż biega szybciej od rozbestwionych przestępców na ulicach Chicago i Charlie Citrine jest w cudownej formie, i leży w łóżku obok zmysłowej kochanki. I tenże Citrine potrafi wykonać pewne ćwiczenia jogi, a poza tym nauczył się stawać na głowie, żeby uśmierzyć bóle artretyczne w karku. O niskim poziomie mojego cholesterolu Renata została dokładnie poinformowana. I powtórzyłem jej uwagi lekarza na temat mojej zdumiewająco młodzieńczej prostaty i fenomenalnie prawidłowego EKG. Utwierdzony w moich złudzeniach i w moim kretylizmie tymi dumnie brzmiącymi raportami lekarzy objąłem piersiastą Renatę, wyciągniętą na korygującym postawę materacu. Wpatrywała się we mnie rozmodlonym miłością wzrokiem. Wciągnąłem w nozdrza zachwycającą woń jej wilgoci, osobiście partycypującą w tryumfie cywilizacji amerykańskiej (teraz z maleńką domieszką orientalnych barw Cesarstwa). Ale na promenadzie nadmorskiej w jakimś widmowym Atlantic City mojej wyobraźni zobaczyłem innego Citrine’a. Ten Citrine był zgrzybiały, pochylony i słaby. Och, bardzo, bardzo słaby, wieziono go w fotelu na kółkach obok maleńkich słonych fal, które jak ja wydawały się słabe. I któż to pchał mój fotel? Czy Renata – ta Renata, którą w wojnach o Szczęście zdobyłem szybkim jak u Pattona rzuceniem do boju wojsk pancernych? Nie. Renata jest wspaniałą dziewczyną, ale nie mogłem wyobrazić jej sobie za moim fotelem. Renata? Nie Renata. Z pewnością nie.

W Chicago Humboldt stał się jednym z moich ważnych zmarłych. Spędzałem o wiele za dużo czasu na dumaniu o zmarłych i na obcowaniu ze zmarłymi. Co więcej, łączono moje nazwisko z nazwiskiem Humboldta, bo w miarę jak oddalała się przeszłość, lata czterdzieste nabierały wartości dla osób fabrykujących tęczą tkaninę Kultury i rozeszła się wieść, że w Chicago żyje jeszcze facet, który był kiedyś przyjacielem Von Humboldta Fleishera, człowiek nazwiskiem Charles Citrine. I ludzie przygotowujący artykuły, prace dyplomowe i książki pisali do mnie albo przyjeżdżali, żeby podyskutować o Humboldcie. Muszę powiedzieć, że w Chicago Humboldt był naturalnym tematem do refleksji. Usytuowane na południowym krańcu Wielkich Jezior – dwadzieścia procent światowego zapasu słodkich wód – Chicago ze swoim gigantycznym życiem zewnętrznym zawierało w sobie cały problem poezji i wewnętrznego życia Ameryki. Tutaj można było zajrzeć w głąb takich spraw przez coś w rodzaju słodkowodnej przezroczystości.

– Jak pan tłumaczy, panie Citrine, wzlot i upadek Von Humboldta Fleishera?

– Młodzi ludzie, jak macie zamiar wykorzystać fakty o Humboldcie? Pisać artykuły i zrobić na nim karierę? To czysty kapitalizm. Rozmyślałem o Humboldcie z większą powagą i żalem, niż to może wynikać z niniejszego opisu. Niewielu ludzi kochałem. Nie stać mnie było na tracenie kogokolwiek. Jeden z nieomylnych dowodów miłości, to że tak często o nim śniłem. Ilekroć mi się pokazał, ogarniało mnie wzruszenie i zaczynałem płakać we śnie. Kiedyś śniłem, że spotkaliśmy się u Whelana na rogu Szóstej i Ósmej, w Greenwich Village. Nie był owym udreńczonym, ołowianoszarym, opuchniętym człowiekiem, którego

widziałem na Czterdziestej Szóstej Ulicy, tylko wciąż postawnym, normalnym Humboldtem w środkowym okresie swojego życia. Siedział obok mnie przy barze z butelką coca-coli. Wybuchnąłem łzami.

– Gdzieś ty był? – spytałem. – Myślałem, że umarłeś.

Był bardzo łagodny, spokojny i wydawał się ogromnie zadowolony.

– Teraz rozumiem wszystko – powiedział.

– Wszystko? Co to znaczy wszystko?

Ale on tylko powtórzył:

– Wszystko.

Nie mogłem wyciągnąć z niego więcej i płakałem ze szczęścia. Naturalnie był to tylko sen, jeden z tych, jakie człowiek śni, kiedy jego dusza nie jest zdrowa. Mojemu charakterowi na jawie daleko do doskonałości. Nie dostanę nigdy żadnego orderu za charakter. A dla zmarłych wszystko to jest z pewnością najzupełniej jasne. W sposób ostateczny opuścili tę problematyczną, mętną ziemską i ludzką sferę. Podejrzewam, że za życia człowiek patrzy na zewnątrz ze swojego ja, ze swojego środka. Po śmierci jest na peryferiach i patrzy do środka. Widzi u Whelana swoich starych kumpli wciąż borykających się z ciężarem własnej osobowości i dodaje im otuchy napomknieniami, że kiedy przyjdzie ich kolej i wkroczą w wieczność, oni też zaczną rozumieć i w końcu pojmą, co się zdarzyło. Ponieważ wszystko to nie jest Nauką, boimy się o tym myśleć.

No więc dobrze, będę się streszczał: w wieku lat dwudziestu dwóch Von Humboldt Fleisher wydał swój pierwszy zbiór ballad. Zdawałoby się, że syn zneurotyzowanych imigrantów z rogu Osiemdziesiątej Dziewiątej i West End – ekstrawagancki tata uganiający się za Pancho Villą, o włosach tak kręconych, co wiem z fotografii pokazanej mi przez Humboldta, że wojskowa czapka spadała mu z głowy; i mamcia z jednej z tych rozszwargotanych płodnych rodzin Potashów czy Perlmutterów, tkwiących w biznesie i baseballu, najpierw ładna na swój śniady sposób, potem ponura, obłąkana i niema – zdawałoby się, że taki młody człowiek będzie niewydarzony, że jego składnia będzie nie do przyjęcia dla grymaśnych krytyków – gojów, stojących na straży Protestantckiego Porządku i Szlachetnych Tradycji. Nic podobnego. Ballady były czyste, melodyjne, dowcipne, promienne, ludzkie. Myślę, że były platońskie. Przez „platońskie” rozumiem pierwotną doskonałość, do której pragną wrócić wszystkie istoty ludzkie. Tak. Słowa Humboldta były nieskazitelne. Dystygowana Ameryka nie miała się czego obawiać. Cała w nerwach spodziewała się, że to antychryst bluźnie ze slumsów. A tymczasem Humboldt Fleisher przyszedł do niej z podarunkiem miłości. Zachowywał się jak dżentelmen. Był czarujący. Więc zgotowano mu ciepłe przyjęcie. Conrad Aiken pochwalił go. T. S. Eliot przychylnie ocenił jego wiersze i nawet Yvor Winters miał dla niego życzliwe słowo. Jeśli o mnie idzie, pożyczyłem trzydzieści dolarów i entuzjastycznie ruszyłem do Nowego Jorku, żeby porozmawiać z nim na Bedford Street. Był to rok 1938. Przeprowadziliśmy się przez Hudson promem z Christopher Street i w Hoboken jedliśmy ślimaki i mówili o problemach współczesnej poezji. To znaczy Humboldt robił mi wykład na ich temat. Czy Santayana miał słuszość? Czy współczesna poezja jest barbarzyńska? Współcześni poeci mają wspanialszy materiał, niż mieli Homer i Dante. Natomiast brak im zdrowych i silnych ideałów. Jest niemożliwością być chrześcijaninem i jest niemożliwością być poganinem. Więc zostaje – sami wiecie co.

Przyjechałem, żeby usłyszeć, że wielkie rzeczy mogą być prawdziwe. To mi zostało powiedziane na promie odchodzącym z Christopher Street. Potrzebne były wspaniałe gesty i Humboldt je wykonywał. Oznajmił mi, że poeci powinni wymyślić sposób na przechytrzenie pragmatycznej Ameryki. Ostro wziął się do mnie tego dnia. Aja... cóż, byłem w ekstazie, ubrany, jak przystało na sprzedawcę szczotek firmy Fuller, w gruby wełniany garnitur, prezent od Juliusza. Spodnie były za szerokie w pasie i koszula wydymała się jak balon, bo mój brat, Juliusz, miał tęgi tors. Ocierałem twarz chusteczką z wyhaftowanym „J”.

A Humboldt właśnie zaczynał przybierać na wadze. Był ciężki w ramionach, ale wąski w biodrach. Później miał sterczący brzuch, jak Babe Ruth. Nogi miał jakby niespokojne, a stopy poruszały mu się nerwowo. Na dole szorująca nogami komedia; wyżej pańskość i godność, i pewnego rodzaju zblizowany wdzięk. Wieloryb wynurzający się na powierzchnię obok łodzi mógłby na nas spoglądać, jak on spoglądał szeroko rozstawionymi, szarymi oczami. Był zarówno szczupły, jak gruby, ciężki, ale zarazem lekki, twarz miał jednocześnie bladą i ciemną. Fale złotobrazowych włosów unosiły mu się nad czołem – dwa jasne grzbiety i ciemna przełęcz. Czoło miał w bliznach. Jako dziecko upadł na ostrze łyżwy, nawet kość miał naruszoną. Blade wargi były wypukłe, a między nimi mnóstwo maleńkich niedojrzałych zębów, jak zęby mleczne. Pochłaniał papierosy do samego końca, więc jego krawat i marynarka były upstrzone wypalonymi dziurkami.

Tematem tego popołudnia był Sukces. Przyjechałem z prowincjonalnej dziury i on mnie karmił poufnymi informacjami. Spytał, czy mogę sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy położy się swoją poezję Greenwich Village na obie łopatki, a potem zaraz publikuje się eseje krytyczne w „Partisan” i „Southern Review”? Miał mi dużo do powiedzenia o Modernizmie, Symbolizmie, Yeatsie, Rillem, Eliocie. A poza tym doskonale pił. I naturalnie przewijało się mnóstwo dziewczyn. Co więcej, Nowy Jork był wtedy szalenie rosyjskim miastem, mieliśmy Rosję na każdym kroku. Był to przypadek metropolii, według słów Lionela Abela, która marzyła o należeniu do innego państwa. Nowy Jork marzył, żeby porzucić Amerykę Północną i połączyć się z Rosją Sowiecką. Humboldt bardzo łatwo przeskakiwał z tematu na temat, z rozmowy o Babe Ruthu do Róży Luksemburg, Beli Kuna i Lenina. Od czasu do czasu zdawałem sobie sprawę, że jeśli nie przeczytam natychmiast Trockiego, nie będę godnym partnerem rozmów. Humboldt mówił mi o Zinowiewie, Kamieniewie, Bucharinie, o Instytucie Smolnym, o inżynierach z Szacht, o procesach moskiewskich, o rozprawie Hooka *Od Hegla do Marksa* i dziele Lenina Pańsko *a rewolucja*. W rzeczy samej porównywał się z Leninem.

– Wiem – mówił – co Lenin czuł w Październiku, kiedy zawołał: „Es schwindelt!” Wcale nie chciał powiedzieć, że szwindlował, tylko że kręci mu się w głowie. Lenin, chociaż taki był twardy, czuł się jak młoda dziewczyna tańcząca walca. Ja też. W głowie mi się kręci od sukcesu, Charlie. Moje myśli nie dają mi spać. Kładę się do łóżka bez kropli alkoholu i pokój wiruje dokoła mnie. Z tobą też tak będzie. Mówię ci to, żeby cię przygotować – oznajmił Humboldt. W pochlebstwach był mistrzem.

Nieprzytomnie podniecony patrzyłem na niego niedowierzająco. Byłem naturalnie w stadium intensywnych przygotowań i żyłem nadzieją, że położę wszystkich na łopatki. Co dzień u Fullera, na porannej odprawie ekipy domokrażnych sprzedawców, mówiliśmy chórem:

– Czuję się i wyglądam doskonale, a ty? – Ale ja naprawdę czułem się i wyglądałem doskonale.

Nie musiałem udawać. Nikt nie mógł być ode mnie gorliwszy, bardziej chętny, żeby witać gospodynie domowe, żeby oglądać ich kuchnie, żeby wysłuchiwać opowiadań o ich dolegliwościach. Gorączkowa hipocondria żydowskich kobiet była wtedy dla mnie czymś nowym, bardzo chciałem wiedzieć o ich guzach, o ich spuchniętych nogach. Pragnąłem, żeby mi mówiły o swoim małżeństwie, połogach, pieniądzach, chorobach i śmierci. Tak, siedząc i popijając kawę, usiłowałem je klasyfikować. Drobnomieszczanki, towarzyskie snobki, morderczynie własnych mężów. Ale ten analityczny sceptycyzm nie zdawał się na nic. Miałem w sobie za dużo entuzjazmu. Więc z zapalem sprzedawałem moje szczotki, jak z zapalem szedłem wieczorem do Greenwich Village i słuchałem, o czym mówią najwspanialszy gawędziarze Nowego Jorku – Schapiro, Hook, Rahv, Huggins, Gumbein. Pod naporem ich elokwencji siedziałem jak mysz na sali koncertowej. Ale Humboldt był z nich najlepszy. Był Mozartem rozmowy.

Na promie Humboldt powiedział:

– Kiedy to osiągnąłem, byłem za młody, teraz mam trudności. – I ruszył z kopyta. Objął swoją tyradą Freuda, Heinego, Wagnera, Goethego we Włoszech, zmarłego brata Lenina, kostiumy Dzikiego Billa Hickoka, drużynę nowojorskich Gigantów, wypowiedzi Ringa Lardnera na temat opery, Swinburne’a na temat flagelacji i Johna D. Rockefellera na temat religii. Pośród wszystkich tych wariacji powracał wciąż główny temat, odnajdywany przemyślnie i w sposób podniecający. Tego popołudnia ulice wydawały się spopieliałe, ale pokład promy błyszczał jasną szarością. Humboldt był niechlujny i wielkopański, jego umysł falował jak woda, jasne włosy powiewały na wietrze, twarz o szeroko rozstawionych jasnych oczach wydawała się blada i napięta, ręce tkwiły głęboko w kieszeniach spodni, stopy, w butach do gry w polo, trzymał zsunięte blisko. – Gdyby Scott Fitzgerald był protestantem – rzekł Humboldt – Sukces by go tak nie zniszczył. Spójrz na Rockefellera Starszego, ten wiedział, jak traktować Sukces, po prostu stwierdził, że to Bóg dał mu pieniądze. Naturalnie była to umiejętność gospodarowania. Był to kalwinizm.

Zahaczywszy w rozmowie o kalwinizm, Humboldt przechodził nieuchronnie do tematu Łaski i Nieprawości. Z Nieprawości przeskakiwał na Henry’ego Adamsa, według którego postęp techniczny tak czy owak za kilka dziesiątków lat przetrąci nam karki, a po Henrym Adamsie poruszał zagadnienie wybitności w epoce rewolucji, przemian społecznych, mas, a następnie zwracał się ku Tocqueville’owi, Horatio Algerowi i Rugglesowi z Red Gap. Zbzikowany na punkcie kina czytał namiętnie tygodnik „Screen Gossip”. Pamiętał Mae Murray jako boginię w cekinach na scenie teatru Loewego, zapraszającą sztubaków do odwiedzenia jej w Kalifornii. – Grała tytułową rolę w *Królowej Tasmanii* i *Kirke Czarodziejce*, ale skończyła w przytułku. A co powiesz o tym... jak on się nazywał... tym, co popełnił samobójstwo w szpitalu? Wziął widelec i wbił go sobie w serce obcasem buta, biedaczysko!

To było smutne. Ale prawdę mówiąc, mało mnie obchodziło, ilu ludzi poszło do ziemi. Czułem się nieprawdopodobnie szczęśliwy. Nigdy nie odwiedzałem domu poety, nigdy nie piłem nie rozcieńczonego

dżinu, nigdy nie jadłem duszonych ślimaków, nigdy nie wciągałem w nozdrza woni przyływu. Nie słyszałem nigdy, żeby ktoś mówił takie rzeczy o biznesie, o jego mocy paraliżowania duszy. Humboldt opowiadał cudownie o cudownych, odrażających bogaczach. Należy im się przyglądać zza puklerza sztuki. Jego monolog był oratorium, w którym śpiewał i grał wszystkie role. Wznosząc się na większe jeszcze wyżyny, zaczął mówić o Spinozie, o tym, jak dusza karmi się radością dzięki rzeczom wiecznym i nieskończonym. Był teraz Humboldtem-studentem, który otrzymał najwyższe stopnie z filozofii od wielkiego Morrisa R. Cohena. Nie sądzę, żeby mówił w taki sposób, gdybym nie był smarkaczem z prowincjonalnej dziury. Ale po Spinozie Humboldt zrobił się trochę markotny i rzekł:

– Mnóstwo ludzi czeka, żebym się zwałił na pysk. Mam miliony wrogów.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Nie przepuszczam, żebyś czytał o ludożerczej społeczności Indian ze szczepu Kwakiutłów – odparł uczony Humboldt. – Kiedy kandydat wykonuje swój taniec inicjacji, wpada w szał i zaczyna jeść ludzkie mięso. Ale niech popełni błąd w rytuale, cała gromada rzuca się na niego i rozszarpuje na strzępy.

– Dlaczego poezja miałaby przyczynić panu milionów wrogów?

Oznajmił, że to rozsądne pytanie, ale widać było, że wcale tak nie myśli. Sposepniał, a głos zrobił mu się głuchy, jak gdyby w jego dźwięcznej klawiaturze był jeden blaszany klawisz. I teraz w niego uderzył.

– Może mi się zdawać, że niosę ofiarę na ołtarz, ale oni widzą to inaczej.

Nie, to nie było dobre pytanie, bo zadając je, dowiedziałem, że nie znam Zła, a jeśli nie znam Zła, mój podziw jest bez wartości. Przebaczył mi, bo byłem młodym chłopcem. Ale usłyszawszy tę blaszaną nutę, zrozumiałem, że muszę się nauczyć bronić. Humboldt odkręcił kurek mojego uczucia i mojego podziwu, płynęły teraz niebezpieczną siłą. Ten krwotok gorliwości osłabi mnie, a kiedy będę słaby i bezbronny, dostanę po karku. Wykoncypowałem – cha, cha! – że chce mnie przykroić dokładnie według swego wzoru. Zacznie mnie terroryzować. Lepiej, żebym uważał.

Tamtej parnej nocy, kiedy osiągnąłem mój sukces, Humboldt pikietował teatr Belasco. Właśnie go wypuszczono ze szpitala Bellevue. Ogromny napis „*Von Trenck* Charlesa Citrine’a” jarzył się wysoko nad ulicą. Były w nim tysiące żarówek. Przyjechałem w smokingu, a tam był już Humboldt z bandą kumpli i pomocników. Wysiadłem z moją przyjaciółką z taksówki i na chodniku dostałem się w sam środek tego zamieszania. Policja odpychała tłum. Kumple Humboldta wrzeszczeli i awanturowali się, a on sam niósł swój transparent, jakby to był krzyż. Rozlaźle litery napisu, farba rtęciowa na płótnie, głośiły: „Autor tej sztuki jest zdrajcą”. Policjanci odepchnęli demonstrantów i nie spotkałem się z Humboldtem twarzą w twarz.

– Czy chce pan, żeby go aresztowano? – spytał zastępca dyrektora.

– Nie – powiedziałem, zraniony, rozdygotany. – Byłem kiedyś jego protegowanym. Obłąkany skurwysyn, przyjaźniliśmy się kiedyś. Dajcie mu spokój.

Demmie Vonghel, towarzysząca mi wtedy pani, oznajmiła:

– Jakiś ty dobry! Naprawdę, Charlie, jesteś dobrym człowiekiem.

Von Trenck szedł na Broadwayu osiem miesięcy. Oczy publiczności były zwrócone na mnie przez blisko rok, ale niczego jej nie nauczyłem.

* * *

A teraz o śmierci Humboldta: umarł w Ilcombe, parę kroków od teatru Belasco. Ostatniego wieczoru, jak zdołałem to zrekonstruować, siedział na łóżku w swojej nędznej norze i prawdopodobnie czytał. Miał w pokoju tomiki Yeatsa i *Fenomenologię* Hegla. Lekturę tych wizjonerskich autorów uzupełniały mu „Daily News” i „Post”. Nadal interesował się sportem i życiem nocnym, międzynarodową śmietanką towarzyską i poczynaniami rodziny Kennedych, cenami używanych samochodów i ogłoszeniami o pracy. Chociaż był już taką ruiną, trwał przy swoich zwykłych amerykańskich zainteresowaniach. A koło trzeciej nad ranem – pod koniec niewiele sypiał – postanowił znieść na dół śmieci i dostał w windzie ataku serca. Kiedy dopadły go bóle, runął na tablicę i nacisnął wszystkie guziki, w tym guzik dzwonek alarmowego. Dzwonki zaczęły brzęczeć, drzwi się otworzyły, Humboldt wytoczył się z trudem na korytarz i runął; z kubła na śmiecie wysypały się puszkę, fusy od kawy, butelki. Dusząc się, rozszarpał koszulę. Kiedy przyszła policja zabrać nieboszczyka, pierś miał obnażoną. Szpital nie chciał go teraz przyjąć, więc zawieźli zwłoki do kostnicy. W kostnicy nie było

czytelników nowoczesnej poezji. Nazwisko Von Humboldta Fleishera nic dla nich nie znaczyło. No więc leżał tam sobie, jeszcze jeden ludzki wrak.

Odwiedziłem niedawno jego wuja Waldemara na Coney Island. Stary bywalec torów wyścigowych, przebywający w domu dla starców, powiedział:

– Ci policjanci oskubali Humboldta. Zabrali mu zegarek, pieniądze, nawet pióro wieczne. Zawsze używał prawdziwego pióra. Nie pisał poezji długopisem.

– Jest pan pewien, że miał pieniądze?

– Nie ruszał się za próg bez stu dolarów w kieszeni, najmniej stu. Powinieneś wiedzieć, jaki on był w sprawach pieniędzy. Brak mi tego smarkacza. Och, jak mi go brak!

Czułem dokładnie to co Waldemar. Byłem bardziej wstrząśnięty śmiercią Humboldta niż myślą o własnej śmierci. Wykreował się w taki sposób, żeby go opłakiwano i żeby za nim tęskniono. Nadał sobie tego rodzaju znaczenie i uwidoczniał na twarzy wszystkie głębsze, wszystkie istotniejsze ludzkie uczucia. Takich twarzy nigdy się nie zapomina. Ale w jakim celu została stworzona?

Bardzo niedawno, ubiegłej wiosny, myślałem o tym w dziwnym kontekście. Jechałem z Renatą francuskim pociągiem, odbywając podróż, która, jak większość podróży, nie była mi potrzebna i której nie pragnąłem. Wskazując na jakiś fragment krajobrazu, Renata powiedziała:

– Popatrz, jak tam pięknie!

Wyjrzałem; miała słuszość. Było tam naprawdę pięknie. Ale widziałem Piękno wiele razy, więc zamknąłem oczy. Odrzucałem gipsowe idole Pozorów. Nauczono mnie, podobnie jak wszystkich, dostrzegać te idole i byłem zmęczony ich tyranią. Pomyślałem nawet: malowana zasłona nie jest już tym, czym była. Ta przeklęta płachta zaczyna się strzępić. Jak ręcznik na rolce w meksykańskiej toalecie. Myślałem o potędze zbiorowych abstrakcji i tak dalej. Łakniemy goręcej niż kiedykolwiek dotąd promiennej żywości bezgranicznego uczucia, a jałowe idole coraz bardziej i bardziej nam to niweczą. Świat kategorii pozbawionych ducha czeka, by wróciło życie. Humboldt miał być narzędziem takiej odnowy. Ta misja czy powołanie odbijała się na jego twarzy. Nadzieja nowego Piękna. Obietnica, tajemnica Piękna.

Nawiasem mówiąc, w Stanach Zjednoczonych takie rzeczy nadają ludziom szalenie cudzoziemski wygląd.

Było to logiczne, że Renata kierowała moją uwagę ku Pięknu. Była w tym osobiście zainteresowana, miała powiązania z Piękniem.

Swoją drogą twarz Humboldta wskazywała wyraźnie, że on wie, co należy zrobić. Wskazywała też, że nie zabrał się do robienia tego czegoś. On też kierował moją uwagę na krajobrazy. Pod koniec lat czterdziestych Humboldt i Kathleen, tuż po ślubie, przenieśli się z Greenwich Village na wieś do New Jersey i kiedy ich odwiedziłem, mówił tylko o ziemi, drzewach, kwiatach, pomarańczach, słońcu, o Raju, Atlantydzie, Radamantysie. Rozprowiał o Williamie Blake'u w Felpham i *Raju* Milтона, i bluzgał na miasto. Miasto jest odrażające. Aby dotrzymać kroku zawilościom jego konwersacji, należało wiedzieć, na jakich tekstach się opiera. Ja wiedziałem: był tam *Timajos* Platona, a dalej to, co Proust napisał o Combray, Wirgiliusz o rolnictwie, Marvell o ogrodach, poematy karaibskie Wallace'a Stevensa i tak dalej. Łączyła nas z Humboldem tak bliska więź między innymi dlatego, że zawsze byłem gotów wysłuchać całego cyklu wykładów.

A więc Humboldt i Kathleen zamieszkali w domu na wsi. Kilka razy na tydzień Humboldt przyjeżdżał do miasta w sprawach zawodowych – sprawach poety. Był u szczytu sławy, chociaż nie u szczytu sił twórczych. Wykombinował sobie cztery synekury, o których wiedziałem. Mógł ich mieć więcej. Żyjąc za piętnaście dolarów na tydzień i uważając to za rzecz normalną, nie umiałem oszacować ani jego potrzeb, ani jego dochodów. Był tajemniczy, ale napomykał o dużych sumach. A teraz załatwił sobie roczne zastępstwo profesora Martina Sewella na Uniwersytecie Princeton. Sewell wyjeżdżał z ramienia fundacji Fulbrighta do Damaszku, na wykłady o Henrym Jamesie. Jego przyjaciel Humboldt zastąpi go tutaj. Potrzebny był wykładowca i Humboldt zarekomendował mnie. Wykorzystując powojenną koniunkturę kulturalną, recenzowałem tuziny książek dla „The New Republic” i „New York Timesa”. Humboldt powiedział:

– Sewell czytał twoje kawałki. Uważa, że jesteś niezły. A wydajesz się sympatyczny i nieszkodliwy z tymi twoimi czarnymi niewinnymi oczami i miłym obejściem człowieka ze Środkowego Zachodu. Stary chce cię obejrzeć.

– Chce mnie obejrzeć? Jest za bardzo pijany, żeby dokończyć rozpoczęte zdanie.

– Jak powiedziałem, wydajesz się sympatycznym pierwszym naiwnym, dopóki nie podrażni się twojej drażliwości. Nie zadzieraj tak nosa. To czysta formalność. Sprawa już jest załatwiona.

„Pierwszy naiwny” było jednym z obraźliwych określeń Humboldta. Odczytany w psychologii przejrzał moje uczynki na wylot. Moje zadumy i moje oderwanie ód świata ani na chwilę go nie zwiódły. Wiedział, co to drapieżność i ambicja, co to agresja i śmierć. Skala rozmowy zależała tylko od tego, jakie jej chciał nadać rozmiary, więc kiedy jechaliśmy na wieś jego kupionym z drugiej ręki buickiem i za oknami uciekały łąki, Humboldt mówił i mówił – choroba napoleońska, Julien Sorel, *jeunes ambitieux* Balzaka, portret Ludwika Bonapartego skreślony piórem Marksa, Hegłowska Jednostka „Dziejowo-powszechna”. Humboldt był szczególnie przywiązany do Jednostki Dziejowo-powszechnej, owego interpretatora Ducha, tajemniczego wodza, który narzucał Ludzkości trud zrozumienia go, i tak dalej. Takie tematy były dość pospolite w Greenwich Village, ale Humboldt wprowadzał do tych rozmów szczególną pomysłowość i maniacką energię, pasję do zawitości, do podwójnych znaczeń i aluzji w duchu *Finnegans Wake*.

– A w Ameryce – oznajmił – ta heglowska jednostka okazałaby się prawdopodobnie niewypałem. Urodzona może w Appleton, stan Wisconsin, jak Harry Houdini i Charlie Citrine.

– Dlaczego zaczynać ode mnie? Ze mną trafiasz daleko od celu...

Byłem wtedy zły na Humboldta. Któregoś wieczoru na wsi ostrzegł przede mną moją przyjaciółkę, Demmie Vonghel. Wybuchnął przy kolacji:

Musisz uważać z Charliem. Znam dziewczyny w twoim rodzaju. Za dużo z siebie dają mężczyźnie. Charlie to prawdziwy diabeł.

Przerażony tym, co nagadał, podniósł się zza stołu i wybiegł na dwór. Słyszeliśmy jego ciężkie kroki na kamieniach mrocznej drogi wiejskiej. Demmie i ja zostaliśmy jeszcze chwilę z Kathleen. W końcu Kathleen powiedziała:

– On cię uwielbia, Charlie. Ale wbił sobie coś do głowy. Ze masz do spełnienia pewną misję... to jakaś tajemnicza sprawa... i że tacy ludzie nie są specjalnie godni zaufania. A poza tym lubi Demmie. Wyobraża sobie, że ją chroni, w tym nie ma nic osobistego. Nie jesteś zły, powiedz?

– Zły na Humboldta? Jest postacią zbyt fantastyczną, żeby się na niego złościć. Zwłaszcza jako opiekun dziewczyc.

Demmie wydawała się rozbawiona. Zresztą każda młoda kobieta ceniłaby sobie taką troskliwość. Spytała mnie później w swój obcesowy sposób:

– Co to za historia z tą misją?

– Bzdury.

– Ale kiedyś coś mi takiego powiedziałeś, Charlie. Czy może Humboldt plecie głupstwa?

– Mówiłem, że mam czasem dziwne uczucie... jakby mnie ofrankowano i nadano na pocztę i jakby ktoś czekał, aż zostaną dostarczony na jakiś ważny adres. Mogę zawierać niezwykle informacje. Ale to przecież po prostu głupota.

Demmie – jej pełne imię i nazwisko brzmiało Anna Dempster Vonghel – uczyła łaciny w szkole im. Washingtona Irvinga, tuż obok Union Square, a mieszkała na Barrow Street.

– W Delaware jest holenderski zakątek – powiedziała Demmie. – I stamtąd pochodzą Vonghelowie. – Posłano ją do ekskluzywnej szkoły, studiowała filologię klasyczną w Bryn Mawr, ale była też młodocianym przestępcą i w wieku lat piętnastu należała do bandy złodziei samochodów. – Kochamy się, więc masz prawo wiedzieć – powiedziała. – Jestem notowana na policji... kradzież kapsli, marihuana, przestępstwa seksualne, kradzione samochody, ucieczka przed policją, wypadek drogowy, szpital, kuratorzy, cały ten interes. Ale znam też około trzech tysięcy wersetów z Biblii. Jestem wychowana na ogniu piekielnym i wiecznym potępieniu.

Jej ojciec, prowincjonalny milioner, jeździł cadillakiem i spluwał przez okno.

– Czyści zęby szczotką kuchenną. Płaci dziesięcinę swojemu kościołowi. Szoferuje w autobusie szkółki niedzielnej. Ostatni ze starego typu Fundamentalistów. Tylko że tam u nas są ich dziesiątki – powiedziała.

Demmie miała niebieskie oczy o czystych białkach i zadarty nos, który zdawał się zwracać do patrzącego bez mała tak wymownie i nagłaco jak jej oczy. Długie przednie zęby zmuszały ją do trzymania warg lekko rozchylonych. Jasne włosy na podłużnej, wytwornej głowie nosiła rozdzielone pośrodku, jak firanki w

schludnym domu. Miała dokładnie taką twarz, jakie widywało się przed stu laty w wozie przemierzającym prerie, twarz pionierską, bardzo białą twarz. Ale zachwyciły mnie najpierw jej nogi. Były nadzwyczajne. I te piękne nogi miały podniecający defekt – kolana stykały się, a stopy były zwrócone na zewnątrz, więc kiedy szła prędko, napięty jedwab pończoch wydawał cichy szmer. Kiedy poznaliśmy się w tłumie na przyjęciu, zaledwie mogłem ją zrozumieć, bo mamrotała do mnie przez zaciśnięte szczęki według modnej na Wschodnim Wybrzeżu manieri. Ale w koszuli nocnej była prawdziwą dziewczyną ze wsi, farmerską córką, i wymawiała słowa prosto i wyraźnie. Co noc około drugiej budziły ją koszmary. Jej chrystianizm był z rodzaju tych majaczących. Gnębiły ją złe duchy, które musiała z siebie wypędzić. Bała się piekła. Jęczała we śnie. Potem płacząc, siadała na łóżku. Półprzytomny ze snu starałem się ją uspokoić, uciszyć.

– Nie ma piekła, Demmie.

– Wiem, że jest piekło. Jest piekło... jest!

– Połóż głowę na moim ramieniu. Zaśnij.

Pewnej niedzieli, we wrześniu 1958, Humboldt przyjechał, żeby mnie zabrać spod domu, w którym mieszkała Demmie na Barrow Street. Był zupełnie niepodobny do tego młodego poety, z którym jechałem do Hoboken na ślimaki. Wesoła Demmie zawołała do mnie z platformy schodków pożarowych trzeciego piętra, gdzie hodowała begonie – rankiem koszmary znikają bez śladu.

– Charlie, nadjeżdża Humboldt swoim krążownikiem.

Wypadł na Barrow Street, niedaleko teatru Cherry Lane.

Był pełen samochodowego mistycyzmu, ale nie umiał parkować. Obserwowałem go, jak usiłuje wjechać tyłem na wystarczająco dużą przestrzeń. Według mojej prywatnej teorii sposób, w jaki ludzie parkują, łączy się z ich skrytym wyobrażeniem o sobie i zdradza, co myślą o swoich zadkach. Humboldt dwukrotnie wjechał jednym tylnym kołem na płyty chodnika i w końcu zrezygnował i zgasił silnik. A potem wyszedł, w marynarce w kratkę i zapiętych na rzemyk butach do gry w polo, zatrzasnąwszy za sobą drzwi, które na oko miały półtora metra długości. Powitał mnie milcząco, duże wargi miał zaciśnięte. Szare oczy wydawały się jeszcze szerzej rozstawione – wieloryb wypływający na powierzchnię obok płaskodennej łodzi. Przystojna twarz pogrubiała, zbrzydła. Była to twarz imponująca, twarz buddyjska, ale nie dostrzegałem na niej spokoju. Ja sam byłem ubrany jak na profesorską oficjalną rozmowę, cały pozapinany, pozawijany, pościągany. Czułem się jak złożony parasol. Demmie zajęła się moim wyglądem. Wyprasowała koszulę, wybrała krawat, przyglądała szczotką ciemne włosy, które wtedy jeszcze miałem. Zszedłem na dół. No i staliśmy tam, a dokoła nas szorstkie cegły ścian, kubły na śmiecie, pochyłe chodniki, drabinki przeciwpożarowe. Demmie machała do nas z góry, a jej terier szczekał na parapecie.

– Bawcie się dobrze.

– Dlaczego Demmie nie jedzie? Kathleen się jej spodziewa.

– Musi sprawdzić wypracowania z łaciny i postawić stopnie. Zrobić plan lekcji – powiedziałem.

– Jak jest taka sumienna, może zrobić to wszystko na wsi. Odwiozę ją na wczesny pociąg.

– Nie pojedzie. Zresztą twoim kotom nie spodobałby się jej pies.

Humboldt nie nalegał. Bardzo lubił swoje koty.

Patrząc teraz wstecz, widzę dwie dziwaczne kukły na przednich siedzeniach ryczącego, zgrzytającego samochodu. Buick był cały oblepiony błotem i wyglądał jak wóz sztabowy z pól bitewnych Flandrii. Koła były źle wyważone, potężne opony łomotały odśrodkowo. Humboldt jechał szybko poprzez mdłe słońce wczesnej jesieni, wykorzystywał niedzielną pustkę ulic. Był strasznym kierowcą, skręcał w lewo z prawego pasa, dodawał gazu, potem zwalniał, zajeżdżał drogę. Nie podobało mi się to. Naturalnie ja radziłem sobie dużo lepiej z samochodem, ale wszelkie porównania były absurdalne, bo on był Humboldtem, a nie kierowcą. Prowadząc, garbił olbrzymie plecy nad kierownicą, ręce i stopy drgały mu jak u małego chłopca, trzymał cygarniczkę między zębami. Był podniecony, mówił bez przerwy, zabawiał mnie, udzielał informacji, prowokował, nabierał. Nie spał tej nocy. Z jego zdrowiem było chyba kiepsko. Pił naturalnie i karmił się pigułkami, mnóstwem pigułek. W teczce trzymał zawsze *Poradnik Mercka*, czarną okładką przypominającą Biblię, zaglądał do niego często i miał znajomych aptekarzy, którzy dawali mu wszystko, o co poprosił. To ich łączyło z Demmie. Ona też była samowolną lekomanką.

Samochód grzmocił kołami o bruk, pędząc w kierunku Holland Tunnel. Tuż obok ogromnej postaci Humboldta, tego giganta automobilowego, w przerażającym wyściełanym zbytku przedniego siedzenia, byłem świadomy idei i złudzeń, które mu towarzyszyły. Zawsze towarzyszył mu bezmiar, nieprzeliczone roje myśli. Mówił o tym, jak zmieniły się bagna Jersey już za jego życia, wszędzie drogi, wysypiska, fabryki; o tym, co znaczyłyby taki buick z automatycznymi hamulcami i automatycznymi biegami choćby pięćdziesiąt lat temu. Wyobrazić sobie za kierownicą Henry'ego Jamesa albo Walta Whitmana, albo Mallarmego! Ruszyliśmy pełną parą: rozprawiał o mechanizacji, zbytku, władzy, kapitalizmie, technologii, Mammonie, Orfeuszu i poezji, o bogactwie ludzkiego serca, o Ameryce, cywilizacji świata. Jego zadaniem było złączyć to wszystko, i wiele innych rzeczy, w jedną całość. Charcząc i skowycząc, samochód przebył tunel i wydostał się na światło słoneczne. Wysokie kominy, ta artyleria brudu, strzelały bezgłośnie pięknymi kłębami dymu w niedzielne niebo. Kwaśny odór gazowni wbijał się w płuca jak ostroga. Buchające dymy miały brązową barwę zupy cebulowej. W kanałach tkwiły nieruchomo tankowce gotowe do wyjścia na morze, wiatr huczał, ogromne chmury były białe. W oddali stłoczone wille miały wygląd przyszłej nekropolii. W bladym słońcu ulic żywi szli do kościoła. Pod butem Humboldta gaźnik sapał, źle ustawione koła dudniły po płytach autostrady. Porywy wiatru były tak silne, że nawet ciężki buick dygotał. Wlecieliśmy na Pułaski Skyway; cień słupów docierał do nas przez rozdygotaną przednią szybę. Na tylnym siedzeniu były książki, butelki, puszki z piwem i torby papierowe – Tristan Corbiere, pamiętam, *Les amours jaunes* w żółtej okładce, *The Police Gazette* w różowej, ze zdjęciami wulgarnych policjantów i grzesznych dziwek.

Dom Humboldta znajdował się w głębi Jersey, blisko granicy z Pensylwanią. Te peryferyjne ziemie nadawały się tylko na hodowlę kur. Dojazdy nie były brukowane, jechaliśmy w tumanach kurzu. Dzikie róże chłostały buicka, kiedy kolebaliśmy się na wysokich resorach przez zaśmiecone pola, między białymi głazami. Pęknięty tłumik ryczał tak głośno, że chociaż samochód wypełniał całą drogę, nie musieliśmy używać klaksonu. Słysząc nas było z daleka. Humboldt wrzasnął:

– Tu jest nasz dom! – I skręcił.

Przetoczyliśmy się przez wzgórek czy też fałdę ziemi. Przód buicka wzniósł się, a potem dał nura w chwasty. Humboldt nacisnął klakson ze strachu o koty, ale koty pierzchły spod kół i znalazły bezpieczne schronienie na dachu szopy, który zapadł się, przywalony śniegiem zeszłorocznej zimy.

Kathleen czekała na podwórzu, rosła, o jasnej cerze, piękna. Jej twarz, według kobiecego słownika pochwał, „miała cudowne kości”. Ale Kathleen była blada, na jej policzkach ani śladu wiejskich rumieńców. Humboldt twierdził, że rzadko wychodzi na dwór. Siedzi w domu i czyta książki. Było tu dokładnie tak, jak na Bedford Street, z tą różnicą, że otaczały ich nie miejskie, tylko wiejskie slumsy. Kathleen ucieszyła się na mój widok, dotknęła serdecznie mojej ręki.

– Witaj, Charlie – powiedziała. – Dziękuję, żeś przyjechał. Ale gdzie jest Demmie, nie mogła przyjechać? Bardzo żałuję.

I wtedy w mojej głowie buchnął biały płomień. Była to iluminacja szczególnej jasności. Zobaczyłem sytuację, jaką Humboldt wyznaczył Kathleen, i wyraziłem ją słowami: „Leż tu. Spokój. Nie wierz się. Moje rozumienie szczęścia jest może szczególne, ale jak będę szczęśliwy, uczynię cię szczęśliwą, szczęśliwszą, niż o tym kiedykolwiek marzyłaś. Jeśli będę zadowolony, dobrodziejstwa zadośćuczynienia spłyną na całą ludzkość”. Czy nie na tym, pomyślałem, polega dzisiaj sens władzy? Oto głos obłąkanego tyrana, trawionego osobliwą żądzą spełnienia ofiary, którą każdy ma przyjmować w milczeniu. Pojąłem to natychmiast. I przyszło mi do głowy, że Kathleen ma widocznie jakieś swoje sekretne kobiece racje, żeby się na to godzić. Ja też miałem się na to godzić i w innym sensie też miałem milczeć.

Humboldt dla mnie układał plany, niezależnie od Princeton. Kiedy nie był poetą, był fanatykiem układania planów. A ja byłem szczególnie podatny na jego wpływy. Dopiero niedawno zacząłem rozumieć, dlaczego tak się działo. Ale nieustannie mnie elektryzował. Wszystko, co robił, było zachwycające. Kathleen chyba zdawała sobie z tego sprawę, bo uśmiechnęła się do swoich myśli skrycie, kiedy wysiadałem z samochodu. Stałem na udeptanej trawie.

– Odetchnij tym powietrzem – zwrócił się do mnie Humboldt. – Trochę inne niż na Bedford Street, prawda? – I zacytował:

Zamek ten w miejscu wdzięcznym położony,

... że niebo

Zaczęliśmy grać w piłkę nożną. Oni oboje ciągle grali. Dlatego trawa była taka zdeptana. Kathleen spędzała prawie całe dni na czytaniu. Powiedziała, aby zrozumieć, o czym jej mąż rozprawia, musi odrobić zaległości w Jamesie, Prouście, Edith Wharton, Marksie, Freudzie, i tak dalej.

– Muszę się awanturować, żeby wyszła na chwilę i pograła w piłkę – oznajmił Humboldt.

Bardzo dobrze podała – mocne, dokładne uderzenie, piłka szła spiralą. Jej głos płynął za nią, kiedy biegła gołonoga, łapiąc piłkę i przyciskając ją do piersi. Piłka w locie kiwała się jak ogon kaczki. Przeleciała pod klonami, nad sznurem na bieliznę. Po jeździe w zamkniętym samochodzie, ubrany na spotkanie z profesorem, grałem bardzo chętnie. Humboldt biegł ciężko, nierówno. Oboje mieli na sobie swetry i wyglądali jak nowy narybek w baseballu – wysocy, jasnowłosi, w ochraniaczach. Humboldt powiedział:

– Spójrz na Charliego, skacze jak Niżyński.

Byłem w takim stopniu Niżyńskim, w jakim jego dom był zamkiem Makbeta. Droga łącząca dwie główne szosy wdarła się w małe wzgórze, na którym stał jego domek, i domek już się trochę przechylał. Niedługo będą musieli go podstemplować. Albo procesować się z administracją okręgu, powiedział Humboldt. Był gotów procesować się ze wszystkimi. Sąsiedzi hodowali drób na tej slumsowatej ziemi. Łopian, osty, karłowate dęby, wełnianka, kredowe doły i białawe kałuże wszędzie. Wszystko tu było spauperyzowane. Nawet krzaki miały taki wygląd, jakby je utrzymywała opieka społeczna. Po drugiej stronie drogi kury gdakały gardłowo – ich głosy mogły być głosami kobiet, imigrantek – a małe drzewa, dęby, sumaki były upośledzone, zakurzone, wyglądały jak sieroty. Woń pokruszonych, rozkładających się liści jesiennych była miła. Powietrze nie miało treści, ale pachniało dobrze. Kiedy słońce zaczęło się chować, krajobraz był jak fotos ze starego filmu na taśmie w kolorze sepia. Zachód. Czerwona smuga rozszerzająca się od strony dalekiej Pensylwanii, owce pobrzękują dzwoneczkami, psy szczekają w brązowych zagrodach. Chicago nauczyło mnie cenić taką skąpą oprawę. W Chicago człowiek staje się koneserem takiego prawie nic. Czystym okiem patrzyłem na ten czysty widok. Uznanie budziła we mnie czerwień sumaku, biel głazów, rdza na chwastach, peruka zieleni na wzgórzu za skrzyżowaniem dróg.

Było to więcej niż uznanie. Było to już przywiązanie. Nawet miłość. Wpływ poety zaważył prawdopodobnie na tym uczuciu, które tak prędko powstało. Nie mam na myśli przywileju uczestnictwa w życiu literackim, chociaż może odegrało to pewną rolę. Nie, wpływ Humboldta tym się wyrażał: jednym z jego tematów było trwałe ludzkie przekonanie, że istniał pierwotny świat, świat-dom, który zaginął. Mówił niekiedy o poezji jako o litościwej Ellis Island, na której tłumy cudzoziemców rozpoczynają swoją naturalizację, a o naszej planecie, jako o porywającej, ale niedostatecznie zhumanizowanej imitacji świata-domu. Mówił o rodzaju ludzkim jako o rozbitkach. Ale kochany, stary, dziwaczny Humboldt, pomyślałem (a ja sam byłem dostatecznie dziwaczny), podjął teraz największe wyzwanie. Potrzebna jest pewność siebie geniusza, żeby jeździć tam i z powrotem między tym skrawkiem ziemi, tym Nigdzie w New Jersey, i światem-domem naszych wspaniałych początków. Czemu ten pomyślony skurwysyn tak sobie wszystko utrudnia? Kupił chyba tę rudę w napadzie szaleństwa. Ale teraz, wybiegając daleko w gąszcz chwastów, żeby schwytać piłkę, która kiwając kaczym ogonem, mknęła w mroku ponad sznurami, byłem szczęśliwy, bardzo szczęśliwy. Pomyślałem: może potrafi tego dokonać. Może kiedy człowiek zabłądzi, powinien jeszcze bardziej zabłądzić; kiedy się jest bardzo spóźnionym na spotkanie, może lepiej jest zwolnić kroku, jak radził jeden z moich ukochanych pisarzy rosyjskich.

Nie miałem racji. To wcale nie było wyzwanie, a on niczego nie usiłował dokonać.

Kiedy zrobiło się za ciemno na granie, weszliśmy do domu. Wnętrze było Greenwich Village przeniesionym na wieś. Umeblowanie pochodziło ze sklepów ze starzyzną, z wyprzedaży rzeczy nie odebranych w dokach, z bazarów dobroczynnych, a dom sprawiał takie wrażenie, jakby stał na fundamencie z książek i papierów. Siedzieliśmy w pokoju mieszkalnym, pijąc ze szklanek po maśle orzechowym. Duża, płowowłosa, mizerna, śliczna jasno-piegowata Kathleen z tym swoim sprężystym biustem uśmiechała się serdecznie, ale przeważnie milczała. Kobiety zdobywają się na cudowne gesty wobec swoich mężów. Kochała króla-poetę i godziła się, żeby ją trzymał uwięzioną na wsi. Pociągała piwo z puszkki. Pokój był niski. Mąż i żona byli wysocy. Siedzieli obok siebie na kanapie, ich cienie nie mieściły się na ścianie. Przelewały się na sufit. Tapeta była różowa – różowością bielizny damskiej albo kremu – w deseń ułożony z różyczek na białej kracie pergoli. Tam, gdzie znajdował się kiedyś wylot rury od piecyka, tkwił azbestowy szpunt w złotej

obwódce. Koty wychodziły przez okno i patrzyły nieruchomo, bez humoru. Humboldt i Kathleen wpuszczali je na zmianę. Trzeba było szarpnąć do góry staroświecki kołek w ramie okiennej. Kathleen przywieriała do szyby, podciągając ramię spodem dłoni i podsuwając okno biustem. Koty wchodziły zjeżone prądami nocy.

Poeta, myśliciel, alkoholik, lekoman, człowiek genialny, ofiara psychozy maniakalno-depresyjnej, przemyślny intrygant, sukces życiowy – kiedyś pisał wiersze wielkiej mądrości i urody, ale czego ostatnio dokonał? Czy wypowiedział wielkie słowa i strofy, które miał w sobie? Nie, nie wypowiedział. Nie napisane wiersze zabijały go. Skrył się w tym miejscu, które czasem wydawało mu się Arkadią, a czasem piekłem. Tutaj słyszał złe słowa, które mówili o nim jego oszczercy – inni pisarze, intelektualiści. Stał się zjadliwy, ale zdawał się nie słyszeć tego, co sam mówi o innych, jak ich oczernia. Obmyślał fantastyczne plany, intrygował. Wyrastał na gigantycznego odludka. A nie urodził się, żeby być odludkiem. Urodził się, żeby prowadzić czynne życie, był zwierzęciem towarzyskim. Jego projekty i zamysły to zdradzały.

W tym okresie pisał peany na cześć Adlai Stevensona. Uważał, że jeśli Adlai pobije Ike'a w listopadowych wyborach, Kultura dojdzie do głosu w Waszyngtonie. Odkąd Ameryka wyrosła na potęgę światową, koniec z filisterstwem.

– Filisterstwo jest skończone i politycznie niebezpieczne – powiedział. – Jeżeli Stevenson dojdzie do władzy, literatura dojdzie do władzy, my, Charlie, dojdziemy do władzy. Stevenson czyta moje wiersze.

– Skąd wiesz?

– Nie mam prawa ci tego powiedzieć, ale jestem z nim w kontakcie. Stevenson zabiera moje ballady w objazd podczas kampanii wyborczej. Rośnie cena intelektualistów w tym kraju. Demokracja zacznie w końcu budować cywilizację w Stanach Zjednoczonych. Dlatego Kathleen i ja wynieśliśmy się z Greenwich Village.

Był teraz posiadaczem. Uważał, że przenosząc się na tę prowincjonalną jałową ziemię, między prostaków, wkracza w główny nurt amerykańskiego życia. A przynajmniej służyło to mu za pretekst. Bo istniały inne powody przeprowadzki – zazdrość, seksualne urojenia. Opowiedział mi kiedyś długą i zawiłą historię. Ojciec Kathleen usiłował mu ją zabrać. Jeszcze przed ich ślubem stary porwał ją i sprzedał jednemu z Rockefellerów.

– Zniknęła pewnego pięknego dnia – oznajmił Humboldt. – Powiedziała, że idzie do francuskiej piekarni i nie było jej prawie rok. Wynająłem prywatnego detektywa, ale możesz sobie wyobrazić, jaką ochronę mają ci Rockefellerowie ze swoimi milionami. Pod Park Avenue biegną ich prywatne tunele.

– Który Rockefeller ją kupił?

– Kupił to właściwe słowo – przyznał Humboldt. – Została sprzedana przez swojego ojca. Nie śmieć się, kiedy przeczytasz w niedzielnych dodatkach do gazet o białym niewolnictwie.

– To się na pewno stało wbrew jej woli?

– Jest bardzo uległa. Sam widzisz, jaka z niej łagodna gołębicą. Stuprocentowe poddanie się woli tego nikczemnego starca. Powiedział: „Idź” i poszła. A może tak naprawdę było to jej życzenie, które ten rajfur ojciec usankcjonował...

Rzecz jasna, masochizm. Należało to do Psychozabaw, które Humboldt studiował pod kierunkiem ich współczesnych mistrzów, zabaw znacznie subtelniejszych i głębszych niż wszelkie opatentowane gry salonowe. W swoim domu wiejskim Humboldt leżał na sofie i czytał Prousta, zastanawiał się nad motywami postępowania Albertyny. Rzadko puszczał Kathleen samą po zakupy. Chował przed nią kluczyki do samochodu i jak indyjską kobietę trzymał ją w pardzie.

Nadal był przystojnym mężczyzną i Kathleen go uwielbiała. Ale jego nękały na wsi paniczne żydowskie strachy. Był człowiekiem Wschodu, a Kathleen była chrześcijańską dziewczyną, więc się bał. Ku-Klux-Klan na pewno spali na jego podwórzu krzyż albo zastrzeli go przez okno, kiedy leżąc na sofie, będzie czytać Prousta i obmyślać plotki. Kathleen mi powiedziała, że zagląda pod maskę buicka w poszukiwaniu bomby. Nie raz i nie dwa Humboldt próbował wymusić ze mnie zwierzenia, że odczuwam podobne lęki w związku z Demmie Vonghel.

Farmer z sąsiedztwa sprzedał mu nie wysuszone kłody drzewa. Kiedy siedzieliśmy po skończonym obiedzie, dymiły na palenisku małego kominka. Na stole przed nami stał obrany do czysta szkielet indyczki. Wino i piwo płynęły wartkim strumieniem. Na stole było jeszcze ciasto kawowe i topniejące lody klonowo-orzechowe. Zza okna płynął ledwie wyczuwalny zapach gnoju, a zbiorniki gazowni wydawały się srebrnymi pociskami artyleryjskimi. Humboldt tłumaczył nam, że Stevenson jest człowiekiem prawdziwej kultury,

pierwszym od czasu Woodrowa Wilsona. Ale Wilson nie dorastał w tym sensie do poziomu Stevensona i Abrahama Lincolna. Lincoln dobrze znał Szekspira i cytował go we wszystkich przełomowych chwilach życia.

... Nie ma od tej pory

Nic szanownego na tym świecie; wszystko

Jest tylko blichtrzem³;

Dunkan spoczywa; dobrze śpi po febrze

Ziemięgo życia⁴.

Takie przeczucia miał Lincoln tuż przed kapitulacją generała Lee. Ludzie z pogranicza nigdy nie bali się poezji. Dopiero wielki Biznes lękający się zniewieściałości, dopiero eunuchoidalne duchowieństwo kapitulujące przed wulgarną męskością uznały religię i sztukę za rzeczy zniewieściałe. Stevenson to rozumiał. Gdyby uwierzyć Humboldtowi (a ja mu nie wierzyłem), Stevenson był arystotelesowym człowiekiem wielkiej duszy. Członkowie jego administracji będą cytowali Yeatsa i Joyce'a. Nowi szefowie Połączonego Sztabu będą biegli w Tucydydesie. Humboldt będzie konsultantem przy układaniu każdego Orędzia do Narodu. Stanie się Goethem nowego rządu i zbuduje Weimar w Waszyngtonie.

– Zastanów się, Charlie, co miałbyś ochotę robić. Może na początek jakaś praca w Bibliotece Kongresu.

Kathleen powiedziała:

– Mamy dobry nocny program. Stary film z Belą Lugosim.

Zorientowała się, że Humboldt jest za bardzo podniecony.

Nie zaśnie tej nocy.

Doskonale. Włączyliśmy telewizję, kanał z filmem grozy. Bela Lugosi był obłąkanym uczonym, który wynalazł syntetyczne ludzkie ciało. Rozsmarował je na sobie, modelując przerażającą maskę, a potem wdzierał się do pokoi pięknych dziewczyn, które krzycząc padały na ziemię bez zmysłów. Kathleen, bajeczniejsza od tych ekranowych uczonych, piękniejsza od tych pięknych dam, siedziała z mglistym, nieobecny półśmiechem na piegowatej twarzy. Kathleen była somnambuliczka. Humboldt otoczył ją pełnią kryzysu Zachodniej Kultury. Zasnęła. Co innego mogła zrobić? Rozumiem te lata snu. Jest to temat dobrze mi znany. A tymczasem Humboldt nie pozwalał nam pójść spać. Wziął pastylkę amitalu, żeby zniwelować działanie benzedryny i wszystko to popił dżinem.

Wyszedłem i spacerowałem na zimnie. Światło padające z domu wypełniało brudy i koleiny, oblewało płataninę chwastów na wzniesieniu drogi. Poszczekujące psy, może lisy, świdrujące ciemność gwiazdy. W oknach podskakiwały zjawy na nocnym programie, doszło do strzelaniny między obłąkanym uczonym i policją, jego laboratorium wyleciało w powietrze, on umierał w płomieniach, a topniejące syntetyczne ciało spływało mu z twarzy.

Demmie na Barrow Street na pewno ogląda ten sam film. Demmie nie cierpiała na bezsenność. Bała się zasnąć i wołała filmy grozy od złych snów. Kiedy nadchodziła pora spania, Demmie zawsze robiła się nerwowa. Oglądaliśmy wiadomości o dziesiątej, wyprowadzaliśmy psa, graliśmy w tryktraka, układaliśmy podwójnego pasjansa. A potem siedzieliśmy w łóżku i patrzyli, jak Lon Chaney rzuca nożem trzymanym między palcami stóp.

Nie zapomniałem, że Humboldt próbował zrobić z siebie opiekuna Demmie, ale nie miałem już o to do niego pretensji. Przy każdym spotkaniu Demmie i Humboldt natychmiast zaczynali mówić o starych filmach i nowych pigułkach. Kiedy dyskutowali namiętnie i uczenie o dexamilu, przestawałem dla nich istnieć.

Ale byłem rad, że tyle ich łączy.

– To wspomniały człowiek – powiedziała Demmie.

A Humboldt powiedział o Demmie:

3 W. Szekspir, *Makbet*, akt II, scena 3.

4 W. Szekspir, *Makbet*, akt III, scena 2, przełożył J. Paszkowski.

– Ta dziewczyna naprawdę zna się na farmakologii. To wyjątkowa dziewczyna. – Ale nie mógł się nie wtrącić, było to ponad jego siły, więc dodał: – Ma kilka kompleksów i lepiej, żeby się ich pozbyła.

– Bzdura. Jakich kompleksów? Była już nieletnią przestępczynią.

– To nie wystarczy – odparł Humboldt. – Jeżeli życie nie jest upajające, jest nudne. Albo się spalamy, albo gnijemy. Stany są krajem romantycznym. Jeżeli ty, Charlie, chcesz być człowiekiem trzeźwym, to tylko dlatego, że twoje dziwactwo każe ci próbować wszystkiego. – Potem zniżył głos i mówił ze wzrokiem wbitym w podłogę. – A co z Kathleen, wygląda na wyuzdaną? Ale pozwoliła, żeby ją ojciec ukraść i sprzedał Rockefellerowi...

– Dalej nie wiem, który to Rockefeller ją kupił.

– Charlie, nie robiłbym w związku z Demmie żadnych planów. Tę dziewczynę czeka jeszcze dużo udręki, przez którą musi przebrnąć.

Wtrącał się w nie swoje sprawy, po prostu się wtrącał. Jednakże wziąłem to sobie do serca. Bo w Demmie było mnóstwo udręki. Łzy niektórych kobiet płyną tak spokojnie jak woda z ogrodowej konewki. Demmie płakała namiętnie, jak może płakać tylko kobieta wierząca w grzech. Kiedy płakała, budziło to nie tylko współczucie; budziło to szacunek dla siły jej ducha.

Przegadaliśmy z Humboldtem pół nocy. Kathleen pożyczyła mi sweter; wiedziała już, że Humboldt będzie spał bardzo mało, i może skorzystała z mojej wizyty, żeby trochę odpocząć – w przewidywaniu całego tygodnia maniackalnej nocy, kiedy nie będzie w domu gościa, który ją zastąpi.

Jako wprowadzenie do tego Wieczoru Rozmowy z Von Humboldtem Fleisherem (bo było to coś w rodzaju recitalu) pragnę przedłożyć zwięzłą tezę historyczną: Przyszła taka chwila (we wczesnych czasach nowożytnych), kiedy życie najwyraźniej straciło umiejętność samodzielnej organizacji. Musiało być organizowane. Intelktualiści uznali, że to ich robota. Od czasów, powiedzmy, Machiavellego do naszych czasów to organizowanie było jednym wielkim, wspaniałym, zwodniczym, bałamutnym, katastrofalnym przedsięwzięciem. Człowiek pokroju Humboldta – natchniony, przenikliwy, znikowany – aż kipiał radością odkrycia, że tym ludzkim przedsięwzięciem, tak imponującym i tak nieskończenie różnorodnym, muszą teraz kierować osoby wyjątkowe. Był osobą wyjątkową, więc tym samym nadawał się na kandydata do objęcia władzy. I czemu by nie? Podszepty zdrowego rozsądku mówiły mu: czemu by nie i wszystko stawało się śmieszne. Póki się śmiejemy, wszystko jest z nami w porządku. W tym czasie ja sam byłem w mniejszym czy większym stopniu kandydatem. Ja też widziałem wielkie możliwości, krajobrazy ideologicznych zwycięstw i osobistego tryumfu.

A teraz słówko o rozmowach z Humboldtem. Jakże naprawdę były te rozmowy z poetą?

Kiedy teraz zaczął, miał minę zrównoważonego myśliciela, ale nie był obrazem zdrowia psychicznego. Sam przepadałem za rozmowami i dopóki mogłem, dotrzymywałem mu kroku. Przez jakiś czas był to koncert na dwa instrumenty, ale wkrótce jego skrzypce i trąbka zagłuszyły mnie i spędziły z estrady. Dowodził, formułował, argumentował, dokonywał odkryć, a jego głos wzmagał się, wiązał w gardle, znowu nabierał siły, pod oczami wystąpiły ciemne plamy. Oczy wydawały się jakby zamazane. Siedział, perorując – bary szerokie, klatka piersiowa potężna, spodnie ściągnięte poniżej brzucha za długim skórzanym paskiem, którego koniec luźno zwisał – i przechodził od stwierdzenia do recytatywu, po recytatywie wybuchał arią, a za nim grała orkiestra zawołanych aluzji, cnót, jego miłości do poezji, czci dla jej wielkich mistrzów, ale też podejrzeń i łajdactwa. Na moich oczach ten człowiek deklamacją i śpiewem to doprowadzał się do obłędu, to znowu przytomniał.

Najpierw mówił o mistrzu sztuki i kultury w pierwszej administracji Stevensona – o swojej roli, o naszej roli, bo będziemy razem kuli żelazo, póki gorące. Zaczął te wywody od oceny Eisenhowera. Eisenhowerowi brak było odwagi w polityce. Pamiętajmy, co pozwolił wygadywać senatorowi Joemu McCarthy'emu i senatorowi Jennerowi na generała Marshalla. Nie miał rozmachu. Ale zabłysnął w organizacji i propagandzie, i nie był głupi. Był z gatunku tych najlepszych oficerów garnizonowych, miły w obejściu, grał w brydża, lubił kobiety, czytał westerny Zane Greya. Jeżeli społeczeństwo chce mieć rząd zrelaksowany, jeżeli zdołało się już pozbierać po Wielkim Kryzysie i chce teraz wakacji od wojny, i czuje się dość silne, żeby się obejść bez ludzi Nowego Ładu, i dość bogate, żeby sobie pozwolić na niewdzięczność, będzie głosowało na Ike'a, bo on jest tego rodzaju księciem, jakiego można sobie zamówić w katalogu firmy wysyłkowej Sears Roebuck. Może społeczeństwo ma już dość wielkich osobowości w rodzaju FDR i ludzi energicznych jak Truman. Ale on, Humboldt, nie chce nie doceniać Ameryki. Stevenson może zwyciężyć. Przekonamy się, jakie będzie miejsce sztuki w społeczeństwie liberalnym, czy da się ją pogodzić z postępem społecznym. Ale tymczasem,

wspomniałszy przez chwilę Roosevelta, Humboldt dał do zrozumienia, że Roosevelt mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią Bronsona Cuttinga. Samolot rozbił się, kiedy senator Cutting leciał ze swojego stanu po przeliczeniu głosów. Jak to się stało? Może J. Edgar Hoover maczał w tym palce. Hoover trzymał się przy władzy, bo odwał brudną robotę za prezydentów. Pamiętajmy, jak wykończył Burtona K. Wheelera z Montany. Następnie Humboldt zajął się życiem seksualnym Roosevelta. Z Roosevelta i J. Edgara Hoovera przerzucił się na Lenina i Dzierżyńskiego z GPU. Potem cofnął się do Sejana i początków tajnej policji Cesarstwa Rzymskiego. Z kolei mówił o teoriach literackich Trockiego i o tym, jak ogromny ciężar w bagażu Rewolucji stanowi wielka sztuka. A potem znów wrócił do Ike'a i mówił o życiu zawodowych oficerów w czasie pokoju lat trzydziestych. Pijaństwo wśród wojskowych. Churchill i butelka. Poufne zarządzenia dla ochrony ludzi wielkich przed skandalem. Środki bezpieczeństwa w męskich burdelach Nowego Jorku. Alkoholizm i homoseksualizm. Małżeńskie i rodzinne życie pederastów. Proust i Charlus. Zboczenia w armii niemieckiej przed 1914. Późną nocą Humboldt czytywał historię wojskowości i pamiętniki wojenne. Znał Wheeler-Benneta, Chestera Wilmota, Liddella Harta, generałów Hitlera. Czytał też Waltera Winchella, Earla Wilsona, Leonarda Lyonsa i Reda Smitha, i z największą łatwością przeskakiwał z pisemek brukowych na generała Rommela, a z Rommela na Johna Donne'a i T. S. Eliota. Znał dziwaczne fakty dotyczące Eliota, o których nikt inny nawet nie słyszał. Był pełen plotek i halucynacji, jak również teorii literackich. Zniekształcenie – o tak! – tkwi nieodłącznie w każdej poezji. Ale co jest pierwsze? I to wszystko sypało się na mnie – częściowo przywilej, częściowo cierpienie – wraz z ilustracjami z dzieł klasyków i powiedzonkami Einsteina czy Zsy Zsy Gabor, wzmiankami o polskim socjalizmie, o piłkarskiej metodzie George'a Hałasa, o ukrytych motywach Arnoldda Toynbee'ego oraz (z niewiadomych powodów) o handlu używanymi samochodami. Młodzi bogaci, młodzi biedni, młodzi Żydki, młodzi goje, girlsy, prostytutka i religia, stare pieniądze, nowe pieniądze, kluby angielskie, Back Bay, Newport, Washington Square, Henry Adams, Henry James, Henry Ford, św. Jan od Krzyża, Dante, Ezra Pound, Dostojewski, Marylin Monroe i Joe DiMaggio, Gertruda Stein i Alicja, Freud i Ferenczi. Przy Ferenczim zawsze rzucał tę samą uwagę: nic nie jest dalsze od instynktu niż racjonalizm i dlatego, zgodnie z Ferenczim, racjonalizm jest szczytem obłądzenia. Za dowód może służyć późniejszy obłąd Newtona! I w tym punkcie Humboldt najczęściej zaczynał mówić o Antoninie Artaud. Artaud, dramaturg, zaprosił śmietankę intelektualną Paryża na wykład. Kiedy się wszyscy zebrali, nie było żadnego wykładu. Artaud wyszedł na scenę i ryknął na nich jak dzika bestia.

– Otworzył usta i ryczał – powiedział Humboldt. – Nic, tylko dzikie ryki. A tymczasem ci paryscy intelektualiści siedzieli wystraszeni. Dla nich było to zachwycające przeżycie. A dlaczego? Artaud jako artysta był niedoszłym duchownym. Niedoszli duchowni specjalizują się w bluźnierstwie. Bluźnierstwa są wymierzone przeciwko społeczności wiernych. W tym przypadku, jaka to jest wiara? Wiara tylko w intelekt, któremu taki Ferenczi zarzuca obłąkanie. Ale co to znaczy w sensie ogólniejszym? Znaczący to, że jedyną sztuką, jaką mogą się interesować intelektualiści, to sztuka sławiąca prymat idei. Artyści muszą zainteresować intelektualistów, tę nową klasę. I właśnie dlatego stan kultury i historia kultury stały się tematem sztuki. Dlatego wyrafinowane audytorium francuskie przysłuchuje się z szacunkiem wrzaskom Artauda. Według nich, jedyny cel sztuki to sugerowanie i inspirowanie idei i refleksji. Wykształcenie ludzi w nowoczesnych krajach są myślącym motłochem na etapie tego, co Marks nazywał akumulacją pierwotną. Ich zadanie to sprowadzić arcydzieła do refleksji. Wrzask Artuada jest faktem intelektualnym. Po pierwsze, jest atakiem na dziewiętnastowieczną „religię sztuki”, którą religia refleksji chce zastąpić...

– Więc sam widzisz, Charlie – rzekł Humboldt, powiedziawszy jeszcze dużo więcej w tym sensie – jakie to ważne dla administracji Stevensona, żeby ich doradcą kulturalnym był ktoś, kto jak ja rozumie te światowe procesy. Do pewnego stopnia.

Nad nami Kathleen kładła się do łóżka. Nasz sufit był jej podłogą. Deski nie były niczym wyłożone i słyszałem każdy ruch. Prawdę mówiąc, zazdrościłem jej. Trząsałem się z zimna i chętnie wlaźby pod koldrę. Ale Humboldt mówił mi właśnie, że jesteśmy tylko piętnaście minut od Trenton i dwie godziny jazdy pociągiem od Waszyngtonu. W każdej chwili może tam podskoczyć. Zwierzył mi się, że Stevenson jest już z nim w kontakcie i niedługo ma się odbyć spotkanie. Poprosił mnie, żeby mu pomógł przygotować materiały do tej konferencji i omawialiśmy to do trzeciej nad ranem. W końcu poszedłem do mojego pokoju, a kiedy odchodziłem, Humboldt nalewał sobie ostatnią szklanekę dzinu.

Nazajutrz rano był wciąż w doskonałej formie. Wirowało mi w głowie od samego przysłuchiwania się tylu subtelnym analizom i od historii świata wylewanej na mnie przy śniadaniu w tak ogromnych ilościach. On w ogóle nie spał tej nocy.

Dla uspokojenia poszedł pobiegać. Walił niechlujnie obutymi stopami w żwir. W chmurze pyłu po pas, z rękami przyciśniętymi do piersi, wybiegł na drogę. Zdawał się w niej zapadać, kiedy tak biegł pod sumakami i karłowatą dębina, szpalerem szorstkiej trawy, ostów, mlecza, mniszka. Kiedy wrócił, miał spodnie oblepione

rzepem. Na takie biegi też miał odpowiedni tekst. Kiedy Jonathan Swift był sekretarzem sir Williama Tempie[^], robił codziennie wielomilowe biegi, żeby się wyładować. Myśli zbyt intensywne, emocje zbyt głębokie, mroczna potrzeba ekspresji? Można w biegu odwalić kawałek roboty. A poza tym wypocić z siebie dżin.

Wziął mnie na przechadzkę, koty szły z nami po zeschniętych liściach i zaroślach. Ćwiczyły się w spadaniu na zdobycz. Atakowały pajęczynę rozpiętą tuż nad ziemią. Z ogonami jak pałki skakały na drzewa i ostrzyły sobie pazury. Poranne powietrze było przepojone czymś bardzo miłym. Wróciliśmy i Humboldt ogolił się, a następnie pojechaliśmy złowieszczym buickiem do Princeton.

Posadę miałem już w kieszeni. Spotkaliśmy się z Sewellem na lunchu – mamroczący pod nosem, wrażliwy, podпиты, ospały człowiek o pustej twarzy. Miał mi niewiele do powiedzenia. We francuskiej restauracji plotkował z Humboldtem o Nowym Jorku i Cambridge. Sewell, kosmopolita, jakich mało (we własnym mniemaniu), nigdy nie wyjeżdżał za granicę. Humboldt też nie znał Europy.

– Jeżeli chcesz pojechać, przyjacielu – rzekł Sewell – da się to załatwić.

– Nie bardzo mam ochotę – odparł Humboldt. Bał się, że go porwą eks-naziści albo agenci GPU.

Odprowadzając mnie na pociąg, Humboldt powiedział:

– Mówiłem ci, że to spotkanie to czysta formalność. Znamy się od lat i pisaliśmy o sobie nawzajem, Sewell i ja. Ale nie ma między nami ani cienia urazy. Swoją drogą jestem ciekaw, dlaczego Damaszek interesuje się Henrym Jamesem. No cóż, Charlie, czeka nas wesoły okres. I wiem, że będę mógł na ciebie liczyć, gdybym musiał pojechać do Waszyngtonu.

– Damaszek! – wybuchnąłem. – Będzie Szejkiem Apatii między tymi Arabami.

Błady Humboldt otworzył usta. Spoza drobnych zębów wydobył się jego prawie niemy śmiech.

W owym czasie byłem terminatorem i statystą, i Sewell tak też mnie potraktował. Zobaczył we mnie, sędzę, młodego człowieka bez specjalnego charakteru, dość nawet przystojnego, ale z pewną ospałością na twarzy, o dużych sennych oczach, trochę przyciężkiego i niezbyt entuzjastycznie (to mi zdradziło jego spojrzenie) odnoszącego się do cudzych przedsięwzięć. Byłem zły, że nie raczył mnie docenić. Ale tego rodzaju gniew dodaje mi zawsze energii. Jeżeli później udało mi się zdobyć u ludzi tak ogromny kredyt, to dlatego, że robiłem dobry użytek z tych afrontów. Mściłem się, robiąc karierę. A więc zawdzięczałem Sewellowi sporo i było to z mojej strony niewdzięcznością, kiedy w wiele lat później, przeczytawszy o jego śmierci, powiedziałem między jednym a drugim łykiem whisky to, co czasem mówię w takich chwilach, że śmierć jest dobra dla niektórych ludzi. Przypomniał mi się wtedy dowcip, którym poczęstowałem Humboldta w drodze do Princeton Dinkey, skąd miałem połączenie do stacji węzłowej. Ludzie umierają i zjadliwe rzeczy, które o nich mówiłem, wracają jak na skrzydłach i przyczepiają się do mnie. Co z tą apatią? Paweł z Tarsu zbudził się w drodze do Damaszku, ale Sewell z Princeton będzie tam spał jeszcze mocniej. Taki był sens moich niegodziwych słów. Przyznaję, jest mi teraz przykro, że powiedziałem taką rzecz. Na temat tej rozmowy dodam jeszcze, że nie powinienem się zgodzić, żeby Demmie Vonghel wyprawiła mnie z domu ubranego w garnitur marengo, w koszulę z kołnierzykiem o rożkach przypiętych guzikami, z dzianym krawatem koloru kasztanowatego i w takichże butach z kurdybanu – princetończyka jak z puszki.

W każdym razie niedługo po tym, jak w Chicago przeczytałem w „Daily News” nekrolog Sewella, opierając się o blat w kuchni, ze szklanką whisky i kanapką ze śledziem marynowanym, o godzinie czwartej po południu, Humboldt, który nie żył już od pięciu czy sześciu lat ponownie wkroczył w moje życie. Przyszedł z lewego pola. Nie mogę powiedzieć dokładniej, kiedy się to działo. Wtedy czas zaczynał mnie coraz mniej obchodzić, co było objawem mojego zaabsorbowania donioślejszymi sprawami.

* * *

A teraz do terażniejszości. Inna strona życia – najzupełniej współczesna.

Któregoś grudniowego dnia w Chicago, nie tak dawno według kalendarza, wyszedłem rano z domu, żeby się spotkać z Murra, moim doradcą podatkowym, i stanąwszy na ulicy, zobaczyłem, że ktoś w nocy zaatakował mojego mercedesa-benza. Nie chcę przez to powiedzieć, że jakiś nieuważny czy pijany kierowca poobijał go i podrapał, a potem uciekł, nie zostawivszy kartki pod wycieraczką. Chcę powiedzieć, że grzmocono w mój samochód chyba kijami od baseballu. Ta elitarna maszyna, już nie nowa, ale trzy lata wcześniej warta osiemnaście tysięcy dolarów, została pogruhotana z okrucieństwem trudnym do pojęcia – trudnym do pojęcia nawet w sensie estetycznym, bo sportowe mercedesy są piękne, zwłaszcza te w srebrnoszarym kolorze. Mój drogi przyjaciel, George Swibel, powiedział nawet kiedyś, z odrobiną gorzkiego podziwu:

– Mordować Żydów i produkować samochody, oto, co ci Niemcy potrafią naprawdę robić.

Atak na mój samochód był dla mnie bolesny również w sensie socjologicznym, bo zawsze twierdziłem, że znam swoje Chicago, i byłem przekonany, że chuligani też mają szacunek dla pięknych wozów. Niedawno znaleziono samochód zatopiony w lagunie Washington Park i w bagażniku mężczyznę, który usiłował wyłamać się ze środka za pomocą narzędzi do zdejmowania kół. Najwyraźniej padł ofiarą bandytów, którzy obrabowali go i postanowili utopić – pozbyć się świadka. Ale jak sobie przypominam, pomyślałem wtedy, że jego samochód był tylko chevroletem. Nigdy by tak nie potraktowali mercedesa 280-SL. Powiedziałem mojej przyjaciółce, Renacie, że mogą mnie dźgnąć nożem albo zdeptać na peronie Illinois Central, ale że mojemu samochodowi nikt nigdy nie zrobi krzywdy.

A więc tego dnia rano skończyłem się jako wielkomiejski psycholog. Zrozumiałem natychmiast, że to nie była żadna psychologia, tylko chępliwość albo coś w rodzaju magii ochronnej. Widziałem, że w dużym mieście amerykańskim potrzebny jest gruby, solidny amortyzator, krytyczna masa obojętności. Teorie też są bardzo przydatne w budowaniu takiej ochronnej materii. Chodziło w każdym razie o to, żeby odwracać niebezpieczeństwa. Ale to inferno głupców dogoniło mnie teraz. Mój elegancki samochód, moja lśniąca srebrna motorowa sosjerka, której w ogóle nie miałem prawa kupować – człowiek mojego rodzaju, nawet nie dość zrównoważony, żeby prowadzić taki klejnot – została okaleczona. Wszystko! Delikatny dach z przesuwaną płytą, błotniki, maska, bagażnik, drzwi, zamek, reflektory, wytworny elegancki znak firmowy na chłodnicy – wszystko było zmiażdżone, strzaskane. Nietłukące szyby wytrzymały, ale były chyba całe oplute. Szybę przednią pokrywały białe kwiaty pęknięć. Doznał czegoś w rodzaju krystalicznego, wewnętrznego krwotoku. Ogarnięty zgrozą o mało się nie rozpląkałem. Miałem wrażenie, że mdleję.

Ktoś zrobił z moim samochodem to, co podobno robią szczury, kiedy tysiącnymi chmarami przebiegają pomieszczenia składów i rozdzierają worki z mąką – dla czystej frajdy. Czułem takie samo rozdarcie w sercu. Mercedes należał do epoki, kiedy mój roczny dochód przewyższał sto tysięcy dolarów. Taki dochód zwrócił naturalnie uwagę władz podatkowych, które teraz sprawdzały wszystkie wpływy, rokrocznie. Wszedłem dzisiaj rano, żeby się spotkać z Williamem Murra, tym świetnie ubranym, znakomitym, gładkim ekspertem, dyplomowanym księgowym, który bronił mnie w dwóch sprawach z rządem federalnym. Chociaż mój dochód spadł teraz do poziomu najniższego w ciągu wielu lat, dalej mnie ścigali.

Tak naprawdę kupiłem mercedesa 280-SL przez moją przyjaciółkę Renatę. Na widok małego dodge'a, którym jeździłem, kiedyśmy się poznali, zawołała:

– Jak człowiek sławny może jeździć takim samochodem? To chyba pomyłka.

Usiłowałem jej wytłumaczyć, że za łatwo ulegam wpływom ludzi i rzeczy, żeby kupować samochód za osiemnaście tysięcy dolarów. Trzeba się podciągnąć do poziomu takiej wspaniałej maszyny i w rezultacie nie jest się sobą, kiedy się go prowadzi. Ale Renata puściła to mimo uszu. Powiedziała, że nie potrafię wydawać pieniędzy, że się zaniedbuję, że cofam się przed możliwościami, jakie dał mi sukces, i że się go boję. Z zawodu była dekoratorką wnętrz, więc styl i ostentacja były u niej czymś naturalnym. Nagle pojąłem. Ogarnął mnie nastrój, który nazywam nastrojem Antoniusza i Kleopatry. Niech Tyber Rzym połknie⁵. Niech świat wie, że taka dobrana para może krążyć po Chicago w srebrnym mercedesie, którego silnik cyka jak mechaniczne stonogi zrobione ręką czarodzieja i delikatniej niż szwajcarski Accutron – nie, niż Audemars Piguet na wysadzanych drogimi kamieniami skrzydłach peruwiańskiego motyla! Innymi słowy pozwoliłem, żeby samochód stał się przedłużeniem mojego ja (od strony szaleństwa i próżności), więc w rezultacie atak na samochód był atakiem na mnie. Była to chwila przerażająco płodna w reakcje.

Jak mogło się coś takiego zdarzyć na ulicy? Hałas z pewnością był głośniejszy niż przy spawaniu. Naturalnie nauka nie poszła na marne i we wszystkich miastach świata jest teraz stosowana taktyka partyzantów z dżungli. Bomby wybuchają w Mediolanie i Londynie. Ale przecież mieszkam w spokojnej dzielnicy Chicago. Zaparkowałem samochód za rogiem mojego wysokościorca, w wąskiej bocznej uliczce. Czy portier mógł nie usłyszeć takiego łomotu w środku nocy? Nie, kiedy dzieje się coś niepokojącego, ludzie z zasady się chowają. Na odgłos strzału mówią: „Rura wydechowa”. A nocny portier zamyka drzwi o pierwszej i myje podłogi. Przebiera się w piwnicy w szary drelich nasiąknięty potem. Kiedy wchodzę do holu późno w nocy, czuję woń proszku mydlanego i mdlący odór jego ubrania (jak zgniłe gruszki). Nie, przestępcy, którzy pogruchotali mój samochód, nie mieli trudności z nocnym portierem. Ani z policją. Zaledwie radiowóz przejechał – wiedzieli, że wróci nie wcześniej niż za piętnaście minut – wypadli z ukrycia i rzucili się na mój samochód z kijami do baseballu, pałkami czy młotkami.

Wiedziałem, kto był sprawcą. Ostrzegano mnie wielokrotnie. Późno w nocy raz po raz odzywał się telefon. Potykając się i usiłując oprzytomnieć, podnosiłem słuchawkę i zanim zdążyłem ją przyłożyć do ucha, słyszałem wrzask:

– Citrine! Ty! Citrine!

– Tak! Tak, mówi Citrine! Słucham?

– Ty skurwysynu. Zapłać mi. Co ty ze mną wyprawiasz?

– J a z panem?

– Ze mną, gnojku! Ten czek, którego wypłatę wstrzymałeś, był na mnie. Odblokuj go, Citrine. Odblokuj ten zasrany czek. Nie zmuszaj mnie, żebym coś zrobił.

– Spałem mocno...

– Ja nie śpię... niby dlaczego ty byś miał spać?

– Próbuję się rozbudzić, panie...

– Żadnych nazwisk! Mówimy tylko o anulowanym czeku. Żadnych nazwisk! Czteryście pięćdziesiąt dolarów. To jedyny temat naszej rozmowy.

Nocne pogróżki gangstera kierowane do mnie – właśnie do mnie, istoty szczególnej i w moim przekonaniu prawie komicznie niewinnej – pobudziły mnie do śmiechu. Ludzie często krytykują sposób, w jaki się śmieje. Osoby życzliwe mój śmiech bawi. Innym wydaje się obraźliwy.

– Przestań się śmiać – zażądał mój nocny rozmówca. – Dość tego. To nie brzmi normalnie. Tak czy siak, co ci się, do cholery, zdaje... że z kogo się śmiejesz? Słuchaj, Citrine, przegrałeś do mnie te pieniądze w pokera. Powiesz, że to było rodzinne spotkanie albo że byłeś pijany, ale to bzdury. Wziąłem twój czek i nie pozwolę pluć sobie w gębę.

– Wie pan, dlaczego wstrzymałem wypłatę tego czeku. Oszukiwał pan, tak samo pański kumpel.

– A widziałeś?

– Gospodarz widział. George Swiebel przysięga, że dawaliście sobie znaki.

– To dlaczego ten dumny kutas nic nie powiedział? Powinien nas wyrzucić.

– Może się bał.

– Kto, ten maniak na punkcie zdrowia, ten z rumianą gębą? Przecież wygląda jak byk, po tych pięćmiłowych biegach i po tych witaminach, które widziałem na półce w jego łazience. Do gry siadło siedem czy osiem osób. Mogli nas wyrzucić. Niezły tchórz z tego twojego przyjaciela.

– Och, to nie był udany wieczór. Wypiłem za dużo, chociaż mi pan nie wierzy. Nikt nie zachowywał się racjonalnie. Nikt nie był sobą. Bądźmy rozsądni.

– Co takiego? Mam się dowiadywać w banku, że wstrzymałeś płatność, co jest nie lepsze od kopniaka w tyłek, a potem mam być rozsądny? Za co ty mnie bierzesz, za szmatę? To był błąd, cała ta rozmowa o wykształceniu i szkołach. Widziałem, jak na mnie spojrzaleś, kiedy wymieniłem nazwę mojego trzeciorzędnego college'u.

– Co szkoły mają z tym wspólnego?

– Nie rozumiesz, coś ty mi zrobił? Napisałeś te wszystkie książki. Jesteś w *Who is Who*. Ale nic nie rozumiesz, ty głupi śmierdzielu.

– O drugiej nad ranem trudno mi jest zrozumieć cokolwiek. Nie moglibyśmy się spotkać w dzień, kiedy jestem przytomny?

– Nie będzie więcej rozmów. Gadanie skończone.

Ale mówił to wiele razy. Miałem chyba dziesięć takich telefonów od Rinalda Cantabilego. Zmarły Von Humboldt Fleisher też używał dramatycznych rekwizytów nocy, żeby niepokoić i znęcać się nad ludźmi.

George Swiebel kazał mi anulować czek. Moja przyjaźń z George'em sięga pierwszych klas szkoły, a tacy przyjaciele są dla mnie świętością. Ostrzegano mnie częstokroć przed tą straszliwą słabością czy zależnością od

wczesnych powiązań. George, kiedyś aktor, rzucił przed laty scenę i został przedsiębiorcą budowlanym. Atletyczny mężczyzna o rumianej twarzy. Nie można powiedzieć, żeby cokolwiek było stonowane w jego zachowaniu, ubraniu, w jego stylu bycia. Od lat był moim samozwańczym ekspertem od świata podziemnego. Dostarczał mi informacji o przestępcach, prostytutkach, wyścigach, o wymuszaniu, narkotykach, polityce i operacjach mafii. Pracował przed laty w radio, telewizji, prasie, więc też jego znajomości były niezwykle szerokie, od „śmierdzących do czystych”, jak sam to określał. Ja znajdowałem się gdzieś wysoko między czystymi. Sam nie wysuwam żadnych takich roszczeń. Wyjaśniam tylko, jak George mnie oceniał.

– Przegrałeś te pieniądze przy moim stole kuchennym i teraz lepiej słuchaj – rzekł. – Ci śmierdziele oszukiwali.

– To trzeba ich było przywołać do porządku. Cantabile ma swoją rację.

– Cantabile nic nie ma i nikim nie jest. Jakby ci był winien trzydzieści dolarów, musiałbyś się za nim dobrze naganiać, zanimby ci oddał. Poza tym był naszpikowany narkotykami.

– Nie zauważyłem.

– Niczego nie zauważyłeś. Ze dwanaście razy dawałem ci znaki.

– Nie widziałem. Nie pamiętam...

– Ani przez chwilę nie przestawał cię obrabiać. Podpuszczał cię. Palił marihuanę. Mówił o sztuce i kulturze, o psychologii i Klubie Książki Miesiąca i przechwalał się swoją wykształconą żoną. Wchodziłeś na każdą kartę, jaką dostałeś. I jeżeli cię prosiłem kiedykolwiek, żebyś nie poruszał jakiegoś tematu, dyskutowałeś o nim z największą swobodą.

– George, te jego nocne telefony zaczynają mi działać na nerwy. Zapłacę mu. Czemu nie? Wszystkim płacę. Muszę się uwolnić od tego łajdaka.

– Żadnego płacenia. – W swojej praktyce aktorskiej George nauczył się natężyć głos do teatralnego krzyku, rzucać wściekłe spojrzenia, robić miny człowieka wstrząśniętego i wywoływać wstrząsające wrażenie. Teraz wrzasnął na mnie: – Radzę, żebyś mnie słuchał, Charlie!

– Kiedy mam do czynienia z gangsterem.

– Nie ma już ani jednego Cantabilego w mafii. Wszystkich wyrzucono przed iluś tam laty. Mówiłem ci...

– W takim razie jest pierwszorzędnym imitatorem. O drugiej w nocy dałbym głowę, że to gangster.

– Obejrzał *Ojca chrzestnego* albo inny jakiś taki film i zapuścił makaroniarskie wąsy. To tylko gadatliwy szczeniakowaty mętlniak z marginesu. Nie powinienem był wpuszczać ich do domu, jego i tego kuzyna. A teraz zapomnij o tym. Bawili się w gangsterów i oszukiwali. Próbowałem ci przeszkodzić, jak wtedy dawałeś mu czek. Potem kazałem ci wstrzymać wypłatę. Nie pozwolę ci ustąpić. Zresztą, możesz mi wierzyć na słowo, że jest już po sprawie.

Wobec tego uległem. Nie mogłem kwestionować opinii George'a. A teraz Cantabile pogruchotał mi samochód. Kiedy zobaczyłem, co zrobił, krew odpłynęła mi z serca. Zatoczyłem się i oparłem plecami o ścianę. Wyszedłem jednego wieczoru, żeby pohulać w wulgarnym towarzystwie, i wpadłem w psychopatyczne infemo.

Wulgarne towarzystwo nie było moim wyrażeniem. Usłyszałem w tym momencie głos mojej byłej żony. To Denise używała określeń w rodzaju „gmin” i „wulgarne towarzystwo”. Los mojego biednego mercedesa dałby jej ogromną satysfakcję. Było to coś w rodzaju wojny, a Denise miała bardzo wojowniczą osobowość. Denise nie cierpiała Renaty, mojej przyjaciółki. Słusznie identyfikowała Renatę z tym samochodem. I nienawidziła George'a Swiebla. Natomiast George miał do Denise stosunek złożony. Powiedział, że Denise jest bardzo piękna, ale nie całkiem człowiecza. I na pewno ogromne, gwiazdzone, ametystowe oczy Denise w połączeniu z niskim czołem i jej ostre sybillińskie zęby przemawiały za taką interpretacją. Jest zachwycająca i potwornie zawzięta. Prozaiczny George ma swoje własne mity, zwłaszcza w odniesieniu do kobiet. Ma poglądy jungowskie, które wypowiada w prostacki sposób. Jest pełen szlachetnych uczuć, a to go frustruje, bo poruszają mu serce i wtedy zaczyna ordynarnie szarżować. Tak czy inaczej, Denise śmiała się radośnie na widok zrujnowanego samochodu. A ja? Mogłoby się zdawać, że po rozwodzie uniknę tego małżeńskiego „A nie mówiłam”. No i proszę, sam to robiłem.

Bo Denise bez ustanku mówiła do mnie o mnie:

– Po prostu nie mogę uwierzyć, że jesteś, jaki jesteś – mówiła. – Człowiek obdarzony taką cudowną intuicją, autor wszystkich tych książek, szanowany przez uczonych i intelektualistów na całym świecie. Czasem zadaję sobie pytanie: „Czy to jest mój mąż? Człowiek, którego znam?” Wykładałaś na wielkich europejskich uniwersytetach i miałaś stypendia, tytuły naukowe, zaszczyty. De Gaulle zrobił cię kawalerem Legii Honorowej, a Kennedy zaprosił nas oboje do Białego Domu. Twoja sztuka szła z powodzeniem na Broadwayu. I co ty, do cholery, wyprawiasz? Chicago! Wałęsasz się ze starymi koleżkami z chicagowskiej szkoły, z podejrzanymi typami. To jest coś w rodzaju psychicznego samobójstwa, pragnienie śmierci. Nie chcesz przestawać z naprawdę interesującymi ludźmi, z architektami, psychiatrami, profesorami uniwersytetu. Kiedyś się uparł, żeby tu wrócić, próbowałam stworzyć ci odpowiednie życie. Nie szczeniłam się. Za nic nie chciałaś Londynu czy Paryża, czy Nowego Jorku, musiałaś wrócić do tego... tego morderczego, ohydneho, wulgarnego, niebezpiecznego miasta. Bo w głębi serca jesteś dzieckiem ze slumsów. Sercem jesteś ciągle w rynsztokach West Side. Traciłam zdrowie, urządzając przyjęcia dla twoich gości...

We wszystkim tym były całkiem spore ziarna prawdy. Moja matka powiedziałaaby o Denise: *Edel, gebildet, gelassen*, bo Denise była osobą z wyższych sfer. Wychowała się w Highland Park. Studiowała w Vassar College. Jej ojciec, sędzia federalny, też wyrósł w rynsztokach chicagowskiej West Side. Jego ojciec był komendantem komisariatu i służył pod Morrisem Ellereem w burzliwych dniach Dużego Billa Thompsona. Matka Denise wzięła sobie sędziego, kiedy był młodym chłopcem, za ledwie synem skorumpowanego polityka, i sprowadziła go na dobrą drogę i wyleczyła z wulgarności. Denise spodziewała się, że zrobi to samo ze mną. Ale dziwna rzecz, dziedzictwo po ojcu było silniejsze od tego, co odziedziczyła po matce. W dni, kiedy się zachowywała opryskliwie i szorstko, w jej wysokim, pełnym napięcia głosie słychać było starego policjanta i łapówkarza, jej dziadka. I może to pochodzenie sprawiło, że nie znosiła George'a.

– Nie przyprowadzaj go do domu – ostrzegęła. – Nie chcę widzieć jego tyłka na mojej kanapie i jego nóg na moim dywanie. – Dodała: – Jesteś jak jeden z tych przerasowanych koni, którym trzeba wprowadzać do stajni kozła, bo to im uspokaja nerwy. George Swibel jest twoim kozłem.

– To mój bliski przyjaciel. I bardzo dawny przyjaciel.

– Twoja słabość do kolegów szkolnych jest wprost nie do uwierzenia. Masz typową *nostalgie de la boue*. Czy chodźcie razem na kurwy?

Usiłowałam odpowiedzieć jej z godnością. Ale w rzeczy samej pragnąłem, żeby konflikt narastał i prowokowałem Denise. Któregoś dnia, kiedy służąca miała wychodne, przyprowadziłem George'a na obiad. Wychodne służącej stawały się dla Denise najwyższą udręką. Praca w domu była dla niej czymś nieznośnym. Gotowanie zabijało ją. Chciała pójść do restauracji, ale powiedziałem, że nie mam ochoty jeść na mieście. Wobec tego o szóstej wymieszała pośpiesznie mielone mięso z pomidorami, czarną fasolą i chili. Powiedziałem do George'a:

– Zjedz z nami dziś wieczór *chili con carne*. Otworzymy kilka butelek piwa.

Denise dała mi znak, żebym poszedł z nią do kuchni. Powiedziała:

– Wypraszam to sobie. – Była wojownicza i zawzięta. Głos miała czysty, trochę drżący i doskonale wyraźny – wzmagające się *arpeggio* hysterii.

– Och, daj spokój, Denise, przecież on cię słyszy. – Zniżyłem głos: – Niech George zje z nami trochę *chili con carne*.

– Nie starczy. Mam ćwierć kilo mielonego mięsa. Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że mu nie podam.

Roześmiałem się. Częściowo z zażenowania. Normalnie mam niski baryton – prawie *basso profundo*, ale w momentach pewnych prowokacji głos ucieka mi w wyższe rejestry, może w skalę nietoperzy.

– Ależ ty skrzeczysz – powiedziała Denise. – Zdradzasz się tym śmiechem. Urodziłeś się w szopie na węgiel i wychowałeś między jarmarcznymi papugami.

Jej ogromne fiołkowe oczy patrzyły na mnie nieustępliwie.

– Dobrze – powiedziałem. Wziąłem George'a do baru. Jedliśmy szaszłyki, buchające na półmisku płomieniami, przynoszone przez Maurów w turbanach.

– Nie chcę się mieszać do twojego małżeństwa, ale zauważyłem, że przestałaś oddychać – oznajmił George.

George uważa, że ma prawo przemawiać w imieniu natury. Kieruje nim natura, instynkt, serce. Jest biocentryczny. Kiedy się go obserwuje, jak naciera sobie oliwą potężne mięśnie ramion i piersi, swój rzymski

tors Ben Hura, jest to lekcja nabożnego, szacunku dla organizmu. Na zakończenie pociąga duży łyk z butelki. Oliwa to słońce, to starożytne Morze Śródziemne. Nie ma rzeczy lepszej na kiszki, na włosy, na skórę. George darzy swoje ciało boską czcią. Jest kapłanem wnętrza swojego nosa, gałek ocznych, stóp.

– Przy tej kobiecie masz za mało powietrza. Wyglądasz, jakbyś się dusił. Twoje tkanki nie mają dość tlenu. Rozchorujesz się przez nią na raka.

– Och – odparłem. – Denise pewnie sobie wyobraża, że ofiarowuje mi dobrodziejstwo amerykańskiego małżeństwa. Prawdziwi Amerykanie męczą się jakoby ze swoimi żonami, a żony męczą się z mężami. Jak pan Abraham Lincoln z żoną. Jest to klasyczna bolączka Stanów Zjednoczonych i ktoś taki jak ja, dziecko imigrantów, powinien być wdzięczny. Dla Żyda jest to jeden szczebel wyżej.

Tak, Denise uradowałaby się, słysząc o tej potworności. Kiedyś zobaczyła Renatę mknącą w srebrnym samochodzie.

– A obok ty, pasażer – powiedziała Denise – łysy już prawie jak kolano, chociaż zaczesujesz włosy na bok, siedzisz i uśmiechasz się. Ona da ci jeszcze powody do śmiechu, ta tłusta dziwka. – Od zniewag Denise przeszła do prorocstwa. – Twoje życie umysłowe się skończy. Poświęcasz je dla swoich erotycznych potrzeb (jeżeli jest to właściwy termin dla określenia tego czegoś, co ci jest potrzebne). O czym wy dwoje możecie ze sobą mówić po seksie?... Zgoda, napisałeś kilka książek, napisałeś głośną sztukę, ale nawet ona była w połowie nie twoja. Zadawałeś się z ludźmi w rodzaju Von Humboldta Fleishera. Wbiłeś sobie do głowy, że jesteś „artystą”. Ale my nie jesteśmy tacy głupi, prawda? Tak naprawdę chcesz pozbyć się wszystkich, ze wszystkiego się wyłączyć i stać się prawem dla samego siebie. Tylko ty i twoja niezrozumiała dusza. Nie mogłeś znieść poważnego związku, dlatego pozbyłeś się mnie i dzieci. Teraz masz tę tłustą zdирę, która nie nosi stanika i pokazuje wszystkim swoje grube cycki. Otoczyłeś się guďfajami bez żadnego wykształcenia i opryszkami. Pomieszało ci się w głowie od tej specyficznej pychy i snobizmu. Nikt nie jest dla ciebie dość dobry... Ja ci mogłam pomóc. Teraz jest za późno.

Nie chciałem kłócić się z Denise. W pewnym sensie się z nią solidaryzowałem. Powiedziałem, że żyję źle. Przyznawałem jej słuszność. Uważała, że mam w głowie niezupełnie w porządku i byłbym obłąkany, gdybym jej zaprzeczył. Powiedziała, że piszę rzeczy, w których nikt nie może się doszukać sensu. Może. Moją ostatnią książkę *Niektórzy Amerykanie*, opatrzoną podtytułem *Sens istnienia w USA*, trzeba było bardzo prędko sprzedawać po obniżonej cenie. Wydawca błagał mnie, żebym jej nie drukował. Proponował, że zapomni o dwudziestu tysiącach zaliczki, bylebym ją schował do szuflady. Aleja przekornie pisałem teraz część drugą. W moim życiu panował wielki nieład.

Byłem jednak czemuś wierny. Miałem ideę.

– W ogóle dlaczegoś ty mnie przywiózł do Chicago? – pytała Denise. – Dlatego, czasem mi się zdaje, że twoi zmarli są tu pochowani. Taki był powód? Kraj, w którym zmarli moi żydowscy przodkowie? I zaciągnąłeś mnie na wasz grób, żeby mi zaśpiewać ten hymn? I o co tu właściwie chodzi? Wszystko przez te twoje urojenia, że jesteś wspaniałym szlachetnym człowiekiem. Owszem, jesteś – jak wszyscy diabli!

Takie obelżywe słowa robią Denise lepiej niż witaminy. Jeśli idzie o mnie, uważam, że pewne nieporozumienia zawierają mnóstwo pożytecznych wskazówek. Ale moja ostateczna, chociaż milcząca odpowiedź udzielona Denise brzmiała zawsze tak samo. Mimo całej inteligencji Denise była nieodpowiednia dla mojej idei. Z tego punktu widzenia Renata była odpowiedniejszą kobietą – odpowiedniejszą dla mnie.

Renata zabroniła mi siadać za kierownicą buicka. Próbowałem pertraktować ze sprzedawcą o używany model 250-C, ale w salonie mercedesa Renata – podniecona, zaróżowiona, pachnąca, rozłożysta – położyła rękę na srebrnej masce i powiedziała:

– Ten, sportowy. – Dotknięcie jej ręki było zmysłowe. Nawet jak dotykała samochodu, odczuwałem to we własnym ciele.

Teraz jednak należało zrobić coś z tym wrakiem. Poszedłem do holu po Rolanda, portiera – chudego, czarnego, starszawego, nigdy nie golonego Rolanda. Roland Stiles, jeżeli nie wmawiałem tego sobie (co jest bardzo prawdopodobne), był mi życzliwy. W rojeniach o samotnej śmierci jego właśnie widziałem w mojej sypialni, przed wezwaniem policji, pakującego pośpiesznie do torby kilka drobiazgów. I robił to z moją aprobatą. Zwłaszcza przydałaby się elektryczna maszynka do golenia. Jego bardzo czarna twarz była cała dziobata i kolczasta. Ogolenie jej za pomocą brzytwy wydawało się niemożliwością.

Roland w swoim jaskrawobłękitnym mundurze był zatroskany. Tak, widział rano samochód, kiedy szedł do pracy, ale, jak mi teraz wyjaśnił:

– Nie chciałem być tym, który pana zawiadomi, panie Citrine. – Lokatorzy idący do pracy też widzieli. Orientują się naturalnie, do kogo mercedes należy. – To zwyczajne draństwo – stwierdził Roland rzeczowo, wykrzywiając chudą starą twarz i odymając usta razem z wąsami. Lubił dowcipkować i przekomarzać się zawsze ze mną, mówiąc o pięknych paniach, które do mnie przychodzą. – Zjeżdżają się volkswagenami i cadillacami, na rowerach, na motocyklach, taksówkami i przychodzą na piechotę. Pytają, kiedy pan wyszedł i kiedy pan wróci, i zostawiają liściki. Przybiegają, przybiegają. Niezły z pana kobieciarz. Niejeden mąż ma z panem na pieńku. – Ale uciecha się skończyła. Roland nie na darmo był Murzynem przez sześćdziesiąt lat. Znał psychopatyczne inferna. Straciłem immunitet, dzięki któremu mój sposób bycia był tak zabawny. – Ma pan kłopoty – powiedział, mamrocąc pod nosem coś o „Miss Świata”. Nazywał Renatę Miss Świata. Czasem mu płaciła, żeby pilnował jej synka w przechowalni. Dziecko bawiło się paczkami, a tymczasem jego matka leżała w moim łóżku. Nie podobało mi się to, ale nie można być śmiesznym kochankiem w sposób połowiczny.

– Co teraz?

Roland rozłożył ręce.

– Niech pan wezwie policję – powiedział, wzruszając ramionami.

Tak, trzeba złożyć meldunek, chociażby ze względu na ubezpieczenie. Towarzystwo ubezpieczeniowe uzna to za bardzo dziwny przypadek.

– Proszę zatrzymać przejeżdżający radiowóz. Niech ci beużyteczni nicponie obejrzą wrak. A potem proszę ich przysłać na górę – powiedziałem.

Dałem mu dolara za fatygę. Zwykle to robię. A teraz trzeba odwrócić potok wrogości.

Przez drzwi usłyszałem w mieszkaniu telefon. Dzwonił Cantabile.

– No i co, przemądrzały dupku?

– To obłąkanie! – powiedziałem. – Wandalizm! Mścić się na maszynie!...

– Widziałeś swój samochód... widziałeś, co musiałem przez ciebie zrobić! – wrzeszczał. Natęzał głos do krzyku. Ale głos mu drżał.

– Co takiego? Mnie pan o to wini?

– Ostrzegałem.

– Przeze mnie pogruchotał pan ten piękny samochód?

– Przez ciebie. Tak. Jasne, że przez ciebie. Zdaje ci się, że jestem pozbawiony uczuć? Nie uwierzyłbyś, co odczuwam w związku z takim samochodem. Jesteś głupi. To twoja wina, nikogo innego. – Próbowałem coś powiedzieć, ale nie dopuścił mnie do głosu. – Zmusiłeś mnie! – wrzeszczał. – Przez ciebie to zrobiłem! No dobra, wczoraj wieczorem był tylko pierwszy krok.

– Co to ma znaczyć?

– Nie zapłacisz mi, to się przekonasz.

– Czym mi pan grozi? Sytuacja zaczyna się robić absurdalna. Ma pan na myśli moje córki?

– Nie będę chodził do komornika. Człowieku, nie wiesz, w coś ty się wpakował. Ani kto ja jestem. Zbudź się.

Często mówiłem sam do siebie: „Zbudź się” i wiele osób wołało do mnie: „Zbudź się!” Jakbym miał sześć paru oczu i uparcie trzymał je zamknięte. „Macie oczy, a nie widzicie”⁶. Była to naturalnie stuprocentowa prawda.

Cantabile mówił dalej. Dotarły do mnie jego słowa:

– Tak, idź do George’a Swiebla i spytaj, co masz robić. To on ci dawał rady. Właściwie to jakby on pogruchotał twój samochód.

– Skończmy z tym. Chcę się ugodzić.

– Żadnej ugody. Płać. Tyle, co na czeku. Całą sumę. I gotówką. Żadnych przekazów pocztowych, żadnych zleceń do kasy, odblokuj czek, dość tych pieprzonych wygłupów. Gotówka. Zadzwoń później. Umówimy się. Chcę cię zobaczyć.

– Kiedy?

– Mniejsza o to. Siedź przy telefonie i czekaj.

W następnej sekundzie usłyszałem nie kończący się, wszechobecny, elektroniczny pisk w słuchawce. I ogarnęła mnie rozpacz. Wiedziałem, że muszę komuś powiedzieć, co się stało. Potrzebna mi była rada.

Nieomylny znak zdenerwowania: numery telefonów huczały mi w głowie – numery kierunkowe, cyfry. Muszę do kogoś zatelefonować. Naturalnie pierwszą osobą, do której zadzwoniłem, był George Swiebel. Musiałem mu powiedzieć, co zaszło. Musiałem go też ostrzec. Cantabile może zaatakować także jego. Ale George wyjechał z jedną ze swoich brygad. Betonują gdzieś fundamenty, powiedziała mi Sharon, jego sekretarka. Jak już mówiłem, zanim George został przedsiębiorcą, był aktorem. Zaczynał w Teatrze Federalnym. Potem był spikerem w radiu. Próbował też sił w telewizji i w Hollywood. Między biznesmenami mówił o swoich doświadczeniach scenicznych. Znał dobrze Ibsena i Brechta i często latał samolotem do Minneapolis na przedstawienia w Guthrie Theatre. W południowym Chicago utożsamiano go z cyganerią artystyczną i sztuką, z działalnością twórczą, z wyobraźnią. I był pełen energii, miał szczodłą i otwartą naturę. Naprawdę dobry chłop. Ludzie głęboko się do niego przywiązywali. Choćby ta mała Sharon, sekretarka. Była z dalekiego południa, trochę liliputowata i o dziwacznej twarzy, wyglądała jak Mammy Yokum z komiksów. A przecież George był dla niej wszystkim – jej bratem, jej lekarzem, jej kapłanem, jej plemieniem. Przeprowadziła jak gdyby inspekcję południowego Chicago i znalazła tam tylko jednego człowieka, George’a Swiebła. Mówiąc z nią, miałem dość przytomności umysłu, żeby przemilczeć całą sprawę, bo gdybym powiedział Sharon, jak rozpaczliwie wszystko wygląda, nie przekazałaby George’owi mojego polecenia. Dzień George’a widziany oczami jego samego i jego współpracowników składał się z samych sytuacji krytycznych. Sharon miała za zadanie chronić szefa.

– Niech George do mnie zadzwoni – powiedziałem. Odwieszając słuchawkę, myślałem o amerykańskim widzeniu świata przez pryzmat kryzysu, tym dziedzictwie czasów pionierskich itp. Myślałem o tych sprawach wiedziony siłą przyzwyczajenia. Nie przestajemy analizować zjawisk tylko dlatego, że ból rozsada nam duszę.

Moim jedynym pragnieniem było krzyczeć, ale się powstrzymałem. Będę musiał sam, bez niczyjej pomocy, odzyskać spokój. Nie zatelefonowałem do Renaty. Renata nie celuje specjalnie w udzielaniu pociechy przez telefon. Pociechę z niej trzeba czerpać w kontakcie osobistym.

Teraz będę musiał czekać na telefon Cantabilego. I na policję. Będę musiał zawiadomić Williama Murrę, że do niego nie przyjdę. Tak czy inaczej, każe mi zapłacić za tę godzinę, jak to robią psychiatrzy i inni specjaliści. Tego popołudnia miałem zawieźć Lish i Mary, moje córki, na lekcję gry na fortepianie. Bo – jak kiedyś Fabryka Fortepianów Gulbransen i Ska obwieszczała na murach Chicago – „Najbogatsze dziecko jest biedne bez muzycznego wykształcenia”. A moje dzieci były dziećmi człowieka bogatego i byłoby to katastrofą, gdyby dorosły, nie nauczywszy się grać *Für Elise* i *Wesołej zabawy wieśniaków*.

Musiałem odzyskać spokój. Szukając równowagi, wykonałem jedyne znane mi ćwiczenie jogi. Wyjąłem z kieszeni pęk kluczy i drobne, zdjąłem buty i błyskawicznie stanąłem na głowie. Najpiękniejszy z moich dotychczasowych samochodów, mój srebrzysty mercedes 280, mój klejnot, mój podarunek miłości stoi okaleczony na ulicy. Dwa tysiące dolarów wpakowane w odnowienie karoserii nie przywrócą pierwotnego połysku metalowej skórze. Strzaskane latarnie oślepyły. Nie miałem serca spróbować drzwi, może są zablokowane. Usiłowałem skoncentrować się na nienawiści i wściekłości – zemsta, zemsta! Ale daleko mnie to nie zaprowadziło. Stawał mi tylko przed oczami niemiecki sprzedawca w długim białym kitlu dentysty, mówiący mi, że części trzeba będzie importować. A ja, obejmując na pół łysą głowę obiema rękami, jak w rozpacz, trzymałem drżące, bolące nogi w powietrzu, przy czym włosy nad skronią sterczały mi na boki, a zielony perski dywan płynął pode mną. Miałem ranę w sercu. Byłem pogrążony w rozpacz. Piękno tego dywanu było jedną z moich radości. Dywany dużo dla mnie znaczą, a ten należało uznać za dzieło sztuki, zieleń była łagodna i subtelnie cieniowana. Czerwień była jedną z niespodzianek, które zdają się tryskać prosto z serca. Stribling, mój ekspert ze śródmieścia, powiedział, że mógłbym dostać dużo więcej, niż zapłaciłem za ten dywan. Wszystko, co nie było produkowane masowo, osiągało zawrotne ceny. Stribling, otyły, znakomity człowiek, trzymał konie, ale był teraz za ciężki, żeby ich dosiadać. W tych czasach chyba niewiele osób używało rzeczy naprawdę dobrych. Chociażby ja. Nie mogłem być człowiekiem poważnym, skoro wplątałem się w tę groteskową, komiczną historię z mercedesem i światem przestępczym. Stojąc teraz na głowie, wiedziałem (miałbym nie wiedzieć!), że za tą groteskowością kryło się też coś w rodzaju teoretycznego

impulsu, jako że według jednej z najgłośniejszych teorii współczesnego świata dla samourzeczywistnienia jest rzeczą konieczną pogodzić się z deformacjami i absurdalnością głębszego bytu (wiemy, że on istnieje!). Niechaj cię uzdrowi upokarzająca prawda, jaką zawiera podświadomość. Nie uznałem za swoją tej teorii, ale to nie znaczy, że byłem od niej wolny. Miałem talent do absurdu, a człowiek nie lubi marnować swoich talentów.

Pomyślałem, że nie dostanę ani centa od towarzystwa ubezpieczeniowego, kiedy zgłoszę tak dziwaczne roszczenie. Wykupiłem wszystkie możliwe typy polis, ale na pewno są gdzieś wydrukowane maleńkimi literami, ich zwykłe lisie klauzule. Pod rządami Nixona świadomość immunitetu uderzyła wielkim koncertem do głowy. Dawne dobre wartości mieszczańskie, służące choćby do mydlenia oczu, zniknęły na zawsze.

To George nauczył mnie stania na głowie. George ostrzegał mnie, że zaniedbuję swoje ciało. Kilka lat temu zaczął mi wytykać, że w gardle mi chrypi, że cerę mam bladą i łatwo dostaję zadyszki. W średnim wieku przychodzi taki moment, kiedy trzeba zająć pozycję obronną, dowodził, zanim mięśnie brzucha sflaczeją, uda osłabną i schudną, a piersi zrobią się kobiece. Istnieje honorowa droga do starości. W odniesieniu do siebie George interpretował tę zasadę ze szczególnym zapałem. Natychmiast po operacji woreczka żółciowego wstał z łóżka i zrobił pięćdziesiąt pompek – jego własna terapia. Z tego nadmiernego wysiłku dostał zapalenia otrzewnej i przez dwa dni myśleliśmy, że umiera. Ale choroby były dla niego natchnieniem, miał swoje własne sposoby leczenia wszystkiego. Niedawno powiedział mi:

– Obudziłem się przedwczoraj i zobaczyłem, że mam pod pachą guzek.

– Poszedłeś do lekarza?

– Nie. Owiązałem guzek cienkim jedwabnym sznurkiem... mocno, mocno, mocno...

– I co dalej?

– Jak go obejrzałem wczoraj, spuchł i był wielkości jajka. Ale nie poszedłem do doktora. Po diabła mi doktor! Wziąłem więcej sznurka i obwiązałem guzek mocno, mocno, jeszcze mocniej. No i zniknął. Chcesz zobaczyć?

To wtedy, kiedy powiedziałem mu o artretycznych bólach w karku, zalecił mi stanie na głowie. Chociaż poderwałem do góry ręce i wyłem ze śmiechu (upodobniając się do jednej z żab Goi na *Visión Burlesca* – tej kreatury z kłódkami i ryglami), zrobiłem, jak mi radził. Trenowałem i w końcu nauczyłem się stać na głowie – i bóle w karku zniknęły. Kiedy potem miałem kłopoty z oddawaniem moczu, spytałem George'a o jakiś środek. Powiedział:

– To prostata. Zaczynasz, po chwili się zatrzymuje, potem kapie po kropli, trochę piecze, czujesz się upokorzony?

– Jest dokładnie, jak mówisz.

– Nie przejmuj się. Jak będziesz teraz stawał na głowie, napinaj mięśnie pośladków. Ściągaj pośladki, jakbyś to robił z policzkami, kiedy próbujesz je wessać.

– Czy to koniecznie trzeba robić na głowie? Czuję się już jak Ojciec William.

Ale George był nieugięty.

– Na głowie.

Jego metoda znowu podziałała. Moje dolegliwości minęły. Ludzie mogą widzieć w George'u masywnego, rumianego, dobrodusznego przedsiębiorcę budowlanego; ja widzę w nim postać magiczną. Widzę figurę z talii kart do taroka. Jeżeli stałem teraz na głowie, było to wezwaniem skierowanym do George'a. W przypiływie rozpaczy do niego pierwszego telefonuję. Osiągnąłem wiek, w którym neurotyczne impulsy zaczynają brać nad nami górę. Kiedy opęta mnie dojmujące łaknienie czyjejs pomocy, jestem bezsilny. Stoję nad brzegiem psychicznego stawu i wiem, że jeśli okruchy zostaną wrzucone, mój karp do nich podpływie. Na podobieństwo świata zewnętrznego mamy w naszym wnętrzu własne osobliwe zjawiska. Kiedyś zdawało mi się, że jedyny cywilizowany sposób postępowania to założyć dla nich park i ogród i hodować w nich te cechy, nasze dziwactwa, jak hoduje się ptaki, ryby i kwiaty.

Straszna jednak była świadomość, że jestem zdany tylko na siebie. Czekanie, aż odezwą się dzwonki, to potworna udreka. Napięcie oczekiwania szarpie mi serce. Ale stanie na głowie rzeczywiście przyniosło mi ulgę. Znowu oddychałem swobodnie. Tyle tylko, że stojąc tak do góry nogami, zobaczyłem przed sobą dwa duże koła, bardzo błyszczące. Ukazują się one niekiedy podczas tego ćwiczenia. Opierając ciężar ciała na czaszce, myślimy naturalnie o groźbie wylewu. Lekarz przeciwny stawaniu na głowie powiedział mi, że kura trzymana

w takiej pozycji zdechnie po siedmiu czy ośmiu minutach. Ale powodem jest tu oczywiście strach. Ptak dosłownie umiera ze strachu. Myślę, że te jasne koła są spowodowane naciskiem na rogówkę. Ciężar ciała, spoczywający na kościach czaszki, odkształca rogówkę, co stwarza złudzenie ogromnych świetlistych kół. Jakbyśmy widzieli wieczność. Do czego, zapewniam was, byłem w tym dniu przygotowany.

Za sobą widziałem szafę biblioteczną, a kiedy przenieśliśmy część ciężaru na przedramiona, błyszczące kręgi odplynęły, a wraz z nimi widmo śmiertelnego krwotoku. Widziałem rzędy moich książek, odwróconych do góry nogami. Upchałem je w głębi szaf, ale Renata wydobyla je stamtąd i wystawiła na pokaz. Kiedy stoję na głowie, bardziej mi odpowiada widok nieba i chmur. To świetna zabawa, przyglądać się chmurom od dołu. Ale teraz patrzyłem na tytuły, które przyniosły mi pieniądze, uznanie, nagrody, patrzyłem na moją sztukę *Von Trencka* w wielu wydaniach i językach, na kilka egzemplarzy mojego ukochanego tworu, mojego niewypału: *Niektórzy Amerykanie: Sens istnienia w USA*. *Von Trenck* dawał mi osiem tysięcy dolarów tygodniowo. Władze, dotąd nie interesujące się moją duszą, natychmiast zgłosiły pretensje do siedemdziesięcioprocentowego udziału w tym, co stanowiło rezultat wysiłków twórczych. Ale tym nie powinienem się przejmować. Oddajemy cesarzowi, co cesarskie. W każdym razie wiemy, że tak należy. Pieniądze są własnością cesarza. A poza tym *radix malorum est cupiditas*. O tym też wiedziałem.

Wiedziałem o wszystkim, o czym wiedzieć należało, i nie wiedziałem nic o tym, o czym wiedza była mi naprawdę potrzebna. Pokpiłem sprawę z pieniędzmi. Było to naturalnie w najwyższym stopniu pouczające, a nauka stała się w Ameryce wspaniałą i uniwersalną rekompensatą za wszystko. Zastąpiła nawet system kar w więzieniach federalnych. Każde duże więzienie jest teraz kwitnącym seminarium. Tygrysy gniewu krzyżują się z rumakami nauczania, płodząc hybrydy, o jakich nie śniło się w Apokalipsie. Żeby nie rozwodzić się zbyt długo nad tą sprawą, powiem, że straciłem większość pieniędzy, o których zarobienie Humboldt mnie oskarżał. Gotówka natychmiast nas poróżniła. Zainkasował czek na ileś tam tysięcy dolarów. Nie sprzeciwiłem się temu. Nie chciałem występować na drogę sądową. Proces doprowadziłby Humboldta do nieprzytomnej radości. Lubił się procesować. Ale czek, który zainkasował, był rzeczywiście przeze mnie podpisany i nie przysłoby mi łatwo wytłumaczyć się z tego w sądzie. A poza tym sądy mnie zabijają. Sędziowie, adwokaci, urzędnicy, stenotypistki, ławki, boazerie, chodniki, nawet szklanki na wodę – nienawidzę tego wszystkiego jak śmierci. Zresztą, kiedy Humboldt inkasował czek, siedziałem w Ameryce Południowej. A Humboldt, dopiero co wypuszczony z Bellevue, brykał samopas po Nowym Jorku. Nie było komu go pohamować. Kathleen ukrywała się w niewiadomym miejscu. Jego zbzikowana stara matka mieszkała w domu opieki, a wuj Waldemar należał do tych wiecznych młodych braci, dla których odpowiedzialność jest pojęciem nie znanym. Wobec tego Humboldt szalał i hasał po Nowym Jorku, obłąkany. Może uświadamiał sobie niejasno, jak wielką satysfakcję daje kulturalnej publiczności, która plotkowała o jego rozpadzie. Szalejący, zdesperowani, skazani na zagładę stuknięci pisarze i malarze o samobójczych skłonnościach są w sensie dramatycznym i towarzyskim bardzo cenieni. A w tym czasie on był jaskrawą Klęską, a ja byłem nowo narodzonym Sukcesem. Powodzenie oszołomiło mnie. Napełniło poczuciem winy i wstydu. Sztuka grana co wieczór w teatrze Belasco nie była sztuką, którą napisałem. Dostarczyłem tylko belę materiału, a reżyser wykroił z niego, dopasował, sfastrygował i uszył własnego *Von Trencka*. Rozmyślając posępnie, wymruczałem do siebie, że ostatecznie Broadway i dzielnica konfekcji sąsiadują ze sobą i przenikają się nawzajem.

Policjanci mają własny sposób dzwonięcia do drzwi. Dzwonią jak brutale. Wkraczamy naturalnie w najzupełniej nową fazę w historii ludzkiej świadomości. Policjanci chodzą na kursy psychologii i mają pewne wyczucie komedii miejskiego życia. Dwaj atletyczni faceci, którzy stali na moim perskim dywanie, byli wyposażeni w pistolety, pałki, kajdanki, naboje i aparaty nadawczo-odbiorcze. Niezwykłość sprawy – mercedes pogruchotany na ulicy – wyraźnie ich bawiła. Obaj byli czarnymi olbrzymami i bił od nich zapach samochodu patrolowego, odór zamkniętego ciasnego pomieszczenia. Ich żelastwo pobrzękiwało, biodra i brzuchy wypinały się i wydymały.

– W życiu nie widziałem takiej samochodowej masakry – powiedział jeden. – Ma pan chyba kłopoty z jakimiś naprawdę paskudnymi typami. – Sondował, podsuwał.

W rzeczywistości wcale nie chciał usłyszeć ode mnie o mafii, o wymuszaniu okupu, o splecionej sieci gangów. Ani jednego słowa. Wszystko jednak zdawało się oczywiste. Nie wyglądałem na człowieka ze świata przestępczego, ale może nim byłem. Przecież nawet policjanci oglądali *Ojca chrestnego*, *Francuskiego łącznika*, *Joe Valachi* i tym podobne filmy, pełne huku i dymu. Mnie samego – ostatecznie urodziłem się w Chicago – pociągał ten pomysł z gangami, więc powiedziałem:

– Nic nie wiem. – Milczałem, nie udzielając informacji, i myślę, że policjanci to pochwalili.

– Pan trzyma wóz na ulicy? – zwrócił się do mnie drugi. Miał potężne mięśnie i dużą, sflaczałą twarz. – Jakbym nie wynajmował garażu, kupiłbym sobie ostatniego grata. – Zobaczyl mój order, który Renata przypięła do kawałka aksamitu, oprawiła i powiesiła na ścianie. – Był pan w Korei?

– Nie – odparłem. – Dał mi to rząd francuski. Legia Honorowa. Jestem kawalerem tego orderu, jestem *chevalier*. Udekorował mnie ich ambasador.

Przy tej okazji dostałem od Humboldta jedną z jego nie podpisanych kartek. „Kawalarzu! Twoje imię Legion”.

Upajał się *Finnegans Wake* od lat. Pamiętam nasze częste dyskusje o poglądach Joyce’a na język, pasji do nasycania mowy muzyką i znaczeniem, o niebezpieczeństwach, które czyhają dokoła wszystkich tworców myśli, o pięknie osuwającym się w otchłanie niepamięci, podobne rozpadlinom śnieżnym Antarktydy, o Blake’u i wizji contra Locke i *tabula rasa*. Odprowadzając policjantów do drzwi, wspominałem z melancholią cudowne rozmowy, jakie prowadziliśmy kiedyś z Humboldtem.

O ludzkości boska niepojęta!

– Lepiej niech pan to jakoś załatwi – poradził mi policjant, głosem cichym i życzliwym. Jego ogromny czarny kształt odpłynął w kierunku windy. *Chevalier* skłaniał do okazywania grzeczności. Czułem w oczach ból, tak wielkie i tak bezsilne było moje łaknienie pomocy.

Tak, Legia Honorowa przypomniwała mi Humboldta. Napoleon wiedział, co robi, kiedy rozdawał francuskim intelektualistom wstęgi, gwiazdy, błyskotki. Wziął ze sobą do Egiptu statek pełen uczonych. Zostawił ich na piaskach pustyni. Wrócili, przywoząc kamień z Rosetty. Od czasów Richelieu, a nawet dawniej, Francuzi wspaniale sobie radzą w handlu kulturą. Nie przyłapałibyscie nigdy de Gaulle’a na noszeniu jednej z tych komicznych ozdóbek. Miał na to za dużo godności. Panowie, którzy kupili Manhattan od Indian, sami nie wieszali sobie na szyi paciorków. Chętnie oddałbym ten złoty medal Humboldtowi. Niemcy chcieli go kiedyś uhonorować. W roku 1952 zaprosili Humboldta na cykl wykładów na Wolnym Uniwersytecie. Nie chciał pojechać. Bał się, że uprowadzi go GPU czy NKWD. Pisywał przez wiele lat do „Partisan Review” i był znanym antystalinistą, więc bał się, że Rosjanie uprowadzą go i zabiją.

– A poza tym, gdybym siedział rok w Niemczech, myślałbym o jednym – oznajmił wszem wobec (tylko ja słuchałem). – Przez dwanaście miesięcy byłbym Żydem i niczym innym. Nie poświęcę temu całego roku, po prostu nie mogę sobie na to pozwolić.

Ale prawdziwszy chyba powód, to że bawił się znakomicie jako wariat w Nowym Jorku. Biegał po psychiatrach i urządzał awantury. Wymyślił dla Kathleen kochanka i potem usiłował go zabić. Roztrzaskał buicką. Oskarżył mnie, że ukradłem jego osobowość i zbudowałem na niej postać Von Trencka. Pobrał czekiem z mojego konta 6763 dolary i 58 centów i kupił oldsmobile’a, między innymi. Tak czy inaczej nie chciał jechać do Niemiec – kraju, w którym nikt nie nadałaby za jego wywodami.

Później dowiedział się z gazet, że zostałem Kawalerem. Mnie doniesiono, że żyje z przepiękną czarną dziewczyną, która uczyła się gry na waltorni w Szkole Juilliarda. Ale kiedy zobaczyłem go po raz ostatni, na Czterdziestej Szóstej Ulicy, wiedziałem już, że jest zbyt wielką ruiną, żeby żyć z kimkolwiek. Był ruiną, z uporem to powtarzam. Miał na sobie luźne szare ubranie, które na nim wisało. I twarz miał przeraźliwie szarą – szarzyzną East River. Jego głowa tak wyglądała, jak gdyby ćmy zagnieździły mu się we włosach. Niemniej powinienem podejść do niego i przemówić. Powinienem się zbliżyć, a nie chować za parkującymi samochodami. Ale jak mogłem? Jadłem śniadanie w Sali Edwardiańskiej hotelu Plaża, złodziejscy kelnerzy podawali mi do stołu. Potem latałem helikopterem w towarzystwie senatora Javitsa i Boba Kennedyego. Jak jętka furkotałem nad Nowym Jorkiem, w kurtce podbitej wesołą psychodeliczną zielenią. Przebrałem się za Sugar Ray Robinsona. Tylko nie było we mnie ducha bojowego i kiedy zobaczyłem, że mój bliski przyjaciel jest trupem – rzuciłem się do ucieczki. Pojechałem na La Guardia i złapałem pierwszy samolot do Chicago. W samolocie siedziałem zboląły, pijąc whisky z lodem, przejęty zgrozą, opanowany myślami o Losie i innych humanistycznych dyrdymałkach – o litości. Skręciłem za róg i zabłądziłem na Szóstej Alei. Nogi mi drżały, zęby miałem zaciśnięte. Powiedziałem: Żegnaj, Humboldt, zobaczymy się na tamtym świecie. I w dwa miesiące później, w Ilscombe Hotel, który od tego czasu się zawalił, Humboldt wyszedł o trzeciej nad ranem z kubłem śmieci i umarł na korytarzu.

Na koktajlu w Greenwich Village w latach czterdziestych piękna dziewczyna powiedziała przy mnie do Humboldta:

– Wie pan, jak pan wygląda? Wygląda pan jak postać z portretu. – Pewnie, kobiety marzące o miłości mogły mieć wizję dwudziestoletniego Humboldta, który schodzi do nich z renesansowego czy impresjonistycznego arcydzieła.

Ale fotografia w kolumnie nekrologów nowojorskiego „Timesa” była przerażająca. Otworzyłem rano gazetę i zobaczyłem Humboldta – wynędzniała, szara i czarna, nieszczęsna twarz gazetowa spozierała na mnie z obszarów śmierci. Również tego dnia leciałem z Nowego Jorku do Chicago – przeskakiwałem tę odległość tam i z powrotem, nie zawsze wiedząc dlaczego. Poszedłem do toalety i zaryglowałem drzwi. Ludzie dobijali się, ale ja płakałem i nie chciałem otworzyć.

* * *

Cantabile nie kazał mi długo czekać. Zatelefonował tuż przed dwunastą. Może chciało mu się jeść. Pamiętam, że ktoś tam w Paryżu, pod koniec dziewiętnastego stulecia, widywał Verlaine’a, jak pijany i opuchnięty szedł na obiad, waląc obłąkańczo laską w chodnik, a niedługo po nim wielki matematyk Poincare, przywoicie ubrany i jakby kroczący w ślad za swoim ogromnym czołem, podczas gdy jego palec rysował w powietrzu krzywe, też zdążył na obiad. Pora obiadu to pora obiadu, czy ktoś jest poetą, matematykiem czy gangsterem. Cantabile powiedział:

– Więc zgoda, durny bucu, spotkamy się zaraz po obiedzie. Przynieś gotówkę. Ale to wszystko, co masz mieć przy sobie. Żadnych więcej głupawych posunięć.

– Nawet bym nie wiedział, co zrobić i jak – odparłem.

– To prawda, dopóki nie wykombinujesz czegoś z Georgem Swieblem. Przyjdź sam.

– Jasne. Nawet mi nie przyszło do głowy...

– Już powiedziałem, ale lepiej niech ci nie przychodzi. Sam i z nowymi banknotami. Idź do banku i weź czyste papierki.

Dziewięć papierków po pięćdziesiąt. Same nowe. Żadnych tłustych plam na tych dolarach. I ciesz się, że ci nie każę zeżreć tego zasranego czeku.

Faszysta! Ale może tylko przybierał pozy i gadaniem starał się podtrzymać swoją brutalność. Zresztą miałem teraz tylko jeden cel: pozbyć się go, okazując uległość i godząc się na wszystko.

– Jak pan sobie życzy – powiedziałem. – Gdzie mam przynieść pieniądze?

– Rosyjska łaźnia na Division Street – oznajmił.

– Ta rudera? Na miłość boską!

– Masz stać przed wejściem o pierwszej czterdzieści pięć. I to sam.

– Dobrze – odparłem. Ale nie czekał, aż wyrażę zgodę. Znowu usłyszałem sygnał w słuchawce. Utożsamiałem ten nie kończący się skowyt ze stopniem zaniepokojenia uwolnionej duszy.

Musiałem wziąć się do działania. I nie mogłem oczekiwać, że Renata pomoże mi w czymkolwiek. Pracowała dzisiaj, brała udział w licytacji i byłaby zła, gdybym zatelefonował i poprosił, żeby mnie zawiozła do Northwest Side. Jest uczynna i piękna, ma wspaniałe piersi, ale obraża się o pewne uchybienia i łatwo wybucha. Och, jakoś sobie poradzę. Może uda mi się uruchomić mercedesa i podjechać do warsztatu. Może nie trzeba go będzie holować. A potem złapię taksówkę albo zadzwonię do Rent-a-Car i wynajmę samochód. Do autobusu nie wsiądę. W autobusach i kolei podziemnej spotyka się za dużo uzbrojonych pijaków i narkomanów. Ale nie! Najpierw muszę zatelefonować do Murry i pojechać do banku. I muszę dać znać, że nie zawiozę Lish i Mary na lekcję muzyki. To było mi szczególnie przykre, ponieważ boję się trochę Denise. Ta kobieta wciąż ma nade mną pewną władzę. Denise robiła wielki spektakl z tych lekcji. Ale dla niej wszystko jest spektaklem, wszystko jest doniosłe, przełomowe. Przedstawia każdy problem psychologiczny związany z dziećmi z niesłyszczaną intensywnością. Zagadnienie rozwoju dziecka jest przerażające, ponure, tragiczne. Jeżeli te małe się zmarnują, będzie to moja wina. Porzuciłem je w najniebezpieczniejszym momencie w historii cywilizacji, żeby się zejść z Renatą – tą kurwą o tłustych cyckach – bo tak ją Denise nazywała. Zawsze mówiła o pięknej Renacie jak o zuchwałej, wulgarnej dziwce. Mogło się zdawać, że celem jej epitetów jest uczynienie z Renaty mężczyzny, a ze mnie kobiety.

Denise, podobnie jak mój majątek, sięga czasów teatru Belasco. Trencka grał Murphy Verviger, a że był gwiazdorem, miał swoją świtę (garderobiany, agent prasowy, chłopiec na posyłki). Denise, mieszkająca wtedy

z Murphym w hotelu St. Moritz, zjawiała się co dzień wraz z innymi pomocnikami, przywoziła egzemplarz jego roli. Była ubrana w śliwkowy aksamitny dres, włosy opadały jej na ramiona. Elegancka, wysmukła, o trochę może płaskim biuście i wysokich ramionach, szeroka u góry jak oparcie staroświeckiego krzesła kuchennego, miała duże fiołkowe oczy, cudownie bogaty i subtelny koloryt skóry i tajemniczy, ledwie dostrzegalny puszek, nawet na nosie. Upał sierpniowy męczył, więc ogromne drzwi za sceną były otwarte na betonowe uliczki, a słońce przekradające się do środka ukazywało posępną łysość i rozkład tego antycznego przepychu. Teatr Belasco przypominał złoconą paterę na ciastka, ozdobione przybrudzonym lukrem. Verviger był wysoki i muskularny, wokół ust miał głębokie bruzdy. Wyglądał jak instruktor narciarski. Jakaś niestęchanie wyrafinowana koncepcja zżerała mu duszę. Jego głowa miała kształt bermycy – wysoka, arogancka, masywna skała pokryta gęstym mchem. Denise robiła dla niego notatki z prób. Pisała w zaciekłym skupieniu, jak gdyby była pierwszą uczennicą, którą reszta klasy usiłuje dogonić. Kiedy przyszła spytać mnie o coś, przyciskała egzemplarz do piersi i przemawiała z operowym tragizmem. Od brzmienia własnego głosu włosy zdawały się jej jeżyć na głowie, a zdumiewające oczy rozszerzać. Powiedziała:

– Verviger pyta, jak według pana powinien wymawiać to słowo... – Napisała je drukowanymi literami: FINITE. – Twierdzi, że może to wymawiać fin-it albo fajn-it, albo fajn-ajt. Nie wierzy mi, że powinno być fajn-ajt.

– Po co te subtelności? – odparłem. – Jest mi obojętne, co on robi z tym słowem. – Nie dodałem, że Verviger tak czy owak doprowadza mnie do rozpacz. Rozumiał sztukę źle, od początku do końca. Może w hotelu St. Moritz szło mu lepiej. Ale to mnie wtedy nie obchodziło. Wróciłem do domu i opowiedziałem mojej przyjaciółce Demmie Vonghel o groźnookiej, zjeżonej piękności w Belasco, przyjaciółce Vervigera.

Cóż, w dziesięć lat później Denise i ja byliśmy małżeństwem. A prezydent i pani Kennedy zaprosili nas do Białego Domu (smoking, długa suknia), na spotkanie ze światem kultury. Denise radziła się dwudziestu czy trzydziestu kobiet co do sukni, butów, rękawiczek. Bardzo inteligentna, przeznaczała czas u fryzjera na czytanie artykułów o problemach krajowych i międzynarodowych. Włosy miała gęste i upinała je wysoko. Po fryzurze trudno było poznać, kiedy je fryzjer układał, ale z rozmowy przy stole zawsze odgadywałem, czy Denise spędziła to popołudnie w salonie fryzjerskim, bo wprawiona w szybkim czytaniu zapoznawała się pod suszarką z najdrobniejszymi szczegółami kryzysu światowego. „Czy ty zdajesz sobie sprawę, co Chruszczów zrobił w Wiedniu?” – pytała. A zatem przygotowując się w salonie piękności na przyjęcie u Prezydenta, opanowała po mistrzowsku „Newsweeka”, „Time” i „The U.S. News and World Report”. Podczas lotu do Waszyngtonu przejrzelśmy jeszcze wiadomości o Zatoce Świń i pociskach rakietowych, a także najnowsze doniesienia o Diemie. Nerwowe napięcie jest u Denise sprawą konstytucjonalną. Po obiedzie dopadła Prezydenta i rozmawiała z nim na osobności. Widziałem, jak przypiera go do muru w Czerwonym Salonie. Domyślałem się, że pędzi gwałtownie poprzez płataninę linii oddzielających jej własne straszliwe problemy – wszystkie jej problemy były straszliwe! – od zawilości i klęsk polityki światowej. Wszystko było dla niej jednym niepodzielnym kryzysem. Wiedziałem, że mówi teraz: – Panie prezydencie, jaka jest na to rada? – Cóż, uwodzimy się nawzajem za pomocą wszystkiego, co posiadamy. Śmiałem się z cicha, patrząc na nich. Ale JFK da sobie radę, zresztą zawsze lubił ładne kobiety. Podejrzywałem, że on też czytał „The U.S. News and World Report” i że jego wiadomości nie są wiele więcej warte od wiadomości Denise. JFK znalazłby w niej doskonałego sekretarza stanu – gdyby udało się znaleźć jakiś sposób budzenia Denise przed jedenastą. Bo Denise to naprawdę wspaniała osoba. I prawdziwa piękność. I lubi się procesować chyba bardziej niż sam Von Humboldt Fleisher. On przeważnie groził. Ale od dnia rozwodu jestem wplątany w nie kończące się i rujnujące procesy sądowe.

Świat nieczęsto widywał agresywniejszą, przebieglejszą, zaradniejszą powódkę od Denise. Z przyjęcia w Białym Domu zapamiętałem przede wszystkim imponującą wyniosłość Charlesa Lindbergha, skargi Edmunda Wilsona na rząd, który zrobił z niego nędzarza, melodie z deptaka w Catskill grane przez orkiestrę Korpusu Marynarki i pana Ta te wybijającego takt na kolanach jakiejś pani.

Jedną z głównych pretensji wysuwanych przez Denise było to, że nie pozwalałem jej prowadzić takiego życia. Słynny kapitan Citrine, któremu kiedyś w heroicznych bojach pękały sprzączki u zbroi, teraz zaspokajał żądze tej cyganichy Renaty i w zgrzybiałej starości kupił sobie luksusowego mercedesa-benza. Denise kazała mi dobrze wietrzyć samochód, zanim przyjadę po Lish i Mary. Nie życzyła sobie, żeby cuchnął Renatą. I miałem opróżnić popielniczki z niedopałków noszących ślad jej szminki. Kiedyś wymaszerowała z domu i zrobiła to sama. Powiedziała też, że mam pilnować, żeby nie było chusteczek papierowych upapranych Bóg wie czym.

Pełen obaw wykręciłem numer Denise. Miałem szczęście, służąca odebrała telefon. Powiedziałem jej:

– Nie odwiozę dzisiaj dziewczynek. Mam kłopoty z samochodem.

Na dole zdołałem się jakoś wcisnąć do mercedesa i chociaż przednia szyba była w fatalnym stanie, znałem, że dam sobie radę, jeżeli tylko policja mnie nie zatrzyma. Na próbę pojechałem do banku, gdzie podjąłem nowe banknoty. Wręczono mi je w plastikowej kopercie. Nie złożyłem ich, tylko wsunąłem do kieszeni obok portfela. Potem z budki telefonicznej zamówiłem wizytę w warsztacie mercedesa. Trzeba sobie zamawiać wizyty – teraz nikt nie wladowuje się do warsztatu, jak robiliśmy to w dawnych czasach mechaników samochodowych. Następnie, z tej samej budki, znowu próbowałem dodzwonić się do George'a Swiebla. Widocznie powiedziałem – mieląc ozorem podczas gry w karty – że George lubi chodzić ze swoim starszym ojcem do łaźni na Division Street. Może Cantabile ma nadzieję go tam przyłapać.

W dzieciństwie chodziłem do rosyjskiej łaźni z moim ojcem. Ten stary zakład istniał od niepamiętnych czasów, gorętszy niż tropiki i wydzielający słodkawą woń gnicia. Na dole w podziemiu mężczyźni jęczeli na rozmiękłych od pary deskach, gdy tymczasem łaźniebi chłostali im ciało witkami dębowymi, moczonymi w beczulce po kiszonych ogórkach. Cudowny proces rozkładu trawil z wolna drewniane leżanki, barwiąc je łagodnym brązem. W złotawej parze wyglądały jak z futra bobrowego. Może Cantabile miał nadzieję przyłapać tu George'a nagiego. Czy mógł istnieć jakiś inny powód, że wybrał to miejsce spotkania? Mógł go pobić, mógł go zastrzelić. Dlaczego ja tyle mówiłem?

W słuchawce rozległ się głos sekretarki George'a:

– Sharon? Nie wrócił? Słuchaj, powiedz mu, żeby nie chodził dzisiaj do *schwitzu* na Division Street. Nie! Mówię poważnie! George powiedział o Sharon: – Ona łapie w lot krytyczne sytuacje. – To zrozumiałe. Dwa lata temu człowiek najzupełniej obcy poderznął jej gardło. Ten nikomu nie znany czarny wszedł z otwartą brzytwą do biura George'a w południowym Chicago. Przejechał ostrzem po gardle Sharon jak prawdziwy wirtuoz i zniknął na zawsze. – Krew chlusnęła jak wodospad – opowiadał mi George. Okręcił dziewczynie szyję rącznikiem i pognał z nią do szpitala.

George też łapie w lot krytyczne sytuacje. Zawsze rozgląda się za czymś fundamentalnym, „uczciwym”, „z gleby wyrosłym”, odwiecznym. Kiedy zobaczył krew, substancję życiodajną, wiedział, co robić. Ale naturalnie George ma też swoje teorie; jest prymitywistą. Ten rumiany na twarzy, zwalisty George, o dłoniach jak łopaty i po ludzku rozumiejących brązowych oczach, nie jest głupi – chyba że wygłasza swoje poglądy. A robi to głośno, napastliwie. Wtedy ja uśmiecham się tylko do niego, bo wiem, że jest dobry. Troszczy się o swoich rodziców, o siostry, o byłą żonę, o dorosłe dzieci. Potępia jajogłowych, ale kulturę kocha naprawdę. Całe dni usiłuje czytać trudne książki, morduje się nad nimi. Bez większego skutku. A kiedy przedstawiam go intelektualistom w rodzaju mojego uczonego przyjaciela, Durnwalda, wrzeszczy i doprowadza ich do wściekłości, używa plugawych słów i robi się czerwony na twarzy. Cóż, jest to ten właśnie dziwny moment w historii ludzkiej świadomości, w którym duch budzi się wszędzie i w którym demokracja bierze swój początek – era niepokoju i ideologicznego zamętu, główne zjawisko współczesnych czasów. Humboldt, wtedy jeszcze chłopięcy, kochał życie intelektualne i ja dzieliłem ten jego entuzjazm. Ale intelektualiści, z którymi się stykamy, to jeszcze inna sprawa. Nie zachowałem się jak należy wobec umysłowego *beau monde'u* Chicago. Denise zapraszała do naszej willi w Kenwood najrozmaitsze znakomite osoby, żeby dyskutować z nimi o polityce i ekonomii, o problemach rasowych, o psychologii, seksie, zbrodni. Chociaż nalewałem trunki i dużo się śmiałem, w gruncie rzeczy nie byłem ani wesoły, ani gościnny. Nawet nie zachowywałem się przyjaźnie.

– Gardzisz tymi ludźmi! – powiedziała Denise, wściekła. – Tylko Durnwald jest wyjątkiem, ten gbur! – Jej oskarżenie było słuszne. Miałem nadzieję, że ich wszystkich upokorzę. W rzeczy samej było to jednym z moich najmilszych marzeń, jedną z najżywszych nadziei. Ci ludzie byli przeciwko Prawdzie, Dobru, Pięknu. Zapierali się światła. – Jesteś snobem – oznajmiła Denise.

To nie było ściśle. Ale nie chciałem mieć do czynienia z tymi skurwysynami – adwokatami, kongresmanami, psychiatrami, profesorami socjologii, duchownymi i „ludźmi sztuki” (w większości właścicielami galerii), których zapraszała.

– Powinieneś spotykać autentycznych ludzi – powiedział mi później George. – Denise otaczała cię gromadą szarlatanów, a teraz od rana do wieczoru siedzisz w tym mieszkaniu sam, z tonami książek i papierów, i mogę się założyć, że dostaniesz kręčka.

– Ale skąd – odparłem. – Mam przecież ciebie i Aleca Szathmara, i mojego przyjaciela, Richarda Durnwalda. Poza tym jest Renata. I nie zapominaj o znajomych w klubie.

– Dużo da ci ten facet Durnwald. Typowy superprofesor. I nikt go nie potrafi zainteresować. Wszystko czytał i o wszystkim słyszał. Jak próbuję z nim rozmawiać, mam uczucie, że gram w ping-ponga z mistrzem Chin. Ja serwuję, on smeczkuje i po zabawie. Muszę znowu serwować i raz-dwa nie mam ani jednej piłki.

Zawsze czepiał się Durnwalda. Wchodziła tu w grę pewna rywalizacja. Wiedział, jak głęboko jestem do niego przywiązany. W prymitywnym Chicago Dick Durnwald był jedynym człowiekiem, z którym dzieliłem się myślami. Ale Durnwald od sześciu miesięcy był na uniwersytecie w Edynburgu i prowadził wykłady o Comcie, Durkheimie, Tonniesie, Weberze i tak dalej.

– Dla człowieka twojego pokroju te wszystkie abstrakcje to trucizna – oznajmił George. – Poznam cię z facetami z południowego Chicago – zaczął wrzeszczeć. – Za bardzo izolujesz się od ludzi, wyschniesz od środka!

– Zgoda – powiedziałem.

I tak została zorganizowana dla mnie owa brzemienna w skutki partia pokera. Ale goście wiedzieli, że zaproszono ich jako „złe towarzystwo”. W dzisiejszych czasach te kategorie społeczne są dobrze rozumiane przez ludzi, którzy do nich należą. Dla tych kilku byłoby oczywiste, że jestem mózgowcem, nawet gdyby George nie zareklamował mnie jako takiego, przechwalając się, że moje nazwisko figuruje w encyklopediach i że rząd francuski mnie udekorował. No to co z tego? Nie mogłem się równać z takim Dickiem Cavettem, człowiekiem naprawdę sławnym. Byłem jeszcze jednym wykształconym cudakiem i George popisывał się mną przed nimi, a z nich dla mnie robił eksponaty. Zachowali się ładnie, wybacząc mi tę wielką kampanię reklamową. George przyprowadził mnie tam, żebym się nacieszył ich autentycznie amerykańskimi cechami, ich dziwactwami. Ale oni urozmaicili wieczór własną ironią i tak odwrócili sytuację, że w końcu moje dziwactwa dużo jaskrawiej rzucały się w oczy.

– Z każdą chwilą bardziej im się podobałeś – powiedział George. – Uznali, że jesteś całkiem ludzki. Zresztą był Rinaldo Cantabile. On i jego kuzyn pokazywali sobie karty, a ty piłeś i piłeś, i nie miałeś zielonego pojęcia, co się święci.

– A więc tylko „zyskiwałem na kontraście”?

– Zdawało mi się, że „zyskiwać na kontraście” to twoje określenie dla par małżeńskich. Podoba ci się pani, bo ma męża ostatniego śmierdziela, dzięki czemu jest ponętniejsza.

– To jeden z takich podręcznych zwrotów.

Nie jestem wielkim amatorem pokera. Zresztą interesowali mnie goście. Jeden z nich, Litwin, miał wypożyczalnię smokingów, drugi był młodym Polakiem na kursach programowania. Był też tajniak z brygady zabójstw. Obok mnie siedział przedsiębiorca pogrzebowy, Amerykanin rodem z Sycylii, no i wreszcie był Rinaldo Cantabile i jego kuzyn, Emil. Ci dwaj, powiedział George, przyszli nie proszeni. Emil, oprych pomniejszego kalibru, urodził się, żeby wykręcać ludziom ręce i ciskać cegłami w szyby wystawowe. Na pewno brał udział w ataku na mój samochód. Rinaldo był bardzo przystojny, miał ciemne, gęste wąsy, jedwabiste jak futro norki, i był doskonale ubrany. Blefował po wariacku, mówił głośno, uderzał w stół palcami i zgrywał się na stuprocentowego niewykształconego prostaka. Ale jednocześnie rozprawiał to o Robercie Ardreyu, to o imperatywie terytorialnym, o paleontologii w wąwozie Olduvai, o poglądach Konrada Lorenza. Powiedział głośno i szorstko, że jego wykształcona żona rozrzuca książki po mieszkaniu. Książkę Ardreya znalazł w ubikacji. Jeden Bóg wie, co nas w ludziach pociąga i dlaczego się do nich garniemy. Proust, autor, z którym Humboldt mnie zapoznał i w którego pisarstwie intensywnie mnie szkolił, powiedział, że często pociągali go ludzie, których twarze miały coś z żywopłotów z kwitnącego głogu. Głóg nie był kwiatem Rinalda. Biała kalia bardziej go przypominała. Zwłaszcza biały był nos, a duże nozdrza, odpowiednio ciemniejsze, rozdymając się przywodziły mi na myśl obój. Ludzie tak wyraziście dostrzegani mają nade mną władzę. Ale nie wiem, co jest pierwsze – zainteresowanie czy drobiazgowa obserwacja. Kiedy czuję się mętny, otepiały, o przyćmionej wrażliwości, taka nagła wysublimowana percepcja ma na mnie duży wpływ.

Siedzieliśmy przy okrągłym stole na jednej nodze i gdy karty z nowo otwartej talii fruwały i połykiwały, George sprowokował gości do mówienia. Był impresariem i oni szli mu na rękę. Policjant z brygady zabójstw opowiadał o zabójstwach ulicznych:

– Teraz jest inaczej, teraz zabijają skurwysyna, jak nie ma dolara w kieszeni, i zabijają skurwysyna, jak im da pięćdziesiąt dolarów. Mówię im: „Dranie, mordujecie dla pieniędzy? Dla pieniędzy? Tego najtańszego towaru na świecie? Zabiłem więcej ludzi niż wy, ale to było na wojnie”.

Właściciel wypożyczalni smokingów był w żałobie po swojej przyjaciółce, urzędnicze przyjmującej przez telefon ogłoszenia w „Sun Times”. Mówił szczekliwym litewskim akcentem – dowcipkował, przechwalał się, ale był jednocześnie ponury. Zabrnawszy w swoją opowieść, wybuchnął żalem, o mało się nie rozplakał. W każdy poniedziałek odbierał od klientów smokingi. Po weekendzie były wyplamione – sosem, zupą, whisky, spermą. „Czym chcecie” – powiedział. – W każdy wtorek podjeżdżał furgonetką do zakładu niedaleko Loop, gdzie wrzucano smokingi do kadzi, żeby się wymoczyły w płynie do czyszczenia. A on spędzał to popołudnie ze swoją przyjaciółką. Ach, nie mogli nawet zdążyć do łóżka, tak ich do siebie ciągnęło. Rzucali się na podłogę.

– To była dobra dziewczyna, z porządnej rodziny. Była z takich ludzi, z jakich ja jestem. Ale robiła wszystko. Mówiłem jej, co i jak, i robiła... żadnych pytań.

– Widywał pan ją tylko we wtorki? Nie zapraszał jej pan nigdy na kolację? Nie odwiedzał jej w domu? – spytałem.

– Szła do domu o piątej, żeby ugotować obiad dla chorej matki. Daję słowo, że nie znałem jej nazwiska. Przez dwadzieścia lat miałem tylko numer telefonu.

Przecież pan ją kochał. Dlaczego pan się z nią nie ożenił?

Wydawał się zdumiony, spoglądał na pozostałych graczy, jakby chciał powiedzieć: „Co z tym gościem?” W końcu odparł:

– Ożenić się z dziwką, która daje dupy w hotelu?

Wszyscy się roześmieli, a przedsiębiorca pogrzebowy, Sycylijczyk, przemówił do mnie tonem, jakim się seksualnie uświadamia wykształconych idiotów:

– Rozumie pan, profesorze, niektórych rzeczy nie trzeba ze sobą mieszać. Żonę nie po to się bierze. Jak ma pan nietypową nogę, szuka pan nietypowego buta. Kiedy znajdzie pan odpowiedni rozmiar, to już niech pan da spokój.

– Ach, tak czy inaczej mój aniołek jest już w grobie...

Zawsze chętnie rozszerzam moją wiedzę, jestem wdzięczny za pouczenia, łatwo przyjmuję uwagi, chociaż macie na to tylko moje słowo. Może w ten sposób unikam konfliktów, ale wiem, kiedy wchodzi w grę prawdziwa przyjaźń. Siedzieliśmy ze szklankami whisky, z żetonami do pokera, z cygarami, w kuchni nasyconej ciemnym oddechem stalowni i rafinerii południowego Chicago, pod gęstą siecią linii wysokiego napięcia. Często dostrzegam przypadkowe strzępki przyrody, które utrzymały się przy życiu w tej dzielnicy ciężkiego przemysłu. Karpie i zębaczki nadal pływają w cuchnących benzyną stawach. Murzynki łowią je na przynętę z ciasta. W niewielkiej odległości od hałd można czasem spotkać króliki i świstaki. Czerwonoskrzydłe kosy ze swoimi naramiennikami fruują nad wierzbą jak wygalowani portierzy. Niektóre kwiaty wciąż upierają się przy życiu.

Wdzięczny za ten wieczór wśród ludzi popuściłem sobie cugli. Przegrałem prawie sześćset dolarów, wliczając w to czek wręczony Cantabilemu. Ale przywykłem już, że ludzie zabierają mi pieniądze, naprawdę się tym nie przejąłem. Ten wieczór dał mi mnóstwo przyjemności, piłem, śmiałem się dużo, mówiłem. Nie przestawałem mówić. Podobno dość szczegółowo rozwodziłem się nad moimi sprawami, moimi projektami, a potem mi oznajmiono, że ja jeden nie rozumiałem, co się dokoła mnie dzieje. Kiedy pozostali gracze zobaczyli, że dwaj kuzyni Cantabilego oszukują, wycofali się z gry. A tamci pokazywali sobie karty, manipulowali talią i rzucali się na każdą pulę.

– Takie świństwo w moim domu nie ujdzie im na sucho! – wrzeszczał George w jednym ze swoich teatralno-irracjonalnych wybuchów.

– Ale Rinaldo jest niebezpieczny.

– Rinaldo to śmierdziel! – ryknął George.

* * *

Być może, ale w epoce Ala Capone Cantabilowie byli niezłymi rzezimieszkami. W tamtych czasach cały świat utożsamiał Chicago z przelewem krwi – były doki i były wojny gangów. W krwawej hierarchii gangów Cantabilowie znajdowali się mniej więcej pośrodku. Pracowali dla mafii, rozwozili whisky na ciężarówkach i masakrowali ludzi albo ich dziurawili kulami. Należeli do grupy przeciętnych, drugorzędnych gangsterów i

szantażystów. Ale w latach czterdziestych pewien głupkowaty wuj Cantabile, służący w chicagowskiej policji, okrył cały ród hańbą. Upił się w barze i dwaj rozweseleni smarkacze ukradli mu broń i zabawiali się jego kosztem. Kazali mu pełzać na brzuchu, zmuszali do zlizywania brudu i trocin z podłogi, kopali w zadek. Kiedy go już dość udręczyli i upokorzyli, a on leżał, płacząc z wściekłości, uciekli rozradowani, cisnąwszy wpierw jego pistolety na podłogę. I to był ich wielki błąd. Pobiegł za nimi i zastrzelił obu na ulicy. Od tego czasu, powiedział George, nikt nie traktuje Cantabilów serio. Stary Ralph (Moochy) Cantabile, odsiadujący teraz dożywocie w Joliet, wykończył rodzinę w oczach mafii, bo zamordował dwóch wyrostków. Toteż Rinaldo nie może sobie pozwolić na to, żeby go zlekceważył człowiek w moim rodzaju, dobrze znany w Chicago, który przegrał do niego w pokera, a potem wstrzymał wypłatę czeku. Rinaldo czy Ronald może nie ma pozycji w świecie przestępczym, ale zrobił potworne rzeczy z moim samochodem. Kto może odgadnąć, czyjego wściekłość jest rzeczywiście wściekłością gangstera, autentyczną czy udawaną? Cantabile należy niewątpliwie do tych dumnych i wrażliwych natur, przyczyniających zawsze mnóstwo kłopotów, ponieważ przejmują się sprawami ducha, z których człowiek rozsądny niewiele sobie robi.

Nie byłem na tyle oderwany od rzeczywistości, żeby nie zadać sobie pytania, czy przez człowieka rozsądnego rozumiem siebie. Po powrocie z banku zacząłem się golić i wtedy to spostrzegłem, że moja twarz, ukształtowana do wesołości, opierająca się na metafizycznej przesłance o powszechnej wzajemnej życzliwości, utwierdzona w przekonaniu, że pojawienie się człowieka na ziemi było ogólnie rzecz biorąc, faktem pomyślnym – więc że ta moja twarz, wypełniona przesłankami zaczerpniętymi z demokracji kapitalistycznej, jest teraz zgnębiona, odmieniona w zgrzyzocie, ponura, niemila do golenia. Czy byłem tym wspomnianym wyżej człowiekiem rozsądnym?

Dokonałem kilku obiektywnych operacji. Przeprowadziłem na sobie maleńką analizę ontogenetyczną i filogenetyczną. Rekapitulując, rodzina nazywała się Cytryn i pochodziła z Kijowa. Nazwisko otrzymało angielskie brzmienie na Ellis Island.

Urodziłem się w Appleton w stanie Wisconsin; tam też urodził się Harry Houdini, z którym, jak mi się zdaje, łączy mnie pewne pokrewieństwo. Dorastałem w polskim Chicago. Chodziłem do szkoły im. Chopina. Ósmy rok życia spędziłem na oddziale miejskiego sanatorium przeciwgruźliczego. Zacni ludzie ofiarowywali pacjentom sanatorium tony barwnych komiksów. Stosy ich leżały obok każdego łóżka. Dzieci śledziły przygody Chudego Jima i Booba McNutta. A ja poza tym czytałem dniem i nocą Biblię. Wolno nas było odwiedzać raz na tydzień. Rodzice przychodzili na zmianę, matka w starej sukni z zielonej serży, opiętej na piersiach, wielkooka, prostonosa, posiwiiała od trosk – głębokie emocje utrudniały jej oddychanie; ojciec, imigrant walczący zaciekle, przychodził z mroźnego powietrza w marynarce przesiąkniętej dymem tytoniowym. Dzieci w nocy dostawały krwotoków, dławili się krwią i umierały. Rano trzeba było stawić czoło białej geometrii zasłanych łóżeczek. Nauczyłem się tu rozmyślać i sędzę, że moja choroba płuc przerodziła się w zaburzenia emocjonalne, w których następnie czułem się niekiedy i nadal czuję się zatruty gorliwością, nadmiarem tkliwych impulsów połączonych z gorączką i uderzającym mi do głowy entuzjazmem. Dzięki gruźlicy łączyłem oddychanie z radością, dzięki mrokowi na sali łączyłem radość ze światłem i wreszcie dzięki mojemu irracjonalizmowi dopatrywałem się związku między światłem na ścianach i światłem w moim wnętrzu. Stałem się chyba osobnikiem o mentalności członków Armii Zbawienia. Co więcej (konkludując), Ameryka to kraj o instynktach dydaktycznych i jej mieszkańcy wciąż ofiarowują jeden drugiemu swoje osobiste doświadczenia jako pożyteczną naukę, w nadziei, że ich podniosą na duchu i że im się przysłużą – coś w rodzaju intensywnej kampanii reklamowej. Bywają chwile, w których objawia mi się to jako idealizm. Bywają inne chwile, kiedy widzę w tym czysty obłęd. Skoro wszyscy upierają się, żeby czynić dobrze, skąd bierze się tyle zła? Czy Humboldt nie to miał na myśli, nazywając mnie naiwniakiem? Wysublimowawszy w sobie wiele rodzajów zła, biedaczysko umarł jako przykład, a jego spuścizna była pytaniem skierowanym do ogółu. Wielkim pytaniem o śmierć, w którym Walt Whitman widział pytanie nad pytaniami.

W każdym razie nic mnie to nie obchodziło, jak wyglądam w lustrze. Dostrzegłem anielskie osady zagęszczające się w obłudę, zwłaszcza koło ust. Wobec tego skończyłem się golić po omacku i otworzyłem oczy dopiero wtedy, kiedy zacząłem wkładać ubranie. Wybrałem spokojny garnitur i krawat. Nie chciałem prowokować Cantabilego rzucającym się w oczy wyglądem.

Nie czekałem długo na windę. W moim domu skończyła się właśnie pora psów. W godzinach wyprowadzania psów na spacer sprawa jest beznadziejna. Trzeba piąć się po schodach. Wszedłem do mojego pogruchotanego wozu, którego sama konserwacja kosztowała mnie półtora tysiąca dolarów rocznie. Ulica cuchnęła. Był to okres przed Bożym Narodzeniem, mroczny grudzień, i brązowe powietrze, bardziej gaz niż powietrze, płynęło ponad jeziorem od strony wielkich kompleksów stalowni i rafinerii Południowego Chicago, Hammond i Gary w Indianie. Wsiadłem do samochodu i uruchomiłem silnik, włączyłem radio. Usłyszawszy muzykę żałowałem, że nie ma więcej guzików do naciśnięcia, bo jakoś mi nie wystarczała. W kulturalnym

programie stacji FM nadawano wakacyjne koncerty Corellego, Bacha i Palestriny – Musica Antiqua – dyrygowane przez niedawno zmarłego Greenberga, z Cohenem grającym na viola da gamba i Levim przy klawikordzie. Grali wzniosłe i piękne kantaty na antycznych instrumentach. Gdy tymczasem ja usiłowałem dojrzeć cokolwiek przez szybę zdruzgotaną przez Cantabilego. Włożyłem nowe banknoty pięćdziesięciodolarowe do kieszeni, obok okularów, portfela i chusteczki. Nie zdecydowałem jeszcze, w jakiej kolejności będę działał. Nigdy nie układałem z góry takich rzeczy, tylko czekam, aż mi się same objawiają, i na Outer Drive przyszło mi nagle do głowy, żeby wstąpić do Klubu Sportowego. Moja dusza znajdowała się w jednym ze swoich chicagowskich stanów. Jak mam określić to zjawisko? W takim stanie wciąż mi czegoś brak, serce wzbiera mi uczuciami, rozsadza mnie gorliwość. Odczuwająca część duszy pragnie się wypowiedzieć. Pojawiają się pewne symptomy zatrucia kofeiną. Jednocześnie mam uczucie, że jestem narzędziem zewnętrznych mocy. Posługują się mną albo jako przykładem ludzkiego błędzenia, albo jako mglistą zapowiedzią pożądanych zdarzeń w przyszłości. Jechałem dalej. Wody ogromnego, bladego jeziora uderzały o brzeg. Na wschodzie było białe syberyjskie niebo i McCormick Place, jak lotniskowiec przycumowany do brzegu. Z trawy wyciekło życie. Miała swój zimowy brązowy kolor. Automobiliści doganiali mnie i jechali obok, żeby rzucić okiem na mercedesa, tak nieprawdopodobnie okaleczonego.

Chciałem w Klubie Sportowym porozmawiać z Vito Langobardim i dowiedzieć się, jakie jest jego zdanie – jeżeli w ogóle ma jakieś zdanie – o Rinaldo Cantabilem. Vito był grubą rybą w świecie przestępczym, kumplem zmarłego Murraya Wielbłąda i Battagliów. Często grywałem z nim w squasha, lubiłem Langobardiego. Bardzo go lubiłem i zdawało mi się, że on też mnie lubi. Był niezwykle ważną osobistością świata przestępczego, stojącą tak wysoko w hierarchii, że wysubtelniał i stał się dżentelmenem, toteż rozmawialiśmy wyłącznie o butach i koszulach. Spośród członków klubu tylko my dwaj nosiliśmy koszule szyte na miarę, z patką do przytrzymywania krawata pod kołnierzykiem. Ta patka w pewnym sensie nas połączyła. Jak w jednym z dzikich plemion – czytałem o tym kiedyś – gdzie po upływie dzieciństwa brat i siostra, z uwagi na straszliwe tabu kazirodztwa, nie widują się aż do progu starości, kiedy to zakaz traci nagle moc... nie, to porównanie na nic się nie zda. Ale znałem w szkole wielu dzikich chłopców, strasznych chłopców, których dorosłe życie różni się pod każdym względem od mojego, i teraz możemy sobie gawędzić o łowieniu ryb na Florydzie i szytych na miarę koszulach z patkami albo o kłopotach z dobermanem Langobardiego. Po grze, w demokracji nagusów, jaką rodzi szatnia klubu sportowego, popijaliśmy w miłym nastroju soki i rozmawiali o filmach tylko dla dorosłych.

– Nigdy nie chodzę na takie filmy – oznajmił Langobardi. – Powiedzmy, że policja zrobi nalot na kino i aresztuje mnie. Jak by to wyglądało w gazetach?

Do osiągnięcia dystynkcji potrzebne jest kilka milionów dolarów, a Vito Langobardi, z milionami dobrze zamarynowanymi, był wzorem dystynkcji. Brutalne negocjacje pozostawiał swoim pośrednikom handlowym i adwokatom. Na korcie trochę utykał, bo mięśnie łydek miał słabo rozwinięte, co jest defektem pospolitym również u dzieci nerwowych. Ale grał z wielką przebiegłością. Zwyciężał mnie zawsze, bo zawsze wiedział, co robię z tyłu za nim. Lubiałem Vita.

Ze squashem zapoznał mnie George Swiebel; jest to gra niezwykle szybka i pozostawiająca mnóstwo siniaków. Gracz wpada na partnerów albo obija się o ściany. Często uderza nas cudza rakietą albo sami grzmocimy się rakieta w twarz. Zapłaciłem już za tę grę przednim zębem. Sam go sobie wybiłem, skończyło się na leczeniu kanałowym i koronce. Najpierw byłem cherlawym dzieckiem, pacjentem sanatorium gruźliczego, potem nabrałem sprawności, potem się zdegenerowałem, potem George zmusił mnie do odzyskania siły mięśni. Czasem rano po wstaniu kuleję, z trudem mogę wyprostować plecy, ale w południe jestem na korcie i gram, skaczę, padam jak długi przy próbie odebrania morderczych piłek, wyrzucając w górę nogi i wirując w *entrechat* jak rosyjski tancerz. Ale nie gram dobrze. Za dużo spraw ciąży mi na sercu, jestem zbyt napięty, porywa mnie szaleństwo walki i rywalizacji. Poza tym, waląc w piłkę powtarzam sobie: „Tańcz, tańcz, tańcz, tańcz!”, przekonany, że biegłość w tej grze zależy od tańczenia. Ale gangsterzy i biznesmeni, przenosząc swój profesjonalny styl do tych rozgrywek, tańczą lepiej ode mnie i zwyciężają. Tłumaczę sobie, że kiedy osiągnę duchową i umysłową jasność i przetransportuję ją na tę grę, nikt mi nie dorówna. Nikt. Pobiję ich wszystkich. A tymczasem, niezależnie od zmęczonego stanu ducha, który nie pozwala mi zwyciężać, gram gwałtownie, ponieważ robię się zawzięty, ale nie jestem wytrwały w działaniu. Tylko zawzięty. Od czasu do czasu ten czy ów podstarzały sportowiec wyciąga kopyta. Odwieziony na sygnale do szpitala nigdy już tu nie wraca. Langobardi i ja graliśmy kiedyś w „mordercę” (mecz na trzy osoby) z niejakim Hildenfischem, który dostał ataku serca. Zauważyliśmy, że Hildenfisch dyszy. Po rozgrywce poszedł odpocząć do sauny i ktoś wybiegł stamtąd, wołając: „Hildenfisch zemdlął!” Kiedy czarni chłopcy z personelu położyli go na podłodze, chlupnęła z niego woda. Wiedziałem, czego dowodzi ta nagła wysiadka zwieraczy. Przyniesiono aparat reanimacyjny, ale nikt nie umiał się nim posłużyć.

Zdarzało się, że kiedy grałem za ostro, Scottie, atletyczny kierownik klubu, kazał mi odłożyć rakieta.

– Przerwij i spójrz na siebie, Charlie. Jesteś purpurowy.

W lustrze byłem straszny, twarz ociekająca potem, sina, czarna, serce waliło mi w piersi. Miałem uczucie, że jestem trochę głuchy. Trąbki Eustachiusza! Sam postawiłem diagnozę. Skok ciśnienia powodował, że moje trąbki drgały. – Przejdzie ci, jak będziesz chodził. – Maszerowałem tam i z powrotem po kawałku chodnika, już na zawsze utożsamiony z biednym Hildenfischem – zgorzkniały, pośledniejszy Hildenfisch. W obliczu śmierci nie byłem lepszy od Hildenfische. A jak kiedyś grałem za ostro i potem leżałem, dysząc, na plastikowej kozetce, przyszedł Langobardi i spozrzał na mnie. Kiedy się nad czymś zastanawiał, zaczynał zezować. Jedno oko zdawało się przechodzić na drugą stronę jak ręka pianisty.

– Dlaczego się forsujesz, Charlie? W naszym wieku jedna krótka partia wystarczy. Czy widziałeś, żebym grał więcej? Możesz wykorkować któregoś pięknego dnia. Pamiętasz, co było z Hildenfischem?

Tak. Mogę wykorkować. Jasne. Mogę raz źle rzucić kości. Dość tego przekomarzania się ze śmiercią. Wzruszyła mnie troskliwość Langobardiego. Czy był to jednak niepokój o mnie? Te nagłe śmierci w klubach są czymś bardzo nieprzyjemnym, a dwa kolejne zawały wprowadziły tu ponury nastrój. Ale Vito chciał mi pomóc. Mało było rzeczy o treściach istotnych, które mogliśmy sobie nawzajem powiedzieć. Obserwowałem go czasem, kiedy rozmawiał przez telefon. Na swój sposób był typowym amerykańskim potentatem. Przystojny Langobardi ubierał się lepiej niż niejeden prezes rady nadzorczej. Nawet rękawy jego marynarki miały pomysłową podszewkę, a plecy kamizelki były z pięknego kaszmiru. Rozmowy zamawiano na nazwisko Fincha, czyścibuta klubowego. „Johnny Finch, Johnny Finch, telefon, kabina numer 5...” i Langobardi je odbierał. Był męski, miał władzę. Cichym głosem wydawał polecenia, ustalał zasady, podejmował decyzje, może określał rodzaj kar. No więc, czy mógł mi powiedzieć coś naprawdę istotnego? Ale czy ja mogłem mu powiedzieć, co zaprzętało moje myśli? Czy mogłem mu powiedzieć, że tego właśnie dnia rano czytałem *Fenomenologię* Hegla – przeglądałem stronicę o wolności i śmierci? Czy mogłem mu powiedzieć, że rozmyślałem o historii ludzkiej świadomości, ze szczególnym uwzględnieniem zagadnienia nudy? Czy mogłem powiedzieć, że ta sprawa nurtuje mnie od lat i że omawiałem ją kiedyś ze zmarłym poetą Von Humboldtem Fleisherem? Nigdy! Nawet z astrofizykami, z profesorami ekonomii i paleontologii nie można prowadzić rozmów na takie tematy. Były w Chicago rzeczy piękne i wzruszające, ale kultura do nich nie należała. Mieliśmy więc miasto pozbawione kultury, niemniej jednak rządzące się intelektem. Intelekt bez kultury – w to się grało, prawda? Jak wam się to podoba? Precyzyjna ocena. Dawno się z tym pogodziłem.

Oczy Langobardiego zdawały się mieć właściwości peryskopu: widziały to, co czyha za węglem.

– Bądź mądry, Charlie. Rób tak jak ja.

Podziękowawszy mu szczerze za jego życzliwe zainteresowanie, powiedziałem:

– Staram się.

Zaparkowałem dzisiaj pod monotonnymi filarami wejścia na tyłach i windą wjechałem na górę do salonu fryzjerskiego. A tam, jak zwykle, pracowita scenka: trzech fryzjerzy – ogromny Szwed z farbowanymi włosami, Sycylijczyk, który był zawsze sobą (nawet się nie golił) i Japończyk. Każdy z nich miał taką samą bujną fryzurę, taką samą żółtą kamizelkę ozdobioną rzędem złotych guzików na koszuli z krótkimi rękawami. Wszyscy trzech układali włosy trzech klientów, posługując się grzebieniem i niebieską suszarką. Wszedłem do klubu przez toalety, gdzie światło mrugało nad umywalkami, a Finch, prawdziwy Johnny Finch, napełniał pisuary stertą kostek lodu. Langobardi, wczesny ptaszek, był już w klubie. Ostatnio zachciało mu się nosić małą grzywkę, jak członek wiejskiej rady parafialnej w Anglii. Siedział nagi, przeglądał „Wall Street Journal”, a kiedy wszedłem, rzucił mi na powitanie krótki uśmiech. I co teraz? Czy mogłem przenieść nagle moje stosunki z Langobardim na nową płaszczyznę, przysunąć krzesło i usiąść z łokciami na kolanach, patrząc mu w twarz i nadając rysom wyraz impulsywnego ciepła? Czy mogłem, z oczami rozszerzonymi wątpliwością, ufnością, powiedzieć: „Vito, czy nie zechciałbyś mi pomóc?” Albo: „Vito, czy ten Rinaldo Cantabile to groźny facet?” Serce załomotało mi gwałtownie, jak mi łomotało przed dziesiątkami lat, kiedy miałem wyznać miłość kobiecie. Langobardi wyświadczał mi od czasu do czasu drobne przysługi, powiedzmy zamawiał miejsce w restauracji, gdzie było trudno o stolik. Ale dopytywanie się o Cantabilego byłoby czymś w rodzaju konsultacji zawodowej. Tego się nie robi w klubie. Vito zwymyślał kiedyś Alfonsa, jednego z masażyistów, kiedy ten zadał mi jakieś intelektualne pytanie. „Nie nudź go, Al. Charlie nie przychodzi do klubu, żeby mówić o swoim sklepiu. Wszyscy przychodzimy tutaj, żeby zapomnieć o interesach”. Kiedy powtórzyłem to Renacie, stwierdziła: „A więc łączą was już stosunki osobiste”. Teraz zrozumiałem, że tak samo mam stosunki z Langobardim, jak Empire State Building ma poddasze.

– Chcesz zagrać?

– Nie, Vito, przyszedłem wziąć coś z szafki.

To samo co zawsze paniczne szukanie jakiegoś wyjścia, myślałem, wracając do pogruchotanego mercedesa. Jakie to dla mnie typowe. To samo co zawsze łaknienie. Szukałem pomocy. Pragnąłem znaleźć kogoś, kto przebyłby ze mną stację Drogi Krzyżowej. Zupełnie jak papa. A gdzie jest papa? Papa jest na cmentarzu.

* * *

W warsztacie Mercedesa dystyngowany pan, technik w białym fartuchu, był naturalnie bardzo ciekawy, ale nie odpowiedziałem mu na żadne pytania.

– Nie wiem, jak się to stało, Fritz. Taki samochód znalazłem. Doprowadź go do porządku. Rachunków też nie chcę widzieć. Poślij wszystko do moich agentów ubezpieczeniowych, Continental Illinois. Zapłać. – Fritz kazał sobie płacić jak neurochirurg.

Na ulicy złapałem taksówkę. Szofer wyglądał jak dzikus, miał na głowie ogromne afro przypominające krzak z ogrodów wersalskich. Wnętrze jego taksówki było szare od popiołu papierosów i cuchnęło knajpą. Oddzielała mnie od niego kuloodporna szyba. Skręcił gwałtownie i ruszył prosto na zachód, w kierunku Division Street. Widziałem niewiele, mętny plexiglas i afro zasłaniały mi widok, ale właściwie mogłem nie patrzeć, znałem to wszystko na pamięć. Duże partie Chicago niszczej i rozpadają się. Niektóre są odbudowywane, inne po prostu leżą w gruzach. Przypomina to montaż filmowy – podnoszenie, upadek, podnoszenie. Division Street, na której znajduje się stara łaźnia, była kiedyś ulicą polską, teraz mieszkają tam prawie sami Portorykańczycy. W dawnych polskich czasach małe murowane domki były pomalowane jaskrawoczerwoną farbą, brązową farbą i farbą zieloną jak cukierek. Trawniki były ogrodzone żelaznymi rurami. Zawsze sobie myślałem, że tak właśnie wyglądają niektóre miasta nad Bałtykiem, na przykład Gdynia – z tą tylko różnicą, że w Illinois preria wybuchła na nie zabudowanych działkach, a wiatr gna osty po ulicach. Osty są takie pełne melancholii.

W dawnych czasach wozów z lodem i wozów z węglem właściciele posesji cięli dziurawe kotły na pół, ustawiali je na trawnikach i napełniali kwiatami. Tęgie polskie kobiety w czepkach przybranych wstążkami wychodziły wiosną, dźwigając puszki farby Sapolio i malowały te kotły-donice, połyskujące później srebrem na tle błyszczącej czerwieni ścian. Podwójne rzędy kotłów sterczały z ziemi niczym wypukłe tatuowane wzory na skórze afrykańskich plemion. I tutaj kobiety hodowały geranium, goździki ogrodowe i różne inne, pospolite i zakurzone kwiaty. Wiele lat temu pokazałem to wszystko Humboldtowi Fleisherowi. Przyjechał na wieczór autorski zorganizowany przez miesięcznik „Poetry” i chciał obejrzeć miasto. Byliśmy wtedy najbliższymi przyjaciółmi. Wróciłem na krótko do Chicago, żeby zobaczyć się z ojcem i w Newberry Library ostatecznie dopracować moją książkę o osobistościach Nowego Ładu. Zawiozłem Humboldta kolejną nadziemną do doków. Obejrzał Loop. Pojechaliliśmy nad jezioro posłuchać syren odzywających się w mgle. Ryczały melancholijnie ponad leniwą, jedwabistą, zimną, liliową, głęboką wodą. Ale Humboldt najsilniej zareagował na stare dzielnice. Srebrzone krawędzie kotłów i gorejące polskie geranium naprawdę go poruszyły. Błady i milczący przysłuchiwał się zgrzytliwemu turkotowi wrotek na szorstkim cemencie. Ja też reaguję sentymentalnie na miejską brzydotę. W nowoczesnym duchu odkupienia pospolitości, wszystkich tych rupieci i całej lichoty, przez sztukę i poezję, przez potężną moc ducha.

Mary, moja ośmioletnia córka, odkryła to we mnie. Wie o mojej słabości do ontogenezy i filogenezy. Wciąż się dopytuje, jakie było życie dawno, dawno temu.

– Mieliśmy piec na węgiel – mówię jej. – Piec kuchenny był czarny, z nikłowymi okuciami, ogromny. Piec w saloniku miał u góry kopułę, jak mały kościół, i szybkę z miki, przez którą było widać ogień. Musiałem wnosić na górę węgiel w kubie i wybierać popiół.

– Jak byłeś ubrany?

– Miałem pilotkę ze sztucznej skóry, z klapkami podbitymi króliczym futerkiem, wysokie buty z kieszenią na zardzewiały nóż myśliwski, długie czarne pończochy i pumpy. A pod spodem wełnianą bieliznę, która zostawiała mi strzępki przędzy w pępku i gdzie indziej.

– Jak jeszcze było? – dopytywała się moja młodsza córka. Lish, która ma lat dziesięć, jest córką swojej matki i nie interesują jej takie wiadomości. Ale Mary jest mniej ładna, chociaż moim zdaniem bardziej pociągająca (jak jej ojciec). Jest skryta i chciwa. Kłamie i kradnie częściej, niż to robią dziewczynki w jej wieku, i tym też podbija moje serce. Chowa gumę do żucia i czekoladki ze zdumiewającą pomysłowością.

Znajduję jej cukierki w szparach pod obiciem mebli i w mojej kartotece. Zorientowała się, że nieczęsto zaglądam do zgromadzonych materiałów. Pochlebia mi i naciąga mnie to przemądrzałe dziecko. I chce wiedzieć o dawnych czasach. Rozbudza moje emocje i manipuluje nimi dla swoich własnych celów. Ale papcio bardzo chętnie zgadza się manifestować sentymenty do dawnych czasów. Prawdę mówiąc, muszę przekazać te uczucia. Bo mam w związku z Mary pewne plany. Och, plany to za dużo powiedziane. Ale pomyślałem, że może uda mi się napełnić umysł tego dziecka sobą i że w konsekwencji Mary podejmie później pracę, do której prowadzenia jestem już za stary albo za słaby, albo za głupi. Ona sama albo ona z mężem. Przy odrobinie szczęścia. Martwię się o to dziecko. W zamkniętej na klucz szufladzie biurka trzymam notatki i wskazówki dla niej. Wiele z nich pisałem pod wpływem alkoholu. Obiecuję sobie ocenzurować je pewnego dnia, zanim śmierć mnie dopadnie na korcie albo na korygującym postawę materacu tej czy innej Renaty. Mary na pewno będzie kobietą inteligentną. Interpretuje *Für Elise* znacznie lepiej niż Lish. Mary czuje muzykę. Ale w głębi duszy martwię się o to dziecko. Będzie chudą, prostonosą dziewczyną, która czuje muzykę. Osobiście wolę kobiety pulchne i o pełnych piersiach. Więc już teraz mi jej żal. Co do projektu czy celu, który zgodnie z moim pragnieniem ma realizować, jest to bardzo osobiste spojrzenie na Komedie Intelktualną współczesnego umysłu. Żaden człowiek nie potrafi sam zrobić tego w sposób zrozumiały. Już w końcu dziewiętnastego stulecia to, co było obszerną powieścią Balzakowskiej *Komedii*, skurczyło się do rozmiarów opowiadania Czechowa w jego rosyjskiej *Comedie Humaine*. Teraz jest jeszcze trudniej być zrozumiałym. Nie brałem nigdy w rachubę fikcji literackiej, tylko jakiś odmienny rodzaj projekcji wyobraźni. Odmienny też od *Adventures of Ideas* Whiteheada... Nie pora teraz rzecz wyjaśniać. Cokolwiek to jest, projekt zrodził się we mnie w dość młodym jeszcze wieku. Zresztą to Humboldt pożyczył mi książkę Valery'ego, która podsunęła mi tę myśl. Valery pisał o Leonardzie: *Cet Apollon me ravissait au plus haut degre de moi-meme*. Ja też zostałem oczarowany z trwałym skutkiem – może porwany poza granice mojego intelektu. Ale Valery zanotował na marginesie: *Trouue avant de chercher*. Znajdowanie przed szukaniem – oto był mój największy talent. Jeżeli w ogóle miałem jakieś talenty. Jednakże moja córeczka zwracała się do mnie z morderczą precyzją instynktu:

– Powiedz mi, co robiła twoja matka. Czy była ładna?

– Myślę, że była bardzo ładna. Nie jestem do niej podobny. Co robiła? Gotowała, piekła, prała i prasowała, robiła konfitury na zimę, kwasiała kapustę i ogórki. Umiała wróżyć z kart i śpiewała zawodzące rosyjskie piosenki. Matka i ojciec odwiedzali mnie na zmianę w sanatorium, co drugi tydzień każde. Lody waniliowe, które przynosili w lutym, były tak twarde, że z trudem dawały się krajać. Co jeszcze... Ach, tak. Kiedy w domu wypadł mi mleczy ząb, rzucała go za piec i prosiła małą myszkę, żeby przyniosła lepszy. Sama widzisz, jakie zęby dostarczyły te przekłete myszki.

– Kochałeś swoją matkę?

Nagle wdarło się żarliwe, nabrzmiewające uczucie. Zapominając, że rozmawiam z dzieckiem, powiedziałem:

– Och, kochałem ich wszystkich, strasznie. Miłość mnie rozszarpywała. Rozszarpywała mi serce. Płakałem w sanatorium, że mogę nigdy nie wrócić do domu i więcej ich już nie zobaczyć. Jestem pewien, Mary, że oni się nawet, nie domyślali, jak ich kocham. Miałem gorączkę z gruźlicy i gorączkę z miłości. Dziecko powodowane chorobliwą namiętnością. W szkole zawsze byłem w kimś zakochany. A jak w domu wstałem rano, pierwszy przed wszystkimi, cierpiałem, bo oni jeszcze spali. Chciałem, żeby się obudzili i żeby cała ta cudowność trwała dalej. Kochałem też Menaszę, naszego lokatora, i Juliusza, mojego brata... twojego stryja.

Muszę odłożyć na bok te emocjonalne szczegóły.

W tym momencie zaprzatają mi myśli pieniądze, czeki, gangsterzy, automobile.

Jeszcze jeden człek nie dawał mi spokoju. Przesłał mi go mój przyjaciel Thaxter – ten, którego Higgins oskarżył o przynależność do CIA. Otóż postanowiliśmy z Thaxterem założyć nowe pismo, miało się nazywać „The Ark”. Byliśmy już ze wszystkim gotowi. Miały być w nim drukowane cudowne rzeczy, na przykład fragmenty moich pełnych imaginacji myśli na temat świata przeistoczonego przez intelekt. Ale tymczasem Thaxter zdefraudował pewną pożyczkę.

Jest to długa historia i w tym momencie wolałbym się nad nią nie rozwodzić. Z dwóch przyczyn. Pierwsza, to że kocham Thaxtera, cokolwiek robi. Druga, to że myślę za dużo o pieniądzach. Nie ma co ukrywać. Jest to fakt, brzydki fakt. Opisując wyżej, jak George uratował Sharon od śmierci, nazywałem krew życiodajną substancją. Cóż, pieniądze też są życiodajną substancją. Thaxter miał spłacić część tej zdefraudowanej pożyczki. Zbankrutowany, ale wielkopański, kazał swojemu włoskiemu bankowi – Banco Ambrosiano w Mediolanie – przysłać mi czek. Dlaczego „Banco”? Dlaczego Mediolan? Ale wszystkie działania Thaxtera były

niezwykłe. Odebrał transatlantyckie wychowanie i czuł się jak w domu zarówno we Francji, jak w Kalifornii. Jeśli ktoś wymienił najodleglejszy zakątek na świecie, zawsze się okazywało, że Thaxter ma tam wujka albo udział w kopalni, albo stare chateau, albo willę. Thaxter ze swoim ekscentrycznym sposobem postępowania to jeszcze jedno źródło moich strapiień. Ale nie mogłem mu się oprzeć. Jednakże ta sprawa też musi poczekać. Dodam jeszcze tylko parę słów. Thaxter chciał, żeby ludzie wierzyli w jego przynależność do CIA. Była to śliczna plotka i Thaxter robił wszystko, żeby ją podtrzymać. Bardzo zwiększała jego tajemniczość, a tajemniczość stanowiła jedno z małych oszustw mojego przyjaciela. Wydawało się to nieszkodliwe i w gruncie rzeczy budziło sympatię. Było nawet altruistyczne, bo wdzięk zawsze jest altruistyczny – do pewnego stopnia. Wdzięk zawsze jest w pewnej maleńkiej mierze oszustwem.

Taksówka zatrzymała się obok łaźni o dwadzieścia minut za wcześnie, a ja ani myślałem wałęsać się przed wejściem. Powiedziałem przez otwory w pancernej szybie:

– Proszę jechać dalej na zachód. Nie ma pośpiechu, chcę się rozejrzeć po okolicy.

Taksówkarz usłyszał mnie i kiwnął swoim afro. Afro wyglądało jak puch mleczu, delikatny, rozdęty.

W ciągu ostatniego półrocza zburzono następne zabytki mojej starej dzielnicy. To nie powinno mieć dla mnie większego znaczenia. Nie umiem powiedzieć, czemu było takie ważne. Ale byłem zdenerwowany. Niemal zdawało mi się, że słyhać, jak trzepoczę i biję skrzydłami na tylnym siedzeniu taksówki – niczym ptak szybujący nad mangrowcami swojej młodości, zamienionymi w cmentarzysko samochodów. Z głośno bijącym tętnem patrzyłem przez brudne szyby samochodu. Zwalono cały blok domów. Zmiecioną została z powierzchni Węgierska Restauracja Loviego, lokal do gry w bilard Bena, stara wozownia z czerwonej cegły i zakład pogrzebowy Grotcha, z którego wyruszyły konduktu obojga moich rodziców. Wieczność nie miała tu malowniczego antraktu. Ruiny czasu zmiażdżono buldożerami, zeszkrobano, załadowano na ciężarówki i wywieziono na usypisko. Wyrastały nowe stalowe belki stropów. Polska kiełbasa nie wisiała już na wystawach u rzeźników. Wędliny w *carniceria* były rodem z Wysp Karaibskich, czerwonosine i pomarszczone. Zniknęły dawne szyldy nad sklepami. Nowe obwieszczają: HOY. MUNDANZAS. IGLESIA.

– Niech pan jedzie dalej na zachód – powiedziałem kierowcy. – Jak pan minie park, proszę skrócić w prawo.

Stary bulwar był teraz zapadającą się ruiną, czekającą na rozbiórkę. Przez ogromne wyrwy patrzyłem na mieszkania, w których kiedyś spałem, jadłem, odrabiałem lekcje, całowałem się z dziewczynami. Człowiek musiałby nienawidzić samego siebie, żeby być obojętnym wobec takiego zniszczenia, albo gorzej, musiałby cieszyć się ruiną siedliska tych drobnomieszczańskich sentymentów – rad, że historia obróciła je w gruzy. Prawdę mówiąc, znam takich twardych facetów. Wyprodukowała ich ta właśnie dzielnica. Donosiciele na usługach metafizyczno-historycznej policji, działający przeciwko ludziom takim jak ja, którym serce kraje się na widok niszczonej przeszłości. Ale ja przyjechałem tu, żeby się zatopić w melancholii, żeby się smucić nad porozbijanymi ścianami i oknami, nad drzwiami, których nie ma, nad wyszarpaną z murów armaturą i kablami telefonicznymi, wrywanymi i sprzedawanymi na szmelc. A dokładniej mówiąc, przyjechałem zobaczyć, czy stoi jeszcze dom, w którym mieszkała Naomi Lutz. Nie stał. To mnie do reszty przygnębiło.

W moim wysoce emocjonalnym wieku dojrzewania kochałem Naomi Lutz. Była chyba najpiękniejszą i najdoskonalszą ze wszystkich znanych mi dziewczyn, uwielbiałem ją i miłość wydobyła na jaw najgłębsze osobliwości mojego charakteru. Jej ojciec był ogólnie szanowanym pedikiurzystą. Przybierał lekarskie pozy – w każdym calu prawdziwy Pan Doktor. Matka była zadaną kobietą, zaniedbaną, roztrzepaną, o twarzy prawie bez podbródka, ale o żarzących się, ogromnych, romantycznych oczach. Co wieczór musiałem grać z doktorem Lutzem w remika, a w niedzielę pomagałem mu myć i polerować samochód. Ale nie miałem nic przeciwko temu. Kiedy kochałem Naomi Lutz, byłem bezpiecznie w środku życia. Jego zjawiska sumowały się logicznie, były sensowne. Śmierć wydawała się mimo wszystko możliwą do przyjęcia częścią całej sprawy. Miałem własną maleńką Krainę Jezior, miałem park, po którym wędrowałem z moim Platonem, moim Wordsworthem i moim *Im Coeur Simple*, wszystko w wydaniu Modern Library. Nawet w zimie całowaliśmy się z Naomi w głębi ogrodu różanego. Stojąc pośród zeszywniałych od mrozu gałązek, ogrzewałem się we wnętrzu jej płaszczyka z szopów. Pachniało tam zachwycająco skórkami zwierzęcymi i dziewczęcą świeżością. Oddychaliśmy mroźnym powietrzem i całowaliśmy się. Dopóki wiele lat później nie poznałem Demmie Vonghel, nikogo nie kochałem tak, jak kochałem Naomi Lutz. Ale kiedy byłem w Madison, Wisconsin, studiując poezję i ucząc się grać w bilard, Naomi wyszła za właściciela lombardu. Handlował też odremontowanymi maszynami biurowymi i miał mnóstwo pieniędzy. Byłem za młody na to, żeby ofiarować jej rachunki kredytowe w magazynach Fielda i Saksy, których pragnęła, ale myślę, że poza tym przestraszyło ją duchowe brzemię i odpowiedzialność spoczywająca na żonie intelektualisty. Rozprawiałem nieustannie o

moich książkach z Modern Library, o poezji, o historii i Naomi zlekła się, że mnie rozczaruje. Sama mi to powiedziała. Odparłem wtedy, że jeśli Iza jest rzeczą intelektualną, o ile bardziej intelektualna jest czysta miłość. Nie są jej potrzebne dodatki poznawcze. Ale ona spoglądała tylko na mnie zdziwiona. To przez takie monologi ją straciłem. Nie próbowała mnie odszukać, nawet kiedy jej mąż przepuścił wszystkie pieniądze. Grał na wyścigach i był karciarzem. W końcu musiał zniknąć, bo dobrała się do niego mafia. Chyba nawet przetrącili mu nogi w kostkach. Tak czy inaczej zmienił nazwisko i powędrował, czy też pokuśtykał, na Południowy Zachód. Naomi sprzedała swoją elegancką willę w Winnetka i przeniósła się do Marquette Park, gdzie jej rodzina miała mały domek. Przyjęła pracę w dziale bielizny u Fielda.

Kiedy taksówka wracała na Division Street, złośliwie porównałem kłopoty z mafią, jakie miał mąż Naomi, z tymi, jakie ja teraz miałem. On też coś sfuszerował. Nie mogłem nie myśleć o cudownym życiu z Naomi Lutz. Piętnaście tysięcy nocy z Naomi trzymaną w objęciach, a śmiałybym się z samotności i nudy grobu. Niepotrzebne byłyby mi bibliografie, portfele akcji i ordery Legii Honorowej.

No więc wracaliśmy ulicami, które zmieniły się w typowe dla Indii Zachodnich, tropikalne slumsy i przypominały mi dzielnice San Juan położone w pobliżu lagun, rozbulgotanych i smrodliwych jak gotujące się flaki. Był tu ten sam spękany tynk, potłuczone szkło, sterty śmieci na chodnikach, te same niebieską kredką, po amatorsku wykonane napisy na szybach wystaw.

Ale łaźnia rosyjska, w której miałem się spotkać z Rinaldem Cantabile, była prawie nie zmieniona. Służyła też jako proletariacki hotel czy pensjonat. Na drugim piętrze mieszkali zawsze starzy ludzie, robotnicze wraki – samotni ukraińscy dziadkowie, emerytowani robotnicy od taśm produkcyjnych z fabryki samochodów, mieszkał cukiernik słynny z pięknego lukrowania swoich wyrobów, który przestał pracować, bo palce zeszywniały mu od artretyzmu. Znałem to miejsce od dziecka. Mój ojciec, podobnie jak stary pan Swiebel, uwierzył, że szorowanie ciała liśćmi dębowymi, moczonymi w starych beczkach po kiszonej kapuście, jest zdrowe, odświeża krew. Tacy zacofani ludzie wciąż istnieją, opierają się nowoczesności, chodzą, powłócząc nogami. Jak Menasza, nasz lokator, fizyk amator (ale naprawdę chciał być tenorem operowym i brał lekcje śpiewu, chociaż pracował przy prasie tłoczącej w fabryce fonografów) kiedyś mi tłumaczył, ludzie mogliby wpłynąć na obroty Ziemi. Jak? Och, gdyby cała ludzkość, w ustalonym momencie, zaczęła przebierać nogami, Ziemia zwolniłaby obroty. Mogłoby to też wpłynąć na Księżyc i na rytm przyptywów. Naturalnie sprawą głównie interesującą Menaszę była nie fizyka, tylko zgoda, jedność. Ja osobiście sądzę, że niektórzy z głupoty, inni z przekory przebieraliby nogami w odwrotnym kierunku. Tak czy inaczej, starszankowie w łaźni zdawali się podświadomie uczestniczyć we wspólnym wysiłku zatrzymania historii.

Klienci łaźni parowej na Division Street niczym nie przypominają wymuskanych, pełnych pychy ludzi ze śródmieścia. Nawet stary Feldstein, pedałuający w wieku lat osiemdziesięciu na swoim rowerze do ćwiczeń, nie pasowałby do Division Street. Czterdzieści lat temu Feldstein bawił się, używał, chwycił życie pełnymi garściami. Mimo swych lat jest człowiekiem dzisiejszym, gdy tymczasem bywalcy łaźni rosyjskiej są odlani w staroświeckich formach. Mają sterczące zadki i tłuste piersi, żółte jak maślanka. Wspierają się na kolumnowatych nogach, które w kostce są oplecione czymś w rodzaju grynszpanu, czy też poznaczone żyłkami, jak ser roquefort. Po wyjściu z kąpieli parowej zjadają ogromne pajdy chleba z solonym śledziem albo duże plastry salami i ociekające tłuszczem panierowane kotlety, i piją sznapsa. Mogliby rozbijać mury swoimi twardymi, sterczącymi, staroświeckimi brzuchami. Wszystko jest tu bardzo elementarne. Wydaje się, że ci ludzie nieomal wiedzą, że są przestarzali, są świadomi, że znaleźli się na bocznej linii ewolucji, zapomnianej przez naturę i kulturę. Głęboko pod ziemią, w przegrzanych piwnicach, wszyscy ci słowiańscy jaskiniowcy i wszystkie leśne demony o wiszących fałdach tłuszczu i nogach z kamienia oblepionego mchem gotują się w kłębach pary i wylewają sobie na głowę wiadra lodowatej wody. Na górce, na ekranie telewizyjnym w szatni, mali gogusie i roześmiane dziwki prowadzą dowcipną rozmowę albo podskakują do góry, w dół. Nikt na to nie zwraca uwagi. Mickey, który ma koncesję na bufet, smaży platy mięsa albo placki kartoflane, albo ogromnym nożem kraje kapustę na sałatkę i ćwiartuje grejpferty. Krzepcy starcy wynurzający się w prześcieradłach z pary mają wilczy apetyt. A na dole Franuś, łaźnienik, wytwarza parę, zlewając wodą rozgrzane do białości kamienie. Leżą ułożone w stos, jak amunicja do rzymskich katapult. Żeby mu się mózg nie upiekł, Franuś ma na głowie mokry filcowy kapelusz z oderwanym rondem. Poza tym jest nagi. Podpełza do pieca jak czerwona salamandra i patykiem odciąga zasuwkę na drzwiczkach, których gołą ręką nie sposób dotknąć, a potem na czworakach, z jądrami wiszącymi na końcu długiego ścięgna, cofa się i po omacku sięga po wiadro. Wlewa wodę, a wtedy bucha płomień i kamienie skwierczą. Może w Karpatach nie ma już wioski, gdzie przetrwały do dziś takie obyczaje.

Wiemy temu miejscu ojciec Miron Swiebel przychodził tu co dzień, przez całe życie. Przynosił własnego śledzia, posmarowany masłem pumpernikiel, surową cebulę i whisky z kukurydzy. Siadał wciąż za kierownicą swojego plymoutha, chociaż nie miał prawa jazdy. Widział nieźle wszystko to, co znajdowało się w prostej linii

przed nim, ale ponieważ miał kataraktę na obu oczach, często ocierał się bokiem o inne auta, a poza tym robił duże szkody na parkingu.

Wszedłem do środka, żeby zbadać sytuację. Byłem naprawdę niespokojny o George'a. Jego rada wpakowała mnie w te tarapaty. Dlaczego go posłuchałem? Czy dlatego, że podniósł głos i przemawiał z takim przekonaniem? Czy dlatego, że wykreował się na znawcę świata podziemnego, a ja pozwoliłem mu grać tę rolę? Cóż, nie posłużyłem się szarymi komórkami. Ale moje szare komórki miały się teraz na baczności i wierzyłem, że poradzę sobie z Cantabilem. Przypuszczałem, że Cantabile wyładował już wściekłość na samochodzie i że wobec tego dług został w większości spłacony.

Zwróciłem się do właściciela koncesji, Mickeya, który stał za kontuarem, opiekając w kłębach dymu tłuste steki i smażąc cebulę:

– Czy jest George? Czy stary pan Swiebel spodziewa się go dzisiaj?

Pomyślałem, że jeśli George siedzi gdzieś tam w środku, jest mało prawdopodobne, żeby Cantabile, ubrany od stóp do głów, wpadał w kłęby pary i bił go czy kopał, czy grzmocił pięściami. Ale Cantabile był wielką niewiadomą. Trudno odgadnąć, co zrobi – czy to w napadzie szału, czy z czystej kalkulacji.

– George'a nie ma. Stary siedzi w parze.

– Doskonale. Czy spodziewa się syna?

– Nie. George był tu w niedzielę, więc dzisiaj nie przyjdzie. Widuje się z ojcem tylko raz na tydzień.

– Doskonale! Świetnie!

Zbudowany jak wykidajło, z ramionami niczym ogromne cepy, w fartuchu przywiązany wysoko pod pachami, Mickey miał grymas w kąciku warg. W latach Wielkiego Kryzysu sypiał po parkach i zimno ciągnące od ziemi spowodowało paraliż mięśni jednego policzka. I teraz ma taką minę, jakby się wciąż irytował czy sztychował. Mylące pozory. Jest człowiekiem łagodnym, poważnym i spokojnym. Kocha muzykę i co roku wykupuje abonament do Opery Lirycznej.

– Dawno cię nie widziałem, Charlie. Wejdz i posiedz trochę w parze ze starym. Będzie rad, że ma towarzystwo.

Ale ja wyszedłem śpiesznie, mijając znów klatkę kasjera pełną małych stalowych kasetek, gdzie klienci zostawiali pieniądze i kosztowności. Przeszedłem obok szyldu fryzjera, a kiedy stanąłem na chodniku, który był jak droga mleczna, gęsto usiany gwiazdami potłuczonego szkła, po drugiej stronie ulicy zatrzymał się biały thunderbird i wysiadł z niego Rinaldo Cantabile. Właściwie wyskoczył. Zauważyłem, że jest potwornie zdenerwowany. Miał na sobie płaszcz reglanowy z odpowiednio dobranym kapeluszem i wysokie buty z miękkiej skóry, był wysoki i przystojny. Podczas gry w pokera zwróciłem uwagę na jego ciemne, gęste wąsy. Przypominały delikatne futro. Ale pod tą wyszukaną elegancją stroju krył się rwący prąd, przewalały się fale, toteż człowiek, żeby tak powiedzieć, wynurzał się z odzienia wściekły od szyi w górę. Chociaż stał po drugiej stronie ulicy, widziałem, że jest błady ze złości. Doprowadził się do tego stanu, żeby mnie zastraszyć, pomyślałem. Ale jednocześnie przebierał dziwnie nogami. Jego stopy zachowywały się w dziwaczny sposób. W tym momencie rozdzieliły nas samochody osobowe i ciężarówki, więc nie mógł przejść przez jezdnię. Pod samochodami widziałem, że usiłuje przebiec na moją stronę. Buty miał naprawdę zachwycające. Przy pierwszej krótkiej przerwie w ruchu rozłożył poły płaszcza. Pod płaszczem miał wspaniałą szeroki pas. Ale z pewnością nie pas chciał mi pokazać. Tuż obok sprzączki sterczał jakiś przedmiot. Uderzył po nim dłonią. Chciał, żebym wiedział, że ma broń. Ruch znowu zgęstniał i Cantabile podskakiwał w miejscu, patrząc na mnie wściekle ponad dachami aut. Kiedy ostatnia ciężarówka przejechała, wrzasnął w krańcowym napięciu:

– Sam?

– Sam. Jestem sam.

Podciągnął się cały w górę do ramion, wykręcając ciało z jakąś szczególną intensywnością. – Ktoś się ukrył?

– Nie. Jestem sam. Nikt ze mną nie przyszedł.

Gwałtownym ruchem otworzył drzwiczki i wyjął leżące na podłodze auta dwa kije do baseballu. Z kijami w obu rękach zaczął iść ku mnie. Rozdzieliła nas furgonetka. Teraz mogłem dojrzeć tylko jego szybko poruszające się stopy w luksusowych butach. Myślałem: widzi, że przyszedłem zapłacić. Dlaczego miałby się na mnie rzucać? Przecież wie, że nie zrobię żadnego kawału. Dowiódł swojej racji, mszcząc się na

samochodzie. I widziałem pistolet. Czy mam uciec? Odkąd przekonałem się w Dniu Dziełczynienia, jak szybko jeszcze biegam, brała mnie dziwaczna pokusa korzystania z tej umiejętności. Szybkość była jedną z moich desek ratunku. Niektórzy ludzie są tak szybcy, że nie wychodzi im to na dobre, jak na przykład Asahel w księdze Samuela. Ale przyszło mi do głowy, żeby wbiec do łaźni i schować się w kasie, gdzie stały małe żelazne kasetki. Mógłbym przykucnąć na podłodze i poprosić kasjera, żeby podał Cantabilemu moje czterysta pięćdziesiąt dolarów. Znaliliśmy się dobrze z kasjerem. Nie wpuści mnie. Nie wolno mu. Nie mam prawa wejść do kasy. Gawędziliśmy kiedyś i wspomniał o tej szczególnej okoliczności. Ale nie mogłem wprost uwierzyć, że Cantabile rzuci się na mnie. Nie na ulicy. Nie wtedy, kiedy czekam z pochyloną głową. I w tym momencie przypomniałem sobie, co Konrad Lorenz mówi o wilkach. Wilk zwyciężony nadstawia gardła i zwycięzca kłapie zębami, ale nigdy nie ugryzie. Dlatego pochylałem głowę. Niech diabli wezmą moją pamięć! Co Lorenz mówi dalej? Ludzie są inni, ale inni w jakim sensie? Jak inni? Nie mogłem sobie przypomnieć. Mój mózg się rozsypuje. Poprzedniego dnia, w łaźni, nie mogłem sobie przypomnieć słowa określającego izolowanie osób zaraźliwych i przeżywałem udręki. Myślałem: do kogo mam z tym zatelefonować? Mój umysł się kończy! Potem stałem, czepiając się kurczowo brzegów umywalni, dopóki nie wróciło do mnie miłosierne słowo „kwarantanna”. Tak, kwarantanna, ale zaczynam tracić dawną sprawność. Źle znoszę takie rzeczy. Na starość pamięć mojego ojca też szwankowała. Byłem wstrząśnięty. Nie mogłem sobie przypomnieć różnicy między człowiekiem a zwierzętami innego gatunku, takimi jak wilk. Może w podobnych okolicznościach luka w pamięci jest wybaczalna. Ale dowodziło to, jak niedbale czytam w ostatnich czasach. Ten brak skupienia i osłabienie pamięci nie wróżyły nic dobrego.

Kiedy ostatni samochód w długim sznurze pojazdów przejechał, Cantabile zrobił długi krok, z kijami w obu rękach, jak gdyby miał się na mnie rzucić bez chwili zwłoki. Wrzasnąłem:

– Cantabile, na miłość boską!

Zatrzymał się. Wyciągnąłem do niego otwarte dłonie. Wtedy wrzucił jeden kij do wozu i trzymając drugi, zaczął iść do mnie.

Zawołałem do niego:

– Przyniosłem pieniądze. Nie musisz miażdżyć mi czaszki.

– Masz broń?

– Nie mam broni.

– Podejdź tutaj.

Bez ociągania zacząłem przechodzić na drugą stronę ulicy. Kazał mi się zatrzymać w połowie jezdni.

– Stój tam, gdzie jesteś – powiedział. Byłem między sznurami samochodów, klaksony ryczały, zirytowani kierowcy opuszczali szyby, już wybuchały wściekłe kłótnie. Cantabile wrzucił do wozu drugi kij. Potem wyszedł na asfalt i szorstkim ruchem schwycił mnie za ramię. Obchodził się ze mną tak, jakbym zasłużył na najwyższy wymiar kary. Wyjąłem pieniądze i podałem mu je bez słowa. Nawet na nie nie spojrział. Rozwścieczony pchnął mnie na chodnik i dalej w stronę schodów do łaźni, obok wirujących białoczerwono-niebieskich cylindrów szyldu fryzjera. Wpadliśmy do środka, minęliśmy kasę i szliśmy brudnym korytarzem.

– Dalej, dalej – rzucił Cantabile.

– Gdzie pan chce iść?

– Do ubikacji. Gdzie jest klozet?

– Nie chce pan pieniędzy?

– Mówiłem do klozetu! Do klozetu!

Nagle zrozumiałem. Kiszki mu się zbuntowały, poczuł nagłą potrzebę i musi iść do toalety, a ja mam mu towarzyszyć. Nie pozwoli mi czekać na ulicy.

– Dobrze – rzekłem. – Proszę się nie denerwować. Zaprowadzę pana.

Szedł za mną przez szatnię. Ubikacja nie jest oddzielona drzwiami. Tylko poszczególne kabiny mają drzwi. Pokazałem mu ręką, żeby wszedł, i już miałem usiąść na pobliskiej ławce w szatni, ale trzepnął mnie mocno w ramię i pchnął naprzód. Toalety to najgorsza strona łaźni. Z kaloryferów bije zapierający dech suchy żar. Kafli nikt nigdy nie myje, nikt nie dezynfekuje. Gorący; suchy smród uryny szczypie w oczy jak cebula.

– Jezu! – powiedział Cantabile. Kopnięciem otworzył drzwi, wciąż trzymając mnie przed sobą. – Wchodź pierwszy! – rozkazał.

– Obaj mamy wejść? – spytałem.

– Prędzej.

– Jest miejsce tylko dla jednej osoby.

Wyszarpnął pistolet i potrząsnął mi nim przed nosem.

– Chcesz tym w zęby? – spytał. Czarne futerko jego wąsów nastroszyło się, kiedy wargę na wykrzywionej wściekłością twarzy zeszytniała. Brwi połączyły się nad nosem, były teraz jak rękojeść długiego sztyletu. – Właż w kąt! – Zatrzasnął drzwi i dysząc, zaczął zdejmować wierzchnie okrycie.

Wepchnął mi w ramiona płaszcz i taki sam w kolorze kapelusza, chociaż był tu haczyk. Było też coś, czego nigdy przedtem nie zauważyłem. Na ścianie wisiła mosiężna popielniczka z napisem „Cygaro”, resztki dawnej świetności. Cantabile siedział teraz, trzymając pistolet w obu dłoniach, ręce zwisały mu między kolanami, oczy to zamykały się, to otwierały bardzo szeroko.

W tego rodzaju sytuacjach zawsze potrafię się wyłączyć i myśleć o kondycji ludzkiej w ogólności. Naturalnie ten człowiek chciał mnie upokorzyć. Ponieważ byłem *chevalier* orderu *Legion d'honneur*? Przecież o tym nie wiedział. Ale orientował się, że jestem – jak to nazywają w Chicago – Mózgiem, człowiekiem, który osiągnął coś na polu kultury albo nauki. Czy dlatego muszę się przysłuchiwać jego klozetowym odgłosom i wahać jego smród? Może rojenia o okrucieństwie i potwornościach, o mózgu tryskającym mi z czaszki spowodowały rozwolnienie? Ludzkość jest pełna tego rodzaju nerwicowych pomysłów i zacząłem sobie przypominać (dla rozrywki) wszystkie książki traktujące o zachowaniu małp, jakie czytałem w swoim czasie, dzieła Kohlera, Yerkesa, Zuckermana, rozprawę Maraisa o pawianach i Schallera o gorylach, i cały bogaty repertuar trzewiowo-emocjonalnej wrażliwości u małp człekokształtnych. Było nawet możliwe, że jestem człowiekiem bardziej ograniczonym niż osobnik w rodzaju Cantabilego, mimo całej mojej koncentracji na osiągnięciach intelektualnych. Bo nie przyszłoby mi do głowy, żeby wyładowywać na kimś gniew za pomocą tego rodzaju środków. Mógł to być dowód, że jego siła witalna czy wrodzona wyobraźnia są bujniejsze i płodniejsze od moich. I tak, snując uszlachetniające myśli, czekałem, gdy tymczasem on siedział tam ze swoimi groźnymi brwiami jak rękojeść sztyletu. Był przystojnym, smukłym mężczyzną o naturalnie wijących się włosach. Nosił je tak krótko przystrzyżone, że widać było ich korzenie, a ja dostrzegłem, jak gwałtownie napina mu się skóra na głowie w tych momentach wysiłku. Chciał mnie ukarać, a skutek był taki, że wzrosła tylko nasza zażyłość.

Kiedy wstał i wytarł się, a potem wygładził poły koszuli, ściągnął spodnie paskiem o dużej owalnej klamrze i wsunął pistolet (miałem nadzieję, że jest zabezpieczony) – powtarzam: kiedy wygładził poły koszuli i zapiał modny pasek na spodniach-biodrówkach, wsunął pistolet i noskiem spiczastego miękkiego buta spuścił wodę, gdyż za bardzo się brzydził, żeby dotknąć dźwigni, powiedział:

– Boże, niech złapię tu syfa!... – Jakby to mogła być moja wina. Zapewne należał do ludzi, którzy żywiłowo, bezrozumnie o wszystko do wszystkich mają pretensje. – Nawet nie wiesz, z jakim obrzydzeniem siadałem – dodał. – Te staruchy na pewno sikają na deskę. – Tym też obciążył moje konto. Nagle spytał: – Kto jest właścicielem tej speluny?

Fascynujące pytanie! Wicie, nigdy go sobie nie zadawałem. Łaźnia była tak stara, jak piramidy Egiptu, jak biblioteka Assurbanipala. Była jak wzbierająca woda, jak siła ciężenia. Ale w rzeczy samej kto jest jej właścicielem?

– Nie słyszałem nic bliższego o właścicielu – odparłem. – O ile mi wiadomo, jest to jakiś stary człowiek z British Columbia.

– Nie bądź za dowcipny. Jesteś cholernie dowcipny. Pytałem tylko tak. Sam się dowiem.

Do odkręcenia kranu nad umywalnią użył kawałka papieru toaletowego. Mył ręce bez mydła, nie było tu mydła. W tym momencie znowu ofiarowałem mu moje dziesięć banknotów pięćdziesięciodolarowych. Nawet nie raczył na nie spojrzeć. Powiedział:

– Mam mokre ręce. – Nie skorzystał z ręcznika na wałku. Ręcznik był, muszę przyznać, odrażająco pozlepiany, brudny, pod względem brudu nie pozbawiony nawet pewnej oryginalności. Wyciągnąłem do niego chusteczkę, ale ją zignorował. Nie chciał, żeby mu przeszła złość. Rozczapierzywszy palce, potrząsał rękami, póki nie obeschły. Pod naciskiem obrzydliwości tego miejsca powiedział: – I to się nazywa łaźnia?

– Och, ludzie kąpią się na dole – odparłem.

Na dole były dwa długie rzędy pryszniców, a dalej ciężkie drewniane drzwi prowadzące do łaźni parowej. Stał tam też mały zbiornik, tak zwana zimna kąpiel. Z roku na rok nikt nie zmieniał w nim wody i wyobrażałem sobie, że tak może wyglądać siedlisko krokodyli.

Cantabile pośpieszył teraz do bufetu, ja szedłem za nim. Osuszył ręce serwetkami papierowymi, które gniewnym ruchem wyszarpał z metalowego pudła. Zmiał te ozdobne cienkie bibułki i cisnął na podłogę. Zwrócił się do Mickeya:

– Dlaczego nie ma w klozecie mydła i ręczników? Dlaczego nie myjecie tego zakichanego miejsca? Nie ma nawet środków dezynfekcyjnych.

Mickey spytał łagodnie:

– Nie ma? Joe powinien tego pilnować. Kupuję mu proszki i lizol. – Zwrócił się do Joego: – Nie rozwieszasz już kulek kamforowych?

Joe był czarny i stary, i nie odpowiedział na pytanie Mickeya. Stał oparty o fotel do czyszczenia butów, którego dwa mosiężne piedestały w kształcie odwróconych do góry nóg i znieruchomiałych stóp przypominały mi moje własne nogi i stopy, kiedy wykonując ćwiczenie jogi, staję na głowie. Joe był tu, żeby przypominać nam wszystkim o jakichś odległych, wspaniałych racjach, i ani myślał odpowiadać na tego rodzaju doczesne pytania.

– Będziecie się zaopatrywali u mnie – oznajmił Cantabile. – Środki odkażające, mydło w płynie, ręczniki papierowe i tak dalej. Nazwisko Cantabile. Mam hurtownię na Clybourne Avenue. – Wyjął długi portfel z dziobatej strusiej skóry i rzucił na ladę kilka biletów reklamowych.

– Ja nie jestem szefem – powiedział Mickey. – Mam tu tylko koncesję na bufet. – Ale wziął do ręki wizytówkę z wyraźnym szacunkiem.

– Radzę, żebyś się do mnie zgłosił.

– Mickey, do kogo należy łaźnia?

– Wiem tylko, że jest zarząd w śródmieściu.

Byłoby zabawne, gdyby się okazało, pomyślałem, że łaźnia należy do mafii.

– George Swiebel jest tutaj?

– Nie ma go.

– Chcę zostawić dla niego wiadomość.

– Dam panu kawałek papieru, to pan napisze.

– Nie będę nic pisał. Powiedz mu, że jest śmierdzące gówno. Powiedz, że ja to powiedziałem.

Mickey, który włożył okulary, żeby poszukać papieru, teraz spojrział na nas spoza szkieł, jak gdyby chciał powiedzieć, że interesuje się wyłącznie sałatką z surowej kapusty, panierowanymi stekami i dorszem. Cantabile nie spytał o starego Mirona Swiebła, który siedział w parze.

Wyszliśmy na ulicę. Niebo nagle pojaśniało. Nie mogłem się zdecydować, czy ta dzielnica lepiej wygląda przy niepogodzie czy przy pogodzie. Powietrze było zimne, światło było czyste i cienie poczerniałych budynków szatkowały chodniki.

Powiedziałem:

– Niech mi pan pozwoli wręczyć sobie teraz pieniądze. Przyniosłem nowe banknoty. To powinno zakończyć sprawę, panie Cantabile.

– Co, tak po prostu? Wydaje ci się, Citrine, że to takie łatwe? – warknął Cantabile.

– Przepraszam pana. To nie powinno było się zdarzyć. Naprawdę mi przykro.

– Przykro! A jakże, przykro ci, że masz pogruchotany samochód. Anulowałeś czek, który od ciebie dostałem, Citrine. Wszyscy o tym gadają. Wszyscy o tym wiedzą. Wydaje ci się, że ja na to pozwolę?

– Panie Cantabile, kto wie o tej sprawie?... Kto są ci wszyscy? Czy to naprawdę aż tak poważne? Źle zrobiłem, że...

– Źle zrobiłeś, zasrany durniu!...

– Zgoda, postąpiłem głupio.

– Twój kumpel, George, mówi ci, żebyś anulował czek, to go zaraz anulujesz. Wszystko, co ci ten kutas powie, to dla ciebie święte słowa? Dlaczego nie przyłapał Emila i mnie na oszukiwaniu? Z jego namowy podłożyłeś mi świnię, a potem razem z tym przedsiębiorcą pogrzebowym i z tym gościem od smokingów, i tamtymi innymi bałwanami gadaliście na lewo i prawo, że Ronald Cantabile to pęta! Człowieku! Nie wykręcisz się sianem! Czy ty tego nie rozumiesz?

– Tak, teraz rozumiem.

– Nie, nie wiem, co ty w ogóle rozumiesz. Przyglądałem ci się, kiedyśmy grali, i nie mogę się w tobie pokapować. Kiedy zrobisz coś i będziesz wiedział, co robisz? – Zawieszał głos między tymi ostatnimi słowami, akcentując je gwałtownie i rzucając mi je prosto w twarz. Potem wyrwał mi z rąk palto, które wciąż trzymałem, ten swój ciemnobrązowy reglan z dużymi guzami. Takie guziki mogła mieć Kirke w pudełku z przyborami do szycia. Były bardzo piękne, naprawdę, bardziej klejnoty wschodu niż guziki.

Ostatni raz widziałem płaszcz podobny do tego na dawno zmarłym pułkowniku McCormicku. Miałem wtedy ze dwanaście lat. Jego limuzyna zatrzymała się przed Tribune Tower i wyszli z niej dwaj niewysocy mężczyźni. Trzymając po pistolecie w każdej ręce, zataczali kręgi na chodniku, nisko pochyleni. I w tej czteropistoletowej scenerii pułkownik wysiadł z auta w tabaczkowym płaszczu, dokładnie takim jak płaszcz Cantabilego, i w pilśniowym kapeluszu o połyskliwym, szorstkim włosie. Wiatr był ostry, powietrze przezroczyste i kapelusz połyskiwał jak liście pokrzywy.

– Sądzi pan, że nie wiem, co robię, panie Cantabile?

– A bo nie wiesz. Nie trafiłbyś obiema rękami do własnego tyłka. Cóż, może miał słuszość. Ale przynajmniej nikogo nie maltretowałem. Widocznie moje życie nie przebiegało tak jak życie innych ludzi. Z jakichś niedostrzegalnych powodów ich życie miało inny przebieg, więc nie byłem właściwym sędzią ich trosk i pragnień. Świadomy tego ulegałem tym pragnieniom częściej, niż było to wskazane. Ustąpiłem George'owi, kiedy mi przedstawił swoją ekspertyzę świata przestępczego. Teraz ugiąłem się przed Cantabilem. Jediną moją ucieczką było starać się przypomnieć sobie pożyteczne informacje z moich lektur etologicznych o szczurach, gęsiach, rybach ciernikach i tańczących muchach. Jaki ma sens całe to czytanie, jeśli nie można go spożytkować w trudnej sytuacji. Szło mi o małą korzyść intelektualną, nie chciałem nic więcej.

– Tak czy inaczej, co z tymi pięćdziesięci dolarowymi banknotami? – spytałem.

– Powiem ci, jak będę gotów je wziąć – odparł. – Nie byłeś zadowolony z przygody, która spotkała twój samochód, co?

– To piękny wóz. Trzeba nie mieć serca, żeby zrobić coś takiego.

Najpewniej tymi samymi kijami do baseballu, którymi mi groził, pogruchotał mercedesa i prawdopodobnie na tylnych siedzeniach leżała jeszcze inna tego rodzaju broń. Teraz zmusił mnie, żebym wsiadł do tego luksusowego wozu. Miał rozkładane siedzenia ze skóry czerwonej jak świeża krew i ogromną deskę rozdzielczą. Cantabile ruszył z miejsca jak młodociany rajdowiec, z przeraźliwym piskiem opon.

W samochodzie wydał mi się trochę inny. Widziany z profilu jego nos kończył się czymś w rodzaju bulwy. Był intensywnie, nienormalnie biały, jakby zrobiony z gipsu, i poznaczony ciemnymi liniami. Oczy wydały mi się większe, niż powinny być, może sztucznie rozszerzone. Usta miał szerokie, z wrażliwą dolną wargą, która zdradzała oznaki wczesnej walki o uznanie go za człowieka dorosłego. Duże stopy i ciemne oczy też wskazywały, że dążył do jakiegoś ideału i że połowiczne osiągnięcie czy też nie osiągnięcie tego ideału, pchnęło go w gwałtowną rozpacz. Podejrzewałem, że sam ten ideał mógł być zmienny.

– Czy to pan walczył w Wietnamie czy pański kuzyn, Emil?

Pędziliśmy Division Street w kierunku wschodnim. Trzymał kierownicę w obu rękach, jakby to był świder pneumatyczny, którym rozorywał asfalt.

– Co takiego? Emil w wojsku? Nie ten szczeniak! Miał kategorię 4-F, to na dobrą sprawę psychopata. Najpoważniejszą akcją bojową, jaką Emil widział z bliska, były awantury pod Hiltonem w sześćdziesiątym ósmym. Był tak naszpikowany, że nie bardzo wiedział, po czyjej jest stronie. Nie, to ja byłem w Wietnamie.

Starzy oddali mnie do tego śmierdzącego college'u koło St. Louis, wspominałem o nim przy kartach, ale udało mi się nawiać i wstąpiłem do wojska. Dawne dzieje.

– Walczył pan?

– Powiem ci, bracie, co chcesz usłyszeć. Zwędziłem cysterne benzyny... ciężarówkę, ciągnik i tak dalej. Sprzedałem cały kram jakimś facetom na czarnym rynku. Wpadłem, ale moi starzy załatwili sprawę. Senator Dirksen pomógł. Siedziałem tylko osiem miesięcy.

Miał na swoim koncie wyrok sądowy. Chciał, żebym wiedział, że jest autentycznym Cantabilem, odrośłą lat dwudziestych, a nie byle wujaszka Moochy'ego. Więzienie wojskowe – miał rodowód kryminalny i mógł budzić strach na podstawie własnych zasług. A poza tym Cantabilowie byli chyba gangsterami pomniejszego kalibru, czego dowodziła hurtownia artykułów toaletowo-dezynfekcyjnych na Clybourne Avenue. Może mieli też jeden albo dwa kantory wymiany – takie kantory bardzo często należały do byłych małych rybek z syndykatu zbrodni. Albo prowadzili biznes eksterminacyjny, co jest jeszcze jednym ulubionym zajęciem. Ale Rinaldo był z pewnością w jednej z pomniejszych lig. Albo nie należał do żadnej ligi. Jako stary mieszkaniec Chicago miałem w tych sprawach wyczucie. Prawdziwa gruba ryba korzystała z wynajętej siły mięśni. Żaden Vito Langobardi nie woziłby kijów do baseballu na tylnym siedzeniu samochodu. Langobardi jeździł do Szwajcarii uprawiać sporty zimowe. Nawet jego pies podróżował pierwszą klasą. Od dziesiątków lat Langobardowie nie brali udziału w fizycznym gwałcie. Nie, ten niespokojny, ambitny Cantabile o mrocznej duszy był na zewnątrz i usiłował dostać się do środka. Należał do tych niechcianych ludzi z inicjatywą, których zakłady oczyszczania miasta od czasu do czasu wyławiają z kanałów po trzech miesiącach gnicia. Czasem odnajduje się osobników należących do tej kategorii w bagażnikach samochodów na parkingu lotniska O'Hara. Ciężar zwłok z tyłu auta równoważy kawał betonu położony na silniku.

Na następnym skrzyżowaniu Rinaldo rozmyślnie przejechał na czerwonych światłach. Jechał prawie na zderzaku auta tuż przed nami i zmuszał innych kierowców do ustępowania mu drogi. Był elegancki, olśniewający. Thunderbird miał luksusowe siedzenia wybite miękką skórą – tak miękką, tak czerwoną! Na dłoniach Cantabilego zobaczyłem rękawiczki do konnej jazdy, jakie można kupić u Abercrombiego i Fitcha. Na autostradzie miejskiej skręcił w prawo, dodał gazu i wypadłszy na górę, włączył się w gęsty ruch pojazdów. Samochody za nami hamowały gwałtownie. Radio grało rocka. A ja rozpoznałem perfumy Cantabilego. Nazywały się Canoe. Dostałem kiedyś takie na gwiazdkę od niewidomej kobiety imieniem Muriel.

W odrażającej toalecie w łaźni, kiedy Cantabile miał spodnie spuszczone, a ja rozmyślałem o małpach Zuckermana w londyńskim zoo, było rzeczą jasną, że wchodzi tu w grę plastyczne i aktorskie talenty istoty ludzkiej. Innymi słowy, byłem wciągnięty w proces dramatyzacji. Jednakże nie poprawiłoby to specjalnie wizerunku Cantabilów, gdyby nacisnął spust pistoletu trzymanego między nogami. Upodobniłby się za bardzo do zwariowanego wuja, który okrył rodzinę hańbą. I na tym, uznałem w duchu, polega cała sprawa.

* * *

Czy bałem się Cantabilego? Właściwie nie. Nie wiem, co on myślał, ale to, co ja myślałem, było dla mnie doskonale jasne. Zaabsorbowany próbą określenia, czym jest istota ludzka, współdziałałem z nim. Cantabilemu mogło się zdawać, że znęca się nad człowiekiem biernym. Bynajmniej. Byłem aktywny na innych polach. Kiedy graliśmy w pokera, miałem przelotną wizję tego człowieka. Naturalnie byłem wtedy mocno wstawiony, jeśli nie wręcz pijany, ale dojrzałem zarys jego ducha, który wydobywał się z niego, z tyłu za plecami. Toteż kiedy Cantabile wrzeszczał i groził mi, nie opierałem mu się, jak mogłaby mi to nakazać miłość własna... „Nikt nie będzie traktował Charliego Citrine'a w tak haniebnym sposób, idę na policję” – i tak dalej. Nie, policja nie mogłaby mi pokazać tego rodzaju rzeczy. Cantabile zrobił na mnie bardzo szczególne i silne wrażenie.

Czym jest istota ludzka... zawsze miałem na to moje własne dziwaczne spojrzenie. Bo nie musiałem mieszkać w krainie koni, jak doktor Gulliver, moja percepcja rodzaju ludzkiego była dostatecznie osobliwa bez odbywania podróży. Ściśle mówiąc, celem moich podróży nie było szukanie cudzoziemskich dziwaczności, tylko ucieczka od nich. A poza tym pociągała mnie filozofia idealistyczna, ponieważ byłem najgłębiej przekonany, że to nie może być tym. Platon w Micie Era potwierdził moje odczucie, że nie jest to mój pierwszy pobyt na ziemi. Wszyscy byliśmy tu już kiedyś i wkrótce znów tu będziemy. Istnieje inne miejsce. Może taki człowiek jak ja został urodzony powtórnie w sposób niedoskonały. Dusza otrzymuje podobno pieczęć zapomnienia przed powrotem do życia na ziemi. Czy to możliwe, że moja niepamięć ma jakiś drobny defekt? Nigdy nie byłem prawdziwym platonikiem. Nigdy nie wierzyłem, że człowiek może w następnym wcieleniu być ptakiem czy rybką. Żadna dusza, kiedyś ludzka, nie jest zamknięta w odwłoku pająka. W moim przypadku (który, podejrzewam, nie jest aż tak rzadki) może wchodzić w grę niezupełne zapomnienie czystego

życia duszy, przez co mineralne stadium ponownego wcielenia wydaje się czymś nienormalnym i przez co od dziecka zaskakiwał mnie i wydawał mi się komiczny widok oka poruszającego się w twarzy, nosa wciągającego powietrze, pocącej się skóry, rosnących włosów i tak dalej. A to czasem oburzało ludzi urodzonych z całkowitą niepamięcią własnej nieśmiertelności.

Każę mi to przywołać w pamięci i ujawnić dzień pośród pięknej wiosny i południe pełne ocieślałych, cichych, białych chmur, chmur w kształcie byków, fantastycznych zwierząt i smoków. Miejscem akcji jest Appleton w stanie Wisconsin, a ja jestem dorosłym mężczyzną, stojącym na pustej skrzynce i usiłującym zajrzeć do wnętrza sypialni, w której urodziłem się w roku 1918. Prawdopodobnie zostałem też tam poczęty i dzięki boskiej mądrości ukazałem się na powierzchni życia jako ten a ten, taki a taki (C. Citrine, laureat Nagrody Pulitzera, kawaler orderu Legii Honorowej, ojciec Lish i Mary, mąż A. i kochanek B., osobnik poważny i ciekawa figura). I czemu ten osobnik stoi, częściowo ukryty za sztywnymi gałązkami i połyskliwymi liśćmi kwitnącego bzu? Na dodatek bez pozwolenia pani domu. Stukałem i dzwoniłem, ale nie otworzyła. A teraz jej mąż stanął za moimi plecami. Był właścicielem stacji benzynowej. Powiedziałem mu, kim jestem. Początkowo był bardzo nieprzyjemny. Ale wyjaśniłem, że przyszedłem tu na świat, i spytałem o dawnych sąsiadów, wymieniając ich nazwiska. Czy pamięta Saundersów? No cóż, byli jego kuzynami. To mnie uratowało, inaczej dostałbym w szczękę za podglądanie. Nie mogłem powiedzieć: „Stoję na tej skrzynce pośród tego bzu, usiłując rozwiązać zagadkę człowieka, a nie żeby patrzeć na pańską grubą żonę w majtkach”. Bo właśnie to widziałem. Narodziny są smutkiem, który może być wymazany przez wstawiennictwo, ale w pokoju, w którym przyszedłem na świat, patrzyłem z moim własnym smutkiem na tłustą, starą kobietę w majtkach. Dowodząc wielkiej przytomności umysłu udała, że nie widzi mojej twarzy za siatką, wyszła powoli z pokoju i zatelefonowała do męża. Przybiegł ze swojej stacji benzynowej i przydybał mnie, schwycił czarnymi od smarów rękami za wytworną szarą marynarkę – byłem wtedy u szczytu mojej epoki elegancji. Ale mogłem mu wytłumaczyć, że jestem w Appleton, bo przygotowuję ów artykuł o Harrym Houdinim, też stąd rodem – o czym obsesyjnie wspominam – i że nagle przyszła mi ochota zajrzeć do pokoju, w którym się urodziłem.

– I zamiast tego obejrzał pan sobie moją starą.

Właściwie nie miał pretensji. Myślę, że zrozumiał. Te sprawy ducha znajdują powszechne i natychmiastowe zrozumienie. Wyjątek stanowią naturalnie ludzie na mocno obwarowanych pozycjach, duchowi oponenti wyćwiczeni w przeciwstawianiu się wiedzy, z którą wszyscy przychodzimy na świat.

* * *

Teraz Rinaldo zawiózł mnie do Klubu Playboya. Był jego członkiem. Wysiadł ze swojego Bechsteina samochodów, zostawiając go chłopcu od aut. Króliczek w szatni znał go. Po sposobie, w jaki Cantabile się zachowywał, poznałem, że moim zadaniem tutaj jest publiczne okazanie skruchy. Cantabilowie zostali znieważeni. Może na radzie rodzinnej zażądano od Rinalda, żeby naprawił krzywdy wyrządzone ich dobremu- złemu imieniu. I ta sprawa jego reputacji pochłonie cały dzień. A było przecież tyle naglących potrzeb, bez tego miałem już tyle kłopotów, że byłbym usprawiedliwiony, błagając los o przepustkę. Miałbym całkiem mocne argumenty.

– Tamci są już?

Rzucił płaszcz na ladę. Ja zrobiłem to samo. Wkroczyliśmy w bogactwo, w półmrok, na puszyste dywany baru, gdzie butelki połyskiwały i zmysłowe kształty kobiece przesuwwały się w bursztynowym świetle. Ujął mnie za ramię i wprowadził do windy, natychmiast ruszyliśmy w górę. Powiedział:

– Idziemy się z kimś zobaczyć. Jak ci dam znak, zapłacisz mi i przeprosisz.

Staliśmy teraz obok stolika.

– Bill, chcę ci przedstawić Charliego Citrine’a – zwrócił się Cantabile do Billa.

– Hej, Mike, to jest Ronald Cantabile – powiedział Bill, jak było umówione.

Nie wiedziałem, kim jest Bill, ale w Mike’u rozpoznałem Mike’a Schneidermana, autora rubryk z życia towarzyskiego. Ten wysoki, ocieślały, silny, opalony, posępny i znużony mężczyzna włosy miał przyszczyżone brzytwą, w mankietach spinki wielkości oczu, a zamiast krawata kawałek niedbale związanego brokatu. Twarz miał wyniosłą, zmiętą, senną, jak niektórzy Indianie z Oklahomy, właściciele bogatych pól naftowych. Pił staroświeckie martini i palił cygaro. Jego praca polegała na przesiadywaniu z ludźmi w barach i restauracjach. Byłem zbyt ruchliwy do tego rodzaju siedzącej pracy i nie bardzo mogłem zrozumieć, jak się ją wykonuje. No, ale nie mogłem też zrozumieć pracy biurowej czy za ladą sklepu, czy innych tego rodzaju zajęć i obowiązków

krępujących swobodę ruchu. Wielu Amerykanów mówi sobie, że są artystami czy intelektualistami, chociaż powinni tylko powiedzieć, że są niezdolni do wykonywania takiej pracy. Wielokrotnie dyskutowałem ten problem z Von Humboldtem Fleisherem i Gumbeinem, krytykiem sztuki. Myślę, że Schneidermanowi też nie służyła praca polegająca na przesiadywaniu z ludźmi, żeby się od nich dowiedzieć o czymś interesującym. Chwilami wydawał się zubożniały i prawie chory. Znał mnie, rzecz jasna, kiedyś występowałem w jego programie telewizyjnym. Powiedział:

– Cześć, Charlie. – A potem zwrócił się do Billa: – Nie znasz Charliego? Jest sławnym człowiekiem, który mieszka w Chicago incognito.

Zacząłem naprawdę doceniać to, co zrobił Rinaldo. Zadał sobie dużo trudu, żeby zorganizować spotkanie, poruszył mnóstwo sprężyn. Ten Bill, najwyraźniej jego kontakt, miał może jakieś zobowiązania wobec Cantabilów i zgodził się przyprowadzić Mike'a Schneidermana, felietonistę. Wyciągano, skąd się dało, nie spłacone długi wdzięczności. Buchalteria była chyba bardzo zawiła i dostrzegałem wyraźnie, że Bill nie jest zadowolony. Wyglądał na członka Cosa Nostra. Kształt jego nosa przywodził na myśl coś skorumpowanego. Zakrzywiony mocno przy samych nozdrzach, wyrażał siłę i jednocześnie słabość. Odrażający nos. W innym kontekście mógłbym się domyślić w Billu skrzyпка, który zniechęcony do muzyki wziął się do handlu alkoholem. Wrócił właśnie z Acapulco i był opalony, ale trudno powiedzieć, żeby tryskał zdrowiem i dobrym samopoczuciem. Nie lubił Rinalda, wydawało się, że nim gardzi. W tym momencie moja sympatia była po stronie Cantabilego. Zorganizował coś, co powinno się stać pięknym i pełnym rozmachu spotkaniem, godnym epoki renesansu, i tylko ja to doceniałem. Cantabile usiłował taranem otworzyć sobie drogę do kroniki towarzyskiej Mike'a. Naturalnie Mike był do tego przyzwyczajony. Kandydaci na nielicznych szczęściarzy zawsze na niego polowali i podejrzewam, że za kulisami szedł niemały handel, ręka rękę myje. Dostarczałeś Mike'owi plotkę, a on drukował twoje nazwisko tłustym drukiem. Króliczek przyjął od nas zamówienie. Od dołu aż po brodę była zachwycająca. Wyżej nie było nic prócz handlowego niepokoju. Moją uwagę pochłaniała w równej mierze łagodna fałda między jej piersiami, co troski zawodowe malujące się na twarzy.

Byliśmy w jednym z najbardziej oślniewających punktów Chicago. Zatrzymałem się myślami na scenerii. Widok na jezioro był oszałamiający. Nie miałem go przed oczyma, ale znałem dobrze i odczuwałem jego działanie – błyszcząca droga obok błyszczącej złotej próżni jeziora Michigan. Człowiek zwyciężył pustkę tego kraju. Ale pustka odplącała mu kilkoma tęgimi razami. A my siedzieliśmy wśród pochlebstw bogactwa i władzy, wśród pięknych dziewcząt i alkoholu, i ubrań zrobionych na miarę, wśród mężczyzn noszących biżuterię i używających perfum. Schneiderman czekał, bardzo sceptyczny, na informację, która nadawałaby się do jego rubryki. We właściwym kontekście jestem dobrym materiałem dziennikarskim. Ludziom z Chicago imponuje, że inni ludzie, gdzie indziej, biorą mnie poważnie. Od czasu do czasu dostaję zaproszenia od karierowiczów o ambicjach kulturalnych i poznałem, co to jest los symbolu. Niektóre kobiety wykrzykują na mój widok: „Ależ to niemożliwe, żeby pan był Charliem Citrine!” Wielu panom domu podoba się, że jestem takim ich przeciwieństwem. Ach, przecież wyglądam jak człowiek myślący intensywnie, głęboko, ale nie do końca. Moja twarz nie może konkurować z ich przebiegłymi twarzami. Szczególnie panie nie potrafią ukryć rozczarowania, kiedy się okazuje, jak naprawdę wygląda ten sławny Charlie Citrine.

Postawiono przed nami szklanki. Wypiłem moją podwójną whisky skwapliwie, a że szybko się rozprężam, zacząłem się śmiać. Nikt mi nie zawtórował. Brzydki Bill spojrział na mnie.

– Co pana tak bawi?

– Och, właśnie sobie przypominałem, że nauczyłem się pływać tu na dole, na końcu Oak Street, zanim wyrosły te wszystkie drapacze chmur, architektoniczna duma biura prasowego rady miejskiej Chicago. Nazywało się to wtedy Złote Wybrzeże, a my przyjeżdżaliśmy z naszych slumsów tramwajem. Tramwaj z Division Street dojeżdżał tylko do Wells. Przywoziłem kanapki w zatłuszczonej torbie. Matka kupiła mi na wyprzedazy dziewczęcy kostium kąpielowy. Był ozdobiony falbanką we wszystkich kolorach tęczy. Przechodziłem udręki, próbowałem je zamalować czarnym tuszem. Policjanci szturchali nas w żebra, żebyśmy szybciej przebiegali na drugą stronę Drive. A teraz siedzę tu na gorze i pijam whisky...

Cantabile kopnął mnie pod stołem, zostawił mi na spodniach zakurzony ślad stopy. Zmarszczka między brwiami podjechała mu do góry, a nos zrobił się białym jak woskowa świeca.

Powiedziałem:

– Ach, póki pamiętam, Ronald... – i wyjąłem banknoty. – Jestem ci winien pieniądze.

– Jakie pieniądze?

– Przegrałem do ciebie w pokera... Kilka dni temu. Pewnie już nie pamiętasz. Czteryście pięćdziesiąt dolarów.

– Nie wiem, o czym mówisz – rzekł Rinaldo. – Jaki znów poker?

– Zapomniałeś? Graliśmy w mieszkaniu George’a Swiebla.

– Od kiedy wynajmujesz facetów, żeby grali z tobą w karty? – spytał Mike Schneiderman.

– Och, wszyscy mamy nasze ludzkie słabostki. Nawet w Białym Domu grywano w pokera. Godziwa rozrywka. Prezydent Harding grywał, a w okresie Nowego Ładu Morgenthau, Roosevelt i cała ta reszta.

– Wyglądasz mi na chłopca z Chicago, ale z dzielnicy West Side – wtrącił Bill.

– Szkoła im. Chopina, na rogu Rice i Western.

– Schowaj swoją gotówkę, Charlie – powiedział Cantabile. – Teraz jest pora picia. Żadnych interesów. Zapłacisz mi później.

– Dlaczego nie teraz, jak już sobie przypomniałem i pieniądze mam w ręku? Wiesz, wypadło mi to z głowy i wczorajszej nocy nagle się obudziłem, myśląc: „Zapomniałem zapłacić Rinaldowi”. Boże miłosierny, miałem ochotę palnąć sobie w łeb.

Cantabile wybuchnął:

– W porządku, Charlie, w porządku! – Wyrwał mi pieniądze i bez liczenia wepchnął je do kieszeni na piersiach. Spojrzał na mnie z najwyższą irytacją, wzrokiem palącym. Dlaczego? Nie miałem pojęcia. Wiedziałem natomiast, że z woli Mike’a Schneidermana każdy mógł znaleźć się w gazecie, a ten, kto znalazł się w gazecie, nie żył na darmo. Nie był już zwykłym dwunogiem, widywanym przelotnie na Clark Street, kalającym wieczność swymi odrażającymi myślami i uczynkami. Był...

– Nad czym siedzisz ostatnio, Charlie? – spytał Mike Schneiderman. – Nowa sztuka? Scenariusz filmowy? Wiesz – zwrócił się do Billa – Charlie to naprawdę sławny gość. Zrobili fantastyczny film z jego szlagierowej sztuki na Broadwayu. Napisał stopy książek.

– Miałem swój moment chwały na Broadwayu – przyznałem. – Nie potrafię go powtórzyć, więc po co próbować?

– Aha, coś mi się przypomniało. Słyszałem, że będziesz drukował jakiś intelektualny tygodnik. Kiedy wyjdzie pierwszy numer? Zrobię ci trochę reklamy.

Ale Cantabile spojrzał wściekle i warknął:

– Musimy iść.

– Chętnie zatelefonuję, jak będę miał dla ciebie notatkę. To by bardzo pomogło – powiedziałem, rzucając znaczące spojrzenie w stronę Rinalda.

Ale jego już nie było. Dogoniłem go; w windzie wybuchnął:

– Co się z tobą, do cholery, dzieje?

– Znowu zrobiłem coś złego?

– Gadasz, że chciałeś sobie strzelić w łeb, a wiesz dobrze, kretyńcze, że szwagier Mike’a Schneidermana zastrzelił się dwa miesiące temu.

– Nie!

– Musiałeś czytać o tym w gazetach... kupa hałasu o listy zastawne, sfałszowane listy zastawne, które dawał jako dodatkowe zabezpieczenie.

– Och, ta sprawa, masz na myśli Goldhammera, tego gościa, który drukował własne obligacje... tego fałszerza!

– Wiedziałeś o tym, nie udawaj – warknął Cantabile. – Powiedziałeś to naumyślnie, żeby mi zrobić świństwo, zepsuć mój plan!

– Nie wiedziałem. Przysięgam, że nie wiedziałem. Miałem ochotę palnąć sobie w łeb? To pospolite wyrażenie.

– Nie w takich okolicznościach – rzekł wściekle. – Wiedziałeś. Wiedziałeś, że jego szwagier się zastrzelił.

– Nie skojarzyłem tych dwóch spraw. Typowa freudowska pomyłka. Absolutnie niezamierzona.

– Zawsze udajesz, że nie wiesz, co robisz. Pewnie nie wiedziałeś, kto jest ten gość z dużym nosem.

– Bill?

– Tak, tak. Bill! Bill! To jest Bill Larkin, który był oskarżony razem z Goldhammerem. Przyjmował te sfałszowane listy zastawne jako kaucję.

– Jak mogli postawić go za to w stan oskarżenia? Przecież Goldhammer mu je wpakował.

– Czy ty, ptasi mózdzku, nie rozumiesz tego, co czytasz w gazetach? Kupił od Goldhammera pakiet Lekatride po dolarze akcja, kiedy były warte po sześć dolarów. O Kemerze też nie słyszałeś? O tych wszystkich sądach, o procesach? Ale ciebie nie obchodzą sprawy, z powodu których ludzie odbierają sobie życie. Jesteś wyższy ponadto. Jesteś arogancki, Citrine. Gardzisz nami.

– Jakimi „nami”?

– Nami! Zwykłymi ludźmi... – powiedział Cantabile.

Mówił z wściekłością. Nie była to chwila odpowiednia na spory. Miałem go szanować i miałem się go bać. Gdyby nie był pewien, że się go boję, mogłoby go to sprowokować. Nie sądziłem, że mnie zastrzeli, ale solidne bicie było z całą pewnością możliwe, a kto wie, czy nie przetrącona noga. Kiedy opuszczaliśmy Klub Playboya, znowu wepchnął mi do ręki pieniądze.

– Będziemy to robili jeszcze raz od początku? – spytałem.

Nie udzielił mi żadnych wyjaśnień. Stał z głową gniewnie wysuniętą do przodu, dopóki nie podprowadzono auta. Znowu musiałem wsiąść.

Miejscem naszego następnego postoju był apartament na sześćdziesiątym czy siedemdziesiątym piętrze Hancock Building. Wyglądało to jak prywatne mieszkanie, a jednak robiło wrażenie miejsca, w którym załatwia się interesy. Umeblowane było sprzętami z plastyku, typowe dzieło dekoratorów wnętrz, na ścianach wisiały trickowe ozdoby, geometryczne formy z rodzaju *trompe l'oeil*, które tak fascynują biznesmenów. Są szczególnie bezbronni wobec artystycznych kanciarzy. Dżentelmen, który tu rezydował, był człowiekiem starszym, ubranym w brązową sportową marynarkę z surowego jedwabiu indyjskiego, przetykanego złotą nicią, i koszulę w paski opinającą niezdyscyplinowany brzuch. Siwe włosy na wąskiej czaszce miał gładko szczesane do tyłu. Dostrzegłem duże plamy wątrobowe na dłoniach, a pod oczami i wokół jego nosa było coś chorobliwego. Gdy tak siedział na niskiej sofie, której poduszki – sądząc z tego, jak się pod nim zapadały – były chyba wypchane puchem, jego stopy w pantoflach rannych z krokodylowej skóry wysuwały się daleko i tonęły w puszystym białawym dywanie. Brzuch, napierający całym ciężarem do przodu, uwydatnił kształt fallusa na udzie. Długi nos, opadająca dolna warga i obwisłe policzki harmonizowały ze wszystkimi tymi aksamitami, indyjskim jedwabiem przetykanym złotą nicią, brokatem, atłasem i *trompe l'oeil*. Z rozmowy zorientowałem się, że specjalnością starego pana są kosztowności i że prowadzi interesy ze światem przestępczym. Może był też paserem, skąd mogłem wiedzieć? Zbliżała się rocznica ślubu Cantabilów i Rinaldo chciał kupić żonie bransoletkę. Japoński służący podał trunki. Nie pijam dużo, ale dzisiaj ze zrozumiałych względów potrzebny mi był alkohol, więc przyjąłem następną podwójną whisky. Z drapacza chmur mogłem się przyglądać atmosferze nad Chicago w to krótkie grudniowe popołudnie. Postrzępione zachodzące słońce rozsiewało pomarańczowy blask nad ciemnymi bryłami miasta, nad odnogami rzeki, nad dźwigarami mostów. Jezioro – złocone srebro i ametyst – było gotowe na przyjęcie swojej zimowej lodowej powłoki. I pomyślałem: jeśli Sokrates miał słusność, że nie można dowiedzieć się niczego od drzew i że tylko człowiek spotkany na ulicy może nas nauczyć czegoś o nas samych, niedobrze się ze mną dzieje, że uciekam w krajobraz, zamiast przysłuchiwać się moim bliźnim. Najwyraźniej źle znosiłem towarzystwo bliźnich. Szukając ulgi w niepokoju czy strapieniu, rozmyślałem o wodzie. Sokrates wystawiłby mi kiepską cenzurkę. Zdawałem się raczej być na przeciwnym biegunie, tam gdzie Wordsworth – drzewa, kwiaty, woda. Ale architektura, mechanika, elektryczność, technologia przywiodły mnie na to sześćdziesiąte czwarte piętro. Skandynawia dała mi tę szklankę do ręki, Szkocja napełniła ją whisky, a ja siedziałem sobie, odgrzebując w pamięci niektóre zachwycające fakty dotyczące słońca, mianowicie, że światło innych gwiazd, wchodząc w pole grawitacyjne słońca, musi się załamać. Słońce jest okryte szalem utkany z tego uniwersalnego światła. Tak przepowiedział Einstein, siedząc i myśląc o rzeczach. Potwierdził to swoimi obserwacjami Arthur Eddington podczas zaćmienia słońca. Znajdujemy, zanim zaczniemy szukać.

Tymczasem telefon dzwonił nieustannie i chyba ani jedna rozmowa nie była miejscowa. Las Vegas, Los Angeles, Miami, Nowy Jork.

– Poślij chłopca do Tiffany’ego, niech się dowie, ile dostają za taki kawałek – mówił nasz gospodarz.

Potem słyszałem, jak informuje kogoś o klejnotach rodzinnych i o hinduskim księciu, który hurtem chce sprzedać swoje kosztowności w USA i czeka na propozycje.

Podczas jednej przerwy, kiedy Cantabile pochylał się zaaferowany nad tacą brylantów (odrażające wydały mi się te białe kamyki), stary przemówił do mnie. Spytał:

– Znamy się skądś, prawda?

– Tak – odparłem. – Chyba z kąpieli wirowej w Klubie Sportowym.

– Ach, naturalnie, widziałem pana z tym adwokatem. Wielki z niego gaduła.

– Szathmar?

– Tak, Alec Szathmar.

Cantabile siedział, przesypując w palcach brylanty i nie odrywając oczu od aksamitnej tacy.

– Znam tego skurwysyna, Szathmara. Twierdzi, Charlie, że jest twoim starym kumplem.

– Owszem – przyznałem. – Byliśmy wszyscy w tej samej klasie.

– A działa się to pewnie w epoce kamiennej.

Tak, poznałem tego starego człowieka w gorącej, mineralnej kąpieli na terenie klubu, w kolistej, bulgocącej wirówce, gdzie ludzie siedzieli, pocąc się, plotkując o sporcie, o podatkach, programach telewizyjnych, bestsellerach albo wymieniając informacje na temat Acapulco i kont bankowych na okaziciela na Kajmanach. Nie dałbym głowy, czy ten stary paser nie był właścicielem jednej z niesławnych *cabañas* obok pływalni, dokąd zapraszano smarkule na poobiednie sjesty. Wybuchł skandal i ludzie protestowali. Naturalnie nikt nie miał prawa wtrącać się do tego, co kto robi za opuszczonymi zasłonami *cabañas*, ale niektórzy ekshibicyjni staruszkowie pieścili swoje laleczki na tarasie. Widziano nawet, jak jeden z nich wyjął sztuczne zęby i całował namiętnie swoją dziewczynę. Czytałem o tym interesujący list w „Tribune”. Emerytowana nauczycielka historii, mieszkająca gdzieś wysoko w budynku klubowym, twierdziła, że Tyberiusz – starsza pani trochę się popisowała – że Tyberiusz w grotach Capri był niczym w porównaniu z tymi groteskowymi rozpustnikami. Ale co ich mogły obchodzić, tych starców z mafii czy przekupnych polityków, oburzone stare nauczycielki czy klasyczne aluzje? Jeżeli poszli obejrzyć *Satyricon* Felliniego, to tylko po to, żeby dowiedzieć się czegoś nowego o seksie, a nie żeby poznać Rzym cesarów. Ja sam widziałem tych brzuchatych, cienkonogich staruchów, jak na tarasie obmacywali piersi kilkunastoletnich prostytutek. Przyszło mi też do głowy, że japoński służący jest zarazem specjalistą od dżudo lub karate, jak na filmach z Jamesem Bondem – tyle było w mieszkaniu kosztowności. Kiedy Cantabile powiedział, że chciałby obejrzyć zegarki firmy Accutron, Japończyk przyniósł ich kilka tuzinów, cienkich jak opłatek. Mogły być kradzione, ale równie dobrze mogły nie być. Tu moja rozpalona wyobraźnia nie zasługiwała na zaufanie. Ekscytowały mnie, przyznaję, te nurty przestępczości. Czułem, jak rośnie we mnie, nabrzmiwia chęć śmiechu, nieomylny znak, że moja słabość do sensacji, moje amerykańskie, chicagowskie (jak również moje ściśle osobiste) łaknienie mocnych podniet, tęsknota do absurdu i ekstremów zostały rozbudzone. Wiedziałem, że w Chicago kwitnie handel kradzionymi przedmiotami zbytku. Mówiono, że jeśli się zna kogoś z tych potężnych, superbogatych Faginów, można kupić każdą luksusową rzecz za połowę ceny w hurcie. Samej kradzieży dokonują narkomani. Wynagradza się ich heroiną. A policja jest przekupiona, pilnuje, żeby kupcy nie robili za dużo hałasu. Zresztą są przecież ubezpieczenia. I jest osławiony „ubytek”, czyli roczne straty zgłaszane władzom podatkowym. Jeżeli człowiek wyrósł w Chicago, takie wiadomości o korupcji są dla niego łatwe do przyjęcia. A nawet zaspokajają pewną potrzebę. Harmonizują z jego własnym chicagowskim poglądem na społeczeństwo. Naiwność jest czymś, na co nas nie stać.

Siedząc w miękkim fotelu ze szklaneczką whisky z lodem w ręku, starałem się sztuka po sztuce oszacować to, co Cantabile miał na sobie – płaszcz, ubranie, wysokie buty (buty mogły być z nie narodzonych cieląt), rękawiczki do konnej jazdy – i usiłowałem sobie wyobrazić, w jaki sposób, przestępczymi kanałami, zdobył tę garderobę od Fielda, od Saksa z Piątej Alei, od Abercrombie’ego i Fitcha. Jeśli mogłem się zorientować, stary paser nie traktował go zbyt poważnie.

Rinalda zaciekał jeden z zegarków, wsunął go na rękę. Swój rzucił Japończykowi, który złapał go w powietrzu. Doszedłem do wniosku, że jest odpowiednia pora na wyrecytowanie mojego kawałka. Powiedziałem:

– Żeby nie zapomnieć, Ronald. Jestem ci od tamtego wieczoru winien pieniądze.

– Za co? – spytał Cantabile.

– Graliśmy w karty u George’a Swiebla. Pewnie zapomniałeś.

– Och, znam tego Swiebla, taki muskularny gość – odezwał się starszy pan. – Wspaniały w towarzystwie. I wiecie, gotuje znakomitą *bouillabaisse*, trzeba mu przyznać.

– Wciągnąłem do tej gry Rinalda i jego kuzyna Emila – powiedziałem. – Naprawdę czuję się winny. W każdym razie Ronald ograł nas do czysta. To prawdziwy mistrz. Tak czy inaczej wylądowałem z sześciuset dolarami na minusie i Ronald musiał wziąć mój rewers... mam przy sobie tę gotówkę i wolałbym ci ją oddać, póki obaj o tym pamiętamy.

– Dobra. – Cantabile, znowu nie patrząc na banknoty, wsunął je niedbale do kieszeni. Zagrał tę scenę lepiej niż ja, chociaż starałem się, jak mogłem. No, ale w tym rozliczeniu zajmował pozycję honorową. Miał prawo do gniewu, a to mu dawało niemałą przewagę.

Kiedy znaleźliśmy się znów na ulicy, spytałem:

– Poszło chyba dobrze?

– Dobrze, tak, dobrze! – rzucił głośno i z goryczą. Najwyraźniej nie miał zamiaru puścić mnie wolno. Jeszcze nie.

– Ten stary żarłok rozpowie chyba między ludźmi, że ci zapłaciłem. Czy nie o to chodziło? – dodałem, mówiąc prawie do siebie: – Ciekawe, kto robi takie spodnie, jakie on miał na sobie. Sam rozporek ma chyba metr długości.

Ale Cantabile podsycił ciągle swój gniew.

– Jezu! – warknął. – Nie podobało mi się jego spojrzenie, kiedy wpatrywał się we mnie spod tych swoich prostych, szpikulcowatych brwi.

– No cóż, sprawa załatwiona – powiedziałem. – Wezmę taksówkę.

Cantabile przytrzymał mnie za rękaw.

– Czekaj – warknął.

Naprawdę nie wiedziałem, co robić. Ostatecznie miał broń. Ponieważ Chicago jest takie, jakie jest, od dawna myślałem o kupieniu broni. Ale nigdy nie dostałbym pozwolenia. Cantabile miał pistolet w kieszeni, nie mając pozwolenia. Oto jedna z istniejących między nami różnic. Tylko Bóg wie, jakie mogą być konsekwencje takich różnic.

– Nie sprawia ci przyjemności nasze wspólne popołudnie? – spytał, szczerząc do mnie zęby.

Spróbowałem zbyć to śmiechem, ale mi się nie udało. Przeszkodził mi globus histericus. W gardle czułem lepkość.

– Włóż, Charlie.

Znowu siedziałem na purpurowym rozkładanym siedzeniu (miękką, pachnącą skórą przypominała mi krew – krew buchającą z płuc) i zacząłem gmerać rękami w poszukiwaniu pasa, nigdy nie można znaleźć tych przeklętych sprzączek!

– Odpieprz się od pasa, nie jedziemy daleko.

Pocieszałem się, jak mogłem, tą informacją. Jechaliśmy Michigan Boulevard na południe. Cantabile zatrzymał samochód obok drapacza chmur w budowie – bezgłowy tułów pnący się ku górze, rojący się od światła. Pod wczesną czernią, która spływała teraz z grudniowym pośpiechem na połyskliwy zachód, słońce – jak zjeżony lis – skoczyło za horyzont. Została po nim tylko fioletowa poświata. Dostrzegłem ją między filarami kolei nadziemnej. Kiedy olbrzymi szkielec nie dokończonego wieżowca pociemniał, puste wnętrze wypełniło się tysiącem punktów świetlnych, jak banieczki w kieliszku szampana. Gotowy budynek nie będzie tak piękny. Wysiedliśmy, zatrzasnąwszy drzwi samochodu, i zacząłem iść za Cantabilem po pomostach

ułożonych dla ciężarówek. Widać było, że zna drogę. Może miał klientów wśród budowlanych. Jeżeli maczał palce w lichwie. Ale z drugiej strony, gdyby był lichwiarzem, nie przychodziłby tu o zmroku i nie ryzykował, że któryś z tych ostrych facetów zepchnie go z rusztowania. Są chyba nieobliczalni. W każdym razie nieobliczalnie piją i szastają pieniędzmi. Podoba mi się fantazja, z jaką te podniebne ptaszki wypisują imiona swoich dziewczyn na niedostępnych dźwigarach. Z dołu często widać napis DONNA albo SUE. Pewnie w niedzielę przyprowadzają swoje damy i pokazują im te podarki miłości dwieście czterdzieści metrów nad ziemią. Od czasu do czasu spadają i zabijają się. Tak czy inaczej, Cantabile wziął ze sobą dwa własne stalowe kaski. Włożyliśmy je.

Wszystko było przygotowane z góry. Powiedział, że jestem spokrewniony z kimś z personelu nadzorczego. Wspomniał też, że robi tu sporo interesów. Powiedział, że ma powiązania z przedsiębiorcą budowlanym i architektem. Mówił mi o różnych rzeczach tak szybko, że nie miałem czasu podać ich w wątpliwość. Tak czy inaczej wznosiliśmy się w górę jedną z ogromnych, otwartych wind, coraz wyżej, wyżej.

Jak mam opisać moje uczucia? Strach, podniecenie, podziw, rozradowanie – tak, podziwiałem jego pomysłowość. Wydało mi się jednak, że wnosimy się za wysoko, za daleko. Gdzie byliśmy? Który guzik nacisnąć? W dzień często patrzyłem z zachwytem na podobne modliszkom żurawie, powleczone na szczycie pomarańczową farbą. Maleńkie żarówki, których z dołu zdawało się takie mnóstwo, były z rzadka rozmieszczone. Nie wiem, jak wysoko zajechaliśmy, ale chyba bardzo wysoko. Było tyle światła, ile ten zmierzchający dzień miał nam jeszcze do ofiarowania – dzień stalowy i mroźny, ostry, z wiatrem podzwaniającym w pustych rdzawych czworobokach koloru świeżej rany i łomocącym o płachty brezentu. Na wschodzie była przerażająco zeszywniała woda, lodowata, spękana niczym płaszczyzna litego kamienia, a po drugiej stronie ogromne rozlewisko płużących się nad ziemią kolorów, ostatnia poświata – to trucizny przemysłowe wносиły swój wkład w piękno chicagowskiego wieczoru. Wysiedliśmy. Czekają tu z dziesięciu budowlanych, którzy natychmiast władowali się do windy. Chciałem zawołać do nich: „Czekajcie!” – ale zjechali całą grupą, zostawiając nas w próżni. Wydawało się, że Cantabile wie, dokąd idzie, ale ja mu nie dowierzałem. Był zdolny do każdego oszustwa.

– Chodź! – zawołał.

Szedłem za nim, ale powoli. Czekał na mnie. Było tu kilka wiatrochronów, na tym sześćdziesiątym czy siedemdziesiątym piętrze, i wiatr uderzał w nie z gwałtowną siłą. Oczy mi łzawiły. Uczepiłem się jakiegoś słupa, a Cantabile powiedział:

– Chodź prędzej, dziadku, chodź, specjalisto od anulowania czeków.

– Mam skórzane obcasy. Ślizgam się.

– Tylko żebyś mi ze strachu nie zaczął uciekać!

– Tego już dość – powiedziałem. Objąłem słup ramionami. Nie chciałem zrobić ani kroku dalej.

Okazało się, że jak na jego potrzeby zaszliśmy dostatecznie daleko.

– Teraz chcę ci pokazać, co dla mnie znaczy twoja forsa. – Wyciągnął pięćdziesięciodolarowy banknot. Oparłszy się plecami o stalowy słup, zdjął rękawiczki do konnej jazdy i zaczął składać banknot. W pierwszej chwili wydało mi się to niepojęte. Potem nagle zrozumiałem. Robił zabawkę, papierowy samolot. Podciągnął rękaw płaszcza i trzymając samolot w dwóch palcach, wypuścił go w powietrze. Odprowadzałem banknot wzrokiem, kiedy w podmuchach wiatru mknął między rozwieszonymi na drutach żarówkami i dalej przez stalowoszare powietrze, coraz mroczniejsze w dole. Na Michigan Boulevard rozpięto już gwiazdkowe dekoracje – wijący się od drzewa do drzewa sznur maleńkich szklanych kulek. Zdawały się płynąć tam w dole jak komórki pod mikroskopem.

Martwiłem się teraz głównie o to, jak zejść. Chociaż gazety to bagatelizują, ciągle ktoś spada na tych budowach. Ale mimo strachu i mimo udreki, moja łaknąca sensacji dusza była usatysfakcjonowana. Wiedziałem, że za dużo potrzeba, żeby mnie usatysfakcjonować. Mój próg satysfakcji podjechał za wysoko. Muszę go obniżyć. Wiedziałem, że muszę wszystko zmienić.

Cantabile wypuścił w przestrzeń następne banknoty. Samolociki z papieru. Origami (mój uczonego umysł, trwający przy swojej niezmordowanej pedanterii – mój leksykalny wścibski umysł!), japońska sztuka tworzenia form z papieru. Bodaj przed rokiem odbył się kongres, na który zjechali się z całego świata pomyleńcy od samolotów papierowych. W większości matematycy i inżynierowie.

Zielone banknoty Cantabilego fruwały jak zięby, jak jaskółki i motyle, a na każdym był wizerunek Ulyssesa S. Granta. Przyniosły o zmierzchu fortunę ludziom w dole na ulicy.

– Dwa ostatnie zatrzymam – powiedział. – Wydam je na picie i jedzenie dla nas obu.

– Jeżeli zejdziesz na dół żywy.

– Całkiem dobrze sobie radziłeś. Idź. Teraz ty prowadzisz. Ruszaj.

– Te obcasy są strasznie zdradliwe. Kiedyś nastąpiłem na ulicy na zwykły kawałek woskowanego papieru i runąłem jak długi. Może powinienem zdjąć buty.

– Oszalałeś. Stąpaj na palcach.

Jeżeli nie myślało się o możliwości runięcia w dół, kładki były zupełnie bezpieczne. Pełzłem, usiłując opanować paraliż łydek i ud. Kiedy uczepiłem się ostatniego słupa, twarz szybciej oblewała mi się potem, niż wiatr mógł ją osuszyć. Uważałem, że Cantabile idzie za blisko z tyłu. Budowlani czekający na windę wzięli nas chyba za facetów ze związku albo pomocników architekta. Zapadła już noc i cała półkula była zamarznięta na ogromnej przestrzeni aż do Zatoki. Kiedy dotarliśmy do samochodu, z ulgą opadłem na miękkie siedzenie. Cantabile odłożył oba kaski. Obrócił kierownicę i zapalił silnik. Teraz naprawdę powinien mnie puścić. Dałem mu dość satysfakcji.

Ale znowu ruszył ostro z miejsca. Pomknął do najbliższych świateł. Odchyliłem głowę przez oparcie w taki sposób, jakbym chciał powstrzymać krwotok z nosa. Nie bardzo mogłem się zorientować, gdzie jesteśmy.

– Słuchaj, Rinaldo – powiedziałem. – Dowiodłeś swojej racji. Pogruchołaś mi samochód, cały dzień ciągnąłeś mnie ze sobą, a teraz doświadczyłem przez ciebie takiego strachu, jakiego jeszcze nie znałem. W porządku, wiem już, że to nie sprawa pieniędzy cię zdenerwowała. Wepchnijmy resztę w otwór kanału i pozwól mi odejść.

– Dostało ci się ode mnie, co?

– Był to cały dzień pokuty.

– Dość się napatrzyłeś na tych... jak im tam... Nauczyłem się od ciebie przy tym pokerze kilku nowych słów.

– Jakich słów?

– Lumpy – odparł. – Lumpenproletariat. Zrobiłeś nam mały wykład o Karolu Marksie.

– Mój Boże, potwornie rozrabiałem. Żadnych hamulców. Co mnie napadło?

– Chciałeś się otrzeć o hołotę i element przestępczy. Wybrałeś się na wycieczkę do slumsów, Charlie, i pysznie się bawiłeś, grając w karty z naszą gromadką półgłówków i wyrzutków społeczeństwa.

– Rozumiem. Zachowywałem się obraźliwie.

– Tak jakby. Ale od czasu do czasu byłeś nawet interesujący, na przykład kiedy mówiłeś o ładzie społecznym i o obsesjach klasy średniej na punkcie lumpenproletariatu. Tamci goście nie mieli zielonego pojęcia, o czym mówisz. – Po raz pierwszy Cantabile zwracał się do mnie łagodniejszym tonem.

Wyprostowałem się i po prawej zobaczyłem nocne światła rozświetlające na rzece, a po lewej przystrojony świątecznie Merchandise Mart. Jechaliśmy do starej restauracji Gene i Georgetti, tuż obok miejsca, w którym rozwidlają się tory kolei nadziemnej. Zaparkowawszy wśród innych złowrogo luksusowych samochodów, weszliśmy do odrapanego budynku, gdzie – niech żyje dostatnia intymność! – muzyka z szafy grającej uderzyła w nas jak fale przybrzeżne Pacyfiku. W barze dla ważnych dyrektorów tłoczyli się dyrektorscy biesiadnicy i ich urocze towarzyszki. Wspaniałe lustro, zaludnione rzędami butelek, przypominało zbiorową fotografię upamiętniającą wręczenie dyplomów w niebie.

– Giulio – zwrócił się Cantabile do kelnera. – Spokojny stolik, nie chcemy siedzieć koło toalety.

– Na górze, panie Cantabile?

– Czemu nie? – wtrąciłem. Byłem rozdygotany i nie chciałem czekać na stolik przy barze. Zresztą przedłużyłoby to wieczór.

Cantabile wytrzeszczył oczy, jakby chciał powiedzieć: Kto cię pytał o zdanie? Ale zgodził się.

– Niech będzie na górze. I dwie butelki Piper Heidsieck, Giulio.

– Już przynoszę, panie Cantabile.

W czasach Ala Capone gangsterzy stacjali na bankietach żartobliwe potyczki szampanem. Potrząsali butelką i strzelali jeden do drugiego korkami i musującą pianą – masakra na wesoło i wszyscy w smokingach.

– Chcę ci teraz coś powiedzieć – zaczął Rinaldo – na całkiem inny temat. Jestem żonaty, wiesz o tym.

– Tak, wiem.

– Mam wspaniałą, inteligentną, piękną żonę.

– Wspominałeś o żonie wtedy w Południowym Chicago. Tamtego wieczoru... Macie dzieci? Co ona robi?

– Tb nie żadna kura domowa, chłoptasiu, i lepiej żebyś o tym pamiętał. Myślisz, że ożeniłbym się z jakąś tłustą dupą, która szlaja się po domu w lokówkach i ogląda telewizję? To prawdziwa kobieta, inteligentna, wykształcona. Wykłada w Mundelein College i robi doktorat. Wiesz gdzie?

– Nie.

– W Radcliffe na Harvardzie.

– To wspaniałe. – Wypiłem do dna i ponownie napełniłem kieliszek szampanem.

– Nie opędzaj się tak. Spytaj, jaki temat wybrała. Doktoratu.

– Doskonale. Jaki temat?

– Pisze pracę o tym poecie, który był twoim przyjacielem.

– Chyba żartujesz. O Von Humboldcie Fleisherze? Skąd wiesz, że był moim przyjacielem?... Rozumiem. Mówiłem o nim wtedy u George'a. Ktoś powinien był zamknąć mnie tego wieczoru w szafie.

– Nic nie trzeba było wyciągać z ciebie podstępem, Charlie. Nie wiedziałeś, co robisz. Trajkotałeś jak pięcioletnie dziecko o procesach sądowych, adwokatach, specach od zeznań podatkowych, źle lokowanych pieniądzech i o piśmie, które chcesz wydawać – z tego, coś mówił, impreza z góry skazana na klępkę. Powiedziałeś, że własne pieniądze będziesz wydawał na własne poglądy.

– Nigdy nie mówię o takich sprawach z obcymi. Widocznie Chicago przyprawiło mnie o arktyczny obłąd.

– A teraz posłuchaj. Jestem dumny z mojej żony. Jej rodzice są bogaci... to wyższe sfery... – Zauważyłem, że przechwalanie się przydaje ludziom cudownych rumieńców. Policzki Cantabilego pały. Dodał: – Pewnie się zastanawiasz, dlaczego ona sobie wzięła takiego męża.

Wymamrotałem:

– Ależ nie, nie – chociaż to pytanie było dość naturalne. Nie jest jednak żadną nowiną, że łajdacy, kryminaliści i wariaci podniecają wykształcone kobiety i że owi łajdacy itd. mają z kolei pociąg do kultury, intelektu. Diderot i Dostojewski przyzwyczaili nas do tego.

– Chcę, żeby zrobiła swój doktorat – ciągnął Cantabile. – Rozumiesz? Bardzo mi na tym zależy. A ty byłeś kumplem tego Fleishera. Przekażesz Lucy potrzebne informacje.

– Chwileczkę...

– Rzuć na to okiem. – Podał mi kopertę. Włożyłem szkła i przejrzałem znajdujące się w środku papiery, podpisane Lucy Wilkinson Cantabile. Był to list wzorowej doktorantki – grzeczny, drobiazgowy, doskonale skonstruowany, pełen zwykłych akademickich omówień, trzy strony maszynopisu na jedną stopkę, gęste od pytań, bolesnych pytań. Kiedy czytałem, jej mąż obserwował mnie z uwagą. – No i co o tym myślisz?

– Kapitalne – powiedziałem. Czuję ogarniającą mnie rozpacz. – Czego wy dwoje ode mnie chcecie?

– Odpowiedzi. Informacji. Chcemy, żebyś odpowiedział pisemnie na wszystkie pytania. Co myślisz o tym projekcie?

– Myślę, że powinniśmy zmarłym dać żyć w spokoju.

– Przestań się wygłupiać, Charlie. Nie podobał mi się ten dowcip.

– Mało mnie to obchodzi – powiedziałem. – Ten biedak Humboldt, mój przyjaciel, był człowiekiem wielkiego ducha, ale go zniszczono... mniejsza z tym. Te kombinacje z doktorantami to złoty interes, aleja nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Zresztą nigdy nie odpowiadam na ankiety. Idioci narzucają się nam ze swoimi papierkami. Nie znoszę tego.

– Nazywasz moją żonę idiotką?

– Nie mam przyjemności jej znać.

– Potraktuję cię ulgowo. Ten mercedes dał ci w kość, a potem woziłem cię po mieście i zrobiłem z ciebie szmatę. Ale nie mów nieprzyjemnie o mojej żonie.

– Są rzeczy, których nie robię. Ta jest jedną z nich. Nie odpowiem na pytania. To by mi zajęło tygodnie.

– Posłuchaj!

– Koniec. Kropka.

– Daj powiedzieć słowo!

– No dalej, rozwał mi łeb. I niech cię diabli.

– Dobrze, dobrze, nie ma pośpiechu. Niektóre rzeczy są święte, rozumiem. Jakoś to wszystko ułożymy. Wtedy przy kartach słuchałem i wiem, że masz cholernie dużo kłopotów. Potrzebny ci jest ktoś twardy i praktyczny, kto zajmie się twoimi sprawami. Sporo o tym myślałem i mam kupę rozmaitych pomysłów. Dobijemy targu.

– Nie będę dobijał żadnych targów. Mam tego powyżej dziurek w nosie. Boli mnie serce i chcę iść do domu.

– Zjemy po befsztyku i skończymy wino. Przyda ci się kawałek krwistego mięsa. Zrobisz to.

– Nie zrobię!

– Giulio, przyjmij zamówienie – powiedział.

* * *

Chciałbym wiedzieć, skąd bierze się we mnie tyle lojalności wobec zmarłych. Słyszac o ich śmierci, często mówię sobie, że muszę podjąć ich zadanie i wykonać za nich pracę, dokończyć ich dzieła. A tego naturalnie zrobić nie mogę. Natomiast zauważyłem, że po trochu zaczynają się do mnie przylepiać ich cechy. Z biegiem czasu, na przykład, spostrzegłem, że zachowuję się absurdalnie, na sposób Von Humboldta Fleishera. Wkrótce stało się jasne, że on działa jako mój agent. Ja sam, osoba w miły sposób opanowana, powodowałem, że Humboldt wypowiadał się szaleńczo w moim imieniu, zaspokajając niektóre moje tęsknoty. To tłumaczyło sympatię, jaką miałem do pewnych osób – do Humboldta, do George'a Swiebla, nawet do kogoś w rodzaju Rinalda Cantabilego. Takie psychiczne zastępstwo może mieć swoje źródło w przedstawicielskim systemie rządów. Tak czy inaczej, kiedy umierał któryś z moich dynamicznych przyjaciół, oddelegowane jemu zadania wracały do mnie. A ponieważ sam też byłem wymownym delegatem innych, po jakimś czasie przerodziło się to w istne piekło.

Prowadzić dalej dzieło Humboldta? Humboldt chciał ozdobić świat draperiami blasku, ale nie starczyło mu tkaniny na te draperie. Jego usiłowania skończyły się na wysokości brzucha. Poniżej była kosmata nagość, którą tak dobrze znamy. Był czarującym człowiekiem, szczodrym i miał serce ze złota. A przecież teraz ludzie uważają jego dobroć za staroświecką. Blask, którym rozporządzał, był dawnym blaskiem, i miał go niewiele w zapasie. Nam był potrzebny blask najzupełniej nowy.

A teraz Cantabile i jego pisząca pracę doktorską żona domaga się, żebym przypomniał drogie umarłe czasy Greenwich Village wraz z jego intelektualistami, poetami, dziwkami, samobójstwami, romansami. Nie bardzo mi się to podobało. Nie miałem jeszcze jasnego sądu o pani Cantabile, ale w jej mężu widziałem przedstawiciela nowej umysłowej hołoty podintelektualizowanego świata, a zresztą nie życzyłem sobie, żeby mnie ktoś do czegoś zmuszał. Nie w tym rzecz, żebym miał odmawiać udzielenia informacji uczciwym naukowcom czy nawet młodym ludziom rozpoczynającym karierę, ale wtedy byłem akurat zajęty, bardzo, aż boleśnie zajęty – w sensie osobistym byłem zajęty Renatą i Denise, i moim doradcą od podatków Williamem Murą, i sędziami, adwokatami i mnóstwem uczuciowych kryzysów. W sensie nieosobistym byłem zajęty uczestniczeniem w życiu mojego kraju i Zachodniej Cywilizacji, i społeczności globu (mieszanka rzeczywistości z fikcją). Jako redaktor ogromnie ważnego miesięcznika „The Ark”, który prawdopodobnie

nigdy się nie ukaże, rozmyślałem nieustannie o deklaracjach, które trzeba złożyć, i prawdach, które trzeba przypomnieć światu. Świat, którego tożsamość ustalały uszeregowane daty (1789-1914 – 1917-1939) i hasła wywoławcze (Rewolucja, Technologia, Nauka i tak dalej) był inną przyczyną mojego zaabsorbowania. Mamy nasze powinności wobec tych dat i tych słów. Wszystko to było tak doniosłe, pochłaniające, tragiczne, że w końcu pragnąłem tylko jednego: położyć się i zasnąć. Zawsze miałem szczególny talent do drzemek. Patrząc na zdjęcia robione w momentach, które były jednymi z najniegodziwszych w dziejach ludzkości, i widząc, że mam mnóstwo włosów na głowie i jestem ujmująco młodzieńczy. Mam na sobie źle skrojony dwurzędowy garnitur z lat trzydziestych czy czterdziestych, stoję pod drzewem z fajką w zębach i trzymam za rękę pulchnego, ładnutkiego kociaka – śpię na stojąco jak zabity. Przedzemałem niejedną krytyczny moment (kiedy miliony umierały).

Wszystko to niestychanie się liczy. Po pierwsze, nie mam co ukrywać, że kiedy wróciłem, żeby osiąść w Chicago, kierował mną skryty zamiar napisania doniosłego dzieła. I mój letarg wiąże się z tym projektem – wpadłem na pomysł, żeby zrobić coś z ową chroniczną walką między snem a świadomością, która toczy się nieustannie w naturze ludzkiej. Za temat obrałem sobie, w ostatnich latach prezydentury Eisenhowera, nudę. Chicago było idealnym miejscem do pracy nad moim *opus magnum* – nad Rozprawą o Nudzie. W prymitywnym Chicago mogłem badać ducha ludzkiego w warunkach cywilizacji przemysłowej. Gdyby ktoś miał obwieścić swoją wizję Wiary, Nadziei i Miłości, chciałby rozumieć, komu ją ofiarowuje – musiałby zrozumieć owo dojmujące cierpienie, które zwiemy nudą. Postanowiłem, że spróbuję zrobić z nudą to, co Malthus, Adam Smith, John Stuart Mili czy Durkheim zrobili z populacją, bogactwem i podziałem pracy. Historia i temperament uplasowały mnie w bardzo szczególnej sytuacji i miałem zamiar to wykorzystać. Nie na darmo czytałem tych wielkich nowoczesnych ekspertów od nudy – Stendhala, Kierkegaarda i Baudelaire’a. W ciągu lat dużo pracowałem nad moją rozprawą. Cała trudność w tym, że materiał nieustannie mnie odurzał, jak górnika odurzają wyziewy w kopalni. Ale za nic nie przerwałem pracy. Mówiłem sobie, że nawet Rip Van Winkle przespał tylko dwadzieścia lat, byłem od niego lepszy o co najmniej dwa dziesiątki lat i postanowiłem zmusić ów stracony czas, żeby mnie oświecił. Wobec tego nie przerywałem wyrafinowanych zajęć intelektualnych w Chicago, a także wstąpiłem do klubu sportowego, gdzie grałem w squasha z maklerami i dżentelmenami-gangsterami, usiłując wzmocnić w ten sposób władze umysłowe. I potem kiedyś mój godny szacunku przyjaciel Durnwald wspomniawszy żartobliwie, że słynny, ale źle rozumiany doktor Rudolf Steiner ma dużo do powiedzenia na temat głębszych aspektów snu. Książki Steinera, które zaczynałem czytać na leżać, natychmiast budziły we mnie chęć wstania. Dowodził, że między koncepcją jakiegoś działania a jego wykonaniem przez wolę jest luka snu. Sen może być krótki, ale mocny. Albowiem jedna z dusz człowieka jest duszą-snem. I w tym istota ludzka przypomina rośliny, których całe istnienie jest snem. Zrobiło to na mnie bardzo silne wrażenie. Prawdę o śnie można dostrzec tylko z perspektywy nieśmiertelnego ducha. Nigdy nie wątpiłem, że posiadam coś takiego. Dość jednak wcześnie odsunąłem od siebie ten fakt. Trzymałem go w tajemnicy. Te właśnie przekonania trzymane w tajemnicy też naciskają na nasz mózg i spychają nas do królestwa roślin. Nawet teraz wahałbym się wspomnieć o duchu intelektualistycznym w rodzaju Durnwalda. Rzecz jasna Durnwald nie brał Steinera poważnie. Durnwald był czerwony, niemłody, lecz silny, mocno zbudowany i tysi, kawaler o dziwacznych obyczajach, ale dobry człowiek. W obejściu był obcesowy, szorstki, napastliwy, nawet despotyczny, ale jeśli mnie beształ, to dlatego, że mnie kochał – inaczej nie zadawałby sobie fatygi. Ten wielki uczonej, jeden z najgruntowniej wykształconych ludzi na świecie, był racjonalistą. Ale jego racjonalizm nie był ciasny, w żadnym wypadku. Niemniej nie mogłem mówić z nim o władzach ducha w oderwaniu od ciała. Nie chciałby słuchać. Ze Steinera po prostu sobie żartował. Ja nie żartowałem, ale nie miałem ochoty, żeby mnie uznano za wariata.

Zacząłem dużo myśleć o duchu nieśmiertelnym. Mimo to, noc po nocy, śniło mi się, że jestem najlepszym graczem w klubie, demonem rakiety, że moja piłka z bekhendu musnęła lewą ścianę kortu i znieruchomiała w rogu, tyle miała w sobie angielskości. Śniło mi się, że biję wszystkich najlepszych graczy klubowych – wszystkich tych chudych, włochatych, szybkich facetów, którzy, w rzeczywistości unikali gry ze mną, bo tak partaczyłem. Byłem boleśnie rozczarowany płycizną moich zainteresowań, którą takie sny zdradzały. Nawet moje sny były uśpione. A co z pieniędzmi? Pieniądze są potrzebne do ochrony śpiących. Wydawanie wpędza człowieka w bezsenność. Kiedy zmyjemy z oczu wewnętrzną błonę i wzniesiemy się na wyższy poziom świadomości, potrzeba nam będzie mniej pieniędzy.

W tych okolicznościach (a powinno już być teraz bardziej zrozumiałe, co mam na myśli, mówiąc o okolicznościach: Renata, Denise, sądy, adwokaci, Wall Street, sen, śmierć, metafizyka, karma, obecność wszechświata w nas i nasza we wszechświecie) nie zatrzymałem się, żeby pomyśleć o Humboldcie, drogim przyjacielu, moim *camerado* z poprzedniego (niemal) istnienia, bardzo kochanym, ale umarłym. Wyobrażałem sobie niekiedy, że mogę go zobaczyć w przyszłym życiu, razem z moją matką i ojcem. I Demmie Vonghel. Demmie była jedną z najważniejszych moich zmarłych, pamiętaną co dzień. Ale nie spodziewałem się, że

Humboldt dopadnie mnie jak w życiu, jadąc dziewięćdziesiąt mil na godzinę potężnym buickiem. Najpierw się śmiałem. Potem zacząłem krzyczeć. Byłem jak sparaliżowany. Humboldt pędził prosto na mnie. Powalił mnie dobrodziejstwami. Dar Humboldta zmiotł wiele naglących problemów.

Rola, jaką odegrali w tym Lucy i Ronald Cantabile, to już całkiem coś innego.

Drodzy przyjaciele, chociaż miałem właśnie wyjechać z miasta i miałem wiele pilnych spraw do załatwienia, postanowiłem zawiesić na jeden ranek wszelkie działania praktyczne. Zrobiłem to, żeby się nie załamać pod stresem. Od pewnego czasu wykonywałem niektóre z ćwiczeń medytacyjnych zalecanych przez Rudolfa Steinera w jego dziele *Jak uzyskać poznanie wyższych światów?* Dotąd nie osiągnąłem wiele, no ale moja dusza była mocno posunięta w latach, a także bardzo ubrudzona i pokiereszowana, więc musiałem być cierpliwy. W sposób dla mnie charakterystyczny starałem się zbyt usilnie i znowu przysłała mi na myśl cudowna rada udzielona przez francuskiego myśliciela: *Trouve avant de chercher* – był to chyba Valery. Albo Picasso. Bywają chwile, kiedy najrozsądniej jest się położyć.

I tak po dniu spędzonym z Rinaldem Cantabilem zrobiłem sobie urlop. Dzień był piękny, pogodny. Rozsunąłem ażurowe firanki odgradzające mnie od widoków Chicago i wpuściłem do pokoju jasne słońce i głęboki błękit (które w swoim miłosierdziu błyszcząły i rozpościerały się nawet nad takim miastem). Z pogodą w sercu wygrzebałem z szuflad papiery Humboldta. Poukładałem stosy notesów, listów, dzienników, rękopisów na niskim stoliku i na obudowaniu kaloryfera za oparciem sofy. I położyłem się, wzdychając, zsuwając buty. Pod głowę wsunąłem poduszeczkę, którą wyhaftowała dla mnie pewna młoda pani. Jakże wypełnione kobietami było całe moje życie. Ach, ten nasz nękany seksem wiek! Doris Scheldt, córka antropozofa, u którego od czasu do czasu zasięgałem rady. Przed rokiem dała mi ten gwiazdkowy podarek, własnoręcznie przez nią zrobiony. Drobną i śliczną, inteligentną, o zdumiewająco mocnym profilu jak na tak ładną młodą kobietę, lubiła się ubierać staromodnie, dzięki czemu przypominała Lilian Gish czy Mary Pickford. Natomiast obuwie nosiła prowokujące, bardzo niekonwencjonalne. W moim prywatnym słowniku była maleńką *noli me* tangerinką. Chciała i nie chciała, żeby ją dotykano. Wiedziała bardzo dużo o antropozofii, często przebywaliśmy ze sobą ubiegłego roku, kiedy pokłóciłem się z Renatą. Siedziałem na bujaku z giętego drzewa, a tymczasem ona, trzymając nogi w maleńkich, długich butach z lakierowanej skóry na podnóżku, haftowała tę czerwono-zieloną poduszkę – świeża trawa i żarzące się węgle. Gawędziliśmy i tak dalej. Była to miła znajomość, ale się skończyła. Pogodziliśmy się z Renatą.

Wszystko to mówię, żeby wytłumaczyć, dlaczego wybrałem Von Humboldta Fleishera jako temat moich medytacji tego ranka. Takie medytacje wzmacniają jakoby wolę. Aż wreszcie, stopniowo wzmacniana tego rodzaju ćwiczeniami, wola może się stać organem postrzegania.

Zmięta kartka pocztowa spadła na podłogę, jedna z ostatnich przysłanych mi przez Humboldta. Odczytywałem widmowe pociągnięcia piórem jak zamglony wzór zorzy północnej:

Myszy kryją się, gdy w górze krąży jastrząb;

Jastrzębie pierzchają przed samolotami;

Samoloty boją się dział przeciwlotniczych;

Każdy lęka się kogoś.

Jedynie lwy nieostrożne

Pod drzewem Booloo

Drzemią splecione w uścisku

Po swoim krwawym obiedzie –

Im to się dobrze wie!

Czytając ten wiersz przed ośmiu czy dziewięciu laty, myślałem: Biedny Humboldt, ci doktorzy od leczenia szokami dokonali na nim lobotomii, zniszczyli faceta. Ale teraz jego słowa objawiły mi się jako przesłanie, nie jako wiersz. Nie wolno dopuścić, żeby wyobraźnia obumierała – takie było przesłanie Humboldta. Wyobraźnia musi znowu udowodnić, że sztuka daje świadectwo wewnętrznym siłom natury. Dla odkupicielskiego daru wyobraźni sen jest snem, a jawa nie jest prawdziwą jawą.

O tym Humboldt zdawał mi się teraz mówić. A jeżeli tak, Humboldt nigdy nie był zdrowszy na umyśle i odważniejszy niż pod koniec życia. Aleja uciekłem od niego na Czterdziestej Szóstej Ulicy – właśnie wtedy, kiedy miał mi najwięcej do powiedzenia. Spędziłem ten ranek, jak już wspomniałem, kołując eliptycznie w helikopterze Straży Przybrzeżnej nad Nowym Jorkiem, wraz z dwoma senatorami, burmistrzem, różnymi osobistościami urzędowymi z Waszyngtonu i Albany, i elitą dziennikarską – wszyscy w pościąganych paskami kurtkach ratowniczych, przy czym przy każdej kurtce była pochwa z nożem (te noże nie dawały mi spokoju). A potem, po lunchu w Central Parku (jestem zmuszony powtórzyć) wyszedłem i zobaczyłem Humboldta – umierający człowiek, który jadł precla na ulicy z twarzą już obsypaną grudkami cementarnej ziemi. Uciekłem. Był to jeden z tych ekstatycznie bolesnych momentów, które zmuszają mnie do ruchu. Musiałem uciec. Powiedziałem: Och, stary, żegnaj, zobaczymy się na tamtym świecie.

Już nic nie można było zrobić dla niego na tym świecie, do takiego wniosku doszedłem. Ale czy naprawdę? Zmięta kartka pocztowa zmusiła mnie do przemyśleń. Nagle przyszło mi do głowy, że zgrzeszyłem przeciwko Humboldtowi. Położywszy się na miękkiej jak puch sofie, żeby rozpocząć medytację, poczułem, że robi mi się gorąco z samokrytycyzmu i wstydu, byłem rozpalony, spocony. Wyciągnąłem spod głowy poduszkę Doris Scheldt i otarłem twarz. Znowu zobaczyłem, jak się chowam za zaparkowanymi samochodami na Czterdziestej Szóstej Ulicy, a Humboldt był niby krzak osnuty kokonem przez larwę żarłocznego motyla, usychający. Zmiażdżył mnie widok nadchodzącej śmierci starego przyjaciela, więc uciekłem i z hotelu zatelefonowałem do biura senatora Kennedy'ego, powiedziałem, że wezwano mnie w nagłej sprawie do Chicago. Będę w Waszyngtonie w następnym tygodniu. Potem wzięłem taksówkę na La Guardia i złapałem pierwszy samolot na lotnisko O'Hara. Wciąż wracam i wracam do tego dnia, ponieważ był taki straszny. Dwa drinki, tylko tyle można dostać w samolocie, nic mi nie pomogły – nic! Po wylądowaniu wypilem kilka podwójnych whisky w barze na lotnisku, żeby odzyskać siły. Wieczór był bardzo upalny. Zadzwoiłem do Denise.

– Jestem.

– Już? Tyle dni wcześniej? Co się stało, Charlie?

– Miałem straszne przeżycie.

– Gdzie jest senator?

– W Nowym Jorku. Złapię ich w Waszyngtonie za dzień czy dwa.

– No to wracaj do domu.

Redakcja „Life'u” zamówiła u mnie artykuł o Robercie Kennedym. Spędziłem już z senatorem pięć dni (a raczej w jego pobliżu), przesiadując na kanapie w budynku Senatu, obserwując go. Było to pod każdym względem szczególne źródło inspiracji, ale senator zgodził się, żebym przebywał w pobliżu niego, i nawet chyba mu się spodobałem. Mówię „chyba”, bo było w jego interesie robić takie wrażenie na dziennikarzu, który miał zamiar napisać o nim artykuł. On mnie się też spodobał, może wbrew rozsądkowi. Sposób, w jaki patrzył na człowieka, był dziwny. Oczy miał błękitne błękitem próżni i powieki leciutko mu opadały, jak gdyby była w nich dodatkowa fałda. Po wycieczce helikopterami pojechaliśmy z La Guardia do Bronxu, siedziałem w jego limuzynie. Upadł w Bronksie był przygnębiający, ale my siedzieliśmy w czymś w rodzaju kryształowej gąbki. Chciał być ciągle informowany. Wszystkim w naszej grupie zadawał pytania. Ode mnie żądał informacji historycznych. „Co powinienem wiedzieć o Williamie Jenningsie Biyanie?” Albo: „Proszę mi coś powiedzieć o H. L. Menckenie”. A to, co mu mówiłem, przyjmował z jakby wewnętrznym błyskiem, z którego nie mogłem wywnioskować, co myśli i czy będzie mógł spożytkować takie dane. Zatrzymaliśmy się na placu gier i zabaw w Harlemie. Były tam cadillaki, policjanci na motocyklach, goryle, ekipy telewizyjne. Nie zabudowaną działkę między dwiema kamienicami czynszowymi ogrodzono, wytyczono na niej brukowane ścieżki, ustawiono zjeżdżalnie i piaskownice. Przywitał senatorów kierownik placu zabaw ubrany w barwne *dashiki*, z afro na głowie i paciorkami na szyi. Nad nami, na drewnianych kozłach, stały kamery telewizyjne. Czarny kierownik, promienny, ceremonialny, stanął między dwoma senatorami z piłką do koszykówki. Zrobiono miejsce. Smukły Kennedy, niedbale elegancki, dwukrotnie rzucił piłkę. Kiedy spudłował, uśmiechnął się i kiwnął rudawą, lisią głową, na której wysoko piętrzyły się włosy. Senator Javits nie mógł sobie pozwolić na pudłowanie. Mocno zbudowany, łysy i też uśmiechnięty, sprężył się jednak pod koszem i przyciskając piłkę do piersi, skupił całą wolę na czekającym go zadaniu. Miał dwa celne strzały. Piłka nie zatoczyła łuku. Leciąca prosto nad obręcz i wpadała do kosza. Rozległy się brawa. Ile zdenerwowania, ile ciężkiej pracy, kiedy chce się dotrzymać kroku Boby'emu. Ale republikański senator bardzo dobrze się spisał.

I Denise chciała, żebym się zajmował takimi rzeczami. Wszystko za mnie sama załatwiła, porozumiewała się telefonicznie z redaktorami „Life’u”, nadzorowała sprawę od początku do końca. „No, to wracaj do domu” – powiedziała. Ale była zła. Nie chciała mnie teraz w Chicago.

Dom był okazałą willą South Side. Na początku wieku bogaci niemieccy Żydzi wybudowali tu wiktoriańsko-edwardiańskie rezydencje. Kiedy krezusi od wysyłkowych domów handlowych i inni potentaci biznesu wynieśli się stąd, ich miejsca zajęli profesorowie uniwersytetów, psychiatrzy, adwokaci i Czarni Muzułmanie. Ponieważ upierałem się przy moim zamiarze powrotu do Chicago, żeby zostać Malthusem nudy, Denise kupiła dom Kahnheimów. Protestowała, mówiła: „Dlaczego Chicago? Przecież możemy zamieszkać, gdzie mamy ochotę! O Boże!” Naturalnie miała na myśli dom w Georgetown albo w Rzymie, albo w Londynie na West End. Ale ja obstawałem przy swoim i Denise wyraziła obawę, że może to być zapowiedzią zbliżającego się załamania nerwowego. Jej ojciec, sędzia federalny, był sprytnym adwokatem. Wiem, że Denise często się go radziła co do nieruchomości, wspólnajmu, wdowich praw w stanie Illinois. Doradził nam kupno domu pułkownika Kahnheima. Codziennie przy śniadaniu Denise pytała mnie, kiedy spiszę testament.

Teraz była noc i Denise czekała na mnie w sypialni na górze. Nie cierpię klimatyzacji. Nie pozwoliłem Denise zainstalować urządzeń klimatyzacyjnych. Termometr wskazywał dziewięćdziesiąt kilka stopni, a w gorące noce mieszkańcy Chicago czują swoje miasto duszą i ciałem. Zlikwidowano rzeźnię, Chicago nie jest już miastem-jatką, ale dawne odory ożywają w nocnym upale. Na wielokilometrowych bocznicach kolejowych wzdłuż ulicy stały w tamtych czasach setki czerwonych wagonów bydłowych, zwierzęta ryczały, cuchnęły. Dawny fetor wciąż nawiedza miasto. Powraca niekiedy, jak niemy oddech, wydobywając się z opuszczonej ziemi, i przypomina nam, że kiedyś Chicago przewodziło światu w rzeźniczej technologii i że zabito tu miliardy zwierząt. Tej nocy okna były szeroko otwarte i wrócił znajomy, przygębający, nawarstwiony smród mięsa, łoj, krwi, mączki kostnej, skór, mydła, wędzonych polci, palonej sierści. Stare Chicago oddychało znów przez liście, przez zasłony. Słyszałem wozy strażackie i zachłystujący się pisk ambulansów, idący prosto z trzewi, histeryczny. W otaczających nas czarnych slumsach strzelają w lecie płomienie podkładanego ognia, objaw, twierdzą niektórzy, psychopatologii. Chociaż miłość do ognia jest również uczuciem religijnym. Tak czy inaczej, Denise siedziała naga na łóżku, szybko i energicznie szczotkując włosy. Po drugiej stronie jeziora migotały stalownie. Światło lampy ukazywało sadzę już osiadłą na liściach bluszczu rozpiętego na ścianie. Mieliliśmy w tym roku wczesną suszę. Tej nocy Chicago dyszało ciężko, ogromna machina miejska działała, kamienice czynszowe w Oakwood buchały ogromnymi wstęgami płomieni, syreny wyły upiornie, syreny wozów strażackich, ambulansów, samochodów policji – pogoda pod wściekłym psem i nożem wypruwającym bebechy, noc gwałtu i morderstwa, tysiące otwartych hydrantów sikających wodą z obu piersi. Kiedy wylewały się owe tysiące ton wody, technicy patrzyli ze zgrozą na opadający poziom jeziora Michigan. Gromady smarkaczy z pistoletami i nożami polowały na zdobycz. A ten wrażliwy, pogrążony w smutku – Mój Boże! Mój Boże! – pan Charlie Citrine zobaczył swojego starego kumpla, człowieka nieżywego, jedzącego precla w Nowym Jorku, więc rzucił „Life” i Straż Przybrzeżną, i obu senatorów, i pognął do domu, szukając pociechy. W tym celu jego żona rozebrała się do naga i szczotkowała swoje niezwykle gęste włosy. W jej ogromnych fiołkowszarych oczach było zniecierpliwienie, jej czułość była przemieszana z wściekłością. Pytała milcząco, jak długo zamierzam siedzieć na szezlongu w skarpetkach, z sercem zranionym i pełen staroświeckiej wrażliwości. Jako osoba nerwowa i o rozwiniętym zmyśle krytycznym uważała, że cierpię na chorobliwe aberracje na punkcie smutku i że mój stosunek do śmierci jest ultranowoczesny czy też barokowy. Często mnie zapewniała, że wróciłem do Chicago, ponieważ moi rodzice są tu pochowani. Czasem mówiła z nagle zbudzoną czujnością: „Ach, zaraz przyjdzie kolej na ten kawałek o cmentarzu!” Co więcej, często miała rację. Już po chwili ja sam słyszałem zgrzytliwą monotonię mojego niskiego głosu. Miłość była lekarstwem na te nastroje śmierci. No i proszę – oto Denise, zniecierpliwiona, lecz obowiązkowa, siedziała naga na łóżku, a ja nie zdjąłem nawet krawata. Wiem, że tego rodzaju smutek może być szalenie irytujący. A obdarzanie mnie uczuciowym wsparciem bardzo Denise męczyło. Nie przywiązywała dużego znaczenia do tych moich wzruszeń.

– Och, znowu cię to ugryzło. Musisz skończyć z tą teatralną bzdurą. Poradź się jakiegoś psychiatry. Dlaczego czepiasz się kurczowo przeszłości i bez przerwy oplakujesz tych czy innych umarłaków? – Denise zwracała mi uwagę, z przelotnym rumieńcem na twarzy – dowód nagłego olśnienia – że roniąc łzy nad moimi umarłymi, jednocześnie przyklepuję łopatą ich mogiły.

Bo istotnie pisałem biografie i zmarli dostarczali mi chleba z masłem. Zmarli zdobyli dla mnie francuski order i wprowadzili mnie do Białego Domu. (Kiedy urwały się nasze kontakty z Białym Domem po śmierci JFK, był to dla Denise jeden z najboleńszych ciosów.) Nie zrozumcie mnie źle, wiem, że miłość i karcenie często idą w parze. Durnwald też mnie łąjał. Albowiem kogo Pan miłuje, tego karze. Wszystko to jest splecione z uczuciem. Kiedy wróciłem do domu zdenerwowany sprawą Humboldta, Denise była gotowa mnie pocieszyć.

Ale miała ostry język, och, miała. Naturalnie już samo to, że leżałem taki smutny, z sercem tak skrwawionym, było prowokujące. A poza tym podejrzewała, że nie skończę nigdy artykułu do „Life’u”. I tu znowu miała słusność.

Jeżeli zawsze mam przeżywać tak głęboko śmierć, może spróbowałbym coś z tym zrobić? Ta wieczna emocjonalność jest nieznośna. Tak brzmiała opinia Denise. Z tym też się zgadzałem.

– Więc martwisz się swoim przyjacielem Humboldtem? – powiedziała. – Ale jak się to stało, że nie próbowałeś go odszukać? Miałeś na to lata. I dlaczego nie podszedłeś do niego dzisiaj?

Było to okrutne pytanie, bardzo inteligentne. Denise nigdy mi nie przepuściła.

– Czy miałem podejść i powiedzieć: „Humboldt, to ja, Charlie. Nie miałbyś ochoty na prawdziwy lunch? Tuż za rogiem jest luksusowa restauracyjka”. Ale myślę, że to by się skończyło atakiem szału. Przed paru laty próbowałem uderzyć młotkiem sekretarkę jednego dziekana. Twierdził, że poukładała na jego łóżku pisma pornograficzne. Coś w rodzaju erotycznego spisku. Znowu wzięli go do wariatów. Przecież ten biedak jest obłąkany. Nie ma sensu wracać do czasów świętego Juliana, przytulać trędowatych do serca.

– Kto powiedział coś o trędowatych? Wiecznie myślisz o czymś, co nikomu innemu nie przysłoby do głowy.

– Dobrze, zgoda, ale on wyglądał makabrycznie, a ja byłem wyelegantowany. I co za dziwny zbieg okoliczności. Rano w helikopterze siedziałem obok doktora Longstaffa. Więc naturalnie zaraz pomyślałem o Humboldcie. To Longstaff przyrzekł Humboldtowi ogromne stypendium z fundacji Belisha. Obaj byliśmy jeszcze wtedy w Princeton. Nie mówiłem ci o tym?

– Chyba nie.

– Nagle wszystko mi się przypomniało.

– Czy Longstaff jest ciągle taki przystojny i dystyngowany? To już chyba stary człowiek. I głowę dam, że zanudzałeś go tymi dawnymi czasami.

– Owszem, przypomniałem mu tamtą historię.

– Ty byś nie przypomniał! I pewnie zrobiło mu się nieprzyjemnie.

– Przeszłość nie jest nieprzyjemna dla tych, którzy mają pełne prawo o niej mówić.

– Ciekawe, co Longstaff robił w tym waszyngtońskim tłumku.

– Pewnie starał się zdobyć pieniądze na swoją działalność filantropijną.

* * *

I tak przebiegały moje medytacje na zielonej sofie. Spośród wszystkich sposobów medytacji zalecanych przez literaturę ten nowy najbardziej mi się podobał. Często siadałem pod koniec dnia i przypominałem sobie wszystko, co się zdarzyło, w najdrobniejszych szczegółach – wszystko, co wiedziałem, zrobiłem, powiedziałem. Mogłem w ten sposób odtwarzać dzień od końca do początku, przyglądając się z tyłu, z boku, sobie, człowiekowi, fizycznie nie różniącemu się od innych. Jeżeli kupiłem Renacie gardenię u kwiaciarki na ulicy, mogłem sobie przypomnieć, że zapłaciłem za nią siedemdziesiąt pięć centów. Widziałem mosiężne korbki na trzech posrebrzanych ćwierćdolarówkach. Widziałem klapę palta Renaty, białą główkę długiej szpilki w materiale i pełną, kobiecą twarz Renaty, uradowane spojrzenie jej oczu zwróconych na kwiat i zapach gardenii. Jeżeli tego wymaga transcendencja, nic łatwiejszego, mogę to robić zawsze, cofać się ku początkom czasów. Wobec tego, leżąc teraz na sofie, przywołałem w pamięci stronicę nekrologów w „Timesie”.

„Times” był bardzo poruszony śmiercią Humboldta i zamieścił wspomnienie o nim na dwóch szpaltach. Fotografia była duża. Bo ostatecznie Humboldt robił to, czego wulgarna Ameryka oczekuje od swych poetów. Uganiał się za zgubą i śmiercią jeszcze zajadlej niż za kobietami. Zmarnował talent i zdrowie i trafił do domu, do grobu w zakurzonym dole. Zachlał się na śmierć. Zgoda. To samo zrobił Edgar Allan Poe, którego znaleziono w rynsztoku w Baltimore. I Hart Crane, który skoczył za burtę statku. I Jarrell, który rzucił się pod samochód. I biedny John Berryman, który skoczył z mostu. Z jakichś przyczyn ta okropność jest szczególnie wysoko ceniona przez Amerykę biznesu i technologii. Kraj jest dumny ze swoich zmarłych poetów. Znajduje szaloną satysfakcję w świadectwie składanym przez poetów, że Stany Zjednoczone są za brutalne, za duże, za natrętne, za męczące, że amerykańska rzeczywistość przytłacza. A być poetą to rzecz sztubacka, niewieścia, kościelna. Dziecinność, pijaństwo, szaleństwo, rozpacz tych męczenników dowodzą słabości władz ducha.

Orfeusz prznosił głazy i drzewa. Ale poeta nie potrafi usunąć macicy ani wysłać pojazdu w przestrzeń międzyplanetarną. Nie działa już cudów i nie ma władzy. Więc kochamy poetów, ale kochamy ich, ponieważ do niczego tu nie dochodzą. Istnieją, żeby rozświetlić ogrom tej koszmarnej gmatwaniny i usprawiedliwić cynizm tych, którzy mówią: „Gdybym nie był takim zepsutym, pozbawionym serca sukinsynem, kanalią, złodziejem i szakalem, też bym tego nie wytrzymał. Spójrzcie tylko na tych dobrych i czułych, tych łagodnych ludzi, najlepszych spośród nas. Idą na dno, biedni obłąkańcy. Tak oto, medytowałem, radują się tryumfujący, zgorzkniali kanibale o srogich twarzach. Taką postawę dało się wyczuć w fotografii Humboldta, którą „Times” zdecydował się zamieścić. Było to jedno z owych obłąkańczo-spróchniale-majestatycznych zdjęć – twarz upiorna, posępna, spoglądająca wściekle, usta zaciśnięte, policzki opuchnięte albo skrofuliczne, zbrudzone czoło, wyraz rozszoszczonego, sprofanowanego dzieciństwa. Był tu Humboldt od konspiracji i puczów, od oskarżeń i napadów złości, Humboldt pacjent szpitala Bellevue, Humboldt od sporów sądowych. Bo Humboldt był piniaczem. To słowo zostało dla niego stworzone. Często groził, że mnie poda do sądu.

Tak, wspomnienie pośmiertne było straszne. Wycinek leżał tu gdzieś w rozrzuconych dokoła mnie papierach, ale nie chciałem na niego patrzeć. Pamiętałem słowo po słowie, co „Times” napisał. A napisał swoim musującym, odmierzonym stylem, że Von Humboldt Fleisher wspaniale rozpoczął karierę. Urodził się w Nowym Jorku na Upper West Side. W wieku lat dwudziestu dwóch wprowadził nowy styl do poezji amerykańskiej. Wysoko oceniany przez Conrada Aikena (który musiał kiedyś wezwać policjantów, żeby go wyprowadzili z domu). Uznawany przez T. S. Eliota (o którym, kiedy go stuknęło, rozповідаł niesamowite, nieprawdopodobne erotyczne plotki). Von Humboldt Fleisher był też krytykiem, eseistą, powieściopisarzem, wykładowcą, wybitnym intelektualistą, bywalcem salonów. Ludzie bliscy chwalili jego umiejętność prowadzenia konwersacji. Był wspaniałym gawędziarzem i sływał z dowcipu.

Tutaj, porzuciwszy medytacje, sam go zacząłem oceniać. Słońce wciąż pięknie świeciło, błękit był zimowy i miał w sobie coś z wyniosłości Emersona, aleja się czułem jak niegodziwiec. Było we mnie tyle przykrych rzeczy do powiedzenia, ile w niebie lodowatego błękitu. Doskonale, Humboldt, taki osiągnęłaś sukces w Kulturze Amerykańskiej, jak Hart Schaffner i Marx w branży konfekcyjnej, Generał Samoff w propagandzie, Bernard Baruch na ławce w parku. Jak osiągają sukces, zgodnie z doktorem Johnsonem, psy na tylnych łapach, a panie na kazalnicy – w osobliwy sposób przekraczając granicę swoich możliwości. Orfeusz, Syn Prostaka, przyszedł do Greenwich Village ze swoimi balladami. Kochał literaturę, rozmowy intelektualne i spory, kochał historię myśli. Ten rosły, łagodny, przystojny chłopiec stworzył własną mieszaninę symbolizmu i języka ulicy. Do tej mieszanki weszli Yeats, Apollinaire, Lenin, Freud, Morris R. Cohen, Gertruda Stein, statystyki baseballu i hollywoodzkie plotki. Przeniósł Coney Island na Morze Egejskie i połączył w jedno Buffalo Billa z Rasputinem. Miał zamiar połączyć Sakrament Sztuki i przemysłowe USA jako równe siły. Urodzony (jak utrzymywał) na peronie kolei podziemnej przy Columbus Circle, ponieważ jego matka dostała bólów porodowych w pociągu, chciał zostać artystą boskim, człowiekiem zdolnym do wizjonerstwa i zachwycenia, platońskiego opętania. Otrzymał racjonalistyczne, przyrodnicze wykształcenie w nowojorskim City College. Niełatwo dawało się to pogodzić z elementem orficznym. Ale wszystkie jego pragnienia były z sobą w sprzeczności. Chciał być magicznie, kosmicznie ekspresyjny i jasny, chciał móc powiedzieć wszystko; chciał też być mądry, filozoficzny, chciał znaleźć wspólną platformę dla poezji i nauki, dowieść, że wyobrażenia ma tyle siły co maszyny, chciał obdarzyć wolnością i uszczęśliwić ludzkość. Ale rozglądał się też za bogactwem i sławą. No i naturalnie były kobiety. Nawet Freud uważa, że mężczyzna goni za sławą ze względu na kobiety. Ale znowu kobiety też za czymś gonią. Humboldt powiedział: „Wiecznie szukają czegoś autentycznego. Oddawały się dziesiątki razy szarlatanom, więc teraz modlą się o mężczyznę autentycznego i są szczęśliwe, kiedy się taki zjawi. Dlatego kochają poetów. Oto cała prawda o kobietach”. Humboldt był autentyczny, to pewne. Ale wkrótce przestał być pięknym, młodym mężczyzną i księciem intelektualnej rozmowy. Urósł mu brzuch, twarz była nalana. Wyraz rozczarowania i wątpliwości zarysował mu się wokół oczu.

Brązowe kręgi pod oczami zaczęły się pogłębiać, a na policzkach pokazała się jakby sinawa bladeść. To zrobił z nim jego „gorączkowy” zawód. Bo zawsze mówił, że poezja jest jednym z gorączkowych zawodów, w którym sukces zależy od tego, jaką człowiek ma opinię o samym sobie. Myśl dobrze o sobie, a wygrasz. Strać szacunek dla siebie, a jesteś skończony. I to powoduje manię prześladowczą, bo ludzie, którzy nie mówią dobrze o tobie, zabijają cię. Wiedząc to albo przeczuwając, krytycy i intelektualiści mają cię w ręku. Chcesz czy nie, jesteś wciągnięty w walkę o władzę. I potem sztuka Humboldta zanikła, a jego gorączkowość wzrosła. Za kobietami przepadał. Brały go za autentycznego mężczyznę jeszcze długo po tym, jak zrozumiał, że nie ma w nim nic autentycznego i że je nabiera. Połykał więcej pigulek, pił więcej dzinu. Psychoza Maniakalno-depresyjna zaprowadziła go do domu wariatów. Zamykano go, wypuszczano. Został profesorem literatury angielskiej u czubków. Był tam wielką postacią literacką. Gdzie indziej, używając jego własnego określenia, był okrągłym zerem. Ale potem umarł i miał dobrą prasę. Zawsze sobie ceniał rozgłos, a „Times” to same

szczyty. Stracił talent, rozum, rozpadł się, umarł w nędzy, ale odrodził się znowu na giełdzie kulturalnej i przez krótki czas zażywał prestiżu doniosłej klęski.

* * *

Zwycięstwo Einsenhowera w 1952 roku stanowiło dla Humboldta osobistą katastrofę. Kiedy spotkaliśmy się nazajutrz rano, był w ciężkiej depresji. Jego duża, jasna twarz była obłąkanie ponura. Zaprowadził mnie do swojego gabinetu – gabinetu Sewella – zawałonego książkami. Ja zajmowałem sąsiedni pokój. Pochylając się nad małym biurkiem, na którym leżał rozpostarty „Times” z wynikami wyborów, trzymał papierosa, ale jednocześnie palce miał splecione w geście rozpacz. Popielniczka (puszka po kawie Savarin) była już pełna niedopałków. Nie szło tylko o to, że zawiódł się w swoich nadziejach czy że rozwój kulturalny Ameryki został nagle zahamowany. Humboldt się bał.

– Co my zrobimy? – spytał.

– Będziemy musieli przeczekać – powiedziałem. – Może następna administracja wpuści nas do Białego Domu.

Tego ranka Humboldt nie zamierzał tolerować lekkiej rozmowy.

– Posłuchaj – zacząłem. – Jesteś redaktorem działu poezji Arcturusa, masz etat u Hildebranda i Spółki, jesteś płatnym doradcą Fundacji Belisha i wykładasz w Princeton. Masz umowę na książki o współczesnej poezji. Wiem od Kathleen, że gdybyś żył sto pięćdziesiąt lat, nie wypłaciłbyś się ze wszystkich zaliczek, które wzięłeś od wydawców.

– Nie byłbyś zazdrosny, Charlie, gdybyś wiedział, jaka trudna jest moja sytuacja. Wydaje się, że mam mnóstwo rzeczy ponapinanych, ale to wszystko złudzenie. Grozi mi niebezpieczeństwo. Ty, bez żadnych perspektyw, jesteś w dużo lepszej sytuacji. A teraz jeszcze ta polityczna katastrofa. – Wyczułem, że boi się swoich sąsiadów na wsi. W koszmarach nocnych palili jego dom, dochodziło do wymiany strzałów, linczowali go, uprowadzali jego żonę. Powiedział: – Co my teraz zrobimy? Jaki powinien być nasz następny krok?

Te pytania były tylko wprowadzeniem do planu, który obmyślił.

– Nasz następny krok?

– Albo wyjedziemy ze Stanów, albo się gdzieś okopimy.

– Moglibyśmy poprosić Harry’ego Trumana o azyl w Missouri.

– Przestań żartować, Charlie. Mam zaproszenie na Wolną Wszechnicę do Berlina, wykłady z literatury amerykańskiej.

– To wspaniale.

Rzucił szybko:

– Nie! Nie! W Niemczech jest niebezpiecznie. Nie ryzykowałbym Niemiec.

– W takim razie nie masz wyboru. Gdzie się okopiesz?

– Mówiłem w liczbie mnogiej, „my”. Sytuacja jest bardzo niebezpieczna. Gdybyś miał chociaż trochę wrażliwości, odczuwałbyś to samo. Wyobrażasz sobie, że ponieważ jesteś taki śliczny chłoptaş i masz takie promienne duże oczy, nikt cię nie skrzywdzi. – Zaczął teraz atakować Sewella. – Sewell to naprawdę nędzna kreatura.

– Zdawało mi się, że jesteście starymi przyjaciółmi.

– Długa znajomość nie oznacza jeszcze przyjaźni. A tobie on się podobał? Raczył cię przyjąć. Był protekcyjny, złośliwy, traktował cię jak powietrze. Nawet do ciebie nie mówił, zwracał się cały czas do mnie. Oburzyło mnie to.

– Wtedy tak nie mówiłeś.

– Nie chciałem cię z miejsca denerwować i złościć, psuć ci startu. Uważasz go za dobrego krytyka?

– Czy człowiek głuchy może być stroicielem fortepianów?

– Ale jest przenikliwy. To człowiek przenikliwy na swój plugawy sposób. I ostro walczy w zwarcu. Ale żeby zostać profesorem nawet bez magisterium... to mówi samo za siebie. Jego ojciec był zwyczajnym

rybakiem, łowił homary, a matka brała do domu pranie. Prała Kittredge'owi koszule i wyprosiła dla syna przywileje biblioteczne. Zagrzebał się w stertach książek na Harvardzie jako słabeusz, a wyszedł stamtąd jako tytan. Teraz jest prawdziwym anglo-amerykańskim dżentelmenem i zwyczajnie nami pomiata. Ty i ja podnieśliśmy jego status. Radzi sobie dzięki dwóm Żydom, jak jakiś potentat czy książę.

– Dlaczego chcesz, żebym się wściekł na Sewella?

– Bo jesteś za wielkopański, żeby się na kogokolwiek obrażać. Jesteś nawet większym snobem niż Sewell. W sensie psychologicznym należysz chyba do tych typów spod znaku Axela, których interesuje tylko własne natchnienie, żadnego kontaktu ze światem rzeczywistym. Świat rzeczywisty może cię pocałować w dupę – rzucił Humboldt wściekle. – Myślenie o pieniądzach, pozycji, sukcesie, kłesce, o problemach społecznych i polityce zostawiasz biednym sukinsynom w moim rodzaju. Masz takie rzeczy w nosie.

– Jeżeli to prawda, dlaczego to jest takie złe?

– Bo spychasz na mnie całą tę niebotyczną odpowiedzialność. Rozpierasz się wygodnie jak król, zrelaksowany, i nich się te wszystkie ludzkie sprawy same dzieją. Jezus jest nie w ciemni bity. Nie jesteś przykuty do czasu, nie jesteś przykuty do miejsca, do gojów, do Żydów. Do czego jesteś przykuty? Inni czekają na nasze pytanie. Ty jesteś wolny! Sewell zachował się wobec ciebie wrednie. Potraktował cię lekceważąco i byłeś na niego wściekły, nie zaprzeczaj. Ale ty jesteś ponad to. Dumasz tylko w skrytości ducha o takim czy innym kosmicznym przeznaczeniu. Powiedz, co to za wielkie dzieło, nad którym ciągle pracujesz?

Leżałem teraz, tego mroźnego błękitnego grudniowego poranka na mojej zielonej sofie i oddawałem się medytacjom. Urządzenie grzewcze wielkiej chicagowskiej kamienicy wydawało głośny pomruk. Mogłem się bez niego doskonale obejść. Chociaż swoją drogą mam dużo szacunku dla nowoczesnej techniki. Teraz Humboldt stał przede mną w gabinecie w Princeton, a moja pamięć była bardzo skoncentrowana.

– Przejdź do rzeczy – powiedziałem.

Zaschło mu chyba w gardle, ale nie było nic do picia. Pigułki wywołują pragnienie. Wobec tego znowu zapalił i powiedział:

– Ty i ja jesteśmy przyjaciółmi. Sewell mnie tu ściągnął. A ja ściągnąłem ciebie.

– Jestem ci bardzo wdzięczny. Ale ty jemu nie jesteś wdzięczny.

– Bo jest sukinsynem.

– Może. – Nie miałem nic przeciwko temu epitetowi. Sewell potraktował mnie lekceważąco. Ale ze swoimi przeredzonymi włosami, wąsikami koloru płatków owsianych, zapijaczoną twarzą, subtelnościami pana Prufrocka, rzekomą elegancją splecionych dłoni i skrzyżowanych nóg, ze swoimi zawitymi literackimi pomrukami nie był podstępny wrogiem. Chociaż pozornie powstrzymywałem Humboldta, zachwycał mnie jego sposób opluskwania Sewella. Jego nieobliczalna, obłąkana płodność, kiedy szedł na całego, zaspokajała jeden z moich niegodziwych apetytów, co do tego nie ma wątpliwości.

– Sewell nas wykorzystuje.

– Jak to rozumiesz?

– Kiedy wróci, wykopie nas stąd.

– Przecież od początku wiedziałem, że to praca na rok.

– Och, tobie nie przeszkadza, że jesteś jak sprzęt wypożyczony od Hertza? Jak łóżko składane czy nocnik dla dziecka?! – wybuchnął Humboldt.

Pod szorstką, kraciatą wełną obszernej jak peleryna marynarki zaczął mu się pokazywać na plecach garb (znajomy mi sygnał). Ta wzbierająca na plecach siła bizona nie wróżyła nic dobrego. Dokoła oczu i ust pogłębił się wyraz zagrożenia, a dwa grzebienie włosów sterczały wyżej niż zwykle. Blade, rozpalone, promieniujące fale przebiegały mu twarz. Szarokremowe gołębnie paradowały na czerwonych nogach na parapecie z piaskowca. Humboldt ich nie lubił. Traktował je jako gołębnie Princeton, gołębnie Sewella. Gruchały dla Sewella. Niekiedy Humboldt widział w nich jego agentów i szpiegów. Ostatecznie był to gabinet Sewella, a on siedział przy biurku Sewella. Książki na półkach należały do Sewella. Ostatnio Humboldt zaczął je wrzucać do kartonów. Zepchnął z półki komplet Toynbeego i zastąpił go własnym Kafką i Rilkiem. Precz z Toynbeem i precz z Sewellem.

– My obaj, Charlie, nie jesteśmy tutaj niezastąpieni – ciągnął Humboldt. – Dlaczego? Zaraz ci powiem. Jesteśmy Żydzi, parchy, gdułaje. Tu w Princeton nic mu od nas nie grozi.

Pamiętam, jak intensywnie nad tym myślałem, marszcząc brwi.

– Dalej nie wiem, do czego zmierzasz – powiedziałem.

– W takim razie spróbuj myśleć o sobie jako o Srułu Salomonie Lewim. Jest rzeczą bezpieczną wprowadzić tu Sruła Salomona i pojechać na rok do Damaszku, żeby wykładać o *The Spoils of Poynton*. Kiedy wracasz, twoja elegancka profesura czeka na ciebie. Ty i ja nie stanowimy dla niego zagrożenia.

– Kiedy ja wcale nie chcę stanowić dla niego zagrożenia. I czemu Sewell miałby się bać, że mu coś grozi?

– Bo jest w ciągłej wojnie z tymi staruchami, z tymi brodatymi capami, tymi gładzącymi snobami spod znaku Hamiltona Wrighta Mabiego, którzy nigdy go nie zaakceptowali. Nie zna greki i staroangielskiego. Jest dla nich śmierzącym parweniusem.

– Ach tak? Sam utorował sobie drogę w życiu. W takim razie trzymam z nim.

– Jest skorumpowany, jest bydlak, przez niego wszyscy nami gardzą. Czuję się ośmieszony, kiedy idę ulicą. W Princeton ty i ja jesteśmy Mosiek i Jasek z żydowskiego skeczu. Jesteśmy pośmiewiskiem – Abie Kabibble i jego Zespół. Nie do przyjęcia jako członkowie tutejszej społeczności.

– Komu zależy na ich społeczności?

– Nikt nie ufa temu małemu oszustowi. Jest jakaś ludzka cecha, której mu po prostu brak. Osoba, która go znała najlepiej, jego żona... kiedy od niego odchodziła, zabrała swoje ptaki. Widziałeś te wszystkie klatki? Nie chciała nawet, żeby puste klatki go jej przypominały.

– Czy jak odchodziła, ptaki siedziały jej na głowie i ramionach? Mówże, Humboldt, o co ci chodzi?

– Chcę, żebyś się czuł tak obrażony jak ja, zamiast spychać wszystko na mnie. Dlaczego nie ma w tobie złości, Charlie? Ach, nie jesteś prawdziwym Amerykaninem. Jesteś wdzięczny. Jesteś cudzoziemcem. Masz w sobie wdzięczność żydowskich imigrantów, tych od całowania ziemi na Ellis Island. Poza tym jesteś dzieckiem Wielkiego Kryzysu. Nigdy nie przypuszczałeś, że będziesz miał pracę i swój gabinet z biurkiem i szufladami do własnego użytku. To wciąż jest dla ciebie tak radosne, że nie możesz przestać się śmiać. Jesteś żydowską myszą w tych wielkich domach gojów. I jednocześnie za duży z siebie snob, żeby na kogokolwiek choć spojrzeć.

– Te konflikty społeczne nic dla mnie nie znaczą. I nie zapominajmy napastliwych słów, jakie wygłaszałeś o gdułajach z Ivy League. A zaledwie tydzień temu byłeś po stronie Tołstoja – najwyższy czas, żebyśmy się po prostu nie zgodzili tkwić w historii i odgrywać komedii historii, tej brzydkiej społecznej zabawy.

Nie warto było argumentować. Tołstoj? Tołstoj był tematem zeszlotygodniowej rozmowy. Duża, inteligentna, rozstrojona twarz Humboldta była blada i pałająca od burzliwych, utajonych emocji i olśnień. Było mi nas żal, obu nas było mi żal, wszystkich nas – tych najdziwniejszych organizmów pod słońcem. Wielkie umysły, naciskające za mocno na wzbierającą duszę. A co gorsza, na duszę wygnaną, tęskniącą do swojego rodzimego świata. Każdy człowiek żywy oplakuje stratę swojego domu-świata.

Kiedy teraz tonąłem w poduszkach mojej zielonej sofy, wszystko to było dla mnie jasne. Ach, czym jest to istnienie! Czym jest człowiek!

Litość nad nedorzecznymi wybuchami Humboldta skłoniła mnie do okazania dobrych chęci.

– Nie spałeś całą noc, myślałeś – powiedziałem.

Humboldt zwrócił się do mnie z niezwykłą emfazą.

– Charlie, ufasz mi, prawda?

– Mój Boże, Humboldt! Czy ufam Golfsztromowi? I w jakim sensie mam ci ufać?

– Wiesz, jaki mi jesteś bliski. Spleciony więzami. Jak brat z bratem.

– Na miłość boską, Humboldt, nie musisz mnie rozrzewniać. Gadaj wreszcie!

Biurko wydawało się przy nim małe. Wyprodukowano je dla ludzi drobniejszej budowy. Górował nad nim. Wyglądał jak stu pięćdziesięciokilowy zawodowy atleta przy samochodzie mini. Jego palce o obgryzionych paznokciach trzymały popiół papierosa.

– Najpierw postaramy się o nominację dla mnie tutaj.

– Chcesz być profesorem w Princeton?

– Katedra literatury współczesnej, oto, czego chcę. A ty mi w tym pomożesz. Jak wróci Sewell, będę już tu zainstalowany, o to chodzi. Naturalnie etat. Rząd USA wysłał go do Damaszku, żeby olśnił i pognębił tych biednych Syryjczyków *The Spoils of Poynton*. No więc, jak skończy mu się rok chłania i mamrotania pod nosem długich zdań, wróci i zobaczy, że te stare głąby kapuściane, które go przez jeden dzień nie zostawiły w spokoju, zrobiły mnie profesorem. Jak ci się to podoba?

– Nie bardzo. Czy dlatego nie spałeś ubiegłej nocy?

– Rozbudź wyobraźnię, Charlie. Jesteś za bardzo zrelaksowany. Pojmij rozmiar zniewagi. Wścieknij się. Przecież on cię wynajął jak czyściciela spluwaczek. Musisz odrzucić resztkę cnót nakazanych przez starą niewolniczą moralność, które cię wiążą z mieszczaństwem. Mam zamiar siłą wepchnąć w ciebie trochę twardości, trochę żelaza.

– Żelaza? To będzie twoja piąta praca... piąta, o której wiem. Ale powiedzmy, że byłbym twardy. Chciałbym wiedzieć, jaka z tego dla mnie korzyść. Gdzie się zaczyna moja rola.

– Charlie! – Chciał się uśmiechnąć, ale to nie był uśmiech. – Mam gotowy plan.

– Wiem, że masz. Jesteś jak ten... jakże on się nazywa... który obmyślał fortel, nawet jak chciał wypić filiżankę herbaty. Aleksander Pope!

Humboldt potraktował to jako komplement i roześmiał się niemo przez zaciśnięte zęby. Potem rzekł:

– Oto, co zrobisz. Pójdiesz do Rickettsa i powiesz: „Humboldt jest człowiekiem bardzo wybitnym: poetą, uczonym, krytykiem, wykładowcą, redaktorem. Zdobył międzynarodowy rozgłos i zajmie trwałe miejsce w historii literatury Stanów Zjednoczonych...” Co zresztą jest prawdą. „I tu ma pan szansę, panie profesorze. Wiem przypadkiem, że Humboldta męczy już to życie z dnia na dzień, życie cyganerii. Świat literatury toczy się bardzo szybko. Awangarda jest przeszłością. Pora najwyższa, żeby Humboldt prowadził bardziej ustabilizowane, godniejsze życie. Ożenił się. Wiem, że bardzo ceni Princeton, że czuje się tu dobrze i gdyby mu pan przedłożył propozycję, na pewno ją rozważy. Kto wie, może zdołałbym go namówić. Nie chciałbym, panie profesorze, żeby pan stracił tę okazję. Princeton ma Einsteina i Panofsky’ego. Ale gorzej wyglądacie, jeśli idzie o twórczość literacką. A obecna tendencja, to mieć w miasteczku uniwersyteckim artystów. Amherst ma Roberta Frosta. Nie zostawajcie w tyle. Łapcie Fleishera. Nie pozwólcie, żeby od was uciekł, bo wylądujecie z jakimś przeciętniakiem”.

– Nie wspomnę o Panofskym i Einsteinie. Z miejsca zacznę od Mojżesza i proroków. Co za murowany plan! Ike cię natchnął. Ja to nazywam wzniosło-niską chytrą.

Ale on się nie roześmiał. Oczy miał zaczerwienione. Całą noc nie kładł się do łóżka. Najpierw czekał przed telewizorem na rezultaty wyborów. Potem wędrował po domu i podwórzu, zdjęty rozpaczą, zastanawiał się, co robić. Potem obmyślił ten pucz. Potem, w natchnieniu, siadł za kierownicą buicka. Pęknięty tłumik wypełniał rykiem wiejskie drogi, długi wóz zarzucał niebezpiecznie na zakrętach. Na szczęście dla świstaków był to już czas ich snu zimowego. Wiem, jakie postacie zaludniały jego myśli: Walpole, Hrabia Mosca, Disraeli, Lenin. Ale jednocześnie myślał też, z niedzisiejszą wzniosłością, o życiu wiecznym. Ezechiela i Platona też tam nie brakowało. Ten człowiek był szlachetny. Ale rozogniła go wściekłość, a obłęd czynił go podłym i śmiesznym. Z twarzą otępiałą i rękami ociężałymi ze zmęczenia wyjął z teczki fiolkę, wysypał na dłoń kilka małych pigułek i połknął je. Uspokajające, może. Albo pobudzające. Połknął je bez popicia. Sam się kurował. Jak Demmie Vonghel. Zamykała się w łazience i brała dużo proszków.

– No więc, pójdiesz do Rickettsa – oznajmił Humboldt.

– Wydawało mi się, że on jest tylko figurantem.

– Słusznie. To popychadło. Ale stara gwardia nie może Rickettsa lekceważyć. Jeżeli go przechytzymy, będą musieli udzielić mu poparcia.

– Ale dlaczego Ricketts miałby się liczyć z moimi słowami?

– Ponieważ, przyjacielu, rozpuściłem wiadomość, że twoja sztuka ma być wystawiona...

– Nie!

– W przyszłym roku na Broadwayu. Już jesteś dla nich wziętym dramaturgiem.

– Po coś to zrobił, do cholery? Wyjdę na oszusta!

– Nie, wcale nie. Postaramy się, żeby to była prawda. Zostaw to mnie. Dałem Rickettsowi do przeczytania twój ostatni esej w „Kenyon”, uważa, że się dobrze zapowiadasz. I ze mną możesz nie udawać. Znam cię. Kochasz intrygi i rozrabianie. Już teraz rozplywasz się z rozkoszy. Zresztą, to nie jest taka zwyczajna intryga...

– A co? Czary? *Zasrane sortilegio!*

– Żadne *sortilegio*. Wzajemna pomoc.

– Nie częstuj mnie tymi bzdurami.

– Najpierw ja, potem ty – powiedział.

Dokładnie pamiętam, że podniosłem nagle głos. Wrzasnąłem:

– Co takiego? – I roześmiał się, dodałem: – Mnie też chcesz zrobić profesorem w Princeton? Wyobrażasz sobie, że zgodziłbym się spędzić życie na picciu, na rozmówkach towarzyskich, na podlizywaniu się, nudzie? Straciłeś Waszyngton w klęsce wyborczej i trzeba przyznać, że bardzo szybko zadowolasz się tym akademickim cyrkiem. Pięknie dziękuję, unieszczęśliwić mogę się na mój własny sposób. Przepowiadam ci dwa lata tego gojowskiego przywileju.

Humboldt zaczął odpędzać się ode mnie rękami.

– Nie zatruwaj mi duszy. Masz zjadliwy język, Charlie. Nie mów takich rzeczy. Będę teraz podejrzewał, że się zdarzają. Zatrują mi całą przyszłość.

Milczałem, zastanawiając się nad jego szczególną sytuacją. A potem spojrzałem na niego. Mózg Humboldta wykonywał jakąś poważną, osobliwą pracę. Obrzmiewał mu i pulsował dziwnie boleśnie. Próbował zbyć to wszystko swoim prawie bezgłośnym, zdyszczanym śmiechem. Właściwie go nie słyszałem.

– Wcale byś nie kłamał Rickettsowi – powiedział. – Gdzie oni dostaną kogoś takiego jak ja?

– Zgoda, Humboldt. To niełatwe pytanie.

– No cóż, jestem w tym kraju jednym z najwybitniejszych literatów.

– Ależ tak, w swoich najlepszych momentach.

– Coś należałoby dla mnie zrobić, zwłaszcza w tym Eisenhowerowskim okresie, kiedy ciemności okryły ziemię.

– Ale dlaczego właśnie to?

– Słuchaj, Charlie, szczerze mówiąc, coś ze mną jest niezupełnie tak, chwilowo. Muszę wrócić do stanu, w którym znowu będę mógł pisać poezje. Ale co z moją równowagą? Jest za dużo napięć. Wyjaławiają mnie. Świat ciągle się wtrąca. Muszę odzyskać moje oczarowanie. Jest tak, jakbym mieszkał na przedmieściach rzeczywistości i tylko do niej dojeżdżał. Muszę z tym skończyć. Muszę zaczepić się gdzieś na stałe. Jestem tu – miał na myśli tu, na ziemi – żeby czegoś dokonać, zrobić coś dobrego.

– Wiem, Humboldt. Ale „tu” to też nie jest Princeton, a wszyscy czekamy na coś dobrego.

Z oczami bardziej jeszcze zaczerwienionymi Humboldt powiedział:

– Wiem, że mnie kochasz, Charlie.

– To prawda. Ale powiedzieliśmy to raz i nie powtarzajmy więcej.

– Masz słusność. Jestem też twoim bratem, Charlie. Kathleen to wie. Wszyscy wiedzą, co do siebie nawzajem czujemy, a Demmie Vonghel też jest tym objęta. Ustąp mi, Charlie. Nawet jeżeli cała sprawa wydaje ci się absurdalna. Ustąp mi, to jest bardzo ważne. Zadzwoń do Rickettsa i powiedz, że chcesz przyjść do niego na rozmowę.

– Dobrze, zadzwonię.

Humboldt położył ręce na małym żółtym biurku Sewella i cofnął się tak gwałtownie, że stalowe rolki pod nogami fotela wydały przykry zgrzyt. Końce jego włosów mieszały się ze smugami papierosowego dymu. Głowę miał pochyloną. Przyglądał mi się z taką miną, jak gdyby wypłynął właśnie na powierzchnię z ogromnej głębokości.

- Masz rachunek czekowy, Charlie? Gdzie trzymasz pieniądze?
- Jakie pieniądze?
- Nie masz konta bankowego?
- Mam, w Chase Manhattan. I na koncie około dwunastu dolarów.
- Ja mam rachunek w Com Exchange – powiedział. – Gdzie jest twoja książeczka?
- W kieszeni palta.
- Pokaż.

Wyjąłem rozłazące się, pozaginane na brzegach zielone blankiety.

- Widzę, że mam na koncie tylko osiem dolarów.

Wtedy Humboldt sięgnął do kraciatej marynarki, wyjął swoją książeczkę i jedno z wielu piór wiecznych. Z kieszonki jego marynarki sterczały pióra wieczne i długopisy, jak naboje z ładownicy.

- Co ty robisz, Humboldt?

– Daję ci carte blanche na czerpanie z mojego rachunku. Wypisuję czek in blanco na twoje nazwisko. A ty wystawisz swój czek na mnie. Bez daty, bez podanej sumy, tylko: „Płatne do rąk Von Humboldta Fleishera”. Siadaj, Charlie, i wypełnij czek.

- Ale co to za pomysł? Nie podoba mi się to. Muszę zrozumieć, o co chodzi.
- Z ośmioma dolarami w banku nie masz się co przejmować.
- To nie sprawa pieniędzy...

Był bardzo wzruszony, powiedział:

– Właśnie. To nie sprawa pieniędzy. W tym rzecz. Jak cię kiedy przyciśnie, wstawisz potrzebną sumę i zainkasujesz pieniądze. To samo odnosi się do mnie. Złożymy przysięgę, jako bracia i jako przyjaciele, że nigdy nie zrobimy z tych czeków złego użytku. Zachowamy je na jakąś krytyczną sytuację. Kiedy powiedziałem, że pomoc ma być wzajemna, nie potraktowałeś mnie serio. A teraz widzisz. – Potem całym ciężarem oparł się o biurko i stawiając silną, ale drżącą ręką maleńkie literki, wypełnił czek na moje nazwisko.

Ja niewiele lepiej nad sobą panowałem. Moje ramię zdawało się być pełne obnażonych nerwów, drgnęło mi w momencie podpisywania. Potem Humboldt – ogromny, delikatny i obsypany popiołem – dźwignął się z obrotowego fotela i podał mi swój czek.

– Nie, nie wpychaj tak niedbale do kieszeni – powiedział. – Musisz go w mojej obecności schować. Jest niebezpieczny. To znaczy cenny.

Uścisnęliśmy sobie teraz ręce, wszystkie cztery ręce. Humboldt powiedział:

- To nas połączyło węzłami braterstwa krwi. Zawarliśmy przymierze. To jest przymierze.

W rok później moja sztuka miała niebywały sukces na Broadwayu, a Humboldt wypełnił mój czek in blanco i zainkasował gotówkę. Powiedział, że go zdradziłem, że ja, jego brat, złamałem święte przymierze, że zrywam się przeciwko niemu z Kathleen, że nasłałem na niego policję, że go oszukałem. Wpakowali go w kaftan bezpieczeństwa i zawieźli do Bellevue, a to też moja robota. Należało mnie za to ukarać. Sam wyznaczył grzywnę. Pobrał z mojego konta w Chase Manhattan sześć tysięcy siedemset sześćdziesiąt trzy dolary i pięćdziesiąt osiem centów.

Jego czek wsunąłem do szuflady pod koszulę. Po kilku tygodniach zniknął i nigdy go już więcej nie widziałem.

* * *

Tutaj medytacje napotkały prawdziwe trudności. Dlaczego? Z powodu inwektywy Humboldta i jego oskarżeń, które wróciły teraz do mnie wraz z dojmującymi rozterkami i niepokojem, bombardującym mnie jak ogień artyleryjski. Dlaczego tu leżę? Powinienem wstać i przygotować się do wyjazdu. Miałem zabrać Renatę do Włoch. Gwiazdka w Mediolanie. Miałem też stawić się na rozprawę u sędziego Urbanowicha, naradziwszy się w pierw z Forrestem Tomchekiem, adwokatem, moim obrońcą w procesie wytoczonym mi przez Denise o

każdy posiadany przeze mnie grosz. Było też konieczne, żebym porozumiał się z Williamem Murra, moim doradcą podatkowym, co do postępowania wszczętego przeciwko mnie przez władze skarbowe. No i miał przyjechać Pierre Thaxter z Kalifornii, żeby porozmawiać ze mną o *The Ark* – a właściwie żeby mi wytłumaczyć, dlaczego miał prawo nie spłacić pożyczki, której byłem współgwarantem – a także obnażyć swoją duszę i jednocześnie obnażyć duszę moją, bo kimże ja byłem, żeby rościć sobie prawo do posiadania duszy nieobnażonej? Pozostawała jeszcze sprawa mercedesa – czy go sprzedać, czy pokryć koszty naprawy. Byłem już prawie gotów oddać go na złom. Jeśli idzie o Ronalda Cantabilego, który utrzymywał, że reprezentuje w moim życiu nowego ducha – no cóż, wiedziałem, że w każdej chwili może się do mnie odezwać.

A jednak zdołałem się oprzeć tej nekującej fali rozterek. Stłumiłem chęć wstania jak grzeszną pokusę. Zostałem na poduszkach sofy, leżałem, tonąc w puchu udręczonych skubaniem gęsi i trzymając się kurczowo Humboldta. Ćwiczenia woli, którym się oddawałem, nie były stratą czasu. Najczęściej jako temat wybierałem rośliny: albo krzak róży przywołany z przeszłości, albo anatomię roślin. Kiedyś pewna pani nazwiskiem Esau dała mi podręcznik botaniki, więc zagnębiłem się w morfologii roślin, czytałem o strukturze protoplastu, o substancjach ergastycznych, żeby moje ćwiczenia miały rzeczywistą treść. Nie chciałem być jednym z tych działających na chybił trafił wizjonerów.

Sewell antysemitą? Bzdura. Humboldt wyssał to z palca, bo mu tak było wygodnie. Natomiast sprawa braterstwa krwi i przymierza wydawała się bardziej autentyczna. Braterstwo krwi było udratyzowaniem prawdziwego pragnienia. Ale nie dość autentycznego. Teraz usiłowałem przypomnieć sobie nasze nie kończące się konsultacje i odprawy przed moją wizytą u Rickettsa. Wreszcie powiedziałem Humboldtowi: „Dość. Wiem, jak to zrobić. Ani słowa więcej”. Demmie Vonghel też mnie pouczała. Pomysł Humboldta wydał jej się bardzo zabawny. W dniu rozmowy przypilnowała, żebym był odpowiednio ubrany, i odwozła mnie taksówką na Penn Station.

Tego ranka w Chicago przekonałem się, że bez najmniejszego trudu mogę przywołać w pamięci postać Rickettsa. Był młodzieńczy, ale siwy, linia przyciętych na jeża włosów schodziła mu nisko na czoło. Był tęgi, silny, o czerwonym karku – powierzchowność przystojnego tragarza. Ten ujmujący grubas wiele lat po wojnie trzymał się wciąż żołnierskiego slangu.

Ubrany w ciemnoszary flanelowy garnitur, trochę przyciężki na swawole, starał się wprowadzić lekki ton do naszej rozmowy.

– Wiem, że wy, chłopcy, pierwszorzędnie sobie radzicie z programem Sewella, wszystkie wróble na dachu o tym ćwierkają.

– Ach, szkoda, że pan nie słyszał Humboldta mówiącego o *Odjeździe do Bizancjum*⁷.

– Mówiono mi, że był doskonały. Nie dałem rady. Administracja. Cholerne życie. A co z tobą, Charlie?

– Jest mi tu jak w raju.

– Wspaniale. Ale nie zaniedbujesz chyba własnej pracy? Słyszałem od Humboldta, że w przyszłym roku mają ci wystawić sztukę na Broadwayu.

– Trochę się z tym pośpieszył.

– Ach, to niezwykły facet. To cudowne dla nas wszystkich, że go tu mamy. Cudowne dla mnie, w tym moim pierwszym roku urzędowania.

– W pierwszym?

– Tak, dla mnie to też jest próbny rejs. Cieszę się, że mam was obu. Wiesz co, Charlie, robisz wrażenie człowieka bardzo wesołego.

– Na ogół jestem wesoły. Ludziom się to nie podoba. W zeszłym tygodniu jedna podpita pani spytała, co mnie do cholery gnębi. Oznajmiła, że jestem z wewnętrznego przymusu *heimisch*.

– Naprawdę? Chyba nie słyszałem tego wyrażenia.

– Dla mnie też było nowe. Potem mnie zapewniła, że egzystencjalnie nie dotrzymuję kroku. Na zakończenie powiedziała: „Wygląda na to, że dobrze się pan bawi, ale życie zmiażdży pana jak pustą puszkę po piwie”.

7 W. B. Yeats, *Sailing to Byzantium*, przełożył Cz. Miłosz.

Pod szczotką włosów przystrzyżonych najeża Ricketts miał oczy zmacone wstydem. Może jego też męczył mój dobry humor. W rzeczywistości starałem się tylko ułatwić rozmowę. Ale zacząłem się orientować, że Ricketts cierpi. Wyczuł, że przyszedłem intrygować. Bo czemu tu w ogóle jestem, co to za wizyta? Było rzeczą oczywistą, że występuję jako emisariusz Humboldta. Przyniosłem jakieś przesłanie Humboldta, a przesłanie Humboldta zapowiadało tylko kłopoty.

Było mi żal Rickettsa, więc ruszyłem do ataku najszybciej, jak to było możliwe. Humboldt i ja jesteśmy przyjaciółmi, wielki to dla mnie przywilej, że mogę spędzać z nim tak dużo czasu, tu w Princeton... Ach, Humboldt! Mądry, pełen ciepła, utalentowany Humboldt! Poeta, krytyk, uczony, pedagog, edytor, oryginał...

Pragnąc mi pomóc przebrnąć przez to wszystko, Ricketts rzekł:

– Jest po prostu człowiekiem genialnym.

– Dziękuję. Do tego się to sprowadza. A oto, co chcę panu powiedzieć. Humboldt nigdy by tego nie powiedział. Pomysł jest wyłącznie mój. Ja sam jestem w Princeton tylko przelotnie, ale byłoby błędem nie zatrzymać tu Humboldta. Nie powinien pan pozwolić, żeby odszedł.

– To jest myśl.

– Są rzeczy, które tylko poeta może powiedzieć o poezji.

– Tak, Dryden, Coleridge, Poe. Ale dlaczego Humboldt miałby się wiązać pracą na uniwersytecie?

– Humboldt inaczej zapatruje się na tę sprawę. Myślę, że jest mu potrzebna intelektualna społeczność. Rozumie pan na pewno, jak przytłaczająca dla ludzi natchnionych, takich jak on, może być potężna struktura społeczna naszego kraju. Ale dokąd się zwrócić? Ostatnio na uniwersytetach wyraźnie zaznacza się tendencja mianowania na katedry poetów, Princeton też to zrobi prędzej czy później. Ma pan teraz szansę zdobycia najlepszego.

Starając się prowadzić moje medytacje możliwe najbardziej szczegółowo, bo wszystkie nawet najdrobniejsze fakty wydały mi się godne zapamiętania, przypomniałem sobie Humboldta, kiedy mnie pouczał, jak mam się obchodzić z Rickettsem. Przysunął twarz, z której nie schodził uśmiech szeroki, pełen perswazji, tak blisko mojej twarzy, że czułem ciepło czy też gorączkę jego policzków. Powiedział:

– Masz talent do załatwiania tego rodzaju spraw, wiem. – Czy chciał przez to powiedzieć, że jestem urodzonym intrygantem? Ludzie w rodzaju Rickettsa nie zachodzą wysoko w protestanckim establishmencie. Nieodpowiedni do ważnych ról – prezesów korporacji czy rad nadzorczych, dyrektorów banków, członków Krajowej Komisji Republikańskiej, Połączonych Szefów Sztabu, Biura Budżetowego, Biura Rezerw Federalnych. Mieć tego rodzaju profesurę, to znaczy być młodszym bratem. Czy nawet siostrą. Takim się pomaga. Jest prawdopodobnie członkiem Country Club. Nadaje się akurat do tego, żeby uczyć młodych Firestone'ów czy Fordów *Pieśni o starym żeglarzu*.

Może Humboldt miał słuszność. Widziałem, że Ricketts nie umie sobie ze mną poradzić. Zdawało się, że bolą go te jego szczerze, brązowe oczy. Przykro mi było przypierać go do muru, ale za plecami miałem Humboldta. Ponieważ Humboldt nie spędził tej nocy, kiedy wybrano Eisenhowera, ponieważ był znarkotyzowany pigułkami i alkoholem czy też zatruty metabolicznymi odpadami, ponieważ marzenia senne nie regenerowały jego psyche, ponieważ zaprzepaścił swoje talenty, ponieważ brak mu było siły ducha czy też był zbyt kruchy, żeby się przeciwstawić niepoetycznej sile USA, ja musiałem tu przyjść i dręczyć Rickettsa. I wcale nie uważałem, że Princeton jest takim wielkim losem na loterii, jak sobie to wyobraził Humboldt. Położone między hałaśliwym Newark a obskurnym Trenton było sanktuarium, ogrodem zoologicznym, miejscowością kuracyjną, z własną kolejką, więzami i pięknymi zielonymi klatkami. Przypominało miejscowość, którą później miałem zwiedzić jako turysta – serbskie uzdrowisko nazywające się Vrnjačka Banja. Ale może bardziej liczyło się wszystko to, czym Princeton nie było. Nie było domem towarowym, biurem wielkiej korporacji czy biurokratycznym urzędem, nie było zrutynizowanym światem miejsc pracy. Ktoś, kto umiał tak się urządzić, żeby uniknąć tego zrutynizowanego świata miejsc pracy, był intelektualistą lub artystą. Zbyt niespokojny, roztrzęsiony, podniecony, zbyt szalony, żeby wysiedzieć osiem godzin za biurkiem, potrzebował jednak instytucji – instytucji wyższego rzędu.

– Katedra poezji dla Humboldta – powiedziałem.

– Katedra poezji! Katedra! Och, co za wspaniałe pomysły! – ucieszył się Ricketts. – Marzylibyśmy o tym. Mówię w imieniu nas wszystkich. Wszyscy byśmy za tym głosowali. Jedyne kłopot to gotówka! Gdybyśmy

mieli dość gotówki! Charlie, my jesteśmy naprawdę biedni. A poza tym ta jednostka, jak każda jednostka, ma swój grafik organizacji.

– Grafik organizacji? Proszę przetłumaczyć.

– Taka katedra musi być stworzona. To wielkie przedsięwzięcie.

– Jak się tworzy katedrę?

– Z zasady jest to specjalna fundacja. Piętnaście do dwudziestu tysięcy rocznie przez około dwadzieścia lat. Pół miliona dolarów, a do tego fundusz emerytalny. Charlie, my tej gotówki nie mamy. Ach, marzylibyśmy o tym, żeby mieć tu Humboldta. Jestem niepokieszony, wiesz o tym. – Ricketts był teraz w cudownym humorze. Moja precyzyjnie obserwująca pamięć ukazała mi, chociaż specjalnie jej o to nie prosiłem, biały fryz jego gęstych włosów, brązowawożółte oczy, świeżość jego twarzy, rozradowane pełne policzki.

To by było wszystko, pomyślałem, kiedy ściskaliśmy sobie dłonie. Spławiwszy nas, Ricketts był ekstatycznie przyjazny.

– Gdybyśmy tylko mieli pieniądze! – powtarzał.

I chociaż Humboldt czekał na mnie rozgorączkowany, uznałem, że mam prawo do chwili samotności na powietrzu. Stałem pod łukiem z czerwonego piaskowca, na wyżłobionym stopami kamieniu, a wiewiórki zebraczkę zbiegły się do mnie ze wszystkich stron po gładkich trawnikach, po ślicznych alejkach. Było chłodno i mgliście, płowe przymglone słońce listopadowe obejmowało gałązki kręgami światła. Twarz Demmie Vonghel miała tę płową bladość. W wełnianym płaszczu wykończonym kołnierzem z kuny, ze swoimi wspaniale seksualnymi kolanami, które się stykały, wąskimi stopami księżniczki, rozdętymi nozdrzami, które wyrażały niemal tyle emocji co jej oczy, oddychająca jakby z pewnym głodem, pocałowała mnie ciepłymi ustami, przycisnęła do siebie ręką w obcisłej rękawiczce i powiedziała: – Pójdzie ci wspaniale, Charlie. Wspaniale. – Rozstaliśmy się na Penn Station, jej taksówka czekała.

Nie myślałem, że Humboldt się zgodzi.

Ale było zdumiewające, jak bardzo się myliłem. Kiedy stanąłem w drzwiach, odprawił studentów. Doprowadził ich wszystkich do stanu literackiej egzaltacji.

– Panowie – oznajmił – zaszło coś ważnego. Terminy przesuwiają się o godzinę. Jedenasta na dwunastą. Druga trzydzieści na trzecią trzydzieści. – Wszedłem. Zamknął na klucz drzwi zapchanego książkami, gorącego, zadymionego gabinetu. – No jak? – spytał.

– Nie ma pieniędzy.

– Tak powiedział?

– Jesteś sławny, on cię kocha, podziwia i pragnie, ale nie może stworzyć katedry bez gotówki.

– Tak powiedział?

– Dokładnie tak powiedział.

– W takim razie mamy go, Charlie! Udało nam się!

– W jaki sposób go mamy? Co nam się udało?

– Bo widzisz... ho, ho! Zasłonił się budżetem. Nie powiedział „Mowy nie ma” ani „W żadnym wypadku”, ani „Zjeżdżaj stąd, do cholery”. – Humboldt, otoczony smugą dymu, śmiał się tym swoim prawie bezgłośnym śmiechem, wydobywającym się spoza drobniutkich zębów. Wyglądał jak stara niania opowiadająca bajki. – Monopolistyczny kapitalizm – ciągnął Humboldt – traktuje twórców jak śmieci. Ale to stadium historii dobiega końca... – Nie bardzo wiedziałem, jaki ma to związek ze sprawą, nawet jeżeli jest w tym prawda. – Wstąpimy w kilka miejsc.

– Powiedz, o co chodzi.

– Później ci powiem. Ale spisałeś się kapitalnie. – Zaczął się pakować, wpychać rzeczy do teczek, jak to robił we wszystkich decydujących momentach. Odpiął zatrask, otworzył teczkę i zabrał się do wyjmowania niektórych książek, rękopisów i lekarstw. Stopami wykonywał dziwaczne ruchy, jak gdyby koty czepiały się mankietów jego spodni. Wypchał zniszczoną skórzaną teczkę plikiem innych książek i rękopisów. Zdjął z wieszaka kapelusz o szerokim rondzie. Jak bohater filmu niemego, zawożący swój wynalazek do wielkiej metropolii, jechał do Nowego Jorku. – Wywieś kartkę dla tych smarkaczy. Jutro wracam – oznajmił.

Odprowadziłem go na dworzec, ale nic więcej mi nie powiedział. Wskoczył do staroświeckiego wagonu. Pokiwał do mnie palcem przez brudną szybę. I odjechał.

Mogłem wrócić z nim do Nowego Jorku, bo przyjechałem do Princeton tylko na rozmowę z Rickettsem. Ale był w stanie euforii i należało zostawić go w spokoju.

* * *

Tak więc ja, Charlie Citrine, korzystając z wygod życia, rozciągnięty na sofie w kaszmirowych skarpetkach (a przecież stopy ludzi pogrzebanych łuszcą się jak liście tytoniu – stopy Humboldta) rekonstruowałem sposób, w jaki mój natchniony, zacięty przyjaciel doprowadził do swojego zmierzchu i upadku. Jego talent się zmarnował. A teraz ja byłem zmuszony się zastanawiać, co robić z talentem w tych czasach, w tej epoce. Jak zapobiec trądowni duszy. Jakoś mi się zdawało, że to zależy ode mnie.

Medytowałem jak szalony. Podążałem w myślach za Humboldtem. W pociągu palił. Widziałem, jak przedziera się z maniackim pośpiechem przez olbrzymi hol Penn Station, przykryty zakurzoną kopułą jednokolorowego szkła. A potem widziałem, jak wsiada do taksówki – w zasadzie nie gardził koleją podziemną, a dzisiaj każdy krok był niezwykły, bez precedensu. Działo się tak dlatego, że nie mógł liczyć na rozum. Rozum znikał i wracał w cyklach coraz krótszych i pewnego pięknego dnia może sobie zniknąć na dobre. A wtedy co on zrobi? Jeżeli straci rozum raz na zawsze, on i Kathleen będą potrzebowali dużo pieniędzy. Co więcej, jak mi kiedyś powiedział, można mieć katedrę w Princeton i mieć rozmiękczenie mózgu – i kto to zauważy? Ach, biedny Humboldt. Mógł być – nie, był taki wspaniały!

Sięgał teraz wysoko. Wpadł na pomysł, żeby pójść prosto na samą górę. A kiedy się tam dostał, ten duch pełen wad, góra zrozumiała. Humboldt spotkał się z zainteresowaniem i szacunkiem.

Wilmoore Longstaff, słynny Longstaff, arcyksiążę nauki amerykańskiej, był człowiekiem, do którego Humboldt skierował kroki. Longstaff został mianowany pierwszym prezesem nowej Fundacji Belisha. Była to fundacja bogatsza od Fundacji Camegiego i Rockefellera i Longstaff dysponował milionami dolarów na cele naukowe, na stypendia, na sztukę i postęp społeczny. Humboldt miał już synekurę w Fundacji. Postarał mu się o nią jego przyjaciel Hildebrand. Hildebrand, playboy, poeta i wydawca awangardowych poetów, patronował Humboldtowi. Odkrył Humboldta w nowojorskim City College, zachwycał się jego twórczością, przepadał za rozmowami z nim, umieścił go jako redaktora na liście płac firmy Hildebrand i Spółka. To powodowało, że Humboldt zniżał głos, kiedy go obmawiał.

– On okrada niewidomych, Charlie. Kiedy Związek Niewidomych przesyła pocztą ołówki, Hildebrand zatrzymuje te ołówki, kupione za pieniądze z datków. Sam nigdy nie da ani centa na cele dobroczynne.

Pamiętam, że powiedziałem:

– Skąpy bogacz, to typowe.

– Słusznie, ale on się posuwa za daleko. Spróbuj zjeść obiad u niego w domu. Zagłodzi cię na śmierć. A dlaczego Longstaff wynajął Hildebranda za trzydzieści tysięcy na rok, żeby mu układał programy dla pisarzy? Wynajął go dzięki mnie. Jak jesteś fundacją, nie bawisz się w kontakty z poetami, idziesz prosto do człowieka, który ma własną stajnię poetów. W rezultacie ja odwalam całą robotę i dostaję tylko osiem tysięcy.

– Osiem tysięcy za pół etatu to nie jest źle, chyba przyznasz?

– Charlie, to dość mamy chwyt z twojej strony, że mi wymachujesz przed nosem tą swoją bezstronnością. Mówię, że mnie krzywdzą, a ty zaraz podsuwasz, że jestem taki uprzywilejowany, chcąc przez to powiedzieć, że jesteś człowiekiem bardziej krzywdzonym. Hildebrand dostaje ode mnie dobry towar za swoje pieniądze. Nigdy nie czyta rękopisów. Albo pływa po morzu, albo jeździ na nartach w Sun Valley. Gdyby nie moje rady, wydawałby papier toaletowy. Mnie zawdzięcza, że nie jest filistynem z milionami. Dzięki mnie dostał się do Gertrudy Stein. I do Eliota. Dzięki mnie ma coś do ofiarowania Longstaffowi. Ale kategorycznie zabronił mi rozmawiać z Longstaffem.

– Niemożliwe!

– Tak! Ja ci to mówię – powiedział Humboldt. – Longstaff ma swoją prywatną windę. Nikt na niższych szczeblach nie dostanie się do jego gabinetu na najwyższym piętrze drapacza chmur. Widuję go z daleka, jak przychodzi i wychodzi, ale polecono mi, żebym się do niego nie zbliżał.

W wiele lat później ja, Charlie Citrine, siedziałem obok Wilmoore'a Longstaffa w helikopterze Straży Przybrzeżnej. Był już wtedy stary, skończony, jego świetność dawno przebrzmiała. Widywałem go, kiedy był u

szczytu, wyglądał jak gwiazdor filmowy, jak pięciogwiazdkowy generał, jak Księżę Machiavellego, jak arystotelesowski człowiek o wielkiej duszy. Longstaff zwalczał technokrację i plutokrację z pomocą klasyków. Zmuszał niektóre spośród najpotężniejszych osób w kraju do dyskusji o Platonie i Hobbesie. Zmuszał dyrektorów linii lotniczych, prezesów spółek, członków zarządu giełd do grania *Antygony* w salach posiedzeń. Cóż, prawda pozostaje prawdą i Longstaff pod wieloma względami był człowiekiem pierwszorzędym. Był wybitnym wychowawcą, był nawet szlachetny. Miałby może życie łatwiejsze, gdyby nie jego uderzająca uroda.

W każdym razie Humboldt zrobił rzecz odważną, dokładnie to, co – jak widzieliśmy wszyscy – robili bohaterowie starych filmów o cwaniakach przepychających się łokciami przez życie. Nie pytając o pozwolenie, wszedł do prywatnej windy Longstaffa i nacisnął guzik. Ogromny i delikatny, zjawił się nagle na najwyższym piętrze i podał recepcjonistce swoje nazwisko. Nie, nie jest umówiony (widziałem słońce na jego policzkach i wyplamionym ubraniu – świeciło jasno, jak zawsze świeci w czystym powietrzu nad drapaczami chmur), ale nazywa się Von Humboldt Fleisher. Nazwisko zrobiło swoje. Longstaff poprosił go do siebie. Był rad, że go widzi. Powiedział mi to w czasie lotu, a ja mu wierzyłem. Siedzieliśmy na pokładzie helikoptera w nadymanyh pomarańczowych kurtkach ratowniczych, uzbrojeni w długie noże. Po co te noże? Pewnie do walki z rekinami, gdybyśmy wpadli do zatoki. „Czytałem jego ballady – powiedział Longstaff. – Uważałem, że ma wielki talent”. Ja naturalnie wiedziałem, że dla Longstaffa ostatnim prawdziwym poematem w języku angielskim jest *Raj utracony*. Longstaff miał bzika na punkcie wielkości. A chodziło mu o to, że Humboldt był bez wątpienia poetą i człowiekiem czarującym. Był jednym i drugim. Wyobrażałem sobie, że w gabinecie Longstaffa Humboldt zachłystywał się złośliwością i dowcipem – rozpieierała go euforyczna energia, przed oczami pokazywały mu się plamy, serce biło nierówno. Przekona Longstaffa, wykończy Sewella, przechytry Rickettsa, urządzi paskudnie Hildebranda i wypnie się na los. W tym momencie wyglądał jak czyściciel kanałów, który przyszedł wydobyć coś z rur. A jednak sięgał po katedrę w Princeton. I tak zwyciężył, Stevenson przepadł, ale Humboldt skakał na najwyższe piętra drapaczy chmur – i wyżej.

Longstaff też szybował wysoko. Terroryzował kuratorów Fundacji Platonem, Arystotelesem i Tomaszem z Akwinu, rzucał na nich uroki. I prawdopodobnie miał stare porachunki z Princeton, tą redutą uniwersyteckiego establishmentu, do której mierzył ze swojego radykalnego miotacza płomieni. Wiedziałem z *Pamiętników* Ickesa, że Longstaff przymilał się do Roosevelta. Chciał zająć na liście kandydatów miejsce Wallace'a, a potem Trumana. Marzył o zostaniu wiceprezydentem i prezydentem. Ale Roosevelt był mu przychylny, trzymał go w napięciu, lecz nigdy go nie pocałował. To był cały Roosevelt. W tej sprawie współczułem Longstaffowi (człowiek ambitny, despota, car, jak go nazywałem w skrytości).

Więc kiedy helikopter krążył nad Nowym Jorkiem, obserwowałem tego urodziwego podstarzałego doktora Longstaffa, usiłując zrozumieć, jaki Humboldt mógł wtedy być w jego oczach. Widział w nim może Amerykę Kalibanów, wzdychającą i rozgadaną, piszącą ody na zatłuszczonym papierze ze sklepiku z rybami. Bo Longstaff nie był wrażliwy na literaturę. Ale ucieszył się, kiedy mu Humboldt wytłumaczył, z czym przychodzi: chce, żeby Fundacja Belisha otworzyła dla niego katedrę w Princeton.

– Słusznie! Słusznie! – wykrzyknął Longstaff. – Wspaniały pomysł! – Zadzwoił po sekretarkę i podyktował jej list.

Wilmoore Longstaff z miejsca zobowiązał się w imieniu Fundacji do długoterminowej subwencji. Wkrótce Humboldt, rozdygotany, trzymał w ręku podpisaną kopię listu i pił z Longstaffem martini, patrząc z wysokości sześćdziesiątego piętra na Manhattan, i mówił o tym, jak Dante przedstawia ptaki w swojej twórczości.

Po wyjściu od Longstaffa Humboldt natychmiast pognął taksówką do pewnej Ginnie w Greenwich Village, dziewczyny z Bennington, którą poznał przeze mnie i Demmie Vonghel. Zaczął walić do drzwi, wołając:

– To ja, Von Humboldt Fleisher. Muszę się z tobą zobaczyć. – Wszedł do holu i natychmiast zrobił jej propozycję, żeby z nim poszła do łóżka. Ginnie opowiadała: – Gonił mnie po całym mieszkaniu i to było kapitalne. Ale bałam się o szczeniaki pod nogami. – Jej jamniczka właśnie się oszczeniła. Ginnie zamknęła się w łazience. Humboldt wrzeszczał: – Nie wiesz, co tracisz. Jestem poetą. Mam wielkiego kutasa. – Ginnie powiedziała później Demmie: – Tak się śmiałam, że i tak nic by z tego nie wyszło.

Kiedy spytałem potem Humboldta o tę przygodę, powiedział:

– Uważałem, że muszę to jakoś uczcić, a podobno te dziewczyny z Bennigton palą się do poetów. Głupia sprawa z tą Ginnie. Jest ładna, ale to miód z lodówki, jeżeli wiesz, co mam na myśli. Zimny miód nie da się rozsmarować.

– Poszedłeś gdzie indziej?

- Zrezygnowałem z erotycznej ulgi. Chodziłem po mieście i odwiedziłem kupę ludzi.
- I pokazywałeś im list Longstaffa.
- Naturalnie.

Tak czy inaczej, plan się udał. Princeton nie mogło odmówić przyjęcia daru Fundacji. Humboldt wymanewrował Rickettsa. Otrzymał nominację. Zarówno w nowojorskim „Timesie”, jak w „Herald Tribune” ukazała się wiadomość o tym. Przez dwa, trzy miesiące wszystko szło gładko jak po maśle. Nowi koledzy Humboldta wydawali na jego cześć przyjęcia. A trzeba też przyznać, że Humboldt w swoim szczęściu nie zapomniał, że łączy nas braterstwo krwi. Niemal co dzień mówił:

– Charlie, dzisiaj przyszedł mi do głowy fenomenalny pomysł dla ciebie. Aktor do głównej roli w twojej sztuce... Victor McLaglen to naturalnie faszysta. Nie możesz go brać. No cóż... Mam zamiar porozumieć się w twojej sprawie z Orsonem Wellesem...

Ale nagle, w lutym, kuratorzy Longstaffa zbuntowali się. Mieli już tego chyba dość i stanęli murem, żeby bronić honoru amerykańskiego kapitału monopolistycznego. Odrzucono proponowany przez niego budżet i zmuszono do rezygnacji. Nie odprawiono go jednak z zupełnie pustymi rękami. Dostał trochę pieniędzy, około dwudziestu milionów, na założenie własnej fundacji. Ale skutek był taki, że zmuszono go do cięć budżetowych. Suma wyasygnowana na katedrę Humboldta była maleńką pozycją w odrzuconym budżecie. Kiedy Longstaff upadł, Humboldt upadł wraz z nim.

– Charlie – powiedział Humboldt, kiedy w końcu mógł już o tym mówić – to mi przypomina doświadczenia mojego ojca, kiedy zbankrutował w czasie hossy na Florydzie. Jeszcze rok, a stalibyśmy na mocnych nogach. Zadawałem sobie nawet pytanie... zastanawiałem się, czy Longstaff wiedział, dając mi ten list, że niedługo odejdzie.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedziałem. – Longstaff jest z pewnością złośliwy, ale nie jest podły.

Ci w Princeton zachowali się ładnie i wystąpili do Humboldta z dżentelmeńską propozycją:

– Słuchaj, Hum, jesteś teraz jednym z nas. Nie przejmuj się, znajdziemy jakoś pieniądze na twoją katedrę.

Ale Humboldt złożył rezygnację. A potem w marcu, na bocznej drodze w New Jersey, usiłował przejechać Kathleen buickiem. Uratowała się, skacząc do rowu.

* * *

W tym momencie muszę powiedzieć, niemal w formie zeznania, nie wdając się w dyskusję, że nie wierzę, aby moje przyjście na świat rozpoczęło moją pierwszą egzystencję. To samo dotyczy Humboldta. I w ogóle wszystkich. Z przesłanek estetycznych, jeśli nie z innych, nie mogę przyjąć poglądu na śmierć, jaki ma większość ludzi i jaki ja miałem przez całe prawie życie – z przesłanek estetycznych zatem jestem zmuszony nie przyjąć poglądu, jakoby rzecz tak niezwykła jak dusza ludzka mogła zniknąć na zawsze. Nie, zmarli są wokół nas, odgradzeni naszą metafizyczną negacją ich istnienia. Kiedy nocą leżymy uśpieni na naszych hemisferach, miliardy istnień ludzkich, zmarli zbliżają się do nas. Nasze myśli powinny być im pożywieniem. Jesteśmy dla nich polami uprawnymi. Ale jesteśmy ziemią nieurodzajną i głodzimy ich. Nie oszukujmy się jednak, umarli nas obserwują, obserwują nas na tej ziemi, która jest naszą szkołą wolności. W następnym królestwie, gdzie wszystko jest jaśniejsze, jasność wżera się i uszczupla sferę wolności. Jesteśmy wolni na ziemi z przyczyny tego zamglonego widzenia, z przyczyny błędu, z przyczyny cudownego ograniczenia i w takiej samej mierze z przyczyny piękna, co ślepoty i zła. Bo one zawsze towarzyszą dobrodziejstwu wolności. Ale to wszystko, co mam teraz do powiedzenia na ten temat, ponieważ się spieszę, czas nagli – tyle tych nie dokończonych spraw.

Kiedy medytowałem o Humboldcie, odezwał się dzwonek w holu. Mam niewielki ciemny hol, gdzie naciskam guzik i słyszę w wewnętrznym telefonie przytłumione wrzaski. Odezwał się Ronald Stiles, portier. Moje postępowanie, życiowe układy bardzo Stilesa bawiły. Był chudym, dowcipnym, starym Murzynem i znajdował się, żeby tak powiedzieć, w półfinale życia. Ja też, w jego opinii. Ale z jakichś dziwnych powodów, typowych dla białego człowieka, inaczej na to patrzyłem i rozrabiałem dalej, jakby to nie był jeszcze czas na myślenie o śmierci.

– Proszę włączyć telefon, panie Citrine. Słyszysz mnie pan? Pańska przyjaciółka numer jeden nie może się do pana dodzwonić. – Wczoraj pogruchotano mi samochód. Dzisiaj moja piękna przyjaciółka nie może się ze mną

porozumieć. Dla Stilesa była to zabawa jak w cyrku. Wieczorem jego żona przedkładała historyjki o mnie nad telewizję. Sam mi to powiedział.

Połączyłem się z Renatą.

– Co się stało?

– Co się stało! Na miłość boską! Dzwoniłam z dziesięć razy. Musisz być u sędziego Urbanovicha o wpół do drugiej. Twój adwokat też cię próbował złapać. W końcu zatelefonował do Szathmara, a Szathmar zatelefonował do mnie.

– O wpół do drugiej! Na złość zmienili godzinę! Miesiącami zapominają o moim istnieniu, a potem dają mi dwie godziny, niech ich diabli. – Mój duch zaczął gwałtownie podskakiwać. – Cholera, nienawidzę tych kombinatorów.

– Może uda ci się teraz zakończyć sprawę. Dzisiaj.

– W jaki sposób? Ustępowałem już pięć razy. Ile razy ustępuję, Denise i ten jej facet żądają więcej.

– Z kilka dni, Bogu dzięki, zabieram cię stąd. Odwlekasz wszystko, bo nie chcesz jechać, ale uwierz mi, Charlie, że będziesz mnie błogosławił, jak znajdziesz się znów w Europie.

– Forrest Tomchek nie ma nawet czasu, żeby omówić ze mną sprawę. Też miał mi kogo Szathmar polecać.

– Słuchaj, Charlie, jak się dostaniesz do śródmieścia bez samochodu? Zdumiewające, że Denise nie próbowała cię naciągać, żebyś ją zawiózł na rozprawę.

– Wezmę taksówkę.

– I tak muszę pojechać z Fannie Sunderland do magazynów, żeby po raz dziesiąty mogła się rozejrzeć za materiałem na jedną zakichaną kanapę. – Renata roześmiała się, ale w kontaktach z klientami była niezwykle cierpliwa. – Muszę to załatwić, zanim wyjedziemy do Europy. Będziemy pod twoim domem punktualnie o pierwszej. Bądź gotów, Charlie.

Kiedyś, dawno, czytałem książkę zatytułowaną *Ils ne m'auront pas* („Nie dopadną mnie”) i w pewnych chwilach szepczę do siebie: *Ils ne m'auront pas*. Zrobiłem to teraz, zdecydowany dokończyć moje medytacje czy też duchowe wspomnienia (których celem było przeniknięcie w głąb duszy i ustalenie związku między jaźnią i bożą mocą). Położyłem się z powrotem na sofę, co wcale nie było takim małym gestem wolności. Idzie mi tylko o stwierdzenie faktu. Zegarek wskazywał piętnaście po jedenastej i jeżeli zostawię sobie pięć minut na wypicie małego jogurtu i pięć minut na golenie, będę mógł przez dwie godziny snuć dalej moje rozmyślenia o Humboldcie. Moment był do tego odpowiedni.

Tak. Humboldt próbował przejechać Kathleen. Wracali do domu z jakiegoś przyjęcia w Princeton i zaczął ją okładać kułakiem, prowadząc samochód lewą ręką. Przy mrugającej latarni, niedaleko dużego sklepu spożywczego, wyskoczyła i zaczęła uciekać w samych pończochach – pantofle zgubiła w Princeton. Ścigał ją buickiem. Skoczyła do rowu, a on wpadł na drzewo. Musiała przyjechać policja i uwolnić go ze środka, bo drzwi zablokowały się przy zderzeniu.

Tak czy inaczej, kuratorzy Fundacji zbuntowali się przeciwko Longstaffowi i katedra poezji rozplynęła się w powietrzu. Kathleen powiedziała mi później, że Humboldt ukrywał to przed nią przez cały dzień. Odłożył słuchawkę i szurając po swoim nogami i niosąc przed sobą swój brzuch zapaśnika, wszedł do kuchni, gdzie napełnił dzinem duży stoik po dzemie. Stojąc w tenisówkach obok brudnego zlewu wypił dzin, jakby to było mleko.

– Kto dzwonił? – spytała Kathleen.

– Ricketts.

– Czego chciał?

– Nic. Zwykłe sprawy.

– Kiedy wypił cały ten dzin – powiedziała mi Kathleen – zrobiły mu się pod oczami plamy bardzo dziwnego koloru. Takie jasnozielonkawo-fioletowawe. Widuje się czasami taki kolor w sercu karczocha.

Trochę później tego samego ranka odbył chyba drugą rozmowę z Rickettsem. To wtedy Ricketts mu powiedział, że Princeton się nie wycofa. Pieniądze się znajdują. Ale to stawiało Rickettsa w sytuacji dającej mu

przewagę moralną. Poeta nie mógł dać się przewyższyć biurokracie. Humboldt zamknął się w swoim pokoju z butelką dżinu i przez cały dzień pisał list z rezygnacją.

Ale tego wieczoru w drodze, kiedy jechali na przyjęcie do Littlewoodów, zabrał się ostro do Kathleen. Dlaczego pozwoliła, żeby ojciec sprzedał ją Rockefellerowi? Tak, tak, staruszek z pozoru był sympatycznym dziwakiem, reliktem paryskiej bohemy, jednym z bywalców Clossier des Lilas, ale w rzeczywistości jest międzynarodowym kryminalistą, drugim doktorem Moriarty, Lucyferem – i czy przypadkiem nie próbował zgwałcić własnej córki? No dobrze, a jak to było z Rockefellerem? Czy penis Rockefellera bardziej ją podniecał? Czy jego miliardy miały z tym coś wspólnego? Czy Rockefeller musiał ukraść kobietę poecie, żeby mu stanął? I tak jechali, podskakując na żwirze i tocząc się z łoskotem przez tumany kurzu. Zaczął wrzeszczeć, że ten jej wielki numer, ten „sam spokój i czar”, bynajmniej go nie oszukał. Wie o tych sprawach wszystko. Z książkowego punktu widzenia wiedział dużo. Znał zazdrość króla Leontesa z *Opowieści zimowej*. Znał Mario Prazę. I Prousta – szczury w klatkach torturowane na śmierć. Charlus, którego smagał bykowcem z uwiązanyimi gwoździemi jakiś morderca-concierge, krwawa bestia.

– Wiem wszystko o tym obrzydliwym chuci – powiedział. – I wiem, że przy tej grze trzeba mieć twarz spokojną jak twoja. Wiem wszystko o masochizmie kobiet. Rozumiem twoje dreszczyki rozkoszy. Po prostu mnie wykorzystujesz!

Więc przyjechali do Littlewoodów, a ja byłem tam z Demmie Vonghel. Kathleen wydawała się przeraźliwie blada, twarz miała grubo upudrowaną. Humboldt wszedł w milczeniu. Nie odzywał się. Był to jego ostatni wieczór jako profesora poezji w Princeton. Jutro wiadomość się rozejdzie. Może już się rozeszła. Ricketts postąpił szlachetnie, ale kto wie, czy oparł się pokusie, żeby o tym mówić. Wyglądało na to, że Littlewood o niczym nie wie. Robił, co mógł, żeby się przyjęcie udało. Policzki miał czerwone i uśmiech jowialny. Przypominał Pana Pomidora w cylindrze z reklam soku w puszkach. Miał faliste włosy i doskonałe wielkoświatowe maniery. Kiedy brał rękę kobiety, człowiek się zastanawiał, co on z nią zrobi. Littlewood był czarną owcą ze sfer wyższych, lubieżnym synem duchownego. Znał Londyn i Rzym. Zwłaszcza znał słynny bar Shepherda w Kairze, gdzie nauczył się gwary brytyjskich żołnierzy. Było coś przyjaznego i ujmującego w jego szeroko rozstawionych zębach. Lubił się śmiać i na każdym przyjęciu imitował Rudnego Vallee. Chciałem rozweselić Humboldta i Kathleen, więc go namówiłem, żeby zaśpiewał *Zwykły ze mnie włóczęga i kochanek*. Wypadło to niezbyt dobrze.

Byłem w kuchni, kiedy Kathleen popełniła poważny błąd. Trzymając kieliszek i nie zapalonego papierosa sięgnęła po zapalki do kieszeni jednego z mężczyzn. Nie był to nikt obcy, znaliśmy go dobrze, nazywał się Eubanks, był Murzynem i kompozytorem. Jego żona stała tuż obok. Kathleen zaczynała odzyskiwać humor i sama była już podpita. Ale właśnie w chwili, kiedy wyjmowała zapalki z kieszeni Eubanksa, wszedł Humboldt. Widziałem, jak wchodzi. Najpierw wstrzymał oddech. Potem z brutalną pasją wczepił się w Kathleen. Wykręcił jej rękę do tyłu i biegiem wyprowadził ją z kuchni na podwórze. Tego rodzaju sprawy nie były czymś niezwykłym na przyjęciach u Littlewoodów i pozostali goście uznali, że nic nie widzą, ale Demmie i ja podbiegliśmy do okna. Humboldt uderzył Kathleen pięścią w brzuch, aż się skuliła. Potem wciągnął ją za włosy do buicka. Ponieważ za nim stał jakiś samochód, nie mógł się wycofać. Zakręcił na trawniku i wyjechał na chodnik, obrywając przy tym tłumik o krawężnik. Widziałem ten tłumik nazajutrz rano: leżał jak pancierz monstualnego superowada, cały w plamach rdzy, ze sterzącą rurą. Znalazłem także pantofle Kathleen, zaryte obcasami w śniegu. Była mgła, lód, wstrętne zimno, krzewy się szklily, gałęzie wiązu siniały, marcowy śnieg inkrustowała sadza.

I teraz przypomniałem sobie, że reszta wieczoru była prawdziwym utrapieniem, bo Demmie i ja mieliśmy tam nocować, a kiedy przyjęcie się skończyło, Littlewood wziął mnie na bok i jak mężczyzna mężczyźnie zaproponował zamianę.

– Eskimoska wymiana żon. Co ty na to? Zrobimy sobie zabawę – powiedział. – Taki balecik.

– Nie, dziękuję, nie jest dość zimno na te eskimoskie zabawy.

– Odmawiasz na własną odpowiedzialność? Nie zamierzasz nawet spytać Demmie?

– Odwinęłaby się i dała mi w mordę. Może ty byś z nią spróbował? Nie uwierzyłybyś, jaki ma cios. Wygląda jak modny kociak, i taka elegancka, ale w rzeczywistości to duża, solidna chłopka.

Miałem swoje powody, żeby dać mu uprzejmą odpowiedź. Byliśmy zaproszeni na noc. Nie chciało mi się wychodzić o drugiej nad ranem i siedzieć w poczekalni na Penn Station. Mając prawo do moich ośmiu godzin zapomnienia i zdecydowany z tego prawa skorzystać, położyłem się do łóżka w zadymionym gabinecie, w którym niedawno kłębili się goście. Ale Demmie tymczasem włożyła nocną koszulę i była kimś zupełnie

innym. Przed godziną, w czarnej szyfonowej sukni, ze złotymi, długimi włosami gładko zaczesanymi i przytrzymanymi ozdobną zapinką, była młodą damą o świetnych manierach. Humboldt, kiedy był w stanie równowagi, bardzo lubił wymieniać liczące się grupy społeczne Ameryki i Demmie należała do każdej z nich. – To najlepsze, co może być. Kwakerskie szkoły, Bryn Mawr. Ma prawdziwą klasę – mówił Humboldt. Kiedyś gawędziła z Littlewoodem, który zajmował się Plautem, o przekładach z łaciny i greki Nowego Testamentu. Ja kochałem w Demmie farmerską córkę nie mniej niż dziewczynę z towarzystwa. Teraz siedziała na łóżku. Palce u nóg miała zdeformowane od taniego obuwia. W jej dużych obojczykach były solniczki. W dzieciństwie ona i jej siostra, podobnie zbudowane, wypełniały te solniczki wodą i ścięły się.

Wszystko, żeby odegnać sen. Demmie brała proszki nasenne, ale straszliwie bała się spać. Powiedziała, że ma zanokcicę, i siadła na łóżku, piłując zawzięcie paznokcie: długi, giętki pilnik poruszał się zygzakowato. Nagle znów ożywiona, obróciła się do mnie, skrzyżowawszy nogi, pokazując okrągłe kolana i kawałek uda. W tej pozycji wydzielala słonawą woń kobiecą, owo bakteryjne tło głębokiej miłości. Powiedziała:

– Kathleen nie powinna była sięgać po zapalki Eubanksa. Mam nadzieję, że Humboldt nie wyrządził jej krzywdy, ale nie powinna była tego robić.

– Ale Eubanks to stary przyjaciel.

– Stary przyjaciel Humboldta? Zna go od dawna, a to różnica. I b coś znaczy, kiedy kobieta sięga mężczyźnie do kieszeni. Widzieliśmy, jak to robiła... Nie uważam, że Humboldt ponosi całą winę.

Demmie często się tak zachowywała. Właśnie wtedy, kiedy byłem gotów zamknąć oczy i spać, mając po uszy swego świadomego i czynnego Ja, Demmie chciała mówić. O tej porze miała predylekcję do ekscytujących tematów – choroby, morderstwa, samobójstwa, wieczne potępienie, ogień piekielny. Wprawiała się w stan podniecenia. Włosy jej się jeżyły, głęboko w oczach taił się strach, zdeformowane palce u nóg wykręcały się na wszystkie strony, długie dłonie zamykały się na trochę za małych piersiach. Z dziecinnym drżeniem warg popadała niekiedy w niemowlęce „przedwerbalne” gaworzenie. Była trzecia nad ranem i wydawało mi się, że słyszę, jak zdeprawowani Littlewoodowie rozrabiają nad nami w swojej sypialni, może po to, żeby nam pokazać, co tracimy. Prawdopodobnie była to sprawa wyobraźni.

Tak czy inaczej wstałem i odebrałem Demmie pilnik do paznokci. Opatuliłem ją kołdrą. Kiedy oddała mi wreszcie pilnik, jej usta były naiwnie otwarte. Zdołałem ją położyć, ale była niespokojna. Widziałem to wyraźnie. Kiedy położyła głowę na poduszce, profilem, jedno duże, śliczne oko wpatrywało się we mnie dziecinnie.

– Spać – powiedziałem. Zamknęła patrzące oko. Sen przyszedł w jednej chwili i zdawał się głęboki.

Ale po kilku minutach usłyszałem to, co spodziewałem się usłyszeć – jej nocny głos. Był niski, ochryply i głęboki, niemal męski. Wypowiadała urywane słowa. Jęczała. Robiła to prawie co noc. Głos wyrażał jej strach przed tym dziwnym miejscem, ziemią, i tym dziwnym stanem, istnieniem. Mozoląc się i jęcząc, usiłowała się z niego uwolnić. Oto była pierwotna Demmie, ukryta pod farmerską córką, pod nauczycielką, pod elegancką amazonką, łacinniczką, pod pełną poloru uczestniczką koktajli odzianą w czarny szyfon, pod ową dziewczyną z zadartym noskiem prowadzącą rozmowy na wszystkie modne tematy. Słuchałem uważnie. Pozwoliłem jej mówić jakiś czas, usiłując zrozumieć. Litowałem się nad nią i kochałem ją. Ale potem położyłem temu kres. Pocałowałem ją. Wiedziała, kto to robi. Przycisnęła palce u nóg do moich łydek i objęła mnie silnymi kobiecymi ramionami. Zawołała: „Kocham cię” tym samym głębokim głosem, ale oczy miała ciągle zamknięte. Myślę, że w gruncie rzeczy ani na chwilę się nie przebudziła.

* * *

W maju, kiedy skończyły się zajęcia w Princeton, ja i Humboldt spotkaliśmy się po raz ostatni jako dwaj ludzie związani braterstwem krwi.

Pogrążony w myślach tak głęboko, jak głęboka była olbrzymia kopuła grudniowego błękitu przenikającego przez okno tuż za mną i drgającego w ciepłe promieni słonecznych, leżałem na sofie w Chicago i raz jeszcze zobaczyłem to, co się zdarzyło. Serce krwawi człowiekowi na myśl o takich rzeczach. Jakie to smutne, myślałem, te wszystkie ludzkie bzdury, które nie pozwalają nam dotrzeć do wielkich prawd. Ale może zdołam uporać się z tym raz na zawsze, robiąc to, co robię teraz.

Więc dobrze, hasłem dnia był wtedy Broadway. Miałem producenta, reżysera i agenta. W oczach Humboldta byłem częścią świata teatru. Pojawiły się aktorki, które mówiły „kochaaanie”, i całowały mnie przy pierwszym spotkaniu. W „Timesie” ukazała się moja karykatura rysowana przez Hirschfelda. Humboldt

przypisywał sobie znaczną część zasługi. Sprowadzając mnie do Princeton, jak gdyby mnie nobilitował. Przez niego poznałem użytecznych ludzi z Ivy League. A poza tym uważał, że mój pruski bohater, von Trenck, jest wzorowany na nim. „Ale uważaj, Charlie – mówił – nie daj się porwać temu czarowi Broadwayu i wciągnąć w sprawy handlowe”.

Humboldt i Kathleen zwalili mi się na kark; przyjechali swoim już naprawionym buickiem. Byłem w małym domku na wybrzeżu Connecticut, niedaleko Lamptona, reżysera, wprowadzając poprawki pod jego kierunkiem – właściwie pisząc sztukę, jakiej żądał, bo do tego się to sprowadzało. Demmie spędzała ze mną każdy weekend, ale Fleisherowie przyjechali w środę, kiedy byłem sam. Humboldt miał właśnie wykład w Yale i wracali do domu. Siedzieliśmy w małej, zbudowanej z kamienia kuchni, popijając kawę i dzin, świętując ponowne spotkanie. Humboldt był „grzeczny”, poważny, szlachetny. Wykład poświęcił *De anima* i głowę miał nabitą pomysłami na temat początków myśli. Zauważyłem jednak, że nie spuszczał Kathleen z oka. Musiała mówić mu, dokąd idzie.

– Chcę tylko wziąć sweter. – Nawet jak szła do łazienki, potrzebne było jego zezwolenie. I chyba podbił jej oko.

Siedziała spokojna i posepna na swoim krześle, ze złożonymi rękami i skrzyżowanymi długimi nogami, ale oko miała podbite. Humboldt sam w końcu zaczął o tym mówić.

– Tym razem to nie ja – powiedział. – Nie uwierzyłbyś, Charlie, ale uderzyła się o deskę rozdzielczą, kiedy nagle zahamowałem. Jakiś baran wytoczył się nagle ciężarówką z bocznej drogi i musiałem gwałtownie hamować.

Może jej rzeczywiście nie uderzył, ale na pewno jej pilnował. Pilnował jak strażnik konwojujący więźnia z jednego więzienia do drugiego. Perorując na temat *De anima* cały czas przesuwiał swoje krzesło – chciał mieć pewność, że nie porozumiewamy się wzrokiem. Robił to tak nachalnie, że po prostu musieliśmy spróbować go przechytryć. I przechytryliśmy. Zdołaliśmy wreszcie wymienić kilka słów przy sznurze do wieszania bielizny w ogrodzie. Kathleen przeprała pończochy i wyszła na słońce, żeby je powiesić. Humboldt prawdopodobnie załatwiał wtedy potrzebę naturalną.

– Uderzył cię czy nie?

– Nie, upadłam na deskę rozdzielczą. Ale to piekło, Charlie. Gorsze niż kiedykolwiek.

Sznur na bieliznę był stary, ciemnoszary. Był nadpęknięty i ukazywał swój biały rdzeń.

– Mówi, że zadają się z takim jednym krytykiem, młody, nic nie znaczący, całkiem niewinny facet, nazywa się Magnasco. Bardzo miły, ale mój Boże! I mam już po uszy tego traktowania mnie jak nimfomanki, mówienia mi, że robię to na drabinkach przeciwpożarowych albo na stojąco w schowkach na ubranie, przy każdej okazji. A w Yale kazał mi siedzieć na podium w czasie wykładu. Potem miał pretensję, że pokazywałam nogi. Na każdej stacji benzynowej wpycha się za mną do damskiej toalety. Nie mogę wrócić z nim do New Jersey.

– Co zrobisz? – powiedział żarliwy, tkliwy, przejęty Citrine.

– Jutro, jak wrócimy do Nowego Jorku, po prostu się zgubię. Kocham go, ale dłużej tego nie wytrzymam. Mówię ci o tym, żeby cię przygotować, bo wy się bardzo kochacie i będziesz musiał mu pomóc. On ma trochę pieniędzy. Hildebrand go wyrzucił. Ale dostał Guggenheima, wiesz o tym?

– Nawet nie wiedziałem, że składał podanie.

– Och, on wszędzie składa podania... Teraz obserwuje nas z kuchni.

Istotnie stał tam Humboldt, wypychając sobą miedzianą pajęczynę siatki na drzwiach, jak dziwny stwór w sieci rybaka.

– Powodzenia.

Kiedy wracała do domu, majowa trawa biła ją ochoczo po nogach. Przez pręgi cienia padającego od krzaków i przez pręgi wiejskiego słońca szedł sobie kot. Sznur na bieliznę wydał ostatnie tchnienie i pończochy Kathleen, przyczepione szerszym końcem, sugerowały teraz żądzę. Taki był wpływ Humboldta. Przyszedł do mnie pod ten sznur i kazał opowiedzieć, o czym rozmawialiśmy.

– Och, daj spokój, Humboldt, dobrze? Nie pakuj mnie siłą w ten neurotyczny superdramat. – Tb, co przewidywałam, przejmowało mnie zgrozą. Chciałem, żeby sobie pojechali, żeby się władowali do swojego

buicka (który bardziej niż zwykle przypominał zabłocony wóz sztabowy z pól bitewnych Flandrii) i odjechali, pozostawiając mnie z moimi kłopotami z Trenkiem, tyranią Lamptona i czystym brzegiem Atlantyku.

Ale zostali na noc. Humboldt nie spał. Drewniane stopnie schodów na tyłach domu całą noc skrzypiały pod jego stopami. Z kranu leciała woda, drzwi lodówki trzaskały. Kiedy wszedłem rano do kuchni, zobaczyłem, że butelka dżinu Beefeater's, prezent, który mi przywieźli, stoi pusta na stole. Kłębki waty z fiolek z proszkami były rozrzucone po całej kuchni jak łajno królicze.

Tak więc Kathleen zniknęła z restauracji Rocco na Thompson Street i Humboldt oszalał. Twierdził, że Magnasco ukrywa ją w swoim pokoju w hotelu Earle. Zdobył gdzieś pistolet i walił kolbą w drzwi, aż drzazgi leciały. Magnasco zatelefonował do recepcji, recepcja wezwała policję i Humboldt się wyniósł. Ale następnego dnia rzucił się na Magnasca na Szóstej Alei, przed wejściem do motelu Howarda Johnsona. Grupa lesbijek przebranych za robotników portowych uratowała młodego człowieka. Raczyły się wodą sodową z lodami, wybiegły na chodnik i przerwały bijatykę, wykręcając Humboldtowi ręce. Było skwarne popołudnie, więźniarki z aresztu na Greenwich Avenue wrzeszczały z otwartych okien i rozwijały serpentyny papieru toaletowego.

Humboldt zadzwonił do mnie na wieś i powiedział:

– Charlie, gdzie jest Kathleen?

– Nie wiem.

– Charlie, ja myślę, że wiesz. Widziałem, jak z tobą rozmawiała.

– Ale mi nie powiedziała.

Odłożył słuchawkę. Potem zatelefonował Magnasco.

– Pan Citrine? Pana przyjaciel chce mnie pobić. Będę musiał uzyskać nakaz aresztowania.

– Czy jest aż tak źle?

– Wie pan, jak to jest, ludzie posuwają się często dalej, niż zamierzali, i jak my wyglądamy? To znaczy, jak ja wyglądam? Telefonuję, bo on mi grozi w pana imieniu. Mówi, że jeżeli nie on, to pan mnie dopadnie. Pan, człowiek związany z nim braterstwem krwi.

– Nie tknę pana palcem – powiedziałem. – Może by pan wyjechał z miasta na jakiś czas?

– Wyjechać z miasta? – powtórzył Magnasco. – Właśnie tu przyjechałem. Z Yale.

No tak. Był na dorobku, długo przygotowywał się do tej kariery.

– „Tribune” wypróbowało mnie jako recenzenta.

– Wiem, jak to jest. Mam premierę na Broadwayu. Pierwszą w życiu.

Magnasco okazał się człowiekiem otyłym, o okrągłej twarzy, młodym tylko wiekiem, mocno stojącym na ziemi i niełatwym do spławienia, urodzonym, żeby osiągnąć sukces w kulturalnych kręgach Nowego Jorku.

– Nie dam się wygryźć – powiedział. – Postaram się, żeby został zwolniony warunkowo.

– A czy do tego potrzebne panu moje zezwolenie? – spytałem. – Nie przysporzy mi popularności w Nowym Jorku, jeżeli postąpię tak z poetą.

Później powiedziałem Demmie:

– Magnasco jest w strachu, że jak wezwie policję, narazi się całemu kulturalnemu światkowi Nowego Jorku.

Jęcząca po nocach, lękająca się piekła, łykająca proszki Demmie była zarazem osobą niezwykle praktyczną, genialnym wprost menedżerem i organizatorem. Kiedy wpadła w ten swój pracowity nastrój i zaczynała mnie tyranizować i ochraniać, wyobrażałem sobie, jak znakomitym wodzem lalek musiała być w dzieciństwie.

– A kiedy chodzi o ciebie – mówiła – stoję się tygrysią broniącą swoich młodych, prawdziwą Furiją. To już chyba miesiąc, odkąd widziałeś Humboldta? Trzyma się z daleka. To znaczy, że zaczyna zwałać winę na ciebie. Biedny Humboldt, stuknęło go, nie ma co! Musimy mu pomóc. Jeżeli będzie dalej atakował tego Magnasca, na pewno go zamkną. Jeżeli policja wpakuje go do Bellevue, musisz być przygotowany, żeby złożyć za niego kaucję. Będzie musiał otrzeźwieć, uspokoić się, opanować. Najlepszym miejscem do tego jest

Payne Whitney. Posłuchaj, Charlie, kuzyn Ginnie, Albert, jest tam kierownikiem izby przyjęć. Bellevue to piekło. Powinniśmy zebrać trochę pieniędzy i przenieść go do Payne Whitney. Może udałoby się zdobyć dla niego coś w rodzaju stypendium.

Omówiła szczegóły z kuzynem Ginnie, Albertem, i w moim imieniu zaczęła telefonować do ludzi i gromadzić pieniądze dla Humboldta, biorąc całą sprawę w swoje ręce, boja byłem zajęty *Von Trenkiem*. Wróciliśmy już z Connecticut i zaczynaliśmy próby w Bellasco. Zapobiegliwa Demmie wkrótce zebrała około trzech tysięcy dolarów. Sam Hildebrand dał dwa tysiące, ale ciągle był zły na Humboldta. Zastrzegł wyraźnie, że pieniądze mają być przeznaczone wyłącznie na leczenie psychiatryczne i pierwsze potrzeby. Simkin, adwokat z Piątej Alei, miał ten fundusz u siebie w depozycie. Hildebrand wiedział, wszyscyśmy wiedzieli, że Humboldt zaangażował prywatnego detektywa, który nazywał się Scaccia, i że ten Scaccia zainkasował już większą część jego Guggenheimowskiego stypendium. Sama Kathleen zrobiła coś, co było dla niej nietypowe. Z Nowego Jorku pojechała prosto do Newady, żeby tam wystąpić o rozwód. Ale Scaccia stale mówił Humboldtowi, że ona nadal jest w Nowym Jorku i oddaje się rozpuście. Humboldt wymyślił sobie nowy, proustowski i sensacyjny skandal, w którym tym razem występował przestępczy gang maklerów z Wall Street. Jeśli zdoła przyłapać ją na cudzołóstwie, dostanie „nieruchomość”, czyli chałupę w New Jersey, wartą mniej więcej osiem tysięcy dolarów i z długiem hipotecznym wysokości pięciu tysięcy, jak mi powiedział Orlando Higgins – był to jeden z tych ludzi należących do radykalnej cyganerii, którzy się znają na pieniądzach. W nowojorskiej awangardzie każdy znał się na pieniądzach.

Lato mijało szybko. W sierpniu zaczęły się próby. Noce były gorące, pełne nerwowego napięcia, męczące. Co rano wstawałem już wyczerpany i Demmie dawała mi kilka filiżanek kawy, a przy śniadaniu także mnóstwo dobrych rad na temat teatru, Humboldta i sposobu życia. Mały biały terier, Katon, prosił o skórki i kłapał zębami, cofając się tanecznie na tylnych łapkach. Pomyślałem, że ja też wolałbym spać cały dzień na jego poduszce pod oknem, tuż przy begoniach Demmie, zamiast przesiadywać w antycznym brudzie teatru Belasco i słuchać ponurych aktorów. Zaczynałem nienawidzić teatru, komediancko rozdętych uczuć, wszystkich tych staroświeckich gestów, chwytania się za głowę, łez i błagalnych próśb. A poza tym *Von Trenck* nie był już moją sztuką. Należał do uzbrojonego w czarne okulary Harolda Lamptona, dla którego usłużnie pisałem w garderobach nowe dialogi. Jego aktorzy byli po prostu bandą kabotynów. Wydawało się, że wszyscy utalentowani ludzie w Nowym Jorku brali udział w melodramacie inscenizowanym przez rozgorączkowanego, oszalałego Humboldta. Kumple i wielbiciele tworzyli jego audytorium Pod Białym Koniem na Hudson Street. Tam wykladał i awanturował się. Biegał też po adwokatach i odwiedził jednego czy dwóch psychiatrów.

Demmie, jak mi się zdawało, potrafiła zrozumieć Humboldta lepiej niż ja, bo ona też łykała różne tajemnicze proszki. (Były i inne punkty styczne.) Bardzo otyła w dzieciństwie, w czternastym roku życia ważyła sto czterdzieści kilo. Pokazywała mi fotografie, którym ledwie mogłem uwierzyć. Dawali jej zastrzyki z hormonów i jakieś pastylki, więc zeszczuplała. Sądząc po wytrzeszczonych oczach była chyba na thyroxinie. Twierdziła, że nagły spadek wagi zniekształcił jej ładne piersi. Drobne zmarszczki wokół nich bardzo ją martwiły. Czasem wybuchiała: „Popsuli mi cycuszki tymi wstrętnymi lekarstwami”. Z drogerii w Mount Coptic ciągle przychodziły jakieś paczki. „Ale i tak jestem ładna”. Rzeczywiście była. Z jej holenderskich włosów po prostu emanowało światło. Niekiedy zaczesywała je na bok, kiedy indziej nosiła grzywkę, w zależności od tego, jak pokieroszowała sobie czoło paznokciami. Drapała się często. Jej twarz była albo dziecinnie okrągła, albo wychudła, jak u żon pionierów z Dzikiego Zachodu. Wyglądała czasem jak piękność z obrazów van der Weydena, czasem w typie Mortimera Snerda, czasem jak tancerka z rewii Ziegfielda. Cichy, jedwabisty szelest, jaki wydawały przy szybkich krokach jej skierowane lekko do środka kolana, był, powtarzam, czymś bardzo dla mnie cennym. Myślałem nieraz, że gdybym był szarańczą, ten dźwięk pobudziłby mnie do lotu wysoko nad szczytami gór. Kiedy twarz Demmie, z delikatnym zadartym noskiem, pokrywała gruba warstwa makijażu, jej wielkie oczy, tym bardziej ruchliwe i czyste, że nałożyła tak dużo koloru na powieki, zdradzały dwie rzeczy: po pierwsze, że ma wierne serce, i po drugie, że jest dynamiczną cierpiętnicą. Nie raz, nie dwa pędziłem na Barrow Street, żeby złapać taksówkę i zawieźć Demmie na ostry dyżur do szpitala St. Vincent. Opalała się na dachu i tak bardzo spaliła skórę, że zaczęła majaczyć. Innym razem, krojąc cielęcinę przecięła sobie palec do kości. Poszła spalić śmieci i płomień buchający z otwartej klapy osmalił jej ciało. Kiedy była grzeczna, przygotowywała plan lekcji łaciny na cały semestr, układała szaliki i rękawiczki w pudełkach z odpowiednimi naklejkami, sprzątała dom. Kiedy była niegrzeczna, piła whisky, miała ataki hysterii, zadawała się ze złodziejami i awanturnikami. Głaskała mnie po głowie jak królowa z bajki albo waliła pięścią w zębra jak pastuch. W czasie upałów rozbierała się do naga i na kolanach pastowała podłogę. Wtedy ukazywały się jej długie ścięgna, chude ramiona, mozolące się stopy. Widziany z tyłu ów organ, który w innym kontekście wielbiłem jako mały, delikatny, skomplikowany, obfitujący w rozkoszne trudności dostępu, wystawał jak szczątkowy członek. Ale po pastowaniu, tym nagłym ataku znoonej pracowitości, zasiadała w niebieskiej sukni, pokazując ładne nogi, i piła martini. Tata Vonghel, fundamentalista, był właścicielem Mount Coptic. Był to

człowiek gwałtowny. Demmie miała bliznę na głowie, w miejscu, w którym uderzył głową dziecka o kaloryfer, i drugą na twarzy po pojemniku na śmieci, który jej wepchnął na głowę – uwolnić ją musiał blacharz. Z tym wszystkim znała na pamięć ewangelię, była kiedyś gwiazdą hokeja na trawie, potrafiła ujeżdżać konie i pisała czarujące liściki z podziękowaniem za gościnę, na papierze od Tiffany’ego. Mimo to, ilekroć brała do ust łyżeczkę swego ulubionego budyniu waniliowego, była znowu dawnym tłustym dzieckiem. Delektowała się deserem, smakując go na koniuszku języka, z otwartymi ustami, a ogromne błękitne oczy o barwie mgły, unoszącej się nad oceanem w pełni lata, pogrążone były w transie tak głębokim, że wzdrygała się, kiedy mówiłem: „Przełknij ten budyń”. Wieczorami graliśmy w tryktraka, tłumaczyliśmy Lukrecjusza, ona objaśniała mi Platona.

– Ludzie szczycą się swoimi cnotami. Ale on rozumie; jaki możesz być, jeśli nie cnotliwy? Nic innego nie istnieje.

Przed samym Świętem Pracy Humboldt znów zaczął grozić Magnasco i Magnasco poszedł na policję i namówił jednego z tajniaków, żeby wrócił z nim do hotelu. Czekali w holu. Humboldt wpadł, rycząc, i rzucił się na Magnasca. Tajniak stanął między nimi i Humboldt powiedział:

– U niego w pokoju jest moja żona. – Logika nakazywała zrobić rewizję. Wszyscy trzej poszli na górę. Humboldt zaglądał do wszystkich szaf, szukał jej koszuli nocnej pod poduszkami, obmacywał papier wyścielający szuflady. Nie było żadnej bielizny. Nic.

Detektyw zapytał:

– No więc, gdzie ona jest? Czy to pan o mało co nie rozwalił tych drzwi kolbą rewolweru?

Humboldt powiedział:

– Nie mam rewolweru. Może mnie pan zrewiduje? – I podniósł rękę. Potem dodał: – Jak pan chce, niech pan idzie do mnie i poszuka. Sam się pan przekona.

Ale kiedy znaleźli się na Greenwich Street, Humboldt włożył klucz do zamka i powiedział:

– Nie może pan wejść. – I wrzasnął: – Ma pan nakaz rewizji?! – Potem wskoczył do środka, zatrzasnął i zaryglował drzwi. Wtedy to Magnasco złożył skargę czy też uzyskał nakaz warunkowego aresztowania – tego dokładnie nie wiem – i pewnej mglistej, dusznej nocy policja przyszła po Humboldta. Walczył jak lew. Wyrwał się jeszcze w komisariacie. Głowa pomazańca tarzała się po brudnej podłodze. Czy użyto kaftana bezpieczeństwa? Magnasco zaklinał się, że nie. Ale nie obyło się bez kajdanków i Humboldt płakał. W drodze do Bellevue dostał biegunki i zamknęli go na noc unurzanego w nieczystościach.

Magnasco zaczął napomykać, że on i ja wspólnie zdecydowaliśmy przeszkodzić Humboldtowi w popełnieniu przestępstwa. Wtedy wszyscy mówili, że odpowiedzialny za to, co się stało, jest Charlie Citrine, człowiek związany z Humboldtem braterstwem krwi i jego protegowany. Nagle okazało się, że mam mnóstwo oszczerców i wrogów, zupełnie mi nie znanych.

Powiem wam jeszcze, jak ja na to patrzyłem z pluszowej degrengolady i upalnych mroków teatru Belasco. Otóż widziałem Humboldta, jak okłada batem zaprząg mułów i stoi wyprostowany w swoim rozklekotanym wozie niczym osadnik zajmujący bezprawnie ziemię w Oklahomie. Wdzierał się na terytorium szaleństwa, żeby wytyczyć sobie działkę. Ta działka była mirażem jego serca.

Nie chodziło mi o to, że „poeta dostał bzika”... Wezwać policję i do diabła z komunami. O nie, cierpiałem, kiedy policjanci użyli siły, byłem pogrążony w rozpacz. A więc, o co mi właściwie chodziło? Być może o coś w tym rodzaju: przypuśćmy, że poeta został powalony na ziemię przez policjantów, skrępowany kaftanem bezpieczeństwa albo skuty kajdankami i wywieziony na sygnale policyjną budą jak wściekły pies, że dojechał na miejsce cuchnący i że wepchnięto go do celi w ataku szału! A więc sztuka przeciw Ameryce? Dla mnie Bellevue było jak Bowery: wystawiało złe świadectwa. Brutalna Wall Street była synonimem potęgi, a Bowery, położone tak blisko niej, stanowiło oskarżycielski symbol słabości. Podobnie rzecz się miała z Bellevue, gdzie trafiali nędzarze i wykolejeńcy. I tak było nawet ze szpitalem Payne Whitney, gdzie przebywały zamożne wraki. I poeci, jak pijacy i nieudacznicy czy psychopaci, jak wszystkie ludzkie ruiny, biedne czy bogate, ulegali słabości – czy o to chodziło? Czy dlatego, że nie mieli maszyn, że nie posiadali żadnej przetwarzającej wiedzy, porównywalnej z wiedzą Boeinga czy Sperry Randa, czy IBM, czy RCA? Bo czy wiersz mógł zabrać cię z Chicago i w dwie godziny później wysadzić w Nowym Jorku? Albo czy mógł zaprogramować lot w przestrzeń kosmiczną? Nie miał takich możliwości. A zainteresowanie budziło to, co dawało siłę. W dawnych czasach poeta miał prawdziwą siłę w świecie materii. Oczywiście ten materialny świat był wtedy inny. Ale jakie zainteresowanie mógł wzbudzić taki Humboldt? Zanurzył się w słabości, stał się

bohaterem rozpaczy. Zgadzał się na monopol władzy i zainteresowania, jakim rozporządzały kapitał, polityka, prawo, rozsądek, technika, bo nie potrafił zrobić następnego kroku, nowej rzeczy, rzeczy, którą koniecznie powinni robić poeci. Zamiast tego robił rzecz dawniejszą. Postarał się o pistolet, jak Verlaine, i uganiał się za Magnaskiem.

Z Bellevue zatelefonował do mnie do teatru Belasco. Głos miał drżący, oszalały, ale mówił szybko. Wrzasnął:

– Charlie, wiesz, gdzie jestem, prawda? No cóż, Charlie, to nie literatura. To życie.

Ja w teatrze przebywałem w świecie iluzji, podczas gdy on, Humboldt, wyłamał się z niego – czy o to chodziło?

Ale nie, zamiast być poetą, grał jedynie rolę poety. Odgrywał „Udrękę amerykańskiego artysty”. I to nie Humboldt, to Stany Zjednoczone forsowały swoją tezę: „Słuchajcie, bracia Amerykanie. Jeśli zrezygnujecie z materializmu i zwykłych życiowych dążeń, skończycie w Bellevue, jak ten nieszczęsny wariat”.

W Bellevue otoczył się całym dworem i odgrywał sceny szaleństwa. Winę zwał otwarcie na mnie. Plotkarze cmokali na dźwięk mojego nazwiska.

Potem w Belasco zjawił się prywatny detektyw Scaccia i przyniósł list od Humboldta. Humboldt żądał pieniędzy, które zebrałem, i to natychmiast. Tak więc pan Scaccia i ja stanęliśmy naprzeciw siebie, twarzą w twarz, w mrocznym, zatęchłym, wylanym cementem zaułku od strony wejścia dla aktorów. Pan Scaccia nosił przewiewne sandały i białe jedwabne skarpetki, bardzo poplamione. W kącikach ust miał brudny nalot.

– Cały fundusz jest w depozycie u adwokata, pana Simkina, na Piątej Alei. Jest przeznaczony wyłącznie na leczenie – powiedziałem.

– Chce pan powiedzieć psychiatryczne? Uważa pan, że pan Fleisher jest pomyłony?

– Ja nie stawiam diagnoz. Proszę tylko powiedzieć Humboldtowi, żeby się porozumiał z Simkinem.

– Mówimy o człowieku genialnym. Kto ma prawo mówić, że geniusz potrzebuje leczenia?

– Czytał pan jego wiersze?

– Jak cholera. Nie zamknij mi pan ust. Pan jest podobno jego przyjacielem? Ten facet pana kocha. Ciągłe pana kocha. A czy pan kocha jego?

– A jaka jest pańska rola?

Wynajął mnie. A dla klienta jestem gotów na wszystko.

Wiedziałem, że jeśli nie dam pieniędzy detektywowi, pojedzie do Bellevue i zawiadomi Humboldta, że uważam go za obłąkanego. Moim pierwszym odruchem było zabić Scaccię w tym ciemnym zaułku. Zwykła sprawiedliwość stała po mojej stronie. Mogłem chwycić tego szantażystę za gardło i zadusić go. Ach, to by było cudowne! I kto by mnie za to winił! Ten przyływ morderczej żądy kazał mi skromnie opuścić wzrok.

– Pan Fleisher będzie musiał wyjaśnić Simkinowi, na co mu są potrzebne pieniądze – powiedziałem. – Nie zbieraliśmy ich dla pana.

Po tej rozmowie nastąpiła seria telefonów od Humboldta.

– Gliny wpakowały mnie w kaftan bezpieczeństwa. Miałeś z tym coś wspólnego? Ty, połączony ze mną braterstwem krwi? Znęcali się nade mną, ty zasrany Tomaszu Hobbesie!

Zrozumiałem aluzję. Chodziło mu o to, że ważna jest dla mnie jedynie władza.

– Staram się pomóc – powiedziałem.

Odłożył słuchawkę. Po chwili telefon odezwał się znowu.

– Gdzie jest Kathleen? – zapytał.

– Nie wiem.

– Rozmawiała z tobą przy sznurze na bieliznę. Doskonale wiesz, gdzie ona jest. Posłuchaj, przystojniaczkę, to ty siedzisz na tych pieniądzach. One są moje. Chcesz się mnie pozbyć, zamknąć u tych facetów w białych kitlach?

– Musisz tylko odzyskać spokój, to wszystko.

Zadzwoił jeszcze raz w ciągu dnia, szarym, upalnym popołudniem. Byłem u Greka po drugiej stronie ulicy i jadłem smakujący blaszaną puszką sandwicz z pokruszonym, wilgotnym tuńczykiem, kiedy zawołano mnie do telefonu. Rozmawiałem z garderoby gwiazdy.

– Mówiłem z adwokatem – krzychał Humboldt. – Mam zamiar zaskarżyć cię o te pieniądze. Jesteś oszust. Jesteś zdrajca, łgarz, szarlatan, Judasz. Zamknąłeś mnie tutaj, a ta kurwa Kathleen urządzała orgie. Oskarżam cię o sprzeniewierzenie!

– Humboldt, ja tylko pomagałem zbierać pieniądze. Nie mam ich. Nie są w moich rękach.

– Powiedz mi, gdzie jest Kathleen, a wycofam sprawę.

– Nie mówiła mi, dokąd jedzie.

– Złamałeś przysięgę, którąś mi złożył, Citrine. A teraz chcesz mnie zamknąć w szpitalu. Zazdrościsz mi. Zawsze mi zazdrościłeś. Chcę, żebyś wiedział, jak to jest, kiedy przychodzi po ciebie policja, i co to jest kaftan bezpieczeństwa. – Potem trzask! – odłożył słuchawkę, a ja siedziałem w pokoju gwiazdy, odbijało mi się zepsutą sałatką z tuńczyka, w boku odczuwałem objawy zatrucia ptomainą, skurcz, bardzo silny ból.

Aktorzy tego dnia przymierzali kostiumy i paradowali przed drzwiami w swoich krótkich obcisłych spodniach, sukniach i trójgraniastych kapeluszach. Pragnąłem przemocy, ale czułem się jak podbiegunowy rozbitek w małej łodzi, jakiś Amundsen wzywający na pomoc statki na horyzoncie, które okazywały się lodowcami. Trenck i porucznik Schell przeszli obok ze swymi rapierami, w perukach. Nie mogli mi przecież powiedzieć, że nie jestem oczywistym szarlatanem, oszustem i Judaszem. Ja nie mogłem im powiedzieć, co według mnie naprawdę mi dolega: mianowicie, że cierpię na złudzenie, być może cudowne złudzenie, a może tylko wywodzące się z lenistwa, jakobym mógł, dzięki natchnionej lewitacji, unieść się w powietrze i popędzić jak strzała ku prawdzie. Prosto ku prawdzie. Bo byłem zbyt wyniosły na to, żeby zawracać sobie głowę marksizmem, freudyzmem, modernizmem, awangardą czy którąkolwiek z tych rzeczy, do których Humboldt, jako Żyd od kultury, przywiązywał takie znaczenie.

– Idę do niego do szpitala – powiedziałem Demmie.

– Nie pójdziesz. Nic gorszego nie mógłbyś zrobić.

– Ale popatrz, w jakim on jest stanie. Muszę tam pójść, Demmie.

– Nie pozwolę na to. On się na ciebie rzuci. Nie chcę, żebyś się bił, Charlie. Uderzy cię, a jest dwa razy wyższy od ciebie i szalony, i silny. A poza tym nie życzę sobie, żeby ci przeszkadzano, kiedy pracujesz nad sztuką. Posłuchaj – zniżyła głos – ja się tym zajmę. Pójdę tam sama. A tobie zabraniam.

W końcu nigdy do niego nie dotarła. Dziesiątki osób brały w tym teraz udział. Dramat w Bellevue ścigał tłumy z Greenwich Village i Morningside Heights. Porównywałem ich z tymi mieszkańcami Waszyngtonu, którzy jechali powozami przyglądać się bitwie nad Buli Run, a potem przeszkadzali maszerującym wojskom Unii. Ponieważ nie łączyło już nas braterstwo krwi, brodaty i jękający się Orlando Huggins został głównym przyjacielem Humboldta. Huggins postarał się, żeby go zwolniono. Wtedy Humboldt pojechał do szpitala Mount Sinai i zgłosił się jako pacjent. Działając z mojego polecenia, adwokat Simkin zapłacił z góry za tydzień kuracji. Ale już następnego dnia Humboldt wypisał się ze szpitala i odebrał całą nie wykorzystaną sumę, czyli około ośmiuset dolarów. Z tego pokrył ostatni rachunek Scaccii. Następnie wszczął kroki prawne przeciwko Kathleen, przeciw Magnascowi, przeciw Departamentowi Policji i przeciw Bellevue. W dalszym ciągu groził i mnie, ale nie złożył skargi. Czekał, żeby się przekonać, czy *Von Trenck* przyniesie jakiś dochód.

Jeśli idzie o mój stosunek do pieniędzy, nie wyszedłem jeszcze wtedy poza poziom elementarza. Nie wiedziałem, że istnieje mnóstwo ludzi, ludzi wytrwałych, pomysłowych, żarliwych, dla których jest zupełnie oczywiste, że to oni powinni mieć całe wasze pieniądze. Humboldt był przekonany, że na świecie istnieje fortuna – nie jego fortuna – do której on ma niezaprzeczone prawo i którą na pewno zdobędzie. Powiedział mi kiedyś, że jego przeznaczeniem jest wygrać wielki proces, proces o milion dolarów.

– Z milionem dolarów – dodał – będę miał dość swobody, żeby nie myśleć o niczym poza poezją.

– Jak do tego dojdzie?

– Ktoś mnie skrzywdzi.

– I ta krzywda będzie warta milion dolarów?

– Jeżeli mam obsesję pieniędzy, a poeta nie powinien jej mieć, to nie dzieje się tak bez powodu – powiedział mi Humboldt. – Dzieje się tak dlatego, że ostatecznie jesteście Amerykanami. Jaki byłby ze mnie Amerykanin, gdybym był naiwny w sprawach finansowych? Pytam cię! Trzeba łączyć różne rzeczy, tak jak łączył je Wallace Stevens. Kto to twierdzi, że „Pieniądz jest źródłem wszelkiego zła”? Czy nie Sprzedawca odpustów? Otóż Sprzedawca odpustów jest najniegodziwszym człowiekiem u Chaucera. Nie, ja się przyłączam do Horacego Walpole’a. Walpole powiedział, że jest rzeczą naturalną, by wolni ludzie myśleli o pieniądzu. Dlaczego? Bo pieniądz jest wolnością. Dlatego.

W tamtych czarownych dniach mieliśmy takie cudowne rozmowy, tylko trochę skażone cyklofrenią i paranoją. Ale teraz światło ściemniało, a ciemność stawała się coraz ciemniejsza.

Wciąż na leżąco, mocno trzymając się swojej wyściełanej sofy, oglądałem korowód tych jaskrawo barwnych tygodni. Humboldt hałaśliwie pikietował *Von Trencka*, ale sztuka odniosła ogromny sukces. Żeby być bliżej Belasco i swojej sławy, wynająłem apartament w St. Regis. Windy w stylu art nouveau miały złoczone drzwi. Demmie wykładała Wergilego. Kathleen grała w dwadzieścia jeden w Newadzie. Humboldt wrócił na swoje stanowisko dowodzenia w tawernie Pod Białym Koniem. Tam prowadził do późnej nocy ćwiczenia literackie, artystyczne, erotyczne i filozoficzne. Ukuł nowe powiedzonko, które mi powtórzono: „Nigdy jeszcze nie dotknąłem figowego listka, który by się nie obrócił w etykietkę z ceną”. To mnie natchnęło otuchą. Ciągle jeszcze umiał wymyślić dobry dowcip. Wyglądało na to, że może znów będzie normalny.

Ale nie. Humboldt codziennie golił się byle jak, pił kawę, brał proszki, przeglądał notatki i jechał do śródmieścia do swoich adwokatów. Miał mnóstwo adwokatów – kolekcjonował adwokatów i psychoanalityków. Celem jego wizyt u tych ostatnich nie było bynajmniej leczenie. Chciał mówić, wyrażać swoje myśli. Atmosfera teorii w ich gabinetach bardzo go ożywiała. Co się tyczy adwokatów, wszystkim im kazał przygotowywać różne dokumenty i omawiał z nimi plany kampanii. Adwokaci nieczęsto widują pisarzy. Skąd adwokat może wiedzieć, co się dzieje? Sławny poeta telefonuje, żeby się umówić. Skierował go taki a taki. W całej kancelarii panuje podniecenie, maszynistki poprawiają makijaż. Wreszcie przybywa poeta, otyły i chory, ale jeszcze przystojny, blade, zbolaty, straszliwie podniecony, trochę jakby nieśmiały i wykonujący dziwacznie małe jak na tak potężnego mężczyznę geściki czy podrygi. Nawet kiedy siedzi, drżą mu łydki, całe ciało wibruje. W pierwszej chwili jego głos zdaje się głosem z innego świata. Próbuje się uśmiechnąć, ale tylko się krzywi. Nierówne, małe, pożółkłe zęby zagryzają drżącą wargę. Chociaż tak mocno zbudowany, właściwie potężny bokser, jest też delikatną rośliną, Arielem i tak dalej. Nie potrafi złożyć dłoni w pięść. Nie zna słowa napastliwy. I rozpoczyna swoją opowieść – można by pomyśleć, że to ojciec Hamleta: oszustwo, podstęp, niedotrzymanie obietnicy. Z początku nie chce nazwać po imieniu swoich fałszywych przyjaciół i niedoszłych morderców. Są to jedynie X i Y. Potem mówi o „Tej Osobie”. „Ufałem Tej Osobie”, powiada. W swej naiwności zawierał umowy, wymieniał obietnice z X, owym wcieleniem Klaudiusza. Na wszystko mówił Tak. Podpisał, nie czytając, jakiś dokument, chodziło o wspólną dzierżawę domu w New Jersey. Rozczarował się także do kogoś, z kim łączyło go braterstwo krwi, a kto okazał się kapusiem. Shakespeare miał rację. Nie sposób z oblicza dociec usposobień duszy: był to dżentelmen, w którym pokładałem całkowite zaufanie. Jednakże teraz, ochłonawszy z szoku, gromadzi dowody przeciwko rzeczonemu dżentelmenowi. Gromadzenie dowodów do spraw jest jedną z naczelnych trosk rodzaju ludzkiego. Jest absolutnie w prawie, jeżeli idzie o Citrine’a – Citrine zagrabił jego pieniądze. Ale żąda tylko zwrotu, to wszystko. I z trudem hamuje albo wydaje się, że hamuje, rosnącą wściekłość. Ten Citrine to przystojny facet, zwodniczo przystojny. Ale Jakub Boehme mylił się, zewnętrznosc nie jest widzialnym wnętrzem. Humboldt twierdzi, że walczy o dobre obyczaje. Jego ojciec nie miał przyjaciół, on nie ma przyjaciół – tyle co do materiału ludzkiego. Wierność jest dobra dla gramofonów. Bądźmy jednak powściągliwi. Nie wszyscy przekształcają się w zatrute szczury gryzące jeden drugiego. „Nie chcę zrobić krzywdy temu skurwysynowi. Chcę tylko sprawiedliwości”. Sprawiedliwości! Chciał, żeby mu przyniesiono wyprute flaki tego człowieka w torbie na zakupy.

Tak, spędzał dużo czasu u adwokatów i lekarzy. Adwokaci i lekarze potrafią najlepiej docenić dramat krzywdy i dramat choroby. Teraz nie chciał być poetą. Symbolizm, jego szkoła, zużył się. Nie, teraz był artystą sceny, był autentyczny. Powrót do bezpośredniego doświadczenia. Wyjście na szeroki świat. Koniec ze sztuką jako namiastką prawdziwego życia. Sprawy sądowe i psychoanaliza były czymś autentycznym.

Natomiast adwokaci i psychiatrzy zachwycali się nim nie dlatego, że reprezentował prawdziwy świat, ale ponieważ był poetą. Nie płacił – wyrzucał rachunki. Ale ci ludzie, których zaciekawiła genialność (a z Freuda i z filmów jak *Moulin Rouge* czy *Księżyc i miedziak* nauczyli się ją szanować), byli spragnieni kultury. Z radością słuchali jego opowieści o nieszczęściu i prześladowaniach. A on obrzucał ludzi błotem, rozpowiadał plotki, wygłaszał mocne metafory. Cóż za połączenie! Sława, plotki, urojenia, plugastwo i poetycka inwencja.

Nawet wtedy przebiegły Humboldt wiedział, ile jest wart dla przedstawicieli wolnych zawodów w Nowym Jorku. Nie kończące się konweje choroby lub pieniactwa zwoziły klientów i pacjentów do tych śródmiejskich gabinetów, niczym szare kartofle z Long Island. Te mdłe ziemniaki zadreślały psychoanalityków nudnymi problemami charakterologicznymi.

I wtedy zjawił się Humboldt. Och, Humboldt. To nie był kartofel. To był owoc melanowca, passiflory, rzadka odmiana cytryny. Był piękny, głęboki, wymowny, pachnący, oryginalny – nawet wtedy, kiedy jego twarz wydawała się posiniaczona, oczy podbite i kiedy był na wpół żywy. I jaki miał repertuar, jak umiał zmieniać styl i tempo. Z początku był łagodny – nieśmiały. Potem stał się jak dziecko ufny, potem się zwierzał. Wie dobrze, doświadczył, co sobie mówią mężowie i żony, kiedy się kłócą, zna te sprzeczki, tak istotne dla nich i tak męczące dla wszystkich innych. Ludzie chrząkają i patrzą w sufit, jak się coś takiego zaczyna. Amerykanie! Te ich idiotyczne poglądy na miłość, te ich domowe tragedie. Jak w ogóle można ich słuchać po tej najgorszej z wojen i tej najradykałniejszej z rewolucji, po tym całym zniszczeniu i obozach śmierci, kiedy cała ziemia przesiąknięta jest krwią, a dymy krematoriów jeszcze unoszą się nad Europą? Do czego sprowadzają się osobiste kłopoty Amerykanów? Czy istotnie cierpią? Świat patrzył na ich twarze i wołał: „Proszę mi nie mówić, że ci radośni dostatni ludzie cierpią!”. A jednak ów demokratyczny dobrobyt ma swoje specyficzne trudności. Ameryka to eksperyment Pana Boga. Wyeliminowano wiele spośród dawnych cierpień ludzkości, wskutek czego nowe cierpienia wydają się tym szczególniejsze i bardziej tajemnicze. Ameryka nie lubi wartości wyjątkowych. Nienawidzi ludzi, którzy reprezentują te wyjątkowe wartości. A jednak, bez tych wyjątkowych wartości – rozumie pan, co chcę powiedzieć, mówił Humboldt. Dawna wielkość rodzaju ludzkiego została stworzona w niedostatku. Ale czego wolno nam oczekiwać od obfitości? U Wagnera olbrzym Fafner – czy może to jest smok? – śpi na magicznym pierścieniu. Więc może Ameryka śpi i śni o powszechnej sprawiedliwości i o miłości? Tak czy inaczej, nie jestem tu po to, żeby dyskutować na temat młodzieńczych amerykańskich mitów o miłości – tak przemawiał Humboldt. A jednak, mówił, chciałbym, żeby pan tego posłuchał. Potem zaczynał opowiadać swoim oryginalnym stylem. Opisywał, haftował zawile wzory. Wplatał Miliona, kiedy była mowa o rozwodach, i poglądy Johna Stuarta Mila na temat kobiet. Wtedy następowało odsłonięcie tajemnicy, wyznanie. Oskarżał, piorunował, jękał się, perorował, wykrzykiwał. Przemierzał wszechświat niczym promień świetlny. Produkował rentgenowskie zdjęcia prawdziwych faktów. Słabość, kłamstwa, zdrada, haniebne załganie, obłąkana lubieżność, przewrotność pewnych miliarderów (z wymienianiem nazwisk). Prawda! I cały ten melodramat nieczystości, wszystkie te sterczące i szkarłatne sutki, obnażone zęby, jęki, ejakulacje! Adwokaci słyszeli to tysiące razy, ale chcieli usłyszeć jeszcze raz, od człowieka genialnego. Czy stał się ich pornografem?

Ach, Humboldt był kiedyś wielki – przystojny, pogodny, pełen optymizmu, dowcipny, elektryzujący, szlachetny. Obcowanie z nim pozwalało odczuć słodycz życia. Roztrząsaliśmy najwznioślejsze sprawy – co Deotyma mówiła Sokratesowi o miłości, co rozumiał Spinoza przez *amor dei intellectualis*. Rozmowa z nim podtrzymywała na duchu, działała ożywczo. Ale często myślałem sobie, kiedy wymieniał ludzi, którzy byli niegdyś jego przyjaciółmi, że jest to tylko kwestia czasu, a puści kantem i mnie. Nie miał starych przyjaciół, jedynie byłych przyjaciół. Kiedy włączał wsteczny bieg bez uprzedzenia, mógł być groźny. Wtedy człowiek czuł się tak, jakby był w tunelu, gdy nadjeżdża ekspres. Można było przylgnąć do ściany albo położyć się na szynach i modlić.

Na to, żeby medytować i przedrzeć się przez barierę pozorów, trzeba spokoju. Nie czułem się spokojny po tym podsumowaniu Humboldta, ale pomyślałem o czymś, co on sam lubił wspominać, kiedy po skończonej kolacji był w dobrym humorze i stopy talerzy i butelek piętroszyły się między nami na stole. Niedawno zmarły filozof Morris R. Cohen, profesor nowojorskiego City College, usłyszał raz następujące pytanie od studenta w czasie wykładu metafizyki: „Panie profesorze, skąd mam wiedzieć, że istnieję?” Stary, chytry profesor odparł: „A kto mnie o to pyta?”

Użyłem tego przeciw samemu sobie. Skoro wnikałem tak głęboko w charakter i karierę Humboldta, było rzeczą co najmniej słuszną, żebym spojrział nieco głębiej także na samego siebie, żebym nie osądzał człowieka zmarłego, który nie mógł niczego zmienić, ale dotrzymywał mu kroku, jak śmiertelnik przy śmiertelniku, jeżeli rozumiecie, o co mi chodzi. Chodzi mi o to, że go kochałem. No więc dobrze, *Von Trenck* okazał się sukcesem (wzdrygałem się ze wstydu na myśl o tym), a ja byłem znakomitością. Humboldt był teraz tylko obłąkanym sankiulotą pikietującym teatr po pijanemu, z wymalowanym czerwona farbą napisem, ku radości złośliwych koleżków. Pod Białym Koniem na Hudson Street Humboldt wygrywał bez najmniejszego wysiłku. Ale nazwisko, które widniało w gazetach, które Humboldt, dławiąc się z zazdrości, czytał w stałej rubryce Leonarda Lyonsa, brzmiało Citrine. Teraz ja z kolei byłem sławny i zbijałem majątek, to ja dostawałem olbrzymią pocztę, byłem uznawany przez wpływowe osobistości i podejmowany bankietami u Sardiego, to mnie oświadczały się w restauracyjnych łóżach kobiety, które spryskiwały się piżmem, ja teraz kupowałem

kalesony z najlepszego gatunku bawełny i skórzane walizki, ja przeżywałem nieznośne podniecenie, jakie daje udowadnianie własnej słuszności (cały czas miałem słuszność). Porażało mnie wysokie napięcie rozgłosu. Było to tak, jak gdyby ktoś podniósł niebezpieczny przewód, zabijający zwykłych ludzi. Było tak, jak z tymi grzechotnikami, bezkarnie dotykany przez mieszkańców zapadłych górskich wsi, kiedy są w stanie religijnej ekstazy.

Demmie Vonghel, która pomagała mi cały czas, teraz mną kierowała, występując jako mój trener, mój impresario, moja kucharka, moja kochanka i moja prawa ręka. Miała ręce pełne roboty i była strasznie zajęta. Nie pozwalała mi odwiedzić Humboldta w Bellevue. Kłóciliśmy się o to. Potrzebowała w tym wszystkim jakiejś pomocy i uważała, że nie byłoby źle, gdybym ja też poradził się psychiatry. Powiedziała:

– Jeżeli ktoś wydaje się na zewnątrz tak opanowany, chociaż wiem, że się po prostu rozpada i umiera ze zdenerwowania, to jest niedobrze. – Posłała mnie do człowieka nazwiskiem Ellenbogen, który sam był znakomitością, brał udział w wielu dyskusjach w telewizji i pisał wyzywające z kompleksów książki o seksie.

Ellenbogen miał suchą, chudą długą twarz o głębokich zmarszczkach od uśmiechu, indiańskich kościach policzkowych i zębach jak u przeraźliwie rżącego konia na *Guernice* Picassa. Walił pacjenta mocno – po to, żeby go wyzwolić. Jego ideologicznym młotem była racjonalność rozkoszy. Był twardy, po nowojorsku twardy, ale się uśmiechał i z nowojorską emfazą mówił pacjentowi, do czego się to wszystko sprowadza. Nasz czas jest krótki i musimy wynagrodzić sobie krótkość ludzkiego dnia częstym, intensywnym zaspokajaniem popędu płciowego. Nigdy nie był rozdrażniony, nigdy się nie obrażał, nie uznawał gniewu czy napastliwości, niewoli sumienia et cetera. Wszystko to jest niedobre dla kopulacji. Brązowe statuetki par miłosnych służyły mu za podpórki do książek. Powietrze w jego gabinecie było duszne. Ciemne boazerie, wygodna głębokich skórzanych foteli. W czasie przyjęć leżał wyciągnięty, stopy bez butów oparte były na podnóżku, długa dłoń wsunięta za pasek. Czy pieśczośliwie bawił się własnym przyrodzeniem? Całkowicie rozprężony, puszczał mnóstwo gazów, które rozchodziły się i przesycały ciężkie powietrze. Jego rośliny w każdym razie dobrze się w nim rozwijały.

Wygłosił mi następujące kazanie:

– Jest pan człowiekiem trapiącym poczuciem winy, pełnym niepokoju. Skłonny do depresji. Mrówką, która pragnie być konikiem polnym. Nie może pan znieść sukcesu. Melancholia, powiedziałbym, przerywana atakami humoru. Kobiety muszą szaleć za panem. Chciałbym mieć pańskie możliwości. Aktorki. Cóż, niech pan da kobietom szansę ofiarowania panu rozkoszy, one w gruncie rzeczy tego właśnie chcą. Sam akt jest dla nich znacznie mniej ważny niż szansa okazania czułości. – Może po to, żeby wzmocnić moją wiarę w siebie, opowiedział mi o własnych wspaniałych przeżyciach. Jakaś kobieta na dalekim Południu zobaczyła go kiedyś w telewizji i przyjechała zaraz na północ, żeby się z nią przespać, a otrzymawszy to, czego chciała, oświadczyła z westchnieniem rozkoszy: – Jak zobaczyłam pana w tej skrzynce, zaraz wiedziałam, że pan będzie świetny. I jest pan świetny. – Ellenbogen nie wyrażał się życzliwie o Demmie Vonghel, kiedy usłyszał, jak się zachowuje. Wciągnął ze świstem powietrze i oznajmił: – Niedobrze, to kiepski przypadek. Biedna mała. Za wszelką cenę chce się wydać za męża. Niedojrzałość rozwoju. Ładne dziecko. I ważyła sto czterdzieści kilo, jak miała trzynaście lat. Jedna z tych zachłannych facetek. Władcza. Połknie pana.

Demmie nie miała pojęcia, że posłała mnie do wroga. Powtarzała codziennie:

– Musimy się pobrać, Charlie – i planowała uroczysty ślub kościelny. Demmie-fundamentalistka w Nowym Jorku wstąpiła do Kościoła episkopalnego. Mówiła ze mną o ślubnej sukni z welonem, o kaliach, mistrzach ceremonii, fotografiach, ozdobnych zaproszeniach, żakietach. Na drużbę i drużnę chciała Littlewoodów.

Nigdy jej nie wspominałem o prywatnym baleziku w stylu Eskimosów, jaki Littlewood proponował mi w Princeton, mówiąc: „Możemy mieć niezłą zabawę, Charlie”. Gdybym jej o tym powiedział, raczej by się zirytowała na Littlewooda, niż zgorszyła. Już zdążyła przystosować się do Nowego Jorku. Motywem przewodnim jej życia było zakrawające na cud przetrwanie dobroci. Niebezpieczna żegluga, potwory, które przyciągał jej bezgraniczny kobiecy magnetyzm – czary, uroki, modlitwy, opieka boska, jaką zapewnia siła wewnętrzna i czystość serca – oto jak widziała rzeczywistość. Piekło omiatało jej stopy swoim oddechem, kiedy mijała bramy domów, ale jakoś przechodziła bezpiecznie. Paczki z pastylkami nadal przychodziły pocztą z apteki w jej rodzinnym miasteczku. Mały goniec z Siódmej Alei coraz częściej przynosił butelki Johnny Walkera z czarną etykietką. Piła to, co najlepsze. Ostatecznie była bogatą jedynaczką. Mount Coptic należało do jej taty. Była fundamentalistyczną księżniczką, która lubiła pić. Po kilku szklaneczkach whisky z wodą sodową Demmie stawała się dostojniejsza, bardziej majestatyczna, jej oczy były wielkim kręgiem błękitu, jej miłość była silniejsza. Podśpiewywała ochryple w stylu Louisa Armstronga *You are mah man*. Potem mówiła poważnie:

– Kocham cię całym sercem. Niech lepiej żaden inny mężczyzna nie próbuje mnie dotknąć. – Pięść miała zdumiewająco dużą. Próby dotknięcia były częste. Dentysta, przygotowujący plombę, ujął jej dłoń i położył na czymś, co uważała za poręcz fotela. To nie była poręcz. To był jego pobudzony członek. Jej lekarz zakończył raz badanie obcałowując ją namiętnie, gdzie tylko mógł sięgnąć.

– Naprawdę nie mogę go potępić, że się zapomniał, Demmie. Masz tyłeczek jak biały welinowy papier z życzeń noworocznych.

– Dałam mu pięścią w kark – powiedziała.

Pewnego gorącego dnia, kiedy popsuta się klimatyzacja, jej psychiatra powiedział:

– Panno Vonghel, dlaczego nie zdejmie pani sukienki?

Milioner, który gościł ją na Long Island, przemówił nagle przez wentylator ze swojej do jej łazienki: „Chcę ciebie. Daj mi tve cia...” I dodał zdławionym, zamierającym głosem: „Daj mi! Umieram. Ocal, ocal... ocal mnie!” – A był to krzepki, silny, pogodny mężczyzna, który pilotował własny samolot.

Seksualne obsesje wypaczyły umysły ludzi, którzy składali przysięgę, którzy byli właściwie kapłanami. Czy dalibyście wiarę, że przeznaczeniem ludzkości w tym podłym stuleciu jest obłęd i zbrodnia, i katastrofa? Demmie dzięki swej niewinności, urodzie i cnocie zbierała wszędzie dokoła mnóstwo dowodów na poparcie tej tezy. Jakiś dziwny demonizm ujawniał przed nią swe oblicze. Ale nie dała się zastraszyć. Powiedziała mi, że w sprawach seksu jest nieustraszona. „A próbowali naciągać mnie na wszystko”. Wierzyłem jej.

Doktor Ellenbogen orzekł, że małżeństwo z nią to duże ryzyko. Nie ubawiły go anegdotki, które opowiadałem o Mamie Vonghel i Tacie Vonghel. Vonghelowie zrobili kiedyś wycieczkę autokarem po Ziemi Świętej, przy czym opasła Mama Vonghel wzięła ze sobą kilka słoików masła orzechowego własnej roboty, a Tata miał swoje puszki brzoskwiń ulubionego gatunku. Matka wcisnęła się jakoś do grobowca Łazarza, ale nie mogła się stamtąd wydostać. Trzeba było sprowadzić Arabów, żeby ją uwolnili. Mnie jednak zachwyciły, wbrew przestrogom Ellenboga, owe dziwactwa Demmie i jej rodziny. Kiedy leżała cierpiąca, jej głębokie oczodoły były pełne łez i konwulsyjnie ścisnęła środkowy palec lewej dłoni pozostałymi palcami. Miała nieodparty pociąg do ludzi chorych, szpitali, ostatnich stadiów raka i pogrzebów. Ale jej dobroć była głęboka i szczerą. Kupowała mi znaczki pocztowe i bilety miesięczne, piekła mi wołowinę i przyrządzała gary *paella*, wykładała bibułą szuflady kredensu, przesypywała mój szalik naftaliną. Nie знаła elementarnych działań arytmetycznych, ale umiała naprawiać skomplikowane maszyny. Wiedzioną instynktem wgłębiała się w barwne druty i lampy radioaparatu i zaraz zaczynał grać. Rzadko przestawał nadawać muzykę ludową i nabożeństwa ze wszystkich stron świata. Z domu dostawała „Miejsce na Górze”, Nabożny przewodnik do użytku rodziny i osób samotnych, z zamieszczoną w nim myślą miesiąca: „Odnowicielska siła Chrystusa”. Albo: „Przeczytaj i przemyśl: Habakuk 2,2-4”. Sam czytałem to pismo. Pieśń nad Pieśniami 8,7: „Wody mnogie nie mogły ugasić miłości, i rzeki nie zatopią jej”. Ubóstwiałem niezdarne paluchy Demmie, jej długą głowę ze złotymi włosami. Siedzieliśmy na Barrow Street, grając w remika. Chwytała i tasowała talię, pomrukując.

– Oskubię cię do skóry, ty frajerze. – Ciskała karty na stół i krzyczała: – Remik! Licz! – Kolana trzymała rozwarte.

– Demmie, to ten otwarty widok na Krainę Szczęśliwości nie pozwala mi myśleć o kartach – mówiłem.

Graliśmy także w halnę i chińczyka. Prowadziła mnie do sklepów ze staroświecką biżuterią. Uwielbiała stare broszki i pierścionki, tym bardziej że nosiły je kiedyś nieżyjące już panie, ale oczywiście najbardziej zależało jej na pierścionku zaręczynowym.

– Kup mi ten pierścionek, Charlie. Będę mogła pokazać mojej rodzinie, że wszystko jest na dobrej drodze.

– Nie spodobam im się, bez względu na to, jak wielki opal dostaniesz – powiedziałem.

– Tak, to prawda. Będą wściekli. Masz mnóstwo grzechów na sumieniu. Broadway nie zrobiłby na nich wrażenia. Pisziesz rzeczy, które nie są takie, jak trzeba. Tylko Biblia zawiera prawdę. Ale tata leci do Ameryki Południowej, żeby spędzić Boże Narodzenie w swojej misji. Tej, która dostaje od niego tyle pieniędzy. To jest w Kolumbii, w pobliżu Wenezueli. Jadę z nim i powiem mu, że się pobieramy.

– Och, Demmie, nie jedź – powiedziałem.

– Tam w tej dżungli, między dzikusami, wydasz mu się o wiele normalniejszy – oświadczyła Demmie.

– Powiedz mu, co robię, ile zarabiam. Pieniądze powinny jakoś pomóc w tym wszystkim – powiedziałem. – Ale nie chcę, żebyś wyjeżdżała. Czy twoja matka też jedzie?

– Nie, skąd. Tego bym nie zniosła. Nie, zostaje w Mount Coptic, bo urządziła zabawę dla dzieci w szpitalu. Biedne dzieci.

Te medytacje miały rzekomo działać uspokajająco. Żeby przedrzeć się wzrokiem przez pozory, trzeba było mieć absolutny spokój. A ja nie czułem się teraz zbyt spokojny. Ponury cień odrzutowca z lotniska na Midway przesunął się przez pokój, przypominając mi o śmierci Demmie Vonghel. Przed samym Bożym Narodzeniem w roku mojego sukcesu ona i Tata Vonghel zginęli w katastrofie lotniczej w Ameryce Południowej. Demmie wiozła mój album z wycinkami z Broadwayu. Może właśnie zaczęła mu go pokazywać, kiedy zdarzyła się katastrofa. Nikt nigdy nie ustalił z całą pewnością, gdzie to było – gdzieś w pobliżu rzeki Orinoko. Przez kilka miesięcy poszukiwałem jej w dżungli.

Właśnie wtedy Humboldt zrealizował czek braterstwa krwi, który mu dałem. Sześć tysięcy siedemset sześćdziesiąt trzy dolary i pięćdziesiąt osiem centów było fantastyczną sumą. Ale nie pieniądze wydawały się najważniejsze. Uważałem, że Humboldt powinien uszanować mój ból. Myślałem sobie: Że też wybrał taką chwilę na ten krok! Jak mógł to zrobić! Do diabła z pieniędzmi. Ale przecież czyta gazety. Wie, że odeszła!

* * *

Teraz leżałem zboląły. Znowu! Nie tego pragnąłem, kładąc się na sofie. I byłem właściwie wdzięczny, że metaliczny odgłos stukania do drzwi kazał mi się podnieść. Przy kołatce stał Cantabile, który wdarł się do mojego sanktuarium. Zły byłem na starego Rolanda Stilesa. Płaciłem mu, żeby nie dopuszczał do mnie intruzów i natrętów, kiedy medytuję, ale dziś opuścił swój posterunek w recepcji. Przed samym Bożym Narodzeniem lokatorom potrzebna była pomoc przy choinkach i tak dalej. Przypuszczam, że był rozrywany.

Cantabile przyprowadził ze sobą jakąś młodą kobietę.

– Twoja żona, jak się domyślam?

– Nie domyślaj się. To nie moja żona. To Polly Palomino. Znajoma. Przyjaciółka rodziny. Dzieliła pokój z Lucy w Żeńskim College’u w Greensboro. Przed Radcliffe.

Białoskóra, nie nosząca stanika Polly ukazała się w pełnym świetle i zaczęła spacerować po moim salonie. Czerwień jej włosów była naturalna. Bez pończoch (w grudniu, w Chicago), bardzo skąpo odziana, nosiła koturny niesłychanej grubości. Mężczyźni mojego pokolenia nigdy nie zdołali się przyzwyczaić do siły, długości i piękna kobiecych nóg, dawniej całkowicie okrytych.

Cantabile i Polly oglądali moje mieszkanie. On dotykał mebli, ona schyliła się i pomacała dywan, odwinęła nawet jeden róg, żeby przeczytać etykietkę. Tak, oryginalny Kirman. Dokładnie przyjrzała się obrazom. Potem Cantabile usiadł na obitej jedwabistym pluszem i zaopatrzonej w wałki kanapie, mówiąc:

– Luksus jak w burdelu.

– Nie rozsiadaj się za wygodnie. Muszę iść do sądu.

Cantabile powiedział do Polly:

– Była żona Charliego ciągle się z nim procesuje.

– O co?

– O wszystko. Dałeś jej już mnóstwo, Charlie?

– Mnóstwo.

– Jest nieśmiały. Wstyd mu powiedzieć ile – wyjaśnił Cantabile.

Zwróciłem się do Polly:

– Najwidoczniej opowiedziałem Rinaldowi całą historię mojego życia.

– Polly wie. Mówiłem jej o wczorajszym dniu. Najwięcej gadałeś po kartach. – Odwrócił się do Polly. – Charlie był za bardzo podcięty, żeby prowadzić swój 280-SL, więc zawiozłem go do domu, a Emil przyprowadził thunderbirda. Opowiedziałeś mi mnóstwo, Charlie. Skąd bierzesz te wymyślne wykałaczkę z gęsich piór? Są rozsypane po całym mieszkaniu. Wygląda na to, że masz obsesję na temat resztek w zębach.

– Przysyłają mi z Londynu.

– Jak kaszmirowe skarpetki i toaletowe mydła od Florisa?

Tak, musiałem być bardzo rozmowny. Udzieliłem Cantabilemu mnóstwa informacji, a on prócz tego dokładnie się o mnie rozpytywał, najwidoczniej chcąc nawiązać ze mną bliższy kontakt.

– Dlaczego pozwalasz swojej byłej wypruć z siebie flaki? I do tego masz kiepskiego adwokata. Straszny waśniak. Forrest Tomchek. Widzisz, popytałem tu i ówdzie. Tomchek jest na samej górze w świecie rozwodów. To twój koleś Szathmar posłał cię do tego buca, może nie? No, a kto jest adwokatem twojej żony?

– Niejaki Maxie Pinsker.

– Ojoj! Pinsker, ten ludożerczy gudłaj! Wybrała, jak mogła najgorzej dla ciebie. On ci posieka wątrobę, z dodatkiem jajka i cebulki. Nie chcesz pilnować swoich interesów. Pozwalasz, żeby ci ludzie włązili na głowę. Pierwsi do tego są twoi kumple. Wiem coś niecoś o twoim przyjacielu Szathmarze. Ciebie nikt nie zaprasza na kolację, zapraszają jego i on odstawia swój numer z obszczekiwaniem Charliego. Udziela poufnych informacji o tobie facetom od kronik towarzyskich. Bez przerwy wchodzi w dupę Schneidermanowi, a ona jest tak nisko nad ziemią, że trzeba stać w lisiej norze, żeby do niej sięgnąć. Dostanie w łapę od Tomcheka. Tomchek sprzedaje cię temu kanibalowi Pinskerowi. Pinsker rzuci cię na pożarcie sędziemu. Sędzia da twojej żonie... jak jej na imię?

– Denise – powiedziałem, jak zwykle chętny do pomocy.

– Da Denise twoją skórę, a ona powiesi ją w jaskini. No i co, Polly, czy Charles wygląda tak, jak Charles powinien wyglądać?

Naturalnie Cantabile nie potrafił ukryć swojej dumy. Poprzedniego wieczoru musiał, rzecz jasna, powiedzieć komuś o tym, czego dokonał. Podobnie jak Humboldt po swoim triumfie nad Longstaffem poleciał prosto do Greenwich Village, żeby wleźć na Ginnie, tak i Cantabile popędził swoim thunderbirdem, żeby spędzić noc z Polly i świętować swoje zwycięstwo, a moje poniżenie. Nasunęło mi to refleksję o olbrzymiej sile, jaką w demokratycznych Stanach Zjednoczonych posiada pragnienie, żeby być kimś interesującym. Dlatego Amerykanin nie potrafi dochować tajemnicy. W czasie drugiej wojny światowej doprowadziliśmy Anglików do rozpaczy, bo nie umieliśmy trzymać języka za zębami. Na szczęście Niemcy nie chcieli wierzyć, że jesteśmy tak gadatliwi. Wyobrażali sobie, że rozmyślnie puszczamy fałszywe wiadomości. A wszystko po to, żeby udowodnić, że nie jesteśmy tacy nudni, na jakich wyglądamy, i że umiemy opowiadać z wdziękiem i znajomością rzeczy. Wobec tego powiedziałem sobie: doskonale, chwal się, ty skurwysynu z wąsami z nerek. Możesz się pysznić tym, co zrobiłeś mnie i mojemu 280-SL. Już ja cię złapię. Jednocześnie byłem zadowolony, że Renata zabiera mnie i zmusza do ponownego wyjazdu za granicę. Renata miała dobry pomysł. Bo Cantabile najwyraźniej układał jakieś plany na naszą przyszłość. Nie byłem wcale pewny, że potrafię się obronić przed tym szczególnym atakiem.

Polly zastanawiała się, jak odpowiedzieć na pytanie Cantabilego, a on sam, blady i przystojny, przyglądał mi się bez mała z sympatią. Wciąż jeszcze w zapiętym na guziki reglanie i brązowym kapeluszu, trzymając piękne buty na moim stoliku z chińskiej laki, jeżył się ciemną szczeciną wąsów i wyglądał na znużonego i ukontentowanego. Nie był teraz tak świeży, cuchnął, ale humor miał doskonały.

– Uważam, że pan Citrine jest jeszcze bardzo przystojnym mężczyzną – powiedziała Polly.

– Dziękuję ci, kochanie.

– Musiał kiedyś być. Szczupły, ale mocny, z wielkimi orientalnymi oczami i prawdopodobnie grubym kutasem. Teraz to zwiędła piękność – powiedział Cantabile. – Wiem, że to go zabija. Traci tę czystą linię szczęki. Zwróć uwagę na obwisłe policzki i zmarszczki na szyi. Nozdrza robią się duże, jakby zgłodniałe, i rosną w nich siwe włoski. To samo jest u psów gończych i koni, też siwieją na pysku. Och, jest wyjątkowo zdrowy. Rzadkie zwierzę. Jak ostatni z pomarańczowych flamingów. Powinien być pod ochroną jako własność całego narodu. A łasy na baby ten mały skurwysyn! Spał ze wszystkim, co żyje na ziemi. I do tego strasznie próżny. On i jego kumpel George uprawiają biegi i trenują jak para młodocianych sportowców z college[^]. Stają na głowie, biorą witaminę E i grają w squasha. Chociaż słyszałem, Charlie, że na kortach okropnie partaczysz.

– Trochę za późno na olimpiadę.

– Ma siedzące zajęcie i potrzebny mu ruch – powiedziała Polly. Miała lekko garbaty nos i świeże, połyskujące rude włosy. Zaczynałem ją lubić – bezinteresownie, za jej ludzkie cechy.

– Główny powód tej całej walki o kondycję, to że jest z młodą babką, a młode babki, jeżeli nie mają wyjątkowego poczucia humoru, nie lubią być macane przez brzuchaczy.

Wy tłumaczyłem Polly:

– Ćwiczę, bo dokuczają mi bóle artretyczne w karku. A raczej dokuczały. Z upływem lat moja głowa stawała się coraz cięższa, a kark coraz słabszy.

Napięcie było umiejscowione głównie na samej górze. W bocianim gnieździe, z którego nowoczesny, autonomiczny człowiek rozgląda się bacznie dokoła. Ale naturalnie Cantabile miał słuszność. Byłem próżny i nie osiągnąłem jeszcze wieku rezygnacji. Cokolwiek to znaczy. Chociaż nie była to tylko próżność. Brak ruchu powodował, że czułem się chory. Miałem nadzieję, że w miarę starzenia się zmniejszy się zapas energii stojący do dyspozycji moich nerwów. Tołstoj sądził, że ludzie popadają w tarapaty, ponieważ jedzą befsztyki, piją wódkę i kawę i palą cygara. Przeciężeni kaloriami i używkami, nie wykonując pożytecznej pracy, popadają w zmysłowość i inne grzechy. W tym miejscu zawsze sobie przypominałem, że Hitler był wegetarianinem, więc niekoniecznie całą winę należało zwałać na mięso. Raczej winna była siła płynąca z serca, nikczemność duszy, może nawet karma – płacenie za zło minionego życia w tym życiu. Według Steinera, którego teraz czytałem, duch czerpie naukę z oporu – ciało materialne opiera mu się i przeciwstawia. W tej walce ciało się zużywa. Aleja nie otrzymałem godziwej zapłaty w zamian za moje zużycie. Widząc mnie z moimi małymi córeczkami, niemądry ludzie pytali, czy to moje wnuczki. Ja! Czy to możliwe! I widziałem, że zaczynam nabierać wyglądu owych nieumiejętnie wypchanych trofeów czy okazów muzealnych, jakie zawsze kojarzyły mi się ze starością, i ogarniało mnie przerażenie. Patrząc na fotografie, orientowałem się, że nie jestem już taki, jak kiedyś. Powinienem być umieć powiedzieć: „Tak, może wydaje się, że wyciągnę zaraz kopyta, ale popatrzcie na mój bilans duchowy”. Ale jak dotąd nie umiałem się zdobyć na powiedzenie choćby tego. Wyglądam lepiej od trupa, to jasne, ale czasem niewiele lepiej.

Powiedziałem:

– No cóż, dziękuję za odwiedziny, pani Palomino. Ale musicie mi państwo wybaczyć, czekają na mnie, a jeszcze się nie goliłem i nie jadłem lunchu.

– Jak się golisz, elektryczność czy stal?

– Remingtonem.

– Jedyna maszynka elektryczna to Abercrombie i Fitch. Ja też się chyba ogolę. A co jest na lunch?

– Ja piję jogurt. Ale nie mogę cię poczęstować.

– Myśmy już jedli. Sam jogurt? Czy coś do niego dodajesz? Na przykład jajko na twardo? Polly ugotuje ci jajko. Polly, idź do kuchni i ugotuj Charliemu jajko. Mówiłeś, że jedziesz do miasta?

– Muszę jechać.

– Nie denerwuj się tak tym mercedesem. Kupię ci trzy takie 280-SL. Za wielki z ciebie człowiek, żeby się na mnie obrażać za zwykły samochód. Teraz wszystko będzie inaczej. Posłuchaj, dlaczego nie mielibyśmy się spotkać po rozprawie i wypić po kieliszku? Będzie ci to potrzebne. Poza tym powinieneś mówić trochę więcej. Za dużo słuchasz. Tb ci nie służy.

Rozłożył się na sofie jeszcze bardziej ostentacyjnie, objąwszy ramionami jej okrągłe oparcie, jak gdyby pokazując, że nie jest kimś, kogo można wyprosić. Pragnął też wyrazić swoje poczucie rozkosznej zażyłości z ładną i w pełni zadowoloną Polly. Miałem co do tego pewne wątpliwości.

– Takie życie jest dla ciebie bardzo niewskazane – powiedział. – Widziałem facetów, którzy siedzieli jakiś czas w pojedynczej celi i znam te objawy. Dlaczego mieszkasz na Południu, gdzie masz slumsy dookoła? Dlatego, że masz jajogłowych przyjaciół na Midway? Mówiłeś o tym profesorze Richardzie Jak Mu Tam.

– Durnwald.

– Właśnie. Ale opowiadałeś też, że jakiś łobuz gonił cię środkiem jezdni. Powinieneś coś wynająć na Północy, w dobrze strzeżonym budynku z podziemnym garażem. A może jesteś tutaj z powodu żon tych profesorów? Panie z Hyde Parku łatwo się kładą. – Potem dodał: – Masz przynajmniej rewolwer?

– Nie, nie mam.

– Jezus Maria, to jeszcze jeden przykład tego, o czym mówię. Wy wszyscy macie taki naiwny stosunek do rzeczywistości. Przecież sytuacja przypomina Fort Dearbom, nie rozumiesz tego? I tylko czerwonoskórzy mają

strzelby i tomahawki. Czytałeś w zeszłym tygodniu o taksówkarzu, któremu śrutem rozwalili całą twarz? Potrwa z rok, zanim mu ją wyremontują operacjami plastycznymi. Nie myślisz o zemście, kiedy o tym słyszysz? A może rzeczywiście już tak sflaczałeś? Jeżeli tak, to naprawdę nie wiem, do czego ci się może przydać twój seks. Nie mów mi, że nie poczułbyś dreszczyku, jakbyś rąbnął tego czarnucha, który cię gonił – ot tak, odwróciłbyś się i strzelił mu w ten pieprzony łeb. Jak ci dam rewolwer, będziesz go nosił? Nie? Wy, liberalne jezusiki, jesteście wredni. Pojedziesz dziś do miasta i znowu będzie to samo z tym Forrestem Tomchekiem i tym kanibalem Pinskerem. Zjedzą cię na surowo. Ale ty powiesz sobie, że oni to chamy, a ty masz klasę. Chcesz rewolwer? – Wsunął szybko rękę pod reglan. – Tu jest rewolwer.

Miałem słabość do takich typów jak Cantabile. Nie przypadkiem baron von Trenck z mojego szlagieru na Broadwayu, tego źródła pieniędzy za prawa filmowe – i tego śladu krwi, który przyciągał wszystkie rekiny Chicago, czekające na mnie teraz w śródmieściu – też był taki ekspansywny, wylewny, impulsywny, niszczycielski i przewrotny. Ten typ, impulsywnie przewrotny, zdobywał teraz powodzenie u klasy średniej. Rinaldo besztął mnie za moją dekadencję. Nadwątlone instynkty. Nie zamierzałem się bronić. Jego poglądy miały prawdopodobnie źródło u Sorela (akty podniosłej przemocy dokonywane przez zaangażowanych ideologów po to, by wstrząsnąć burżuazją i odrodzić jej zamierającą energię). Chociaż nie wiedział, kim był Sorel, takie teorie istotnie krążą wśród ludzi i znajdują się tacy, którzy są ich przykładem – porywacze samolotów, kidnaperzy, terroryści polityczni mordujący zakładników lub strzelający do tłumu, Arafatowie, o których czyta się w gazetach i których ogląda się w telewizji. Cantabile manifestował owe tendencje w Chicago, namiętnie wynosząc pod niebiosa pewną ludzką zasadę – nie wiedział jaką. Na swój własny sposób ja też nie wiedziałem jaką. Czemu nie znajdowałem nigdy zadowolenia w stosunkach z kimś, kto był na tym samym poziomie intelektualnym? Natomiast pociągały mnie te hałaśliwe, zarozumiałe typy. Coś mi jednak dawały. Może było to po części zjawisko charakterystyczne dla współczesnego społeczeństwa kapitalistycznego, tak oddanego sprawie wolności osobistej dla wszystkich, gotowego okazać zrozumienie i nawet pomoc materialną śmiertelnym wrogom klasy kierowniczej, jak powiada Schumpeter, okazującego aktywne współczucie prawdziwemu czy fałszywemu cierpieniu, gotowego zaakceptować szczególnie wypaczenia i obciążenia charakterologiczne. Ludzie naprawdę myślą, że są moralnie lepsi, kiedy okazują wyrozumiałość przestępcom i psychopatom. Rozumieć! Tak bardzo lubimy rozumieć, okazywać współczucie! To właśnie był mój przypadek. A jeśli chodzi o szerokie masy, miliony ludzi urodzonych w biedzie mają teraz domy, przyrządy elektryczne i inne urządzenia i udogodnienia, i cierpliwie znoszą niepokoje społeczne – są przyuczajeni, czepiają się kurczowo swoich ziemskich dóbr. Ich serca przepełnia gniew, ale znoszą ten zamęt i nie wychodzą tłumnie na ulicę. Przyjmują wszystkie obelgi, z uporem starając się je przeczekać. Byle nie mącić wody. Najwidoczniej i ja dzieliłem ich los. Ale nie byłem w stanie zrozumieć, co dobrego mi da strzelanie z tego rewolweru. Jak gdybym mógł strzałami utorować sobie drogę wyjścia z moich dylematów – skoro głównym dylematem był mój własny charakter!

Cantabile zainwestował we mnie mnóstwo fantazji i pomysłowości i teraz zdawał się sądzić, że nie powinniśmy się nigdy rozstać. Chciał także, żebym podciągnął go wzwyż, poprowadził ku wyższym sprawom. Był już na etapie, który osiągnęli nicponie, oszuści, przemytnicy i przestępcy w osiemnastowiecznej Francji, na etapie człowieka twórczego i teoretyka. Może myślał, że jest siostrzeńcem Rameau, czy nawet Jeana Geneta. Nie uważałem tego za jakąś nadchodzącą falę przyszłości. Nie chciałem mieć w tym żadnego udziału. Tworząc von Trencka, oczywiście przyłożyłem do tego rękę. W późnym nocnym programie widywało się jeszcze dość często, jak Trenck stacza pojedynki, ucieka z więzienia, uwodzi kobiety, kłamie i przechwala się, usiłując podpalić willę swojego szwagra. O tak, zrobiłem swoje. Zapewne zdradzałem też nieustannie nowy rodzaj zainteresowania bardziej wzniosłymi sprawami, pragnienie duchowego awansu, było więc rzeczą najzupełniej słuszną, że Cantabile prosił mnie, abym mu coś o tym powiedział, a przynajmniej dał mu jakąś wskazówkę. Przyszedł tu dla mojego dobra, oświadczył. Strasznie chciał mi pomóc. „Mogę cię urządzić w jakimś dobrym miejscu” – powiedział. Zaczął mi opisywać niektóre ze swoich przedsięwzięć. Miał pieniądze tu i miał pieniądze tam. Był prezesem towarzystwa lotów czarterowych może jednego z tych, które tego lata osadziły niczym na mieliźnie tysiące ludzi w Europie. Miał także ciche, nielegalne przedsiębiorstwo zajmujące się kierowaniem na skrobanki i umieszczał ogłoszenia w pismach studenckich w całym kraju, podpisując je jako życzliwy przyjaciel. „Zatelefonuj do nas, jeśli ci się zdarzy to nieszczęście. Doradzimy i pomożemy nieodpłatnie”. To było zgodne z prawdą, powiedział Cantabile. Nie było żadnych opłat, ale lekarze odpalali pewną część swojego honorarium. Całkiem normalny interes.

Polly zdawała się zupełnie tym nie przejmować. Uważałem, że jest o wiele za dobra dla Cantabilego. No, ale w każdej parze jedna strona zyskuje przez kontrast. Widać było, że on bawi Polly, tę Polly o białej skórze, rudych włosach, pięknych nogach. Właśnie dlatego z nim była. Naprawdę ją bawił. Natomiast on zachęcał mnie do podziwiania Polly. Chętnie się także wykształceniem swojej żony – czego to ona nie osiągnęła – i popisywał się mną przed Polly. Był dumny z nas wszystkich.

– Przyjrzyj się ustom Charliego – powiedział. – Zobaczysz, że poruszają się, nawet kiedy nie mówi. To dlatego, że myśli. Myśli bez przerwy. O, pokażę ci, o co mi chodzi. – Złapał książkę, największą na stole. – Popatrz na tę kolubrynę – *Hastingsa Encyklopedia religii i etyki* – Jezus Maria, cóż to u diabła jest?! Powiedz nam, Charlie, o czymś tu czytałeś?

– Sprawdzalem coś w związku z Orygenesem z Aleksandrii. Orygenes był zdania, że Biblia nie może być zbiorem zwykłych opowieści. Czy Adam i Ewa naprawdę schowali się pod drzewem, kiedy Bóg przechadzał się w wiatyku południa? Czy aniołowie rzeczywiście wchodzili i schodzili po drabinie? Czy Szatan postawił Jezusa na szczycie wysokiej góry i kusił go? Jasne, że te opowiadania muszą mieć głębsze znaczenie. Co to znaczy, jeżeli się mówi, że Bóg się przechadzał? Czy Bóg ma nogi? W tym momencie zaczęli wkraczać myśliciele i...

– Dostyc, to wystarczy. A o czym mówi ta książka *Triumf terapeutyki*?

Z sobie tylko znanych powodów nie byłem niechętny tego rodzaju egzaminowi. Istotnie czytałem bardzo duzo. Czy wiedziałem, co czytam? Przyszłość miała pokazać. Zamknawszy oczy, recytowałem:

– Mówi, że psychoterapeuci mogą stać się nowymi przywódcami duchowymi ludzkości. Katastrofa. Goethe lękał się, że współczesny świat może się przekształcić w szpital. Każdy obywatel jest chory. Tę samą tezę wysuwa Jules Romains w *Knocku*. Czy hipochondria jest tworem lekarzy? Według autora tej książki, skoro kulturze nie udaje się zapobiec uczuciu pustki i panice, do jakich człowiek jest skłonny (tak właśnie mówi, „skłonny”), pojawiają się inne siły, usiłujące złożyć nas do kupy za pomocą terapii, kleju, sloganów albo śliny, czy też, jak mówi ten krytyk sztuki, Gumbein, nieszczęśni biedacy są regenerowani na kanapce psychoanalizy. Ten pogląd tchnie jeszcze większym pesymizmem niż to, co u Dostojewskiego mówi Wielki Inkwizytor: ludzkość jest ułonna, potrzebuje chleba, nie może znieść wolności, lecz domaga się cudu, tajemnicy i autorytetu. Naturalna skłonność do uczucia pustki i paniki jest jeszcze gorsza. Znacznie gorsza. Oznacza właściwie, że my, ludzie, jesteśmy szaleni. Ostatnią instytucją, która potrafiła panować nad takim szaleństwem (według tego poglądu), był Kościół...

Przerwał mi znowu.

– Polly, widzisz, co mam na myśli. A to co jest, *Między śmiercią i odrodzeniem*?

– Steiner? Fascynująca książka o podróży duszy poza wrota śmierci. Inna niż mit Platona...

– Hej, stop, zatrzymaj się – powiedział Cantabile i zwrócił się do Polly: – Wystarczy zadać mu pytanie, a on włącza taśmę. Nie myślisz, że to byłby niezły numer w jakimś nocnym klubie? Moglibyśmy go wpakować do programu Pana Kelly’ego.

Omijając go wzrokiem, Polly spojrzała na mnie dużymi, czerwonobrazowymi oczami i powiedziała:

– Nie pójdz na to.

– To zależy od tego lania, jakie dostanie dziś w mieście. Charlie, jak tu jechałem, przyszło mi co innego do głowy. Moglibyśmy nagrać cię na taśmę, jak czytasz niektóre swoje eseje i artykuły, i wypożyczać taśmy szkołom i uniwersytetom. Miałbym z tego niezły dochodzik. Na przykład tę historię o Bobym Kennedym w „Esquire”, którą czytałem w Leavenworth. Albo „Pamięci Hanyego Houdiniego”. Ale w żadnym wypadku „Wielkich nudziarzy dzisiejszego świata”. Tego w ogóle nie mogłem czytać.

– Nie przeskakuj samego siebie, Cantabile – powiedziałem.

Zdawałem sobie doskonale sprawę, że w świecie biznesu w Chicago było to autentyczną oznaką miłości, kiedy ktoś chciał wtajemniczyć kogoś w swoje plany zrobienia pieniędzy. Ale nie byłem w stanie przygwoździć Cantabilego w obecnym nastroju, dokonać nawigacyjnego namiaru czy odczytu jego ducha, który rozlewał się po całym mieszkaniu. Był niezmiernie podnieconym i, jak w szpitalu Goethego, bardzo chorym obywatelem. Ja sam chyba nie byłem w takiej znowu najlepszej formie. Przyszło mi na myśl, że Cantabile zaprowadził mnie wczoraj na tę ogromną wysokość nie po to, żeby mnie kusić, tylko żeby wypuścić w powietrze moje pięćdziesięci dolarowe banknoty. Czy nie czekał go teraz olbrzymi wysiłek wyobraźni – to znaczy, jak miał zamiar dalej postąpić po takim czynieniu? Tak czy inaczej, zdawał się sądzić, że wczorajsze wydarzenia połączyły nas niemal mistyczną więzią. Były na to greckie słowa – *philia*, *agape* i tak dalej (słyszałem kiedyś, jak słynny teolog Tillich wykladał ich różne znaczenia, więc teraz miałem kompletny zamęt w głowie). Chcę przez to powiedzieć, że *philia*, w tym konkretnym momencie kariery ludzkości, znajdowała wyraz w amerykańskich pomysłach reklamowych i transakcjach handlowych. Do tego, na brzegach, dodawałem własny, szczególny rodzaj haftu. Aż nazbyt drobiazgowo badałem motywy poszczególnych ludzi.

Spojrzałem na zegarek. Renata będzie tu nie wcześniej niż za czterdzieści minut. Przyjdzie pachnąca, umalowana, świeża, nawet majestatyczna w jednym ze swych dużych, miękkich kapeluszy. Nie chciałem, żeby Cantabile się z nią spotkał. A jeśli już o to chodzi, nie wydawało mi się to zbyt dobrym pomysłem, żeby ona poznała Cantabilego. Kiedy patrzyła na mężczyznę, który ją interesował, miała zwyczaj bardzo powoli odrywać od niego wzrok. Nie znaczyło to wiele. Po prostu tak ją wychowano. W sztuce czarowania wyszkoliła ją jej matka, Señora. Chociaż przypuszczam, że ktoś, kto się urodził z tak ładnymi oczyma, wypracowuje swoje własne metody. W stosowanej przez Renatę metodzie kobiecej sygnalizacji dużą rolę odgrywały nabożność i żarliwość. Ale najważniejszą sprawą było to, że Cantabile zobaczyłby starego faceta z młodym kociakiem i mógłby, jak powiadają, zbić na tym pewien kapitał.

Chcę jednak, aby to było zupełnie jasne, że przemawiam jak ktoś, kto krótko przedtem otrzymał dar, czy też doświadczył światła. Nie mam na myśli jakiegoś konkretnego „światła”. Mam na myśli rodzaj światła stawającego się, rzecz trudną do precyzyjnego określenia, zwłaszcza w takiej jak ta relacji, w której tyle przykrych, błędnych, głupich i złudnych wątków, działań i zjawisk wysuwa się na plan pierwszy. I to światło, jakkolwiek należałoby je określić, było teraz we mnie zupełnie realnym elementem, jak tchnienie samego życia. Doświadczyłem go przelotnie, ale trwało dość długo, by mogło się stać przekonywające, a także spowodować jakąś absolutnie bezrozumną radość. Co więcej, wszystkie elementy historii i groteski, jakie tkwiły we mnie, skłonność do agresji i niesprawiedliwości, owo szaleństwo, którego tak często byłem czynnym i chętnym uczestnikiem, znalazły teraz przeciwwagę. Mówię „teraz”, ale już od dawna wiedziałem, czym jest to światło. Tylko, jak się zdaje, zapomniałem, że w pierwszym dziesiątku lat swego życia znałem tę światłość i nawet wiedziałem, jak w niej oddychać. Ale ów wczesny talent czy dar, czy natchnienie, z którego zrezygnowałem na rzecz dojrzałości lub realizmu (praktyczności, samoobrony, walki o przetrwanie), teraz chyłkiem powracał. Być może płonność zwykłej samoobrony stała się wreszcie zbyt jawna, by jej można było zaprzeczyć. Samoobrona w jakim celu?

Przez jakiś czas Cantabile i Polly nie zwracali na mnie szczególnej uwagi. Tłumaczył jej, jak można by założyć jakąś małą, dogodną spółkę dla ochrony moich dochodów. Mówił o „planowaniu osiedli”, wykrzywiając twarz z jednej strony. W Hiszpanii kobiety z klasy robotniczej dźgają się w policzek trzema palcami i wykrzywiają twarz, żeby wyrazić najzjadliwszą ironię. Cantabile krzywił się w ten sam sposób. Chodzi tu o obronę majątku przed wrogiem – przed Denise i jej adwokatem, ludożercą Pinskerem, a może też przed samym sędzią Urbanowichem.

– Moi informatorzy mówią, że sędzia ma dolę od tej pani. Skąd mamy wiedzieć, czy nie bierze? Dużo dziwnych rzeczy dzieje się w tej naszej mieścinie. Czy w ogóle w Cook County dzieje się coś innego? Charlie, nie pomyślałeś nigdy, żeby się przenieść na Kajmany? Wiesz, to taka nowa Szwajcaria. Nie wkładałbym mojej forsy do banków szwajcarskich. Jak Rosjanie wyciągną od nas wszystko, czego chcą podczas tej *detente*’y, ruszą do Europy. I sam wiesz, co będzie z forszą schowaną w Szwajcarii – całą tą forszą wietnamską i forszą irańską, i forszą greckich pułkowników, i z nafty arabskiej. Nie, kup sobie mieszkanie z klimatyzacją w dużym bloku na Kajmanach. Zrób zapas dezodorantów i żyj szczęśliwie.

– A gdzie jest forsa na to wszystko? – powiedziała Polly. – On ją ma?

– Tego nie wiem. Ale jeżeli nie ma pieniędzy, to dlaczego wrywają mu paznokcie u nóg tam w sądzie? I to bez znieczulenia? Mogę ci doradzić dobrą rzecz. Kup parę kontraktów na sprzedaż terminową. Ja na tym nieźle zarobiłem.

– Zarobiłeś na papierze. Jeżeli ten typ Stronson okaże się uczciwy – powiedziała Polly.

– Co ty opowiadasz, Stronson? Multimilioner. Nie widziałas jego wielkiego domu w Kenilworth? Z dyplomem marketingu ze Szkoły Handlowej Uniwersytetu Harvarda na ścianie? Poza tym on robi interesy dla mafii, a oni nie lubią, żeby ich nabijano w butelkę. Już oni sami wystarczą, żeby go upilnować. Ale Stronson jest w stu procentach koszer. Jest członkiem Środkowoamerykańskiej Giełdy Towarowej. Z tych dwudziestu patyków, jakie mu dałem pięć miesięcy temu, zrobił dwa razy tyle. Przyniosę ci materiały jego spółki. Tak czy inaczej, Charliemu Wystarczy kiwnąć palcem, żeby zarobił furę pieniędzy. Nie zapominaj, że miał szlagier na Broadwayu i bardzo kasowy film – kiedyś. Dlaczego nie miałoby się to powtórzyć? Popatrz na te papierzyska, które tu wszędzie leżą. Te scenariusze i inne bzdury mogą być mnóstwo warte. Tu w pokoju jest prawdopodobnie kopalnia złota, o co się założysz? Na przykład wiem, że ty i twój koleś Von Humboldt Fleisher napisaliście kiedyś razem scenariusz filmowy.

– Kto ci to powiedział?

– Moja żona. Ona zbiera materiały.

Roześmiałem się całkiem głośno. Scenariusz filmowy!

– Pamiętasz go? – zapytał Cantabile.

– Owszem, pamiętam. Skąd dowiedziała się o tym twoja żona? Od Kathleen?

– Od pani Tigler w Nevadzie. Lucy jest teraz w Nevadzie, robi z nią wywiad. Jest tam już od tygodnia, mieszka na rancho dla turystów, które ma ta pani Tigler. Prowadzi je sama.

– Jak to, a gdzie jest Tigler, wyniósł się?

– Na dobre. Facet nie żyje.

– Nie żyje? Więc ona owdowiała. Biedna Kathleen. Nie ma szczęścia, biedaczka. Bardzo mi żal Kathleen.

– Ona też ma sentyment do ciebie. Lucy powiedziała jej, że cię znam, kazała cię pozdrowić. Chcesz jej coś przekazać? Rozmawiam z Lucy codziennie przez telefon.

– Jak umarł Tigler?

– Wypadek na polowaniu. Zastrzelony.

– To by się zgadzało. Zawsze lubił sporty. Był kiedyś kowbojem.

– I lepszym draniem – powiedział Cantabile.

– Niewykluczone.

– Więc znalazłeś go osobiście. Nie bardzo go żałujesz, co? Mówisz tylko biedna Kathleen. A co nam powiesz o tym scenariuszu, który napisaliście z Fleisherem?

– Och tak, proszę nam opowiedzieć – wtrąciła Polly. – O czym to było? Współpraca takich dwóch mózgów jak wasze – ho, ho!

– To bzdury. Nic niewarte. Zabawialiśmy się w Princeton w taki sposób. Zwyczajne psie figle.

– Nie masz przypadkiem drugiego egzemplarza? Prawdopodobnie jesteś ostatnim człowiekiem, który wie, co tam było w sensie handlowym – rzekł Cantabile.

– W sensie handlowym? Skończyły się czasy wielkiej hollywoodzkiej forsy. Już nie dają tych fantastycznych honorariów.

– Te sprawy możesz zostawić mnie – powiedział Cantabile. – Jeżeli będziemy mieli coś dobrego w ręku, już ja będę wiedział, jak to puścić w ruch: reżyser, gwiazda, finanse. Cały ten kram. Nie zapominaj, że jesteś znany na torze, a nazwiska Fleishera ludzie też jeszcze nie zapomnieli. Wydamy pracę Lucy i to go wskrzesi.

– Ale jaka była treść? – spytała pachnąca Polly o zakrzywionym nosku, leniwie wyciągając nogi.

– Muszę się ogolić. Chcę zjeść lunch. Muszę iść do sądu. Oczekuję znajomego z Kalifornii.

– Kto to taki? – zapytał Cantabile.

– Nazywa się Pierre Thaxter, wydajemy razem pismo pod tytułem „The Ark”. Zresztą to naprawdę nie twoja sprawa...

Ale to była jego sprawa, bo był demonem, siewcą zamętu. Do niego należało robienie hałasu, sprowadzanie mnie z prostej drogi, pokazywanie mi fałszywego kierunku i wpychanie z hukiem w grzęzawiska.

– No więc, powiedz nam coś o tym filmie – rzekł Cantabile.

– Spróbuję. Tylko po to, żeby sprawdzić, czy mam dobrą pamięć – powiedziałem. – Wszystko zaczęło się od Amundsena, badacza polarnego, i Umberta Nobile. Za czasów Mussoliniego Nobile był oficerem lotnictwa, inżynierem, dowódcą sterowca, człowiekiem odważnym. W latach dwudziestych on i Amundsen stali na czele ekspedycji, która miała przelecieć nad Biegunem Północnym, i polecili z Norwegii do Seattle. Ale rywalizowali ze sobą i wreszcie się znenawidzili. Na następną wyprawę, z poparciem Mussoliniego, Nobile poleciał sam. Tylko że jego lżejszy od powietrza statek rozbił się w Arktyce, a załoga rozproszyła się po krach. Kiedy Amundsen się o tym dowiedział, rzekł: „Mój towarzysz Nobile – którego nie cierpiał, pamiętajcie o tym – jest tam na morzu. Ocalę go”. Wynajął francuski samolot i załadował po brzegi ekwipunkiem. Pilot ostrzegał go, że samolot jest przeciążony i nie będzie mógł lecieć. Jak Sir Patrick Spens, pamiętam, że tak powiedziałem Humboldtowi.

– Jaki Spens?

To taki wiersz – rzekła Polly. – A Amundsen to ten facet, który pobił Scotta w wyścigu do Bieguna Południowego.

Zadowolony, że ma wykształconą laleczkę udzielającą mu informacji, Cantabile przyjął postawę patrycjusza, któremu różne popychadła i mole książkowe dostarczą każdej, choćby najmniej ważnej wiadomości historycznej, jakiej potrzebuje.

– Francuski pilot go ostrzegał, ale Amundsen rzekł: „Proszę mnie nie uczyć, jak się prowadzi ekspedycję ratunkową”. No i samolot wzbil się w powietrze, ale spadł do morza. Wszyscy zginęli.

– To cały film? A co się stało z tymi na lodzie?

– Ci na lodzie wysyłali sygnały radiowe, złapali je Rosjanie. Na poszukiwania wysłano lodołamacz, który nazywał się *Krasin*. Krążył wśród lodów i uratował dwóch ludzi, Włocha i Szweda. Był jeszcze trzeci rozbitek – co się z nim stało? Wyjaśnienia tamtych były mętne, Włocha podejrzewano o kanibalizm. Rosyjski lekarz na pokładzie *Krasina* przepłukał mu żołądek i pod mikroskopem rozpoznał tkankę ludzką. Zrobił się straszny skandal. Słój z zawartością żołądka tego faceta wystawiono na pokaz na Placu Czerwonym.

– A jaki, u diabła, byłby z tego film? – powiedział Cantabile. – Jak dotąd to rzeczywiście zwariowany pomysł.

– Przecież mówiłem.

– Tak, ale teraz jesteś na mnie zły, wściekasz się. Myślisz, że jestem kretyń, przynajmniej w twojej dziedzinie. Nie znam się na sztuce i nie umiem wydać żadnego sądu.

– To tylko tło – powiedziałem. – Film, tak sobie wymyśliśmy z Humboldtem, zaczyna się w jakiejś sycylijskiej wiosce. Ten ludożerca, którego Humboldt i ja nazwaliśmy signor Caldofreddo, jest teraz dobrotliwym staruszkiem i sprzedaje lody, dzieciaki go uwielbiają, ma córkę jedynaczkę, która jest piękna i dobra. Nikt tu nie pamięta wyprawy Nobilego. Ale przyjeżdża jakiś duński dziennikarz, żeby zrobić wywiad ze starym. Pisze książkę o akcji ratunkowej *Krasina*. Starzec spotyka się z nim w tajemnicy i mówi: „Niech mi pan da spokój. Od pięćdziesięciu lat jestem jaroszem. Robię lody. Jestem starym człowiekiem. Niech pan oszczędzi mi tej hańby. Niech pan znajdzie inny temat. Życie jest pełne takich historycznych sytuacji. Niepotrzebna panu moja. Boże, pozwól twemu słudze odejść w pokój”.

– Więc cała część o Amundsenie i Nobilem była osnuta wokół tego? – zapytała Polly.

– Humboldt wielbił Prestona Sturgesa. Szalenie mu się podobał *Cud w Zatoce Morgana*, a także *Wielki McGinty* z Brianem Donlevym i Akimem Tamiroffem, i wpadł na pomysł, żeby wprowadzić Mussoliniego, Hitlera, nawet papieża.

– Jak to papieża? – spytał Cantabile.

– Papież dał Nobilemu ogromny krzyż, żeby go zrzucił nad Biegunem Północnym. Wyobrażaliśmy sobie ten film jako wodewil i farsę, ale z elementami *Edypa w Kolonie*. Niepohamowani, wielcy grzesznicy nabierają na starość własności magicznych i tuż przed śmiercią jest im dana moc rzucania klątwy i błogosławienia.

– Jeżeli to ma być śmieszne, lepiej nie pchaj tu papieża – powiedział Cantabile.

– Przyparty do muru, stary Caldofreddo wpada w szal. Planuje zamach na życie dziennikarza. Podważa duży głaz na zboczu góry. Ale potem zachodzi w nim przemiana, rzuca się na ten głaz i mocuje się z nim, aż samochód tamtego przejedzie bezpiecznie. Potem Caldofreddo dmie na wiejskim ryneczku w swój róg sprzedawcy lodów, zwołuje wszystkich mieszkańców i publicznie się przed nimi spowiada. Z płaczem mówi im, że jest kanibalem...

– Co chyba rujnuje romans jego córki – zauważyła Polly.

– Wprost przeciwnie – powiedziałem. – Mieszkańcy wioski organizują publiczną rozprawę. Ukochany córki mówi: „Pomyślcie o tym, co jedli nasi przodkowie. Jako małpy, jako zwierzęta, jako ryby. Pomyślcie o tym, co jedzą zwierzęta od zarania dziejów. A my zawdzięczamy nasze istnienie właśnie im”.

– Nie, to mi nie wygląda na szlagier – powiedział Cantabile. Powiedziałem, że czas na golenie, i oboje przeszli ze mną do łazienki. – Nie – powtórzył Cantabile. – Ta chyba nie jest nic warte. Ale masz drugi egzemplarz?

Włączyłem golarkę elektryczną, lecz Cantabile mi ją odebrał. Powiedział do Polly:

– Nie siadaj. Idź zrobić to jajko dla Charliego. No prędeż, idź do kuchni. – Potem do mnie: – Ogołę się pierwszy. Nie lubię używać maszynki, jak jest nagrzana. Temperatura tego drugiego faceta denerwuje mnie. – Jeździł tam i z powrotem po twarzy bzycząca, lśniąca maszynką, odciągając skórę palcami i krzywiąc się niemiłosiernie. – Ona robi ci lunch. Ładna, nie? Co o niej myślisz, Charlie?

– Pierwszorzędną dziewczyną. I zdradza oznaki inteligencji. Poznaję po jej lewej ręce, że jest mężatką.

– Tak, ma takiego nudziarza, który robi reklamówki dla telewizji. Wielki pracuś. Nigdy w domu. Widuję się z Polly bardzo często. Codziennie rano, jak Lucy jedzie do pracy w college'u Mundeleina, Polly przychodzi i kładzie się ze mną do łóżka. Widzę, że ci się to nie podoba. Ale nie udawaj, bardzo się ożywiłeś, kiedyś ją zobaczył, i cały czas starasz się zrobić na niej piorunujące wrażenie, strasznie się popisujesz. Taki dodatkowy drobny wysiłek. Nie masz tego, jak jesteś między mężczyznami.

– Przyznaję, że lubię błyszczeć, kiedy są panie.

Uniósł podbródek, żeby się dostać maszynką do szyi. Na jego bulwiastym, bladym nosie były ciemne linie.

– Chciałbyś spróbować z Polly? – spytał.

– Ja? Czy to jest pytanie abstrakcyjne?

– Nic abstrakcyjnego, ty robisz dla mnie to i owo, ja robię dla ciebie to i owo. Wczoraj pogruchotałem ci samochód, wlokłem cię po całym mieście. Teraz jest inaczej. Wiem, że podobno masz ładną przyjaciółkę. Ale nic mnie nie obchodzi, kim ona jest i co ona umie, w porównaniu z Polly to czwarta liga. Przy Polly inne dziewczyny wyglądają na chore.

– W takim razie powinienem ci podziękować.

– To znaczy, że nie chcesz. Odmawiasz. Weź, skończyłem. – Z głośnym plaśnięciem włożył mi do ręki ciepłą, małą maszynkę. Potem odsunął się od umywalni i oparł o ścianę, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i jedną stopą uniesioną na palcach. – Lepiej mnie nie odstawiaj – powiedział.

– Dlaczego?

Jego twarz, bezbarwna i napięta, pokryła się bladym rumieńcem. Ale powiedział:

– Jest coś, co możemy zrobić we trójkę. Ty kładziesz się na plecach. Ona wchodzi na ciebie, a jednocześnie nachyla się do mnie.

– Dość już tych świństw. Przestań. Nawet nie umiem sobie tego wyobrazić.

– Nie udawaj. Nie bądź taki ponad to. – Znowu zaczął tłumaczyć. – Ja jestem w głowach łóżka, stoję. Ty się kładziesz. Polly jest na tobie okrakiem, pochylając się w moją stronę.

– Skończ z tymi obrzydliwymi propozycjami. Nie chcę brać udziału w twoich seksualnych akrobacjach.

Spojrzał na mnie wzrokiem krwawego mordercy, ale nic mnie to nie obchodziło. Mnóstwo osób czekało przed nim w kolejce do krwawego morderstwa – Denise i Pinsker, Tomchek i sąd, urząd podatkowy. – Nie jesteś purytaninem – rzucił posepnie. Ale wyczuwając mój nastrój, zmienił temat. – Twój przyjaciel George Swibel mówił w czasie gry o kopalni berylu w Afryce Wschodniej. Co to jest beryl?

– Metal potrzebny do twardych stopów w pojazdach kosmicznych. George twierdzi, że ma przyjaciół w Kenii...

– Och, ma tam swoje chody i kilka dziewczyn w dżungli. Założę się, że wszystkie go kochają. Jest taki bezpośredni, taki zdrowy i ludzki. Założę się, że mamy z niego biznesmen. Lepiej byś wyszedł na Stronsonie i transakcjach na późniejszy termin. To naprawdę bystry facet. Wiem, że w to nie uwierzysz, ale ja rzeczywiście próbuję ci pomóc. Pokrajają cię na kawałki w tym sądzie. Nie odłożyłeś gdzieś czegoś po cichu? Nie możesz przecież być taki dumny. Nie masz gdzieś jakiegoś machera?

– Nigdy o tym nie pomyślałem.

– Chcesz mi wmówić, że nie myślisz o niczym innym oprócz aniołów na drabinach i nieśmiertelnym duchu, ale widzę z tego, jak żyjesz, że to nieprawda. Po pierwsze jesteś wielki lalusz. Znam twój krawca. Po drugie jesteś stary dziwkarz...

– Czy mówiłem ci coś wtedy wieczorem o nieśmiertelnym duchu?

– Jeszcze jak! Mówiłeś, mówiłeś. Powiedziałeś, że po przejściu przez bramę śmierci – to jest cytat – dusza się rozprzestrzenia i spogląda za siebie na świat. Charlie, dziś rano coś sobie pomyślałem na twój temat. Zamknij drzwi. No dalej, zamknij. Posłuchaj, moglibyśmy udać, że porywamy jedno z twoich dzieci. Ty płacisz okup, a ja odkładam dla ciebie forszę na Kajmanach.

– Pokaż mi ten swój pistolet – powiedziałem.

Dał mi, a ja wycelowałem w niego.

– Z całą pewnością użyję go przeciw tobie, jeżeli spróbujesz coś takiego zrobić – rzekłem.

– Odlóż tę spluwę. To tylko taki pomysł. Po co się zaraz denerwować.

Wyjąłem kule, wrzuciłem je do kosza na śmieci i oddałem mu pistolet. To, że wysunął taką propozycję, było, przyznałem w duchu, moją własną winą. Ludzie apodyktyczni mogą się stać ulubieńcami ludzi rozsądnych. Cantabile zdawał się rozumieć, że jest moim apodyktycznym ulubieńcem. W pewnym sensie dostosowywał się do tego. Może lepiej być apodyktycznym ulubieńcem niż zwykłym wariatem. Ale czyja rzeczywistość byłem taki rozsądny?

– Ten pomysł z porwaniem jest trochę za efekciarski. Masz rację – powiedział. – No, a może by tak spróbować z sędzią? Ostatecznie sędzia okręgowy musi być na liście kandydatów, jeżeli chce być znowu wybrany. Sędziowie też zajmują się polityką, czas, żebyś o tym wiedział. Są takie typki w Organizacji, które ich wpisują albo skreślają z listy. Za trzydzieści albo czterdzieści patyków odpowiedni facet pójdzie do sędziego Urbanovicha.

Dmuchięciem usunąłem drobne włoski z maszynki.

– Na to też nie pójdziesz?

– Nie.

– Może druga strona już do niego dotarła. Po co być takim dżentelmenem? To coś w rodzaju paraliżu. Zupełny brak poczucia rzeczywistości. Za szkłem w Muzeum Fielda, tam twoje miejsce. Według mnie ciągle tkwisz we własnym dzieciństwie. Gdybym ci powiedział: „Zlikwiduj wszystko i jedź za granicę”, jaka byłaby twoja odpowiedź?

– Powiedziałbym, że nie wyjadę ze Stanów tylko z powodu pieniędzy.

– Słusznie. Nie jesteś jakiś tam milioner. Kochasz swój kraj.

No cóż, nie zasługujesz na to, żeby mieć te pieniądze. Może tamci faceci powinni dostać je od ciebie. Ludzie jak prezydent pozwali na świetnych lojalnych Amerykanów wprost z „The Saturday Evening Post”. Byli harcerzami, rozwozili gazety o świcie. Ale to byli oszuści. Prawdziwy Amerykanin to taki dziwaczny twór jak ty, żydowski intelektualista z Zachodniej Dzielnicy Chicago. To ty powinieneś być w Białym Domu.

– Jestem skłonny zgodzić się z tobą.

– Ubóstwiałybyś ochronę z kontrwywiadu. – Cantabile otworzył drzwi łazienki, żeby sprawdzić, co robi Polly. Nie podsłuchiwała. Zamknął je znowu i powiedział, zniżywszy głos: – Moglibyśmy zawrzeć umowę co do twojej żony. Chce wojny? Będzie ją miała. Mógłby się zdarzyć wypadek samochodowy. Mogłaby umrzeć na ulicy. Mogą ją zepchnąć pod nadjeżdżający pociąg, wciągnąć w ciemną uliczkę i zadźgać nożem. Te szalone czarnuchy wykańczają baby na lewo i na prawo, więc kto to będzie wiedział? Ona chce ciebie zamęczyć na śmierć, a jak by to było, gdyby ona umarła? Wiem, że powiesz nie i potraktujesz to jako żart: Dziki Osioł Cantabile, ten błazen.

– Lepiej niech to będzie żart.

– Przypominam ci tylko, że ostatecznie jesteśmy w Chicago.

– Dziewięćdziesiąt osiem procent koszmaru, więc uważasz, że ja powinienem zaokrąglić ten procent do stu. Po prostu zakładałam, że sobie żartujesz. Dobrze, dobrze, doceniam twoje zainteresowanie moim losem. Nie wysuwaj już żadnych propozycji. I nie rób mi okropnego prezentu na Boże Narodzenie, Cantabile. Miotasz się na wszystkie strony, bo chcesz wyglądać na człowieka dynamicznego. Dosyć tych kryminalnych ofert, rozumiesz? Jeżeli usłyszysz chociaż jedno słówko na ten temat, zawiadomię brygadę do spraw zabójstw.

– Uspokój się. Nie kiwnąłbym palcem. Myślałem tylko, że ci zwrócę uwagę na cały zakres możliwości. Warto przyjrzeć im się wszystkim po kolei. To rozjaśnia w głowie. Wiesz dobrze, że jak umrzesz, ona się cholernie ucieszy, ty mały draniu.

– Nic mi o tym nie wiadomo – stwierdziłem.

Kłamałem. Sama mi to powiedziała, słowo w słowo. Doprawdy, zasłużyłem na to, żeby prowadzić takie rozmowy. Sam to na siebie ściągnąłem. Zapuszczałem korzenie i poszukiwałem swojej drogi wśród ludzi, doznając samych rozczarowań. Na czym polegało moje rozczarowanie? Otóż miałem, czy też przypuszczałem, że mam potrzeby i doznania na miarę szekspirowską. Ale tylko sporadycznie były one tak wysokiego lotu. I oto siedziałem tu teraz, patrząc w rozmarzone oczy Cantabilego. Ach, to moje wzniosłe życie! Kiedy byłem młody, wierzyłem, że sam fakt bycia intelektualistą zapewnia mi wzniosłe życie. Pod tym względem Humboldt i ja byliśmy dokładnie tacy sami. On także szanował i wielbił uczoność, racjonalizm, talent analityczny kogoś takiego jak Richard Durnwald. Dla Durnwalda jedynym życiem odważnym, namiętym, godnym mężczyzny było życie myśli. Kiedyś się z tym zgadzałem, ale teraz już nie myślałem w taki sposób. Postanowiłem kiedyś słuchać głosu własnego rozumu, głosu przemawiającego z wewnątrz, z głębi mnie samego, a ten głos mówił, że oto jest tu moje ciało, w przyrodzie, i że jestem tu także ja sam. Byłem związany z przyrodą poprzez moje ciało, ale nie wszystko ze mnie było w niej zawarte.

I ponieważ tak właśnie myślałem, znalazłem się teraz pod okiem Cantabilego. Patrzył na mnie badawczo. Robił też wrażenie czulego, zaniepokojonego, grożącego, karzącego, nawet zdolnego zabijać.

Powiedziałem mu:

– Przed wielu laty był taki mały chłopczyk w komiksach, zwany Ambroży Desperat. Ty tego nie pamiętasz. Otóż nie odgrywaj przede mną Ambrożego Desperata. Wypuść mnie stąd.

– Chwileczkę. Co z pracą Lucy?

– Do diabła z jej pracą.

– Za kilka dni wraca z Nevady.

Nie odpowiedziałem. Za kilka dni będę już bezpieczny za granicą – z dala od tego szaleńca, chociaż prawdopodobnie wplątany w jakieś sprawy z innymi wariatami.

– Jeszcze jedno – dodał. – Możesz się pobawić z Polly za moim pośrednictwem. Tylko. Nie próbuj na własną rękę.

– Spij spokojnie – powiedziałem.

Został w łazience. Przypuszczam, że wyjmował swoje kulki z kosza na śmieci.

Polly miała już dla mnie jogurt i jajko.

– Proszę posłuchać – powiedziała. – Niech się pan nie da wciągnąć w te historie ze sprzedażą towarów. On na tym traci ostatnią koszulę.

– Wie o tym?

– A co pan myśli? – powiedziała.

– W takim razie może dlatego wprowadza nowych inwestorów, żeby zrobić jakąś transakcję i pokryć część strat?

– Trudno mi powiedzieć. To za mądre dla mnie – oświadczyła Polly. – On jest szalenie skomplikowany. Co to za piękny medal na ścianie?

– To moje francuskie odznaczenie, oprawione w ramkę przez moją znajomą. Ona jest dekoratorką wnętrz. Właściwie ten medal to trochę bujda. Poważniejsze odznaczenia są czerwone, nie zielone. Dali mi coś, co dają hodowcom świń i ludziom od ulepszania pojemników na śmieci. Jeden Francuz powiedział mi w zeszłym roku, że ta moja zielona wstążeczka jest chyba najniższą klasą Legii Honorowej. Ściśle mówiąc, nigdy przedtem nie widział zielonej wstążeczki. Przypuszczał, że to może być Merite Agricole.

– Chyba nie było zbyt ładnie z jego strony, że panu to powiedział – rzekła Polly.

Renata zjawiła się punktualnie i trzymała silnik starego żółtego pontiaca na jałowym biegu, czekając na odjazd. Podałem rękę Polly i powiedziałem Cantabilemu:

– Do zobaczenia. – Nie przedstawiłem ich Renacie. Robili, co mogli, żeby ją obejrzeć, ale wsiadłem, zatrzasnąłem drzwiczki i powiedziałem: – Jedź!

Pojechała. Główka jej wielkiego kapelusza dotykała dachu samochodu. Był filcowy, barwy ametystu, skrojony na siedemnastowieczną modłę, jak na portretach Fransa Halsa. Długie włosy miała rozpuszczone. Wolałem, kiedy były upięte w kok i odsłaniały kształt jej karku.

– Kto są ci twoi kumple i skąd ten straszny pośpiech?

– To był Cantabile, który mi rozwalił samochód.

– On? Szkoda, że nie wiedziałam. A to jego żona?

– Nie, jego żona wyjechała z miasta.

– Przyglądałam się, jak szliście przez hol. Ona to dobry numer. A on jest przystojny.

– Palił się do poznania ciebie, próbował pożreć cię wzrokiem przez okno.

– Dlaczego to cię tak zdenerwowało?

– Właśnie przed chwilą ofiarował się, że zorganizuje mi zlikwidowanie Denise.

Renata wybuchnęła śmiechem:

– Co takiego?

– Przez specjalistę od wypadków, „mechanika”, proponował „umowę”. Każdy dziś zna ten żargon.

– Chyba cię nabierał.

– Jestem tego pewien. Chociaż z drugiej strony, mój 280-SL stoi w warsztacie.

– Swoją drogą Denise by się to należało – powiedziała Renata.

– Jest irytująco dokuczliwa, to prawda, i zawsze się śmiałem, czytając, jak stary Karamazow wybiegł na ulicę, usłyszawszy, że jego żona umarła, i krzychał: „Ta wiedźma nie żyje!” Ale Denise – ciągnął Citrine – wykładowca – jest osobowością komiczną, nie tragiczną. Poza tym, nie powinna umierać, żeby sprawić przyjemność mnie. Najważniejsze są dziewczynki, potrzebna jest im matka. Tak czy inaczej, to idiotyczne, kiedy się słyszy, jak ludzie mówią zabić, zamordować, umrzeć, śmierć; nie mają najmniejszego pojęcia, o czym mówią. Nawet jeden człowiek na dziesięć tysięcy nie wie nic o śmierci.

– Jak myślisz, co będzie dziś w sądzie?

– Och, to co zawsze. Dadzą mi kocówę, jak mówiliśmy w szkole. Ja będę reprezentował ludzką godność, a oni dalej będą się nade mną znęcali.

– Ale czy musisz odstawić ten numer z godnością? Upierasz się przy tym, a tymczasem tamci mają pyszną zabawę. Gdybyś mógł znaleźć jakiś sposób, żeby ich zmiażdżyć, byłoby tak przyjemnie... Och, tu na rogu jest moja klientka. Zbudowana jak wykidajło w tajnej szulerni, może nie! Nie musisz brać udziału w rozmowie, wystarczy, że zanudza i zadręcza mnie. Po prostu wyłącz się i medytuj. Jeżeli dziś nie wybierze materiału na obicia mebli, poderżnę jej gardło.

Olbrzymia i pachnąca, w czarno-białych jedwabiach w wielkie grochy otulających jej piersi (które mogłem sobie wyobrazić i chętnie to zrobiłem), Fannie Sunderland wsiadła do samochodu. Wycofałem się na tylne siedzenie, ostrzegając ją, że w podłodze jest dziura zasłonięta małym kawałkiem blachy. Ciężkie próbki, przewożone przez byłego męża Renaty, komiwojażera, w końcu nadwerężyły metalową karoserię jej pontiaca. – Niestety – powiedziała Renata – nasz mercedes jest w warsztacie.

Dla dyscypliny intelektualnej, którą niedawno zainicjowałem i której dobroczynne skutki już zacząłem odczuwać, warunkami wstępnymi były stateczność, równowaga i spokój. Mówiłem sobie: „Spokój, spokój”. Jak na korcie do gry w squasha, powtarzałem w myślach: „Tańcz, tańcz, tańcz!” I zawsze był jakiś skutek. Wola to ogniwo, które łączy duszę ze światem takim, jaki jest. Poprzez wolę dusza uwalnia się od rozterek i czczych marzeń. Ale kiedy Renata powiedziała mi, żebym się wyłączył i pogrążył w medytacjach, była w tym nuta złośliwości. Chciała mi wpakować szpilkę w związek z Doris, córką doktora Scheldta, antropozofa, który kiedyś udzielał mi pewnych pouczeń. Renata była nieprawdopodobnie zazdrosna o Doris. „Ta mała kurewka!”

krzyczała. „Wiem, że nie mogła się doczekać, żeby ci wskoczyć do łóżka”. Jednakże była to wina Renaty, jej własne dzieło. Wraz z matką, Sefiorą, zdecydowały, że należy mi się nauczką. Zatrzasnęły mi drzwi przed nosem. Kiedyś wieczorem przyszedłem, zaproszony do mieszkania Renaty na kolację, i zastałem drzwi zamknięte. Był u niej ktoś inny. Wpadłem w taką depresję, że przez kilka miesięcy nie mogłem być sam. Wprowadziłem się do George’a Swiebla i spałem u niego na kanapie. Zrywałem się nagle w nocy w ataku płaczu, budząc czasem George’a, który wchodził i zapalał lampę. Spod zmiętych spodni od pidżamy wystawały jego potężne nogi. Wypowiadał następujące rozważne słowa:

– Mężczyzna po pięćdziesiątce, który potrafi załamać się i płakać z powodu dziewczyny, jest kimś, kogo szanuję.

Mówiłem na to:

– Ach, do diabła! O czym ty mówisz! Co za kretyn ze mnie. To hańba tak się zachowywać!

Renata zaczęła kombinować z facetem nazwiskiem Flonzaley...

Ale za bardzo mnie poniosło. No więc siedziałem z tyłu za dwiema pachnącymi, gawędzącymi paniami. Skręciliśmy z Czterdziestą Siódmą Ulicę, linię graniczną między Kenwood bogaczy i Oakwood biedaków i przejechaliśmy obok zamkniętej na cztery spusty restauracji, która straciła licencję, bo jakiemuś gościowi zadano tam dwadzieścia ran kłutych z powodu ośmiu dolarów. To właśnie miał na myśli Cantabile, mówiąc o „szalonych czarnuchach”. Gdzie była ofiara? Pogrzebana. Kim była? Tego nikt nie umiał powiedzieć. A teraz inni, spoglądający od niechcienia, przejeżdżali tamtędy w swoich samochodach, wciąż myśląc o jakimś „ja”, o przeszłości i perspektywach tego „ja”. Jeśli nie było w tym nic prócz śmiesznego egoizmu, jakiegoś łudzenia się, że oto przechytrzymy los, jakiegoś unikania rzeczywistości grobu, to może gra nie była warta świeczki. Ale o tym należało się dopiero przekonać.

George Swiebel, ów czciciel siły witalnej, uważał za rzecz cudowną, że niemłody mężczyzna wciąż uprawia aktywne życie erotyczne, a także ożywione, niezmacone życie emocjonalne. Nie zgadzałem się z tym. Ale kiedy Renata do mnie zadzwoniła, płacząc w telefon, i oświadczyła, że ten Flonzaley nigdy nic dla niej nie znaczył i że chce mojego powrotu, jęknąłem:

– Och, dzięki Bogu, dzięki Bogu – i popędziłem prosto do niej. Był to koniec panny Doris Scheldt, za którą przepadałem. Ale przepadanie to nie wszystko. Byłem mężczyzną niepokojonym przez nimfy, człowiekiem oszalałych pragnień. I może nawet te pragnienia nie dotyczyły specjalnie nimf. Ale czymkolwiek były, kobieta w rodzaju Renaty umiała je we mnie wyzwolić. Inne panie wyraziły się o niej krytycznie. Niektóre mówiły, że jest wulgarna. Możliwe, ale była też wspaniała. i trzeba także pamiętać o owym dziwnym kącie czy odchyleniu, pod jakim promienie miłości muszą padać, by dotrzeć do serca takiego jak moje. Z partii pokera u George’a Swiebla, w czasie której tyle wypilem i stałem się tak gadatliwy, wyniosłem jedną pożyteczną refleksję: na nietypową stopę potrzebny jest nietypowy but. Jeżeli oprócz tego, że jesteś nietypowy, jesteś także wybredny – och, będziesz miał zawsze mnóstwo do roboty. A czy istnieje jeszcze jakaś typowa stopa? Chcę tu powiedzieć, że przez położenie tak ogromnego nacisku na erotyzm całe dziwactwo duszy spływa do stopy. Skutki są tak zniekształcające, ciało wyprawia tak ozdobne zawijasy, że nic już nie pasuje. Tak więc deformacja prześcignęła miłość, a miłość to siła, która nie może dać nam spokoju. Nie może, bo zawdzięczamy nasze istnienie aktom miłości dokonywanym przed naszym czasem, bo miłość jest stałym długiem duszy. Tak to się przedstawiało w moich oczach. Renata, która była trochę astrologiem, interpretowała to w taki sposób, że winę za moje kłopoty ponosi mój znak. Nigdy jeszcze nie natknęła się na bardziej rozdarte, wewnętrznie skrupowane, cierpiętnicze Bliźnięta, zupełnie niezdolne do wzięcia się w kupę.

– Nie uśmiechaj się, kiedy mówię o gwiazdach. Wiem, że dla ciebie jestem piękną idiotką, głupią kurewką. Chciałbyś, żebym była twoją wyśnioną hurysą z *Kamasutry*.

Ale nie z niej się śmiałem. Uśmiechałem się tylko dlatego, że w astrologicznej literaturze Renaty nie trafiłem jeszcze na żaden opis człowieka urodzonego pod znakiem Bliźniąt, który to opis nie byłby absolutnie ścisły. Szczególnie jedna książka zrobiła na mnie duże wrażenie; mówiła o Bliźniętach jako o psychicznym młynie uczuć, w którym dusza jest obdzierana ze skóry i rozszarpywana na strzępy. Jeżeli idzie o rolę Renaty, jako mojej hurysy z *Kamasutry*, to nadal twierdzę, że była wspaniałą kobietą, ale w sprawach seksu nie czuła się całkiem swobodnie. Zdarzało się, że była smutna i spokojna i mówiła o swoich „stanach zawiedzenia”. Mieliliśmy jechać w piątek do Europy, nasza druga podróż w tym roku. Istniały ważne osobiste przyczyny tych europejskich wycieczek. A jeśli nie mogłem ofiarować młodej kobiecie prawdziwie dojrzałego zrozumienia, to co miałem jej do zaoferowania? Ale tak się składało, że szczerze interesowałem się jej problemami, okazywałem jej pełne zrozumienie.

Mimo to zwykły realizm nakazywał mi patrzeć na tę sprawę tak, jak mogli patrzeć na nią inni – stary, udręczony rozpustnik zabiera do Europy rozwiązłą poszukiwaczkę złota, żeby jej pokazać, jak wygląda wspaniałe życie. Gdzieś w tle, aby ten klasyczny obraz był kompletny, była stara matka-intrygantka. Sefiora, która uczyła hiszpańskiej korespondencji handlowej w szkole sekretarek na State Street. Sefiora była kobietą nie pozbawioną pewnego wdzięku, należąca do osób, które prosperują na Środkowym Zachodzie, bo są nietutejsze i zbzikowane. Renata nie po niej odziedziczyła urodę. Ale z punktu widzenia biologii czy też ewolucji Renata była istotą doskonałą. Jak lampart lub koń wyścigowy była „zwierzęciem szlachetnym” (patrz Santayana, „The Sense of Beauty”). Jej tajemniczy ojciec (a nasze podróże do Europy odbywaliśmy po to, żeby ustalić jego tożsamość) musiał być jednym z tych dawnych siłaczy, którzy zginali żelazne sztaby, zębami ciągnęli lokomotywę lub utrzymywali ciężar dwudziestu ludzi na desce dźwiganej na plecach – wspaniałym okazem męzczyzny, modelem Rodina. Sefiora, jak sądzę, była w rzeczywistości Węgierką. Kiedy opowiadała rodzinne anegdotki, widziałem, że przenosi wszystko z Bałkanów do Hiszpanii. Byłem przekonany, że ją rozumiem, a przekonanie to opierałem na dziwnej podstawie; chodziło o to, że rozumiałem singerowską maszynę do szycia mojej matki. Mając dziesięć lat, rozebrałem tę maszynę i znowu ją złożyłem. Naciskało się pedał z kutego żelaza. On z kolei uruchamiał sprawnie funkcjonujące koło pasowe, igła poruszała się w dół i do góry. Podważało się gładką płytkę stalową i pod nią można było znaleźć małe, skomplikowane części, które wydzielały woń oleju maszynowego. Sefiora była dla mnie osobą złożoną ze skomplikowanych części i pachniała trochę olejem. Było to skojarzenie na ogół dla niej pochlebne. Ale niektórych elementów brakło w jej psychice. Igła szła w górę i w dół, na szpulce była nić, lecz jakoś nie pojawiały się ścięgi.

Pretensje Sefiory do zdrowia psychicznego zasadały się głównie na macierzyństwie. Miała najrozmaitsze plany co do Renaty. Te na dłuższą metę cechowała ekstrawagancja, ale bliższe były wcale praktyczne. Zainwestowała mnóstwo w wychowanie Renaty. Musiała wydać majątek na ortodontów. Dało to znakomite wyniki. Było prawdziwą satysfakcją patrzeć, jak Renata otwiera usta, a kiedy robiła mi psikusy i śmiała się olśniewająco, stawałem jak oniemiały z podziwu. Moja matka umiała tylko w jeden sposób dopomóc moim zębom w dawnych, nieuczonych czasach: owijała drzwiczki piecyka węglowego w kawałek flaneli albo wsypywała suchą gorącą kaszę do kapciucha na tytoń, żeby przyłożyć mi do policzka, kiedy bolał mnie ząb. Stąd mój szacunek dla tych pięknych zębów. Poza tym, jak na tak wysoką dziewczynę, Renata miała bardzo jasny głos. Śmiejąc się, przewietrzała jakby całą swą istotę – aż do macicy, myślałem. Włosy wiązała wysoko jedwabnymi szalami, odsłaniając linię cudownie kobiecego karku, i przechadzała się po pokoju – jak się przechadzała! Nic dziwnego, że matka nie chciała jej marnować dla mnie – z moimi obwisłymi policzkami i moim francuskim odznaczeniem. Ale skoro już Renata ma do mnie słabość, dlaczegoż by nie prowadzić wspólnego gospodarstwa? Sefiora była za tym. Renata zbliżała się do trzydziestki, była rozwiedziona i miała miłego chłopczyka imieniem Roger, którego bardzo lubiłem. Stara kobieta (całkiem jak Cantabile, kiedy już o tym mowa) namawiała mnie do kupna mieszkania w dużym bloku bliższej części North Side. Siebie wykluczała z tych ewentualnych projektów. – Potrzebny mi jest spokój. Mam swoje *affaires de coeur*. Ale – mówiła Sefiora – Roger powinien przebywać w domu, w którym jest mężczyzna.

Renata i Sefiora kolekcjonowały wiadomości prasowe o małżeństwach zawieranych między majem i grudniem. Przysyłały mi wycinki o starych mężach i wywiady z ich oblubienicami. W jednym roku straciły Steichena, Picassa i Casalsa. Ale miały jeszcze Chaplina, senatora Thurmonda i sędziego Douglasa. Z rubryki poświęconej seksowi w „News” Sefiora zbierała naukowe wypowiedzi na temat seksu dla osób starszych. I nawet George Swiebel powiedział:

– Może to byłoby dla ciebie dobre. Renata chce się ustabilizować. Dużo się objała i dużo widziała. Ma już dość. Jest gotowa.

– Cóż, na pewno nie jest jedną z tych małych *noli me* tangierynek – powiedziałem.

– Jest dobrą kucharką. Jest bardzo żywa. Ma w mieszkaniu rośliny i bibeloty, i wszędzie palą się światła, i w kuchni się gotuje, i gra gojowska muzyka. Leci na ciebie? Robi się mokra, jak położysz jej rękę na ramieniu? Trzymaj się z dala od tych suchych, intelektualnych bab. Muszę mówić z tobą o takich podstawowych rzeczach, bo inaczej będziesz się wahał. Znowu dasz się złapać jakiejś kobiecie, która twierdzi, że podziela twoje zainteresowania intelektualne albo rozumie twoje wyższe cele. Ten typ już skrócił ci życie. Następna cię zabije! Tak czy inaczej, wiem, że chcesz spróbować z Renatą.

Jeszcze jak chciałem! Trudno mi przestać ją chwalić. W tym swoim kapeluszu i futrze siedziała teraz za kierownicą pontiaka, wysunawszy do przodu nogę w usianych cekinami ażurowych rajstopach, kupionych w sklepie z rekwizytami teatralnymi. Prądy z niej emanujące oddziaływały nawet na skórki zwierząt, z których był uszyty płaszcz. Nie tylko okrywały jej ciało, lecz tkwiły tam jeszcze, czegoś próbując. Było tu pewne podobieństwo. Ja również czegoś próbowałem. Tak, pragnąłem, żeby mi się z Renatą udało. Pomagała mi

dokonać mojego czasu na ziemi. Miała swoje chwile nierozsądku, ale była też łagodna. To prawda, jako mistrzyni w sztuce cielesności jednocześnie zniechęcała i fascynowała, bo myśląc o niej jako o materiale na żonę, musiałem zadawać sobie pytanie, gdzie się tego wszystkiego nauczyła i czy zrobiła już, raz na zawsze, swój doktorat. Co więcej, nasz związek poddawał mi pomysły nacechowane próżnością i brakiem godności. Jakiś okulista powiedział mi w Klubie, że moje worki pod oczami można usunąć za pomocą zwykłego nacięcia. „To tylko przepuklina jednego z małych mięśni” – oświadczył doktor Klosterman, po czym opisał operację plastyczną i metodę cięcia i podwijania skóry. Dodał, że zostało mi mnóstwo włosów w tyle głowy, które dałoby się przeszczepić na czubek. Senator Proxmire kazał to sobie zrobić i przez pewien czas nosił turban w senacie. Domagał się ulgi w podatkach, której władze skarbowe nie zatwierdziły – ale można spróbować jeszcze raz. Rozważałem owe propozycje, ale wkrótce uświadomiłem sobie, że muszę skończyć z tymi bzdurami. Muszę skoncentrować całą uwagę na wielkich i straszliwych problemach, które mnie uśpiły na całe dziesięciolecie. Zresztą dałoby się może zrobić to i owo na froncie, ale co z tyłem? Nawet gdyby doprowadzono do porządku worki pod oczami i włosy, czy nie pozostałaby do załatwienia sprawa mojego karku? Przymierzałem niedawno u Saksa płaszcz w fantazyjną kratę i w potrójnym lustrze zobaczyłem, jak jestem sfałdowany, jak głęboko zorany między uszami.

Tak czy inaczej, kupiłem ten płaszcz, Renata mnie do tego namówiła, i miałem go dziś na sobie. Kiedy wysiadałem przed gmachem sądu, olbrzymia pani Sunderland powiedziała:

– Ojej, jaki krzykliwy płaszcz!

* * *

Poznaliśmy się z Renatą w tym samym wieżowcu, nowej siedzibie władz okręgu, przy pełnieniu funkcji sędziów przysięgłych.

Istniało jednak między nami pewne wcześniejsze, pośrednie powiązanie. Ojciec George’a Swiebla, stary Myron, znał Gaylorda Koffritza, byłego męża Renaty. Mieli kiedyś niezwykle spotkanie w rosyjskiej łaźni na Division Street. George opowiadał mi o tym.

Ten ojciec George’a był prostym, skromnym człowiekiem. Chciał tylko jednego: żyć wiecznie. George odziedziczył swoją żywotność w linii prostej. Miał ją po Myronie, u którego zresztą objawiała się ona w bardziej prymitywnej postaci. Myron twierdził, że zawdzięcza swoją długowieczność gorącu i parze, czarnemu chlebowi, surowej cebuli, whisky, śledziom, kiełbasie, kartom, bilardowi, koniom wyścigowym i kobietom.

Otóż w parówce, z jej drewnianymi ławkami, skwierczącymi głazami i wiadrami lodowatej wody, widzenie było bardzo zniekształcone. Jeżeli patrząc od tyłu, dostrzegało się drobną postać o małych pośladek, można było pomyśleć, że to dziecko, ale dzieci tutaj nie wpuszczano i od przodu odkrywało się różowego i skurczonego staruszka. Tata Swiebel, gładko ogolony i od tyłu wyglądający jak chłopczyk, natknął się w kłębach pary na brodatego mężczyznę i z powodu połyskującej brody wziął go za kogoś znacznie starszego. Ale on miał zaledwie trzydzieści kilka lat i był bardzo dobrze zbudowany. Usiedli razem na drewnianych ławkach, dwa ciała pokryte kroplami wilgoci, i tata Swiebel spytał:

– Czym się pan zajmuje?

Brodacz nie miał ochoty powiedzieć, czym się zajmuje. Tata Swiebel nakłaniał go do mówienia. Nie należało tego robić. Było to, w obłąkanym żargonie ludzi wykształconych, wbrew „etosowi” tego miejsca. Tutaj, jak w Klubie Śródmiejskim, nie mówiło się o interesach. George często powtarzał, że łaźnia parowa jest jak ostatnie miejsce schronienia w płonącej dżungli, gdzie wrogie sobie zwierzęta przestrzegają rozejmu i prawo kłów i pazurów ulega zawieszeniu. Obawiam się, że zapożyczył to od Walta Disneya, Chciał mi przez to przypomnieć, że nie należy mówić o swoim zawodzie ani proponować handlu, kiedy człowiek paruje. Wina była po stronie taty Swiebla, który to przyznawał.

– Ten włochaty nie chciał mówić. Zacząłem go naciskać. No i wtedy się dowiedziałem.

Kiedy ludzie są goli niczym troglodyci w nadadriatyckich jaskiniach z epoki kamiennej i siedzą obok siebie ociekający wodą i purpurowi, jak słońce chylące się ku zachodowi w oparach mgły, i kiedy, jak w tym przypadku, jeden z nich ma bujną, brązową, połyskliwą brodę, a spojrzenia krzyżują się poprzez strugi potu i parę, wówczas łatwo wypowiada się dziwne słowa. Okazało się, że nieznajomy jest komiwojażerem, którego specjalnością są grobowce i mauzolea. Usłyszawszy o tym, tata Swiebel chciał się wycofać. Ale było za późno. Marszcząc brwi i ukazując białe zęby i ruchliwe wargi w gęstym runie brody, mężczyzna przemówił:

– Czy zatroszczył się pan o swój ostatni spoczynek? Jest działka na grób rodzinny? Nie ma? Ale dlaczego? Czy może pan sobie pozwolić na takie zaniedbanie? Wie pan, jak pana pochowają? Zdumiewające! Czy nikt panu nie mówił o warunkach na tych nowych cmentarzach? Przecież to zwykłe slumsy. Śmierci należy się szacunek. Tam panuje straszliwy wyzysk. To jeden z najgorszych kantów w handlu nieruchomościami. Oszukują człowieka. Nie dają przepisowej liczby stóp kwadratowych. Musi pan leżeć skulony przez całą wieczność. Skandaliczny brak szacunku. Ale wie pan, co to jest polityka i wielkie szwindle. Na górze czy na dole, każdy tylko bierze. Któregoś dnia będzie wielka rozprawa przed sądem przysięgłych i wybuchnie skandal. Faceci pójdą do pudła. Ale dla nieboszczyków będzie już za późno. Nie otworzą przecież pańskiego grobu i nie pochowają pana na nowo. Więc będzie pan tak leżał w za krótkim caunie. Skulona żaba. Jak dzieciaki dla kawału zawijają się w koce na obozie letnim. Wylądował pan razem z setkami tysięcy innych zwłok w tej spłaszczonej kamienicy czynszowej umarłych, z kolanami pod brodą. Czy nie ma pan prawa leżeć wyprostowany? I na tych cmentarzach nie dają panu nawet kamienia nagrobego. Musi panu wystarczyć mosiężna tabliczka z nazwiskiem i datami. Potem przyjeżdżają maszyny kosić trawę. Używają kosiarek szeregowych. Równie dobrze mogliby pana pochować na publicznych terenach golfowych. Ostrza obłupują mosiężne litery. Bardzo prędko są zupełnie zatarte. Pana dzieci nie mogą znaleźć grobu. Zaginął pan na wieki...

– Dosyć! – powiedział Myron.

Tamten mówił dalej:

– Otóż w mauzoleum jest zupełnie inaczej. To nie kosztuje tyle, ile pan myśli. Te nowe budyneczki są prefabrykowane, ale to kopie najlepszych wzorów, od grobowców etruskich poczynając, poprzez Berniniego, aż do *art nouveau* Louisa Sullivana. Ludzie oszaleli na punkcie *art nouveau*. Gotowi płacić tysiące za lampę stojącą albo wiszącą od Tiffany’ego. W porównaniu z tym prefabrykowany grobowiec w stylu *art nouveau* jest tani. No i wtedy nie jest pan w tłumie. Jest pan na swoim. Nie chce pan przecież tkwić przez całą wieczność w czymś w rodzaju korka na autostradzie czy godziny szczytu w kolei podziemnej.

Papa Swiebel powiedział, że Koffritz sprawiał wrażenie człowieka szczerego i że tam, w kłębach pary widział tylko przed sobą pełną szacunku i zrozumienia, zatroskaną, brodatą twarz – eksperta, specjalistę, kogoś uczciwego, rozsądnego. Jednakże skojarzenia uboczne były miazdzące. Owa wizja poraziła i mnie – śmierć kipiąca pod nagim polem do gry w golfa i połyskujący mosiądz bezimiennych tabliczek. Ten Koffritz, ze swoją diabelską poezją komiwojażera, schwycił serce papy Swiebła jakby żelaznym uściskiem. Schwycił także moje. Bo w okresie, w którym opowiedziano mi o tym, odczuwałem dotkliwy lęk przed śmiercią. Nie chciałem nawet chodzić na pogrzeby. Nie mogłem znieść widoku zamykanej trumny, a myśl, że jest się zatrzaśniętym w takim pudle, przyprawiała mnie o szaleństwo. Stan ten pogorszył się jeszcze, kiedy przeczytałem w gazecie o jakichś dzieciach w Chicago, które znalazły stertę pustych trumien w pobliżu krematorium na jednym z cmentarzy. Ściągnęły je nad staw i użyły zamiast łódek. Ponieważ czytały właśnie w szkole *Ivanhoe*, potykały się jak rycerze, drągami. Jeden malec wyrzucił się razem z trumną i zaplątał w jedwabne obicie. Uratowali go. Ale w moim mózgu ziały wnętrza całego rzędu trumien wyłożonych przymarszczoną różową taftą i jasnozielonym ałtąsem, rozwartych niby szczęki krokodyla. Widziałem, jak spuszczają mnie do dołu, żebym się dusił i gnął pod ciężarem gliny i kamieni – nie, pod piaskiem; Chicago jest zbudowane na piaskach i bagnach epoki lodowcowej (późny plejstocen). Szukając ulgi, starałem się przekształcić to w poważny temat intelektualny. Sądzę, że robiłem takie rzeczy dobrze – rozmyślając o tym, że problem śmierci jest par excellence problemem burżuazji, związanym z dobrobytem materialnym i koncepcją przyjemnego i wygodnego życia, czy też o tym, co pisał Max Weber o nowoczesnej koncepcji życia jako nieskończonego szeregu odcinków, zyskowych, korzystnych i „przyjemnych”, nie dających jednak poczucia zamkniętego cyklu życiowego, tak że człowiek nie może umrzeć w „pełni lat”. Ale te uczone wysokiego lotu ćwiczenia nie uwolniły mnie od przekleństwa śmierci. Doszedłem jedynie do wniosku, że muszę mieć bardzo burżuazyjną psychikę, skoro przejawiam tak nerwowy lęk przed uduszeniem się w grobie. I byłem wściekły na Edgara Allana Poe, że tak dokładnie to opisywał. Jego opowieści o katalepsji i ludziach pogrzebanych żywcem zatrąły mi dzieciństwo i nadal mnie dręczyły. Nie mogłem nawet znieść prześcieradła na twarzy w czasie snu ani owinięcia nim nóg. Spędzałem mnóstwo czasu, kombinując, jak należy być umarłym. Może najlepszy byłby pochówek w morzu.

Tak więc owe próbki, które wywierciły dziurę w pontiaku Renaty, były modelami kiypt i grobowców. Kiedy ją poznałem, nie tylko rozmyślałem o śmierci (czy miałoby sens zrobić drewnianą przegrodę w grobie, rodzaj podłogi tuż nad trumną, która podtrzymałaby ten bezpośredni, przygniatający ciężar?), ale miałem też nowe dziwactwo. Załatwiając różne sprawy na La Salle Street, szybując pod niebo lub nurkując w dół w szybkich windach, ilekroć poczułem przyhamowanie elektrycznego pędu i drzwi miały się zaraz otworzyć, odzywało się moje serce. Samo z siebie. Wykrzykiwało: „Moje Fatum!” Oczekiwało chyba, że będzie tam stała jakaś kobieta. „Wreszcie! Ty!” Świadomy elementu wygłodnienia i upodlenia w tym „zjawisku windy”,

starałem się robić, co należy, żeby wznieść się ponownie na poziom dojrzałości. Próbowalem nawet myśleć naukowo. Ale nauka może zrobić dla człowieka tylko jedno: raz jeszcze potwierdzić, że kiedy zdarza się coś takiego, musi istnieć po temu jakaś wrodzona potrzeba. To rozsądne podejście nie prowadziło do niczego. Po co właściwie miałem zachować tu rozsądek, jeżeli, jak mi się zdawało, czekałem tysiące lat, aż Bóg pošle moją duszę na tę ziemię? Tutaj miałem znaleźć ową prawdę i jasność słowa – zanim powrócę, kiedy skończy się mój dzień człowieczy. Bałem się powrócić z pustymi rękami. Zachowywanie rozsądku nie mogło się ani trochę przyczynić do złagodzenia tego lęku, że spóźnię się na statek. Każdy to zrozumie.

Kiedy miałem zasiadać na ławie przysięgłych, z początku narzekałem, że to strata czasu. Ale potem stałem się zadowolonym i gorliwym członkiem sądu. Móc wyjść rano z domu, jak każdy inny, było wielkim szczęściem. Mając w klapie stalową plakietkę z numerem, siedziałem radośnie wraz z setkami innych wezwanych do sędziowania w nowym wieżowcu mieszczącym władze okręgu, jak obywatel wśród współobywateli. Szklane ściany, stalowe belki rdzawośliwkowej barwy były bardzo piękne – rozległe niebo, pokratkowana przestrzeń, dalekie walce zbiorników, pomarańczowe, delikatne, odległe, brudne slumsy, zieleń rzeki spięta czarnymi mostami. Wyglądając na świat z sali sędziów przysięgłych, zaczynałem mieć Pomysły. Zabierałem ze sobą książki i papiery (żeby to nie było całkowitą stratą). Po raz pierwszy przeczytałem dokładnie listy, które mój kolega Pierre Thaxter przysłał mi z Kalifornii.

Nie jestem zbyt uważnym czytelnikiem listów, a epistoły Thaxtera były długie. Układał je i dyktował w swoim pomarańczowym gaju pod Palo Alto, gdzie rozmyślał, siedząc w fotelu z płótna żaglowego. Nosił czarny płaszcz karabiniera, stopy miał bosc, pił pepsi-colę, miał ośmioro czy dziesięcioro dzieci, wszystkim był winien pieniądze i był mężem stanu w kulturze. Adorujące go kobiety traktowały go jak geniusza, wierzyły we wszystko, co im mówił, przepisywały jego rękopisy, rodziły mu dzieci, przynosiły pepsi-colę, żeby się napił. Czytając jego wielostronicowe memoriały na temat pierwszego numeru „The Ark” (od trzech lat w stadium przygotowawczym, koszty wprost zawrotne) uświadomiłem sobie, że od pewnego czasu należał na mnie, żebym dokończył zbiór szkiców o „Wielkich nudziarzach współczesnego świata”. Nieustannie sugerował ewentualne sposoby ujęcia tematu. Pewne typy były oczywiste – nudziarze polityczni, filozoficzni, ideologiczni, oświatowi, medyczni – ale byli też inni, często przeoczani, na przykład nudziarze-nowatorzy. Ja jednak straciłem zainteresowanie dla poszczególnych kategorii i obecnie obchodził mnie tylko ogólny i teoretyczny aspekt zagadnienia.

Wesoło spędzałem czas w dużej sali dla sędziów przysięgłych, przeglądając swoje notatki o nudzie. Stwierdziłem, że jak dotąd unikałem problemu definicji. Bardzo słusznie. Po co miałem się wdawać w teologiczne kwestie związane z *accidia* i *tedium vitae*. Uznałem za konieczne powiedzieć jedynie, że ludzkość od samego początku doświadcza stanów nudy, lecz nikt nigdy nie podjął tej sprawy jasno i otwarcie jako samodzielnego tematu. Współcześnie rozpatrywano to zagadnienie pod nazwą *anomie* lub alienacji, jako wynik kapitalistycznych warunków pracy, skutek niwelacji w społeczeństwie masowym, jako następstwo osłabienia wiary religijnej lub stopniowego zaniku elementów charyzmatycznych czy profetycznych lub zaniedbania sił Podświadomości, lub wzrostu Racjonalizacji w społeczeństwie technokratycznym, lub wreszcie rozwoju biurokracji. Mnie jednak wydawało się, że można by zacząć od owej wiary współczesnego świata – albo płoniesz, albo gnijesz. Wiązałem to z odkryciem starego Bineta, psychologa, że histerycy mają pięćdziesiąt razy więcej energii, wytrzymałości, wydajności, jasności władz umysłowych, sił twórczych w czasie swych napadów hysterii niż w okresach spokoju. Czy też, jak to sformułował William James, ludzie żyją naprawdę, kiedy wykorzystują całą energię. Coś w rodzaju „Wille zur Macht”. Przypuśćmy zatem, że zaczniemy od twierdzenia, że nuda jest rodzajem bólu spowodowanego przez nie wykorzystane siły, bólu zmarnowanych możliwości czy talentów, i że towarzyszy jej nadzieja optymalnego wykorzystania wszystkich zdolności. (Staram się ustrzec przed popadnięciem w styl nauk społecznych przy takich intelektualnych okazjach.) Nic, co zdarza się w rzeczywistości, nigdy nie odpowiada czystemu oczekiwaniu, i taka czystość oczekiwania jest wielkim źródłem nudy. Ludzie bogaci w talenty, w namiętność seksualną, bogaci umysłem i inwencją – wszyscy ci wysoce uzdolnieni stwierdzają nagle, że są na całe dziesiątki lat odstawiani na nudne bocznice, skazywani na banicję, zsyłani na wygnanie, zamykani w kojcach dla kur. Wyobraźnia próbowała nawet przewyciężyć te problemy przez zmuszanie samej nudy do tego, by wzbudzała zainteresowanie. Tę wnikliwą obserwację zawdzięczam Von Humboldtowi Fleisherowi, który pokazał mi, jak to robił James Joyce, ale każdy, kto czyta książki, może łatwo sam się o tym przekonać. Nowożytna literatura francuska jest szczególnie zafascynowana tematem nudy. Stendhal mówił o niej na każdej stronie, Flaubert poświęcał jej całe książki, Baudelaire był jej głównym poetą. Jaka jest przyczyna tej szczególnej francuskiej wrażliwości? Czy może ta, że *ancien regime*, lękając się nowej Frondy, stworzył dwór, który ogołocił prowincję z talentów? Poza owym centrum, w którym sztuka, filozofia, nauka, obyczaje, konwersacja bujnie rozkwitały, nie było nic. Za Ludwika XIV warstwy wyższe lubowały się w wytwornym towarzystwie i jakiegokolwiek mogły być inne powody, ludzie nie musieli być samotni. Dziwacy w rodzaju Rousseau sławili uroki samotności, ale ludzie rozsądni uznali

jednogłośnie, że jest ona właściwie czymś strasznym. Potem, w osiemnastym wieku, pobyt w więzieniu zaczął nabierać swego dzisiejszego sensu. Pomyślcie tylko, jak często Manon i Des Grieux siedzieli w więzieniu. I Mirabeau, i mój własny kumpel Von Trenck, i oczywiście markiz de Sade. Intelktualną przeszłość Europy ukształtowali ludzie przesiąknięci nudą, ukształtowały pisma więźniów. Potem, w 1789 roku, nie kto inny jak młodzi ludzie z zabitych deskami dziur, prowincjonalni adwokaci, pisarczykowie i mówcy ruszyli do ataku i znaleźli się w centrum zainteresowania. Z rewolucją polityczną we współczesnym świecie nuda ma o wiele więcej wspólnego niż sprawiedliwość.

Czy było coś nudniejszego niż te długie kolacje u Stalina, które opisuje Dzilas? Nawet mnie, zaprawionego do nudy dzięki latom spędzonym w Chicago, zahartowanego, zmitrydatyzowanego przez Stany Zjednoczone, przerażały jego opisy tych dwunastodaniowych, całonocnych bankietów. Goście pili i jedli, i znowu jedli i pili, a potem o drugiej nad ranem musieli zasiąść do oglądania jakiegoś amerykańskiego westernu. Siedzenia ich bolały. W sercach czaił się strach. Stalin, gawędząc i dowcipkując, wybierał w duchu tych, którzy mieli dostać w łeb, a oni, przeżuwając, parszkając, chlejąc, dobrze o tym wiedzieli, oczekiwali, że wkrótce zostaną rozstrzelani.

Czymże – innymi słowy – byłaby dziś nuda bez terroru? Jednym z najnudniejszych dokumentów wszech czasów jest gruby tom *Rozmów przy stole* Hitlera. On też kazał ludziom oglądać filmy, jeść ciastka, pić kawę *mit Schlagsahne*, jednocześnie zanudzając ich rozprawianiem, teoretyzowaniem, wykładaniem. Wszyscy umierali z przemęczenia i strachu, bali się iść do toalety. To połączenie wiedzy i nudy nigdy nie zostało należycie zbadane. Nuda jest narzędziem panowania nad społeczeństwem. Władza jest władzą narzucania nudy, powodowania zastoju, wiązania tego zastoju z udręką. Prawdziwa nuda, głęboka nuda, jest zaprawiona trwogą i śmiercią.

Istniały problemy jeszcze głębsze. Na przykład, historia wszechświata byłaby bardzo nudna, gdyby spróbować myśleć o niej w zwykłych kategoriach ludzkiego doświadczenia. Cały ten czas bez żadnych wydarzeń! Wszędzie gazy i tylko gazy, i gorąco, i cząsteczki materii, słoneczne przyptywy i odpływy i wiatry, i znów ta pełzająca ewolucja, odrobiny dodawane jedna do drugiej, różne chemiczne przypadki – całe wieki, w których nie dzieje się prawie nic, wymarłe morza, tylko trochę kryształów, kilka związków białka, które się rozwijają. Opieszałość ewolucji jest niezmiernie irytująca. Te nieporadne pomyłki widoczne są w muzealnych skamielinach. Jak takie kości mogły pełzać, stapać, biegać? To prawdziwa męczarnia, kiedy się pomyśli, jak poszczególne gatunki szukały po omacku drogi – o całym tym gmeraniu, pełzaniu po moczarach, chrupaniu, żerowaniu i rozmnażaniu się, o nudnej powolności, z jaką rozwijały się tkanki, narządy i członki. A potem także nuda pojawiania się wyższych typów i w końcu ludzkości, nudny żywot puszcz paleolitu, długie, długie wykluwanie się inteligencji, powolność wynalazczości, idiotyzm czasów chłopstwa.

Wszystko to jest interesujące tylko we wspomnieniu, w myśli. Nikt by tego nie zniósł w rzeczywistości. Obecnie istnieje potrzeba szybkiego ruchu naprzód, skrótowości, życia w tempie niezwykle wytężonej myśli. W miarę jak się zbliżamy, dzięki technice, do stadium momentalnej realizacji, urzeczywistnienia wiecznych ludzkich pragnień i fantazji, likwidacji czasu i przestrzeni, problem nudy może się tylko pogłębiać. Człowiek, coraz bardziej udręczony szczególnymi warunkami swego istnienia – jedno okrażenie dla każdego, nie więcej niż po jednym życiu na klienta – musi myśleć o nudzie śmierci. Ach, ta wieczność nieistnienia! Dla ludzi, którzy łakną czegoś stale interesującego, stałej różnorodności, o, jakże nudna będzie śmierć! Leżeć w grobie, w jednym miejscu, jakież to straszne!

Sokrates próbował nas ukoić, to prawda. Mówił, że są tylko dwie możliwości. Albo dusza jest nieśmiertelna, albo, po śmierci, wszystko będzie równie puste, jak było, zanim przyszliśmy na świat. To też nie jest tak absolutnie pocieszające. W każdym razie było zupełnie naturalne, że teologia i filozofia zainteresowały się tym zagadnieniem bardzo głęboko. Należy nam się od nich, żeby same nie były nudne. Z tego zobowiązania nie zawsze się wywiązują. Jednakże Kierkegaard nie był nudziarzem. Zamierzałem zbadać jego wkład w mój zasadniczy esej. Według niego, dla przywrócenia równowagi konieczny jest prymat trybu etycznego przed estetycznym. Ale dość tego. W sobie samym zdołałem zaobserwować następujące źródła nudy: 1) Brak osobistego związku ze światem zewnętrznym. Już wcześniej zanotowałem, że jadąc pociągiem przez Francję ubiegłej wiosny, wyglądałem przez okno i pomyślałem, że zasłona Mai się przeciera. A dlaczego tak było? Nie widziałem rzeczy, które tam są, lecz tylko to, co każdy widzi w wyniku pewnej wspólnej dyrektywy. To implikuje, że nasz pogląd na świat wyczerpał cały zapas natury. Zasada tego poglądu brzmi, że ja, podmiot, widzę zjawiska, świat przedmiotów. Jednakże one niekoniecznie są same w sobie przedmiotami w tym sensie, w jakim nowoczesny racjonalizm definiuje przedmioty. Ponieważ duchem, mówi Steiner, człowiek może wyjść z siebie i kazać rzeczom, żeby mówiły mu o sobie, żeby mówiły o tym, co ma znaczenie nie tylko dla niego, lecz także dla nich. Tak więc słońce, księżyc, gwiazdy przemówią do nie-astronomów, mimo ich ignorancji w dziedzinie nauki. Prawdę mówiąc, najwyższy czas, żeby to się stało. Ignorancja w dziedzinie nauki nie powinna

więzić człowieka w najniższym i najbardziej nużącym kręgu istnienia, przeszkadzać mu w nawiązaniu niezależnych stosunków ze światem jako całością. Ludzie wykształceni mówią o rozczarowanym (nudnym) świecie. Ale to nie świat, to moja własna głowa jest rozczarowana. Świat nie może być rozczarowany. 2) Dla mnie siedzibą nudy jest świadome siebie ego. Ta wzrastająca, nabrzmiewająca, władcza, bolesna świadomość samego siebie jest jedyną rywalką politycznych i społecznych sił, które rządzą moim życiem (świat biznesu, siły technokratyczno-biurokratyczne, państwo). Mamy wielki, zorganizowany strumień życia i mamy jedną jaźń, niezależną i świadomą, dumną ze swojej izolacji, swojej absolutnej nietykalności, swojej stałości i swojej zdolności niepoddawania się wpływowi czegokolwiek – cierpienie innych ludzi, społeczeństwa, polityki czy zewnętrznego chaosu. W pewnym sensie figę ją wszystko obchodzi. Prosi się ją, by ją choć trochę obchodziło, często namawiamy ją, by ją trochę obeszło, ale przekleństwo obojętności ciąży nad tą boleśnie niezawisłą świadomością. Jest wolna od przywiązania do wierzeń i innych dusz. Kosmologie, systemy etyczne? Potrafi je połykać tuzinami. Bo być w pełni świadomym samego siebie oznacza także być oddzielnym od wszystkiego innego. To jest Hamletowe królestwo nieskończonej przestrzeni w wielkim skrócie, to „słowa, słowa, słowa”, to „Dania jest więzieniem”.

Tak właśnie brzmiała część moich notatek, które naglony przez Thaxtera miałem rozwinąć. Byłem jednak za bardzo roztrzęsiony. Kilka razy w tygodniu jeździłem do miasta zobaczyć się z adwokatami i omawiać z nimi moje problemy. Dowodzili mi, jak bardzo skomplikowana i trudna jest moja sytuacja. Ich wiadomości były coraz gorsze. Wznosiłem się pod niebo windami, wypatrując ocalenia w postaci niewieściej za każdym razem, jak otwierały się drzwi. Człowiek w moim stanie powinien zamknąć się w swoim pokoju, a jeżeli nie ma dość siły charakteru, żeby pójść za radą Pascala i siedzieć na miejscu, powinien wyrzucić klucz przez okno. I potem drzwi windy w siedzibie władz okręgu otworzyły się na oścież i ujrzałem Renatę Koffritz. Ona też miała stalowy znaczek z numerem. Oboje płaciliśmy podatki, głosowaliśmy, byliśmy obywatelami. Och, jeszcze jakimi obywatelami! A gdzie się podział ów głos, co mówił „Moje Fatum”? Milczał. Więc czy ona nim była? Była niewątpliwie stuprocentową kobietą, delikatną i cudownie ociężałą w swojej minispódniczce i dzieciennych sandałkach zapiętych na jeden pasek. Pomyślałem: „Boże, dopomóż”. Pomyślałem: „Lepiej się nad tym zastanów”. Pomyślałem nawet: „W twoim wieku buddysta już by myślał o zaszyciu się na zawsze w puszczy”. Ale wszystko na nic. Może nie było Fatum, którego szukałem, niemniej jednak była jakimś Fatum. Znała nawet moje nazwisko.

– Chyba pan Citrine, prawda? – powiedziała.

Rok przedtem dostałem nagrodę klubu Zig-Zag, kulturalnego stowarzyszenia wyższych dyrektorów banków i maklerów giełdowych. Nie zaproponowano mi, żebym został jego członkiem. Otrzymałem jednak pamiątkową plakietkę za książkę o Harrym Hopkinsie i moja fotografia ukazała się w „Daily News”. Być może ta pani ją tam widziała. Ale dodała zaraz:

– Pański przyjaciel, pan Szathmar, który prowadzi moją sprawę rozwodową, uważał, że powinniśmy się poznać.

Ach, już mnie miała. Jak szybko zdążyła mnie poinformować, że się rozwodzi. Te miłośnicie nabożne oczy już przekazywały sygnały miłości i deprawacji do tego zakątka mojej duszy, w którym przebywał jeszcze chłopak z Chicago. Owionął mnie podmuch dawnej malarii seksu z West Side.

– Pan Szathmar jest panu bardzo oddany. Uwielbia pana. Przymyka oczy i wygląda jak poeta, kiedy o panu mówi. A jest przecież takim twardym mężczyzną, wcale się tego po nim nie oczekuje. Opowiadał mi o pana ukochanej, która rozbiła się w dżungli. I o pana pierwszym romansie z córką lekarza.

– Naomi Lutz.

– To zwariowane imię.

– Tak, zwariowane, na pewno.

To prawda, że mój przyjaciel z dzieciństwa, Szathmar, kochał mnie, ale uwielbiał również swatanie czy też stręczycielstwo. Miał manię urządzania życia innym. Było to pożyteczne w sensie zawodowym, bo przywiązywało się do niego wielu klientów. W specjalnych wypadkach brał na siebie wszystkie szczegóły techniczne – czynsz za mieszkanie kochanki, jej samochód, jej karty kredytowe, rachunki dentysty. Rozciągał to nawet na próby samobójstwa. Nawet na pogrzeby. Nie prawo, lecz załatwianie spraw ludziom było jego powołaniem. I my dwaj, koleżkowie z dzieciństwa, pozostalibyśmy lubieżni do końca życia, gdyby on postawił na swoim. Nadawał temu pozory przywoitości. Wszystko robił z pomocą filozofii, poezji, ideologii. Cytował, puszczał płyty, teoretyzował na temat kobiet. Starał się dotrzymać kroku zmieniającej się szybko gwarze kolejnych pokoleń. Więc czy mieliśmy dokonać żywota jako śliniacy się na widok baby, zgrzybiali zalotnicy,

relikty z farsy Goldoniego? Czy według wzoru balzakowskiego barona Hulota d’Ervy, którego żona słyszy na łożu śmierci, jak starzec robi niedwuznaczne propozycje pokojówce?

Przed kilku laty Alec Szathmar, przeżywając silny stres w skarbcu First National Bank, uległ atakowi serca. Kochałem głupiego Szathmara. Strasznie się o niego martwiłem. Jak tylko go przynieśli z sali intensywnej opieki, pobiegłem go odwiedzić i stwierdziłem, że już znowu jest seksualnie podniecony. Po ataku serca to jest podobno częste. Pod potężną koroną siwych włosów, krzaczastych na skroniach zgodnie z nowym stylem, jego ponure oczy rozszerzały się, ilekroć do pokoju weszła pielęgniarka, chociaż jego twarz wciąż jeszcze była purpurowa. Mój stary przyjaciel, tak teraz otyły, zwalisty, zachowywał się w łóżku bardzo niespokojnie. Rzucił się, skopywał z siebie prześcieradło i w zdenerwowaniu obnażał się jakby przypadkiem. Jeżeli odwiedzając go kierowałem się współczuciem, on nie potrzebował mojego cholernego współczucia. Jego oczy były groźne i czujne. W końcu powiedziałem:

– Słuchaj, Alec, dość tych popisów. Wiesz, o czym mówię. Przestań odkrywać swoje genitalia za każdym razem, jak któraś z tych biednych starszych pań przychodzi zrobić porządek pod łóżkiem.

Spojrzał na mnie z wściekłością.

– Co takiego? Głupi jesteś! – warknął.

– W porządku. Przestań podciągać szlafrok.

Zły przykład może działać umoralniająco, można szybko wznieść się na wyższy poziom smaku i powiedzieć: „Biedny Alec, takie popisy. Bóg łaskaw, bo ja... nigdy!” – A przecież siedziałem tu teraz na ławie przysięgłych, z erekcją wywołaną na widok Renaty. Byłem podniecony, ubawiony, z lekka upokorzony. Sądziłem sprawę odszkodowania za uszkodzenie ciała. Szczerze mówiąc, powinienem był pójść do sędziego i poprosić o wyłączenie ze sprawy. „Wysoki sędzio, nie potrafię się skoncentrować na procesie z powodu tej cudownej pani, która siedzi obok mnie na ławie przysięgłych. Przykro mi, że jestem taki niedojrzały...” (Przykro mi! Byłem w siódmym niebie.) Poza tym chodziło tylko o jedną z tych lipnych spraw przeciw towarzystwu ubezpieczeń, wytoczoną przez pasażerkę, która padła ofiarą zderzenia dwóch taksówek. Moje osobiste sprawy były znacznie ważniejsze. Proces stanowił tylko ilustrację muzyczną. Utrzymywałem tempo metronomicznymi drganiami.

Dwa piętra niżej sam byłem pozwanym w sprawie wytoczonej już po wyroku rozwodowym, żeby pozbawić mnie wszystkich moich pieniędzy. Można by sądzić, że to mnie otrzeźwiło. Ani trochę!

Zwolnwszy się na lunch, popędziłem na ulicę La Salle, żeby uzyskać od Aleca Szathmara, jakieś informacje o tej cudownej dziewczynie. Kiedy wmieszałem się w chicagowski tłum, poczułem, że moje kołeczki się obluźwiają, struny flaczeją, ton się obniża. Co jednak mogłem zdziałać w pojedynkę w obliczu siły, która opanowała cały świat!

W kancelarii Aleca panowała atmosfera wytworności, niemal Harvardu, chociaż był tylko absolwentem prawniczych kursów wieczorowych. Wnętrze urządzone było po królewsku, wszędzie tomy akt i ustaw, duch znakomitej jursprudencji, fotografie sędziego Holmesa i Learned Handa. Przed wielkim kryzysem Alec był bogatym dzieckiem. Nie z tych największych bogaczy, tylko jednym z bogatszych w dzielnicy. Ale znałem bogate dzieci. Studiowałem już przedtem życie bogatych dzieci na samym wierzchołku piramidy społecznej – takich jak Bobby Kennedy. Von Humboldt Fleisher, który zawsze twierdził, że był bogatym chłopcem w rzeczywistości nim nie był, podczas gdy Alec Szathmar, który był bogatym chłopcem, mówił wszystkim, że tak naprawdę jest poetą. W college’u udowadniał to tym, co posiadał. Miał dzieła Eliota, Pounda i Yeatsa. Nauczył się na pamięć *Prufrocka*, co stało się jednym z jego największych atutów. Ale kryzys uderzył Szathmarów bardzo mocno i chłopak nie otrzymał owej wytwornej edukacji, jaką jego zaślepiony, chytry ojciec miał nadzieję mu zapewnić. Jednakże, podobnie jak w dzieciństwie miał rowery i komplety „Małego chemika”, i straszaki, i florety, i rakiety tenisowe, i rękawice bokserskie, i łyżwy, i gitary hawajskie, tak teraz miał najnowszy sprzęt IBM, telefony konferencyjne, podręczne komputery, zegarki na tranzystorach, kserokopiarki, magnetofony i tysiące grubych ksiąg prawniczych.

Po zawale przybrał na wadze, chociaż powinien schudnąć. Zawsze staroświecki w ubiorze, próbował okryć swoje szerokie siedzenie marynarkami rozciętymi z tyłu. W rezultacie wyglądał jak olbrzymi drozd. Niezmiernie ludzka twarz tego ptaka była okolona zwichrzonymi białymi bokobrodami. Ciepłe, brązowe oczy, tchnące miłością i przyjaźnią, nie były specjalnie uczciwe. Jedną z obserwacji C. G. Junga pomogła mi zrozumieć Szathmara. Pewne psychiki, twierdził Jung, należą do wcześniejszych okresów w dziejach. Wśród naszych współczesnych są Babilończycy i Kartagińczycy albo typy z wieków średnich. Dla mnie Szathmar był osiemnastowiecznym kawalerzystą, towarzyszem Pandoura von Trencka, kuzynem mojego szczęśliwego

Trencka. Jego mięsiste, śniade policzki, jego rzymski nos, jego bokobrody, tłusta pierś, szerokie biodra, drobne stopy i męski, rozszczepiony podbródek, wszystko to pociągało kobiety. Kogo wybiorą kobiety, jest to jedna z niezgłębianych tajemnic. Ale oczywiście ród ludzki musi trwać. Tak czy inaczej, Szathmar czekał teraz, żeby mnie przyjąć. Jego poza w fotelu przywodziła na myśl niezgrabnego, acz upartego kawalerzystę dosiadającego pięknych pań. Ramiona miał skrzyżowane, jak *Balzac* Rodina. Niestety, wciąż wyglądał na nieco chorego. Prawie każdy człowiek w mieście wydawał mi się wtedy trochę niezdrów.

Alec, kim jest ta Renata Koffritz? Powiedz wszystko dokładnie.

Szathmar żywo interesował się swoimi klientami, zwłaszcza jeśli były to ładne kobiety. Ofiarowywał im współczucie, porady psychiatryczne, wskazówki praktyczne, nawet to i owo ze sztuki i filozofii. I powiedział mi wszystko dokładnie: jedyne dziecko; zbikowana matka; ojca ani śladu; uciekła do Meksyku ze swoim nauczycielem rysunku; przywieziono ją z powrotem; uciekła do Berkeley; znaleziona w jednej z kalifornijskich grup terapii dotykowej; wydana za Koffritza, komiwojżera z branży krypt i grobowców...

– Chwileczkę. Widziałeś go kiedy? Wysoki? Z brązową brodą? To przecież ten facet, który reklamował staremu Myronowi Swieblowi swoje towary w rosyjskiej łaźni na Division Street.

Na Szathmarze ten zbieg okoliczności nie zrobił żadnego wrażenia. Powiedział:

– To chyba najlepsza sztuka, jaką kiedykolwiek rozvodziłem. Ma małego chłopczyka, bardzo miłego. Pomyślałem o tobie. Z tą kobietą możesz przeżyć coś niecoś.

– A ty sam już przeżyłeś?

– Co takiego? Ja, jej адвокат?

– Daj spokój z tą gadką o etyce zawodowej. Jeżeli nie próbowałeś się do niej przystawiać, to dlatego, że nie zapłaciła honorarium.

– Znam twoje poglądy na mój zawód. Dla ciebie każdy interes to oszustwo.

– Odkąd Denise wkroczyła na ścieżkę wojenną, widziałem dość tych interesów. Naraiłeś mi Forresta Tomcheka, jedno z największych nazwisk w adwokaturze. To zupełnie jak położyć odrobinę confetti przed olbrzymim odkurzacem.

Rzuciwszy mi miazdząco groźne spojrzenie, Szathmar powiedział:

– Ech! – Udał ze spluwa. – Ty głupi bucu, musiałem prosić Tomcheka, żeby wziął twoją sprawę. Wyświadczył mi koleżeńską uprzejmość. Taki człowiek. Nawet by cię nie wsadził do swojego akwarium jako ozdobę. Przewodniczący rad nadzorczych, prezesi banków błagają, żeby im poświęcił trochę czasu, ty głupku. Tomchek! Tomchek należy do rodziny wielkich prawników. I do tego był asem lotniczym na Pacyfiku.

– Mimo to jest oszustem, a do tego jest nieudolny. Denise ma tysiąc razy więcej sprytu. Przestudiowała dokumenty i w jednej chwili go przygwoździła. Nie raczył nawet sprawdzić tytułów własności, żeby się przekonać, kto jest prawdziwym właścicielem czego. Mnie nie czaruj prestiżem palestry, przyjacielu! Ale nie kłómy się. Opowiedz mi o dziewczynie.

Wstał z fotela. Byłem w Białym Domu, siedziałem w fotelu prezydenta w Owalnym Gabinetie i przysięgam, że fotel Szathmara jest obity lepszą skórą. Oprawione fotografie jego ojca i dziadka przypominały mi stare czasy w West Side. Moje uczucia dla Szathmara miały ostatecznie charakter uczuć rodzinnych.

– Przeznaczyłem ją dla ciebie w momencie, kiedy przeszła przez te drzwi. Pamiętam o tobie, Charlie. Nie miałeś szczęśliwego życia.

– Nie przesadzaj.

– Nie było szczęśliwe – upierał się. – Zmarnowany talent i różne korzystne sytuacje, uparty jak sto diabłów, przekorny, dumny, gotów przesrać wszystko. Te twoje znajomości w Nowym Jorku, Waszyngtonie, Paryżu, Londynie, Rzymie, twoje sukcesy, twój dryg do słów, twoje szczęście, bo zawsze miałeś szczęście. Co ja bym zrobił z tym wszystkim! Ale ty musiałeś się żenić z tą wstrętną plotkarą z rodziny dzielnicowych polityków i kombinatorów, guđłajów ze sklepów ze słodyczami i inspektorów kanalizacji. Z tą pretensjonalną dziewczyną z Vassar College! Dlatego, że umiała mówić, jakby połknęła wszystkie mądrości, a ty po prostu usychałeś z potrzeby porozumienia i konwersacji, a ona była taka kulturalna. I ja, który ciebie kocham, zawsze cię kochałem, ty głupi skurwysynu, ja nie śpię po nocach i myślę, jak by tu ocalić tego Charliego, jak ratować jego

forse, znaleźć mu jakieś furtki podatkowe, dać najlepszego obrońcę, zetknąć go z przyzwoitymi kobietami. Ach, ty bałwanie, ty najgłupszy z kretynów, ty nawet nie wiesz, co taka miłość znaczy.

Muszę powiedzieć, że bardzo lubiłem Szathmara, kiedy był w takim nastroju. Wymyślając mi, odwracał bez przerwy wzrok w lewo, gdzie nie było nikogo. Gdyby tam ktoś stał, jakiś bezstronny świadek, na pewno oburzony Szathmar uzyskałby jego poparcie. Ukochana matka Szathmara miała tę samą cechę. Ona również z podobnym oburzeniem szukała sprawiedliwości gdzieś w pustej przestrzeni, składając obie ręce na piersiach.

W piersi Szathmara biło wielkie, wierne, męskie serce, podczas gdy ja nie miałem w ogóle serca, tylko coś w rodzaju kurzych podróbek – tak przynajmniej on na to patrzył. Sam siebie widział jako kogoś o żywotności starożytnego herosa, kogoś dojrzałego, mądrego, pogańskiego bożka podobnego Trytonowi. Ale naprawdę myślał tylko o tym, jak znaleźć się na wierzchu, o kopulacji i tych wszystkich obrzydliwych sztuczkach, które nazywał swobodą seksualną. Musiał jednak myśleć i o tym, jak osiągnąć swój miesięczny dochód. Wydatki miał bardzo duże. Problem polegał na pogodzeniu tych różnych potrzeb. Powiedział mi kiedyś:

– Ja robiłem rewolucję seksualną, zanim ktoś w ogóle o niej słyszał.

Ale mam wam jeszcze coś do powiedzenia. Wstyd mi było za nas obu. Nie miałem żadnego prawa patrzeć na Szathmara z góry. Ostatecznie całe to moje czytanie nauczyło mnie tego i owego. Trochę rozumiem dwustuletnie starania mieszczaństwa, żeby wypaść jak najlepiej w oczach świata, żeby zachować pewną uroczą niewinność – niewinność Clarissy broniącej się przed lubieżnością Lovelace’a. Beznadziejne! Jeszcze gorsze jest bodaj odkrycie, że wciąż przeżywamy pewne sentymenty z kolorowych pocztówek wysyłanych na święta, a wokół serca mamy związane na kokardkę wstążeczki mieszczańskich cnót. Ten rodzaj obrzydliwej amerykańskiej niewinności jest słusznie znieawidzony przez cały świat, który w 1919 roku zwęszył ją u Wilsona. W szkole uczono nas harcerskiego honoru i dobroci, i uprzejmości; przedziwne duchy wiktoriańskiej dystynkcji nadal straszą w sercach synów i córek Chicago, dziś mających ponad pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat. Uwidocznili się to w wierze Szathmara we własną wielkoduszość, a także w tym, że dziękowałem Bogu, że nigdy nie będę tak wulgarny jak Alec Szathmar. Traktując to jak pokutę, pozwoliłem mu dalej mnie oskarżać. Ale kiedy doszedłem do wniosku, że już się wyszalał, powiedziałem:

– Jak twoje zdrowie?

Tego bardzo nie lubił. Nie przyznawał się do żadnych ułomności.

– Czuję się świetnie – odparł. – Ale przecież nie po to uciekłeś z sądu, żeby mi zadać takie pytanie. Muszę tylko trochę stracić na wadze.

– Zgól także te bokobrody, jak już robisz jakieś ulepszenia. Wyglądasz jak czarny charakter ze starych westernów, jeden z tych facetów, co sprzedawali strzelby i wodę ognistą czerwonoskórym.

– W porządku, Charlie. Jestem już tylko niewydarzonym playboyem, jestem rozsypującym się kobieciarzem, podczas gdy ty myślisz tylko o rzeczach wzniosłych. Ty jesteś szlachetny. Ja jestem łajdak. Ale przyszedłeś spytać o tę facetkę, tak czy nie?

– Tak, to prawda – powiedziałem.

– Nie wstydź się tak tego. To przynajmniej jakiś znak życia, a tobie nie zostało go znowu tak wiele. Prawie położyłem krzyżyk na tobie, jak nie chciałeś tej Felicji z ładnymi cycuszkami. To miła kobieta w średnim wieku i byłaby ci wdzięczna. Jej mąż jest narkomanem. Uwielbiała cię. Błogosławiłaby cię do końca życia za to, że ją dobrze traktujesz. Dobra gospodyni i matka, która by dbała o wszystko, czego ci trzeba, prałaby ci i gotowała, i piekła, i robiła zakupy, i nawet prowadziłaby twoje rachunki, a do tego byłaby dobra w łóżku. Trzymałaby buzię na kłódkę, bo jest mężatką. Ideał. Ale dla ciebie to był tylko jeszcze jeden z moich wulgarnych pomysłów. – Przyglądał mi się ze złością. W końcu powiedział: – Dobrze, załatwię ci tę babkę. Weź ją jutro na drinka do Palmer House. Ja wszystko urządzę.

Jeśli ja byłem uczulony na epidemię seksu w West Side, to Szathmar nie mógł się oprzeć gorączce organizowania. Teraz miał tylko jeden cel; położyć mnie i Renatę do łóżka, w którym mógłby być obecny duchem. Zresztą może miał nadzieję, że w końcu zrobi się z tego trio. Podobnie jak Cantabile, od czasu do czasu proponował fantazyjne kombinacje.

– No więc słuchaj – powiedział. – W ciągu dnia możesz dostać pokój w hotelu po tak zwanych stawkach konferencyjnych. Zarezerwuj ci pokój. Twoje pieniądze są u mnie w depozycie i rachunek może być na moje nazwisko.

– Jeżeli mamy tylko wypić drinka, skąd wiesz, że trzeba będzie aż pokoju?

- To już zależy od ciebie. Barman będzie miał klucz. Wsuń mu pięć dolarów, a on da ci kopertę.
- Na czyje nazwisko będzie ta koperta?
- Nie na nieskazitelne nazwisko Citrine, prawda?
- Może na nazwisko Crawley?
- Nasz stary nauczyciel łaciny. Stary Crawley! *Est avis in dextra melior quam quattuor extra.*

Tak więc następnego dnia poszedłem z Renatą na drinka do mrocznego baru położonego poniżej poziomu ulicy. Przyrzekłem sobie nieodwołalnie, że będzie to mój ostatni idiotyzm. Przed samym sobą przedstawiłem sprawę najinteligentniej, jak umiałem: że nie potrafimy uciec od Historii i że Historia tak właśnie z każdym postępuje. Historia zadekretowała, że mężczyźni i kobiety muszą się z sobą zapoznawać w tych, a nie innych uściskach. Miałem się przekonać, czy Renata jest, czy też nie jest moim Fatum, czy jest w niej prawdziwa Jungowska anima. Mogła się okazać zupełnie czymś innym. Ale o tym miało mnie pouczyć jedno erotyczne dotknięcie, bo kobiety działały na mnie w szczególny sposób i jeżeli nie doprowadzały mnie do ekstazy, przyprawiały mnie o chorobę. Albo jedno, albo drugie.

Owego mokrego, ponurego dnia tory kolejki nadziemnej nad ulicą Wabash ociekały wodą, ale Renata kompensowała niepogodę. Miała na sobie plastikowy płaszcz nieprzemakalny, rozszyty czerwonymi, białymi i czarnymi pasami, model Rothko. W tym błyszczącym, sztywnym płaszczu siedziała, zapięta pod szyję, w mrocznej loży. Częścią jej ubioru był kapelusz o szerokim, wygiętym rondzie. Pachnąca bananem pomadka na jej pięknych ustach harmonizowała z czerwienią Rothko. To, co mówiła, nie miało wiele sensu, ale też mówiła niewiele. Śmiała się dość dużo i prędko zaczęła się robić szalenie biała. Świeca w szklanej bani o okrągłym dnie, owiniętej w coś przypominającego rybacką sieć, dawała bardzo mało światła. Nagle twarz Renaty osunęła się na sztywny, pomarszczony olśniewający plastik płaszcz i zrobiła się bardzo okrągła. Nie mogłem uwierzyć, żeby kurewka z rodzaju tych, jakie opisywał Szathmar, tak bardzo chętna do działania, tak doświadczona, mogła połknąć cztery martini i mieć twarz tak białą, bielszą niż księżyc o trzeciej nad ranem. Zastanawiałem się w pierwszej chwili, czy przypadkiem nie udaje nieśmiałości z szacunku dla człowieka ze starszego pokolenia, ale na jej pięknej twarzy pojawił się chłodny opar dżinu i wydawało się, że Renata błaga mnie, żebym coś zrobił. Był w tym wszystkim element jakiegoś *deja vu*, bo przecież nieraz przeżywałem już coś podobnego. Różnica polegała na tym, że teraz odczuwałem współczucie, a nawet potrzebę opiekuńczości wobec tej młodej kobiety w chwili jej nieoczekiwanej słabości. Sądziłem, że mogę dość prosto wytłumaczyć, dlaczego jestem w tym mrocznym, podziemnym barze. Warunki były bardzo trudne. Nie można było dać sobie rady bez miłości. Dlaczego nie? Ta moja wiara pozostawała niezachwiana. Obciążał ją znaczny balast głupoty. Ta potrzeba miłości (w tak uogólnionej postaci) była straszliwą kulą u nogi. Gdyby kiedykolwiek doszło do publicznej wiadomości, że szepnąłem: „moje Fatum” w chwili, kiedy otwierały się drzwi windy, Legia Honorowa mogłaby nie bez słuszności zażądać z powrotem swojego odznaczenia. I najbardziej konstruktywnym wyjaśnieniem, jakie mi się wtedy nasunęło, była interpretacja platońska, wedle której Eros wykorzystał moje żądze, żeby ze straszliwego położenia, w jakim się znajdowałem, poprowadzić mnie ku mądrości. Bardzo to było ładne, bardzo wzniosłe, ale sądzę, że nie było w tym ani krzty prawdy (choćby dlatego, że nie pozostało aż tyle Erosa). Owo wielkie imię, jeśli już muszę jakieś wymienić, jeśli w ogóle siły nadprzyrodzone troszczą się o mnie, brzmiało prawdopodobnie Aryman, władca ciemności. Jakkolwiek sprawy się miały, czas było zabrać Renatę z tej spelunki.

Podszedłem do baru i pochyliłem się dyskretnie. Wsunąłem się między pijących. Każdego innego dnia uznałbym tych ludzi za stałych bywalców i pijaków, ale teraz ich oczy wydawały mi się wielkie jak spodki i promieniały blaskiem moralności. Zbliżył się barman. Między palcami mojej lewej ręki tkwił złożony pięciodolarowy banknot. Szathmar powiedział mi dokładnie, jak to załatwić. Spytałem barmana, czy ma kopertę na nazwisko Crawley. Natychmiast wziął te pięć dolarów. Miał refleks, jaki spotyka się tylko w dużych miastach.

- Zaraz, zaraz – powiedział – co to za koperta?
- Dla Crawleya.
- Nie mam żadnego Crawleya.
- Musi być Crawley. Proszę spojrzeć jeszcze raz.

Pobrzęczał swoimi kopertami. Każda zawierała klucz od pokoju.

- Jak masz na imię, bracie? Daj mi jakiś dodatkowy trop.

Udręczony, powiedziałem cichutko:

– Charles.

– To już coś. Może to ty. C-I-T-R-I-N-E?

– Na miłość boską, wiem, jak się to pisze – powiedziałem słabym głosem, ale z wściekłością. I mruknąłem: – Durny zakichany pawian z tego Szathmara. Żeby raz w życiu zrobił coś porządnie! I pomyśleć, że ja ciągle muszę korzystać z jego usług! – W tym momencie uświadomiłem sobie, że ktoś za mną usiłuje zwrócić na siebie moją uwagę i obejrzałem się. Zobaczyłem panią w średnim wieku, która się uśmiechała. Najwyraźniej знаła mnie i aż biło od niej zadowolenie. Pani była tęga i miła, miała zadarty nosek i wydatny biust. Bardzo pragnęła, żebym ją poznał, chociaż przyznawała milcząco, że latają zmieniały. Czy jest aż tak bardzo zmieniona?

– Tak? – powiedziałem.

– Widzę, że mnie nie poznajesz. Ale jesteś ciągle tym samym starym Charliem.

– Nigdy nie mogę zrozumieć, dlaczego w barach musi być aż tak ciemno – powiedziałem.

– Ależ, Charlie, to przecież Naomi, twoja sympatia z lat szkolnych.

– Naomi Lutz!

– Jak to cudownie, że cię spotkałam, Charlie!

– Skąd się wzięłaś przy barze w tym hotelu?

Samotna kobieta przy barze z reguły szuka przygód. Naomi była na to za stara. Poza tym wydawało się nieprawdopodobne, żeby Naomi, która była moją sympatią, kiedy miała piętnaście lat, stała się barową kurewką.

– Och, nie – powiedziała. – Jest tu mój ojciec. Zaraz wróci. Przywożę go do miasta z lecznicy na drinka co najmniej raz w tygodniu. Pamiętasz, jak zawsze uwielbiał chicagowską dzielnicę Loop?

– Stary Doc Lutz... kto by pomyślał!

– Tak, żyje. Bardzo stary. Obserwowaliśmy cię z tym ślicznym stworzeniem w łoży. Wybacz mi, Charlie, ale to, jak wy, mężczyźni, się trzymacie, jest po prostu niesprawiedliwe wobec kobiet. Pogratulować! Ojciec właśnie mówił, że nie powinien był się wtrącać do naszych szkolnych romansów.

– Byłem czymś więcej niż twoim szkolnym romansem, Naomi – powiedziałem. – Kochałem cię całą duszą. – Mówiąc to zdałem sobie sprawę, że przyprowadziłem do baru jedną kobietę, a składam namiętne wyznanie drugiej. A jednak była to prawda, bezwiedna, spontaniczna prawda. – Nieraz przychodzi mi na myśl, Naomi, że zatraciłem swoją osobowość, bo nie mogłem spędzić życia z tobą. To mnie całkowicie wypaczyło, stałem się ambitny, chytry, skomplikowany, głupi, mściwy. Gdybym mógł trzymać cię co noc w ramionach, odkąd miałem piętnaście lat, nigdy nie bałbym się grobu.

– Och, Charlie, powiedz to swojej babci. Zawsze umiałeś mówić takie cudowne rzeczy. Ale peszące. Miałaś dziesiątki kobiet. Widzę po twoim zachowaniu w tej łoży.

– Ach, tak... mojej babci! – Byłem jej wdzięczny za to stare powiedzonko. Po pierwsze, zahamowało moją wylewność, która nie doprowadziłaby do niczego. Po drugie, uwolniło mnie od brzemienia innego nastroju, jaki narastał w ciemnym barze. Łączyłem go z przekonaniem, że wkrótce po śmierci, kiedy martwe ciało zaczyna ulegać rozkładowi i znowu staje się garstką minerałów, dusza budzi się do swej nowej egzystencji, i że w chwilę po śmierci powinienem znaleźć się w jakimś ciemnym miejscu, podobnym do tego baru. Gdzie wszyscy, którzy kiedykolwiek się kochali, mogliby się znowu spotkać, i tak dalej. Takie właśnie wrażenie odnosiłem w tym barze. Trzymając klucz od „sali konferencyjnej” w rękę, z pobrzękującym łańcuszkiem, wiedziałem, że muszę wrócić do Renaty. Jeżeli dalej pije swoje martini, będzie za bardzo zalana, żeby wstać i wyjść z łoży. Ale musiałem poczekać na doktora Lutza. I po chwili przyszedł z toalety, bardzo słaby i łysy, z takim samym zadartym nosem jak Naomi. Jego babbittowatość z lat dwudziestych przyblakła i zamieniła się w staroświecką dworność. Zawsze domagał się od nas szczególnej uprzejmości, bo chociaż nie był prawdziwym lekarzem, a tylko specjalistą od pielęgnacji stóp (miał gabinet w mieście i drugi w domu), upierał się, żeby go nazywano doktorem, i był wściekły, jeżeli ktoś powiedział o nim „pan Lutz”. Zafascynowany tym swoim doktorstwem, leczył przeróżne choroby, aż do kolan. Jeżeli stopy, dlaczego by nie nogi? Przypomniałem sobie, jak mnie zapraszał do siebie, żebym mu pomagał przy nakładaniu purpurowej galaretki, sporządzonej według

własnego przepisu, na okropne rany, którymi poznaczone były nogi jednej pani pracującej w fabryce herbatników. Podawałem mu stoik i kopystkę, a on, wypełniając te dziury, perorował ze znachorską pewnością siebie. Bardzo lubiłem tę kobietę, bo zawsze przynosiła doktorowi pudełko po butach, pełne czekoladowych trufl i nadziewanej czekolady z bakaliami. Na wspomnienie tego przez podniebienie przemknął mi smak czekoladowej słodkości. A potem zobaczyłem siebie, jak siedzę w ekstazie na lekarskim fotelu doktora Lutza w czasie śnieżycy, od której poczerniało kliniczne białe wnętrze maleńkiego gabinetu, i czytam *Herodiadę*. Wzruszony ścięciem Jana Chrzciciela poszedłem do pokoju Naomi. Byliśmy sami w czasie tej śnieżycy. Zdjąłem z niej ciepłą piżamę z niebieskiego dżerseju i zobaczyłem ją naga. Takie wspomnienia kłębiły się teraz w moim sercu. Naomi nie była dla mnie żadnym obcym ciałem. W tym rzecz. Nie było nic nieznanego w Naomi. Moje uczucie dla niej przenikało do jej komórek, do najmniejszych drobin, które należąc do niej, posiadały wszystkie jej właściwości. Ponieważ myślałem o Naomi bez poczucia inności, ponieważ była we mnie ta namiętność, zostałem schwytany przez starego doktora Lutza w pułapkę przypominającą stosunek Jakuba z Labanem. Musiałem mu pomagać przy myciu jego auburna, samochodu błękitnego jak niebo, z oponami białymi jak ściana. Polewałem samochód wodą z węża i tarłem go irczą, gdy tymczasem doktor, odziany w białe spodnie do golfa, stał obok, paląc cygaro.

– Och, Charlie Citrine, bywasz tu i ówdzie, ani słowa – powiedział starszy pan. Jego głos miał nadal nutę liryzmu, był wysoki i zupełnie pusty. Doktor Lutz nigdy nie potrafił wzbudzić w słuchaczu wrażenia, że mówi coś istotnego. – Chociaż sam byłem republikaninem za czasów Coolidge’a i Hoovera, to przecież jak Kennedy z żoną przyjmowali cię w Białym Domu, byłem bardzo dumny.

– Czy ta młoda kobieta to twój stymulant? – zapytała Naomi.

– Jeżeli mam być szczery, nie wiem. A jak ty ułożyłaś sobie życie?

– Moje małżeństwo było zupełnie nieudane, mąż się ulotnił. Chyba wiesz o tym. Ale i tak wychowałam dwoje dzieci. Może czytałeś przypadkiem kilka artykułów mojego syna w „Southwest Township Herald”?

– Nie. Nie wiedziałbym, że to artykuły twojego syna.

– Pisał o odzwyczajaniu się od narkotyków, na podstawie własnych doświadczeń. Chciałabym, żebyś mi powiedział, co myślisz o jego pisaniu. Moja córka to dobre dziecko, ale z chłopcem są kłopoty.

– A ty, kochanie?

– Teraz już niewiele robię. Mam przyjaciela. Przez część dnia pilnuję przejścia dla pieszych przy naszej szkole.

Staiy Doc Lutz wydawał się nie słyszeć ani słowa.

– Szkoda – powiedziałem.

– Jeżeli chodzi o nas? Nie, nie szkoda. Ty z twoją pasją intelektualną byłbyś dla mnie wielkim ciężarem. Ja lubię sporty. Moja największa przyjemność to piłka nożna w telewizji.

I robimy wielką wyprawę, jak dostajemy bilety na Soldiers Field albo na hokeja. Wczesna kolacja w Como Inn, potem autobusem na stadion, a ja po prostu czekam, aż się zacznie bójka na lodzie, i wrzeszczę, kiedy sobie wybijają zęby. Przykro mi, ale jestem bardzo prostą kobietą.

Kiedy Naomi mówiła „prosta kobieta”, a Doc Lutz mówił „republikanin”, chcieli przez to powiedzieć, że stali się częścią wielkiej społeczności amerykańskiej i znaleźli dzięki temu satysfakcję i zadośćuczynienie. Fakt, że mógł w latach trzydziestych leczyć ludziom stopy w bogatej dzielnicy Loop, był dla starego źródłem radości. Jego córka wygłosiła podobną opinię o sobie. Byli zadowoleni z siebie, każde z osobna i jedno z drugiego, i znajdowali szczęście w swoim podobieństwie. Tylko ja, z tajemniczych względów niedopasowany do otoczenia, stałem między nimi z kluczem w ręku. Najwyraźniej dręczyła mnie moja inność. Byłem starym przyjacielem, tyle że nie byłem w pełni Amerykaninem.

– Muszę iść – powiedziałem.

– Czy nie moglibyśmy kiedyś pójść razem na drinka? Strasznie bym chciała cię zobaczyć – powiedziała Naomi. – Poradziłbyś mi lepiej niż kto inny, co robić z Louie. Ty sam nie masz dzieci hippisów, prawda? – A kiedy zapisywałem jej numer, powiedziała: – Popatrz, Doc, jaki ładny jest ten notesik. Wszystko w Charliem jest takie eleganckie. Robisz się bardzo przystojnym starszym panem. Ale nie należysz do mężczyzn, których jakakolwiek kobieta potrafiłaby zatrzymać. – Przypatrywali się, jak wracałem do łóżka i dźwignąłem na nogi

Renatę. Włożyłem kapelusz i płaszcz i udawałem, że wychodzimy na dwór. Czułem, że wszyscy odsądzają mnie od czci i wiary.

Pokój po stawkach konferencyjnych był dokładnie tym, na co zasługują rozpustnicy i cudzołóżnicy. Był niewiele większy od schowka na miotły i wychodził na szyb wentylacyjny. Renata osunęła się na krzesło i zamówiła jeszcze dwa martini do pokoju. Zaciągnąłem store, nie dla większej dyskrecji – naprzeciwko nie było okien – ani nie w charakterze uwodziciela, ale po prostu dlatego, że nie lubię patrzeć na cegły szybów wentylacyjnych. Pod ścianą stała wersalka obita zielonym rypsem. Jak tylko zobaczyłem ten sprzęt, wiedziałem, że muszę z nim przegrać. Byłem pewien, że nigdy nie uda mi się go otworzyć. Z chwilą gdy przewidziałem tę próbę sił, nie mogłem przestać o niej myśleć. Musiałem stawić jej czoło natychmiast. Trapezoidalne kliny z piankowej gumy nie ważyły nic. Odsunąłem je na bok i ściągnąłem szczelnie dopasowane pokrycie. Prześcieradła pod spodem były idealnie czyste. Potem ukląknąłem i pod ramą wersalki usiłowałem wymacać dźwignię. Renata przyglądała się temu w milczeniu, a mnie twarz skurczyła się i poczerwieniała. Przykucnąłem i ciągnąłem z całych sił, wściekły na fabrykantów, którzy produkują taki szmelc, i na dyrektora hotelu za to, że bierze pieniądze od uczestników popołudniowych konferencji i zadaje im duchowe męczarnie.

– To przypomina test na inteligencję – powiedziałem.

– No to co?

– Poddaję się. Nie mogę otworzyć tego grata.

– No to co? Zostaw go.

Na wąskim tapczanie było miejsce tylko dla jednej osoby. Ale prawdę mówiąc nie miałem ochoty się położyć.

Renata poszła do łazienki. W pokoju były dwa krzesła. Usiadłem w „fotelu”. Miał poręcz. Między butami miałem kwadrat szydełkowanego dywaniku w stylu kolonialnym. Krew szumiała mi w uszach. Gburowaty kelner przyniósł nasze martini. Dolarowy napiwek został przyjęty bez słowa podziękowania. Potem Renata wyszła z łazienki, w swoim błyszczącym płaszczu nadal zapiętym na wszystkie guziki. Usiadła na wersalce, wypila dwa łyki martini i straciła przytomność. Przez plastik próbowałem posłuchać jej serca. Chyba nie chorowała na serce? Przypuśćmy, że to coś poważnego. Czy można wezwać pogotowie? Zacząłem mierzyć jej tętno, głupkowato wpatrując się w zegarek, gubiąc się w liczeniu. Dla porównania zmierzyłem własne tętno. Nie umiałem zestawić wyników. Jej puls wydawał się nie gorszy od mojego. Nieprzytomna, była chyba jednak w lepszej sytuacji. Była wilgotna i zimna w dotyku. Rogiem prześcieradła otarłem z niej chłodny pot i spróbowałem sobie wyobrazić, co George Swibel, mój doradca medyczny, zrobiłby w tego rodzaju nagłym przypadku. Wiedziałem dokładnie, co by zrobił: wyprostowałby jej nogi, zdjął pantofle i rozpiął płaszcz, żeby ułatwić oddychanie. Właśnie tak zrobiłem.

Pod płaszczem Renata była naga. Poszła przedtem do łazienki i rozebrała się. Po odpięciu górnego guzika mogłem się zatrzymać, ale nie zrobiłem tego. Oczywiście już wcześniej oceniałem ciało Renaty i próbowałem odgadnąć, jak jest zbudowana. Moje optymistyczne przewidywania pozostawały daleko w tyle za rzeczywistością. Nie spodziewałem się, że wszystko będzie tak obfite i tak bezbłędne. Siedząc na ławie przysięgłych zauważyłem, że pierwszy staw jej palców jest mięsisty i lekko nabrzmiały, zanim zaczynał się zwęzać na czubku. Przypuszczałem, że dla harmonii, jej piękne uda też nabrzmiewają ku środkowi. Stwierdziłem, że tak właśnie jest, bez wątplenia, i czułem się bardziej miłośnikiem sztuki niż uwodzicielem. Odnosiłem przelotne wrażenie, bo nie pozwoliłem, by zbyt długo była odkryta, że każda tkanka w tym ciele jest doskonała, każde włókienko jej włosów lśni. Unosił się nad nią intensywny zapach kobiety. Kiedy zobaczyłem, jak się rzeczy mają, zapiąłem ponownie wszystkie guziki, po prostu z czystego szacunku. Doprowadziłem ją do porządku, najlepiej jak umiałem. Potem otworzyłem okno. To niestety rozwiało ów cudowny zapach, ale potrzebne jej było świeże powietrze. Wziąłem rzeczy Renaty zza drzwi łazienki i wepchałem do jej dużej torby, sprawdzając wszystko dokładnie, żeby się upewnić, czy nie zgubiliśmy jej plakietki sędziego przysięgłego. A potem, w płaszczu i z kapeluszem, i rękawiczkami w ręku, czekałem, aż się ocknie.

Wciąż robimy te same rzeczy, robimy je w nieskończoność, ze straszliwą nieuchronnością. I z uwagi na to można przebaczyć komuś, kto przynajmniej pragnie obcować z pięknem.

* * *

A teraz Renata – w tym swoim futrze i cudownym, miękkim, wielokształtnym, giętkim ametystowym kapeluszu, z brzuchem i udami ciasno opiętymi futerałem z jedwabiu – podwiozła mnie przed siedzibę Okręgu.

Ona i jej klientka, duża, despotycznie wyglądająca pani w popelinie w groszki, powiedziały: – *Ciao*, do zobaczenia. – I oto był przede mną ładny, rdzawostalowy wieżowiec, a przed nim niepozorna rzeźba Picassa z jej podporami i blachą, żadnych skrzydeł, żadnego zwycięstwa, jedynie symbol, przypomnienie, jedynie idea dzieła sztuki. Bardzo podobna, pomyślałem, do innych idei lub przypomnień, którymi żyjemy – już nie jabłko, lecz idea, pomologiczna rekonstrukcja tego, czym było kiedyś jabłko, już nie lody, lecz idea, wspomnienie czegoś cudownego, zrobione z namiastek, krochmalu, glukozy i innych chemikaliów, już nie seks, lecz idea lub wspomnienie seksu, i tak samo z miłością, wiarą, myślą, i tak dalej. Ten temat towarzyszył mi, kiedy wznosiłem się windą, żeby się dowiedzieć, czego są, ze swymi widmami równości i sprawiedliwości, życzy sobie ode mnie. Drzwi otworzyły się, ale tylko się otworzyły, żaden głos nie powiedział: „Oto moje Fatum”. Albo Renata załatwiła sprawę, albo głos był już zbyt zniechęcony, żeby się odzywać.

Wysiadłem i zobaczyłem, że mój adwokat, Forrest Tomchek i jego młodszy wspólnik, Billy Srole, czekają już na końcu szerokiego, przestronnego, jasnoszarego korytarza przed salą sędziego Urbanovicha – dwaj uczciwie wyglądający, kłamliwi mężczyźni. Według Szathmara (tego samego Szathmara, który nie potrafił nawet zapamiętać tak prostego nazwiska jak Crawley) reprezentowali mnie w sądzie najbardziej utalentowani prawnicy Chicago.

– Więc czemu nie mam poczucia bezpieczeństwa przy Tomcheku? – spytałem.

– Bo jesteś przesadnie krytyczny, nerwowy i cholernie głupi – powiedział Szathmar. – W tej dziedzinie prawa nikt nie zdobył sobie większego szacunku i prestiżu. Tomchek to jeden z najbardziej wpływowych gości w całym klanie prawników. Ci faceci od rozwodów i spraw majątkowych po rozwodzie to prawdziwy klub. Razem dojeżdżają do miasta, grają w golfa, latają do Acapulco. Za kulisami on mówi innym, jak wszystko ma wyglądać. Rozumiesz? To obejmuje honoraria, sprawy podatkowe, wszystko.

– Chcesz przez to powiedzieć – wtrąciłem – że oni przestudiują moje zeznania podatkowe i tak dalej, a potem zadecydują, jak mnie zarzącać.

– Na miłość boską! – powiedział Szathmar. – Zachowaj swoją opinię o adwokatach dla siebie. – Był głęboko urażony, właściwie rozwścieczony, moim brakiem szacunku dla przedstawicieli jego zawodu.

Och, zgadzałem się z nim w zupełności, że powinienem swoje uczucia zachować dla siebie. Wysilałem się, żeby być uprzejmym i uległym wobec Tomcheka, ale nie najlepiej mi to wychodziło. Im usilniej się starałem, sarkając w duchu na jego pozerstwo, mówić to, co należało, tym bardziej mi nie ufał i tym bardziej mnie nie lubił. Wszystko w duchu notował. W końcu będę musiał zapłacić wysoką cenę, ogromne honorarium, wiedziałem o tym. No więc był tu Tomchek. Obok niego stał Billy Srole, jego współpracownik. Współpracownik to cudowne słowo, cudowna kategoria. Srole był pucołowaty, blady, zachowywał się jak profesjonalista w każdym calu. Włosy miał długie i starał się, żeby falowały, przyglądając je ciężką, białą dłonią i zwijając w pierścienie za uszami. Jego palce wyginały się do tyłu na koniuszkach. Był tyranem. Ta wytworność jest typowa dla tyrana. Znam tyranów.

– Co się dzieje? – spytałem.

Tomchek objął mnie ramieniem i zwarliśmy się w krótkim uścisku.

– Nie ma się czym niepokoić – powiedział Tomchek. – Urbanovich znalazł nagle czas, żeby się spotkać z obiema stronami.

– Chce zakończyć sprawę. Jest dumny ze swoich osiągnięć w charakterze negocjatora – poinformował mnie Srole.

– Posłuchaj, Charlie – powiedział Tomchek. – Wiesz, jaką technikę stosuje Urbanovich? Najpierw cię nastraszy. Będzie mówił, jak bardzo ci może zaszkodzić, i zagna cię przerażonego do ugody. Nie wpadaj w panikę. Pod względem prawnym stworzyliśmy ci dogodną sytuację.

Na gładko wygolonej twarzy Tomcheka widziałem zdrowe, ponure fałdy. Oddech miał kwaśny, męski. Wydierał zapach, który kojarzył mi się z hamulcami staromodnych tramwajów, z metabolizmem i z męskimi hormonami.

– Nie, już nie pójdę na dalsze ustępstwa – powiedziałem. – To nic nie daje. Jak zgadzam się na jakieś jej żądanie, ona wysuwa nowe. Od czasu Proklamacji o Zniesieniu Niewolnictwa trwa w tym kraju tajemna walka o przywrócenie niewolnictwa innymi środkami. – Właśnie takie uwagi powodowały, że Tomchek i Srole traktowali mnie podejrzliwie.

– Już dobrze, postaw kropkę i skończ na tym – powiedział Srole. – I zostaw resztę nam. Denise utrudnia wszystko własnemu adwokatowi. Pinsker nie chce awantury. Chce tylko swojej forsy. Nie podoba mu się ta sytuacja. A ona zasięga porad prawnych na boku u tego Schwirnera. Bardzo nieetyczne.

– Nie znoszę Schwirnera! To skurwysyn – powiedział Tomchek, już wściekły. – Gdybym mógł udowodnić, że podbechtuje powódkę i wtrąca się do mojej sprawy, zrobiłbym go na szaro. Pozwałbym go przed Komisję do Spraw Etyki Zawodowej.

– Czy Karmelkojad Schwirner ciągle kombinuje z żoną Charliego? – zapytał Srole. – Myślałem, że się dopiero co ożenił.

– I co z tego, że się ożenił? Wcale nie przestał się spotykać z tą wariatką po motelach. Ona dostaje od niego w łóżku strategiczne pomysły i truje potem nimi Pinskera. Doprowadzają go do szału. Och, jakbym chciał dostać w łapy tego Schwirnera.

Nie powiedziałem na to ani słowa i udawałem, że ledwo słyszę, o czym mówią. Tomchek chciał, żebym zaproponował zaangażowanie prywatnego detektywa dla zdobycia dowodów przeciwko Schwirnerowi. Przypomniał mi się Von Humboldt Fleisher i Scaccia, prywatny detektyw. Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego.

– Spodziewam się, chłopcy, że powstrzymacie Pinskera – powiedziałem. – Nie pozwólcie, żeby mi się dobrał do trzewi.

– Co, w gabinecie sędziego? Zachowa się przyzwoicie. Zrobi z ciebie szmatę, jak będziesz stał przy barierce dla świadków, ale narada to co innego.

– To zwierzę – powiedziałem.

Nie odpowiedzieli ani słowa.

– To bestia, ludożerca.

Te słowa zrobiły nieprzyjemne wrażenie. Tomchek i Srole, podobnie jak Szathmar, byli czuli na punkcie swojego zawodu. Tomchek zachował milczenie. To Srole, wspólnik i popychadło, miał się rozprawić ze zdradliwym Citrine'em. Łagodnie, z dystansem, Srole powiedział:

– Pinsker to bardzo twardy człowiek. Twardy przeciwnik. Zażarty w walce.

W porządku, nie pozwolą mi kopać adwokatów. Pinsker należał do klubu. Bo kim ja właściwie byłem? Mglistą, przemijającą postacią ekscentryczną, snobem. Bardzo nie lubili mojego stylu. Nie znosili go. Z drugiej strony, dlaczego mieli go lubić? Nagle spojrzałem na całą sprawę z ich punktu widzenia. I sprawiło mi to ogromną przyjemność. Ściśle mówiąc, doznałem olśnienia. Być może te moje olśnienia były wynikiem metafizycznych przemian, jakim podlegałem. Pod świeżym wpływem Steinera rzadko myślałem o śmierci z ową dawną zgrozą. Teraz nie przeżywałem już duszenia się w grobie ani nie lękałem się nudy wieczności. Zamiast tego często czułem się niezwykle lekki i chyży, jak gdybym siedział na nic nie ważącym rowerze i pędził przez gwiazdny świat. Niekiedy spoglądałem na siebie z radosnym obiektywizmem, dosłownie jak na przedmiot, jeden z wielu przedmiotów fizycznego wszechświata. Pewnego dnia ten przedmiot przestane się poruszać, a kiedy ciało runie, dusza się po prostu wyniesie. Tak więc, wracając do adwokatów, stałem między nimi i oto byliśmy tu, trzy nagie Ja, trzy stworzenia na niższym szczeblu nowoczesnego racjonalizmu i wyrachowania. W przeszłości ludzkie Ja miało różne szaty, szatę pozycji społecznej, szlachetności albo małości, każde miało swoją postawę, swój wygląd, nosiło właściwy sobie futerał. Teraz nie było futerałów, było tylko nagie Ja wobec nagiego Ja, płonące w sposób trudny do zniesienia i siejące trwogę. Ujrzałem to teraz, w nagłym napadzie obiektywizmu. Wprawiło mnie to w ekstazę.

Bo czymże ja byłem dla tych ludzi? Dziwakiem, unikatem. Dla dodania sobie ważności Szathmar chełpił się mną, przesadnie mnie reklamował i ludzie byli potwornie zirytowani, bo kazał im wyszukiwać mnie w encyklopediach i czytać o moich odznaczeniach, medalach i nagrodach klubu Zig-Zag. Walił w nich tym jak młotem, mówił, że powinni być dumni z takiego klienta, i oczywiście nie znosili mnie, choć jeszcze mnie nie widzieli. Kwintesencję ich niechęci wyraził raz sam Szathmar, kiedy stracił panowanie nad sobą i krzyknął: „Jesteś po prostu kutas z piórem!” Był tak rozdrażniony, że przeszedł sam siebie i ryknął jeszcze głośniejsze: „Z piórem czy bez, jesteś kutas!” Ale ja się nie obraziłem. Uznałem, że to bardzo zabawny epitet, i roześmiałem się. Można mi było powiedzieć wszystko, co się chciało, byle w odpowiedni sposób. Wiedziałem jednak dokładnie, jakie uczucia wzbudzam w Tomcheku i Srole'u. Ze swej strony, oni natchnęli mnie pewną niezwykłą myślą. Otóż pomyślałem, że Historia stworzyła coś nowego w Stanach Zjednoczonych, a

mianowicie nieuczciwość połączoną z miłością własną, czy też dwulicowość połączoną z miłością własną, czy też dwulicowość połączoną z poczuciem honoru. Ameryka była zawsze bardzo prawa i bardzo moralna, była wzorem dla całego świata, więc uśmierciła nawet samą ideę hipokryzji i zmuszała się do współzycia z tym nowym imperatywem szczerości, uzyskując w tej dziedzinie imponujące wyniki. Weźmy choćby Tomcheka i Srole'a: uprawiali szanowany, czcigodny zawód; ten zawód miał swoje własne wysokie normy moralne i wszystko było tip-top, póki jakiś nieznośny egzotyczny typ, który nie potrafił nawet utrzymać w karchach własnej żony, jakiś idiota ze smykałką do niania na sznurek różnych zdań, nie pojawił się, by rozsiewać poczucie bezprawia. Ciągnął się za mną stęchły, oskarżycielski zapach. Było to, jeśli mnie dobrze rozumiecie, całkowicie niehistoryczne z mojej strony. Temu zawdzięczałem owo zamglone spojrzenie, które rzucił mi spod oka Billy Srole, jak gdyby zamroczony myślą o tym wszystkim, co mógłby mi zrobić, zgodnie z prawem, czy tuż obok prawa, gdybym kiedykolwiek wyłamał się z szeregu. Uwaga! Porąbałby mnie, posiekał na kawałki swoim prawniczym toporem. Oczy Tomcheka, w odróżnieniu od Srole'a, nie potrzebowały żadnej przesłony, bo głębsze myśli nigdy nie docierały do jego spojrzenia. A ja byłem całkowicie uzależniony od tej straszliwej pary. W rzeczy samej, to było częścią mojej ekstazy. Fantastyczne! Tomchek i Srole – oto, na co zasługiwałem. Cóż słusniejszego niż to, że powinienem zapłacić jakąś cenę za tak niewinne pojawienie się na widowni i oczekiwanie obrony od ludzi mniej czystych, ludzi czujących się znakomicie w tym upadłym świecie. Skąd sam się usunąłem, spychając ów upadły świat na barki wszystkich innych ludzi! Humboldt wykorzystywał swoją sławę poety, kiedy już nie był poetą, a tylko wariował od przeróżnych projektów. A ja robiłem coś bardzo podobnego, bo byłem o wiele za sprytny na to, żeby sobie przypisywać taką prostolinijność. Tę słowo jest, jak sądzę, zakłamanie. Ale Tomchek i Srole przywołują mnie do porządku. Mieli przecież pomoc Denise, Pinsker, Urbanovicha i obsadę tysiąca osób.

– Ciekaw jestem, skąd nagle u ciebie taka zadowolona mina? – spytał Srole.

– Po prostu coś sobie pomyślałem.

– Szczęściarz z ciebie, że masz takie miłe myśli.

– Kiedy wejdziemy? – zapytałem.

– Kiedy tamta strona wyjdzie.

– Ach, więc Denise i Pinsker rozmawiają teraz z Urbanovichem? Wobec tego pójdę chyba odpocząć w sali posiedzeń, zaczynają mnie już boleć nogi. – Odrobina Tomcheka i Srole'a mogła wystarczyć na długo. Nie zamierzałem stać i gawędzić z nimi, aż nas wezwą. Moja psychika nie zniósłaby większej dawki tych dwóch. Szybko mnie męczyci.

Żeby odpocząć, usiadłem na drewnianej ławce. Nie miałem nic do czytania. Skorzystałem z tej okazji, żeby trochę pomedytować. Za przedmiot medytacji wybrałem krzew obsypany różami. Często przywoływałem ten krzew, ale niekiedy zjawiał się sam z siebie. Był pełen, był gęsty, dusił się wprost od malutkich różyczek i świeżych zdrowych liści. A więc przez chwilę myślałem: „róża, róża”, i nic więcej. Uzmysławiałem sobie gałązki, korzenie, szorstki puch twardniejących pędów – a do tego cała botanika, jaką mogłem sobie przypomnieć: łyko, drewno, miazga, ciątka zieleni, gleba, słońce, woda, chemia – usiłując wcielić się w samą roślinę i wyobrazić sobie, jak jej zielona krew wytwarza czerwony kwiat. Ach, ale nowa odrośl w krzaku róży jest zawsze czerwona, zanim się zmieni w zieloną. Przypomniałem sobie bardzo dokładnie spiralny układ płatków róży, białawy delikatny meszek na czerwieni i powolne rozwieranie się, które ujawniało środek. Na tej wizji skupiłem wszystkie władze duszy i zatopiłem ją w kwiatach. Potem, tuż przy tych kwiatach, ujrzałem stojącą ludzką postać. Roślina, powiedział Rudolf Steiner, wyraża czyste, beznamienne prawa wzrostu, ale istota ludzka, zmierzając ku wyższemu stopniowi doskonałości, bierze na siebie większy ciężar – instynkty, pragnienia, emocje. Tak więc krzew był uśpionym życiem. Ale ludzkość podjęła ryzyko namiętności. Istniała szansa, że szlachetniejsze władze ducha zdolne będą oczyścić te namiętności. Oczyszczone, mogą się odrodzić w doskonalszej postaci. Czerwień krwi stanowiła symbol tego procesu oczyszczania. Ale nawet jeżeli tak nie było, myśl o różach zawsze wprawiała mnie w stan błogości.

Po chwili zacząłem kontemplować coś innego. Wyobraziłem sobie starą żelazną latarnię uliczną w Chicago sprzed czterdziestu lat, z przykrywką w kształcie kapelusza toreadora lub talerza w orkiestrze. Była noc i śnieżycy. Ja byłem małym chłopcem i patrzyłem przez okno mojego pokoju. Szalała zimowa zawieja, wiatr i śnieg biły w latarnię, a róże wirowały w kręgu światła. Steiner zalecał kontemplację krzyża owiniętego różami, aleja, być może z powodu żydowskiego pochodzenia, wolałem latarnię. Przedmiot nie miał znaczenia, jeśli tylko wyszło się poza granice świata postrzegalnego zmysłami. Kiedy się opuściło ów postrzegalny świat, można było doznać uczucia, że budzą się te części duszy, które nie budziły się nigdy przedtem.

Byłem już bardzo zaawansowany w tych ćwiczeniach, kiedy Denise wyszła z gabinetu sędziego i przeszła przez wahadłowe drzwi, żeby podejść do mnie.

Ta kobieta, matka moich dzieci, chociaż sprawiała mi tyle kłopotów, przypominała mi nieraz o czymś, co Samuel Johnson powiedział o ładnych paniach: że mogą być głupie, mogą być niegodziwe, ale uroda sama w sobie jest godna szacunku. Denise była pod tym względem godna szacunku. Miała ogromne fiołkowe oczy i cienki nosek. Jej skóra pokryta była delikatnym meszkiem – dostrzegalnym przy odpowiednim oświetleniu. Włosy miała upięte w węzeł na czubku głowy, przez co głowa wydawała się zbyt ciężka. Gdyby Denise nie była piękna, nie zauważałoby się tej dysproporcji. Sam fakt, że nie uświadamiała sobie tego odgórnego przeciążenia fryzurą, zdawał się czasem dowodzić, że jest pomyłona. W sądzie, do którego zawlokła mnie swoim powództwem, zawsze chciała być bardzo przyjacielska. A ponieważ dziś była wyjątkowo sympatyczna, domyśliłem się, że spotkanie z Urbanowichem było udane. To, że miała mnie skopać jak psa, wyzwało w niej uczucia czułości. Bo Denise mnie lubiła. Powiedziała:

– Ach, czekasz? – a jej głos był wysoki i drżący, trochę niepewny, ale i wojowniczy.

Ludzie słabi, kiedy walczą, nigdy nie wiedzą, jak mocne są ich ciosy. Ona naturalnie nie była taka znowu słaba. Cała siła społecznego ładu stała po jej stronie. Ale zawsze czuła się kobietą słabą, dźwigającą liczne ciężary. Wstać rano z łóżka i zrobić śniadanie było prawie ponad jej siły. Jazda taksówką do fryzjera była także bardzo trudna. Piękna głowa była ciężarem dla pięknej szyi. Usiadła więc obok mnie, wzdychając. Nie była ostatnio w salonie piękności. Kiedy włosy miała wycieniowane przez fryzjera, jej oczy nie były już tak olbrzymie i nie wyglądała tak zwariowanie. Pończochy miała dziurawe, bo do sądu zawsze ubierała się jak łachmaniarka.

– Jestem kompletnie wykończona – powiedziała. – Nigdy nie śpię przed tymi wizytami w sądzie.

– Strasznie mi przykro – wymamrotałem.

– Ty też nie wyglądasz za dobrze.

– Dziewczynki mówią mi czasem: „Tatusiu, wyglądasz jak byk: taki szary i z taką obwisłą skórą”. Jak one się mają, Denise?

– Tak sobie. Tęsknią za tobą.

– To chyba normalne.

– Dla nich nic nie jest normalne. Tęsknią za tobą boleśnie.

– Produkujesz ból, jak Vermont produkuje syrop.

– Co chcesz, żebym powiedziała?

– Tylko „dobrze” albo „niedobrze” – odparłem.

– Syrop! Jak przyjdzie ci coś do głowy, zaraz musisz to z siebie wypluć. To twoja wielka słabość, twoja najgorsza pokusa.

Był to dzień, w którym starałem się dostrzec punkt widzenia drugiego człowieka. Skąd ludzie czerpią siłę? Denise postępowała słusznie, rozumiecie, przewyciężając uporczywą pokusę. Bywały chwile, kiedy tylko dlatego, że trzymałem buzię na kłódkę i nie mówiłem tego, co myślę, czułem, jak wzrasta moja siła. A jednak wydaje mi się, że nie wiem, co myślę, póki nie usłyszę, co mówię.

– Dziewczynki robią plany na Boże Narodzenie. Masz je zabrać na żywe obrazy do teatru Goodmana.

– Nie, nic z tego. To twój pomysł.

– Taka z ciebie ważna figura, że nie możesz zabrać ich na przedstawienie jak każdy normalny ojciec? Powiedziałeś im, że je weźmiesz.

– Ja? Nic podobnego. Sama im powiedziałaś, a teraz wyobrażasz sobie, że to ja mówiłem.

– Zostajesz przecież w mieście, prawda?

Prawdę mówiąc, wcale nie zamierzałem. Chciałem wyjechać w piątek. Nie zdążyłem jeszcze poinformować o tym Denise i teraz też nic nie powiedziałem.

– A może planujesz wyjazd z Renatą Tłuste Cycki?

Na tym poziomie nie mogłem się mierzyć z Denise. Znowu Renata! Nie pozwalała nawet dziewczynkom bawić się z małym Rogerem Koffritzem. Powiedziała kiedyś:

– Później zrobią się odporne na wpływ takich kurewek. Ale raz wróciły do domu, kręcąc tyłeczkami i od razu wiedziałam, że złamałaś obietnicę trzymania ich z daleka od Renaty. – Służba informacyjna Denise była niezwykle sprawna. Wiedziała na przykład wszystko o Haroldzie Flonzaleju. – Jak się ma twój rywal, ten przedsiębiorca pogrzebowy? – pytała mnie czasem. Bo zalotnik Renaty, Flonzaley, był właścicielem sieci zakładów pogrzebowych. Flonzaley, który utrzymywał kontakty handlowe z jej eks-mężem, miał furę pieniędzy, ale dyplom na uniwersytecie stanowym uzyskał, nie da się zaprzeczyć, z balsamowania. Nadawało to naszemu romansowi nieco ponure zabarwienie. Pokłóciłem się kiedyś z Renatą, bo jej mieszkanie pełne było kwiatów, a ja wiedziałem, że są to kwiaty z pogrzebu, pozostawione przez jakichś zrozpaczonych żałobników i dostarczone Renacie specjalnie do tego celu przeznaczonym cadillakiem Flonzaleja. Kazałem jej wyrzucić je do zsypu na śmieci. Flonzaley nadal o nią zabiegał.

– Pracujesz trochę? – spytała Denise.

– Nie za wiele.

– Po prostu grywasz w squash z Langobardim, odprężasz się w towarzystwie mafii? Wiem, że nie spotykasz się z żadnym z twoich poważnych znajomych z Midway. Durnwald dałby ci po nosie, ale jest w Szkocji. To wielka szkoda. Wiem, że nie przepada za Tłustymi Cyckami, nie bardziej ode mnie. I mówił mi kiedyś, jak mu się nie podoba ten twój koleżka Thaxter... i to, że dałeś się wciągnąć w „The Ark”. Prawdopodobnie wpakowałeś kupę pieniędzy w to pismo, a gdzie jest pierwszy numer? *Nessuno sa* – Denise uwielbiała operę, miała abonament do „Lyric” i często przytaczała cytaty z Mozarta albo Verdiego. *Nessuno sa* było z *Così fan tutte*. Gdzież znaleźć wierność niewieścią, śpiewa światowy mędrzec u Mozarta – *dove sia? dove sia? Nes-su-no sa!* I znów miała na myśli ciekawą skłonność Renaty do przestępstwa, a ja wiedziałem o tym doskonale.

– Prawdę powiedziawszy, właśnie spodziewam się Thaxtera. Może nawet dzisiaj.

– Jasne, zwali się na miasto jak cały zespół *Snu nocy letniej*. A ty wolisz pokrywać jego rachunki niż dawać pieniądze swoim dzieciom.

– Moje dzieci mają mnóstwo pieniędzy. Ty masz dom i setki tysięcy. Dostałaś całe pieniądze z *Trencka*, ty i adwokaci.

– Nie mogę utrzymać tej stodoły. Pokoje wysokie na cztery metry. Nie widziałeś rachunków za opał. Ale z drugiej strony mógłbyś wyrzucać pieniądze na gorszych ludzi niż Thaxter, co zresztą robisz. Thaxter przynajmniej ma styl. Naszą wyprawę do Wimbledonu urządził z wielkim gestem. Pamiętasz? Kosz zjedzeniem.

Szampan i wędzony łosoś od Harrodsa. Z tego, co słyszę, jego rachunki były wtedy pokrywane przez CIA. Dlaczego by nie namówić CIA, żeby płaciło za „The Ark”?

– Dlaczego CIA?

– Czytałem twój prospekt. Wydawało mi się, że to jest właśnie ten rodzaj poważnego intelektualnego pisma, jaki CIA mogłoby wykorzystać za granicą do propagandy. Wyobrażasz sobie, że jesteś czymś w rodzaju męża stanu od kultury.

– W tym prospekcie chciałem tylko powiedzieć, że Ameryka nie musi borykać się z niedostatkiem i że wszyscy czujemy się winni wobec ludzi, którzy ciągle po staremu walczą o chleb i wolność – stare, podstawowe problemy. My nie głodowaliśmy, nie mieliśmy policyjnych podsłuchów, nie byliśmy zamykani w domach wariatów za nasze poglądy, aresztowani, deportowani, wysyłani na przymusowe roboty i na śmierć w obozach koncentracyjnych. Oszczędzono nam holokaustów i nocy grozy. Będąc w tym korzystnym położeniu, powinniśmy dostarczać ludzkości formuł w nowych, zasadniczych sprawach. A tymczasem śpimy. Po prostu śpimy i śpimy, i jemy, i bawimy się, i robimy dużo szumu, i znowu śpimy.

– Kiedy się robisz uroczysty, jesteś po prostu fantastyczny, Charlie. A teraz bawisz się w mistycyzm i do tego utrzymujesz tę tłustą dziwkę, i do tego chcesz być sportowcem, i do tego ubierasz się jak goguś – wszystkie objawy umysłowego i fizycznego upadku. Jest mi tak strasznie przykro, naprawdę. Nie tylko dlatego, że jestem matką twoich dzieci, ale że miałaś kiedyś inteligencję i talent. Może pozostałbyś twórczy, gdyby żyli bracia Kennedy. Ich styl działania dawał ci poczucie odpowiedzialności i zdrowie psychiczne.

– Mówisz jak nieboszyk Humboldt. Chciał być Imperatorem Kultury przy Stevensonie.

– I jeszcze ten stary humboldtowski kac. Ciągle cię gnębi. On był twoim ostatnim prawdziwym przyjacielem.

W tych rozmowach, zawsze trochę nierealnych, Denise wierzyła, że jest zaniepokojona, troskliwa, nawet czuła. To, że była właśnie w gabinecie sędziego i wykopała pod mną jeszcze jeden prawniczy dołek, nie miało żadnego znaczenia. Jej zdaniem, byliśmy jakby Anglią i Francją, kochającymi się wrogami. Dla niej był to bardzo specjalny związek, pozwalający na inteligentną wymianę opinii.

– Ludzie mówią mi to i owo o tym doktorze Scheldcie, twoim mistrzu od antropozofii. Powiadają, że jest bardzo dobry i miły. Ale jego córka to prawdziwy mały kociak. Mała oportunistka. A do tego chce, żebyś się z nią ożenił. Jesteś groźną pokusą dla kobiet, które śnią w związku z tobą sny o sławie. Ale możesz się ukryć za biedną Demmie Vonghel.

Denise obsypywała mnie gradem pocisków, które dzień w dzień gromadziła w myślach i w sercu. Jednakże i tym razem jej informacje były bardzo ściśle. Podobnie jak Renata i stara Señora, panna Scheldt też mówiła o małżeństwach zawieranych między majem i grudniem, o szczęściu i twórczej sile Picassa w jego ostatnich latach, o Casalsie i Charlie Chaplinie, i sędzim Douglasie.

– Renata nie chce, żebyś był mistykiem, prawda?

– Renata się do tego nie miesza. Nie jestem mistykiem. A zresztą nie wiem, dlaczego słowo mistyk miało być czymś złym. Znaczy niewiele więcej niż słowo religia, które niektórzy ludzie ciągle jeszcze wymawiają z szacunkiem. Co nam mówi religia? Mówi, że jest coś w istotach ludzkich poza ciałem i mózgiem i że posiadamy możliwości poznania, które wykraczają poza organizm i jego zmysły. Zawsze w to wierzyłem. Może dlatego jestem nieszczęśliwy, że ignoruję moje własne metafizyczne przeczucia. Byłem na uniwersytecie, więc znam uczone odpowiedzi. Przeegzaminuj mnie z naukowego poglądu na świat, a uzyskam wysokie noty. Ale to wszystko jest tylko w głowie.

– Jesteś urodzonym dziwakiem, Charlie. Kiedy powiedziałeś, że zamierzasz pisać ten esej o nudzie, pomyślałam: „Macie go!” Teraz, beze mnie, degenerujesz się szybko. Czasem mam wrażenie, że nadajesz się, żeby cię uznać za umysłowo chorego albo oddać pod kuratelę. Dlaczego nie wracasz do tej książki o Waszyngtonie w latach sześćdziesiątych? To, coś drukował w pismach, było świetne. Mówiłeś mi mnóstwo innych rzeczy, które nigdy nie ukazały się w druku. Jeżeli zgubiłeś notatki, mogłabym ci przypomnieć. Jeszcze ciągle mogę cię uratować, Charlie.

– Myślisz, że potrafisz?

– Rozumiem pomyłki, któreśmy oboje popełnili. A twój styl życia jest już nazbyt groteskowy – te wszystkie dziewczyny, i sport, i podróże, a teraz jeszcze antropozofia. Twój przyjaciel Durnwald jest tobą przerażony. I wiem, że twój brat Juliusz też się niepokoi. Posłuchaj, Charlie, dlaczego się ze mną znowu nie ożenisz? Na początek moglibyśmy zakończyć naszą wojnę w sądzie. Powinniśmy się na nowo połączyć.

– Czy to poważna propozycja?

To jest coś, na czym dziewczynkom zależy najbardziej na świecie. Pomyśl nad tym. Nie prowadzisz zbyt radosnego życia. Jesteś w kiepskiej formie. Ja bym zaryzykowała. – Wstała i otworzyła torebkę. – Tu jest kilka listów, które przysły na stary adres.

Spojrzałem na znaczki.

– Są sprzed kilku miesięcy. Mogłaś mi je wcześniej oddać, Denise.

– Co za różnica? Zresztą dostajesz za dużo poczty. Na większość listów nie odpowiadasz, więc jaką masz z tego korzyść?

– Jeden list otworzyłaś i zakleiłaś z powrotem. To od wdowy po Humboldcie.

– Kathleen? Rozwiedli się na wiele lat przed jego śmiercią. No, ale nadchodzą twoi utalentowani prawnicy.

Do sali weszli Tomchek i Srole, a z drugiej strony zjawił się Ludożerca Pinsker w jasnożółtym, tweedowym, krzykliwym garniturze i szerokim żółtym krawacie, który leżał na koszuli jak omlet z serem, i w brązowych butach w dwóch odcieniach. Głowę miał groźnie włochatą. Był posiwiasty i nosił się jak stary zawodowy bokser. Zastanawiałem się, czym mógł być w poprzednim wcieleniu. Zastanawiałem się nad nami wszystkimi.

Ostatecznie nie rozmawialiśmy z Denise i Pinskerem, tylko z samym sędzią. Tomchek, Srole i ja weszliśmy do jego gabinetu. Sędzia Urbanovich, Chorwat czy może Serb, był pulchnym i łysym grubaskiem o trochę płaskiej twarzy. Ale był także serdeczny, bardzo cywilizowany. zaproponował nam filiżankę kawy. Tę jego serdeczność schowałem do szufladki z napisem CZUJNOŚĆ.

– Nie, dziękuję – powiedziałem.

– Mieliśmy już pięć rozpraw – zaczął Urbanovich. – Ten proces przynosi szkodę obu stronom – nie ich adwokatom, rzecz jasna. Zeznawanie przed sądem musi być czymś strasznym dla tak wrażliwej, twórczej osobowości jak pan Citrine... – Sędzia chciał, żebym odczuł ironiczny sens tych słów. Wrażliwość u dorosłego mieszkańca Chicago, jeżeli była autentyczna, stanowiła przypadek patologiczny, nadający się do leczenia, ale człowiek, którego dochód w najlepszych latach przekraczał dwieście tysięcy dolarów, trochę chyba przesadzał z tą wrażliwością. Wrażliwe roślinki nie robią takiej forsy. – Nie należy do rzeczy przyjemnych – zwrócił się teraz do mnie sędzia Urbanovich – być przesłuchiwanym przez pana Pińsk era. Jest wyznawcą twardej szkoły. Nie potrafi wymówić tytułów pańskich dzieł albo nazw francuskich, włoskich czy nawet angielskich firm, z którymi pan ma do czynienia. Poza tym trudno, żeby się komuś podobał jego krawiec, jego gust, jeżeli chodzi o koszule i krawaty...

Krótko mówiąc, byłoby przykro szczerze mnie tym obrzydliwym, ordynarnym debilem, ale jak nadal będę okazywał brak dobrej woli, sędzia spuści go ze smyczy.

– Trzy, cztery, pięć razy prowadziliśmy rozmowy z panią Citrine – powiedział Tomchek.

– Panów propozycje nie były zadowalające.

– Panie sędzio, pani Citrine otrzymała duże sumy – powiedziałem. – Proponujemy coraz więcej, a ona żąda coraz więcej. Jeżeli tym razem skapituluję, czy pan sędzia będzie mi mógł zagwarantować, że za rok nie znajdę się z powrotem w sądzie?

– Nie, ale mogę spróbować. Mogę uznać to za *res judicata*. Pański kłopot, panie Citrine, polega na tym, że dowiódł już pan swojej umiejętności zarabiania dużych pieniędzy.

– Ostatnio jest inaczej.

– Tylko dlatego, że jest pan zdenerwowany tą sprawą. Jeżeli zakończę sprawę, uwolnię pana i będzie pan mógł zarobić każdą sumę. Będzie mi pan wdzięczny...

– Panie sędzio, jestem człowiekiem starej daty, może nawet zbyt starej daty. Nigdy nie zdołałem się nauczyć metod masowej produkcji.

– Niech pan nie będzie taki przewrażliwiony na tym punkcie, panie Citrine. Mamy do pana zaufanie. Widzieliśmy pana artykuły w „Look” i „Life”.

– Ale „Life” i „Look” przestały wychodzić. One też są zbyt starej daty.

– Mamy pańskie zeznania podatkowe. Wynika z nich całkiem co innego.

– A jednak – powiedział Forrest Tomchek – popatrzmy na to w świetle realnych prognoz handlowych. Jak mój klient może przyrzec, że będzie produkował?

– Cokolwiek się zdarzy, jest nie do pomyślenia, żeby pan Citrine kiedykolwiek płacił mniej niż pięćdziesiąt procent podatku – oświadczył Urbanovich. – Więc jeżeli daje pani Citrine trzydzieści tysięcy rocznie, kosztuje go to zaledwie piętnaście tysięcy w rzeczywistych dolarach. Do pełnoletności najmłodszej córki.

– A więc przez następne czternaście lat, czyli aż będę miał koło siedemdziesiątki, muszę zarabiać sto tysięcy dolarów rocznie. Trochę mnie to rozśmieszyło, panie sędzio, nic na to nie poradzę. Cha! Cha! Nie sądzę, żeby mój mózg miał dość siły, a jest to mój jedyny majątek. Inni mają ziemię, czynsze, zapasy towarów, pensje dyrektorskie, zyski od kapitału, ochronę cen, ulgi na amortyzację, subsydia federalne. Ja nie mam takich przywilejów.

– Och, ale jest pan mądrym człowiekiem, panie Citrine. To oczywiste, nawet w Chicago. A zatem nie ma powodu, żeby rozpatrywać to jako sprawę specjalną. Przy podziale majątku na podstawie orzeczenia o rozwodzie pani Citrine dostała mniej niż połowę i twierdzi, że dokumenty były sfałszowane. Pan trochę buja w obłokach i prawdopodobnie nic pan o tym nie wiedział. Może dokumenty były sfałszowane przez innych. Tak czy inaczej w sensie prawnym pan jest odpowiedzialny.

Srole powiedział:

– Zaprzeczamy, jakoby zostało tu popełnione jakiegokolwiek oszustwo.

– Hm, nie uważam, że oszustwo jest tu sprawą najważniejszą – powiedział sędzia i otwartymi dłońmi zrobił lekceważący gest. Jego astrologicznym znakiem były najwyraźniej Ryby. Nosił malutkie spinki do mankietów w kształcie rybek zwiniętych ogonami do pyszczków.

– Jeżeli idzie o zmniejszoną wydajność pana Citrine’a w ostatnich latach, to jest to może rozmyślna chęć pokrzyżowania planów powódki. Albo też istotnie może być tak, że przechodzi kryzys psychiczny. – Sędzia bawił się doskonale. Widziałem to. Wyraźnie nie lubił Tomcheka, tego Napoleona Rozwodów, przyznawał, że Srole jest tylko popychadłem, a ja dostarczałem mu rozrywki. – Rozumiem doskonale problemy, jakie trapią intelektualistów, i wiem, że może się pan uwikłać w jakieś specjalne zainteresowania, które nie są zbyt zyskowe. Ale słyszę, że ten jakiś Maharishi, który uczy ludzi, jak wywijać język do tyłu i przesuwając nim po podniebieniu w taki sposób, żeby koniuszkiem mogli sięgnąć do własnych zatok, został multimilionerem. Na wiele pomysłów jest rynek i być może pana specjalne zainteresowania są bardziej lukratywne, niż pan przypuszcza – powiedział.

Antropozofia dawała wyraźne rezultaty. Niczego nie potrafiłem brać zbyt poważnie. Wszystko zabarwiała transcendencja, przez cały czas, bez chwili przerwy, mój duch zdawał się być z dala ode mnie. Opuszczał mnie i ulatywał przez okno, by poszybować sobie trochę nad placem. Lub też zrodzone z medytacji róże zaczynały jarzyć się w mojej głowie, na tle rosistej zieleni. Ale sędzia poddawał mnie ostremu badaniu, wykladał mi na nowo – bo może zapomniałem – czym jest dwudziesty wiek, decydował, jak mam spędzić resztę życia. Miałem przestać być rzemieślnikiem starego typu i przyjąć metody bezdusznej fabrykacji (Ruskin). Tomchek i Srole, po obu stronach biurka, w duchu zgadzali się i potakiwali. Nie mówili prawie nic. Opuszczony i zirytowany postanowiłem przemówić we własnej obronie.

– A więc to jeszcze około pół miliona dolarów. I nawet jeżeli wyjdzie ponownie za męża, chce mieć zagwarantowany dochód w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów?

– Tak, to prawda.

– A pan Pinsker żąda honorarium w wysokości trzydziestu tysięcy... dziesięć tysięcy dolarów za każdy miesiąc, jaki poświęcił sprawie?

– To naprawdę nie jest aż tak wygórowane żądanie – powiedział sędzia. – Jeżeli chodzi o honoraria, nie ucierpiał pan zbyt wiele.

– Wypada nie więcej niż pięćset dolarów za godzinę. Wyobrażam sobie, że tyle jest wart mój własny czas, szczególnie kiedy muszę robić coś, czego nie lubię.

– Panie Citrine – zwrócił się do mnie sędzia – prowadził pan życie mniej lub bardziej cygańskie. Teraz zakosztował pan smaku małżeństwa, rodziny, tych mieszczańskich instytucji, i chce się pan wycofać. Ale nie możemy panu pozwolić na takie igraszki.

Moja niewzruszona obojętność nagle się skończyła i poczułem silne podniecenie. Zrozumiałem, jakie pasje targały sercem Humboldta, kiedy go schwycili, skrupowali i pognali z nim do Bellevue. Człowiek utalentowany bił się z policjantami i sanitariuszami. A także, zbuntowany na społeczny ład, musiał jeszcze zwalczać swoją szekspirowską tęsknotę – tęsknotę za żarliwością mowy. Temu należało się przeciwstawić. Mogłem teraz krzyknąć pełnym głosem. Mogłem być wymowny i wzruszający. Ale co z tego, że wybuchnę jak Lir przed swymi córkami, jak Szajlok mówiący chrześcijanom prawdę w oczy? Wypowiadanie płomiennych słów nic by mi nie dało. Córki i chrześcijanie rozumieli. Tomchek, Srole i sędzia – nie. Przypuśćmy, że zacząłbym coś wykrzykiwać na temat moralności, natury ludzkiej i sprawiedliwości, i zła, o tym jakie to uczucie być mną, Charlie Citrinem? Czy ten sąd nie był świątynią sprawiedliwości, forum sumienia? I czyja sam, na swój własny, chaotyczny sposób, nie próbowałem dać światu czegoś dobrego? Tak, i chociaż zawsze dążyłem do wyższych celów, nigdy się zresztą do nich nawet nie zbliżywszy, teraz – kiedy się starzałem, słabłem, traciłem otuchę, zwątpiłem w moją wytrzymałość, ba, nawet w moje zdrowie psychiczne – oni chcieli mnie zaprząć do jeszcze cięższego wozu na ostatnie dziesięć czy ileś tam lat życia. Denise myliła się, mówiąc, że wypływam z siebie wszystko, co tylko mi przyjdzie do głowy. O, nie! Skrzyżowałem ręce na piersiach i trzymałem język za zębami, ryzykując, że mi serce pęknie od tego milczenia. Poza tym, jeśli idzie o sztukę cierpienia, byłem zaledwie gdzieś w środku skali, może nawet niżej. Dlatego z szacunku dla autentycznego cierpienia zamknąłem się w swojej skorupie. Prze weksłowałem swoje myśli na inny tor. W każdym razie próbowałem to zrobić. Zastanawiałem się, o czym pisze mi Kathleen Fleisher Tigler.

Ci faceci byli bardzo twardzi. Okazywali mi względy tylko z uwagi na moje dobra doczesne. Gdyby nie to, byłbym już dawno siedział za stalowymi siatkami okręgowego więzienia. Co do Denise, tej cudownej wariatki o wielkich fiołkowych oczach, cienkim nosku pokrytym delikatnym meszkiem i łamiącym się, wojowniczym głose – przypuśćmy, że ofiarowałam jej cały mój majątek? To by niczego nie zmieniło, chciałyby dostać jeszcze więcej. A sędzia? Sędzia pochodził z Chicago, był politykiem, a jego afery polegały na wymierzaniu jednakowej sprawiedliwości pod egidą prawa. Rządy prawa? Raczej rządy prawników. Nie, nie, zapalczliwość serca i płomienne słowa tylko pogorszyłyby sprawę. Nie, ta gra nazywa się milczenie, hart i milczenie. Nie będę mówił. Róża lub coś, co żarzyło się jak róża, narzuciło mi się nagle, poruszało się przez chwilę w mojej czaszce i poczułem, że ta moja decyzja została zatwierdzona.

Sędzia zaczął mnie teraz bombardować na serio.

– O ile wiem, pan Citrine często wyjeżdżał z kraju i znowu zamierza wyjechać za granicę.

– Pierwsze słyszę – oświadczył Tomchek. – Wyjeżdżasz gdzieś?

– Na święta Bożego Narodzenia – powiedziałem. – Czy są jakieś powody, żebym nie jechał?

– Nie ma żadnych – rzekł sędzia – jeżeli nie próbuje pan uciec przed wymiarem sprawiedliwości. Powódka i pan Pinsker sugerują, że pan Citrine zamierza wyjechać z kraju na stałe. Twierdzą, że nie odnowił umowy najmu mieszkania i że sprzedaje swoje cenne zbiory wschodnich dywanów. Przyjmuję, że nie istnieją żadne rachunki na hasło w bankach szwajcarskich. Ale dlaczego nie miałby zabrać swojej głowy, która jest jego największym skarbem, do Irlandii albo Hiszpanii, a więc krajów, które nie mają z nami żadnych umów o ekstradycji?

– Czy są na to jakieś dowody, panie sędzio? – spytałem.

Adwokaci zaczęli omawiać tę sprawę, a ja próbowałem dociec, skąd Denise dowiedziała się, że wyjeżdżam. Renata naturalnie mówiła o wszystkim Señorze, a Sefiora, zarabiająca na kolację plotkowaniem po całym Chicago, musiała zdobywać błyskotliwe tematy do plotek. Wolałaby chyba umrzeć, niż nie mieć nic ciekawego do opowiedzenia przy stole. Ale było też możliwe, że siatka szpiegowska Denise ma swojego człowieka w biurze podróży Poliakoffa.

– Te częste loty do Europy mają, jak się przypuszcza, pewien cel. – Sędzia Urbanovich trzymał teraz rękę na zaworze i coraz bardziej zwiększał temperaturę. Jego jowialne spojrzenie mówiło bardzo jasno: „Uważaj!” I nagle Chicago nie było już moim miastem. Stało się zupełnie nie do poznania. Wyobrażałem sobie tylko, że tu wyrosłem, że znam to miasto i że ono mnie zna. W Chicago moje osobiste cele były bzdurą, mój pogląd na świat obcą ideologią, i nagle zrozumiałem, co sędzia do mnie mówi. Mówił mianowicie, że zdołałem uniknąć wszystkich Pinskerów-Ludożerców i uwolniłem się od nieprzyjemnych stron rzeczywistości. On, Urbanovich, człowiek równie zdolny jak ja, obdarzony podobną wrażliwością, a także, łysina nie łysina, lepszymi warunkami zewnętrznymi, zdążył już wywiązać się ze wszystkich swoich zobowiązań społecznych, grał w golfa z wszystkimi Pinskerami i z wszystkimi jadł lunch. Musiał się z tym pogodzić jako człowiek i obywatel, podczas gdy ja mogłem swobodnie żeglować w dół i w górę szybów wind, wyczekując, aż jakieś ładne stworzenie – „moje Fatum!” – obdarzy mnie uśmiechem, kiedy otworzą się drzwi. Już oni dadzą mi Fatum!

– Powódka prosi o wydanie nakazu *ne exeat*. Zastanawiam się, czy nie należałoby wyznaczyć kaucji – powiedział Urbanovich. – Dajmy na to dwieście tysięcy.

Tomchek zapytał oburzony:

– Bez dowodów na to, że mój klient ucieka?

– To człowiek bardzo roztargniony, panie sędzio – wtrącił Srole. – Niepodpisanie umowy najmu to dla niego zwykłe przeoczenie.

– Gdyby pan Citrine był właścicielem małego sklepu, małej fabryczki, gdyby praktykował w wolnym zawodzie albo miał posadę w jakiejś instytucji – rzekł Urbanovich – nagła ucieczka nie wchodziłaby w rachubę. – Przyglądał mi się okrągłymi, straszliwie niefrasobliwymi oczami, z namysłem.

– Citrine spędził życie w Chicago, jest znaną postacią w tym mieście – dowodził Tomchek.

– Dowiaduję się, że w ciągu tego roku ulotniło się bardzo dużo pieniędzy. Wolę nie mówić, że zostały roztrwonione, ostatecznie są to pieniądze pana Citrine’a. – Urbanovich zajrzał do notatek. – Znaczne straty w wydawnictwie „The Ark”. Kolega, pan Thaxter... bardzo duże długi.

– Czy to ma znaczyć, że nie są to prawdziwe straty i że Citrine chowa gdzieś pieniądze? To są zarzuty i podejrzenia pani Citrine – powiedział Tomchek. – Czy sąd uznaje je za fakty?

Sędzia oświadczył:

– To jest prywatna rozmowa w moim gabinecie i nic więcej. Jednakże wobec niezaprzeczalnego faktu, że nagle ulatnia się tyle pieniędzy, jestem zdania, że pan Citrine powinien przedstawić mi pełne i aktualne zestawienie finansowe, żebym mógł w razie potrzeby ustalić wysokość kaucji. Nie odmówi pan tego, prawda, panie Citrine?

O, niedobrze! Bardzo niedobrze! Może mimo wszystko Cantabile miał dobry pomysł – najechać na nią ciężarówką, zabić to ścierwo.

– Będę musiał posiedzieć nad tym z moim księgowym, panie sędzio – powiedziałem.

– Panie Citrine, ma pan minę człowieka prześladowanego. Ufam, że pan rozumie, że jestem bezstronny i postąpię sprawiedliwie wobec obu stron. – Kiedy sędzia się uśmiechał, pewne mięśnie, które nigdy się nie rozwijają u osób niesubtelnych, stawały się nagle widoczne. Ciekawe. Do jakich celów natura przeznaczała z początku takie mięśnie? – Ja osobiście nie myślę, że ma pan zamiar uciec. Pani Citrine przyznaje, że jest pan bardzo kochającym ojcem. Ale ludzie wpadają czasem w rozpacz i wtedy łatwo dają się namówić do nieprzemyślanych kroków.

Chciał, żebym wiedział, że moje stosunki z Renatą nie są tajemnicą.

– Mam nadzieję, panie sędzio, że pani Citrine i pan Pinsker zostawią mi jakąś drobną sumkę na życie.

A potem my, grupa pozwanego, znaleźliśmy się znowu na korytarzu z jasnoszarych, cętkowanych, ciężkich bloków polerowanego kamienia i Srole powiedział:

– Charles, dokładnie tak, jak ci mówiłem, to właśnie jego metoda. Teraz powinieneś być przerażony i błagać nas, żebyśmy załatwili sprawę polubownie i ratowali cię przed masakrą i rozszarpaniem na kawałki.

– No cóż, metoda daje efekty – powiedziałem. Żałowałem, że nie mogę rzucić się z tego urzędowego wieżowca, zdobnego niezliczonymi kwadracikami, w jakieś inne życie, zniknąć na zawsze. – Jestem przerażony – dodałem. – I marzę o tym, żeby załatwić sprawę polubownie.

– Tak, ale nie możesz. Ona się na to nie zgodzi – powiedział Tomchek. – Będzie tylko udawać, że się zgadza. Ona nie chce słyszeć o żadnym kompromisie. O tym pisze się w książkach i wszyscy psychoanalitycy, z którymi kiedykolwiek jadłem kolację i rozmawiałem na ten temat, mówili zawsze to samo: kastracja, do tego rzecz się sprowadza, kiedy kobiecie zależy na pieniądzach.

– Nie jest dla mnie jasne, dlaczego Urbanovichowi tak bardzo zależy na tym, żeby jej pomagać.

– Jemu się wydaje, że to świetna zabawa – odezwał się Srole. – Często tak myślę.

– A w końcu większa część pieniędzy pójdzie na koszty sądowe i adwokatów – powiedziałem. – Czasem zadaję sobie pytanie, czyby nie zrezygnować z wszystkiego i nie złożyć ślubów ubóstwa... – Ale było to czcze teoretyzowanie. Owszem, mogłem się wyrzec mojej skromnej fortuny i żyć, i umrzeć w pokoju hotelowym jak Humboldt. Miałem lepsze warunki do prowadzenia życia intelektualisty, bo nie byłem cyklofrenikiem, i mogło mi to bardzo odpowiadać. Tylko że nie odpowiadałoby to mi w wystarczającym stopniu. Bo wtedy skończyłyby się Renaty, skończyłoby się życie erotyczne i skończyłyby się te związane z nim podniecające niepokoje, które więcej dla mnie może znaczyły niż sam seks. Śluby ubóstwa nie były ślubami, jakich oczekiwała Renata.

– Kaucja, najgorsza jest kaucja. To cios poniżej pasa – powiedziałem. – Naprawdę uważałem, że powinniście byli ostrzej się sprzeciwić. Trochę powalczycь.

– Ale o co tu walczyć? – spytał Billy Srole. – To wszystko blef. On nie ma się do czego przyczepić. Zapomniałeś podpisać umowę najmu. Wyjeżdżasz często do Europy. To mogą być wyjazdy w sprawach zawodowych. Ale posłuchaj, jak się to dzieje, że ta kobieta wie o każdym kroku, który zamierzasz zrobić?

Byłem pewien, że pani Da Cintra z biura podróży, ta w kaszmirowym turbanie, przekazywała Denise informacje, bo Renata była dla niej niegrzeczna, nawet arogancka. A co do tego, że Denise wiedziała o moich czynnościach, mogłem przytoczyć pewną analogię. Rok wcześniej zabrałem moje córki na wędrowną po Dalekim Zachodzie i byliśmy nad jakimś jeziorem z bobrami. Na brzegu służba leśna ustawiła tablice z opisem cyklu życiowego bobra. Zwierzęta nic o tym nie wiedziały i w dalszym ciągu coś gryzły, budowały tamy, jadły

i rozmnażały się. Mój przypadek był bardzo podobny. U Denise było zupełnie jak we włoskich tekstach Mozarta, które tak lubiła: *Tutto tuttogiassi sa*. Wszystko, wszystko o mnie było wiadomo.

Zorientowałem się teraz, że uraziłem Tomcheka, krytykując jego podejście do sprawy kaucji. Więcej, rozwścieczyłem go. Jednakże dla ratowania stosunków z klientem użył sobie trochę na Denise.

– Jak mogłeś się ożenić z taką podłą zmiją! – wykrzyknął. – Gdzie, u diabła, miałeś oczy! Jesteś podobno mądrym człowiekiem. A jeżeli taka baba postanawia zaszczyć cię na śmierć, to czego możesz się spodziewać po dwóch adwokatach? – Zasapawszy się z irytacji, nie mógł nic więcej powiedzieć, tylko wsadził teczkę pod pachę i poszedł.

Chciałem, żeby Srole zrobił to samo, ale on uważał, że musi mi powiedzieć, jak doskonała jest moja sytuacja z prawnego punktu widzenia (dzięki niemu). Tarasował mi drogę, powtarzając, że Urbanovich nie może położyć aresztu na moich pieniądzech. Nie ma podstaw.

– Ale w najgorszym razie, gdyby jednak wyznaczył kaucję, ja znam faceta, który może ci załatwić kupno nieopodatkowanych obligacji miejskich, żebyś nie tracił dochodu z zamrożonych pieniędzy.

– Dobrze pomyślane – powiedziałem.

Żeby się uwolnić od niego, skręciłem do toalety. Ale ponieważ poszedł tam za mną, schroniłem się do jednej z kabin i wreszcie mogłem spokojnie przeczytać list Kathleen.

* * *

Jak było do przewidzenia, Kathleen zawiadomiła mnie o śmierci swojego drugiego męża, Franka Tiglera, który zginął w wypadku na polowaniu. Znałem go dobrze, bo kiedy musiałem siedzieć sześć tygodni w Nevadzie, żeby dostać rozwód, byłem płatnym gościem na ranczo, które prowadzili dla turystów. Ta samotna, na pół zrujnowana, zapomniana przez Boga i ludzi posiadłość leżała nad Volcano Lake. Moje stosunki z Tiglerem były naprawdę pamiętne. Miałem nawet prawo twierdzić, że mu ocaliłem życie, bo jak kiedyś wypadł z łodzi, skoczyłem do wody na ratunek. Ratunek? To wydarzenie nigdy nie wydawało mi się godne tego określenia. Ale Tigler był kowbojem, który nie umiał pływać, zupełnym kaleką, kiedy nie siedział w siodle. Na ziemi, w wysokich butach i kowbojskim kapeluszu, zdawał się mieć przetrącone kolana, więc jak wpadł do wody – z tą swoją dumną, brązową twarzą, krzaczastymi rudymi brwiami i pałakowatymi od konnej jazdy nogami – skoczyłem za nim natychmiast, bo woda nie była jego żywiołem. Umiał się poruszać tylko na stałym lądzie. Więc dlaczego siedzieliśmy w tej łodzi? Bo Tigler koniecznie chciał łowić ryby. Był nie tyle rybakiem, ile człowiekiem zawsze chętnym do zdobycia czegoś za darmo. A była wiosna i płynęły ławice ryb toobie. Tobbie, istny zabytek biologiczny, spokrewniony z latimerią z Oceanu Indyjskiego, żyły w Volcano Lake i wynurzały się z wielkiej głębokości na tarło. Gromady ludzi, przeważnie Indianie, polowały na nie oszczepami. Ryby były niezdarne, wyglądały dziwnie, jak żywe skamieliny. Suszono je na słońcu, zasmradzały całą indiańską wioskę. Takie określenia, jak „przejrzysty”, „elektryzujący” doskonale pasują do wód Volcano Lake. Kiedy Tigler wpadł do wody, przestraszyłem się, że mogę go już więcej nie zobaczyć, bo Indianie mówili mi, że jezioro ma kilka mil głębokości i rzadko kiedy zwraca ciała topielców. Więc skoczyłem i zimno było istotnie elektryzujące. Wepchnąłem Tiglera z powrotem do łodzi. Nie przyznał się, że nie umie pływać. Nie przyznał się do niczego, nie powiedział nic, tylko złapał oszczep i przyciągnął nim swój unoszący się na wodzie kapelusz. W kowbojskich butach miał pełno wody. o podziękowanie nikt nie prosił, ani też nikt go nie złożył. Była to sprawa między dwoma mężczyznami. Milczący, męski Zachód, tak to odczuwałem. Indianie z pewnością pozwoliliby mu utonąć. Nie chcieli tu białych ludzi, którzy przybywali w łodziach owładnięci żądzą zdobycia czegoś za darmo i zabierali im ich ryby. Poza tym nienawidzili Tiglera, bo podbijał ceny, oszukiwał i pozwalał swoim koniom paść się, gdzie popadło. Ponadto – Tigler sam mi o tym mówił – czerwonoskórzy nie przeszkadzali śmierci, tylko po prostu jak gdyby przyzwalali, żeby nastąpiła. Kiedyś, powiedział mi, w jego obecności pewien Indianin zwany Winnemucca został postrzelony przed budynkiem poczty. Nikt nie wezwał lekarza i ranny wykrwawił się na śmierć na ulicy, gdy tymczasem mężczyźni, kobiety i dzieci, siedzący na ławkach i w swoich starych samochodach, przyglądali się temu w milczeniu. Ale teraz, tkwiąc na wysokim piętrze siedziby okręgu, widziałem westernową postać nieboszczyka Tiglera, jakby odlaną w brązie, obracającą się w naelektryzowanej lodowatej wodzie, a potem ujrzałem siebie – chłopca, który nauczył się pływać w małym zbiorniku chlorowanej wody w Chicago – śmigającego za nim niczym wydra.

Z listu Kathleen dowiedziałem się, że padł na posterunku. „Dwaj faceci z Mili Valley w Kalifornii chcieli zapolować na jelenia kuszami, pisała Kathleen. Frank był przewodnikiem i zawiózł ich w góry. Wybuchła jakaś awantura z gajowym. Zdaje się, że poznałeś tego gajowego, to Indianin, nazywa się Tony Calico, był na wojnie koreańskiej. Okazało się, że jeden z myśliwych ma przeszłość kryminalną. Biedny Frank bardzo lubił być

trochę na bakier z prawem. W tym wypadku nie był, ale coś z tego unosiło się jakby w powietrzu. W ciężarówce były dubeltówki. Nie chcę wchodzić w szczegóły, są zbyt bolesne. Frank sam nie strzelał, ale był jedynym, który został trafiony.

Umarł z upływu krwi, zanim Tony zdążył przywieźć go do szpitala.

To był straszny cios dla mnie, Charlie, pisała dalej. Wiesz, byliśmy małżeństwem dwanaście lat. W każdym razie, żeby za dużo o tym nie mówić, odbył się wielki pogrzeb. Hodowcy kłusaków przyjechali z trzech stanów. Ludzie, z którymi łączyły go interesy. Z Las Vegas i Reno. Był bardzo lubiany”.

Wiedziałem, że Tigler brał udział w niejednym rodeo, był ujeżdżaczem dzikich koni, zdobywcą wielu nagród i cieszył się pewnym szacunkiem wśród koniarzy, ale wątpię, żeby ktokolwiek darzył go miłością – z wyjątkiem Kathleen i jego starej matki. Cały niewielki dochód z rancza dla turystów pakował w swoje kłusaki. Niektóre z tych koni były rejestrowane na podstawie fałszywych papierów, bo ich ojcowie zostali wycofani z toru pod zarzutem, że dawano im środki podniecające lub jakieś leki. Zasada dziedzicznej dyskwalifikacji była bardzo ściśle przestrzegana i Tigler pewnie ją obchodził za pomocą sfałszowanych dokumentów. Wobec tego przenosił się z toru na tor i kazał Kathleen pilnować interesu. Co prawda, niewiele było do pilnowania. Frank doił z rancza każdy grosz, żeby kupować paszę i przyczepy do przewozu koni. Domki dla gości murszały i rozpadały się. Przypominały mi walącą się kurzą fermę Humboldta. Kathleen znalazła się w identycznych tarapatach w Nevadzie. Przeznaczenie – wewnętrzne przeznaczenie – było dla niej zbyt silne. Tigler oddał jej rancho w zarząd i powiedział, żeby nic nie płaciła z wyjątkiem najważniejszych rachunków za konie, a i te tylko na wyraźne i ostre żądanie.

Miałem mnóstwo własnych kłopotów, ale podwójna samotność Kathleen – najpierw w New Jersey, potem na Zachodzie – głęboko mnie wzruszyła. Oparłem się o przegrodę ubikacji w siedzibie okręgu, by padające z góry światło lepiej oświetliło list, pisany na maszynie z wyblakłą taśmą. „Wiem, że lubiłeś Tiglera, Charlie. Tak przyjemnie spędzałeś z nim czas, kiedy łowiliście pstrągi i grali w pokera. To pozwalało ci zapomnieć o własnych zmartwieniach”.

Tak rzeczywiście było, chociaż Tigler wściekał się, kiedy złapałem pierwszego pstrąga. Łowiliśmy z jego łodzi i używałem jego przynęty, więc oświadczył, że to jego pstrąg. Urządził taką scenę, że cisnąłem mu rybę na kolana. Otoczenie było niesamowite. Sceneria nie miała nic wspólnego z rybami – wszędzie nagie skały, żadnych drzew, przenikliwie pachnąca bylica i obłoki pyłu marglowego po każdym przejeździe ciężarówki.

Jednakże Kathleen nie po to do mnie pisała, żeby porozmawiać o Tiglerze. Napisała, bo pytał o mnie Orlando Huggins. Humboldt coś mi zostawił. Huggins był wykonawcą jego testamentu. Huggins, ten stary lewicowy playboy, był uczciwym człowiekiem, w gruncie rzeczy godnym szacunku. On też wielbił Humboldta. Kiedy ja zostałem zdemaskowany jako ten, który sprzeniewierzył się braterstwu krwi, do uporządkowania spraw zawodowych Humboldta wezwano właśnie Hugginsa. Zabrał się do tego z entuzjazmem. Potem Humboldt zarzucił mu oszustwo i groził, że go poda do sądu. Ale pod koniec Humboldt najwidoczniej odzyskał jasność umysłu. Zrozumiał, kto jest jego prawdziwym przyjacielem, i mianował Hugginsa zarządcą swojej schedy. Kathleen i ja zostaliśmy wymienieni w testamencie. Nie powiedziała, co jej zostawił, ale nie mógł mieć wiele do dawania. Kathleen wspominała jednak, że Huggins przekazał jej list pośmiertny Humboldta. „Mówił o miłości i sprawach ludzkich, które zaniedbał, pisała. Wspominał starych przyjaciół, Demmie i ciebie, a także dobre stare czasy w Greenwich Village i na wsi”.

Nie potrafię powiedzieć, dlaczego te stare czasy były takie dobre. Wątpię, czy Humboldt miał choć jeden dobry dzień w całym swoim życiu. Między przypływami i odpływami, między mrocznymi niepokojami manii i depresji, miał dobre okresy. Być może nie więcej niż dwie kolejne godziny spokoju i opanowania. Ale Humboldt mógł wywierać na Kathleen urok z przyczyn, których dwadzieścia pięć lat temu nie rozumiałem, bo brakowało mi jeszcze dojrzałości. Była dużą, masywną kobietą, której głębsze uczucia pozostawały niewidoczne, ponieważ zachowywała się tak spokojnie. Humboldt natomiast miał w sobie szlachetność, nawet w momentach obłędu. Nawet wtedy był wiemy pewnym naprawdę bardzo wielkim sprawom. Pamiętam, jak błyszczały mu oczy, kiedy zniżył głos, żeby wymówić słowa: „Łatwo cię będę mógł znów rozplómić”⁸, wypowiedane przez człowieka, który ma za chwilę popełnić morderstwo, lub kiedy powtarzał słowa Kleopatry: „Dusza ma wzdycha do nieśmiertelności”⁹. Ten człowiek głęboko kochał sztukę. A my kochaliśmy go właśnie za to. Nawet kiedy szerzyła się zgnilizna, w Humboldcie były miejsca nie ulegające zepsuciu, które nie wygniły. Ale pragnął chyba, żeby Kathleen go chronić, kiedy popadał w stany, które były nieodzowne poecie. Owe wzniosłe stany rozmarzenia, nieustannie burzone i niweczone salwami amerykańskiej krytyki – tak,

8 W. Szekspir, *Otello*, akt V, scena 2, przełożył J. Paszkowski.

9 W. Szekspir, *Antoniusz i Kleopatra*, akt V, scena 2, przełożył L. Ulrich.

Humboldt pragnął, żeby Kathleen ratowała je dla niego. Oczarowanie. Robiła, co mogła, żeby mu dopomóc je osiągnąć. Ale on nigdy nie mógł wydobyć z siebie dość zachwytu lub marzenia, by się w nie otulić. Nie okrywały go całego. Jednakże dobrze widziałem, czego Kathleen usiłuje dokonać, i podziwiałem ją za to.

Czytałem dalej. Przypominała mi o naszych długich rozmowach pod drzewami na rancho Tiglera. Przypuszczam, że opowiadałem jej wtedy o Denise, pragnąc się usprawiedliwić. Pamiętam jeszcze drzewa, o których wspominała, kilka klonów i topól. Tigler reklamował wesołą atmosferę swojego ranczo, ale wyblakłe deski na szafasach paczyły się i odpadały, a dno pływalni było całe splekane i pokryte liśćmi i szlamem. Płot walił się i klacze Tiglera wędrowały wszędzie bez przeszkód, niczym piękne, nagie matrony. Kathleen miała na sobie drelichowy kombinezon, a jej kraciasta bluzka była tak sprana, że przypominała ektoplazmę. Pamiętam Tiglera, jak przykucnąwszy, odmalowywał swoje wabiki. Nie mógł wtedy mówić, bo szczękę miał złamaną przez kogoś, kto się wściekł na widok rachunku za jedzenie, i zadrutowaną na głucho. Przez ten tydzień nie było też żadnych wygód, goście marzli, w kranach brakło wody. Tigler twierdził, że wycieczkowicze lubią taki właśnie Zachód. Nie przyjeżdżają tu po to, żeby ich rozpieszczano. Chcą prostoty i prymitywu. Ale mnie Kathleen powiedziała:

– Nie dam temu wszystkiemu rady dłużej niż dwa dni.

Na szczęście nawinęła się jakaś wytwórnia, która kręciła film o hordach Mongołów, i Tigler został zaangażowany jako ekspert od koni. Rekrutował Indian, którzy mieli nosić watowane azjatyckie stroje, galopować z wrzaskiem i wyczyniać różne sztuczki w siodle. Dla Volcano Lake to była gratka. Całą zasługę przypisywał sobie ojciec Edmund, duchowny kościoła episkopalnego, który za młodu był gwiazdorem filmu niemego i odznaczał się wielką urodą. Na ambonie nosił wspaniałe stare szlafrociki. Wszyscy Indianie byli zbzikowani na punkcie kina. Szeptali między sobą, że stroje pastora były darem Marion Davis albo Glorii Swanson. Ojciec Edmund mówił o sobie, że to on dzięki swoim znajomościom w Hollywood, nakłonił wytwórnię do przyjazdu nad Volcano Lake. Tak czy inaczej, Kathleen poznała różnych ludzi z filmu. Wspominam o tym, bo w swoim liście mówiła o sprzedaży rancza i oddaniu Mamy Tigler na garnuszek jakiejś rodzinie w Tungsten City, podczas gdy sama miała podjąć pracę w przemyśle filmowym. W chwilach przełomowych ludzie często zaczynają się interesować kinem. Albo to, albo mówią o powrocie do nauki i zdobyciu dyplomu. Chyba ze dwadzieścia milionów Amerykanów marzy o powrocie do college'u. Nawet Renata wciąż twierdziła, że się zapisze na uniwersytet De Paul.

Wróciłem na salę posiedzeń po mój fircykowaty, młodzieżowy płaszcz w kratę, głowiąc się nad tym, skąd wezmę pieniądze, jeżeli Urbanovich wyznaczy mi kaucję. Cóż to za łajdak ten łysy chorwacko-amerykański sędzia. Nie znał ani moich dzieci, ani Denise, ani mnie – jakim prawem chciał mi zabrać pieniądze zarobione w trudzie myśli i gorączce, zdobyte dzięki owym szczególnym działaniom mózgu! O tak, potrafiłem być wspaniałomyślny także wtedy, kiedy w grę wchodziły pieniądze. Zaiste, niechaj wezmą wszystko! I mógłbym wypełnić kwestionariusz psychologiczny razem z najlepszymi z najlepszych, pewien, że jeśli idzie o wspaniałomyślność, znajdę się wśród pierwszych dziesięciu procent ankietowanych. Ale Humboldt – byłem dziś zaprzątnięty Humboltem – często mi zarzucał, że staram się spędzić życie na górnych piętrach wyższej świadomości. Wyższa świadomość, mówił Humboldt, przemawiając mi do sumienia, jest „niewinna, nieświadoma zła, jakie w niej tkwi”. Kiedy próbujesz żyć wyłącznie w sferze wyższej świadomości, żyć czystym rozsądkiem, widzisz zło w innych, nigdy w sobie. Stąd Humboldt przechodził do twierdzenia, że w podświadomości, w irracjonalnym jądrze spraw, pieniądź jest substancją życiodajną, jak krew czy płyny, które odświeżają tkanki mózgu. Ponieważ zawsze tak poważnie mówił o wyższej użyteczności pieniądza, może w swojej ostatniej woli zwrócił mi moje sześć tysięcy siedemset sześćdziesiąt kilka dolarów? Skąd, nie mógł tego zrobić! Umarł bez grosza w domu noclegowym. Ale sześć tysięcy dolarów nie na długo by mi teraz starczyło. Jeden tylko Szathmar był mi winien więcej. Pożyczyłem Szathmarowi pieniądze na kupno mieszkania w bloku. No i był jeszcze Thaxter. Thaxter, przez zaniedbanie spłaty pożyczki, kosztował mnie pięćdziesiąt akcji IBM, złożonych jako dodatkowa gwarancja. Po wielokrotnych ostrzeżeniach bank, z moralizatorskimi gestami i wyrazami żalu, niemal płacząc, że zostałem tak okrutnie wykantowany przez nieuczciwego przyjaciela, zabrał te akcje. Thaxter zwrócił mi uwagę, że tę stratę można potracić przy podatku. Zarówno on, jak Szathmar często pocieszali mnie w ten sposób. A także przez odwoływanie się do godności i wartości absolutnych. (Czyż ja sam nie dążyłem do wspaniałomyślności i czy przyjaźń nie była rzeczą o wiele ważniejszą od pieniędzy?) Ludzie utrzymywali mnie w stanie bankructwa. I co miałem teraz robić? Byłem winien wydawcom około siedemdziesięciu tysięcy dolarów w zaliczkach na książki, których nie mogłem napisać, bo byłem na to zbyt bezwolny. Zupełnie przestałem się nimi interesować. Mogłem sprzedać moje wschodnie dywany. Powiedziałem Renacie, że mi się znudziły, a ona знаła ormiańskiego handlarza, który był skłonny wziąć je w komis. Teraz, kiedy obce waluty szły gwałtownie w górę i wzbogaceni na nafcie Persowie nie chcieli już siedzieć przy krosnach, niemieccy i japońscy kupcy wyprawiali się na Środkowy Wschód i wywozili dywany.

Co do mercedesa, może byłoby lepiej go się pozbyć. Zawsze byłem wytracony z równowagi, kiedy musiałem martwić się o pieniądze. Czułem się jak marynarz spadający z masztu albo zawieszony w powietrzu człowiek myjący okna, któremu pasy bezpieczeństwa zacisnęły się pod pachami. Czułem ucisk wokół klatki piersiowej i wydawało mi się, że jestem pozbawiony tlenu. Myślałem czasem, żeby trzymać butlę z tlenem w szafie z ubraniami, właśnie na takie chwile załamania. Naturalnie powinienem otworzyć konto na hasło w jednym z banków szwajcarskich. Jak to się stało, że spędziwszy większą część życia w Chicago, nie pomyślałem nigdy o zaangażowaniu agenta handlowego? Bo co miałem teraz do sprzedania? Thaxter trzymał u siebie moje dwa artykuły, mianowicie wspomnienia o Waszyngtonie z okresu Kennedy'ego (dziś już tak odległym w czasie, jak założenie zakonu kapucynów) i esej z nie dokończonych serii pt. „Wielcy nudziarze współczesnego świata”. Tu nie było widoków na pieniądze. Uważałem, że seria jest doskonała, ale kto by chciał wydać poważne studium o nudziarzach?

Byłem już nawet skłonny rozważyć plany George'a Swiebla dotyczące kopalni berylu w Afryce. Szydziłem z nich, kiedy George je wysunął, ale jeszcze bardziej zwariowane pomysły okazywały się rozsądne w sensie handlowym, a ponadto nikt nigdy nie wie, w jakiej postaci zjawi się przed nim zaczarowany kot Dicka Whittingtona. Człowiek nazwiskiem Ezekiel Kamuttu, który dwa lata temu był przewodnikiem George'a po wąwozie Olduvai, twierdził, że jest właścicielem całej góry berylu i kamieni półszlachetnych. W tej chwili pod łóżkiem George'a leżał worek z egzotycznej juty, pełen niezwykłych minerałów. George dał mi wełnianą skarpetkę napełnioną tymi kamieniami i prosił, żebym zaniósł je do Muzeum Fielda i dał do zbadania Benowi Isvolsky'emu, naszemu koledze szkolnemu, obecnie geologowi. Trzeźwy Ben oświadczył, że są prawdziwe. Natychmiast porzucił minę uczonego i zaczął stawiać mi bardzo rzeczowe pytania. Czy moglibyśmy wydobywać te kamienie w ilościach rynkowych i regularnie? A co z maszynami, i jak się dostać do buszu i z powrotem? I kto to jest ten Kamuttu? Kamuttu, mówił George, gotów był oddać za niego życie. Poprosił George'a, żeby wszedł przez małżeństwo do jego rodziny. Chciał mu sprzedać własną siostrę.

– Ale – powiedziałem Benowi – znasz ten jego kompleks „wesołego kompana”. Wypija kilka drinków z krajowcami, a ci od razu widzą, że jest szczerzy i że serce ma większe od Missisipi. Rzeczywiście ma. Ale skąd pewność, że ten Kamuttu nie wymyślił jakiegoś szwindlu? Może ukraść te próbki berylu? Albo może ma fioła? Nie brak takich na świecie.

Znając domowe kłopoty Isvolsky'ego rozumiałem, dlaczego marzy o wielkim skoku na minerały.

– Cokolwiek – powiedział mi – byle wydostać się na jakiś czas z Winnetka. – I dodał: – Już dobrze, Charlie, wiem, co masz na wątrobie. Kiedy znów przyjedziesz do mnie, będziesz chciał, żebym ci pokazał te ptaki.

Miał na myśli wielką kolekcję ptaków, gromadzonych przez muzeum od dziesiątków lat i przechowywanych w poklasyfikowanych szufladach. Ogromne warsztaty i laboratoria na tyłach budynku, szopy, magazyny i piwnice były nieskończenie bardziej fascynujące niż eksponaty wystawiane na widok publiczny. Konserwowane tam ptaki były jakby zmalałe, na nóżkach miały obrączki. A przede wszystkim lubiłem oglądać kolibry, tysiące małych ciał, niektóre nie większe od koniuszka mojego palca, nieskończone ich odmiany, a wszystkie delikatnie zbrzgzane całym Luwrem tęczyowych barw. Tak więc Ben zabrał mnie, żebym je sobie jeszcze raz obejrzał. Miał pełne policzki i wełniste włosy, nieświeżą cerę, ale miłą twarz. Skarby tego muzeum już go nudziły. Powiedział:

– Jeżeli ten Kamuttu rzeczywiście ma górę berylu, powinniśmy tam pojechać i zagarnąć ją.

– Wyjeżdżam do Europy – wyjaśniłem.

– Cudownie. George i ja możemy tam po ciebie przyjechać. Możemy polecieć do Nairobi wszyscy razem.

Te rozmyślenia o berylu i wschodnich dywanach wskazywały, jak bardzo byłem nerwowy i niepraktyczny. Kiedy znajdowałem się w takim stanie, tylko jeden człowiek na świecie mógł mi pomóc: mój praktyczny brat Juliusz, przedsiębiorca budowlany w Corpus Christi w Teksasie. Kochałem mojego tęgiego i teraz już podstarzałego brata. Może i on mnie kochał. W zasadzie nie był zwolennikiem silnych więzów rodzinnych. Prawdopodobnie uważał miłość braterską za wstęp do wyzysku. Moje uczucia do niego były bardzo żywe, niemal histerycznie intensywne, i nie mogłem mieć mu za złe, że próbował stawić im czoło. Chciał być całkowicie człowiekiem dnia dzisiejszego i zapomniał, albo usiłował zapomnieć, o przeszłości. Twierdził, że bez pomocy nie potrafi nic sobie przypomnieć. Jeżeli chodzi o mnie, nie istniało nic, o czym potrafiłbym zapomnieć. Często mówił mi: „Odziedziczyłeś niesamowitą pamięć naszego starego. A przed nim był jeszcze ten stary łajdak, jego stary. Nasz dziadek był jednym z dziesięciu facetów w Żydowskiej Strefie Osiedlenia, którzy znali Talmud Babiloński na pamięć. Świetnie na tym wyszli. Ja nawet nie wiem, co to jest. Ale właśnie stąd ty masz swoją pamięć”. Ów podziw nie był tak zupełnie bezgraniczny. Nie sądzę, żeby brat zawsze czuł do

mnie wdzięczność za to, że tak dobrze pamiętam. Ja sam wyznawałem pogląd, że bez pamięci egzystencja jest w sensie metafizycznym poszkodowana, ponosi stratę. I nie mogłem sobie wyobrazić, żeby mój rodzony brat, niezastąpiony Juliusz, miał metafizyczne założenia różne od moich. No więc, opowiadałem o przeszłości, a on mówił: „Czyżby? Naprawdę tak było? Wiesz, że ja nie mogę sobie nic przypomnieć, nie pamiętam nawet, jak wyglądała mama, a przecież byłem jej ulubieńcem”.

„Musisz pamiętać, jak wyglądała. Jak mógłbyś ją zapomnieć? Nie wierzę w to”, odpowiadałem.

Moje uczucia rodzinne dręczyły czasem mego otyłego brata. Uważał mnie za kogoś w rodzaju idioty. On sam, czarodziej pieniądza, budował centra handlowe, bloki mieszkalne, motele i przyczynił się bardzo do przekształcenia oblicza swojej części Teksasu. Na pewno mi nie odmówi pomocy. Ale była to czysta teoria, bo chociaż idea pomocy stale wisiała w powietrzu, nigdy jeszcze go nie poprosiłem o żadne wsparcie. Prawdę mówiąc, okazywałem niezwykłą powściągliwość, kiedy chodziło o taką prośbę. Byłem tylko, jeśli można się tak wyrazić, opanowany, udręczony potrzebą poproszenia o pomoc.

Kiedy brałem płaszcz, podszedł do mnie woźny Urbanovicha i wyjął z kieszeni kartkę papieru.

– Z kancelarii Tomcheka przetelefonowali tę wiadomość – powiedział. – Jest jakiś facet, nazywa się po cudzoziemsku... może Pierre?

– Pierre Thaxter?

– Zapisałem, co mi podali. Chce, żeby pan się z nim spotkał w Instytucie Sztuki. Pytała też o pana jakaś para. Gość z wąsikami. Dziewczyna z rudymi włosami, w mini.

– Cantabile – powiedziałem.

– Nie zostawił nazwiska.

Było w pół do trzeciej. W ciągu krótkiego czasu zdarzyło się bardzo wiele. Poszedłem do sklepu i kupiłem jesiotra i świeże bułeczki, a także herbatę Twininga i najlepszy dżem pomarańczowy Coopera. Gdyby Thaxter miał zostać u mnie na noc, dałbym mu śniadanie, do jakiego był przyzwyczajony. Zawsze karmił mnie wyjątkowo dobrze. Szczycił się swoim stołem i mówił mi po francusku, co właśnie jem. Nie jadłem zwykłych pomidorów, tylko *salade de tomates*, nie jadłem chleba z masłem, tylko *tartines*, i tak samo było z *bowilli*, *brule*, *farci*, *fume*, aż do wybornych win. Kupował w najlepszych sklepach i nigdy nie zjawiało się przede mną na stole coś, co by nie było przyjemne do zjedzenia lub wypicia.

Właściwie bardzo się cieszyłem na przyjazd Thaxtera. Spotkanie z nim zawsze sprawiało mi największą przyjemność. Może się nawet łudziłem, że będę mógł otworzyć przed nim zbolące serce, chociaż w rzeczywistości nie byłem aż tak głupi. Wpadał jak burza ze swojej Kalifornii, włosy miał długie niczym dworak Stuartów, a pod płaszczem włoskiego karabiniera nosił czarujący garnitur z niebieskiego aksamitu, kupiony na King's Road. Kapelusz z szerokim rondem pochodził ze sklepu dla czarnych elegantów. Na szyi miał zwykle cenne, zdawałoby się, łańcuszki, a także kawałek skręconego i poplamionego, ale oryginalnie barwionego jedwabiu. Jego jasnobrązowe buty, które sięgały kostek, miały przemyślnie wszyte kawałki żaglowego płótna, a na każdej płóciennej płaszczyźnie tkwił pomysłowo umieszczony kwiat irysu ze skóry. Jego nos był silnie zniekształcony, ciemna twarz płonęła, a ilekroć ujrzałem jego lamparcie oczy, wykrzykiwałem w duchu z radości. Tak, były powody, dla których, dowiedziawszy się od woźnego, że Thaxter przyjechał, natychmiast wydałem pięć dolarów na jesiotra. Po prostu przepadałem za Thaxterem. No, a teraz to zasadnicze pytanie: wiedział, czy nie wiedział, co robi? Jednym słowem, czy był oszustem? Na takie pytanie człowiek bystry powinien znać odpowiedź, aleja nie umiałem na nie odpowiedzieć. Renata, kiedy raczyła zrobić mi ten zaszczyt i traktowała mnie jako przyszłego męża, mówiła często:

– Nie wyrzucaj więcej pieniędzy na Thaxtera, Charlie. Urok? Tak, sam urok. Całe tony talentu. Ale to wszystko takie nieprawdziwe.

– Wcale nie takie nieprawdziwe.

– Co? Miej trochę szacunku dla samego siebie, Charlie, i patrz, czym cię karmią. A ten jego snobizm towarzyski?

– Ach to! Owszem, ale ludzie muszą się czymś chwalić. Umierają, kiedy nie mogą mówić o sobie różnych dobrych rzeczy. Dobre rzeczy trzeba mówić. Miej trochę serca.

– Więc dobrze, ta jego specjalna garderoba. Jego specjalny parasol. Jedyne parasol w dobrym stylu to parasol z naturalną rączką. Nie kupuje się parasola z rączką fabrycznie wyginaną nad parą. Na miłość boską,

ona musi tak rosnąć! I jeszcze ta jego piwniczka ze specjalnymi winami i specjalna teczka, którą można kupić tylko w jednym sklepie w Londynie, i specjalne łożo z materacem wodnym i specjalnymi aksamitnymi prześcieradłami, na którym leżał w Palo Alto ze swoją specjalną pindulką, oglądając Puchar Davisa na specjalnym kolorowym ekranie. Nie mówiąc już o specjalnym buciku, który nazywa się Charlie Citrine i płaci za wszystko. Przecież ten facet ma po prostu fioła.

Powyższa rozmowa odbyła się po telefonie Thaxtera, który zawiadomił mnie, że jest w drodze do Nowego Jorku, bo ma tam wsiąść na *France*, i zatrzyma się w Chicago, żeby pomówić o „The Ark”.

– Po co on jedzie do Europy? – zapytała Renata.

– Wiesz, to znakomity dziennikarz.

– Dlaczego znakomity dziennikarz podróżuje pierwszą klasą na *France*? To trwa pięć dni. Ma aż tyle czasu do stracenia?

– Tak, musi mieć trochę czasu.

– A my lecimy turystyczną – powiedziała Renata.

– Tak, ale on ma kuzyna, który jest jednym z dyrektorów Linii Francuskiej. Kuzyn jego matki. Oni nigdy nie płacą. Stara zna wszystkich plutokratów na kuli ziemskiej. Wyprowadza ich córki w świat.

– Widzę, że nie udaje mu się naciągnąć tych plutokratów na pięćdziesiąt akcji. Bogacze znają swoich pasażerów. Jak mogłeś zrobić coś tak idiotycznego?

– Doprawdy, ten bank mógł zaczekać jeszcze kilka dni. Czek Thaxtera był już w drodze z Banco Ambrosiano w Mediolanie.

– Skąd się tu wzięli Włosi? Mówił ci przecież, że jego kapitały rodzinne są w Brukseli.

– Nie, we Francji. Widzisz, jego część spadku po ciotce była w Credit Lyonnais.

– Najpierw cię oszukuje, a potem karmi idiotycznymi tłumaczeniami, które powtarzasz na prawo i lewo. Wszystkie te wysokie koneksje europejskie są wzięte wprost ze starych filmów Hitchcocka. Teraz ma przyjechać do Chicago, więc co robi? Każę swojej sekretarce połączyć się z tobą telefonicznie. Wybrać numer albo odpowiedzieć, jak ktoś dzwoni, jest poniżej jego godności. Ale ty odbierasz telefon osobiście i dziewczę mówi: „Proszę się nie wyłączać, pan Thaxter już idzie”, więc stoisz i czekasz ze słuchawką przy uchu. A to wszystko, pamiętaj, jest na twój rachunek. Potem mówi, że przyjeżdża, ale da ci jeszcze znać, kiedy.

Jak dotąd, wszystko to była prawda. Aleja bynajmniej nie powiedziałem Renacie wszystkiego o Thaxterze. Były tam jeszcze czarne listy i skandale w klubach, a także plotki o drobnych złodziejstwach. Jeśli idzie o kandydaturę, gust mojego przyjaciela był staroświecki. Nie było już tego rodzaju łobuzów, chyba że ktoś taki jak Thaxter próbował z czystego zamiłowania do staroświeckości przywrócić ów typ do życia. Ale uważałem też, że jest w tym coś głębszego i że dziwactwa Thaxtera ujawnią w końcu pewien szczególny cel duchowy. Wiedziałem, że jest sprawą ryzykowną dawać dodatkową gwarancję, bo byłem świadkiem, jak oszukiwał innych. Ale mnie nie oszuka, myślałem. Musi być chociaż jeden wyjątek. A więc postawiłem na immunitet – i przegrałem. Był bliskim przyjacielem. Kochałem Thaxtera. Wiedziałem też, że jestem ostatnim człowiekiem na świecie, którego chciałby skrzywdzić. A jednak w końcu do tego doszło. Zabrakło mu ludzi do krzywdzenia. Skoro nie został nikt inny, była to obecnie sprawa przyjaźni przeciwko jego zasadom życiowym. Ponadto mogłem się teraz uważać za mecenasa jego sztuki. Za takie rzeczy trzeba płacić.

Właśnie stracił swój dom nad Zatoką, a z nim pływalnię i kort tenisowy, pomarańczowy gaj, który tam zasadził, ozdobny ogród, limuzynę, kombi i piwnicę win.

We wrześniu polecałem do Kalifornii, żeby się dowiedzieć, dlaczego nie wychodzi nasze czasopismo „The Ark”. Była to niezwykle przyjemna, pełna serdeczności wizyta. Skapani w kalifornijskim słońcu, chodziliśmy oglądać jego posiadłość. W tym czasie zaczynało we mnie kiełkować nowe, kosmologiczne rozumienie słońca. Ze jest ono częściowo naszym Stwórcą. Ze jest jakieś pasemko słońca w duszy każdego z nas. Ze światło powstałe w naszym wnętrzu i wychodzi na spotkanie światła słonecznego. Ze to światło słoneczne nie jest jedynie cudownym blaskiem, który odświeża się naszym mrocznym zmysłem, i że czym światło jest dla oczu, tym myśl jest dla intelektu. No więc byliśmy tam razem. Radosny, błogosławiony dzień. Niebo zsyłało nam cudowne, umiarkowane, pulsujące, błękitne ciepło, wokół nas wisiały na drzewach pomarańcze. Thaxter miał na sobie swój ulubiony strój, czarny płaszcz, palce jego bosych stóp zachodziły ciasno na siebie jak wspaniałe figi ze Smyrny. Odbywało się właśnie sadzenie róż i prosił mnie, żeby nie rozmawiał z jego ukraińskim

ogrodnikiem. „Był strażnikiem w obozie koncentracyjnym i jest do dziś zwariowanym antysemitą. Nie chcę, żeby zaczął się wściekać”. Tak więc w tym pięknym miejscu mieszały się ze sobą różne jaźnie: demoniczne, głupie, kochające. Niektórym z najnowszych dzieci Thaxtera, ślicznych i niewinnych, wolno było bawić się niebezpiecznymi nożami i pojemnikami z trującą substancją do opylania róż. Nikomu nie stała się krzywda. Tuż obok roziskrzanej tafli basenu podano lunch, który był wielką imprezą: dwa gatunki win nalewanych przez samego gospodarza z chmurną godnością i niepoślednim znanstwem, czarny płaszcz, zakrzywiona fajka, powyginane palce u nóg. Jego ciemna, ładna młoda żona z radością brała udział w przygotowaniach i nadzorowała wszystko, właściwie pozostając w cieniu. Była bezgranicznie zachwycona swoim życiem, a przecież nie mieli pieniędzy, ani grosza. Stacja benzynowa na rogu ulicy nie przyjęła jego czeku na pięć dolarów. Ja musiałem zapłacić kartą kredytową. A gdzieś za kulisami ta młoda kobieta broniła dostępu ludziom, którzy zbudowali pływalnię i kort tenisowy, dostawcom win, sprzedawcom samochodów i fortepianu, ludziom z banku.

Pismo „The Ark” miało być drukowane na nowym sprzęcie IBM, bez drogich zecerów. Żaden kraj nie dawał nigdy swoim mieszkańcom tylu nowych zabawek ani nie posyłał tak wysoce utalentowanych jednostek do najodleglejszych zakamarków gnuśności, możliwie najbliższej granic bólu. Thaxter dobudowywał specjalne skrzydło dla „The Ark”. Nasze czasopismo miało mieć własny lokal i nie przeszkadzać mu w życiu osobistym. Ściągnął kilku studentów, trochę jak u; *Przygodach Tomka Sawyera*, którzy kopali fundamenty. Objężdżał swoim sportowym samochodem okoliczne place budowy, zasięgając rady u budowlanych i podwędzając kawałki dykty. Nie chciałem subsydiować tej inwestycji. „Przepowiadam, że twój dom obsunie się do tej dziury, mówiłem. Czy na pewno nie przekraczasz przepisów budowlanych?” Ale Thaxter miał ową chęć ryzyka, która tworzy marszałków i dyktatorów. „Rzucimy dwadzieścia tysięcy ludzi na ten odcinek frontu, a jeśli zginie więcej niż połowa, zastosujemy inną taktykę”.

W „The Ark” zamierzaliśmy drukować rzeczy świetne. Gdzie mieliśmy szukać tej świetności? Wiedzieliśmy, że istnieje. Zakładać, że jest inaczej, byłoby obelgą dla cywilizowanego kraju i całej ludzkości. Należy uczynić wszystko, co w naszej mocy, żeby przywrócić sztuce jej znaczenie i autorytet, myśli jej powagę, kulturze jedność, stylowi jego godność. Renata, która zerknęła chyba kiedyś bez upoważnienia na zawiadomienie z banku o stanie mojego konta, najwyraźniej wiedziała, ile wydają jako mecenas sztuki.

– Komu jest potrzebne to twoje pismo, Charlie, i kim są te zwierzaki, które chcesz ratować? W rzeczywistości wcale nie jesteś takim idealistą; pełno w tobie wrogości, marzysz o tym, żeby móc zaatakować całą masę ludzi we własnym piśmie i obrażać wszystkich na lewo i prawo. Arogancja Thaxtera jest niczym w porównaniu z twoją. Zgadzasz się, żeby myślał, że mu wszystko wolno, ale tylko dlatego, że w arogancji zawsze wygrywasz z nim przez nokaut.

– Moje pieniądze i tak się kończą. Wolę je wydać na to.

– Nie wydać, tylko wyrzucić – powiedziała. – Dlaczego finansujesz tę kalifornijską bujędę?

– Lepšie to niż oddawać wszystko adwokatom i rządowi.

– Ile razy zaczynasz mówić o „The Ark”, zupełnie się gubię. Powiedz mi wreszcie, co i jak?

Właściwie byłem jej wdzięczny za to wyzwanie. Żeby się lepiej skoncentrować na odpowiedzi, zamknąłem oczy i powiedziałem:

– Idee ostatnich kilku stuleci przeżyły się.

– Kto to mówi! Widzisz, co rozumiem przez arogancję – przerwała Renata.

– Ależ tak, przeżyły się. Idee społeczne i polityczne, teorie filozoficzne, idee literackie (biedny Humboldt!), poglądy na seks, a nawet, podejrzewam, idee naukowe.

– Co ty wiesz o tym wszystkim, Charlie? Chyba masz zapalenie mózgu.

– Kiedy masy ludzkie na całym świecie osiągają poziom świadomości, biorą te wypalone idee za nowe. Bo skąd mają wiedzieć? A salony snobów są zasypane tymi sensacjami.

– To za poważna sprawa na takie językowe łamańce.

– Ja mówię serio. Rzeczy najważniejsze, najpotrzebniejsze do życia, kurczą się i schodzą na dalszy plan. Ludzie naprawdę zaczynają na to umierać, tracą życie osobiste, byt wewnętrzny milionów, wielu, wielu milionów, gdzieś znika. Można jeszcze zrozumieć, że w różnych częściach świata nie ma nadziei skutkiem głodu czy dyktatury policji, ale tu, w wolnym świecie, co mamy na usprawiedliwienie? Pod presją kryzysów

politycznych rezygnujemy ze sfery prywatnej. Przyznaję, że ta sfera prywatna stała się czymś tak odpychającym, że uciekamy od niej z przyjemnością. Ale akceptujemy to całe odium, jakie się jej przypisuje, i ludzie wypełniają sobie życie tak zwanymi „sprawami publicznymi”. A co słyszymy, kiedy się dyskutuje o tych sprawach publicznych? Zbankrutowane poglądy z ostatnich trzech stuleci. W każdym razie, kiedy nastąpi koniec jednostki, dla której wszyscy zdają się żywić pogardę i nienawiść, zniszczenie rodzaju ludzkiego, nasze superbomby, staną się zbędne. Tęż znaczy, kiedy pozostaną tylko idiotyczne mózgi i bezmózgie ciała, nie będzie już nic ważnego do zniszczenia. Od wielu dziesiątek lat nigdzie na świecie, na najwyższych stanowiskach w rządzie, nie widziano prawdziwego człowieka. Ludzkość musi odzyskać siłę swojej wyobraźni, siłę żywej myśli i prawdziwego istnienia, nie może już dłużej zgadzać się, by obrażano jej duszę, i musi reagować szybko. Bo w przeciwnym wypadku...! Dlatego właśnie taki człowiek jak Humboldt, człowiek wierny zbankrutowanym ideom, utracił swoją poezję i spóźnił się na statek.

– Ale on zwariował. Nie możesz zwać całej winy na niego. Nie znałam tego człowieka, ale czasem wydaje mi się, że jesteś zbyt surowy, kiedy go atakujesz. Wiem – mówiła dalej – że według ciebie on przeżył swoje straszliwe życie poety dokładnie tak, jak tego oczekuje i chce klasa średnia. Ale dla ciebie nikt nie jest dość dobry. Thaxter to po prostu twój osobisty ulubieniec. On z pewnością nie jest doskonały.

Oczywiście miała rację. Thaxter zawsze mówił: „Przede wszystkim potrzebujemy jakiejś zasadniczej deklaracji”. Podejrzał, że mam w zanadrzu taką zasadniczą deklarację.

Powiedziałem mu: „Myślisz o czymś w rodzaju poszanowania życia albo o czymś w stylu Jogów i Komisarzy. Masz słabość do tego rodzaju potwornych bzdur. Oddałbyś wszystko, żeby być takim Malraux i opowiadać o Zachodzie. Co się z tobą dzieje, skąd u ciebie te pierwotne idee? Zasadnicze deklaracje to zwyczajna bzdura. Nieład istnieje i będzie istniał”. I rzeczywiście istnieje... bujny, oszałamiający, dręczący i różnorodny. Jeśli idzie o dążenie do wyjątkowości, wszystko i tak było już dostatecznie dziwaczne.

Pierre Thaxter miał zupełnego bzika na punkcie Kultury. Był filologiem klasycznym, znakomicie wykształconym przez zakonników w łacinie i grece. Nauczył się francuskiego od guwernantki i studiował ten język w college'u. Sam się nauczył także arabskiego i czytał ezoteryczne książki, w nadziei, że pewnego dnia zadziwi wszystkich publikacjami na łamach naukowych pism w Finlandii albo Turcji. Rozprawiał ze szczególnym szacunkiem o Panofskym i Momigliano. Widział się w roli Burtona z Arabii albo T. E. Lawrence'a. Niekiedy był zwariowanym geniuszem typu barona Corvo, żyjącym w nędzy i brudzie w Wenecji, piszącego coś dziwnego i kipiącego namiętnością, rzadkiego i znakomitego. Nie mógł znieść myśli o pominięciu czegokolwiek. Grał Strawińskiego na pianinie, wiedział dużo o rosyjskim balecie. Był niemal autorytetem, jeśli idzie o Matisse'a i Moneta. Miał określone poglądy na zikkuraty i Le Corbusiera. Potrafił ludziom radzić, i często to robił, jakie przedmioty kupować i gdzie je kupować. O tym właśnie mówiła Renata. Niedobra jest, na przykład, teczka zamykana na górze, zatrzaski muszą być z boku. Miał kręcka na punkcie teczek i parasoli. W Maroku były plantacje, na których rosły odpowiednie rączki do parasoli. A na domiar wszystkiego uważał się za ucznia Tołstoja. Kiedy się go przycisnęło, mówił, że jest chrześcijańskim pacyfistą i anarchistą, a także wyznawał, że wierzy w prostotę i czystość serca. Więc, rzecz jasna, kochałem Thaxtera. Jak mogłem się temu oprzeć? Ponadto, owa gorączka, która gnębiła jego nieszczęsną głowę, czyniła z niego idealnego redaktora. Chodziło mi o tę jego wszechstronność zainteresowań, rozumiecie, i to wścibstwo w sprawach kultury. Był doskonałym dziennikarzem. Uznawano to powszechnie. Pracował w dobrych pismach i z każdego był wyrzucany. Musiał mieć pomysłowego i cierpliwego redaktora naczelnego, który by go delegował do odpowiednich zadań.

Czekał na mnie pomiędzy lwami przed Instytutem, dokładnie taki, jak można się było spodziewać, w pelerynie, niebieskim aksamitnym ubraniu i butach z nakładkami z żaglowego płótna. Inaczej wyglądałyby jedynie włosy, które nosił teraz w stylu Directoire, z kosmykami opadającymi na czoło. Na zimnie twarz była bardzo czerwona. Miał szerokie usta koloru morwy, imponujący wzrost i brodawki, i zakrzywiony nos, i lamparcie oczy. Nasze spotkania zawsze sprawiały nam radość, uścisnęliśmy się serdecznie.

– Jak się masz, mój stary? Cudowny dzień w tym twoim Chicago. Brakowało mi chłodnego powietrza w Kalifornii. Cudownie! Może nie? No cóż, chyba od razu zaczniemy od tych kilku fantastycznych Monetów.

Zostawiliśmy teczkę, parasol, jesiotra, bułeczki i dżem w szatni. Zapłaciłem dwa dolary za wstęp i poszliśmy na górę do impresjonistów. Był tam norweski krajobraz zimowy pędzla Moneta, do którego zawsze szliśmy prosto od progu: dom, most i padający śnieg. Przez zasłonę śniegu przenikała różowość domu, szron był zachwycający. Cały ciężar śniegu zimy bez wysiłku podtrzymywała zadziwiająca siła światła. Patrząc na to czyste, różane, śnieżne, przyćmione światło, Thaxter osadził mocniej swoje binokle na wykrzywionym garbku nosa; błysnęły szkła i srebro, jego twarz jeszcze bardziej spurpurowiała. Wiedział, co robi. Ten obraz był

doskonałym początkiem jego wizyty. Tylko że ja, obznajomiony z całym zasięgiem jego myśli, byłem pewien, że w tej chwili zastanawia się też nad tym, jak takie arcydzieło można by ukraść z muzeum, i że jego umysł prześlizguje się szybko po dwudziestu śmiałych kradzieżach dzieł sztuki od Dublina do Denver, nie pomijając nawet takich szczegółów, jak samochody gotowe do ucieczki czy paserzy. Być może wymarzył sobie nawet jakiegoś multimilionera, który będąc zwariowanym wielbicielem Moneta, zbudowałby tajemny przybytek w betonowym bunkrze i zapłacił tonę złota za ten pejzaż. Thaxter tęsknił za polem do działania (ja też, jeśli już o tym mowa). A jednak stanowił dla mnie zagadkę. Był to człowiek albo bardzo życzliwy, albo brutalny, i dręczyła mnie niepewność, czy jest taki czy taki. Ale teraz zdjął swoje magiczne binokle i zwrócił w moją stronę rumianą, smagłą twarz, wlepiając we mnie to spojrzenie wielkiego kota, bardziej ociążałe niż przedtem, ponure, nawet jakby trochę zezujące.

– Przed zamknięciem sklepów mam coś do załatwienia w śródmieściu – powiedział. – Chodźmy. Po tym obrazie nie strawię już nic więcej. – Odebrawszy nasze rzeczy, wyszliśmy przez obrotowe drzwi. W Mallers Building jest jakoby kupiec nazwiskiem Bartelstein, który sprzedaje stare sztuki do ryb. Thaxter chciał nabyć komplet. – Toczy się spór na temat srebra – powiedział zdecydowanym tonem. – Teraz się uważa, że ryba podawana na srebrze ma nieprzyjemny smak. Ale ja lubię srebro.

Dlaczego właśnie noże do ryby? Za co i dla kogo? Bank wyrzucił go z domu w Paño Alto, a jednak jego zasoby nigdy się nie kończyły. Od czasu do czasu wspominał o innych domach, które posiada, jednym w Alpach włoskich, drugim w Bretanii.

– Mallers Building? – powtórzyłem.

– Ten Bartelstein ma światową sławę. Moja matka go zna. To ona szuka tych noży dla kogoś ze swoich wytwornych klientów.

W tym momencie podeszli do nas Cantabile i Polly, oboje parujący mroźnym grudniowym powietrzem, i jednocześnie zobaczyłem białego thunderbirda stojącego z zapuszczonym silnikiem przy chodniku; drzwi były otwarte, wewnątrz krwawoczerwona tapicerka. Cantabile uśmiechał się, ale jego uśmiech był trochę sztuczny, nie wyrażał zadowolenia, raczej coś innego. Może była to reakcja na pelerynę i kapelusz Thaxtera, na jego ekstrawaganckie buty i płonąca twarz. Ja także poczułem, że się czerwienię. Cantabile natomiast był dziwnie blady. Wdychał powietrze łapczywie, jak gdyby chciał je ukraść. Miał minę człowieka usilnie czegoś pragnącego i zarazem wzburzonego. Thunderbird, wypuszczając kłęby spalin, zaczynał już blokować ruch. Ponieważ przez znaczną część dnia tkwiłem po uszy w życiorysie Humboldta i ponieważ Humboldt tkwił z kolei po uszy w T. S. Eliocie, pomyślałem, tak jak on mógł pomyśleć, o owej fioletowej godzinie, w której maszyna ludzka czeka niczym taksówka – pulsująca, oczekująca. Ale dałem temu spokój. Chwila wymagała mojej całkowitej obecności. Szybko dokonałem ceremonii przedstawienia: „Pani Palomino, pan Thaxter – i pan Cantabile”.

– Szybko, pośpieszcie się, wskakujcie – powiedział Cantabile tonem człowieka nie znoszącego sprzeciwu.

Aleja nie zamierzałem tego tolerować.

– Nie – oświadczyłem. – Mamy mnóstwo spraw do omówienia i wolę przejść piechotą do Mallers Building, niż siedzieć w korku ulicznym w twoim wozie.

– Na miłość boską, włącz do samochodu! – Stał pochylony nade mną, ale te słowa wykrzyknął tak głośno, że aż się wyprostował. Polly uniosła swoją sympatyczną twarzyczkę. Jej włosy, jakby japońskie w fakturze, ale bardzo rude i obcięte w taki sposób, że opadały na plecy, odcinały się grubą, równą warstwą od płaszcza z zielonego lodenu. Miłe policzki oznaczały, że seks z Polly mógł być przyjemny. Mógł dać zadowolenie, być sukcesem. Dlaczego tak się dzieje, że niektórzy mężczyźni wiedzą, jak znaleźć kobiety, które dają zadowolenie i którym można dać zadowolenie? Po ich policzkach i uśmiechu nawet ja potrafiłem je rozpoznać – kiedy już zostały znalezione. A tymczasem z szarej nicości, która rozpościerała się nad drapaczami chmur, padały płatki śniegu, a gdzieś za nami rozległ się jakby delikatny grzmot. Może to samolot przekroczył barierę dźwięku albo był to huk odrzutowca nad jeziorem, bo przecież grzmot oznaczał ciepło, tymczasem mróz szczypał nasze zaczerwienione policzki. W tej pogłębiającej się szarzyźnie zmroku powierzchnia jeziora powinna być perlista; jego polarna obwódka sformowała się wcześniej tej zimy i była biała – cała w plamach, ale biała. Jeśli idzie o piękno przyrody, Chicago miało niemało do powiedzenia, na przekór temu, że jego historyczne losy uczyniły zeń miasto pospolite w sensie materialnym, że pospolite stało się tam powietrze i ziemia. Cały kłopot, to że owa perlista woda z arktyczną obwódką, a także szare, przetkane śniegiem powietrze nie mogły być należycie docenione, kiedy tacy Cantabile’owie zachowywali się jak dzikusy, popychali mnie w kierunku thunderbirda i wymachiwali szalenie wytwornymi myśliwskimi rękawiczkami. Niemniej jednak, idziemy na koncert, żeby

snuć własne myśli przy wtórze delikatnej muzyki kameralnej, i można zrobić podobny użytek z takiego Cantabilego. Człowiek, który od lat szczelnie zamykał się w sobie i z bolesną monotonią wciąż od nowa analizował swoje najgłębsze Ja, przekonany, że przyszłość ludzkości zależy od jego duchowych poszukiwań, i który widząc, jak idą na marne jego wysiłki, by osiągnąć porozumienie z tymi przedstawicielami myśli współczesnej, do jakich chciał dotrzeć, postanawia zamiast tego podążyć tropem wątków duchowych znalezionych w samym sobie, żeby stwierdzić, dokąd go zaprowadzą – ów człowiek odnajdywał szczególną podniętę w takim typie jak ten Cantabile.

– Jedźmy! – wrzasnął na mnie.

– Nie, pan Thaxter i ja mamy swoje sprawy do omówienia.

– Och, na to jest czas, mnóstwo czasu – powiedział Thaxter.

– A co z tymi nożami do ryby? Nagle przestały cię interesować? – spytałem.

Głos Cantabilego był chropawy i piskliwy z irytacji.

– Charlie, próbuję ci jakoś pomóc! Stracisz najwyżej piętnaście minut cennego czasu i odstawię cię z powrotem do Mallers Building po te zastrane noże. Jak ci się powiodło w sądzie, kolego? Wiem jak! Mają tam całe pudło ślicznych czystych buteleczek, czekających na twoją krew. Już wyglądasz na wykrwawionego. Masz bardzo kiepską minę. Od lunchu przybyło ci dziesięć lat. Ale ja mam dla ciebie rozwiązanie i zaraz ci tego dowiodę. Słuchaj, Charlie, za dziesięć patyków dziś dostaniesz piętnaście do czwartku – a jak nie, to możesz dać mi w łeb tym samym kijem, którego użyłem do twojego mercedesa. Czekam na mnie Stronson. Pilnie potrzebuje gotówki.

– Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nie zajmuję się lichwą – powiedziałem.

– Nie bądź głupi. Musimy się śpieszyć.

Spojrzałem na Polly. Już przedtem przestrzegła mnie przed Cantabilem i Stronsonem, teraz sprawdziłem to w milczeniu. Jej uśmiech potwierdził przestrożę, którą mi dała. Ale bawiła ją determinacja, z jaką Cantabile chciał nas zapędzić do thunderbirda i wpakować na czerwoną skórzaną tapicerkę tętniącego, otwartego wozu. Nadawał temu pozór porwania. Staliśmy na szerokim chodniku przed Instytutem i miłośnicy legendarnych zbrodni mogliby nam przypomnieć, że głośny Dion O'Banion lubił gnać swoim bugatti z szybkością ponad stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę dokładnie w tym miejscu, rozganiając pieszych na wszystkie strony. Nawet już wspominałem o tym Thaxterowi, który, gdziekolwiek był, pragnął doświadczać czegoś charakterystycznego, istoty rzeczy. Doświadczając teraz istoty Chicago był zachwycony, uśmiechał się od ucha do ucha, powiedział:

– Jeżeli nie zdążymy do Bartelsteina dzisiaj, możemy tam wstąpić jutro, w drodze na lotnisko.

– Poll – warknął Cantabile – siadaj za kółkiem. Widzę radiowóz.

Autobusy próbowały przeciskać się obok parkującego thunderbirda. Ruch był sparaliżowany na Van Buren Street, policja już uruchomiła swoje pulsujące niebieskie światła. Thaxter wsiadł za Polly do samochodu, a ja powiedziałem do Cantabilego:

– Zostaw mnie, Ronald. Daj mi spokój.

Popatrzył na mnie, jak gdyby chciał mi szczerze wyjawić coś strasznego. Ujrzałem przed sobą duszę zmagającą się z trudnościami równie zawiłymi jak moje, tyle że w innej, odległej dziedzinie.

– Nie chciałem cię tym zaskakiwać – powiedział – ale sam mnie zmuszasz, żebym był brutalny. – Palcami w obcisłych rękawiczkach do konnej jazdy chwycił mnie za rękaw. – Twój stary przyjaciel, Alec Szathmar, ma paskudne kłopoty albo może mieć paskudne kłopoty. To zależy od ciebie.

– Jak to? Dlaczego?

– Mówię ci. Chodzi o tę ładną młodą kobietę – jej mąż jest jednym z moich ludzi – która jest kleptomanką. Przyłapali ją u Fielda, jak zwędziła kaszmirowy sweter. A Szathmar to jej adwokat, kapujesz? To ja poleciłem jej Szathmara. Poszedł do sądu i powiedział sędziemu, żeby jej nie skazywał na więzienie, bo tu potrzebne jest leczenie psychiatryczne, i że on dopilnuje, żeby ją leczono. Wobec tego sąd zwolnił ją i oddał jemu pod kuratelę. Wtedy Szathmar wziął dziewczynkę do motelu i rozebrał ją, ale uciekła, zanim zdążył ją przerobić. Jak wypadła z pokoju, miała na sobie jedynie pasek papieru, jaki kładzie się na sedesie. Jest kupa świadków.

Ale to zupełnie przyzwoita dziewczyna. Nie zajmuje się jeżdżeniem po motelach. Jej specjalność to kradzież. Ze względu na ciebie staram się powstrzymać męża.

– Cantabile, wszystko, co słyszę od ciebie, to bzdury, bzdury i jeszcze raz bzdury. Szathmar może postępować po wariacku, ale nie jest potworem.

– W porządku, spuszczę męża ze smyczy. Myślisz może, że twojemu koledze nie odebrali prawa praktyki? Jeszcze jak by odebrali.

– Sfingowałeś to wszystko z jakiegoś idiotycznego powodu – powiedziałem. – Gdybyś miał coś konkretnego przeciw Szathmarowi, sam byś go szantażował.

– Rób, jak uważasz, możesz odmówić współpracy. Zarznię tego skurwysyna, zmasakruję go.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Nie musisz mi tego mówić. Wiesz, co ty jesteś? Jesteś izolacjonista, ot co! Nie chcesz wiedzieć, w co się pakują inni.

Wszyscy mi ciągle wypominają moje wady, a ja stoję z wybałuszonymi, zgłodniałymi oczami, we wszystko wierząc i mając o wszystko pretensję. Pozbawiony metafizycznej równowagi człowiek taki jak ja jest świętym Sebastianem dla ludzi skłonnych do krytycyzmu. Najdziwniejszy przy tym jest fakt, że spokojnie wszystkiego wysłuchuję. Tak jak teraz, kiedy Cantabile ział na mnie parą intryg i osądów z dwóch rur wydechowych swojego białego nosa. W moim przypadku nie chodzi o to, że każda taka okazja dostarcza materiału przeciwko mnie, ale o to, jak korzystam z okazji, żeby wydobyć ukryte informacje. Ta najświeższa informacja wskazywałaby, że należę do osób, którym potrzebne są rozważania o mikrokosmosie i makrokosmosie, czy też wiara, że wszystko, co się dzieje w człowieku, ma znaczenie dla całego świata. Taka wiara ogrzewała wszystko wokół mnie, uwydatniała młode, lśniące liście, zwisające pomarańcze owych gajów, w których nieskażona jaźń była dziewicza i pełna wdzięczności, jednoczyła się ze swoim Stwórcą i tak dalej. Niewykluczone, że tylko w ten sposób mogłem być prawdziwym sobą. Ale w tej właśnie chwili staliśmy na szerokim, zamrożonym chodniku bulwaru Michigan, za nami wznosił się Instytut Sztuki, a naprzeciwko nas widniały barwne światła, białe fasady Peoples Gas i innych firm.

– Kimkolwiek jestem, Cantabile, ja i mój przyjaciel nie jedziemy z wami. – Podbiegłem do thunderbirda, żeby zatrzymać Thaxtera, który właśnie wsiadał. Już obciągnął na sobie pelerynę i zapadał się w sprężystą tapicerkę. Minę miał bardzo zadowoloną. Wetknąłem głowę do środka i powiedziałem: – Wsiadaj. My dwaj idziemy pieszo.

Ale Cantabile władował mnie do wozu obok Thaxtera. Objął mnie rękami od tyłu i popchnął. Potem cofnął przednie siedzenie, żeby mnie przytrzymać. Przyciągnął drzwi, zatrzasnął i powiedział:

– Jedź, Polly.

Polly usłuchała.

– Co ty robisz, u diabła, co to za popychanie i trzymanie mnie w pułapce! – zawołałem.

– Policja siedzi nam na karku. Nie miałem czasu na dyskusje – powiedział Cantabile.

– To jest najzwyczajniejsze porwanie – oświadczyłem. I ledwie wymówiłem słowo „porwanie”, serce mi wezbrało dziecinnym poczuciem straszliwej krzywdy. Ale Thaxter śmiał się, pogdakiwał swoimi szerokimi ustami, z jego zmrużonych oczu sypały się iskry. – Chi, chi! Charlie, nie bierz tego tak poważnie. To wszystko jest bardzo śmieszne. Baw się.

Thaxter był w siódmym niebie. To była prawdziwa chicagowska uczta. Specjalnie dla niego miasto chciało okazać się godne swojej reputacji. Widząc to, trochę ochłonąłem. Chyba naprawdę lubię podejmować swoich przyjaciół. Czy nie kupiłem jesiotra, świeżych bułeczek i dżemu, kiedy woźny w sądzie powiedział, że Thaxter jest w Chicago? Wciąż jeszcze miałem w ręku papierową torbę ze sklepu spożywczego.

Ruch był duży, ale Polly panowała nad wozem wprost po mistrzowsku. Przeprowadziła białego thunderbirda na lewy pas, nie dotykając hamulca, bez najmniejszego szarpnięcia, z nieustraszoną pewnością siebie – znakomity kierowca!

Wciąż podniecony Cantabile obrócił się w naszą stronę i powiedział do mnie:

– Patrz, co tu mam. Świeży egzemplarz jutrzejszej gazety. Kupiłem go od jednego faceta w drukarni. Kosztowało kupę forsy. Chcesz się czegoś dowiedzieć? Razem z tobą wypełniliśmy kącik Mike'a

Schneidermana. Posłuchaj. – I przeczytał: – „Charlie Citrine, kawaler francuskiej Legii Honorowej i chicagowski skryba, który zmagistrował film *Von Trenck*, uregulował w Klubie Playboya dług karciany zaciągnięty u pewnej postaci ze świata przestępczego. Lepiej byś poszedł na kurs pokera na uniwersytecie, Charles”. Coś takiego, Charlie! Szkoda, że Mike nie zna wszystkich faktów o twoim samochodzie, drapaczu chmur i tak dalej. No i co o tym myślisz?

– Co myśle? Nie zgadzam się na to „zmagistrował”. I chcę wysiąść przy Wabash Avenue.

Chicago łatwiej było znieść, jeżeli się nie czytało gazet. Tymczasem skręciliśmy na zachód w Madison Street i przejechaliśmy pod czarnym rusztowaniem kolei nadziemnej.

– Nie zatrzymuj się, Polly – powiedział Cantabile. Posuwaliśmy się teraz w kierunku świątecznych dekoracji na State Street, Świętych Mikołajów i reniferów. Jedyнным stałym elementem sytuacji była w tej chwili cudowna sprawność, z jaką Polly prowadziła wóz.

– Proszę mi opowiedzieć o mercedesie – powiedział Thaxter. – Co mu się stało? I co to jest ten drapacz chmur, panie Cantabile? Czy ta postać ze świata podziemnego, ta w Klubie Playboya, to pan?

– Wtajemniczeni na pewno będą wiedzieli – odparł Cantabile. – Charlie, ile ci policzą za zrobienie karoserii w twoim wozie? Zaprowadziłeś go z powrotem do sprzedawcy? Mam nadzieję, że się trzymasz z daleka od tych specjalistów, którzy zdierają z człowieka skórę. Czteryście dolarów dziennie dla jednego usmolonego ślusarzyny. Oszuści! Znam tani dobry warsztat.

– Dziękuję bardzo – powiedziałem.

– Daj spokój z tą ironią. Minimum, co mogę zrobić, to pomóc ci odzyskać część pieniędzy, jakie to będzie kosztowało.

Nie odpowiedziałem. Moje serce wystukiwało tylko jeden motyw: gwałtownie pragnąłem znaleźć się gdzie indziej. Po prostu nie chciałem być tutaj. Cierpiałem straszne męczarnie. Nie był to odpowiedni moment na wspomnianie pewnych słów Johna Stuarta Milla, ale i tak je sobie przypomniałem. Brzmiały mniej więcej tak: Zadania duchów szlacheckich w epoce, gdy uczynki, które wyznaczono dla większości z nas, są tuzinkowe i godne pogardy da-da-da, da-da-da, da-da-da. Otóż jedyną wartością owych godnych pogardy uczynków jest duch, w jakim są spełniane. W sąsiedztwie nie mogłem dojrzeć absolutnie żadnych wartości. Lecz gdyby zadania *darum genus hominum*, powiedział wielki Mili, miały być wypełnione przez jakąś siłę nadprzyrodzoną i gdyby nie istniała potrzeba mądrości czy cnoty, wówczas... O! człowiek niewiele mógłby cenić w człowieku. Taki właśnie problem postawiła przed sobą Ameryka. Thunderbird miał wystarczyć jako siła nadprzyrodzona. Ale co jeszcze cenił człowiek? Polly przenosiła nas z miejsca na miejsce. Pod tą masą rudych włosów był mózg, który z pewnością wiedział, co należy cenić, gdyby tylko komuś chciało się o to zapytać. Ale nikt nie zadawał takiego pytania, a ona nie potrzebowała zbyt wielkiego mózgu, żeby prowadzić ten samochód.

Minęliśmy niebotyczną, strzelistą wieżę First National Bank, z jej niezliczonymi warstwami złotych świateł.

– Co to za piękny budynek? – spytał Thaxter.

Nikt nie odpowiedział. Minęliśmy Madison Street. W tym tempie i jadąc ciągle na zachód, w ciągu piętnastu minut dotarliśmy do cmentarza Waldheim na peryferiach miasta. Tam, pod przysypaną śniegiem trawą i kamiennymi nagrobkami, leżeli moi rodzice; kontury przedmiotów byłyby jeszcze widoczne w tym zimowym zmierzchu itd. Ale oczywiście nie cmentarz był naszym celem. Skręciliśmy w La Salle Street i tam zatrzymały nas taksówki i ciężarówki z gazetami, i jaguary, i lincolny, i rolls-royce'y maklerów giełdowych i radców prawnych wielkich koncernów – tych wszystkich subtelniejszych złodziei i bardziej wyniosłych polityków, duchowej elity amerykańskiego biznesu, orłów szybujących wysoko ponad codziennymi, pogodzinymi, cominutowymi losami ludzi.

– Do diabła, nie złapiemy Stronsona. Ten mały tłusty skurwysyn zawsze pryska swoim aston-martinem, jak tylko uda mu się zamknąć biuro – zaklął Cantabile.

Ale Polly siedziała za kierownicą w milczeniu. Ruch się zatrzymał. Thaxter zdołał wreszcie przyciągnąć uwagę Cantabilego. A ja westchnąłem i – pozostawiony sam sobie – wyłączyłem się całkowicie. Tak samo jak poprzedniego dnia, kiedy zostałem wepchnięty, niemal pod groźbą rewolweru, do śmierdzącego klozetu w rosyjskiej łaźni. A oto, co sobie myślałem: niewątpliwie trzy pozostałe dusze w mrocznym cieple tego świetnego, rozedrganego i pokrytego lakierem samochodu snują myśli równie szczególne jak moje. Ale oni najwidoczniej są ich mniej świadomi. A czegoż to ja byłem tak bardzo świadomy? Tego, że dawniej myślałem, że znam swoje miejsce (jeżeli wziąć świat jako układ odniesienia). Cóż, myliłem się. Ale mogłem przynajmniej

powiedzieć, że okazałem się dość sprawny duchowo, żeby nie dać się zmiażdżyć niewiedzy. Teraz jednak było zupełnie jasne, że ani nie należę do Chicago, ani nie jestem wystarczająco daleko poza nim, i że materialne i codzienne zainteresowania i losy tego miasta nie są dla mnie ani dość rzeczywiste i żywe, ani dość jasne jako symbole. Tak więc nie miałem ani żywej rzeczywistości, ani symbolicznej jasności i jak dotąd byłem po prostu nigdzie. Dlatego właśnie chodziłem do profesora Scheldta, ojca Doris, na długie, tajemnicze rozmowy o sprawach ezoterycznych. Dawał mi do przeczytania książki o eterycznych i astralnych ciałach, o Duszy Rozumnej i Duszy Świadomości, o niewidzialnych Bytach, których żar i mądrość, i miłość tworzą ten świat i kierują nim. Bardziej mnie przejmowały pogawędki z doktorem Scheldtem niż moja przygoda miłosna z jego córką. Była to właściwie bardzo dobra dziewczyna, pełna życia, pociągająca blondynka o ostrym profilu, pod każdym względem doskonała, drobna, młoda kobieta. Owszem, koniecznie chciała przyrządzić wyszukane potrawy, jak pieczeń a la Wellington, no i ciasto było zawsze nie dopieczone, podobnie jak mięso, ale to były drobiazgi. Wdałem się w ten romans tylko dlatego, że Renata i jej matka zamknęły przede mną drzwi i na moje miejsce wzięły Flonzaleya. Doris nie umywała się do Renaty. Renata? Przecież Renata nie potrzebowała kluczyka do stacyjki, żeby zapuścić silnik. Jeden jej pocałunek złożony na masce samochodu wystarczyłby zupełnie. Silnik zaryczałby na jej cześć. Ponadto, panna Scheldt miała ambicje towarzyskie. W Chicago niełatwo o męża z głębszymi zainteresowaniami intelektualnymi i było jasne, że Doris chciała zostać Madame Chevalier Citrine. Jej ojciec był kiedyś fizykiem w starym Armour Institute, jednym z dyrektorów IBM, konsultantem NASA, który dokonał ulepszeń metalu używanego w pojazdach kosmicznych. Ale był także antropozofem. Nie chciał nazywać tego mistycyzmem. Twierdził z uporem, że Steiner uprawiał Naukę o Sprawach Niewidzialnych. Ale Doris, nie bez pewnego oporu, mówiła o swoim ojcu jako o maniak. Dużo mi o nim opowiadała. Był różokrzyżowcem i gnostykiem, czytał na głos zmarłych. W czasach, gdy dziewczyny muszą uprawiać miłość bez względu na to, czy mają talent do tych spraw, czy też niejako że sytuacja jest taka, a nie inna, Doris poczynała sobie ze mną całkiem dzielnie. Ale wszystko było nie tak. Po prostu nie byłem przy niej sobą i w najbardziej nieodpowiednich chwilach wykrzykiwałem: „Renata! Och, Renata!” Potem leżałem wstrząśnięty i upokorzony. Doris nie obrażała się na te moje okrzyki. Była bardzo wyrozumiała. Na tym polegała jej siła. A kiedy zaczęły się moje rozmowy z profesorem, też zachowywała się bardzo przyzwoicie; rozumiała, że nie mam zamiaru spać z córką mojego guru.

Siedząc w czyściutkim gabinecie profesora – nieczęsto zdarzało mi się siedzieć w pokoju tak absolutnie czystym, gdzie parkiet z jasnego drzewa był aż przezroczysty od pasty i wschodnie dywany nie miały ani jednego kłaczka, a poniżej rozciągał się park z konnym posągami generała Shermana, harującego w przeczystym powietrzu – byłem absolutnie szczęśliwy. Poważałem doktora Scheldta. Te dziwne rzeczy, które mówił, miały przynajmniej głębię. W dzisiejszych czasach ludzie nie mówią już takich rzeczy. On był z innej epoki, całkowicie innej. Ubierał się nawet jak członek klubu sportowego z lat dwudziestych. Kiedyś nosiłem kije golfowe za ludźmi tego pokroju. Niejaki pan Masson, jeden ze stałych bywalców Sunset Ridge w Winnetka, był wiernym wizerunkiem profesora Scheldta. Przypuszczałem, że pan Masson już dawno powiększył zastępy zmarłych i na całym świecie ja jeden pamiętam, jak wyglądał, wygrzebując piłkę z piaszczystego dołka.

– Panie doktorze... – Słońce świeci jasno, woda w oddali jest gładka jak wewnętrzny spokój, którego nie osiągnąłem, pomarszczona jak oszołomienie, jezioro ma siłę niezliczonych mocy, pokrętne, hydromuskularne. W gabinecie stoi misa z polerowanego kryształu, pełna anemonów. W tych kwiatach nie ma nic oprócz wdzięku, a ubarwione są niewyraźnym w słowach ogniem, wywiedzionym z nieskończoności. – Otóż, panie doktorze – mówię. Zwracam się do jego zaciekawionej i prostej twarzy, spokojnej jak u byka, i próbuję ustalić, do jakiego stopnia można polegać na jego inteligencji – to znaczy, czy jesteśmy tu realni czy szaleni. – Zobaczymy, czy w ogóle rozumiem te sprawy: myśl w mojej głowie jest także myślą w świecie zewnętrznym. Świadomość tkwiąca w jaźni tworzy fałszywe rozróżnienie między przedmiotem i podmiotem. Czy dobrze zrozumiałem?

– Tak sądzę, panie – mówi potężny starzec.

– Gaszenie mojego pragnienia nie jest czymś, co zaczyna się w moich ustach. Jego początkiem jest woda, a woda jest poza mną, w świecie zewnętrznym. Podobnie jest z prawdą. Prawda to coś, w czym uczestniczy każdy z nas. Dwa plus dwa dla mnie równa się dwa plus dwa dla wszystkich innych i nie ma nic wspólnego z moim ja. Tyle rozumiem. I rozumiem odpowiedź na argument Spinozy, że gdyby rzucony kamień miał świadomość, mógłby pomyśleć: „Lecę w powietrzu”, jakby to robił z własnej woli. Ale gdyby miał świadomość, nie byłby zwykłym kamieniem. Mógłby także dawać początek ruchowi. Myślenie, władza myślenia i poznawania, jest źródłem wolności. Dzięki myśleniu stanie się jasne, że duch istnieje. Ciało fizyczne jest narzędziem ducha i jego zwierciadłem. Jest motorem i odbiciem ducha. Jest przemyślnym memorandum ducha do niego samego i duch widzi siebie w moim ciele, tak jak ja widzę w lustrze własną twarz. Odbijają to

moje nerwy. Ziemia jest dosłownie zwierciadłem myśli. Przedmioty same są ucieleśnionymi myślami. Śmierć jest owym przyciemnionym tłem, którego potrzebuje lustro, jeżeli mam w nim coś zobaczyć. Wszelka percepcja powoduje w nas pewną ilość śmierci i to przyciemnienie jest koniecznością. Jasnowidzący może naprawdę ujrzeć, kiedy się nauczy, jak uzyskać ogląd wewnętrzny. W tym celu musi wyjść z siebie i stanąć gdzieś daleko.

– O tym wszystkim jest mowa w tekstach – mówi doktor Scheldt. – Nie ma pewności, że pan wszystko pojął, ale referuje pan całkiem ściśle.

– Hm, rozumiem to chyba po części. Kiedy nasz rozum tego pragnie, boska mądrość do nas przyplływa.

Następnie doktor Scheldt zaczyna rozważać tekst „Jam jest światłość świata”. Według niego ta światłość jest też rozumiana jako samo słońce. Potem mówi o Ewangelii świętego Jana: czerpie ona z cherubinów, którzy są samą mądrością, podczas gdy Ewangelia świętego Łukasza czerpie z płomiennej miłości, z serafinów – a cherubiny, serafiny i trony to trzy najwyższe hierarchie ducha. Nie jestem bynajmniej pewien, że podążam za jego myślą. – Brak mi wiedzy o tych bardziej zaawansowanych sprawach, panie doktorze, ale i tak uważam, że słuchanie o nich jest czymś dobrym, dodaje otuchy. Absolutnie nie mam pojęcia, jak się w tym rozeznac. Któregoś dnia, jak wszystko się uspokoi, zabiorę się do ćwiczeń i będę to robił na serio.

– A kiedy wszystko się uspokoi?

– Nie wiem. Ale przypuszczam, że ludzie mówili już panu, jak bardzo czują się wzmocnieni na duchu po takiej rozmowie.

– Nie powinien pan czekać, aż wszystko się uspokoi. Musi pan chcieć coś zrobić, żeby się uspokoiło.

Widział, że wciąż jestem dość sceptyczny. Istotnie, nie umiałem dojść do ładu z takimi problemami jak ewolucja księżyca, duchy ogniste, synowie życia, z Atlantydą, z kwiatami lotosu jako organami postrzegania duchowego, czy też z dziwnym zlaniem się Abrahama z Zaratustrą lub połączeniem Jezusa i Buddy. Jak na moje możliwości było tego za wiele. A jednak, ilekroć doktryna zajmowała się czymś, co podejrzewałem, czego oczekiwałem lub co wiedziałem o jaźni, o śnie czy o śmierci, wtedy zawsze brzmiała prawdziwie.

Ponadto, trzeba było jeszcze myśleć o zmarłych. Jeżeli nie miałem całkowicie przestać się nimi interesować, jeżeli nie zamierzałem zadowolić się uczuciem nieprzemijającego żalu po mojej matce, moim ojcu czy po Demmie Vonghel i Von Humboldcie Fleisherze, to musiałem prowadzić badania, upewnić się, że śmierć jest sprawą ostateczną, że zmarli istotnie nie żyją. Albo musiałem uznać ostateczność śmierci i odzegnać się od wszelkich dalszych wiadomości, odrzucając moją dziecinną sentymentalność i tęsknotę, albo trzeba mi było przeprowadzić dokładne i prawidłowe badania. Bo po prostu nie rozumiałem, jak mogę nie prowadzić tych badań. Owszem, mogłem się zmusić do traktowania tego wszystkiego jako niepowetowanej straty towarzyszy podróży, których pożarł Cyklop. Mogłem myśleć o dziejach ludzkości jako o polu bitwy. Poległych układa się w dołach wykopanych w ziemi albo pali na popiół. Później człowiek nie powinien już się dopytywać o człowieka, który dał mu życie, o kobietę, która go urodziła, o Demmie Vonghel, którą widział po raz ostatni, jak wsiadała do samolotu w Idlewild, ze swoimi długimi opalonymi na jasny brąz nogami, swoim makijażem i kolczykami czy o złościście lśniącego mistrza konwersacji, Von Humboldta Fleishera, którego oglądał po raz ostatni jedzącego prele na Czterdziestej którejś ulicy. Mógł po prostu przyjąć, że zostali raz na zawsze zlikwidowani, co i jego spotka pewnego dnia. Tak więc, jeżeli gazety codziennie piszą o morderstwach popełnianych na ulicach miasta wobec tłumu obojętnych świadków, nie ma nic nielogicznego w tej obojętności. Zgodnie z metafizycznymi poglądami na śmierć, do jakich każdy człowiek na świecie, jak się zdaje, dochodzi, każdy będzie schwytyany, porwany przez śmierć, będzie przez nią zdławiony, stłamszony. Ta trwoga i to mordowanie należą do najnaturalniejszych rzeczy w świecie. I te same wnioski są elementem życia społecznego, są obecne we wszystkich jego instytucjach, w polityce, oświacie, bankowości, wymiarze sprawiedliwości. Przekonany o tym, nie widziałem powodu, żeby nie chodzić do doktora Scheldta i nie mówić z nim o serafinach i cherubinach, i tronach, i państwach, i *exousiai*, i *archai*, i aniołach, i duchach.

Powiedziałem doktorowi Scheldtowi przy naszym ostatnim spotkaniu:

– Panie doktorze, przestudiowałem broszurę pod tytułem *Siła napędowa władz duchowych w dziejach świata* i znalazłem fascynujący fragment na temat snu. Wynika z niego, że ludzkość już nie umie spać. Ze coś się powinno dziać w czasie snu, ale się po prostu nie dzieje, i dlatego po przebudzeniu czujemy się znużeni, zmęczeni, wyjąłowieni, zgorzkniali i tak dalej. Chciałbym sprawdzić, czy dobrze to rozumiem. Ciało fizycznie śpi, ciało eteryczne śpi, ale dusza odchodzi.

– Tak – odparł profesor Scheldt. – Kiedy pan śpi, dusza wchodzi do świata ponadzmysłowego albo w każdym razie do jednej z jego stref. Mówiąc prościej, do własnego żywiołu.

– Chciałbym wierzyć, że tak jest.

– Dlaczego nie miałby pan w to wierzyć?

– No dobrze, spróbuję, choćby tylko po to, żeby zobaczyć, czy rozumiem. W świecie ponadzmysłowym dusza styka się z niewidzialnymi mocami, które poznawali wtajemniczeni w starożytności w czasie swoich misterii. Nie wszystkie byty hierarchii są dostępne żyjącym, ale te są nieodzowne. Otóż, kiedy śpimy, piszą w tej broszurze, słowa, które wypowiedzieliśmy przez cały dzień, wibrują i rozbrzmiewają echem wokół nas.

– Nie dokładnie „słowa” – skorygował doktor Scheldt.

– Nie, lecz oddźwięki emocji, radość lub smutek, cel tych wyrazów. Poprzez wibracje i echa tego, cośmy myśleli i czuli, i mówili, śpiąc, obcujemy z bytami hierarchii. Ale teraz nasze codzienne wygłupy są tak bzdurne, absorbujące nas sprawy są tak przyziemne, język tak się zdeprecjonował, słowa tak się stepiły i popsuły, powiedzieliśmy tyle głupich i nudnych rzeczy – że wyższe byty nie słyszą nic prócz paplaniny, pochrząkiwania i reklamy w telewizji – rzecz na poziomie konserw dla psów. Nic im to wszystko nie mówi. Jakież zadowolenie może dać tym wyższym bytom taki materializm, wuzuty z wszelkiej głębszej myśli i poezji? W rezultacie słyszymy we śnie jedynie skrzywienie, gwizdy i odgłosy prania, szum drzew i aparatów do klimatyzacji. Dlatego jesteśmy niezrozumiali dla istot wyższych. Nie mogą na nas wpłynąć i same cierpią podobne niedostatki. Czy dobrze to rozumiałem?

– Tak, w ogólnych zarysach.

– W związku z tym myślę o moim zmarłym przyjacielu, który często się skarżył na bezsenność. Był poetą. I zaczynam rozumieć, dlaczego – być może – miał takie trudności ze spaniem. Kto wie, czy się nie wstydził. Bo miał poczucie, że braknie mu słów, które nadają się, by je zabrać ze sobą, zasypiając. Może istotnie wołał bezsenność od takiego conocnego wstydu i poczucia klęski.

Thunderbird zatrzymał się przed „Gołębnikiem” na La Salle Street. Cantabile wyskoczył z wozu. Kiedy otwierał drzwi, żeby wypuścić Thaxtera, szepnąłem:

– Polly, proszę cię, powiedz coś, pomóż mi, Polly.

– Ten Stronson ma straszne kłopoty – powiedziała. – Straszne, okropne kłopoty. Przeczytaj jutrzejszą gazetę.

Przeszliśmy przez wielki hol „Gołębnika”, wyłożony kafłami i otoczony balustradką i pojechaliśmy szybką windą na górę. Cantabile powtarzał cały czas, jak gdyby chcąc mnie zahipnotyzować: – Dziesięć kawałków dzisiaj da ci piętnaście do czwartku. Pięćdziesiąt procent w trzy dni. Pięćdziesiąt procent. – Wyszliśmy na biały korytarz i stanęliśmy przed dwojgiem wspaniałych drzwi z drzewa cedrowego, na których widniał napis Spółka Inwestycyjna „Półkula Zachodnia”. Cantabile zapukał w umówiony sposób: trzy razy, przerwa, raz i jeszcze raz. Trochę mnie zdziwiło, że to jest konieczne, no ale człowiek, który może płacić takie procenty, musi się bronić przed inwestorami. Piękna sekretarka wpuściła nas do środka. Poczekalnia była wyściełana dywanami.

– Jest u siebie – powiedział Cantabile. – Zaczekajcie parę minut, chłopcy.

Thaxter usiadł na niskiej dwuosobowej kozetce z pomarańczowym obiciem. Jakiś człowiek w szarej kurtce hałasował dokoła nas odkurzaczem. Thaxter zdjął swój szeroki, pseudokowbojski kapelusz i przyglądał kosmyki w stylu Directoire nad nieregularnie ukształtowanym czołem. Umieszczając cybuch zakrzywionej fajki między prostymi wargami, powiedział:

– Siadaj.

Oddałem mu do potrzymania jesiotta i dżem i dogoniłem Cantabilego przed drzwiami gabinetu Stronsona. Spod ramienia wyciągnąłem mu jutrzejszą gazetę. Chwycił ją i zaczęliśmy się szarpać. Jego marynarka rozpięła się i zobaczyłem, że za pasem ma pistolet, ale to mnie już nie odstraszyło.

– Czego chcesz? – spytał.

– Chcę tylko spojrzeć na ten kącik Schneidermana.

– Proszę, wyrwę go dla ciebie.

– Zrób to i już mnie nie ma.

Gwałtownym ruchem wepchnął mi gazetę do ręki i wszedł do gabinetu Stronsona. Szybko przerzucając stronicę, znalazłem w dziale finansowym artykuł poświęcony trudnościom pana Stronsona i Spółki Inwestycyjnej „Półkula Zachodnia”. Komisja do Spraw Papierów Wartościowych i Giełdy złożyła na niego skargę, zarzucając mu pogwałcenie federalnych przepisów dotyczących papierów wartościowych. W swojej przestępczej działalności korzystał z poczty, operował nie zarejestrowanymi akcjami i papierami. Zaprzysiężone oświadczenie złożone przez Komisję stwierdzało, że Guido Stronson jest zwykłym szalbierzem, że nie ma dyplomu z uniwersytetu Harvarda, lecz uczęszczał tylko do szkoły średniej w New Jersey, której nie ukończył, że pracował kiedyś na stacji benzynowej, a do niedawna był drobnym urzędnikiem w jakiejś firmie w Plainfield. Zostawił żonę z czworgiem dzieci. Są na Wschodzie, żyją z zasiłków opieki społecznej. Po przyjeździe do Chicago Guido Stronson otworzył wspaniałe biuro na La Salle Street i przedstawił imponujące referencje, między innymi dyplom Wydziału Handlowego Uniwersytetu Harvarda. Twierdził, że wiodło mu się szczególnie dobrze w Hartford, gdzie był jednym z dyrektorów towarzystwa ubezpieczeniowego. Jego spółka inwestycyjna szybko zdobyła licznych klientów na smalec, kakao, rudę złota. Kupił duży dom na Wybrzeżu Północnym i opowiadał, że chce polować na lisy. Skargi, które napływały od klientów, skłoniły władze federalne do podjęcia dochodzenia. Informacja kończyła się pogłoskami z La Salle Street, jakoby Stronson miał wielu klientów z mafii. Podobno stracili na nim sporo milionów dolarów.

Dziś wieczorem Wielkie Chicago dowie się o wszystkim, a jutro to biuro będzie oblegane przez oszukanych inwestorów i Stronson zażąda ochrony policyjnej. Ale pojutrze kto go ochroni przed mafią? Przyjrzałem się dokładnie jego zdjęciu. Gazety zniekształcają twarze w sposób szczególny – wiedziałem o tym z własnego doświadczenia – ale ta fotografia, jeżeli choć trochę oddawała sprawiedliwość Stronsonowi, nie wzbudzała sympatii. Niektóre twarze zyskują na zniekształceniu.

No dobrze, ale dlaczego Cantabile mnie tu przyprowadził? Przrzekał szybki zysk, ja wiedziałem coś niecoś o współczesnym świecie. To znaczy, umiałem to i owo wyczytać z wielkiej tajemniczej księgi miast amerykańskich. Byłem zbyt wybredny i kapryśny, żeby studiować ją bardzo dokładnie – zawsze starałem się wykorzystać warunki życiowe do wypróbowania mojej odporności; suwerenna świadomość ćwiczyła się w unikaniu zjawisk i uodpornianiu się na ich skutki. Mimo to wiedziałem, w każdym razie z grubsza, jak działają oszuści w stylu Stronsona. Chowali gdzieś znaczną część ukradzionych dolarów, szli do więzienia na osiem czy dziesięć lat, a po wyjściu żyli sobie spokojnie w Indiach Zachodnich albo na Azorach. Może Cantabile próbował teraz położyć rękę na choćby części pieniędzy schowanych przez Stronsona – na przykład w Kostaryce. A może, skoro miał stracić dwadzieścia tysięcy dolarów (częściowo zapewne były to rodzinne pieniądze Cantabile’ów), zamierzał zrobić wielką awanturę. Pewnie chciał, żebym ja taką awanturę zobaczył. Byłby rad z mojej obecności. Dzięki mnie trafił do rubryki Mike’a Schneidermana. Na pewno myśli teraz o czymś jeszcze bardziej olśniewającym, bardziej sensacyjnym i pomysłowym. Potrzebował mnie. A właściwie dlaczego jestem tak często wciągany w tego rodzaju sprawy? To samo robił ze mną Szathmar; George Swiebel urządził pokera, żeby mi to i owo pokazać, a jeszcze dziś po południu sędzia Urbanovich zgrywał się w swoim gabinecie tylko na moją cześć. Moje nazwisko łączono zapewne w Chicago ze sztuką i głębszą treścią, z pewnymi wyższymi wartościami. Czy nie byłem autorem *Von Trenzka* (filmu), uhonorowanym przez rząd francuski i klub Zig-Zac? Nosilem jeszcze w portfelu wąską, zmiętą wstążeczkę do butonierki. Och, my nieszczęsne dusze, my wszyscy tak nie zrównoważeni, ciemni, zdeorientowani, znużeni. Nie potrafimy nawet spokojnie przespać jednej nocy. Nie udaje nam się nocą nawiązać kontaktu z litościwymi, odradzającymi nas aniołami i archaniołami, przybywającymi, aby nas wzmocnić swoim ciepłem, swoją miłością i mądrością. Ach my, biedne serca, jakże źle nam się wiodło i jak bardzo pragnąłem dokonać jakichś zmian, ulepszeń, poprawek. Czegokolwiek!

Cantabile zamknął się w pokoju i konferował z panem Stronsonem, a ten Stronson, pokazany w gazecie jako człowiek z brutalną, tłustą twarzą i uczesaniem na pазia, był prawdopodobnie bliski szaleństwa. Może Cantabile proponował mu jakieś interesy – jeden interes po drugim i jeszcze jeden na dodatek. Albo radził, jak dojść do porozumienia z rozwścieczonymi klientami z mafii.

Thaxter podniósł nogi, żeby zrobić miejsce dla odkurzacza.

– Chyba lepiej stąd chodźmy – powiedziałem.

– Odejść? Teraz?

– Uważam, że powinniśmy stąd wyjść.

– Och, daj spokój, Charlie, nie każ mi wychodzić. Chcę zobaczyć, co będzie. Taka okazja już się więcej nie zdarzy. Ten twój Cantabile to absolutny szaleniec. Jest fascynujący.

– Niepotrzebnie wpakowałeś się do jego thunderbirda, nie pytając mnie o zdanie. Tak cię podnieciło to gangsterskie Chicago, że po prostu nie mogłeś poczekać. Przypuszczam, że zamierzasz zrobić użytek z tego doświadczenia, posłać coś na ten temat do „Reader’s Digest” albo czegoś równie bzdurnego. A mamy tyle spraw do omówienia.

– Sprawy mogą poczekać, Charles. Wiesz, trochę mi zaimponowałeś, zawsze się uskarżasz, że żyjesz w izolacji, a potem przyjeżdżam do Chicago i co widzę? Ciebie w samym środku wydarzeń! – Przypochlebiał mi się. Wiedział, jak bardzo lubię uchodzić za specjalistę od Chicago. – Czy Cantabile gra w piłkę w twoim klubie?

– Wątpię, czy Langobardi wpuściłby go do klubu. Niechętnie toleruje takich małych łobuzów.

– A Cantabile jest małym łobuzem?

– Nie bardzo wiem, kim on jest. Zachowuje się jak jakiś grand z mafii. To właściwie półgłówek. Ma żonę, która robi doktorat.

– Ta fantastyczna ruda na koturnach?

– Nie, to nie ta.

– Czy to nie było kapitalne, jak wystukiwał szyfr na drzwiach?

I jak ta ładna sekretarka nam otworzyła? Zwróć uwagę na te szklane gablotki z okazami sztuki prekolumbijskiej i kolekcją japońskich wachlarzy. Mówię ci, Charles, nikt właściwie nie zna tego kraju. A to nie byle jaki kraj. Najwybitniejsi znawcy Ameryki to śmieciarze. Potrafią tylko przerzucać się uczonymi formułkami na jej temat. Ty, tak, ty Charles, powinieneś o niej pisać, opisywać swoje życie dzień po dniu i zrobić przy tym użytek z niektórych swoich idei.

– Thaxter, opowiadałem ci, jak zabrałem moje córeczki do Colorado, żeby im pokazać bobry. Dookoła jeziora służba leśna umieściła tablice z przyrodniczym opisem życia bobrów. A bobry nic o tym nie wiedziały. Po prostu dalej coś żuły, pływały, były bobrami. Ale my, ludzkie bobry, doznajemy wielkiego wstrząsu, kiedy nas ktoś opisze. Przejmujemy się, kiedy słyszymy to, co słyszymy. Od Kinseya czy Mastersa, czy Eriksena. Czytamy o kryzysie tożsamości, o alienacji, et cetera, i przejmujemy się.

– A ty nie chcesz się przyczynić do okaleczenia twoich bliźnich, programując ich nowymi ideami...? Boże, jak ja nie znoszę słowa „programować”! Ale sam ciągle przeprowadzasz subtelne analizy. Na przykład ten artykuł dla „The Ark”, który mi przysłałeś – chyba mam go w teczce – i w którym dajesz ekonomiczną interpretację różnych dziwactw ludzkich. Chwileczkę, jestem pewien, że mam go tu. Dowodzisz w nim, że w obecnym stadium kapitalizmu może istnieć pewien związek między kurczącymi się możliwościami inwestycyjnymi a poszukiwaniem nowych ról czy też inwestowaniem w osobowość. Cytowałeś nawet Schumpetera, Charlie. O, proszę: „Te dramaty mogą wydawać się czysto wewnętrzne, ale kto wie, czy nie są uwarunkowane gospodarczo... kiedy ludzie myślą, że są tak subtelnie nowatorscy czy twórczy, to jest to jedynie odbiciem powszechnej potrzeby rozwoju gospodarczego, jaką odczuwa społeczeństwo”.

– Odłóż ten esej – powiedziałem. – Na miłość boską, nie cytuj mi moich wspaniałych pomysłów. Jeżeli jest coś, czego dziś nie zniosę, to właśnie tego.

Naprawdę przychodziło mi bardzo łatwo produkowanie tego rodzaju wzniosłych myśli. Zamiast ubolewać nad tą moją słabością do gładkiej mowy, Thaxter mi jej zazdrościł. Pragnął być intelektualistą, znaleźć się w panteonie, być autorem jakiejś Wielkiej Idei, jak Albert Schweitzer albo Arthur Koestler, albo Sartre, albo Wittgenstein. Nie rozumiał, dlaczego ja nie mam do tego zaufania.

– Jesteś zbyt wyniosły, nawet za bardzo snobistyczny – oświadczył Thaxter, głęboko urażony.

Ale co na to poradzić, po prostu nie chciałem być przywódcą intelektualistów całego świata. Humboldt dążył do tego z całych sił. Wierzył w zwycięstwo analizy, wolał „idee” od poezji, gotów był zrezygnować z całego świata w zamian za odrębny światek wyższych wartości kulturalnych.

– Tak czy inaczej – powiedział Thaxter – powinieneś chodzić po Chicago, jak Restif de la Bretonne chodził po ulicach Paryża, i pisać kronikę. Tb byłaby sensacja.

– Thaxter, chcę pomówić z tobą o „The Ark”. Mieliśmy wzbogacić nowymi bodźcami umysłowymi życie kraju, zaćmić „American Mercury” i „The Dial”, czy też „Revista de Occidente”, i tak dalej. Dyskutowaliśmy, planowaliśmy przez całe lata. Wydałem na to kupę pieniędzy. Od dwóch i pół lat płacę wszystkie rachunki. I gdzie jest „The Ark”? Uważam, że jesteś znakomitym redaktorem, urodzonym redaktorem i wierzę w ciebie.

Zapowiedzieliśmy ukazanie się naszego pisma i ludzie zaczęli nadsyłać materiały. Siedzimy nad tymi rękopisami od Bóg wie jak dawna. Dostaję cierpkie listy, nawet pogróżki. Zrobiłeś ze mnie kozła ofiarnego. Wszyscy zrzucają winę na mnie i wszyscy powołują się na ciebie. Zrobiłeś z siebie jakiegoś citrinologa, wszędzie ludziom coś tłumaczysz na mój temat – jak żyję, jak mało rozumiem kobiety, jaki słaby mam charakter. Nie biorę tego zbyt poważnie. Ale byłbym ci jednak wdzięczny, gdybyś mnie tak bardzo nie analizował. I te słowa, które wkładasz mi w usta – że Iks to kretyn, a Igrek to imbecyl. Ja nic nie mam przeciwko jednemu czy drugiemu. To ty się na nich uwziąłeś.

– Szczerze mówiąc, Charlie, jeżeli pierwszy numer jeszcze się nie ukazał, to dlatego, że przysłałeś mi tyle materiałów o antropozofii. Nie jesteś głupcem, więc coś musi być w tej antropozofii. Ale na miłość boską, nie możemy przecież wyskoczyć z tymi wszystkimi historiami o duszy.

– Dlaczego nie? Ludzie mówią o psyche, więc dlaczego nie dusza?

– Psyche brzmi naukowo. Musisz stopniowo przyzwyczajać ludzi do tej swojej terminologii.

– Po co kupowałeś takie olbrzymie zapasy papieru? – spytałem.

– Chciałem wydać pięć kolejnych numerów, nie kłopotząc się o papier. A poza tym, to była okazja.

– Gdzie teraz są te tony papieru?

– Na składzie. Ale nie wydaje mi się, że „The Ark” jest twoim głównym zmartwieniem. Tak naprawdę, to dokuczają ci Denise, sądy, dolary i cały ten żal i niepokój.

– Nie, nie o to chodzi – powiedziałem. – Czasami jestem wdzięczny Denise. Uważasz, że powinienem chodzić po ulicach jak Restif de la Bretonne? Otóż gdyby Denise nie podała mnie do sądu, wcale bym nie wychodził z domu. Z jej powodu jadę do śródmieścia. Dzięki temu utrzymuję kontakt z życiem. To jest zdecydowanie kształcące.

– Jak to?

– No więc uświadamiam sobie, jak powszechna jest chęć wyrządzenia krzywdy bliźniemu. Przypuszczam, że w demokracjach dzieje się tak samo jak w dyktaturach. Tyle że tutaj rządy prawa i prawników wnoszą coś w rodzaju palisady. Mogą cię bardzo skrzywdzić, mogą obrzydzić ci życie, ale nie mogą cię zaciukać w dosłownym sensie.

– Twoje umiłowanie wiedzy naprawdę przynosi ci zaszczyt, Charles. Poważnie. Mogę ci to powiedzieć po dwudziestu latach przyjaźni – rzekł Thaxter. – Masz bardzo szczególny charakter, ale jest w tobie jakaś... nie wiem, jak to wyrazić... jakaś godność. Jeżeli ty mówisz dusza, a ja mówię psyche, to prawdopodobnie masz jakiś powód. Prawdopodobnie masz duszę, Charles. A to jest u każdego dość zaskakujące zjawisko.

– Ty sam masz duszę. W każdym razie uważam, że powinniśmy zrezygnować z planów wydawania „The Ark” i upłynnić nasze aktywa, jeżeli w ogóle mamy jakieś aktywa.

– Chwileczkę, Charles, nie śpiesz się tak. Wszystko da się łatwo wyprostować. Jesteśmy prawie u celu.

– Nie mogę w to ładować więcej pieniędzy. Finansowo powodzi mi się kiepsko.

– Nie można porównać twojej sytuacji z moją – oświadczył Thaxter. – Ja w Kalifornii jestem zupełnie skończony.

– Jest aż tak źle?

– No cóż, starałem się zredukować moje zobowiązania do minimum. Przrzekłeś wypłacić Kwiatuskowi jej pensję. Pamiętasz Kwiatuszek, tę sekretarkę? Poznałeś ją we wrześniu.

– Moje zobowiązania? We wrześniu uzgodniliśmy, że pozbywamy się Kwiatuszka.

– Ach, ale ona jedna naprawdę potrafi obsługiwać ten cały sprzęt IBM.

– Ale sprzęt nigdy nie był obsługiwany.

– To nie jej wina. Byliśmy gotowi. Ja mogłem ruszyć w każdej chwili.

– Tak naprawdę chcesz powiedzieć, że jesteś zbyt wielką osobistością, żeby się móc obejść bez personelu.

– Zlituj się, Charles. Zaraz po twoim wyjeździe jej mąż zginął w wypadku samochodowym. Przecież sam byś nie chciał, żebym ją zwolnił w takiej chwili. Znam twoje serce, Charles, nie mówiąc o innych zaletach.

Wobec tego wziąłem wszystko na siebie i zrobiłem to, co ty byś zrobił. Wszystko się sprowadza do tysiąca pięciuset dolarów. Ściśle mówiąc, jest jeszcze jedna sprawa, o której muszę wspomnieć, rachunek za budulec na nowe skrzydło.

– Ja nie kazałem ci budować tego skrzydła. Byłem zdecydowanie przeciwny.

– Jak to, przecież uzgodniliśmy, że redakcja będzie oddzielnie. Chyba nie przypuszczałeś, że zgodzę się mieć cały ten redakcyjny bałagan u siebie w domu.

– Powiedziałem wyraźnie, że nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nawet cię przestrzegałem, że jak wykopiesz ten wielki dół tuż obok domu, naruszysz fundamenty.

– No cóż, to nie jest aż tak ważne – powiedział Thaxter. – Firma budowlana może ostatecznie rozebrać to wszystko i wziąć z powrotem swoje drewno. A teraz to nieporozumienie między bankami... strasznie mi przykro, że się tak stało, ale to nie była moja wina. Wyplata z Banco Ambrosiano di Milano ulega zwłoce. Ta przeklęta biurokracja! Zresztą, dzisiejsze Włochy to tylko chaos i anarchia. Tak czy inaczej czek...

– Nie mam go.

– Nie masz? Więc musi być w dzisiejszej korespondencji. Poczta działa skandalicznie. To była moja ostatnia rata, tysiąc dwieście dolarów, jaką posłałem do Trustu Pało Alto. Już zdążyli zamknąć mi kredyt. Są ci winni tysiąc dwieście.

– Czy jest możliwe, że ich wcale nie otrzymali? Może zostały wysłane z Włoch na grzbiecie delfina?

Nawet się nie uśmiechnął. Chwila była uroczysta. Ostatecznie mówiliśmy o jego pieniądzach.

– Te pałatachy z Kalifornii miały potwierdzić przelew i posłać ci swój czek bankowy.

– Może czek z Banco Ambrosiano jeszcze nie został zaksięgowany – powiedziałem.

– Teraz dalej. – Wyjął z teczki duży blok. – Opracowałem dokładny program spłacenia ci pieniędzy, które straciłeś. Musisz dostać zwrot tego, co zapłaciłeś za akcje. Stanowczo nalegam. Zdaje się, że kupowałeś po czterysta. Chyba przepłaciłeś, wiesz, stoją teraz znacznie niżej. No, ale to nie twoja wina. Powiedzmy, że kiedy brałeś je dla mnie jako gwarancję, były warte osiemnaście tysięcy. Nie zapomniałem także o dywidendach.

– Nie musisz obliczać dywidend, Thaxter.

– Nie, nie, nalegam. Nie trudno się dowiedzieć, jaką dywidendę wypłaca IBM. Podasz mi sumę, a ja wyślę ci czek.

– W ciągu pięciu lat spłaciłeś z tej pożyczki niecały tysiąc dolarów. Pilnowałeś płacenia odsetek i poza tym prawie nic.

– Stopa procentowa była niebotyczna.

– Przez pięć lat zmniejszałeś zasadniczy dług o dwieście dolarów rocznie.

– Dokładne liczby nie docierają teraz do mnie – rzekł Thaxter. – Ale wiem, że bank będzie ci coś winien, kiedy sprzeda te akcje.

– Akcje IBM stoją obecnie poniżej dwustu dolarów za sztukę. Bank także traci. Co nie znaczy, że się martwię o los banków.

Ale Thaxter już pracowicie tłumaczył, jak zwróci mi pieniądze, z dywidendami i tak dalej, w okresie pięciu lat. Rozszczepione źrenice jego podłużnych, zielonych jak winogrona oczu przeskakiwały z liczby na liczbę. Załatwi całą sprawę jak najładniej, z godnością, jak arystokrata, bez cienia obłudy, nie wymigując się od spłaty choćby części długu zaciągniętego u przyjaciela. Widziałem, że głęboko wierzy w to, co mówi. Ale wiedziałem również, że ten drobiazgowy plan przyzwoitego postępowania wobec mnie stanie się w jego umyśle równoznaczny z takim przyzwoitym postępowaniem. Te podłużne, żółte arkusiki wypełnione cyframi, te wspaniałomyślne warunki spłaty, dbałość o szczegóły, wyrazy przyjaźni, wszystko to załatwiało naszą sprawę w pełni, raz na zawsze. W magiczny sposób stawało się faktem.

– Warto być z tobą bardzo skrupulatnym w tych drobnych transakcjach. Dla ciebie małe sumy są ważniejsze od dużych. Dziwi mnie czasem, że my dwaj grzebiemy się w takich drobiazgach. Mógłbyś zarobić każdą sumę pieniędzy. Nie znasz swoich możliwości. Wystarczyłoby ci zakręcić korbą i pieniądze posypałyby się jak groch.

– Jaką korbą?

– Mógłbyś pójść do jakiegoś wydawcy z projektem i sam ustalić wysokość zaliczki.

– Już wzięłem spore zaliczki.

– Grosze. Mógłbyś dostać znacznie więcej. Zresztą mam kilka pomysłów. Na początek moglibyśmy we dwóch zrobić ten kulturalny bedeker, na który ciągle cię namawiam. Wiesz, przewodnik dla wykształconych Amerykanów, którzy jadą do Europy i mają dosyć kupowania wyrobów skórzanych we Florencji czy irlandzkiego płótna. Mają po uszy hałaśliwego stada gapiowatych turystów. Ci kulturalni Amerykanie są na przykład w Wiedniu. W naszym przewodniku mogliby znaleźć wykaz instytutów naukowych, które powinni odwiedzić, małych bibliotek, zbiorów prywatnych, zespołów kameralnych, kawiarni i restauracji, gdzie można spotkać matematyków i skrzypków; byłyby tam także adresy poetów, malarzy, psychologów i tak dalej. „Odwiedźcie ich pracownie i laboratoria. Porozmawiajcie z nimi”.

– Zamiast dawać takie informacje do ręki turystom, którzy rzucają się jak sępy na kulturę, możesz z równym powodzeniem sprowadzić pluton egzekucyjny i kazać rozstrzelać tych wszystkich poetów.

– Nie ma takiego ministerstwa turystyki w Europie, które by się nie zachwyciło naszym projektem. Ofiarowałyby wszelką współpracę. Mogłoby nawet podrzucić trochę pieniędzy. Słuchaj, Charlie, moglibyśmy zrobić taką rzecz dla każdego kraju w Europie, dla wszystkich stolic i większych miast. Ten pomysł ma dla nas wartość miliona dolarów. Ja bym się zajął organizacją i zbieraniem materiałów. Odwaliłbym większą część roboty. Ty byś pisał o atmosferze, klimacie intelektualnym. Potrzebny nam będzie personel do opracowania szczegółów. Zaczęlibyśmy na przykład w Londynie, stamtąd przenieśliśmy się do Paryża, Wiednia i Rzymu. Powiedz słowo, a pójdę do któregoś z wielkich wydawnictw. Twoje nazwisko gwarantuje dwieście pięćdziesiąt tysięcy zaliczki. Dzielimy na dwie części i po kłopotach.

– Paryż i Wiedeń! Dlaczego nie Montevideo i Bogota? Tam jest tyle samo kultury. Dlaczego płyniesz do Europy, a nie lecisz?

– To mój ulubiony sposób podróżowania, znakomicie wtedy wypoczywam. Jedną z ostatnich przyjemności życiowych mojej starej matki jest urządzenie tych wycieczek dla swojego jedynaka. Tym razem zrobiła coś więcej. Mistrzowska drużyna piłkarska Brazylii odbywa tournée po Europie, a mama wie, że ja uwielbiam futbol. To znaczy futbol najwyższej klasy. Wobec tego wykombinowała mi bilety na cztery mecze. Poza tym mam sprawy zawodowe. I chcę zobaczyć niektóre z moich dzieci.

Powstrzymałem się od zapytania go, jak to się dzieje, że podróżuje pierwszą klasą na *France*, skoro jest absolutnie bez grosza. Zadawanie pytań nie prowadziło do niczego. Nigdy nie udawało mi się zrozumieć jego wyjaśnień. Owszem, pamiętałem, jak mi mówił, że aksamitny garnitur z niebieską jedwabną chustką zawiązaną w stylu Ronalda Colmana nadaje się doskonale jako strój wieczorowy. Ba, milionerzy w smokingach wyglądali w porównaniu z tym po prostu niegustownie. A kobiety uwielbiały Thaxtera. Pewnego wieczoru w czasie jego ostatniej podróży przez ocean jakaś starsza pani z Teksasu, jeżeli mówił prawdę, rzuciła mu na kolana, pod osłoną obrusa, zamszowy woreczek z drogimi kamieniami. Dyskretnie oddał go jej. Nie będzie obsługiwać starych megier z Teksasu, oświadczył. Nawet tych, które przejawiają wspaniałomyślność w stylu wschodnim czy renesansowym. Bo mimo wszystko należało to uznać za wielki gest, godny wielkiego oceanu i wielkiego charakteru. Ale on był pełen godności, wyjątkowo cnotliwy i wierny swojej żonie – wszystkim swoim żonom. Był gorąco przywiązany do całej rozległej rodziny, tych licznych dzieci, jakie miał z kilkoma kobietami. Jeżeli nawet nie da światu żadnej Wielkiej Idei, to przynajmniej wycisnie na nim swoje genetyczne piętno.

– Gdybym ja nie miał gotówki, poprosiłbym matkę, żeby mnie posłała czwartą klasą. Ile zostawiasz napiwku, jak schodzisz z *France* w Hawrze? – spytałem.

– Daję stewardowi pięć dolarów.

– Masz szczęście, że żywy schodzisz ze statku.

– To zupełnie wystarczająca suma – powiedział Thaxter. – Terroryzują amerykańskich bogaczy i pogardzają nimi za ich tchórzostwo i ignorancję. – Potem rzekł: – Za granicą mam sprawy do omówienia z międzynarodowym konsorcjum wydawców, dla którego pracuję nad pewnym pomysłem. Właściwie ten pomysł wyszedł od ciebie, Charlie, ale nie będziesz pamiętał. Powiedziałaś, że byłoby rzeczą bardzo interesującą jeździć po świecie i robić wywiady z całą masą drugo-, trzecio- i czwarto- rzędnych dyktatorów – jakimś generałem Aminem, jakimś Kadafim i ludźmi tego pokroju.

– Kazaliby cię rzucić rybom na pożarcie, gdyby przypuszczali, że zamierzasz nazywać ich trzeciorzędnymi.

– Nie bądź naiwny, nigdy bym nie zrobił czegoś takiego. To przywódcy rozwijającego się świata. Ale temat jest naprawdę fascynujący. Ci obdarci, ni to zagraniczni studenci, ni to cyganeria sprzed kilku lat i zarazem przyszli drobni szantażyści, dziś grożą wielkim krajom, czy też byłym wielkim krajom, zniszczeniem. Podlizują im się czcigodni mężowie stanu.

– Dlaczego przypuszczasz, że zechcą z tobą rozmawiać? – zapytałem.

– Strasznie im zależy na spotkaniu z kimś takim jak ja. Marzą o kontaktach z wielkim światem, a ja mam nieposzlakowane referencje. Wszyscy chcą usłyszeć coś o Oxfordzie i Cambridge, o Nowym Jorku i sezonie londyńskim, i porozmawiać o Karolu Marksie i Sartrze. Jeżeli zechcą zagrać w golfa, tenisa albo ping-ponga, jestem do usług. Jako przygotowanie do tych wywiadów przeczytałem kilka dobrych rzeczy, żeby uchwycić odpowiedni ton – to, co pisze Marks o Ludwiku Napoleonie, jest znakomite. Przeglądałem Swetoniusza i Saint-Simona, i Prousta. Ale, ale, na Tajwanie ma się odbyć międzynarodowy zjazd poetów. Możliwe, że będę go obsługiwał. Trzeba wiedzieć, co się dzieje, przykładać ucho do ziemi.

– Ile razy próbuję, tylko sobie brudzę ucho – powiedziałem.

– Kto wie, może uda mi się zrobić wywiad z Czang Kaj-szekiem, zanim wykituje.

– Nie wyobrażam sobie, żeby miał ci coś do powiedzenia.

– Och, to już moja sprawa – odparł Thaxter.

– A może byśmy tak poszli z tego biura? – powiedziałem.

– Dlaczego chociaż raz nie zgodzisz się ze mną i nie zrobisz jakiejś rzeczy po mojemu? Nie trzeba się za bardzo chronić. To, co interesujące, niech się wydarzy. Czy może być bardzo złe? Możemy przecież rozmawiać tak samo dobrze tutaj, jak gdzie indziej. Powiedz mi, jak twoje sprawy osobiste, co się z tobą dzieje?

Przy każdym naszym spotkaniu z Thaxterem odbywaliśmy przynajmniej jedną intymną rozmowę. Mówiłem z nim swobodnie, bez żadnych hamulców. Mimo jego – i moich – absurdalnych dziwactw istniała jednak między nami pewna więź. Z Thaxterem mogłem rozmawiać. Niekiedy mówiłem sobie, że rozmowa z nim jest dla mnie tak zdrowa jak psychoanaliza. W ciągu lat koszt był mniej więcej taki sam. Thaxter umiał wyciągnąć ze mnie to, co naprawdę myślałem. Poważniejsi spośród moich uczonych przyjaciół, na przykład Richard Durnwald, nie chcieli słuchać, kiedy próbowałem mówić im o poglądach Rudolfa Steinera. „To nonsens! – orzekł Durnwald. – Po prostu nonsens! Przyjrzałem się temu”. W świecie uczonych antropozofia nie cieszyła się najlepszą sławą. Durnwald zbył krótko ten temat, bo pragnął zachować swój szacunek dla mnie. Ale Thaxter spytał:

– Co to jest ta Dusza – Świadomość i jak wyjaśnisz teorię, że nasze kości są wykrystalizowane z samego kosmosu?

– Cieszę się, że mnie o to pytasz – odparłem. Ale zanim zacząłem mówić, zobaczyłem, że zbliża się Cantabile. Nie, nie zbliżał się, raczej spłynął na nas w jakiś szczególny sposób, jak gdyby nie korzystał z podłogi i dywanu, lecz znalazł inny punkt oparcia.

– Pozwolę go sobie pożyczyć – powiedział, biorąc pseudokowbojski kapelusz z wygiętym rondem. – W porządku – dodał, tonem łaskawym i napiętym. – Wstawaj, Charlie. Chodźmy z wizytą do tego faceta. – Podniósł mnie brutalnie z fotela. Thaxter wstał także z pomarańczowej kozetki, ale Cantabile pchnął go i posadził z powrotem, mówiąc: – Pan nie. Po jednym. – Poprowadził mnie w stronę prezesowskich drzwi. Tam się zatrzymał i rzekł: – Pamiętaj, pozwól mi mówić. Sytuacja jest bardzo niezwykła.

– Zdaje mi się, że to jeszcze jeden z twoich oryginalnych pomysłów. Ale nie będzie żadnych pieniędzy.

– Och, przecież nie zrobiłbym ci tego. Kto jak nie facet, który ma prawdziwe kłopoty, dawałby trzy dolary za dwa? Widziałeś tę wzmiankę w gazecie, co?

– Jasne, że widziałem. A gdybym nie widział?

– Nie dałbym cię skrzywdzić. Przeszedłeś próbę. Jesteśmy przyjaciółmi. Ale tak czy inaczej, chodź poznać tego faceta. Zdaje się, że uważasz za swój obowiązek poznać całe społeczeństwo amerykańskie, od Białego Domu do slumsów. Chcę tylko, żebyś stał spokojnie, a ja mu powiem kilka słów. Wczoraj byłeś genialny jako uczciwy człowiek. I nie było w tym nic złego, prawda? – Mówiąc to, ściągnął ciasno pasek na moim płaszczu i włożył mi na głowę kapelusz Thaxtera. Drzwi gabinetu Stronsona otworzyły się, zanim zdążyłem uciec.

Finansista stał obok swojego biurka, jednego z tych wielkich, głęboko wyciętych dyrektorskich biurek – takie miał Mussolini. Fotografia w gazecie mogła wprowadzić w błąd tylko pod jednym względem: spodziewałem się, że to będzie ktoś wyższy. Stronson był tłuścioszkiem o jasnoblonde włosach i bladej twarzy. Budową przypominał Billy'ego Srole'a. Szyję miał krótką, na karku brązowe kłaki. Nie sprawiał przyjemnego wrażenia. Jego policzki wyglądały trochę jak pośladki. Miał na sobie golf, na piersi dyndały przeróżne ozdoby, łańcuchy, amulety. Uczesanie na pazia nadawało mu wygląd prosiaka w peruce. Buty na grubej podeszwie czyniły go wyższym.

Otóż Cantabile przyprowadził mnie tu, żeby nastraszyć tego człowieka.

– Przyjrzyj się dobrze mojemu wspólnikowi, Stronson – powiedział. – To ten, o którym ci mówiłem. Przyjrzyj mu się. Jeszcze go zobaczysz. On ciebie dopadnie. W restauracji, w garażu, w kinie, w windzie. – I do mnie: – To wszystko. Zaczekaj na zewnątrz. – Obrócił mnie twarzą w stronę drzwi.

Złodowaciałem. Potem ogarnęła mnie zgroza. Nawet rola manekina odgrywającego mordercę była czymś przerażającym. Ale zanim zdążyłem oburzyć się i zaprzeczyć, zdjęć kapelusza, położyć kres blefowi Cantabilego, ze szczeliny skrzynki stojącej na biurku rozległ się głos sekretarki Stronsona, potężnie wzmocniony, wypełniający cały pokój.

– Już? – spytała.

A on odrzekł:

– Już!

W tej samej chwili portier w szarej bluzie wkroczył do gabinetu, popychając przed sobą Thaxtera. W ręku miał otwartą legitymację.

– Policja, Wydział Zabójstw – powiedział i pchnął wszystkich pod ścianę.

– Chwileczkę. Popatrzmy na tę legitymację. Co to znaczy? Wydział Zabójstw? – krzyknął Cantabile.

– A coś ty myślał? Ze pozwolę ci, żebyś mi groził, i będę siedział cicho? Jak tylko powiedziałaś, że każesz mnie sprzątnąć, poszedłem do prokuratora stanowego, złożyłem zaprzysiężone oświadczenie i wziąłem nakaz aresztowania – powiedział Stronson. – Dwa nakazy. Jeden in blanco dla tego spec'a od zabijania, twojego przyjaciela.

– Ach, więc reprezentujesz Spółkę Akcyjną „Morderstwo”? – zwrócił się do mnie Thaxter. Thaxter rzadko kiedy śmiał się głośno. Nawet największa radość przejawiała się u niego w niemal całkowitym milczeniu. W tej chwili jego radość była wyjątkowo duża.

– Ten spec od zabijania to niby ja? – spytałem, próbując się uśmiechnąć.

Nikt nie odpowiedział.

– Kto musi ci grozić, Stronson? – spytał Cantabile. Jego brązowe oczy, które spoglądały wyzywająco, zwilgotniały, podczas gdy twarz sprawiała wrażenie aż boleśnie suchej i białej. – Straciłeś przeszło milion dolarów należących do tych facetów z „Trójki” i jesteś skończony, synku. Tak jakbyś nie żył. Po co miałby się jeszcze ktoś do tego brać? Masz akurat taką szansę jak szczur w latrynie. Panie sierżancie, ten człowiek nie wie, na jakim świecie żyje. Musi pan zobaczyć artykuł z jutrzejszej gazety. Spółka Inwestycyjna „Półkula Zachodnia” przestała istnieć. Stronson chce pociągnąć za sobą kilka osób. Charlie, idź i przynieś gazetę. Pokaż ją temu facetowi.

– Charlie nigdzie nie pójdzie. Wszyscy stoją oparci o ścianę. Ty podobno nosisz pistolet i nazywasz się Cantabile. Pochyl się, kochanie, o, tak, właśnie tak. – Wszyscy usłuchaliśmy. Swoją broń policjant trzymał pod pachą. Kabura i rzemienie skrzypiały. Z ozdobnego pasa Cantabilego wyciągnął pistolet. – To nie jest zwykła trzydziestka ósemka, normalna spluwa na sobotnie wieczory. To magnum. Tym można zabić słonia.

– No proszę, jak panu mówiłem. To właśnie pistolet, którym mi wywijał przed nosem – powiedział Stronson.

– Głupie figle z bronią są zdaje się dziedziczne w rodzinie Cantabile'ów. To chyba twój stryj Moochy wykończył tych dwóch smarkaczy, co? A fe, nieładnie! Półgłówki. Zaraz zobaczymy, czy nie masz przy sobie trochę trawki. I jeszcze może warunkowe zwolnionko, to by dopiero była zabawa. Już my ciebie nieźle urządzimy, koleżko. Parszywa banda dzieciobójców.

Z kolei Thaxter został obszukany pod peleryną. Jego usta rozszerzyły się, a nos silnie wykrzywił i jakby rozplomieniał pod wpływem radości, wprost rozkoszy wywołanej tym wspaniałym przeżyciem w Chicago. Ja byłem wściekły. Detektyw obmacał mnie po bokach, pod pachami i między nogami, po czym rzekł:

– Ci dwaj panowie mogą się odwrócić. Niezłe się ubieracie, ani słowa. Gdzie pan dostał te buty z płótnem po bokach? – zapytał Thaxtera. – Włochy?

– Na King's Road – odparł uprzejmie Thaxter.

Detektyw zdjął szarą bluzę portiera – pod nią miał czerwoną koszulkę – i opróżnił portfel Cantabilego, długi, czarny, ze skóry strusia, układając jego zawartość na biurku.

– Który z nich ma być tym specem od zabijania? Errol Flynn w pelerynie czy kraciasty płaszcz?

– Płaszcz – powiedział Stronson.

– Właściwie powinienem pozwolić panu zrobić z siebie durnia i zaaresztować go – powiedział Cantabile, wciąż zwrócony twarzą do ściany. – Śmiało, do roboty. Tylko tego brakuje.

– Dlaczego, czy to ktoś ważny? – spytał policjant. – Jakaś gruba ryba?

– Jakby pan zgadł – odpowiedział Cantabile. – To znany, wybitny człowiek. Niech pan zajrzy jutro do gazety, a zobaczy pan jego nazwisko w rubryce Schneidermana. Charles Citrine. Ważna osobistość w Chicago.

– Co z tego? Mało to ważnych osobistości pakujemy do mamra? Gubernator Kemer nie miał nawet dosyć rozumu, żeby sobie wziąć sprytnego pośrednika. – Detektyw świetnie się bawił. Twarz miał pospolitą, pociętą bliznami, w tej chwili rozbawioną – twarz doświadczonego policjanta. Pod czerwoną koszulą widać było tłustą pierś. Martwe włosy jego peruki nie pasowały do zdrowej, bardzo ludzkiej cery, brakowało im jakiejś organicznej symetrii... Zmniejszyły mu głowę w złych miejscach. Widziałem takie peruki na wesołych kolorowych ławeczkach w przebieralni mojego Klubu – czekały jak szkockie teriery na swoich panów.

– Cantabile przyszedł do mnie rano ze zwariowanymi propozycjami – mówił Stronson. – Powiedziałem mu, że nie ma o czym gadać. Potem groził, że mnie zamorduje, i pokazał pistolet. On naprawdę zwariował. Potem powiedział, że wróci ze swoim facetem od zabijania. Opisał dokładnie, jak tamten to zrobi. Będzie mnie tropił tygodniami. Zmasakruje mi kulami pół twarzy, jak zgniły ananas. Kości pogruhotane, z nosa cieknie mózg i krew. Powiedział mi nawet, jak będzie zniszczona broń, czyli dowód zbrodni, że morderca pokraje ją elektryczną piłą, a kawałki potłucze młotkiem i powrzuci do kilku włączów kanalizacyjnych na przedmieściach. Wszystko z najdrobniejszymi szczegółami!

– I tak jesteś już martwy, tłusciochu – rzekł Cantabile. – Za kilka miesięcy znajdą cię gdzieś w kanałach i będą musieli zeszkrobać ci z twarzy pięć centymetrów gówna, żeby zobaczyć, o kogo chodzi.

– Brak pozwolenia na broń. Ślicznie!

– Teraz proszę zabrać stąd tych facetów – powiedział Stronson.

– Czy pan wniesie skargę przeciwko wszystkim? Ma pan tylko dwa nakazy.

– Zamierzam wniesić skargę przeciwko wszystkim.

– Pan Cantabile sam panu przed chwilą powiedział, że ja nie mam z tym nic wspólnego – wtrąciłem. – Mój przyjaciel Thaxter i ja wychodziliśmy z Instytutu Sztuki i Cantabile przywiózł nas tutaj, rzekomo dla omówienia lokaty kapitału. Mogę zrozumieć pana Stronsona. Jest przerażony. Cantabile po prostu oszalał, zżera go chyba próżność, zarozumiałość, straszliwa mania wielkości, czysty blef. To tylko jeden z jego oryginalnych kawałów. Panie Stronson, może sierżant powie panu, że nie jestem typem płatnego mordercy w rodzaju Lepkiego. Na pewno widział już kilku takich w swoim życiu.

– Ten człowiek nigdy nikogo nie zabił – powiedział policjant.

– A ja muszę jechać do Europy i mam mnóstwo spraw do załatwienia.

O to mi przede wszystkim chodziło. Najgorsze w obecnej sytuacji było to, że kolidowała z moimi niespokojnymi poszukiwaniami, moją skomplikowaną subiektywnością. Z jednej strony była moja własna, wewnętrzna wojna domowa, z drugiej jawne, publiczne życie, które jest czymś elementarnym, dla każdego łatwym do odczytania i charakterystycznym właśnie dla tego miejsca: Chicago, stan Illinois.

Jako fantastyczny pożeracz książek, otoczony murem niezliczonych tomów, przywykły do spoglądania z góry, ze swoich wysokich okien, na samochody policyjne, wozy straży pożarnej, karetki pogotowia, a także

jako człowiek o zawilej psychice, który działa na podstawie tysięcy prywatnych punktów odniesienia i tekstów, stwierdziłem teraz, że bardzo mi odpowiadają słowa T. E. Lawrence'a, kiedy tłumaczył, dlaczego zaciągnął się do RAF-u. – „Aby brutalnie wskoczyć pomiędzy surowych ludzi i znaleźć dla siebie...” Zaraz, zaraz, jak to było? „...na te ostatnie z moich najlepszych lat”. Chamskie żarty, rejuwach, świnienie w koszarach, służba przy czyszczeniu śmietników. Tak, wielu mężczyzn, mówił Lawrence, wybrałoby bez słowa skargi karę śmierci, aby uniknąć kary życia, którą los niesie w drugiej dłoni. Rozumiałem, co ma na myśli. Tak więc nadszedł czas, żeby ktoś – dlaczego nie ktoś taki jak ja? – zrobił w tej kłopotliwej, beznadziejnej sprawie więcej, niż dokonali inni wspaniali ludzie, którzy się na to ważyli. Najgorsze w owej absurdalnej chwili było to, że zostałem wytrącony z tempa. O siódmej byłem umówiony na kolację. Renata będzie się denerwowała. Złościło ją, kiedy musiała czekać. Miała swoje humory, które zawsze wyładowywały się w pewien określony sposób; co więcej, jeżeli moje podejrzenia były słuszne, Flonzaley nie mógł być zbyt daleko. Myśl o zastępcach nie przestaje nękać naszych umysłów. Nawet najwierniejsze i najbardziej zrównoważone osoby mają w rezerwie potajemnie wybrane „uzupełnienia”, Renata zaś nie była z tych najwierniejszych. A ponieważ często przechodziła odruchowo na rymy, zaskoczyła mnie raz tym oto:

Kiedy bliscy

Idą stąd

Czeka innych

Cały rząd.

Wątpię, czy ktokolwiek bardziej ode mnie cenił dowcip Renaty. Zawsze kryła się w nim oszałamiająca perspektywa szczerości. Ale dawno już doszliśmy z Humboldtem do wniosku, że potrafię strawić wszystko, byle tylko zostało dobrze sformułowane. Była to prawda. Renata rozśmieszała mnie. Skłonny byłem odkładać na później problem grozy, jaka czaiła się w jej słowach, brutalną perspektywę, która nagle mogła się z nich wyłonić. Na przykład powiedziała mi kiedyś: „Nie tylko najlepsze rzeczy w życiu są dostępne dla wszystkich, ale my nie możemy być zanadto dostępni dla najlepszych rzeczy na świecie”.

Kochanek, przemycony do internatu po zamknięciu drzwi, dał Renacie, tej klasycznej kurewce, okazję do swobodnego zachowania. Ze względu na mój zwyczaj podnoszenia takich przyziemnych rozważań do rangi teorii nie zadziwi nikogo, że zacząłem rozmyślać o samowoli podświadomości i jej uniezależnieniu się od reguł postępowania. Ale był to tylko antynomizm, nie wolność. Według Steinera, prawdziwa wolność przebywa w czystej świadomości. Każdy mikrokosmos oddzielił się od makrokosmosu. W arbitralnym podziale między Podmiotem i Przedmiotem zagubiony został świat. Sprowadzone do zera Ja szukało rozrywki. Stało się aktorem. Tak, w moim rozumieniu, wyglądała sytuacja Duszy-Świadomości. Ale teraz poczułem pewien odruch niechęci do samego Rudolfa Steinera. Było to związane z nieprzyjemnym fragmentem *Dzienników* Kafki; zwrócił mi na to uwagę mój przyjaciel Durnwald, który sądził, że jestem nadal zdolny do poważnego wysiłku intelektualnego, i chciał mnie ustrzec przed antropozofią. Kafkę także pociągały wizje Steinera, uznał nawet, że opisywane przez niego stany jasnowidzenia są podobne do jego własnych przeżyć – czując, że sam znajduje się na zewnętrznej granicy tego, co ludzkie. Umówił się ze Steinerem w hotelu Victoria na Jungmannstrasse. Czytamy w *Dziennikach*, że Steiner nosił zakurzony i poplamiony tużurek i miał straszny katar. Lało mu się z nosa i bez przerwy wpychał palcami róg chusteczki głęboko w nozdrza, podczas gdy Kafka, patrząc na to z obrzydzeniem, mówił mu o sobie, że jest artystą, który utkwiał w ubezpieczeniach. Stan zdrowia i charakter, powiedział, nie pozwalają mu poświęcić się karierze literackiej. Jeżeli do literatury i ubezpieczeń doda teozofię, co się z nim stanie? Nie wiemy, co odpowiedział Steiner.

Kafka, rzecz jasna, sam był po czubek głowy naładowany tą właśnie zrozpaczoną, grymaśną, kpiarską Duszą-Świadomością. Biedaczysko – sposób, w jaki wyłożył swoją sprawę, nie przynosi mu zbyt wiele zaszczytu. Człowiek genialny artysta, który ugrzązł w ubezpieczeniach? To nader banalna skarga, niewiele w istocie lepsza od kataru. Humboldt byłby tego samego zdania. Mówiliśmy czasem o Kafce i znałem jego poglądy. Ale teraz i Kafka, i Steiner, i Humboldt byli razem w królestwie śmierci, gdzie wkrótce mieli się do nich przyłączyć wszyscy w biurze Stronsona. Aby, kto wie, zjawić się ponownie za kilka stuleci w bardziej iskrzącym się świecie. Nie musiałyby się bardzo iskrzyć, żeby się iskrzyć bardziej niż obecny. Tak czy inaczej, zdenerwowało mnie to, co Kafka pisze o Steinerze.

Podczas gdy ja oddawałem się tym rozmyśleniom, do akcji włączył się Thaxter. Do nikogo nie żywił urazy. Chciał wyjaśnić całą sprawę w jak najuprzejmiejszy sposób, bez zbyt protekcjonalnego tonu.

– Naprawdę nie wierzę, żeby pan chciał zatrzymać pana Citrine’a na podstawie tego nakazu – powiedział, uśmiechając się poważnie.

– Dlaczego nie? – zapytał policjant. Pistolet Cantabilego, solidne, niklowane magnum, miał zatknięty za pas.

– Przyznał pan, że pan Citrine nie wygląda na mordercę.

– Jest zmęczony i blady. Powinien pojechać na tydzień do Acapulco.

– To przecież absurd tego rodzaju mistyfikacja – ciągnął Thaxter. Pokazywał mi, jak pięknie potrafi rozmawiać z prostymi ludźmi, jak dobrze rozumie i zjednuje sobie swoich amerykańskich rodaków. Ale jednocześnie było dla mnie jasne, że Thaxter, jego elegancja, jego poza a la Peter Wimsey – że wszystko to musiało wydać się policjantowi niezmiernie egzotyczne. – Pan Citrine jest historykiem o międzynarodowej sławie. Został odznaczony przez rząd francuski.

– Możecie to panowie udowodnić? – zapytał policjant. – Nie ma pan przypadkiem tego medalu przy sobie, co?

– Ludzie nie noszą medali w kieszeni – powiedziałem.

– Wobec tego jaki ma pan dowód?

– Mam tylko kawałek wstążeczki. Mogę ją nosić w butonierce.

– No to popatrzmy na nią.

Wyciągnąłem zmięty, spłowiały, nędzny kawałeczek zielonkawego jedwabiu.

– To? – powiedział policjant. – Nie przywiązałbym tego nawet kurcze do łapy.

Całkowicie się z nim zgadzałem i jako stary mieszkaniec Chicago tak samo jak on podrwiwałem w duchu z tych dętych cudzoziemskich honorów. Byłem Kawalarzem, czułem się zupełnie ośmieszony. A zresztą dobrze tak Francuzom. W tym naszym stuleciu nie bardzo się popisali. Wszystko robią źle.

O co im właściwie chodziło, kiedy rozdawali te nędzne kawałeczki perwersyjnego sznurka? Ponieważ Renata nalegała, żebym nosił go w butonierce, naraziło nas to na zniewagi ze strony prawdziwego *chevalier*, którego poznaliśmy kiedyś na jakimś obiedzie, przedstawiciela „nauk twardych”, jak sam to określał. Ten dopiero dał mi po nosie! „Amerykański slang – powiedział – jest ubogi, właściwie nie istnieje. Francuski ma dwadzieścia słów na «but»”. – Potem wyrażał się lekceważąco o behawioryzmie (wziął mnie za behawiorystę) i bardzo ostro obszedł się z moją zieloną wstążeczką. „Jestem pewien – oświadczył – że napisał pan kilka cennych książek, ale tego rodzaju odznaczenie daje się ludziom, którzy ulepszają *les poubelles*”. Z tego, że mnie Francuzi tak uhonorowali, nie wynikło nigdy nic oprócz zmartwień. Cóż, z tym się trzeba pogodzić. Jedyna prawdziwa nieprzeciętność w tym niebezpiecznym punkcie dziejów ludzkości i rozwoju wszechświata nie ma nic wspólnego z medalami czy wstążeczkami. Nie zasnąć – oto nieprzeciętność. Wszystko inne to zwykła bzdura.

Cantabile wciąż jeszcze stał twarzą do ściany. Policjant, jak zauważyłem z niemałą przyjemnością, był na niego wściekły.

– Ej, ty tam, stój spokojnie – powiedział.

Odniosłem wrażenie, że wszyscy w tym gabinecie jesteśmy przykryci czymś na kształt ogromnej przezroczystej fali. Ta olbrzymia przezroczystość tkwiła bez ruchu nad nami, migocząc jak kryształ. Byliśmy wszyscy w jej wnętrzu. Kiedy pęknie i eksploduje, rozsypiemy się na odległość wielu mil wzdłuż jakiejś dalekiej, białej plaży. Miałem niemal nadzieję, że Cantabile skręci przy tym kark. Ale nie, kiedy to się stało, zobaczyłem, że każdy z nas znalazł się bezpiecznie i oddzielnie na nagim, białym, perlistym brzegu.

Ponieważ obie strony robiły dalej swoje – Stronson, rozjątrzony prorocstwem Cantabilego o swoich zwłokach wyłowionych z kanału, dał się głosem przypominającym świński dyszkancik: „Już ja dopilnuję, żeby cię wykończyli!” – podczas gdy Thaxter wpadał mu w słowa, próbując przemówić im obu do rozsądku, ja wyłączyłem się całkowicie i skoncentrowałem na jednej z moich teorii. Niektórzy ludzie skwapliwie i z wdzięcznością wykorzystują swoje talenty. Inni nie mają dla nich zastosowania i potrafią jedynie myśleć o przewyciężeniu własnych słabostek. Interesują ich i prowokują do działania tylko własne wady. I tak ci, którzy nienawidzą ludzi, mogą za nimi gonić. Mizantropi często zajmują się psychiatrią. Nieśmiali stają się aktorami. Urodzeni złodzieje pragną być mężami zaufania. Przerażeni podejmują śmiałe kroki. Weźmy przypadek

Stronsona, człowieka, który wdał się w rozpaczliwe kombinacje, żeby oszukać gangsterów. Czy choćby weźmy mnie, miłośnika piękna, który uparł się, żeby mieszkać w Chicago. Albo Von Humboldta Fleishera, człowieka o potężnym instynkcie towarzyskim, który zagrzebał się gdzieś na ponurej wsi.

Stronson nie miał dość siły, żeby się przebić na tę drugą stronę. Widziałem, jak bardzo sam się deformował: był tłusty, ale elegancki, miał krótkie nogi, nisko osadzony tyłek i nosił koturny, kwiczał, ale nadawał swojemu głosowi głębokie brzmienie – tak, kiedy widziałem to wszystko, było mi go żal, ach, jak szczerze było mi go żal! Wydawało mi się, że jego prawdziwa natura dochodzi w nim szybko do głosu. Czy zapomniał się ogolić dziś rano, czy też przerażenie spowodowało, że jego zarost nagle się wysypał? A z kołnierzyka sterczała mu długa, wstrętna szczecina. Powoli zaczynał przypominać świstaka. Paziowski kosmyk włosów zeszywniał od potu.

– Żądam, żeby ich wszystkich skuć – powiedział do detektywa.

– Jak to, jedną parą bransoletek?

– Dobrze, niech pan je nałoży Cantabilemu. No, dalej!

Milczałem, ale zgadzałem się z nim w zupełności. Tak, skuć skurwysyna, wykręcić mu rękę do tyłu, niech stał wpije mu się w ciało. Ale powiedziawszy sobie w duchu te wszystkie straszne rzeczy, bynajmniej nie miałem tak bardzo ochoty widzieć ich na własne oczy.

Thaxter odciągnął policjanta na bok i półgłosem powiedział mu kilka słów. Zastanawiałem się później, czy przypadkiem nie podał mu jakiegoś tajnego hasła CIA. Z Thaxterem nie można było być niczego pewnym. Do dziś nie udało mi się rozstrzygnąć, czy kiedykolwiek był, czy nie był w tajnej służbie. Przed laty zaprosił mnie do swojego domu na Jukatanie. Trzy razy zmieniałem samolot, żeby się tam dostać, a potem przy żuźlowym pasie do lądowania zostałem powitany przez peona w sandałach, który zawiózł mnie nowym cadillakiem do willi Thaxtera, pełnej indiańskich służących. Były tam samochody i jeepy, i żona, i małe dzieci, a sam Thaxter zdążył już opanować miejscowy dialekt i wszystkimi rządził. Był genialnym lingwistą, błyskawicznie się uczył nowych języków. Ale miał jakieś kłopoty z bankiem w Meridzie, a w okolicy był – ni mniej, ni więcej! – klub sportowy, w którym urósł już spory rachunek. Kiedy przyjechałem, Thaxter właśnie dorzucał ostatnie ogniwa do tego niezmiennego schematu wydarzeń. Następnego dnia powiedział, że wyjeżdżamy z tego przeklętego miejsca. Swoje wspaniałe kufry okrętowe naładował po brzegi futrami i sprzętem tenisowym, skarbami świątynnymi i urządzeniami elektrycznymi. Kiedyśmy odjeżdżali, trzymałem na kolanach jedno z jego dzieci.

Policjant wyprowadził nas z gabinetu Stronsona, który krzyczał za nami:

– Wykończę was, bydlaki, ja wam to obiecuję. Wszystko jedno, co będzie ze mną. Szczególnie ciebie, Cantabile!

Nazajutrz mieli wykończyć jego.

Kiedy policjant ściągał windę, Thaxter i ja mieliśmy czas na krótką rozmowę.

– Nie, mnie nie zabierają – powiedział Thaxter. – Prawie tego żałuję. Chętnie bym z wami pojechał, naprawdę.

– Mam nadzieję, że weźmiesz się zaraz do roboty – odparłem. – Czułem, że Cantabile zrobi jakiś numer. Renata bardzo się zdenerwuje, to najgorsze w tym wszystkim. – Nie odjeżdżaj, nie zapominaj o mnie teraz, Thaxter.

– Nie gadaj bzdur, Charles. Natychmiast zawiadomię adwokatów. Podaj mi nazwiska i telefony.

– Pierwsza rzecz, to zadzwoń do Renaty. Zapisz numer Szathmara. Dalej Tomchek i Srole.

Thaxter zapisał wszystko na kartce z kwitariusza American Express. Czyżby miał jeszcze ich kartę?

– Zgubisz ten cieniutki kawałek papieru – powiedziałem.

Thaxter przemówił teraz bardzo poważnym głosem.

– Uważaj, Charlie – powiedział. – Zachowujesz się jak rozhisteryzowana pensjonarka. To bardzo trudny moment, ani słowa. I właśnie dlatego musisz się pilnować. *A plus forte raison.*

Kiedy Thaxter zaczynał mówić po francusku, wiadomo było, że mówi na serio. I o ile George Swiebel zawsze krzyczał na mnie, żebym oszczędzał ciało, o tyle Thaxter częstował mnie przestrogią na temat stanu moich nerwów. Oto człowiek o nerwach wystarczająco silnych, żeby podołać stylowi życia, który sobie obrał! I

mimo swojej słabości do francuszczyzny Thaxter był prawdziwym Amerykaninem – tylko że podobnie do Walta Whitmana sam siebie przedstawiał jako archetyp: „Co ja przyjmuję, przyjmiesz i ty”. W danej chwili niewiele mi to pomagało. Byłem przecież aresztowany. Wobec Thaxtera odczuwałem to, co odczuwałby człowiek obładowany licznymi paczkami, który próbuje znaleźć klucz do drzwi, ale przeszkadza mu w tym jego własny kot. Prawda jednak wygląda tak, że ludzie, od których oczekiwałem pomocy, nie byli bynajmniej moimi ulubieńcami. Po Thaxterze nie należało się niczego spodziewać. Podejrzywałem nawet, że jego pomoc może być wręcz niebezpieczna. Gdybym krzyczał, że tonę, przybiegłby i rzucił mi koło ratunkowe z twardego cementu. Jeżeli nietypowe stopy potrzebują nietypowego obuwia, to nietypowe dusze mają nietypowe wymagania i uczucie objawia im się w nietypowy sposób. Człowiek, który pragnął pomocy, przepadał za kimś, kto nie umiał mu jej udzielić.

Przypuszczam, że to sekretarka sprowadziła ów niebiesko-biały radiowóz, który na nas czekał. Była to bardzo ładna młoda osoba. Patrzyłem na nią, kiedy wychodziliśmy z biura, i pomyślałem: „Sentymentalna panienska. Dobrze wychowana. Martwi się na widok aresztowanych ludzi. Łzy w oczach”.

– Ty na przednie siedzenie! – warknął detektyw do Cantabilego, który w swoim eleganckim kapelusiku, bardzo blady i z włosami sterczącymi na wszystkie strony, wsiadł posłusznie. Rozczochrany po raz pierwszy w tym momencie wyglądał na prawdziwego Włocha.

– Najważniejsza sprawa to Renata. Skomunikuj się z Renatą – powiedziałem Thaxterowi, siadając na tylnym siedzeniu. – Jeżeli tego nie zrobisz, będę miał kłopoty!

– Nie martw się. Ludzie nie pozwolą ci zniknąć na zawsze – odparł Thaxter.

Te słowa pociechy po raz pierwszy wzbudziły we mnie prawdziwie głęboki niepokój.

Istotnie próbował skontaktować się z Renatą i Szathmarem. Ale Renata była jeszcze w domu towarowym, gdzie wybierała materiały ze swoją klientką, a Szathmar już zdążył zamknąć kancelarię. Thaxter zapomniał jakoś, co mu powiedziałem o Tomcheku i Srole'u. Dla zabicia czasu poszedł na film o „czarnym kung-fu” na Randolph Street. Po seansie zastał Renatę w domu. Powiedział, że skoro ona zna tak dobrze Szathmara, uważa, że może całą sprawę pozostawić jej. Ostatecznie, jest obcy w tym mieście. Drużyna Boston Celtics gra w koszykówkę w Chicago Bulls i Thaxter dostał bilet od konika. W drodze na stadion zatrzymał taksówkę przed sklepem Zimmermana i kupił butelkę piesportera. Nie mógł go należycie zamrozić, ale i tak pasował niezłe do sandwiczów z jesiotrem.

Ciemna sylwetka Cantabilego jechała przede mną na przednim siedzeniu radiowozu. Do niej adresowałem swoje myśli. Ktoś taki jak Cantabile wykorzystywał moją niedoskonałą teorię zła, czy nie o to chodziło? Zapełniał wszystkie jej luki swoim szaleńczym ryzykanctwem i blefem, najlepiej, jak mu na to pozwalały jego błazeńskie zdolności. Ale czyja, jako Amerykanin, rzeczywiście miałem jakąś teorię zła? Może i nie. Tak więc on wkraczał na boisko z tej bezbarwnej i słabo oznaczonej strefy, w której ja byłem tak słaby, wraz ze swoimi pomysłami i poglądami. Jak się zdawało, panie szalały za tym obrzydliwcem – podobał się Polly, a także najwyraźniej swojej żonie, tej doktorantce. Osobiście przypuszczałem, że pod względem erotycznym jest niewiele wart. Ale ostatecznie u kobiet najbardziej liczy się wyobraźnia. Kroczył więc przez życie w swoich eleganckich rękawiczkach do konnej jazdy i butach z cielejącej skóry, z jaskrawo połyskującymi włoskami tweedowego ubrania i z magnum, które nosił za paskiem, każdemu grożąc śmiercią. Ubóstwiał groźby. Dzwonił do mnie w nocy, żeby mi grozić. Groźby rozstroiły mu wczoraj żołądek na Division Street. Dziś rano poszedł grozić Stronsonowi. Po południu proponował, czy też groził, że każe zabić Denise. Tak, dziwny to był stwór, z tą swoją białą twarzą i nosem długim jak kościelna świeca, pociętym ciemnymi rowkami. Wiercił się nieustannie na przednim siedzeniu. Wydawało się, że chce spojrzeć na mnie. Był prawie na tyle zwinny, żeby wykręcać głowę na wszystkie strony i przyglądać własne piórka na grzbiecie. Co też mogło znaczyć, że usiłował przedstawić mnie jako mordercę? Czyżby pierwszą myśl o tym podsunął mu jakiś rys dostrzeżony we mnie? A może starał się na swój własny sposób wydobyć mnie na światło dzienne, wprowadzić z sobą w świat – w ten świat, od którego, jak się ludziłem, już się odsuwam? Stosując kryteria chicagowskie uznałem, że nie warto się nim zajmować, jako że dojrzał już do domu wariatów. Tak, nadawał się do domu wariatów, bez wątplenia. Byłem dostatecznie doświadczony, żeby w jego propozycji na temat tego, co obaj mieliśmy zrobić z Polly, dostrzec element homoseksualizmu, ale nie było to zbyt poważne. Miałem nadzieję, że wpakują go z powrotem do więzienia. Z drugiej strony wyczuwałem instynktownie, że on jednak wyświadcza mi jakąś przysługę. W swoim ubraniu z włochatego połyskliwego tweedu, którego szorstkość przywodziła na myśl pokrzywy, zmaterializował się oto na mojej drodze. Blady i szalony, z wąsikami jakby z futra z norek, zdawał się mieć jakąś duchową misję do spełnienia. Zjawił się po to, żeby mnie pchnąć z martwego punktu. Ponieważ pochodziłem z Chicago, nikt normalny i rozsądny nie mógł dla mnie zrobić czegoś takiego. Z normalnymi i

rozsądnymi ludźmi nie umiałem być sobą. Wystarczy spojrzeć na moje stosunki z osobami takimi jak Richard Durnwald. Przy całym podziwie, jaki dla niego żywiłem, obcując z nim czułem się zawsze nieswojo. Trochę lepiej mi szło z antropozofem, doktorem Scheldtem, ale i z nim miałem trudności – trudności typowo chicagowskie. Kiedy zaczynał wykład o ezoterycznych tajemnicach, miałem ochotę mu powiedzieć: „Daj spokój tym duchowym bujdom, przyjacielu!” A mimo wszystko moje stosunki z doktorem Scheldtem były dla mnie niezwykle doniosłe. Trudno o poważniejsze sprawy niż te, które z nim roztrząsałem.

Wszystko to przychodziło, czy raczej napływało mi do głowy, i przypominałem sobie, jak Humboldt zacytował mi w Princeton: *Es schwindelt!* – słowa W. I. Lenina w Smolnym. I cały świat teraz „schwindlował”. Czy dlatego, że – jak Lenin – chciałem stworzyć państwo policyjne? Było to wynikiem napływu, czy też zalewu, wrażeń, intuicji i idei.

Policjant miał oczywiście rację. Ściśle biorąc, nie wyglądałem na mordercę. A przecież wcielałem innych ludzi w siebie i spożywałem ich. Gdy umierali, opłakiwałem ich namiętnie. Mówiłem, że będę kontynuował ich pracę i ich życie. Lecz czy nie było faktem, że dodawałem ich siłę do swojej? Czyż nie przypatrywałem im się pilnie w dniach ich siły i chwały? A także ich kobietom? Dostrzegałem już zarysy moich czyścicowskich trudów, jakie czekały mnie na tamtym świecie.

„Uważaj, Charlie”, przestrzegał mnie Thaxter. Miał na sobie swoją pelerynę, w rękę trzymał idealną teczkę i parasol z naturalną rączką, a także kanapki z jesiotrem. Uważałem. *A plus forte raison*, uważałem. Uważając, uświadomiłem sobie, że podążam śladami Humboldta. Przed dwudziestu laty, znalazłszy się w rękach prawa, szamotał się z policjantami. Wpakowali go w kaftan bezpieczeństwa. Kiedy go wieźli do Bellevue, dostał w karetce biegunki. Próbowali jakoś sobie z nim poradzić, chcieli coś zrobić z poetą. Co nowojorska policja wiedziała o poetach! Znali pijaków i chuliganów, znali gwałcicieli, znali rodzące kobiety i narkomanów, ale nie mieli pojęcia o poetach. Potem zadzwonił do mnie z kabiny telefonicznej w szpitalu. A ja odebrałem telefon w tej dusznej, kapiącej od brudu, obdrapanej garderobie teatru Belasco. I wrzeszczał: „To jest życie, Charlie, nie literatura!” Cóż, nie sądzę, że mocarstwa, trony i państwa, archai, archaniołowie i aniołowie czytali poezję. Po cóż by mieli ją czytać? Oni kształtują wszechświat. Ale kiedy Humboldt krzyczał „Życie!”, nie chodziło mu o trony, exousiai i aniołów. Miał na myśli realistyczne, naturalistyczne życie.

Jak gdyby sztuka ukrywała prawdę, a ujawniała ją tylko cierpienia szaleńców. Czy to właśnie była zubożała wyobraźnia?

Przyjechaliśmy na miejsce i rozdzielono nas. Cantabilego zatrzymali przy wejściu, ja wszedłem do środka.

W przewidywaniu trudów w czyścicu, na jakie sobie zapracowałem, nie sądziłem, żeby więzienie trzeba było brać zbyt poważnie. Bo i niby co to takiego? Mnóstwo zamieszania i ludzie, którzy specjalizują się w dawaniu w skórę innym. Sfotografowali mnie, en face i z obu stron. Świetnie. Po zdjęciach do kartoteki wzięli jeszcze odciski palców. Doskonale. Teraz spodziewałem się, że mnie zamkną. Tłusty, poczcziwie wyglądający policjant czekał, żeby mnie zaprowadzić do pudła. Służba za biurkiem robi z nich grubasów. Tkwił tam sobie, jak dobroduszna kumoszka, w grubym swetrze i pantoflach rannych, z dużym brzuchem i rewolwerem, grubą wydetą wargą i tłustymi fałdami na tyle głowy. Właśnie miał mnie wprowadzić do celi, kiedy ktoś zawołał:

– Ej, ty! Charles Citrine! Wychodzić! – Wróciłem na główny korytarz, zastanawiając się, w jaki sposób Szathmar odnalazł mnie tak szybko.

Ale to nie Szathmar czekał na mnie, tylko młoda sekretarka Stronsona. Ta śliczna dziewczyna oświadczyła, że jej szef postanowił wycofać skargę na mnie. Chciał się skoncentrować na Cantabilem.

– I to Stronson panią przysłał?

– Właściwie to ja sama chciałam tu przyjechać – wyjaśniła. – Wiedziałam, kim pan jest. Jak tylko usłyszałam pana nazwisko. Więc zaraz wytłumaczyłam szefowi. On ostatnio jest ciągle w szoku. Tak naprawdę to trudno mieć pretensje do pana Stronsona, kiedy ludzie przychodzą i mówią, że zostanie zamordowany. Ale w końcu udało mi się go przekonać, że pan jest sławnym człowiekiem, a nie płatnym mordercą.

– Ach tak. Pani jest dobra, nie tylko piękna. Brak mi słów na wyrażenie mojej wdzięczności. Rozmowa z nim z pewnością nie była łatwa.

– On się naprawdę śmiertelnie bał. Teraz jest przygnębiony. Dlaczego ma pan takie brudne ręce? – zapytała.

– Odciski palców. Tusz, którego używają.

Była wstrząśnięta.

– Mój Boże! Brać odciski palców od kogoś takiego jak pan! – Otworzyła torebkę i zaczęła zwilżać papierowe chusteczki i trzeć nimi moje poplamione palce.

– Nie, dziękuję. Nie, nie, niech pani tego nie robi – powiedziałem. Takie dowody troski zawsze mnie wzruszają, a wydawało się, że od bardzo dawna nikt nie okazał mi tego rodzaju intymnej dobroci. Są dni, kiedy chciałoby się pójść do fryzjera, nie żeby się ostrzyć (nie ma już zbyt wiele do strzyżenia), ale po prostu, żeby poczuć dotknięcie ludzkiej ręki.

– Dlaczego się pan broni? – spytała dziewczyna. – Mam uczucie, że zawsze pana znałam.

– Czytała pani moje książki?

– Nie z książek. Obawiam się, że nie przeczytałam żadnej z nich. O ile wiem, to są książki historyczne, a historia nigdy nie była moją specjalnością. Nie, panie Citrine, przez moją matkę.

– Czy znam pani matkę?

– Odkąd pamiętam, zawsze słyszałam, że pan był jej szkolną miłością.

– Pani matką jest Naomi Lutz!

– Tak, to ona. Nie umiem panu wyrazić, jak matka i Doc byli przejęci, kiedy spotkali pana w tym barze w śródmieściu.

– Tak, Doc był z nią wtedy.

– Kiedy Doc umarł, matka miała do pana zatelefonować. Mówi, że jest pan jedyną osobą, z którą można rozmawiać o dawnych czasach. Są rzeczy, które chciałaby sobie przypomnieć, a nie może. Kilka dni temu nie mogła sobie przypomnieć nazwy miasta, w którym mieszkał jej wuj, Asher.

– Jej wuj, Asher, mieszkał w Paducah, w stanie Kentucky. Oczywiście zadzwonię do niej. Kochałem pani matkę, panno...

– Maggie – powiedziała.

– Maggie. Odziedziczyłaś jej kształty od talii w dół. Nigdy nie widziałem tak ładnie zarysowanej linii, dopiero teraz i to gdzie, w areszcie! Masz także jej dąsła i zęby, trochę za krótkie zęby, i ten sam uśmiech. Twoja matka była piękna. Wybacz, że ci to mówię, to chwila wzruszenia, ale zawsze mi się wydawało, że gdybym mógł tulić twoją matkę co dnia przez czterdzieści lat, oczywiście jako jej mąż, moje życie byłoby całkowicie pełne, udane, a nie takie, jakie jest. Ile masz lat, Maggie?

– Dwadzieścia pięć.

– O Boże! – powiedziałem, gdy tymczasem ona obmywała mi palce lodowato zimną wodą do picia. Rękę mam bardzo wrażliwą na kobiecy dotyk. Pocałunek złożony na wewnętrznej stronie dłoni może mnie przyprawić o zawrót głowy.

Odwiozła mnie do domu swoim volkswagenem, popłakując trochę za kierownicą. Może myślała o szczęściu, jakie ominęło jej matkę i mnie. I kiedyż to, rozmyślałem, wzniosę się wreszcie ponad tę całą bzdurę, wszystko, co jest przypadkiem i jedynie zjawiskiem, co jest rozrzutnie i bezplanowo ludzkie, i będę gotów wejść do wyższych sfer.

* * *

Tak więc przed wyjazdem z miasta złożyłem wizytę Naomi. Po mężu nazywała się Wolper.

Ale nie poszedłem do niej od razu. Przedtem miałem mnóstwo spraw do załatwienia.

Ostatnie dni w Chicago były bardzo pracowite. Jakby dla nadrobienia straty czasu, na jaką naraziły mnie małe figle Cantabilego, ułożyłem sobie bardzo ruchliwy rozkład dnia. Mój księgowy, Murra, poświęcił mi aż godzinę swego cennego czasu. W wylizanych wnętrzach swojego biura, którego okna wychodziły na najzwyklejszą część rzeki Chicago i które urządzał słynny Richard Himmel, Murra oświadczył mi, że nie udało mu się przekonać władz podatkowych o braku podstaw do wytoczenia mi sprawy. Sam wystawił wysoki rachunek. Byłem mu winien tysiąc pięćset dolarów za to, że nic nie załatwił. Wyszedłszy od niego, znalazłem się w mroku Michigan Avenue, przed wystawą sklepu ze sprzętem elektrotechnicznym w pobliżu Wacker Drive. Zawsze mnie fascynowało to miejsce, jego przemyślane nowe wynalazki, odcienie i kształty żarówek i lamp – i kupiłem trzystuwatowy reflektor. Nie miałem żadnego zastosowania dla tego przedmiotu.

Wyjeżdżałem. Do czego był mi potrzebny? Ów zakup był jedynie wyrazem mojego stanu. Wciąż jeszcze urządziłem swoje zacisze, swoje sanktuarium, swój Fort Dearborn w głębi Indiańskiego (Materialistycznego) Terytorium. Byłem także w szponach gorączki odjazdu – silniki odrzutowe oderwą mnie od ziemi z szybkością dwóch tysięcy mil na godzinę, ale dokąd zmierzam i po co? Przyczyny tej straszliwej szybkości pozostawały niejasne.

Nie, kupno żarówki niewiele pomogło. Natomiast znaczną ulgę przyniosła mi rozmowa z doktorem Scheldtem. Wypytywałem go o Duchy Formy, *exousiai*, wśród starożytnych Żydów znane pod innym imieniem. Owi kowale przeznaczenia powinni już dawno przekazać swoje funkcje i kompetencje *archai*, Duchom Osobowości, które stoją o szczebel bliżej człowieka w hierarchii wszechświata. Ale pewne zbuntowane *exousiai*, odgrywające uwsteczniającą rolę w dziejach świata, przez wiele stuleci nie chciały zezwolić *archai* na przyjęcie władzy. Hamowały rozwój nowoczesnego typu świadomości. Krnąbrne *exousiai*, należące do wcześniejszej fazy rozwoju ludzkości, ponosiły odpowiedzialność za instynkt plemienny i uporczywe trwanie świadomości chłopskiej czy ludowej, za nienawiść do Zachodu i wszystkiego, co nowe, i podtrzymywały postawy atawistyczne. Groza wolności i nowoczesności była straszliwa. I to właśnie sprawiło, że w oczach świata Ameryka wydawała się czymś tak lekkomyślnym i potwornym. I dlatego także w oczach Amerykanów niektóre kraje wydają się tak rozpaczliwie, monumentalnie nudne. Ameryka, pod jurysdykcją *archai*, czyli Duchów Osobowości, produkowała autonomiczne, nowoczesne jednostki, obarczone całą lekkomyślnością i rozpaczą ludzi wolnych, zarażone setkami chorób, nie znanych w długich epokach chłopskich.

Po odwiedzinach u doktora Scheldta zabrałem mimo wszystko moje córki, Lish i Mary, na widowisko z okazji Bożego Narodzenia: zostałem przechytrzony przez Denise, która zawołała je, całe we łzach, do telefonu. Jednakże, wbrew oczekiwaniom, widowisko okazało się niezwykle stymulujące. Bardzo lubię przedstawienia amatorskie, lubię te załamujące się głosy, pomieszane kwestie i idiotyczne kostiumy. Wszystkie ładne kostiumy były na widowni. Setkom podekscytowanych malców towarzyszyły ich mamy – w wielu wypadkach tygrysyce bardzo subtelnego rodzaju. A jak ubrane, wystrojone, uperfumowane! Na początek dano *Ripa van Winkle'a*. Dla mnie ta sztuka miała niezwykle aktualną wymowę. Możemy sobie zwałać winę na krasnoludki za to, że uśpiły Ripa, ale on miał własne i ważne powody do zemdenia. Brzemie świata zmysłowego jest zbyt ciężkie dla niektórych ludzi i staje się nieustannie coraz cięższe. I powiem wam, że jego dwudziestoletni sen znalazł drogę do mego serca. A moje serce było dziś szczególnie wrażliwe – troski, przewidywane trudności i wyrzuty sumienia uczyniły je czułym i delikatnym. Stary zidiociały rozpustnik opuszczał dwoje dzieci, żeby podążyć za typową poszukiwaczką złota do zepsutej Europy. Jako jeden z nielicznych ojców na widowni czułem, jak bardzo to jest nie w porządku. Byłem jakby otoczony murem psychiki kobiecej. Poglądy tych wszystkich kobiet znajdowały niedwuznaczny wyraz. Widziałem, na przykład, że matkom nie podobał się sposób, w jaki pokazano panią van Winkle – najwyraźniej jako amerykańską jędzę w jednej z wczesnych wersji. Osobiście odrzucam wszystkie tego rodzaju wyobrażenia o amerykańskich jędzach. Maimy jednak były rozgniewane, uśmiechały się, ale wrogo. Natomiast dzieci zachowały swoją świętą niewinność: klaskały i cieszyły się, kiedy Ripowi powiedziano, że jego żona umarła na apopleksję w ataku wściekłości.

Rozmyślałem o głębszym znaczeniu tych spraw – naturalnie! Dla mnie zasadnicze pytanie sprowadzało się do tego, jak Rip spędzałby czas, gdyby go karzełki nie uśpiły. Miał, rzecz jasna, normalne amerykańskie prawo do polowania, łowienia ryb i wędrowania po lesie ze swoim psem – mniej więcej tak, jak Huckleberry Finn po „ziemiach przed nami”. Bardziej intymne i trudniejsze wydawało się następujące pytanie: co zrobiłbym, gdyby mój duch nie był od tak dawna uśpiony? W atmosferze emocji, wśród pisku, oklasków i wiercenia się małych dzieci o tak czystych twarzyczkach, tak pachnących (nawet małe wiaterki, rzecz nieunikniona w tłumie dzieci, pachniały przyjemnie, jeżeli się je wdychało z prawdziwie ojcowskim nastawieniem), budzących tyle nadziei na zbawienie, ja zmuszałem się do myślenia i udzielenia sobie odpowiedzi – był to mój obowiązek. Jeżeli wierzyć jednej z broszur, które dał mi doktor Scheldt, spanie nie jest sprawą błahą. Nasz brak ochoty do wyjścia ze stanu snu wypływa stąd, że pragniemy uniknąć zbliżającego się objawienia. Pewne byty duchowe osiągają rozwiniętą formę poprzez ludzi, a my zdradzamy je i pozostawiamy samym sobie przez tę naszą absencję, tę „wolę drzemki”. Naszym obowiązkiem, jak twierdziła jedna z tych fascynujących broszur, jest współpracować z aniołami. Zjawiają się one w nas (jak duch zwany „Maggid” objawił się wielkiemu rabiemu Józefowi Karo). Działając pod przewodem Duchów Formy, anioły zasiewają w nas ziarna przyszłości. Wszczepiają nam pewne obrazy, o których „normalnie” nic nie wiemy. Między innymi pragną, byśmy umieli dostrzec ukrytą boskość innych istot ludzkich. Pokazują człowiekowi, w jaki sposób, dzięki myśli, może przekroczyć przepaść dzielącą go od Ducha. Duszy ofiarowują wolność, ciału ofiarowują miłość. Te fakty musi pojąć świadomość czuwająca. Ponieważ człowiek śpiący śpi. Wielkie wydarzenia tego świata przechodzą mimo niego. Nic nie jest dość istotne na to, by go obudzić. Całe dziesiątki lat przysypują go swoimi liśćmi, jak drzewa zrzucały liście i gałązki na Ripa. Ponadto, same anioły nie są odporne na ciosy. Ich cele muszą znaleźć

spełnienie na ziemi wśród ludzi. Już przecież owa braterska miłość, którą nam wszczepiły, wyrodziła się w seksualne potworności. Co ludzie wyprawiają ze sobą w łóżku? Miłość jest w haniebny sposób wynaturzona. I jeszcze jedno: anioły zsyłają nam promienną świeżość, a my, przez nasz sen, całkowicie ją zamacamy. Jeżeli idzie o sferę polityczną, to słyszymy, chociaż półprzymiotni, pochchrząkiwanie wielkich świńskich imperiów tej ziemi. Smród tych świńskich władców unosi się, sięga najwyższych warstw atmosfery i zaciemnia ją. Cóż więc dziwnego, że pragniemy, aby sen przyszedł szybko i zapieczętował nam duszę? Poza tym, twierdziła dalej broszura, Anioły, którym nasz sen na jawie krzyżuje szyki, muszą robić z nami jak najwięcej w godzinach nocy. Ale wówczas ich działanie nie może poruszyć naszych uczuć i myśli, te bowiem są nieobecne w czasie snu. W łóżku leży jedynie nieświadome ciało, a także podtrzymująca wszystko zasada bytu, ciało eteryczne. Wielkie uczucia i myśli gdzieś się ulotniły. Tak samo w ciągu dnia: somnambulizm. I jeżeli się nie przebudzimy, jeżeli dusza uduchowiona nie da się nakłonić do uczestnictwa w pracy aniołów, będziemy zgubieni. Dla mnie rozstrzygającym był argument, że popędy wzniosłej miłości wyrodziły się w zepsucie seksualne. To naprawdę trafiało do przekonania. Być może miałem znacznie istotniejsze, głębsze powody, aby odjechać z Renatą i zostawić dwie małe dziewczynki w niebezpiecznym Chicago, niż te, które potrafiłem świadomie przytoczyć po krótkiej chwili namysłu. Kto wie, może mógłbym usprawiedliwić swoje postępowanie. Ostatecznie Chrześcijanin w *Wędrowce pielgrzymia* też wyruszył w drogę i porzucił swoją rodzinę, żeby szukać zbawienia. Zanim będę mógł zrobić dla dzieci coś naprawdę dobrego, muszę się obudzić. To pomieszanie, ta nieumiejętność skupienia się, koncentracji, była niezwykle bolesna. Ujrzałem siebie takim, jakim byłem przed trzydziestu laty. Nie musiałem zaglądać do albumu z fotografiami. Trudno było zapomnieć to kompromitujące zdjęcie. Widniałem na nim ja, przystojny młodzieniec pod drzewem, ściskający dłoń ładnej dziewczyny. Ale mogłem równie dobrze mieć na sobie flanelową pidżamę, a nie wyzywający dwurzędowy garnitur – prezent od mojego brata Juliusza – bo w kwiecie lat i u szczytu sił twórczych spałem jak zabity.

Siedząc w teatrze, wyobrażałem sobie, że duchy są w pobliżu, że starają się do nas dotrzeć, że ich tchnienie ożywia czerwień dziecięcych ubranek, podobnie jak tlen przydaje blasku ogniowi.

Nagle dzieci zaczęły wrzeszczeć. Rip wydobywał się spod masy liści, które na niego spadły w ciągu tych wszystkich lat. Wiedząc, co go czeka, jęknąłem. Istotne pytanie brzmiało, czy potrafi raz jeszcze nie zasnąć.

W czasie przerwy natknąłem się na doktora Klostermana z klubu sportowego. To on namawiał mnie w saunie, żebym poszedł do chirurga i zrobił coś z tymi workami pod oczami – prosta operacja, która odmłodzi mnie o wiele lat! Kiedy podszedł do mnie ze swoimi dziećmi, zdobyłem się tylko na chłodne skinięcie głową.

– Jakoś nie widzimy pana ostatnio – powiedział.

No cóż, jakoś ostatnio nigdzie nie bywałem. Ale nie dalej jak poprzedniej nocy, leżąc uśpiony w ramionach Renaty, znów śniłem, że po mistrzowsku gram w squasha. Mój bekhend ze snu muskał lewą ścianę kortu i z morderczą precyzją lądował w rogu. Pobiłem Scottiego, reprezentacyjnego gracza klubu, a także niezwyciężonego greckiego kręglarza, wysportowanego chudzielca, silnie owłosionego i o szpotawych stopach, ale dynamicznego zawodnika, z którym w codziennym życiu nie mogłem nigdy wygrać ani jednego punktu. Lecz na korce moich snów byłem istnym tygrysem. Tak więc śniąc o wyostrzonej czujności i przebojowej dynamice, przewyciężałem swój bezwład, swoją nerwowość i oszołomienie. Przynajmniej w snach nie miałem zamiaru rezygnować.

Kiedy tak o wszystkim rozmyślałem, Lish przypomniawszy sobie, że ma dla mnie liścik od matki. Otworzyłem kopertę i przeczytałem: „Charles, ktoś grozi, że mnie zabije!”

Od Cantabilego trudno się było odczepić. Przed porwaniem Thaxtera i mnie na Michigan Boulevard, może w tej samej chwili, kiedy podziwialiśmy piękny obraz Moneta – pejzaż zimowy w Sandvika – on rozmawiał przez telefon z Denise, to znaczy robił to, co lubił najbardziej, groził.

Mówiąc raz o Denise, George Swiebel wytłumaczył mi (choć na podstawie znajomości jego systemu naturalnego mogłem sam wpaść na to wyjaśnienie): „Walka Denise z tobą to jej całe życie seksualne. Nie mów z nią, nie kłóć się z nią, chyba że wciąż chcesz ją podniecać”. Niewątpliwie w ten sam sposób wytłumaczyłby groźby Cantabilego. „Ten skurwysyn tak właśnie rozładowuje swojego bzika”. Ale nie było wykluczone, że rojenia Cantabilego o zadawaniu śmierci, jego wyimaginowana rola pierwszego zastępcy Śmierci, także miały za zadanie zbudzić mnie ze snu – „Ty śpisz, Brutusie” i tak dalej. Przyszło mi to do głowy już w radiowozie.

Ale teraz okazało się, że istotnie to zrobił.

– Czy mama czeka na odpowiedź? – spytałem małą.

Lish popatrzyła na mnie oczami swojej matki, ogromnymi kręgami ametystu.

– Nic nie mówiła, tatusiu.

Denise z pewnością zawiadomiła Urbanovicha o spisku na jej życie. To przypieczętuje sprawę w jego oczach. Sędzia i tak nie miał do mnie zaufania ani sympatii i mógł położyć areszt na moich pieniądzach. Mogę zapomnieć o tych dolarach, właściwie już ich nie ma. Co dalej? Znowu zacząłem, jak zwykle pośpiesznie i niedokładnie, obliczać moje płynne zasoby, tysiąc dwieście tu, tysiąc osiemset tam, sprzedaż moich pięknych dywanów, sprzedaż mercedesa – bardzo niekorzystna z powodu uszkodzeń. O ile mi było wiadomo, Cantabile siedział pod kluczem na rogu Dwudziestej Szóstej Ulicy i California Avenue. Miałem nadzieję, że go tam wykończą. Mnóstwo ludzi ginie w więzieniu. Może ktoś załatwi również jego. Ale nie wierzyłem, że spędzi dużo czasu za kratkami. Wyjść na wolność jest bardzo łatwo, prawdopodobnie postara się o jeszcze jeden wyrok z zawieszeniem. Sądy rozdają je teraz tak chętnie, jak Armia Zbawienia pączki. No, ale to właściwie nie miało znaczenia, wyjeżdżałem przecież do Mediolanu.

Tak więc, jak się rzekło, złożyłem sentymentalną wizytę Naomi Lutz, obecnie Naomi Wolper. Wynająłem limuzynę i kazałem się zawieźć do Marquette Park – po co miałbym się teraz ograniczać? Dzień był wietrzny i mokry, padał deszcz ze śniegiem – doskonały dzień dla ucznia, który przedziera się przez wichurę ze swoim tornistrem i czuje się nieustraszony. Naomi stała na posterunku, zatrzymując ruch i przepuszczając dzieci, które truchcikiem przebiegały jezdnię, rozpraszały się, wlokły za sobą przeciwdeszczowe pelerynki, rozdeptywały kałuże. Pod policyjnym mundurem miała kilka warstw swetrów, na głowie wojskową czapkę, pierś opinała koalicyjka. Idealna całość: buty na baranku, rękawiczki bez palców, kark osłonięty pomarańczową chustką spadającą z czapki, sylwetka całkowicie zniekształcona. Wymachiwała skrępowanymi płaszczem, przemoczonymi ramionami, żeby zebrać dzieci wokół siebie, zatrzymywała ruch, a potem obracała swoje ciężkie podwozie i dreptała z wolna, na grubych podszwach w stronę krawężnika. I to była kobieta, którą kiedyś kochałem doskonałą miłością. Był to ktoś, z kim powinienem był móc spać przez czterdzieści lat w mojej ulubionej pozycji (kobieta zwrócona do mnie plecami, jej piersi w moich dłoniach). Czy w mieście tak brutalnym jak Chicago mężczyzna ma szansę przetrwania bez tak intymnej, tak osobistej pociechy? Kiedy podszedłem bliżej, w starej kobiecie ujrzałem nagle młodą. Dostrzegłem ją w równych, krótkich zębach, ślicznych dziąsłach, w dołeczku na lewym policzku. Wydawało mi się, że nadal mogę wdychać jej dziewczęcy zapach, że słyszę w jej głosie afektowane cedzenie i przeciąganie samogłosek, które niegdyś oboje uważaliśmy za absolutnie czarujące. I jeszcze teraz pomyślałem: „Czemu by nie?” Deszcz lat siedemdziesiątych wyglądał tak samo jak wilgoć lat trzydziestych, kiedy to wskutek naszych młodocianych zalotów na jej twarzy pojawiła się poprzeczna wstęga drobniutkich kropelek, jakby wenecka maska. Ale nie byłem taki głupi, żeby próbować jej dotknąć, zdjęć z niej ten policyjny płaszcz, i swetry, i suknię, i bieliznę. I ona też by nie chciała, żebym zobaczył, co się zrobiło z jej ud i piersi. To było w sam raz dla jej przyjaciela Hank – Hank i Naomi razem się zestarzelili – ale nie dla mnie, człowieka, który ją znał Bóg wie jak dawno temu. Nie było takiej perspektywy. Ani słowa o tym, żadnej wzmianki, żadnej możliwości. Ale była to jedna z tych rzeczy, o których należało pomyśleć.

Piliśmy kawę w kuchni. Zaprosiła mnie na wczesny lunch i podała jajka sadzone, wędzonego łososia i wiejski chleb z miodem. Czuję się zupełnie swobodnie wśród tych żelaznych naczyń i szydełkowanych ściereczek do trzymania gorących garnków.

– Wolper zostawił mi tylko ten dom – powiedziała. – Kiedy zobaczyłam, jak szybko traci majątek, zażądałam, żeby przepisał go na mnie.

– Niegłupio pomyślane.

– Krótco potem jakiś szantażysta złamał mojemu mężowi nos i nogę w kostce, jako ostrzeżenie. Do tego momentu nie wiedziałam, że Wolper opłaca się gangsterom. Wrócił do domu ze szpitala z twarzą siną i w bandażach. Powiedział, że nie powinnam sprzedawać naszego bungalowu, nawet żeby ratować mu życie. Płakał, mówił, że jest do niczego, i postanowił zniknąć. Ale mój teść, mądry stary Żyd, chciał zainwestować pieniądze i kupił nieruchomość w Bohunk, gdzie jest przyjemnie i bezpiecznie. Więc wreszcie wylądowaliśmy tutaj. Tak, Wolper był wesołym człowiekiem. Nie sprawiał mi kłopotów w tym sensie, w jakim ty byś to robił. Na prezent ślubny ofiarował mi kabriolet i otwarty rachunek u Fielda. Właśnie tego najbardziej chciałam w życiu.

– Zawsze mi się wydawało, Naomi, że małżeństwo z tobą dodałoby mi sił.

– Nie idealizuj wszystkiego. Byłeś strasznie gwałtownym chłopcem. O mały włos nie udusiłeś mnie, bo poszłam na tańce z jakimś koszykarzem. A kiedyś, w garażu, założyłeś sobie sznur na szyję i groziłeś, że się powieszysz, jeżeli nie będzie tak, jak ty sobie życzysz. Pamiętasz?

– Tak, chyba pamiętam. Wzbierały we mnie dojmujące pragnienia.

– Wolper jest znowu żonaty i ma sklep z rowerami w New Mexico. Może czuje się bezpieczniej w pobliżu granicy. Tak, byłeś fascynujący, ale ja nigdy nie wiedziałam, o co ci chodzi z tym twoim Swinburnem, twoim Baudelaire’em i Oskarem Wilde’em, i Karolem Marksem. Strasznie rozrabiłeś, naprawdę!

– Te książki działały na mnie odurzająco, byłem pochłonięty pięknem, pasjonowałem się do szaleństwa dobrocią, mądrością, poezją i miłością. Czy to nie był po prostu wiek dojrzewam a?

Uśmiechnęła się i rzekła:

– Myślę, że chyba nie. Doc mówił mamie, że ta twoja rodzina to jedna wielka banda żółtodziobów, obcych przybyszów. Wszyscy byliście strasznie przewrażliwieni. Doc umarł w zeszłym roku.

– Mówiła mi twoja córka.

– Tak, rozsypał się w końcu. Kiedy stary człowiek wkłada dwie skarpetki na jedną nogę i siusia do wanny, to już koniec.

– Chyba tak. Zresztą uważam, że Doc przesadził z tą amerykańskością. Babbitt był dla niego natchnieniem, prawie tak jak Swinburne dla mnie. Marzył, żeby zerwać z wszystkim, co żydowskie, albo z feudalizmem...

– Zlituj się nade mną, Charlie... ciągle jeszcze mróz przechodzi mi po kościach, kiedy rzucasz we mnie takimi słowami jak feudalizm. Na tym polegały nasze nieporozumienia. Przyjechałeś z Madison, oszalały na punkcie tego poety, który się nazywał Humboldt Park, czy coś w tym rodzaju, i pożyczyłeś wszystkie moje oszczędności, żeby pojechać do Nowego Jorku autokarem linii Greyhound. Ja ciebie naprawdę kochałam, Charlie, ale kiedy odjechałeś, żeby zobaczyć tego twojego boga, poszłam do domu, polakierowałam paznokcie i włączyłam radio. Twój ojciec był wściekły, jak mu powiedziałam, że sprzedajesz szczotki na Manhattanie.

– Nonsens, miał Juliusza.

– Ach, Boże, jakież ten twój ojciec był przystojny. Wyglądał jak – dziewczęta tak wtedy mówiły – „Hiszpan, który zrujnował mi życie”. A co robi Juliusz?

– Juliusz psuje krajobraz południowego Teksasu centrami handlowymi i blokami mieszkalnymi.

– Ale wy wszyscy bardzoście się kochali. Byliście pod tym względem jak prawdziwi ludzie pierwotni. Może dlatego mój ojciec nazywał was żółtodziobami.

– No cóż, Naomi, mój ojciec też stał się Amerykaninem, podobnie jak Juliusz. Dali spokój tej całej miłości, takiej typowej u imigrantów. Tylko ja w niej trwałem na swój dziecinny sposób. Moje uczuciowe konto było zawsze wyczerpane. Nigdy nie zapomniałem krzyku mojej matki, kiedy spadłem ze schodów, ani jak przyciskała mi guz do głowy ostrzem noża. A co to był za nóż! Jeszcze jej rosyjskie srebro, z rączką jak policyjna pałka. No więc sama widzisz. Guz na mojej głowie, geometria Juliusza, skąd papa weźmie na komorne, ból zęba biednej mamy, to wszystko były najważniejsze sprawy dla nas wszystkich. Nigdy nie utraciłem tej siły odczuwania cudzych spraw... nie, to nie tak. Obawiam się, że tak naprawdę to ją utraciłem. Tak, na pewno ją utraciłem. Ale ciągle mi była potrzebna. Na tym zawsze polegała trudność. Była mi potrzebna i chyba ją także obiecywałem. To znaczy, obiecywałem kobietom. Kobietom stwarzałem tę utopijną, emocjonalną aurę miłosną, dawałem im poczucie, że jestem mężczyzną, który potrafi je tulić do serca. Na pewno chciałem je tulić do serca, tak jak marzyły, żeby je tulono do serca.

– Ale to był fałsz – powiedziała Naomi. – Sam to zaprzepaściłeś. Nie tuliłeś ich do serca.

– Zaprzepaściłem. Chociaż coś, co jest tak pełne namiętności, na pewno pozostaje gdzieś w mocy.

– Charlie, miałeś powodzenie u wielu kobiet. Musiałeś je strasznie unieszczęśliwiać.

– Zastanawiam się, czy mój przypadek owej „choroby tęskniącego serca” jest tak bardzo wyjątkowy. Jest ona czymś nierealnym, oczywiście, czymś przewrotnym. Ale także czymś amerykańskim, prawda? Mówiąc „amerykańskim” chcę powiedzieć, że nie skorygowanym przez główny nurt dziejów ludzkiego cierpienia.

Naomi westchnęła słuchając, a potem rzekła:

– Ach, Charlie, nigdy nie zrozumieję, jak i dlaczego dochodzisz do swoich wniosków. Ile razy robiłeś mi taki wykład, nigdy nie umiałam za tobą nadażyć. Ale słyszałam, że w czasie, kiedy twoją sztukę wystawiono na Broadwayu, kochałeś się w jakiejś dziewczynie. Co się z nią stało?

– Demmie Vonghel. Tak. Ona była kimś bardzo autentycznym. Zginęła w Ameryce Południowej razem ze swoim ojcem. To był taki milioner z Delaware. Wylecieli z Caracas samolotem typu DC-3 i rozbili się w dżungli.

– To strasznie smutne. Potworne.

– Pojechałem do Wenezueli, żeby ją odszukać.

– Cieszę się, że to zrobiłeś. Właśnie chciałam spytać.

– Poleciałem tym samym samolotem z Caracas. Mieli stare samoloty, połatane jak się dało, pełne Indian latających tam i z powrotem ze swoimi kurami i kozami. Pilot zaprosił mnie do kabiny. W przedniej szybie była duża szpara, wiatr wdzierał się do środka. Kiedy przelatywaliśmy nad górami, bałem się, że nam też się nie uda, i myślałem: „Panie, pozwól, by ze mną stało się tak samo, jak z Demmie”. Kiedy patrzyłem na te góry, naprawdę nie bardzo podobał mi się sposób, w jaki zbudowany jest świat.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Ach, nie wiem, ale człowiek jakoś się zniechęca do natury, do jej wszystkich cudów i fantastycznych osiągnięć, od atomu do galaktyki. Natura obchodzi się zbyt brutalnie z ludźmi. Ociera się o nich zbyt mocno. Przekłuwa nam żyły. Kiedy przelecieliśmy nad górami i zobaczyłem, jak Pacyfik miota się niby w ataku epilepsji wzdłuż wybrzeża, pomyślałem: „A idźże do diabła!” Nie zawsze może nam się podobać sposób, w jaki świat został ukształtowany. Czasem myślę sobie: „Komu właściwie zależy na tym, żeby być wiecznym duchem i mieć więcej istnień! Pieprzyć to wszystko!” Ale mówiłem ci o tym locie. No więc w górę i w dół, chyba z dziesięć razy. Lądowanie na gołej ziemi. Pasy czerwonego żużlu na plantacjach kawy. Spod drzew kiwały do nas małe nagie dzieci z brązowymi brzuskami i zwisającymi siusiakami.

– Nic nie znalazłeś? Szukałeś w dżungli?

– Oczywiście, że szukałem. Znaleźliśmy nawet jakiś samolot, ale nie zaginiony DC-3. To była cessna, która spadła z kilkoma Japończykami na pokładzie, inżynierami górniczymi. Na ich kościach rosły liany i kwiaty, a Bóg raczy wiedzieć, jakie pająki i inne stworzenia zadomowiły się w ich czaszkach. Nie chciałem odnaleźć Demmie w takim stanie.

– Dżungla nie bardzo ci się spodobała.

– Nie bardzo. Piłem mnóstwo dżinu. Zasmakowałem w czystym dżinie, jak mój przyjaciel Von Humboldt Fleisher.

– Ten poeta! Co się z nim stało?

– On też nie żyje, Naomi.

– Charlie, to niesamowite, te wszystkie śmierci!

– Wszystko się nieustannie rozpada i spaja na nowo, i trzeba zgadywać, czy zawsze występuje ten sam zespół postaci czy mnóstwo różnych osób.

– Chyba dotarłeś w końcu do misji – powiedziała Naomi.

– Tak, i była tam niejedna Demmie, około dwudziestu Vonghelów. Wszyscy skoligowaceni. Z tymi samymi długimi głowami, złotymi włosami, iksowa tymi nogami i zadartymi nosami i wszyscy tak samo mamrotali, mówiąc. Kiedy powiedziałem, że jestem jej nowojorskim narzeczonym, wzięli mnie za pomyleńca. Musiałem uczyć się na nabożeństwa i śpiewać hymny, bo dla Indian byłoby to niepojęte, że biały przybysz nie jest chrześcijaninem.

– Więc śpiewałeś hymny, chociaż ci serce krwawiło.

– Byłem zadowolony, że mogę śpiewać hymny. A doktor Tim Vonghel dał mi całą kładź gencjany i kazał mi w niej siedzieć. Mówił, że mam paskudny przypadek *tinia crura*. No więc mieszkałem wśród tych ludożerców, w nadziei, że Demmie jeszcze się znajdzie.

– To byli ludożercy?

– Zjedli pierwszą grupę misjonarzy, która tam dotarła. Kiedy człowiek śpiewał w kaplicy i widział spiłowane zęby kogoś, kto prawdopodobnie zjadł jego brata. Brat doktora Timothy’ego został zjedzony i doktor znał tych, którzy to zrobili... Wiesz, Naomi, ludzie mają mnóstwo szczególnych zalet. Nie zdziwiłbym się, jeżeli to właśnie moje przeżycia w dżungli wprowadziły mnie w nastrój przebaczenia.

– Był ktoś, komu należało przebaczyć? – zapytała Naomi. – Ten mój przyjaciel, Von Humboldt Fleisher. Wystawił czek na moje nazwisko, właśnie wtedy, kiedy ja odchodziłem od zmysłów w dżungli, oplakując Demmie.

– Sfałszował twój podpis?

– Wystawiłem mu czek in blanco, a on podjął ponad sześć tysięcy dolarów.

– Nie! Ale ty oczywiście nie wiedziałeś, że poeta może tak postępować w sprawach finansowych? Wybacz, że się śmieję. Ale zawsze prowokowałeś wszystkich do robienia ci zwykłych, ludzkich świństw, bo upierałeś się, że powinni postępować według zasady „prawdą i pracą ludzie się bogacą”. Strasznie mi smutno, że straciłeś tę dziewczynę w dżungli. Z tego, co słyszę, była w twoim typie. Podobna do ciebie, prawda? Mogliście z tego wyrosnąć i być bardzo szczęśliwi.

– Wiem, co masz na myśli, Naomi. Nie potrafiłem pojąć głębszej strony natury człowieka. Do niedawna nie mogłem nawet znieść myśli o tym.

– Tylko ty mogłeś wplątać się w aferę z tym stukniętym facetem, który groził Stronsonowi. Tym Włochem, o którym opowiadała mi Maggie.

– Może masz rację – przyznałem. – Muszę znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego ulegam ludziom typu Cantabilego. Ale pomyśl tylko, jak się czułem, kiedy twoje dziecko, ta piękna dziewczyna, przyszła, żeby mnie wydostać z więzienia. Córka kobiety, którą kocham.

– Nie rób się sentymentalny, Charlie. Proszę!

– Muszę ci powiedzieć, Naomi, że kochałem w tobie każdą komórkę. Dla mnie byłaś kimś absolutnie „nieobcym”. Twoje atomy były moimi atomami. Twój zapach był moim zapachem.

A twoja córka przypomiała mi ciebie – te same zęby, ten sam uśmiech, właściwie wszystko to samo.

– Daj spokój tym ciągłym zachwytom. Ożeniłbyś się z nią, co, stary lubieżniku? A może sprawdzasz, czy powiem „śmiało, naprzód?” To prawdziwy komplement dla mnie, że jesteś gotów się z nią ożenić dlatego, że ci przypomina mnie. Tak, to cudowna dziewczyna, ale tobie potrzebna jest kobieta o sercu wielkim jak szafa, a to nie moja córka. Zresztą jesteś jeszcze z tym kociakiem, z którym widziałam cię w barze – wspaniały orientalny typ, zbudowana jak wschodnia tancerka, z dużymi czarnymi oczami. Mam rację?

– Tak, ona jest wspaniała, a ja jestem ciągle jej kochankiem.

– Kochankiem? Właściwie, co się z tobą dzieje? Taki wybitny, znany, mądry człowiek i bez przerwy biega od jednej kobiety do drugiej. Nie masz nic lepszego do roboty? Na miłość boską, czy kobiety nigdy nie sprzedawały ci swoich towarów? Myślisz, że naprawdę okażą ci właśnie taką pomoc i pociechę, jakiej szukasz? Zgodnie z reklamą?

– A przecież tak się reklamują, prawda?

– U kobiet to coś w rodzaju instynktu – powiedziała Naomi. – Zawiadamiasz je, że musisz mieć to i to, a one natychmiast stwierdzają, że mają właśnie to, czego ci trzeba, chociaż do tej pory nigdy nawet o tym nie słyszały. I nawet niekoniecznie kłamią. Po prostu instynkt mówi im, że mogą dostarczyć wszystko, o co poprosi mężczyzna, i są gotowe stawić czoło mężczyźnie każdego rozmiaru, kształtu i gatunku. Takie już są. No więc, ty poszukujesz wszędzie kobiety podobnej do siebie. Nie ma takiego stworzenia. Nawet ta twoja Demmie nie mogłaby nim być. Ale dziewczyny mówią ci: „Twoje poszukiwania dobiegły końca. Zatrzymaj się. To ja nią jestem”. Wtedy ty podpisujesz umowę. Oczywiście nikt nie potrafi dostarczyć tego, co obiecał, i wszyscy są wściekli. No cóż, Maggie to nie twój typ. Dlaczego nie powiesz mi czegoś o swojej żonie?

– Nie kuś mnie. Po prostu nalej mi drugą filiżankę.

– Na czym polega pokusa?

– Pokusa? Chodzi o pokusę, żeby się skarżyć. Mógłbym ci godzinami opowiadać o Denise: jaka jest niedobra dla dzieci, jak pozbywa się ich, kiedy tylko może, jak przez nią sąd mnie wykańcza, a adwokaci obdzierają mnie ze skóry, i tak dalej. Otóż to jest pewien Ludzki Przypadek, Naomi. Przypadek może być dziełem sztuki, piękną wersją czyjś smutnego życia. Poeta Humboldt inscenizował swój Przypadek po całym Nowym Jorku, tylko te Przypadki to z reguły kiepska sztuka. Jak będą wyglądały te wszystkie skargi, kiedy dusza popłynie we wszechświat i patrząc za siebie, obejmie wzrokiem całość ludzkiego cierpienia?

– Zmieniłeś się tylko fizycznie – powiedziała Naomi. – Tak właśnie mówiłeś dawniej. Co to znaczy, że „dusza popłynie we wszechświat”?... Jak byłam małą, głupią dziewczynką, wypróbowałeś swoje pomysły na mnie.

– Kiedy zarabiałem na życie, opracowując literacko wspomnienia różnych ludzi, przekonałem się, że żaden Amerykanin, który osiągnął sukces, nigdy nie popełnił choćby jednej istotnej pomyłki, że żaden nigdy nie zgrzeszył ani nie miał nic do ukrycia, że nie było wśród nich kłamców. Metoda polega na zatajaniu poprzez szczerość, aby zagwarantować dwulicowość bez utraty twarzy. Literat jest tak długo maglowany przez swojego zleceniodawcę, aż sam w to wszystko uwierzy. Przeczytaj uważnie autobiografię jakiegoś wybitnego Amerykanina – na przykład Lyndona Johnsona – a zobaczysz, jak wiernie ci ogłupiali pisarze przedstawiają dany Przypadek. Niejeden Amerykanin...

– Mniejsza o niejednego Amerykanina – przerwała Naomi. Jakże miło wyglądała w tej kuchni, uśmiechnięta, w rannych pantoflach, z tłustymi ramionami skrzyżowanymi na piersi. Powtarzałem sobie uparcie, że byłoby wielkim szczęściem móc z nią spać przez czterdzieści lat, że oznaczałoby to zwycięstwo nad śmiercią, i tak dalej. Ale czy istotnie byłbym w stanie to znieść? Rzecz w tym, że w miarę jak się starzałem, stawałem się coraz wybredniejszy. Teraz musiałem – była to sprawa honoru – odpowiedzieć na drażliwe pytanie: czy rzeczywiście mógłbym obejmować tę zwiędłą Naomi i kochać ją do końca? Naprawdę nie wyglądała dobrze. Biologiczne sztormy bardzo ją skołatały (ciało mineralne ulega wyniszczeniu przez rozwijającego się ducha). Ale tej trudności mógłbym stawić czoło. Tak, dałbym radę. Tak, coś by z tego wyszło. W każdym swoim atomie była wciąż tą samą Naomi. Każda komórka tych tęgich ramion była nadal komórką Naomi. Czar jej krótkich zębów nadal trafiał do mojego serca. Jej przeciąganie głosek było nadal tak samo efektowne. Duchy Osobowości odwaliły tu kawał roboty. Dla mnieamma, jak to nazywał C. G. Jung, była w niej ciągle obecna. Dusza-odpowiednik, owa brakująca połowa, opisywana przez Arystofanesa w *Uczcie*.

– Więc jedziesz do Europy z tą młodą osóbką? – zapytała. Byłem zdziwiony. – Kto ci o tym mówił?

– Spotkałem George’a Swiebla.

– Wolałbym, żeby George nie opowiadał na lewo i prawo o moich planach.

– Och, daj spokój, znamy się całe życie.

– To wszystko dochodzi do Denise.

– Myślisz, że ukryjesz przed nią swoje sekrety? Ta kobieta widzi nawet przez stalową ścianę, a ty nie jesteś stalową ścianą. Zresztą ona wcale nie musi zgadywać, jak ty postąpisz, musi tylko wykombinować, co ta młoda kobieta chce, żebyś zrobił. Dlaczego jeździsz z tą osóbką dwa razy w roku do Europy?

– Ona chce odnaleźć swojego ojca. Jej matka nie jest pewna, który z dwóch mężczyzn... A na wiosnę musiałem być w Londynie w sprawach zawodowych. Więc zatrzymaliśmy się w Paryżu.

– Pewnie jesteś już tam bardzo zadowolony. Francuzi zrobili ci kawalerem swojego orderu. Wycięłam tę notatkę z gazety.

– Jestem najniższym rodzajem bardzo marnego *chevalier*.

– I pochlebia twojej próżności, że podróżujesz z taką wielką, piękną lalą? Jak ona sobie dawała radę z twoimi znakomitymi przyjaciółmi w Europie?

– Wiesz, że Woodrow Wilson, w czasie podróży poślubnej z Edith Bolling, śpiewał w pociągu *O, piękna laleczko*? Bagażowy widział go, jak rano po wyjściu z przedziału tańczył i wyśpiewywał.

– Kto jak nie ty mógłby wiedzieć o czymś takim!

– A on był chyba jednym z naszych najdostojniejszych prezydentów – dodałem. – Nie, Renata nie zrobiła furory wśród zagranicznych pań. Zabrałem ją w Londynie na bardzo wytworną kolację i gospodyni uznała, że jest strasznie wulgarna. Nie chodziło o tę przejrzystą suknię z beżowej koronki. Ani nawet o jej wspaniałe kołoiyt, jej wymiary czy żywotność, jaka z niej emanowała. To było tak, jakby Sugar Ray Robinson znalazł się wśród paralityków. Zaatakowała kanclerza skarbu. Porównał ją do kobiety na portrecie w Prado, pędzła jednego z mistrzów hiszpańskich. Ale panie były dla niej surowe i bardzo potem płakała. Mówiła, że to dlatego, iż nie jesteśmy małżeństwem.

– A ty zamiast małżeństwa kupiłeś jej nazajutrz fantastyczne suknie wartości kilku tysięcy dolarów. Mogłabym się założyć. Ale bądź sobie, jaki chcesz, a ja się strasznie cieszę, że cię widzę. Jesteś bardzo

kochany. Ta wizyta to prawdziwa uczta dla biednej, prostej, starej baby. Charles, czy mógłbyś mi zrobić jedną przyjemność?

– Naturalnie, Naomi, jeżeli to tylko możliwe.

– Byłam zakochana w tobie, ale wyszłam za normalnego człowieka z Chicago, bo właściwie nigdy nie wiedziałam, o czym mówisz. No, cóż, miałam wtedy osiemnaście lat. Dzisiaj mam pięćdziesiąt trzy i często zadaję sobie pytanie, czy teraz to, co mówisz, miałoby dla mnie więcej sensu. Czy mógłbyś mówić ze mną tak, jak mówisz z którymś ze swoich inteligentnych przyjaciół... nawet tak, jak mówisz z samym sobą? Czy na przykład myślałeś o czymś ważnym wczoraj?

– Myślałem o gnuśności, o tym, jak bardzo jestem gnuśny.

– To śmieszne. Pracowałeś zawsze strasznie ciężko. Wiem, że tak było, Charles.

– Nie ma w tym żadnej sprzeczności. Ludzie gnuśni pracują najciężej.

– Powiedz mi coś o tym. I pamiętaj, Charlie, nie próbuj niczego tonować. Masz mi to powiedzieć tak, jak byś powiedział samemu sobie.

– Niektórzy ludzie myślą – zacząłem – że gnuśność, jeden z grzechów głównych, oznacza zwykłe lenistwo. Rozlazłość. Zасыпianie zaraz po zgaszeniu światła. Ale gnuśność musi kryć w sobie znaczny obszar rozpacz. Gnuśność jest w rzeczywistości stanem ruchliwości, jest hiperaktywna. Ta aktywność ma odegnać ów cudowny spoczynek i równowagę, bez których nie może być poezji ani sztuki, ani myśli – żadnej z najwyższych funkcji człowieka. Ci gnuśni grzesznicy nie potrafią się pogodzić z własnym istnieniem, jak mówią filozofowie. Trudzą się, bo spoczynek ich przeraża. Dawna filozofia rozróżniała poznanie osiągnięte z wysiłkiem (*ratio*) i poznanie uzyskane (*intellectus*) przez nasłuchującą duszę, która potrafi usłyszeć istotę rzeczy i osiąga zrozumienie cudu. To jednak wymaga od duszy niezwykłej siły. Tym bardziej, że społeczeństwo pochłania coraz większą część naszego wewnętrznego Ja i zakazała nas swoim niepokojem. Zaprawia nas do zamętu, kolonizuje świadomość w nie mniejszym tempie, niż ta świadomość się rozwija. Miejsce prawdziwej równowagi, równowagi kontemplacji czy wyobraźni, jest dokładnie na styku snu i marzenia. Otóż, Naomi, kiedy leżałem rozciągnięty wygodnie w Ameryce, zdecydowany stawić opór jej interesom materialnym i spodziewając się odkupienia przez sztukę, zapadłem w głęboką drzemkę, która trwała lata, dziesiątki lat. Najwidoczniej nie miałem tego, co było tu potrzebne. A potrzebna była jeszcze większa siła, większa odwaga, większy kaliber. Ameryka jest oczywiście zjawiskiem przytłaczającym. Ale to właściwie niczego nie usprawiedliwia. Na szczęście jeszcze żyję i być może zostało nawet trochę czasu.

– Czy to jest rzeczywiście próbka twoich procesów myślowych? – zapytała Naomi.

– Tak – odparłem. Nie odważyłem się wspomnieć *oexousiai* i *archai*, i aniołach.

– Ach, mój Boże, Charlie – powiedziała Naomi, której było mnie żal. Rzeczywiście litowała się nade mną; nachyliła się i oddychając łagodnie prosto w moją twarz, pogłaskała mnie po rękę. – Naturalnie z czasem zrobiłeś się jeszcze dziwniejszy. Teraz dopiero widzę, jakie to szczęście dla nas obojga, że nigdyśmy się nie połączyli. Nie mielibyśmy z tego nic oprócz niedostosowania i konfliktów. Musiałbyś mówić o tych wszystkich górnołotnych sprawach tylko ze sobą, a mnie częstowałbyś na co dzień swoją mową-trawą. A poza tym, mam może w sobie coś, co prowokuje cię do tej niezrozumiałości. Tak czy inaczej, już odbyłeś jedną podróż do Europy z tą panią i jakoś nie znaleźliście tatusia. Ale kiedy odjedziesz, dwie inne małe dziewczynki nie będą miały ojca.

– Myślałem o tym samym.

– George mówi, że twoją ulubienicą jest młodsza.

– Tak, Lish jest całkiem podobna do Denise. To prawda, kocham bardziej Mary. Ale staram się zwalczać te uprzedzenia.

– Dziwiłabym się, gdybyś nie kochał tak bardzo tych dzieci, na swój zwariowany sposób. Jak wszyscy, ja też mam kłopoty z dziećmi.

– Chyba nie z Maggie.

– Nie. Nie podobała mi się ta posada u Stronsona, ale teraz, kiedy on jest zrujnowany, dziewczyna łatwo znajdzie coś innego. To syn mnie niepokoi. Czy zdobyłeś się kiedyś na to, żeby przeczytać jego artykuły w naszej miejscowej gazecie na temat odzwyczajania się od narkotyków? Posłałam ci je z prośbą o opinię.

– Nie czytałem ich.

– Dam ci drugi komplet wycinków. Chciałabym, żebyś mi powiedział, czy on ma jakiś talent. Zrobisz to dla mnie?

– Do głowy by mi nie przyszło, żeby odmówić.

– Powinno ci to częściej przychodzić do głowy. Ludzie za dużo od ciebie żądają. Wiem, że nie powinnam tego robić. Wyjeżdżasz i masz mnóstwo spraw do załatwienia. Ale chcę wiedzieć.

– Czy ten chłopak jest podobny do siostry?

– Nie. Bardziej przypomina ojca. Mógłbyś coś zrobić, żeby mu pomóc. Jako dobry człowiek, który prowadzi zwariowany tryb życia, może umiałbyś dotrzeć do niego. On swoją zwariowaną karierę już zaczął.

– Więc brak mu tylko dobroci, którą ja rzekomo posiadam.

– No cóż, ty jesteś stuknięty, ale masz prawdziwą duszę. Ten mały wychowywał się bez ojca – powiedziała Naomi i łzy napłynęły jej do oczu. – Nie musisz robić zbyt wiele. Po prostu pozwól, żeby cię lepiej poznał. Weź go ze sobą do Afryki.

– Ach, czyżby George wypaplał coś o kopalni berylu? tylko tego mi brakowało na dodatek do wszystkich moich projektów i zobowiązań, do Denise i Urbanovicha, poszukiwań ojca Renaty, wstępnych studiów nad antropozofią, Thaxtera i „The Ark”. Pogoń za cennymi minerałami w Kenii czy Etiopii. To w sam raz dla mnie!

– W tej historii z berylem naprawdę nie ma ani cienia sensu, Naomi – powiedziałem.

– Właściwie wcale nie myślałem, że jest. Ale byłoby cudownie, gdyby Louie mógł pojechać z tobą na safari. Nie chodzi o to, że wierzę w „kopalnię króla Salomona” czy coś w tym rodzaju. I zanim odejdziesz, pozwól, że ci coś doradzę, Charlie. Nie wyężaj się zanadto, próbując coś udowodnić tym dziwkom-olbrzymkom. Pamiętaj, że twoją wielką miłością byłam ja – tylko metr pięćdziesiąt wzrostu.

* * *

W drodze na lotnisko O’Hare towarzyszyła nam posepna Sefiora. W taksówce instruowała szeptem Renatę i była z nami w czasie odprawy, a nawet przeszła przez punkt kontroli osobistej. W końcu wystartowaliśmy. W samolocie Renata powiedziała mi, że bym się nie martwił, że wyjeżdżam z Chicago.

– Raz wreszcie robisz coś dla siebie – oświadczyła. – Z tobą to dziwna rzecz. Jesteś pochłonięty sobą, a nie znasz ABC egoizmu. Popatrz na to w ten sposób: „Jak jestem ja, to nie my dwa”.

W tych rymowanych powiedzonkach Renata była bezkonkurencyjna. Jej dwuwiersz o Chicago brzmiał: „Gdy nie ma O’Hare, smutno jak cholera”. A kiedy spytałem ją raz, co sądzi o innej fascynującej kobiecie, powiedziała: „Czy Paganini dałby choć grosz za to, żeby usłyszeć grę Paganiniego?” Często żalowałem, że owa dama z Londynu, która uważała Renatę za taką wulgarną idiotkę, nie może jej słyszeć w tych najlepszych momentach. Kiedy stanęliśmy na pasie startowym i nagle ruszyliśmy, by po chwili oderwać się od ziemi z odgłosem przypominającym odrywanie plastra chirurgicznego, powiedziała:

– Do zobaczenia, Chicago. Charlie, chciałeś zrobić coś dobrego dla tego miasta. A to przecież banda łajdaków, oni nie zasłużyli na kogoś takiego jak ty. Dużo wiedzą o tym, co dobre. Cała masa nieuków i oszustów trafia do gazet. Tych dobrych się ignoruje. Mam tylko nadzieję, że jak napiszesz swój esej o nudzie, to całe miasto dostanie solidnie po pysku.

Odchyliliśmy się do tyłu, kiedy nasz boeing 727 nabierał wysokości, i usłyszeliśmy zgrzyt wciąganego podwozia. Ciemna wełna chmur i mgły odcięła nas od małych domków i fabryk, ruchu ulicznego i parków. Jezioro Michigan zabłysło tylko raz i stało się niewidoczne.

– Renato, to bardzo miło, że stajesz po mojej stronie – powiedziałem. – Ale prawdę mówiąc, mój stosunek do Stanów Zjednoczonych, a Chicago to właśnie Stany Zjednoczone, też nie był taki na sto procent w porządku. Zawsze goniłem za czymś w rodzaju opieki kulturalnej. Kiedy żeniłem się z Denise, myślałem, że mam w niej sprzymierzeńca.

– Prawdopodobnie z powodu jej dyplomów.

– Okazała się szefem piątej kolumny. Ale teraz rozumiem, dlaczego tak się stało. Bo oto zjawiała się piękna, smukła dziewczyna.

– Piękna? – zdziwiła się Renata. – Wygląda jak czarownica.

– Piękna, smukła, ambitna, wojownicza, uczona młoda kobieta.

Opowiadała mi, że jej matka zobaczyła ją kiedyś w kąpielni i krzyknęła: „Jesteś dziewczyną ze złota”. Potem jej matka wybuchnęła płaczem.

– Rozumiem rozczarowanie takich kobiet – powiedziała Renata. – To typowa sceneria wyższej klasy średniej w Chicago, z jej ambitnymi matkami. Na jaki poziom mają się niby wspiąć te ich córeczki? Przecież nie każda może wyjść za Jacka Kenedy’ego, Napoleona czy Kissingera albo pisać arcydzieła, czy też grać na klawikordzie w Carnegie Hall, odziana w złotą lamę i z purpurową kotarą w tle.

– No więc Denise zrywała się w nocy, łkała i mówiła, że jest niczym.

– A ty miałeś zrobić z niej coś?

– Och, brakowało jednego składnika.

– Nigdy go nie znalazłeś – powiedziała Renata.

– Nie, i ona wróciła do wiary swoich przodków.

– Kim byli jej przodkowie?

– Gromada partyjnych organizatorów i bojówkarzy. Ale trzeba dodać, że nie wiadomo dlaczego byłem taką delikatną roślinką. Ostatecznie Chicago to mój własny teren. Powinienem umieć to przyjąć.

– Płakała w nocy nad swoim zmarnowanym życiem i to przypieczętowało sprawę. IV musisz się wyspać. Nie potrafiłeś wybaczyć kobiecie, która nie dawała ci zasnąć, bo miała jakieś wewnętrzne konflikty.

– Myślę o delikatnych roślinkach w Ameryce Wielkiego Biznesu, bo zmierzamy do Nowego Jorku, żeby się zapoznać z testamentem Humboldta.

– Zwykła strata czasu.

– I zadaję sobie pytanie: „Czy filisterstwo musi być tak bolesne?”

– Mówię do ciebie, a ty mi urządzasz wykład. Musieliśmy zmienić wszystkie nasze plany na Mediolan. I w jakim celu? On nie miał ci nic do zapisania. Umarł w domu noclegowym, zupełnie obłąkany.

– Przed śmiercią był zdrow na umyśle. Wiem to od Kathleen. Bądź dobrym kumplem.

– Jestem najlepszym kumplem, jakiego miałeś i będziesz miał w życiu. Pomyliłeś mnie z tą wyniosłą kurwą, która cię włóczy po sądach.

– Wracając do tematu, Amerykanie musieli podbić pusty kontynent. Trudno było oczekiwać, że skoncentrują się także na filozofii i sztuce. Stary Doc Lutz nazywał mnie przeklętym cudzoziemcem tylko dlatego, że czytałem wiersze jego córce. Za to usuwanie odcisków w gabinecie w śródmieściu Chicago było bardzo amerykańskim powołaniem.

– Proszę cię, złóż mój płaszcz i umieść go na siatce. Wołałabym, żeby stewardessy przestały plotkować i przyjęły zamówienie na drinki.

– Naturalnie, kochanie. Ale pozwól mi skończyć o Humboldcie. Wiem, wiem, uważasz, że za dużo mówię, ale jestem podniecony, a poza tym mam wyrzuty sumienia w związku z dziećmi.

– Denise właśnie na tym zależy – oświadczyła Renata. – Kiedy wyjeżdżasz i nie chcesz zostawić adresu, mówi ci: „Świetnie, jeżeli dzieci zginą w wypadku, będziesz mógł przeczytać o tym w gazetach”. Ale nie tragizuj na ten temat, Charlie. Dziewczynki będą miały swoje radosne święta Bożego Narodzenia i jestem pewna, że Roger będzie się świetnie bawił u swoich dziadków w Milwaukee. Dzieci strasznie lubią te nudne rodzinne hece.

– Mam nadzieję, że mu będzie dobrze – powiedziałem. – Bardzo lubię Rogera. To ujmujący dzieciak.

– On też cię uwielbia, Charlie.

– Więc wróćmy do Humboldta.

Twarz Renaty przybrała wyraz brutalnej szczerości.

– Charlie, ten testament to po prostu żart z za grobu. Sam mówiłeś, że to może być taki pośmiertny figiel. Ten facet był stuknięty, kiedy umierał.

– Renato, czytałem podręczniki. Wiem, co psychiatrzy mówią o cyklofrenikach. Ale oni nie znali Humboldta. Humboldt był poetą. Humboldt był szlachetny. Co psychologia kliniczna może wiedzieć o sztuce i prawdzie?

Te słowa, nie wiem dlaczego, zirytowały Renatę. Była jakby urażona.

– Nie uważałbyś, że jest taki wspaniały, gdyby żył. Mówisz tak tylko dlatego, że umarł. Koffritz sprzedawał grobowce, więc miał zawodowe powody, żeby się zajmować śmiercią. Ale co właściwie jest z tobą?

Już miałem zamiar odpowiedzieć: A co jest z tobą? Mężczyźni w twoim życiu to Koffritz od grobowców, Flonzaley grabarz i Citrine o smętnym obliczu. Ale ugryzłem się w język.

A ona mówiła dalej:

– Wiesz, co ty robisz? Wynajdujesz sobie jakieś związki z nieboszczykami, których nigdy nie miałeś za ich życia. Stwarzasz powiązania, do jakich oni nie chcieli dopuścić, a ty nie byłeś zdolny. Słyszałam raz, jak mówiłeś, że śmierć jest dla pewnych osób dobrą rzeczą. Prawdopodobnie chciałeś przez to powiedzieć, że masz z niej jakąś korzyść.

Zamyśliłem się i powiedziałem:

– Mnie też to przyszło na myśl. Ale umarli żyją w nas, jeżeli chcemy ich utrzymać przy życiu, a cokolwiek powiesz, ja kochałem Humboldta Fleishera. Te ballady głęboko mnie wzruszyły.

– Byłeś wtedy chłopcem – odparła. – Przeżywałeś najwspanialsze lata życia. On napisał tylko dziesięć czy piętnaście wierszy.

– To prawda, niewiele napisał. Ale były niezwykle piękne. Nawet jeden to bardzo dużo, jeżeli chodzi o pewne sprawy. Powinnaś to wiedzieć. Jego porażka daje do myślenia. Niektórzy powiadają, że w Ameryce porażka jest jedyną prawdziwą formą sukcesu i że nikt, komu się „udało”, nie znajduje miejsca w sercach swoich rodaków. Akcent leży tu na „rodakach”. Może właśnie w tym Humboldt popełnił swój największy błąd.

– Bo myślał o swoich współobywatelach? – powiedziała Renata. – Kiedy przyniosą te drinki?

– Bądź cierpliwa, będę cię zabawiał rozmową, dopóki ich nie przyniosą. Są pewne sprawy związane z Humboldtem, które muszę zrzucić z serca. Dlaczego Humboldt tak się dręczył? Poeta jest tym, co jest w nim samym. Gertruda Stein rozróżniała ludzi, którzy są „istnościami”, i tych, którzy mają „tożsamość”. Człowiek wybitny jest istnością. Tożsamość jest tym, co otrzymujemy od otoczenia. Twój piesek ciebie rozpoznaje i dlatego posiadasz tożsamość. Istność natomiast, będąca mocą bezosobową, jest czymś przerażającym. To, co T. S. Eliot mówił o Williamie Blake’u. Na przykład taki Tennyson tkwił głęboko w swoim środowisku czy też był opancerzony jak skorupą poglądami pochlebców, ale Blake był nagi, widział człowieka nagim i oglądał go ze środka swego własnego kryształu. Nie miał w sobie nic z „kogoś lepszego” i dlatego był tak przerażający. To jest istność. Tożsamość jest bardziej wyrozumiała wobec samej siebie. Tożsamość nalewa drinka, zapala papierosa, poszukuje ludzkich rozkoszy, stroni od surowych zakazów. Pokusa położenia się jest bardzo silna. Humboldt był słabnącą istnością. Poeci muszą śnić, a śnić o Ameryce nie jest tak łatwo. „Bóg daje pieśni w nocy”, mówi Księga Hioba. Myślałem bardzo dużo o tym wszystkim, koncentrując się zwłaszcza na słynnej bezsenności Humboldta. Ale sądzę, że bezsenność Humboldta była przede wszystkim świadectwem siły tego świata, świata człowieczego i wszystkich jego cudownych spraw. Świat był interesujący, naprawdę interesujący. Świat miał pieniądze, naukę, wojnę, politykę, niepokój, chorobę, zamęt. Najwyższe napięcie. Kto raz podniósł przewód wysokiego napięcia, a był kimś, miał znane nazwisko, nie mógł się już uwolnić od prądu elektrycznego. Był nim porażony. Już dobrze, Renato, podsumowuję: świat ma władzę, a zainteresowanie idzie w ślad za władzą. Skąd bierze się władza i atrakcyjność poetów? Biorą swój początek w stanach marzenia. A te pojawiają się, bo poeta jest tym, co jest w nim samym, bo w jego duszy rozbrzmiewa głos o mocy równie potężnej jak moc społeczeństw, państw i reżimów. Człowiek nie staje się interesujący na skutek szaleństwa, ekscentryczności czy czegoś w tym rodzaju, ale dlatego, że ma moc unicestwiania całego szaleństwa świata, jego ruchliwości i wrzawy, i że jest zdolny usłyszeć samą istotę rzeczy. Nie umiem ci powiedzieć, jak on strasznie wyglądał, kiedy widziałem go ostatni raz.

– Już mi mówiłeś.

– Nie mogę o tym zapomnieć. Znasz kolor rzek, które przepływają przez wielkie miasta? East River, Tamizy, Sekwany? On miał ten odcień szarości.

Na to wszystko Renata nie miała nic do powiedzenia. Z reguły jej własne refleksje całkowicie ją zadowalały i rozmowę ze mną traktowała jako tło do snucia własnych myśli. Te zaś, o ile mogłem się zorientować, dotyczyły jej pragnienia, by zostać panią Charlesową Citrine, żoną pulitzerowskiego *chevalier*. Dlatego zapragnąłem pobić ją jej własną bronią i użyłem jej myśli jako tła dla moich własnych rozważań. Boeing przedarł się przez grube szale chmur, ogłuszający moment ryzyka i śmierci zakończył się melodyjnym „bing!” i znaleźliśmy się w strefie światła i spokoju. Trzymałem głowę na oparciu fotela i kiedy przyniesiono whisky, zacząłem ją saczyć przez moje nieregularne, wielobarwne zęby, zaginając palec wskazujący ponad brzegiem szklanki, żeby przytrzymać wielkie dziurkowane sześciany lodu – zawsze kładą ich za dużo. Strużka whisky zapiekła przyjemnie w przetyku, a potem mój żołądek, jak słońce za oknem, cały się rozpromienił i zaczęła mnie pomału wypełniać rozkosz wolności. Renata miała rację: wyjechałem! Raz na pewien czas jakiś wstrząs przenosi mnie w górne rejony czuwania, biorę zakręt, widzę ocean i serce pęka mi od nadmiaru szczęścia – czuję się tak swobodnie! Potem przychodzi mi do głowy inna myśl: nie tylko sam widzę, ale jestem także widziany z daleka, i niejako ukryty przedmiot, lecz jako ktoś zespolony z resztą, z uniwersalnym szafirowym, nieco purpurowym błękitem. Cóż bowiem robi to morze, ta atmosfera, w obrębie dwudziestocentymetrowej średnicy naszej czaszki? (Nie wspominam już o Słońcu i Galaktyce, które też tam są.) W samym środku obserwatora musi być przestrzeń dla pomieszczenia całości, a ta przestrzeń-nicość nie jest pustą nicością, lecz jest niczym zarezerwowanym dla wszystkiego. To poczucie zdolności do niczego i wszystkiego może nas wprawić w stan ekstazy – i tak właśnie się czułem w odrzutowcu. Sącząc whisky, czując promienne ciepło wewnątrz mego ciała, przeżywałem chwilę błogości, o której wiedziałem, że nie jest szaleństwem. Nie wykończyli mnie ci tam, w Chicago – Tomchek, Pinsker, Denise, Urbanovich. Uciekłem im. Nie mogłem co prawda powiedzieć, że tak dokładnie wiem, co robię, ale czy to jest aż tak ważne? Mimo wszystko było mi lekko na duszy. Nie mogłem odkryć w sobie ani cienia smutku czy tęsknoty, żadnych wyrzutów, żadnego niepokoju. Podróżowałem z piękną dziewczyną. Była pełna intryg i tajemnic, niczym dwór bizantyjski. Czy było w tym coś złego? Tak, byłem zbikowanym, starym donzuanem. Ale co z tego?

Przed wyjazdem z Chicago miałem długą rozmowę o Renacie z George’em Swieblem. Byliśmy dokładnie w tym samym wieku i mniej więcej podobnej kondycji fizycznej. George był niezwykle miły. Powiedział mi:

– Musisz teraz zwiewać. Zniknąć z miasta. Ja się zajmę wszystkimi drobiazgami. Ty po prostu siedz w tym samolocie, ściągaj buty, zamów drinka i wynieś się stąd. Wszystko będzie dobrze. Nie przejmuj się.

Sprzedał mercedesa za cztery tysiące dolarów. Zajął się perskimi dywanami i dał mi za nie drugie cztery tysiące zaliczki. Musiały być warte piętnaście tysięcy, bo towarzystwo ubezpieczeniowe oceniło je na dziesięć. Ale chociaż George siedział w kanciarskiej branży – remonty budowlane – był człowiekiem uczciwym. W jego duszy nie sposób było wykryć ani cienia oszustwa.

Wypiliśmy we dwóch butelkę whisky, a na pożegnanie George wygłosił mowę na temat Renaty, pełną jego specyficznej „naturalnej” mądrości.

– No dobrze, przyjacielu, odjeżdżasz z tym wspaniałym kociakiem – powiedział. – Ona należy do nowej, „rozbawionej” generacji i mimo że jest tak dobrze rozwinięta, właściwie nie jest kobietą dorosłą. Charlie, przecież ona nie odróżnia kutasa od motocykla. Jej matka to ponura, groźna starucha – to rasowy łowca. Ta mama nie jest ani trochę w moim typie. Wyobraża sobie siebie jako lubieżnego starca. Kiedyś byłeś u szczytu powodzenia, miałeś wielki rozgłos. Teraz trochę się chwiejesz na nogach, wobec tego jest szansa, żeby się za ciebie wydać, zagarnąć jakąś część twojej osoby, zanim Denise załapie wszystko. Może nawet zrobić z ciebie na nowo człowieka, który ma nazwisko i zarabia dużo pieniędzy. Dla ludzi tego pokroju jesteś trochę tajemniczy, bo niewielu się widzi takich jak ty. Otóż Renata jest dla swojej matki wspaniałym, ogromnym, cudownym jabłkiem, nagrodzonym złotym medalem na Targach Stanu Waszyngton, tym doskonałym owocem, wyhodowanym metodami naukowymi – i chce za wszelką cenę to wykorzystać, póki jest w kwiecie lat.

Podniecając się coraz bardziej, George zerwał się na nogi – krzepki, zdrowy mężczyzna, rumiany i tryskający energią, z nosem zagiętym jak u Indianina i rzadkimi włosami uczesanymi w czub na środku czaszki. Jak zwykle, kiedy wykładał swą filozofię natury, zaczął krzyknąć:

– Tb nie jest zwykła dupa. Warto z nią zaryzykować. Owszem, może czekają cię upokorzenia, może będziesz musiał wysłuchiwać całej masy kłamstw, może cię obłupią i obrabują, może będziesz leżał chory i nikt cię nie będzie pielęgnować, jak dostaniesz zawału albo stracisz nogę. Tak, ale jesteś żywy, jesteś człowiekiem z krwi i kości, dzielny, obdarzony instynktem. Masz charakter. I ja będę przy tobie. Zatelegrafujesz do mnie z któregośkolwiek miejsca na świecie, a ja przyjadę. Bardzo cię lubiłem, jak byłeś młody, ale nie tak, jak kocham cię teraz. Kiedy byłeś młodszy, dorabiałeś się. Może nie zdajesz sobie sprawy,

jaki byłeś cholernie sprytny i cwany w sprawach swojej kariery. Ale teraz, dzięki Bogu, śnisz o tej młodej kobiecie, jesteś jak w gorączce. Nie wiesz, co robisz. I właśnie to jest wspaniałe w tym wszystkim.

– Przedstawiasz tę sprawę w zbyt romantycznych barwach, George.

– Mniejsza o to – powiedział. – Otóż ta historia z „prawdziwym ojcem” Renaty to zwykła bzdura. Bo pomyślmy chwilę. Po co takiej babce prawdziwy ojciec? Ma już tę starą rajfurkę, swoją matkę. Renata nie wiedziałaby w ogóle, co zrobić z ojcem. Ma takiego tatusia, jakiego potrzebuje, tatusia od seksu. Nie, cała historia została sfabrykowana, żeby odbywać podróże do Europy. Ale to jest właśnie najlepsze z wszystkiego. Rób tak dalej, wydaj całą forszę. Zbankrutuj – i niech diabli porwą tę bandę z sądu. Mówiłeś mi już przedtem, że kwiecień chcesz spędzić z Renatą w Paryżu, ale powiedz jeszcze raz, o co chodzi.

– Proszę bardzo – zacząłem. – Do dwunastego roku życia Renata myślała, że jej ojcem jest niejaki signor Biferno, który handlował galanterią skórzaną na Via Monte Napoleone w Mediolanie. To ulica wielkich luksusowych magazynów. Ale kiedy miała jakieś trzynaście lat, stara powiedziała jej, że to może wcale nie Biferno. Señora i Biferno spotkali się kiedyś na nartach w Cortinie, ona złamała nogę w kostce, nałożyli jej gips, pokłóciła się z Bifemem i on pojechał do domu, do żony i dzieci. Zemściła się na nim z pewnym młodym Francuzem. Otóż kiedy Renata miała dziesięć lat, matka zawiozła ją do Mediolanu na konfrontację z Bifernem. Wystroiły się i urządziły scenę na Via Monte Napoleone.

– Ten stary babsztyl to chyba największa intrygantka wszech czasów.

– Prawdziwa pani Biferno wezwała policję. A znacznie później, już w Chicago, matka powiedziała Renacie: „Biferno może w ogóle nie jest twoim ojcem”.

– Wobec tego pojechaliście do Paryża odwiedzić młodego Francuza, który teraz jest starym Francuzem? Swoją drogą, to straszne, żeby matka mówiła coś takiego dziewczynce, która właśnie wkracza w wiek dojrzewania.

– Musiałem i tak być w Londynie, więc zajechaliśmy do Ritza. Któregoś dnia Renata oznajmiła, że musi pojechać do Paryża, żeby się przyjrzeć temu człowiekowi, który może jest jej ojcem, i że chce jechać sama. Więc odwoziłem ją na Heathrow. Miała ze sobą dużą torbę, która była otwarta. Na samym wierzchu, jak duża puderniczka, leżało jej pudełko ze środkami antykoncepcyjnymi.

– Po co brała tę swoją regulację urodzeń?

– Skąd można wiedzieć, kiedy się pojawi ta jedyna szansa w życiu?

– Taktyka, Charles, po prostu głupia taktyka. Niech się facet domyśla. Chce cię wytrącić z równowagi. Ale myślę, że ona naprawdę jest w porządku. Tyle, że robi różne głupstwa. Chcę ci coś powiedzieć, Charlie. Nie wiem, jakie są twoje obyczaje, ale nie pozwól, żeby cię puściła w trąbę. Po roku byś nie żył. Teraz powiedz mi resztę o Paryżu.

– No więc, ten facet był homoseksualistą, człowiekiem niemłodym, nudnym, gadatliwym. Kiedy po czterech dniach nie wróciła do Londynu, pojechałem jej poszukać w hotelu Meurice. Powiedziała, że dotąd nie miała odwagi zobaczyć się z nim, że robiła zakupy, chodziła do Luwru i na szwedzkie filmy *I Am Curious Yellow*, czy coś w tym rodzaju. Ten stary pamiętał jej matkę i myśl o tym, że może mieć córkę, sprawiła mu przyjemność, ale był bardzo ostrożny i oświadczył, że prawne uznanie nie wchodzi w ogóle w grę. Rodzina by go wydziedziczyła. Zresztą to nie był on. Renata mówiła, że nie ma żadnego podobieństwa. Sam go obejrzałem. Miała rację. Oczywiście, nigdy nie wiadomo, jak natura tworzy swoje dzieła. Zagniewana kobieta z nogą w gipsie namawia narciarza pederastę, żeby zrobił dla niej wyjątek, i płodzą piękną córkę o cudownej cerze, ciemnych oczach i z takimi brwiami. Pomyśl o którejś z piękności El Greca, wznoszącej oczy ku niebu. Potem zastąp niebo seksem. Tak wygląda pobożność Renaty.

– Dobrze, dobrze, wiem, że ją kochasz – powiedział George. – Kiedy zamknęła ci drzwi przed nosem, bo miała u siebie innego faceta, a ty przyleciałeś do mnie z płaczem, pamiętasz, co powiedziałem? Mężczyzna w twoim wieku, który płacze z powodu dziewczyny, to ktoś, kogo szanuję. A poza tym, ciągle jeszcze masz siłę.

– Powinienem mieć, jeszcze jej nie zużyłem.

– Tak, tak, oszczędzałeś. Teraz już schodzisz w dół i czas przyspieszyć kroku. Może powinieneś ożenić się z Renatą. Tylko nie zemdlej w drodze do urzędu stanu cywilnego. Załatw wszystko po męsku. Inaczej ona ci nigdy nie daruje. Zrobi z ciebie na starość chłopca na posyłki. Biedny, stary Charlie idący z zażawionymi oczyma po cygara dla swojej małżonki.

Podchodziliśmy do lotniska ponad stalową płachtą wody rozjaśnionej zmierzchającym światłem i wylądowaliśmy na La Guardia w brązowym zachodzie. Stamtąd pojechaliśmy do Plaza Hotel, uwięzieni na niskich siedzeniach nowojorskiej „hyclowskiej” taksówki. Człowiek tak się w nich czuje, jakby kogoś ugryzł i jakby go teraz wieziono, toczącego pianę, do zakładu weterynarii, gdzie go zlikwidują. Powiedziałem to Renacie, a ona uznała, że fantazjuję, żeby zepsuć przyjemność, i tak już trochę nadwreżoną, ponieważ podróżując bez świadectwa ślubu, udajemy małżeństwo. Portier w hotelu pomógł jej wyjść z taksówki, przemaszerowała w swoich długich butach pod ogromną markizą, rozpiętą nad pomarańczowymi, żarzącymi się prętami. Pod długim polskim kozuchem z puszystym kołnierzem miała suknię mini. Kozuch kupiłem jej w Cepelii. Cudownie miękki, aksamitny kapelusz, inspirowany przez siedemnastowiecznych holenderskich portrecistów, był zsunięty z czoła. Jej twarz, równomiernie i nieskazitelnie biała, rozszerzała się ku dołowi. Ta dyniowata okrągłość była jedynym defektem. Szyję miała poznaczoną maleńkimi pierścieniami, czy też sfalowaną jakimś użyźniającym kobiecym osadem. To samo nieznaczne zgrubienie uwidoczniło się na jej biodrach i wewnętrznej stronie ud. Pierwsze człony palców zdradzały podobne oznaki nadmiaru zmysłowości. Szedłem teraz w moim kraciastym palcie, zachwycając się nią i myśląc o niej. Cantabile i Stronson uznali, że wyglądam w tym palcie jak płatny morderca. Ale nie mogłem wyglądać mniej morderczo niż w tej właśnie chwili. Wiatr rozrzucił mi przczesane włosy i czułem teraz na łysinie promieniujące ciepło markizy. Od lodowatych podmuchów owiewających twarz poczerwieniał mi nos. Worki pod oczami nabrzmiały. Podwieczorkowa orkiestra w Sali Palmowej grała omdlewające, słodkie jak lukrecja melodie. Wpisałem do książki pana i panią Citrine, podając fałszywy adres w Chicago, po czym wsiedliśmy do windy razem z gromadką czarujących dziewczyn z jakiegoś college’u, które przyjechały do miasta na przerwę świąteczną. Zdawały się wydzielać cudowną woń niedojrzałości, coś w rodzaju aromatu zielonych bananów.

– Nie ma co, napatrzyłeś się do syta na te rozkoszne smarkule – powiedziała Renata, znowu w doskonałym humorze. Szliśmy przez nie kończący się korytarz wyłożony złotym dywanem, powtarzającym swoje czarne esy-floresy i woluty. Sposób, w jaki obserwowałem ludzi, bawił Renatę. – Patrzysz z taką gorliwością – dodała.

Tak, ale od dziesiątków lat zaniedbywałem mój wrodzony, mój osobisty sposób patrzenia. Właściwie dlaczego nie miałbym podjąć tego zwyczaju? Kogo to obchodzi?

– Co to? – wykrzyknęła Renata, kiedy boy otworzył drzwi. – Jaki pokój oni nam dali?

– To są pokoje z mansardowymi oknami – wyjaśniłem. – Na ostatnim piętrze. Najlepszy widok w całym hotelu.

– Poprzednim razem mieliśmy piękny apartament. Co my do cholery robimy na tym strychu? Gdzie jest nasz apartament?

– Och, daj spokój, kochanie. Co za różnica? Jesteś zupełnie jak mój brat, Juliusz. Jeżeli w hotelu nie dostanie tego, co najlepsze, zaczyna się denerwować... robi się arogancki, wściekły.

– Charles, czy to może jeden z twoich ataków skąpstwa? Nie zapominaj, co mi kiedyś powiedziałeś o ostatnim wagonie.

Przytoczyłem jej kiedyś powiedzenie Gene’a Fowlera, że pieniądze są czymś, co należy wyrzucać z ostatniego wagonu pociągu, i teraz tego żałowałem. Było to dziennikarskie bajdurzenie ze złotego wieku Hollywood, pijana wspaniałość nocnych lokali z lat dwudziestych, syndrom utracjuszostwa.

– Kiedy oni dobrze zrobili, kochanie. Z tego pokoju jest najlepszy widok na Piątą Aleję.

I rzeczywiście widok, jeżeli komuś zależało na widokach, był urzekający. Ja sam jestem bardzo zręczny w podsuwaniu ludziom widoków, co mi pozwala być nieobecny myślami. Poniżej Piąta Aleja jarzyła się dekoracjami gwiazdkowymi i światłami samochodów, zbitych w gęstą masę na odcinku od Ulicy Siedemdziesiątej do Trzydziestej, jarzyła się iluminacją wystaw, wielobarwną, krystaliczną i jak komórki włoskowate pod mikroskopem elastycznie zmieniającą kształt, zderzającą się, pulsującą. Wszystko to zobaczyłem w ciągu jednej sekundy. Byłem jak zręczna dziewczyna, która obala wszystkie kręgle, zanim kula zdąży się odbić. Powtórzyło się to, co było z Renatą w zeszłym roku, kiedy jechaliśmy pociągiem do Chartres.

„Patrz, jak tam pięknie!” – powiedziała. Spojrzałem i rzeczywiście było pięknie. Wystarczył mi jeden rzut oka. W ten sposób oszczędza się mnóstwo czasu. Istotne jednak jest to, co człowiek ma zamiar zrobić z zaoszczędzonymi minutami. Wszystko, mogę powiedzieć, zależało od działania tego, co Steiner określał jako Duszę-Świadomość.

Renata nie wiedziała, że Urbanovich lada moment wyda orzeczenie w sprawie sekwestru moich pieniędzy. Ale po jej rozbieganych oczach zorientowałem się, że nurtują ją myśli o pieniądzach. Jej brwi często były wzniesione ku niebu w wyrazie miłości, ale od czasu do czasu na twarzy pojawiał się wyraz zdecydowanie praktyczny, co zresztą też mi się bardzo podobało. Nagle poderwała głowę i powiedziała:

– Skoro jesteś w Nowym Jorku, możesz zobaczyć się z jednym czy drugim wydawcą i przehandlować swoje eseje. Czy Thaxter ci je oddał?

– Bardzo niechętnie. Ciągle ma nadzieję, że wyda „The Ark”.

– Jasne. Sam może zastąpić wszystkie gatunki zwierząt.

– Telefonował wczoraj i zaprosił nas na pożegnalne przyjęcie na pokładzie *France*.

– Matka wydaje na jego cześć przyjęcie? Tb już chyba mocno starsza kobieta.

– Ma zrozumienie dla stylu. Od kilku pokoleń wyprowadza debiutantki w świat i ma powiązania z bogaczami. Zawsze wie, gdzie jest jakiś wolny szałas narciarski dla jej syna albo domek myśliwski, albo jacht. Jeżeli czuje się zmęczony, wysyła go na Bahamy albo na Morze Egejskie. Powinnaś ją poznać. Jest chuda, inteligentna, zdolna i patrzy na mnie złym okiem, jestem nieodpowiednim towarzyszem dla Pierre’a. Pełni straż u bogatych rodzin, broniąc ich prawa do zapijania się na śmierć, ich starożytnego przywileju, który im pozwala być niczym.

Renata roześmiała się.

– Oszczędź mi tego przyjęcia. Załatw jak najprędzej tę sprawę Humboldta i jedźmy do Mediolanu. Bardzo się tym denerwuję.

– Myślisz, że Biferno jest naprawdę twoim ojcem? Lepszy on niż ten pedał Henri.

– Przysięgam, gdybyśmy byli małżeństwem, nawet bym nie pomyślała o ojcu. Moja niepewna sytuacja zmusza mnie do szukania jakiegoś mocniejszego gruntu. Powiesz może, że byłam zamężna, ale jako żona Koffritza nie stałam na specjalnie mocnym gruncie. A teraz mam obowiązki wobec Rogera. Póki pamiętam, musimy wysłać wszystkim dzieciom zabawki przez FAO. Oboje ze Schwarzem nie mamy ani centa. Koffritz od pół roku nie płaci alimentów. Ale nie będę go ciągała po sądach ani zamykała w więzieniu. A znowu ty masz na karku dość darmozjadów i wolałabym nie figurować w tej rubryce. Chociaż jeżeli wolno mi tak powiedzieć, ja przynajmniej dbam o ciebie i robię coś dla twojego dobra. Gdybyś wpadł w ręce córki tego antropozofa, tej małej blond chytruski, prędko byś zobaczył, jaka jest różnica. Twarda bestyjka.

– Co Doris Scheldt ma z tym wszystkim wspólnego?

– Co? Napisałaś do niej liścik przed naszym wyjazdem z Chicago. Przeczytałam, bo się wszystko odcisnęło na twoim bloku listowym. Nie rób tej swojej miny człowieka prawdomównego, Charlie. Jesteś najgorszym kłamcą na świecie. Ciekawe, ile masz pań w rezerwie.

Nie oburzało mnie jej szpiegowanie. Nie robiłem już scen. Nasze europejskie podróże, miłe same w sobie, odrywały mnie też od panny Scheldt. Renata uważała ją za osobę niebezpieczną i nawet Señora próbowała robić mi z jej powodu wymówki.

– Señora – odparłem – przecież pana Scheldt pojawiła się na scenie dopiero po incydencie z Flonzaleyem.

– Słuchaj, Charles, trzeba skończyć ze sprawą pana Flonzaleya. Nie jesteś mieszcuchem z prowincji, tylko pisarzem – oznajmiła stara hiszpańska dama. – Flonzaley należy do przeszłości. Renata jest bardzo wrażliwa na ból i co miała zrobić, kiedy ten człowiek tak się męczył. Przeplakała całą tę noc, kiedy był u niej. Ma strasznie wulgarny zawód i w ogóle nie może się z tobą równać. A ponieważ ty jesteś *homme de lettres*, a on jest przedsiębiorcą pogrzebowym, człowiek na wyższym poziomie powinien okazać więcej tolerancji.

Nie mogłem sprzeczać się z Señorą. Zobaczyłem ją któregoś ranka bez makijażu, śpieszącą do łazienki, absolutnie pozbawioną rysów – żółta, bananowa skóra, bez brwi i rzęs, właściwie bez ust. Smutek tego widoku ścisnął mi serce, już nigdy nie chciałem wygrać choćby jednego punktu od Señory. Kiedy graliśmy w tryktraka, oszukiwałem na własną niekorzyść.

– Jeśli idzie o pannę Scheldt – powiedziałem Renacie w hotelu Plaža – sprawą najistotniejszą jest jej ojciec. Nie mógłbym mieć romansu z córką człowieka, który tak dużo mnie nauczył.

– Ładuje ci do głowy same brednie.

– Renato, pozwól, że ci coś zacytuję: „Chociaż powiadają, żeś żywy, jesteś umarły. Zbudź się i tchnij siłę niejaka w to, co zostało, bo inaczej umrze”. To jest z Apokalipsy św. Jana, mniej więcej.

Uśmiechając się pobłaźliwie, Renata wstała i obciągnęła mini spódnice.

– Skończysz, paradując na bosaka po Loop i niosąc jeden z tych transparentów, które każą się zastanawiać nad wiecznością. Na miłość boską, weź telefon i połącz się z tym Hugginsem, wykonawcą testamentu Humboldta. I tylko nie próbuj brać mnie znowu na obiad do Rumpelmayera.

Huggins wybierał się na wernisaż do galerii Kootza i kiedy mu wspomniałem o mojej sprawie, zaproponował, żebyśmy się tam spotkali.

– Jest w tym coś? Na czym polega ten zapis? – spytałem.

– Jest coś – odparł Huggins.

W końcu lat czterdziestych, kiedy Huggins był znakomitością Greenwich Village, byłem mało znaczącym członkiem grupy, która dyskutowała w jego mieszkaniu na temat literatury, polityki, filozofii. Zbierali się tam ludzie tacy, jak Chiaramonte i Rahr, Abel i Paul Goodmanowie, Von Humboldt Fleisher. Tym, co Hugginsa i mnie łączyło, była miłość do Humboldta.

I to prawie wszystko. Pod wieloma względami irytowaliśmy się nawzajem. Kilka lat temu, na konwencji demokratycznej w Atlantic City, tym wesołym miasteczku slumsów, obserwowaliśmy Huberta Humphreya, który udawał, że czuje się wśród swojej delegacji zrelaksowany, podczas gdy Johnson nabijał go na pal, i coś w atmosferze miluchnego opuszczenia, poszarpanych włókien wakacyjnej wesołości nastawiło Hugginsa do mnie nieprzychylnie. Poszliśmy na promenadę i kiedy spojrzeliśmy na ohydny Atlantyck, zdegenerowany tutaj i upodobniony do czegoś w rodzaju słonowodnej masy irysowej, i na podobną do piany prażoną kukurydzę, którą ogarniała miotła zamiatacza, Huggins stał się napastliwy. Nie bojąc się nikogo na świecie i dodający mocy swoim argumentom ruchami białej koziej bródki, robił zjadliwe uwagi na temat mojej książki o Harrym Hopkinsie, wydanej wiosną tego roku. Przyjechał na konwencję jako reporter „Women’s Wear Daily”. Był nie tylko lepszym dziennikarzem, niż ja mogłem stać się kiedykolwiek w przyszłości, ale również słynnym dysydem i rewolucjonistą nowojorskiej bohemy. Dlaczego jestem tak łaskawy dla Nowego Ładu i przypisuję takie duże zasługi Hopkinsowi? Nieustannie przemycam do moich książek pochwały dla amerykańskiego systemu rządów. Jestem apologetą, szyldem i pionkiem zarazem, na dobrą sprawę drugim Andriejem Wyszynskim. W Atlantic City, jak gdzie indziej, Huggins był ubrany swobodnie, nosił spodnie z chińskiego płótna i tenisówki – wysoki, o różowej cerze, z bródką, jękający się i kłótlivy.

Kiedy mu się tak przyglądałem na deskach nadmorskiej promenady, dostrzegłem także siebie. W moich oczach były plamki zielone i bursztynowe, w których on mógł widzieć eony snu i czuwania. Mylił się, jeżeli myślał, że go nie lubię. Lubilem go z biegiem czasu coraz bardziej. Był już teraz całkiem stary i nieprzychylnie moce człowieczej hydrostatyki poczęły zmieniać jego twarz w rozciągnięty i sfałdowany worek, ale cerę miał nadal świeżą i nadal był harwardzkim radykałem na wzór Johna Reeda – jednym z tych wiecznie młodych, szczupłych, pełnych wigoru amerykańskich intelektualistów, wiernych swojemu Marksowi czy swojemu Bakuninowi, swojej Isadorze, Randolphowi Bourne, Leninowi i Trockiemu, Maxowi Eastmanowi, Cocteau, Andre Gide’owi, Ballets Russes, Eisensteinowi – całemu awangardowemu panteonowi z dobrych dawnych czasów. Nie wyrzekłby się tego zachwycającego ideologicznego kapitału, podobnie jak nie zrezygnowałby z akcji odziedziczonych po ojcu.

W zatłoczonej galerii Kootza gawędził z kilkoma osobami. Umiał prowadzić rozmowy na hałaśliwych przyjęciach. Gwar i alkohol działały na niego podniecająco. Może nie miał zbyt jasno w głowie, ale samą jego głową zawsze się zachwyciałem. Była długa i uwieńczona starannie wyszczotkowanymi srebrnymi włosami, których nierówno zakończone długie pasma układały się na karku w szpic. Brzuch opinała mu koszula w paski, jaskrawoszarłatne i diabolicznie fioletowe, jak wstążki na szczycie słupa na majowych festynach ludowych. Przypomniało mi się, że ponad dwadzieścia lat temu byłem na przyjęciu wydawanym na plaży w Montauk na Long Island, gdzie Huggins, nagi, siedział na jednym końcu bala i rozmawiał o McCarthym i przesłuchaniach w armii z panią, która naga siedziała okrakiem na drugim końcu bala. Huggins mówił, trzymając cygarniczkę w zębach, a jego penis, leżący na wygładzonym wodą drzewie, obrazował wszystkie fluktuacje jego zainteresowań. A kiedy tak puszczał kłęby dymu i wyrażał swoje poglądy rżącym, jękającym się głosem, jego członek to cofał się, to wysuwał do przodu, jak suwak puzonu. Nie można mieć nieprzyjaznych uczuć wobec człowieka, o którym zachowujemy takie wspomnienia.

W galerii nie czuł się ze mną swobodnie. Wyczuwał osobliwości mojej perspektywy. Ja też nie byłem z niej dumny. A poza tym okazywałem mu więcej ciepła, niż on sobie tego życzył. Jeżeli on nie miał ładu w głowie,

to samo dało się powiedzieć o mnie. Byłem pełen nieuporządkowanych aluzji i przelotnych myśli, i nie sądziłem nikogo. W rzeczy samej zwalczałem w sobie sądy sformułowane w czasach pochopności. Powiedziałem mu, że miło mi go widzieć i że wygląda dobrze. Nie było to kłamstwem. Cerę miał świeżą i mimo pogrubiałego nosa, zniekształceń spowodowanych wiekiem i warg, jakby opuchniętych od ukłucia żądłem pszczoły, nadal wydawał mi się przystojny. Mógł sobie darować bródkę wiejskiego konstabla.

– Ach, Citrine, wypuścili cię z Chicago? Gdzie się wybierasz?

– Jadę za granicę.

– Jesteś z bardzo miłą, młodą panią. Szalenie ppp...rzystojna. – Jąkanie się, zamiast hamować, zwiększało płynność mowy Hugginsa. Kamyki w strumieniu górskim uwydatniają wartkość nurtu. – Więc chcesz odebrać swój sss...padek?

– Owszem, ale najpierw chciałbym się dowiedzieć, dlaczego jesteś taki mało serdeczny. Znamy się ponad dwadzieścia lat.

– Cóż, niezależnie od twoich poglądów politycznych...

– Większość poglądów politycznych to stare gazety zżarte przez myszy... wyblakłe komunały i paplanina.

Huggins powiedział:

– Niektórych ludzi interesuje, dokąd zmierza ludzkość. A poza tym nie oczekuj, że będę dla ciebie sss...serdeczny, jeżeli rozpoviadasz o mnie takie dowcipy. Powiedziałeś, że jestem Tommym Manvillem lewicy, ślubującym wierność sprawie, jak on ślubował przed ołtarzem swoim kolejnym dziwkom. Kilka lat temu obraziłeś mnie na Madison Avenue, ponieważ miałem przypięte protestacyjne guziki. Powiedziałeś, że kiedyś miałem iii...ideały, a teraz mam tylko guziki. – Dotknięty, wzburzony, rzucając mi w twarz moją własną bezczelność, chciał usłyszeć, co mam do powiedzenia na swoją obronę.

– Z przykrością stwierdzam, że cytujesz mnie bardzo dokładnie. Przyznaję, że jest to haniebny nałóg. Siedzę w tej zabitej deskami dziurze, z dala od wydarzeń na Wschodnim Wybrzeżu i obmyślam niegodziwe plotki o ludziach. Humboldt wprowadził mnie między was w latach czterdziestych, ale nigdy nie stałem się jednym z waszej paczki. Kiedy wszyscy pasjonowali się Burnhamem czy Koestlerem, ja tkwiłem w czymś innym. To samo odnosi się do *Encyklopedia of United Science, Prawa połączonego rozwoju* Trockiego, czy też poglądów Chiaramontego na Platona, poglądów Lionela Abela na teatr, poglądów Paula Goodmana na Proudhona i poglądów bez mała wszystkich was na Kafkę czy Kierkegaarda. Było to trochę jak skargi kochanego starego Humboldta, jeśli idzie o dziewczyny. Chciał dla nich dobrze, ale one nie chciały leżeć spokojnie. Ja też nie chciałem leżeć spokojnie. Zamiast okazać wdzięczność, że zdarzyła mi się szansa wejścia w kulturalne życie Greenwich Village w jego najlepszym okresie...

– Zachowywałeś się z rezerwą – rzekł Huggins. – Ale właściwie na coś się tak oszczędzał? Przybierałeś pozę gwiazdy, ale nie przypominam sobie mmm...migotania.

– Z rezerwą, tak, to właściwe słowo – powiedziałem. – Jeżeli inni ludzie mieli w środku kiepską treść, ja miałem w środku pełną wyższości pustkę. Po cichu uważałem, i to był mój grzech, że jestem inteligentniejszy od was, entuzjastów roku 1789, 1848, 1870, 1917. Ale wam było dużo przyjemniej i weselej na tych waszych zabawach i całonocnych rozmowach. Ja nie miałem nic poza subiektywną, trwożliwą przyjemnością wynikającą z mojego przekonania, że jestem tak bardzo inteligentny.

– Już tak nie uważasz? – spytał Huggins.

– Nie. Dałem temu spokój.

– No cóż, siedzisz w Chicago, gdzie ludziom się zdaje, że ziemia jest płaska, a księżyc zrobiony ze sfermentowanego sera. Wróciłeś do swojej duchowej ojczyzny – powiedział.

– Niech ci będzie. Ale nie z tym do ciebie przychodzę. Wciąż łączy nas jedna więź. Obaj wielbiliśmy Humboldta. I może łączy nas jeszcze coś innego: obaj jesteśmy kochliwymi starymi kocurami. Nie traktujemy się poważnie. Ale kobiety, owszem, nadal biorą nas serio. Jak z tym spadkiem?

– Cokolwiek to jest, znajduje się w kopercie z napisem „Citrine”, a ja tego nie czytałem, bo stary Www...waldemar, wuj Humboldta, zabrał kopertę. Nie mam pojęcia, dlaczego zostałem wyk...wykonawcą.

– Humboldt też ci się dobrał do skóry, prawda? Po tym, jak przyłączyłeś się do jego paczki w Bellevue i on powiedział, że mu ukradłem pieniądze. Kto wie, może byłeś blisko pod Belasco, kiedy mnie pikietował.

– Nie, ale to miało pewien szar...szarm.

Śmiejąc się, Huggins pociągał dym z cygarniczki. Czy to stara aktorka rosyjska, Uspienska, wprowadziła w latach trzydziestych modę na te cygarniczki, czy też FDR albo John Held junior? Podobnie jak Humboldt, jak zresztą ja, Huggins był amatorem starego kina. W pikietowaniu Humboldta pod Belasco i w sposobie, w jaki sam się zachował w Białym Domu, mógł widzieć sceny z filmów Rene Claira.

– Ani przez chwilę nie wierzyłem, że mu ukradłeś pieniądze – powiedział Huggins. – O ile wiem, skubnął cię na kilka tysięcy. Sfałszował czek?

– Nie, kiedyś wymienialiśmy czeki in blanco, taki sentymentalny gest. I on zrobił użytek z mojego – wyjaśniłem. – I to wcale nie było parę tysięcy. Prawie siedem.

– Prowadziłem mu sprawy finansowe. Namówiłem Kathleen, żeby się zrze...zrzekła swoich praw. Ale oznajmił, że mu podkradam. Pienił się z wściekłości. Więc go już więcej nie widziałem. Biedny Humboldt. Oskarżył jakąś telefonistkę w hotelu, starą kobietę, że mu rozłożyła na łóżku fo...fotograficzne wkładki nagich dziewczyn z „Playboya”. Złapał młotek i rzucił się na tę babę. Zabrali go. Znowu terapia wstrząsowa! Serce się kraje, kiedy pomyśleć, ja...jaki on był pełen życia, świeży, przystojny, wspaniały... i te arcydzieła! Ach, wielka odpowiedzialność spada na to społeczeństwo!

– Tak, był wspaniały i hojny. Kochałem go. Był człowiekiem dobrym. – Dziwne słowa, jak na hałaśliwy koktajl. – Pragnął z całego serca dać nam coś doskonałego i delikatnego. Stawiał sobie ogromne wymagania. Ale mówisz, że ten amator totalizatora, jego wuj, zabrał większość papierów?

– Nie mówiąc o garderobie i kosztownościach.

– Śmierć siostrzeńca musiała go mocno uderzyć. I prawdopodobnie przestraszyć.

– Przygnał zaraz z Co...Coney Island. Humboldt trzymał go tam w domu starców. Ten stary bukmacher pewnie sobie wyobraził, że papiery człowieka, który zasłużył na taki długi nekrolog w „Timesie”, są dużo warte.

– Czy Humboldt zostawił mu jakieś pieniądze?

– Była jakaś polisa ubezpieczeniowa i jeżeli nie przegrał wszystkiego na wyścigach, może żyć spokojnie.

– Czy się nie mylę, że pod koniec Humboldt był przy zdrowych zmysłach?

– Dostałem od niego bardzo pię...piękny list. Przepisał dla mnie kilka wierszy, na dobrym papierze. Między innymi ten o jego węgierskim ojcu, ścigającym Pancho Villę z kawalerią Pershinga.

– Zębiaste pyski koni, kołatka grzechotnika, cierń kaktusa i huk strzelb...

– Cytujesz niedokładnie – stwierdził Huggins.

– I to właśnie ty przekazałeś Kathleen zapis Humboldta?

– Tak. Ona jest teraz w Nowym Jorku.

– Naprawdę? Gdzie mieszka? Bardzo bym chciał ją zobaczyć.

– Wybiera się do Europy, jak ty. Nie wiem, gdzie mmm... mieszka.

– Muszę się dowiedzieć. Ale najpierw wybiorę się do wuja Waldemara na Coney Island.

– Możliwe, że nic ci nie da – powiedział Huggins. – Jest strasznie kłótlivy. Pisałem do niego, telefonowałem. Nic z tego.

– Telefon to pewnie za mało. Przetrzykuje cię, bo czeka na prawdziwą wizytę. Nie możesz mu się dziwić, skoro nikt go nie odwiedza. Czy matka Humboldta była ostatnią z jego siostr? Chce, żeby ktoś przyjechał na Coney Island. Trzyma papiery Humboldta jako przynętę. Może mi je da.

– Jestem pewien, że nikt ci się nie oppp... Nikt ci się nie oprze – rzekł Huggins.

* * *

Renata była bardzo zirytowana, kiedy jej powiedziałem, że musi pojechać ze mną na Coney Island.

– Co, mam jechać do domu starców? Koleją podziemną? Nie wciągaj mnie w takie historie. Jedź sam.

– Musisz pojechać. Jesteś mi potrzebna.

– Psujesz mi cały dzień. Mam zawodowe sprawy do załatwienia. To jest moja praca. Domy starców mnie przygnębiają. Kiedy ostatni raz byłam w takim domu, dostałam histerii. I chociaż oszczędź mi tej kolei podziemnej.

– Nie ma innego sposobu, żeby się tam dostać. Zresztą powinnaś dać staremu Waldemarowi szansę. Nigdy w życiu nie widział takiej kobiety, a był wielkim donżuanem.

– Daj sobie spokój z tymi słodkimi słówkami. Nie słyszałam ich, kiedy telefonistka w centralce nazwała mnie „panią Citrine”. Nabrałaś wody w usta.

Później, na deskach promenady nadmorskiej, była wciąż zła i szła przodem. W kolei podziemnej było okropnie; brud, napisy wykonane farbą w aerozolu – nie do uwierzenia. Maszerując, odrzucała nogami poły długiego kożucha, oblamowanie z futra trzepotało przed nią. Wysoki holenderski kapelusz był zsunięty z czoła. Henri, stary paryski przyjaciel Señory, który z całą pewnością nie był ojcem Renaty, nie mógł wyjść z podziwu dla jej czoła. *Un beau front!* – powtarzał w kółko. – *Ah, ce beau front!* Piękne czoło. Ale co było za nim? Teraz go nie widziałem. Kroczyła przede mną obrażona, rozdrażniona. Chciała mnie ukarać. Ale z Renatą zawsze byłem wygrany. Dawała mi zadowolenie nawet, jak była zła. Kiedy szła, ludzie się za nią oglądali. Idąc z tyłu, podziwiałem ruchy jej bioder. Może mnie i nie obchodziło, co się kryje za tym *beau front*, a jej sny może by mnie przeraziły, ale sam jej zapach w nocy był wielką pociechą. Przyjemność spania z nią daleko przekraczała zwykłą przyjemność dzielenia z kimś łóżka. Nawet leżenie obok niej bez świadomości było specjalnym wydarzeniem. Nawet bezsenność, ta bolączka Humboldta, dzięki niej stawała się przyjemna. W nocy ożywczy prąd przenikał z jej piersi do moich rąk. Pozwalając działać wyobraźni czułem niemal, że ten prąd wchodzi w kostki moich palców, jak coś w rodzaju białej elektryczności, i płynie w górę aż do samych korzeni zębów.

Białe niebo grudniowe okrywało posępność Atlantyku. Natura zdawała się mówić w swoim przesłaniu, że warunki są surowe, życie jest trudne, bardzo trudne, i że ludzie powinni się nawzajem pocieszać. A jeśli o to idzie, Renata uważała, że nie robię tego, co do mnie należy, bo kiedy telefonistka w hotelu nazwała ją „panią Citrine”, Renata odłożyła słuchawkę i zwróciła do mnie rozjaśnioną twarz: „Nazwała mnie panią Citrine!” Nie zareagowałem. Ludzie są naprawdę dużo naiwniejsi i bardziej prostoduszni, niż nam się na ogół zdaje. Niewiele potrzeba, żeby ich rozpromienić. Ja sam też taki jestem. Dlaczego wzbraniamy się przed okazaniem im naszej dobroci, kiedy się takie rozpromienienie pojawia? Żeby zwiększyć radość Renaty, mogłem powiedzieć: „Ależ naturalnie, dziecko. Byłabyś cudowną panią Citrine”. I właściwie czemu nie? Nic by mnie to nie kosztowało... Nic prócz wolności. A ostatecznie nie robiłem tak znowu wiele z tą bezcenną wolnością. Uważałem, że mam Bóg wie ile czasu na to, żeby z nią coś później zrobić. A co było ważniejsze, ten zapas nie spożytkowanej wolności, czy też szczęście leżenia nocą koło Renaty, dzięki czemu nawet nieświadomość była czymś specjalnym, jak rozkoszny sposób umierania? Kiedy ta przekłeta telefonistka nazwała ją „panią Citrine”, moje milczenie zdawało się Renatę oskarżać, że jest dziewczką, a nie żadną „panią”. To ją naturalnie rozwścieczyło. W swojej pogoni za ideałem Renata stała się niesłuchanie przewrażliwiona. Aleja też goniłem za ideałami – wolnością, miłością. Chciałem, żeby mnie kochano za to, kim jestem. Można powiedzieć, niekapitalistycznie. Było to jedno z owych roszczeń czy nadziei, których ja, urodzony w Appleton i wychowany na ulicach Chicago, miałem aż nazbyt wiele. Ale podejrzewałem, co mi sprawiło niemałą udrękę, że minął już czas, kiedy mogłem być kochany za to tylko, kim jestem. Och, jak zawrotnie pogarszają się okoliczności!

Powiedziałem Renacie, że małżeństwo będzie musiało poczekać do chwili, w której zakończy się mój spór sądowy z Denise.

– Ach, dałbyś spokój, ona przestanie się z tobą procesować, kiedy zamieszkas na cmentarzu Waldheim, obok swojego tatuśka i mamuski. Ta kobieta dożyje końca tego wieku – oznajmiła Renata. – A jak z tobą?

– Naturalnie samotna starość byłaby straszna – powiedziałem. I po chwili odważyłem się dodać: – Ale czy widzisz siebie pchającą mój fotel na kółkach?

– Nie rozumiesz prawdziwych kobiet – powiedziała Renata. – Denise chciała cię unieszkodliwić. Nie udało jej się to tylko dzięki mnie. To nie była zasługa tej małej bladej chytruski Doris w przebraniu Mary Pickford. Ja to robiłam – ja podtrzymuję w tobie męskość. Wiem, jak to się robi. Ożeń się ze mną, a jako osiemdziesięcioletek będziesz jeszcze na mnie wchodził. Jak będziesz miał lat dziewięćdziesiąt i nie będziesz mógł, nie przestanę cię kochać.

No więc szliśmy promenadą nadmorską na Coney Island.

I podobnie jak ja w dzieciństwie przejeżdżałem podniesionym kijem po sztachetach płotu, tak teraz Renata, mijając sprzedawców prażonej kukurydzy, kukurydzy w cukrze, parówek, podbijała każdemu z nich kijek. Podążałem za nią – człowiek starszawy, ale w dobrej formie, pomarszczony od trosk, ale uśmiechnięty. Prawdę powiedziawszy, czułem się, jak rzadko, radosny. Nie jestem najzupełniej pewien, skąd brała się ta moja wspaniała kondycja. Nie mogła być wyłącznie rezultatem dobrego samopoczucia fizycznego, spania z Renatą, dobrej chemii. Czy też chwilowej remisji zmartwień, które, według pewnych ponurych ekspertów, są wszystkim, czego ludziom potrzeba do szczęścia i w rzeczy samej są jedynym źródłem szczęścia. Nie, byłem skłonny uznać, krocząc energicznie za Renatą, że zawdzięczam to zmianie mojego stosunku do śmierci. Zacząłem rozważać inne możliwości. Już to wystarczyło, żebym się uniósł na skrzydłach radości, żebym był w siódmym niebie. Ale jeszcze cudowniejsza była możliwość, że istnieje coś, w co można się unieść, jakaś przestrzeń nie użyta, pomijana. Przez cały ten czas brakowało najważniejszej części całości. Nic dziwnego, że ludzie wpadają w obłąd. Bo powiedzmy, że my – tacy jacy jesteśmy na tym materialnym świecie – jesteśmy najdoskonalsi ze wszystkich istot. Powiedzmy, że ten ciąg istot kończy się na nas i że poza nami nic już nie ma. Przy takim założeniu, kto nas może winić, że dostajemy konwulsji! Ale przyjmijmy jako założenie kosmos, a w sensie metafizycznym jest to sytuacja jeszcze rozleglejsza.

Nagle Renata obróciła się do mnie.

– Czy ten stary mamut na pewno wie, że przyjeżdżasz?

– Jasne. Czeka na mnie. Telefonowałem do niego.

Skręciliśmy w jedną z ulic przypominających aleje w parku, gdzie robotnicy przemysłu konfekcyjnego spędzali kiedyś letnie wakacje, i odszukaliśmy adres. Stary budynek z cegły. Na drewnianym tarasie stały fotele na kółkach i balkoniki dla rekonwalescentów po wylewach.

Kiedy indziej może bym się zdziwił tym, co się po chwili zdarzyło. Ale teraz, kiedy świat ponownie się tworzył, a stare struktury, śmierć i tak dalej, nie były trwalsze od lampionu japońskiego, sprawy ludzkie jawiły mi się z ogromną żywością, naturalnością, nawet wesołością – nie powinienem wyłączać z tego wesołości. Może ją mieć najsmutniejszy widok. Tak czy inaczej, rzeczywiście nas oczekiwano. Opierając się na lasce, ktoś stał w podwójnych drzwiach domu i zaledwie zbliżyliśmy się do stopni, wyszedł, wołając:

– Charlie, Charlie!

Zwróciłem się do tego człowieka:

– Pan chyba nie jest Waldemarem Waldem, prawda?

– Nie. Waldemar mieszka tu. Ale ja nie jestem Waldemarem, Charlie. Spójrzże na mnie. Posłuchaj mojego głosu. – Zaczął śpiewać coś starczym, skrzekliwym tenorem. Wziął mnie za rękę i śpiewał *La donna e mobile* na sposób Carusa, ale okropnie, biedny staruszek. Objąłem go wzrokiem, badałem kolejno jego włosy, kiedyś skręcone i rude, złamany nos o jakby zgłodniałych nozdrzach, obwisłe policzki, sterczącą grdykę, pochylenie chudej postaci. I powiedziałem:

– Ależ tak, jesteś Menasza! Menasza Klinger! Chicago, Illinois 1927 rok.

– Słusznie. – Dla niego był to wzniosły moment. – To ja. Poznałeś mnie!

– Słowo daję! Co za radość! Przysięgam, że nie zasługuję na taką niespodziankę. – Wydało mi się, że odkładając poszukiwanie wuja Humboldta, stroniłem od szczęścia, od wspaniałych rzeczy, prawie cudów. Natychmiast spotkałem kogoś, kogo kochałem kiedyś, dawno temu. – To jest jak sen – powiedziałem.

– Nie – rzekł Menasza. – Dla zwykłego człowieka może by tak było. Ale kiedy stajesz się osobistością, Charlie, dużo mniej jest w tym przypadku, niż ci się zdaje. Na pewno wszędzie są przyjaciele i znajomi, którzy jak ja znali cię kiedyś, ale są zbyt nieśmiali, żeby cię zagadnąć i żeby ci się przypomnieć. Ja też bym się krepował, gdyby nie to, że miałeś przyjechać do mojego kumpla, Waldemara. – Menasza zwrócił się do Renaty. – A to pewnie jest pani Citrine?

– Tak – odparłem, patrząc jej w twarz. – To moja żona.

– Znałem pani męża, jak był mały. Wynajmowałem pokój u jego rodziców, kiedy przeniosłem się z Ypsilanti w Michigan do Chicago i zacząłem pracować w Western Electric przy prasie dziurkowniczej. Ale naprawdę przyjechałem, żeby się uczyć śpiewu. Charlie był cudownym chłopcem. Charlie był najlepszym dzieciakiem w North-West Side. Mogłem z nim rozmawiać, jak miał zaledwie dziewięć czy dziesięć lat i był moim jedynym przyjacielem. W soboty zabierałem go do śródmieścia na moje lekcje muzyki.

– Twoim nauczycielem – wtrąciłem – był Wsiewołod Kolodny, pokój 816 w Gmachu Sztuk Pięknych. Baryton z Cesarskiej Opery w Petersburgu, łysy, metr pięćdziesiąt wzrostu, nosił hiszpańskie obcasy.

– I poznał mnie – rzekł Menasza, nieskończenie szczęśliwy.

– Byłeś tenorem dramatycznym – ciągnąłem. Wystarczyło to powiedzieć, a już zobaczyłem, jak unosi się na palcach, jak splata stwardniałe od pracy dłonie i śpiewa *In questa tomba oscura*, jak łyzy zapachu napływają mu do oczu, a jego głos przy tym tak koguci, tyle w nim serca i krzyku, i chropowatości, i nadziei – taki niemelodyjny. Już jako dziecko wiedziałem, że nigdy nie zrobi kariery. Wierzyłem jednak, że mógł zostać śpiewakiem, gdyby ktoś z drużyny bokserskiej YMCA w Ypsilanti nie uderzył go w nos, co przekreśliło jego szanse na polu sztuki. Pieśni śpiewane przez ten zniekształcony nos nigdy nie zabrzmiały czysto.

– Powiedz mi, chłopcze, co jeszcze pamiętasz?

– Pamiętam nazwiska: Tito Scipa, Titta Ruffo, Werrenrath, McCormack, Schumann-Heink, Amelita Gaili-Curci, Verdi i Boito. A jak usłyszałeś Carusa w *Pajacach*, życie nigdy już nie było takie samo.

– O tak!

Miłość sprawiła, że tych rzeczy nie można było zapomnieć. W Chicago, pięćdziesiąt lat temu, jechaliśmy Jackson Boulevard od Loop na górnej otwartej platformie piętrowego autobusu i Menasza wyjaśniał mi, czym jest belcanto, mówił rozpromieniony o *Aidzie*, oczami wyobraźni widząc się w brokatach, w roli kapłana czy wojownika. Po lekcji śpiewu zabierał mnie do Kranza na lody czekoladowe z owocami i kremem karmelowym. Chodziliśmy posłuchać hałaśliwej orkiestry Paula Asha, przysłuchiwaliśmy się też fokom-artystkom, które grały *Yankee Doodle*, naciskając gumowe gruszki klaksonów samochodowych. Pływaliśmy na plaży Clarendon, gdzie wszyscy siusiali w wodzie. Wieczorami uczył mnie astronomii. Objasniał mi Darwina. Ożenił się ze swoją miłością szkolną z Ypsilanti. Miała na imię Marsza. Była bardzo otyła. Tęskniła za domem i często leżała w łóżku, płacząc. Kiedyś zobaczyłem ją siedzącą w wannie i usiłującą umyć sobie włosy. Nabierała wodę rękami, ale miała za grube ramiona i nie mogła unieść wody w dłoniach na wysokość głowy. Ta kochana dziewczyna umarła. Menasza był elektrykiem w Brooklynie przez większość życia. Z jego tenoru dramatycznego zostało niewiele – tylko to skamlanie starego człowieka, bardzo wzruszonego. Z jego sztywnych rudych włosów została zaledwie ta białawo-pomarańczowa pierzasta formacja.

– To byli bardzo dobrzy ludzie, ci Citrine'owie. Może nie Juliusz. Juliusz był twardy. Czy Juliusz jest ciągle Juliuszem? Twoja matka pomagała Marszy. Twoja dobra biedna matka... Ale chodźmy do Waldemara. Ja jestem tylko komitetem powitalnym, a on czeka. Trzymają go w pokoju na tyłach, obok kuchni.

Kiedy weszliśmy, Waldemar siedział na brzegu łóżka. Miał szerokie ramiona i włosy szesane na mokro szczotką, zupełnie jak u Humboldta, ta sama szeroka twarz i oczy szare, szeroko rozstawione. W odległości szesnastu kilometrów od Coney Island był może wieloryb o podobnie rozstawionych oczach, wciągający i cedzący tony wody, przy czym kłęby pary buchały mu z łba.

– Więc to ty byłeś kumplem mojego siostrzeńca – powiedział stary bywalec torów wyścigowych.

– To jest Charlie Citrine – wyjaśnił Menasza. – Wiesz, Waldemar, on mnie poznał. Ten chłopiec poznał mnie bez trudu. Do licha, Charlie, należało mi się to. Wydałem fortunę na lody i przysmaki dla ciebie. Jest przecież jakaś sprawiedliwość.

Naturalnie poznałem przez Humboldta wuja Waldemara. Był jedynakiem i miał cztery starsze siostry i wielbiącą go matkę, był rozpieszczony, leniwy, darmozjad z sal bilardowych, naciągający siostry i podkradający im pieniądze z portmonetek. Z czasem umieścił też Humboldta na pozycji człowieka od siebie starszego. Został jego bratem raczej niż wujem. Rola niedorostka była jedyną rolą, jaką umiał grać.

Przyszło mi teraz na myśl, że życie jest nieskończenie hojniejsze, niż sobie dotąd wyobrażałem. Przewala się po nas, niosąc więcej, niż nasze zmysły i nasz rozum mogą przyjąć. Jedno życie razem z jego przygodami miłosnymi, ambicjami operowymi, dolarami i wyścigami konnymi, i planami matrymonialnymi, i domami starców, jest ostatecznie tylko blaszaną chochlą tej wielkiej obfitości. Atakuje też od środka. Choćby taki pokój wuja Waldemara, przepełniony zapachem sznycli smażonych na obiad, i Waldemar siedzący na brzegu łóżka, wystrojony na przyjęcie gości, Waldemar, którego twarz, głowa, mętnie przypomina Humboldta, ale ma w sobie coś z puchu mleczka – wszystko, co było żółte, stało się szare; choćby taka zielona koszula staruszka, zapięta pod szyją; choćby jego odświętne ubranie na drucianym wieszaku w kącie (będzie miał elegancki pogrzeb); choćby jego torby pod łóżkiem i zdjęcia koni i bokserów na ścianie, i fotografia Humboldta z obwoluty książki, robiona w czasach, kiedy Humboldt był nieprawdopodobnie piękny. Jeżeli to jest absolutnie wszystko, czym jest życie, mała rymowanka Renaty „Bez lotniska O'Hare, wszystko bierze cholera” trafiała w

sedno. A lotnisko O'Hare nie może zrobić dla nas nic więcej, jak tylko zmienić otoczenie, przenieść nas z jednej chandry w drugą, z nudy w nudę. Ale dlaczego ogarnęła mnie ta słabość na początku rozmowy z wujem Waldemarem, w obecności Menaszy i Renaty? Ponieważ w każdym przeżyciu, kontakcie, związku jest znacznie więcej, niż zwykła świadomość – codzienne życie naszego ja – może pojąć. Z pewnością. Dusza, rozumiecie, jest częścią większego, wszechobejmującego życia na zewnątrz. Musi tak być. Ucząc się myśleć o tej mojej egzystencji jako tylko o obecnej egzystencji, jednej z szeregu, wcale nie byłem zdziwiony, że spotykam Menaszę Klingera. Najwyraźniej on i ja mieliśmy dożywotnie członkostwo jakiegoś większego, bardziej rozbudowanego zespołu ludzi, i jego pragnienie, żeby stać na scenie w brokatkach i śpiewać Radamesa z *Aidy*, było identyczne z moim pragnieniem, żeby pójść dalej, dużo dalej niż intelektualiści mojego pokolenia, którzy zaprzepaścili duszę imaginatywną. Och, bezgranicznie podziwiałem niektórych spośród tych intelektualistów. Zwłaszcza królów nauki, astrofizyków, matematyków i tym podobnych. Ale nic nie zostało zrobione w sprawie głównego pytania. Głównym pytaniem jest, jak wskazał Walt Whitman, problem śmierci. A muzyka zbliżyła mnie do Menaszy. Z pomocą muzyki człowiek dowiódł, że to, na co nie ma logicznej odpowiedzi, w innej formie znajduje odpowiedź. Dźwięki bez określonego znaczenia stawały się trafniejsze, im większa była muzyka. Właśnie to było wyznaczonym do spełnienia zadaniem takiego człowieka. Ja też, mimo letargu i słabości, znajdowałem się tu z ważnego powodu. Jaki to był powód, zastanowię się nad tym później, kiedy spojrzę wstecz na moje życie w dwudziestym stuleciu.

Kalendarze rozpadną się pod spojrzeniem ducha. Ale w grudniu będzie miejsce na jazdę koleją podziemną w wagonach zniszczonych przez młodociane gangi i na piękną kobietę, za którą szedłem po deptaku nadmorskim, słysząc suchy trzask strzelnic, wachając zapach prażonej kukurydzy i parówek, myśląc o seksualizmie jej figury i perfekcji jej garderoby, i o mojej przyjaźni z Von Humboldtem Fleisherem, która przywiodła mnie na Coney Island. W moim czyścucu refleksji może ujrzę to wszystko w zupełnie innej perspektywie i może zrozumiem, w jaki sposób sumują się te osobliwości, zrozumiem, dlaczego zaczęło bić we mnie to źródło wzruszeń, kiedy mój wzrok padł na wuja Waldemara.

Waldemar mówił teraz:

– Co za szmat czasu, odkąd mnie ktoś odwiedził. Zapomnieli o mnie. Humboldt nie zostawiłby mnie w takiej norze. To było tylko tymczasowe. Wikt ohydny, obsługa chamska. Mówią: „Zamknij gębę, jesteś ramol”. Cały personel to czarni z Wysp Karaibskich. Wszyscy inni to szwabcy. My z Menaszą jesteśmy właściwie jedynymi Amerykanami.

– Ale przecież on pana tu umieścił – powiedziała Renata.

– Tylko dopóki nie uporządkuje jakichś tam swoich spraw. Cały ostatni tydzień przed śmiercią szukał dla nas mieszkania. Kiedyś mieszkaliśmy razem przez trzy miesiące i było jak w niebie. Wstawaliśmy rano, jak prawdziwa rodzina, i zaraz do jajek z bekonem, a potem rozmawialiśmy o baseballu. Zrobiłem z niego prawdziwego kibica, rozumiecie? Pięćdziesiąt lat temu kupiłem mu rękawicę baseballową. Nauczyłem go, jak zatrzymać i odbić piłkę sunącą po ziemi i jak wykiwać faceta z gry. Futbol też. Nauczyłem go, jak się podaje do przodu. W kolejowym mieszkaniu mojej matki był długi, długi korytarz i graliśmy w tym korytarzu. Kiedy jego papcio wyciągnął nogi, został dom pełen kobiet i moim obowiązkiem było przypilnować, żeby wyrósł na amerykańskiego chłopaka. Te kobiety narobiły mnóstwo szkód. Choćby imiona, jakie nam nadały – Waldemar! Dzieciaki wołały za mną Walla-Walla. Jemu też nie było łatwo. Humboldt! Moje znikowane siostry nazwały go tak na pamiątkę jednej rzeźby w Central Parku.

Znałem to wszystko z czarującego poematu Humboldta o *Wuju Arlekinie*. W dawnych czasach, kiedy mieszkali na West End Avenue, Waldemar Arlekin wstawał, jak już jego pracujące zarobkowo siostry wyszły do roboty, tkwił godzinę w wannie, golił się nową żyletką, a potem jadł obiad. Matka siedziała obok niego i smarowała mu bułki masłem, obierała rybę ze skóry i wyjmowała ości, nalewała kawy do filiżanki, a tymczasem on czytał gazetę. Potem brał od niej kilka dolarów i wychodził. Wieczorem przy kolacji mówił o K. Jimmym Walkerze i Alu Smisie. Był, zdaniem Humboldta, Amerykaninem w ich rodzinie. Taka mu przypadła funkcja wśród siostr i wobec siostrzeńca. Kiedy nadawano przez radio ogólnokrajowe wyniki wyborów na konwencjach partyjnych, mógł razem ze spikerem wymieniać nazwy stanów... „Idaho, Illinois, Indiana, Iowa” – i łyzy patriotyzmu napływały mu do oczu.

– Panie Wald, przyjechałem do pana w sprawie tych papierów zostawionych przez Humboldta. Wspominałem panu o tym przez telefon. Mam tu list od Orlanda Hugginsa.

– Tak, Huggins, ta długa tyka, znam go. A teraz chcę cię spytać o te papiery. Są coś warte czy nie?

– Czasami piszą w „Timesie” – wtrącił Menasza – że za jeden list Roberta Frosta ktoś zapłacił osiemset dolarów. A list takiego Edgara Allana Poe... szkoda mówić!

– Ale co faktycznie jest w tych papierach, panie Wald? – spytała Renata.

– No więc coś wam powiem – odparł Waldemar. – Nigdy nie rozumiałem tej jego pisaniny. Ja niedużo czytam. Ta jego pisanina była dla mnie za mądra. Humboldt wybijał piłkę na boisku jak wszyscy diabli. Bary miał potężne, więc możecie sobie wyobrazić, ile krzepy było w jego uderzeniu. Gdybym mógł postawić na swoim, skończyłby w jednej z dwóch głównych lig baseballowych. Ale zaczął się kręcić koło Biblioteki Publicznej przy Czterdziestej Drugiej Ulicy i wygłupiać się z tymi typami na stopniach przed głównym wejściem. Zaraz potem dowiedziałem się, że drukuje intelektualne wiersze w czasopiśmie, to znaczy w takich czasopiśmie bez obrazków.

– Śmiało, Waldemar – powiedział Menasza. Pierś mu wzbierała uczuciem, a głos wznosił się i wznosił. – Znam Charliego od dziecka. Chcę powiedzieć, że możesz mu ufać. Dawno temu, jak tylko moje oczy na nim spoczęły, pomyślałem sobie: ten malec ma serce wypisane na twarzy. Sam już się posunął w latach. Chociaż w porównaniu z nami jeszcze z niego silny facet. Słuchaj, Waldemar, dlaczego nie miałbyś mu powiedzieć, co ci leży na wątrobie?

– Papiery Humboldta same w sobie nie są chyba dużo warte – zacząłem. – Można by spróbować sprzedać je jakiemuś kolekcjonerowi. Ale może w tym, co zostawił, jest coś, co by się dało opublikować?

– To są przede wszystkim sentymenty – odezwała się Renata. – Że niby stary przyjaciel przysłał wiadomość z tamtego świata.

Waldemar spojrzął na nią, nieustępliwy.

– Ale powiedzmy, że tam jest coś wartościowego, dlaczego miałbym się dać oskubać? Należy mi się coś z tego, czy mi się nie należy? Chodzi o to... dlaczego miałbym siedzieć dalej w tej zakichanej norze? Jak tylko zobaczyłem nekrolog Humboldta w „Timesie”... Mój Boże! Pomyślcie, co to dla mnie było! Jak moje własne dziecko, ostatni z rodziny, moja krew! Wsiadłem zaraz w pociąg i poszedłem do jego pokoju. Z rzeczy została już połowa. Policjanci i służba w hotelu rozkradli, co się dało. Zniknęły pieniądze, zegarek, pióro wieczne i maszyna do pisania.

– Jaki ma sens siedzieć na tych papierach i marzyć, że zdobędziesz wielką forszę? – spytał Menasza. – Daj je komuś, kto się na tym zna.

– Nie musisz na mnie donosić – zwrócił się Waldemar do Menaszy. – Ta sprawa dotyczy nas wszystkich. Mam to zamiar zrobić... postąpię z panem uczciwie, panie Citrine. Mogłem dawno przehandlować ten cały kram. Jeżeli chcesz pan znać moje zdanie, w tym są prawdziwe pieniądze.

– Więc przeczytał jej pan?

– Jasne, że przeczytałem. Cholera, a co innego mam tu do roboty? Ale ani rusz nie mogłem się w tym wszystkim połapać.

– Przecież w żadnym wypadku bym pana nie oszukał – powiedziałem. – Jeżeli to ma jakąkolwiek wartość, powiem panu uczciwie.

– Nie lepiej wziąć adwokata, żeby spisał prawomocny dokument?

Tak, był wujem Humboldta, żadnych wątpliwości. Zacząłem mówić bardzo przekonująco. Nigdy moje argumenty nie brzmią tak rozsądnie, jak wtedy, kiedy bardzo mi na czymś zależy. Umiem tak rzecz przedstawić, jak gdyby zwykła sprawiedliwość nakazywała mi to coś ofiarować.

– Zrobimy wszystko zgodnie z prawem – zapewniłem go. – Ale czy nie powinienem tego najpierw przeczytać? Co mogę wiedzieć bez zbadania papierów?

– To przeczytaj je pan tutaj.

– Zawsze byłeś równy chłop, Charlie – zwrócił się do mnie Menasza. – Postaw na tego konia.

– W tej branży moje wyniki były nieszczerłne – powiedział Waldemar. Pomyślałem, że się rozpłaczę, taki był roztrzęsiony. Tak niewiele dzieliło go od śmierci, rozumiecie. Na łysawej szorstkiej czerwieni wytartego dywanu błada łata słabego grudniowego ciepła powiedziała: „Nie płacz, chłopie”. Niedosłyszalne burze świetlne w odległości stu pięćdziesięciu milionów kilometrów użyły wytartego dywanu, skrawka materii zrobionej ludzkimi rękami, żeby przekazać posłanie przez brudne szyby domu starców. Moje serce też

weszło wzruszeniem. Chciałem zakomunikować coś bardzo ważnego. Musimy przejść przez okrutne bramy śmierci, chciałem mu powiedzieć, i zwrócić te wypożyczone minerały, które się na nas składają, ale pragnę powiadomić o jednym, bracie Waldemarze: podejrzewam, że sprawa się na tym nie kończy. Myśl o życiu, jakie teraz prowadzimy, może być dla nas później tak bolesna jak teraz myśl o śmierci.

No więc w końcu przekonał go mój rozsądek i uczciwość i wszyscy na klęczkach zaczęliśmy wyciągać spod łóżka najrozmaitsze rzeczy – pantofle ranne, starą kulę do kręgli, grę dziecienną „Baseball”, talię kart, luzem kości do gry, pudełka tekturowe, walizki i na ostatku relikw, który rozpoznałem – teczkę Humboldta. Stara teczka Humboldta, zapinana na postrzępione rzemyki, ta, która zawsze jechała wyładowana książkami i fiolkami pigułek na tylnym siedzeniu jego buicka.

– Czekajcie, mam tu moje papiery – powiedział Waldemar zrzędlawie. – Wszystko mi pomieszacie. Sam to zrobię.

Renata, razem z nami na podłodze, wytarła kurz papierową chusteczką. Zawsze mówiła: „Mam tu kleenexy” – podawała chusteczki higieniczne. Waldemar wyjął kilka polis ubezpieczeniowych i podziurkowane na komputerze Bony Opieki Społecznej. Były tam jeszcze fotografie koni, które zidentyfikował jako prawie pełny komplet zwycięzców derby w Kentucky. Potem, jak niedowidzący listonosz, przeszukiwał mnóstwo kopert. Prędkiej! – chciałem zawołać.

– To ta – powiedział.

Było na niej moje nazwisko, wypisane zwartym, drobnym pismem Humboldta.

– Co tam jest? – spytała Renata. – Chcę zobaczyć.

Wziąłem od niego dużą, ciężką kopertę z brązowego papieru.

– Musi mi pan dać pokwitowanie – powiedział Waldemar.

– Ależ tak. Renata, bądź tak dobra i napisz: „Otrzymałem od pana Waldemara Walda papiery zapisane mi w testamencie przez Von Humboldta Fleishera”. Podpiszę.

– Jakiego rodzaju papiery? Co tam właściwie jest?

– Co tam jest? – zwrócił się do niej Waldemar. – Więc najpierw długi osobisty list do pana Citrine’a. Dalej są dwie zalakowane koperty, których nie otworzyłem, ponieważ są instrukcje, że jak się je otworzy, stanie się coś niedobrego z prawem autorskim. W każdym razie są to kopie albo kopie kopii. Nie umiem powiedzieć. Większość tych papierów nie trzyma się kupy, przynajmniej dla mnie. Może dla was będą miały jakiś sens. Tak czy siak, niech mi będzie wolno – mnie, ostatniemu z rodziny – powiedzieć, co mnie gnębi: moi umarli są rozrzućeni po całym świecie, jeden grób tu, inny w ogóle diabli wzięli, moja siostra w tym miejscu, które nazywają Walhallą niemieckich Żydów, a mój siostrzeniec w grobie nędzarzy. No więc chodzi mi o to, żeby połączyć z powrotem całą rodzinę.

Menasza powiedział:

– Waldemar się gryzie, że Humboldt leży w niedobrym miejscu. Gdzieś tam na ziemi niczyjej.

– Jeżeli ten spadek ma jakąś wartość, pierwsze pieniądze powinny być wydane na to, żeby tego chłopaka wykopać i przenieść. Nie musi to być Walhalla. To moja siostra tak zadawała tonu. Była stuknięta na punkcie tych niemieckich Żydów. Ale chcę ściągnąć nas wszystkich do kupy. Zgromadzić moich umarłych – powiedział stary bywalec wyścigów.

Ta uroczysta powaga była niespodziewana. Wymieniliśmy z Renatą spojrzenia.

– Ufaj Charliemu, że postąpi z tobą uczciwie – powiedział Menasza.

– Napiszę do pana, co znalazłem w tych papierach – zwróciłem się do Waldemara. – I przyrzekam panu, że jak tylko wrócimy z Europy, zajmiemy się wszystkim. Może pan zacząć szukać miejsca na cmentarzu. Nawet jeżeli te papiery nie mają wartości handlowej, z największą gotowością pokryję koszt pogrzebów.

– Dokładnie to ci mówiłem – zwrócił się Menasza do Waldemara. – Taki dzieciak jak ten musiał wyrosnąć na dżentelmena.

Wyszliśmy. Trzymałem obu starszków za wychudzone ramiona, za duże podwójne gałki łokcia, gdzie schodzi się kość promieniowa z kością łokciową, obiecując, że będę z nimi w kontakcie. Idąca niespiesznie za

nami Renata ze swoją białą twarzą i w dużym kapeluszu była postacią nieporównanie bardziej materialną niż którykolwiek z nas. Powiedziała niespodziewanie:

– Jeżeli Charlie tak mówi, na pewno to zrobi. Pojedziemy, ale on będzie o was myślał.

W kącie zimnej werandy stały fotele na kółkach, błyszczące, lekkie, całe z rur, nierdzewna stal, ze składanymi bokami jak skrzydła nietoperza.

– Czy nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, jeżeli siądę na jednym z tych foteli? – spytałem.

Usiadłem i powiedziałem do Renaty:

– Przejdźmy się.

Dwaj starzy ludzie nie bardzo wiedzieli, jak to sobie tłumaczyć, że ta pełna, roześmiana, promienna kobieta o wspaniałych zębach wozi mnie tam i z powrotem po pochyłej werandzie.

– Nie rozrabiaj tak, Renata. Obrazisz ich – upomniałem ją. – "tylko pchaj.

– Te cholerne uchwyty są cholernie zimne – powiedziała.

Włożyła długie rękawiczki z czarującą fanfaronadą, to jej muszę przyznać.

W ogłuszającym pędzie wyjącego, szlochającego pociągu zacząłem czytać długi list, wstęp do podarunku Humboldta, przekazując cienkie kartki Renacie. Rzuciwszy okiem na kilka stron, powiedziała bez zainteresowania:

– Jak dojdiesz do sedna, daj mi znać. Nie jestem specjalnie mocna w filozofii.

Nie mogę powiedzieć, że bym ją potępiał. Humboldt nie był jej drogim przyjacielem, ukrytym w odwiecznej nocy śmierci. Nie miała żadnego powodu, żeby się wzruszać jak ja. Nie starała się też zrozumieć moich uczuć, zresztą ja wcale nie chciałem, żeby próbowała.

„Drogi Kawalarzu – pisał Humboldt. – Jestem w niedobrej sytuacji, bo w miarę jak słabnę, robię się zdrowszy na umyśle. Jakieś przekłete, dziwaczne urządzenie powoduje, że wariaci zawsze mają energię, dość energii, żeby się spalić. A jeśli stary William James miał słuszność i być szczęśliwym, to żyć z maksymalną energią, i jeśli jesteśmy na ziemi po to, żeby dążyć do szczęścia, wynika stąd, że obłęd jest czystym szczęściem i ma najwyższą polityczną aprobatę”. Takich właśnie rzeczy Renata nie lubiła. Przyznaję, że nie był to kojący stan umysłu.

„Mieszkam w niedobrym miejscu – ciągnął Humboldt – i jadam niedobre posiłki. Mam za sobą sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt obiadów z garmazerii. Nie można tworzyć wzniosłej sztuki na takim wikcie. Z drugiej strony pastrami i pieprzna sałatka kartoflana zdają się dobrze wpływać na chłodny osąd. Nie wychodzę na obiad. Zostaję w pokoju. Między kolacją a porą snania jest kolosalna przerwa, siedzę obok spuszczonej rolety (kto może wyglądać osiemnaście godzin przez okno?) i koryguję pewne stare błędy. Wydaje mi się czasem, że proszę pokornie śmierć, żeby sobie odeszła, bo tkwię głęboko w dobrym dziele. Czy będę się też starał mieć przewagę w akcie śmierci, jak starałem się mieć ją w akcie miłosnym? Zrób to, zrób tamto, leż spokojnie, teraz się kręć, pocałuj mnie w ucho, przejeźdź mi paznokciami po plecach, ale nie dotykaj moich jąder. Co prawda to śmierć jest stroną roznamiętnioną w tym szczególnym przypadku”.

– Biedaczysko, jakbym go widziała. Rozumiem ten typ człowieka – westchnęła Renata.

„No więc, Charlie, kiedy te słabsze, przytomniejsze dni przychodzą i odchodzą, myślę często o Tobie i myślę z klarownością nadchodzącego końca. Wielka to prawda, że Cię skrzywdziłem. Wiedziałem – nawet kiedy Cię oplukiwałem tak wymyślnie i tak zaciekle – że działasz w Chicago dla mojego dobra, chodzisz za moimi plecami do ludzi i starasz się dla mnie o pracę. Nazywałem Cię sprzedawczykiem, Judaszem, szpiclem, lizusem, karierowiczem, hipokrytą. Moja wściekłość na Ciebie była najpierw głęboka i czarna, potem rozżarzona i czerwona. Obie były zachwycające. A prawda jest taka, że miałem wyrzuty sumienia w związku z tym czekiem pieczętującym braterstwo krwi. Wiedziałem, że oplakujesz śmierć Demmie Vonghel. Aż mnie rozsadzały chytne pomysły i zrobiłem Ci kawał. Osiągnąłeś Sukces. A skoro tego było mało i zachciało Ci się jeszcze być wielkim moralistą, niech Cię diabli, zapłacisz za to kilka tysięcy. Była to pułapka. Zamierzałem dać Ci szansę przebaczenia mi. Przebacząc mi, zakłamałbyś się na śmierć. To błazeńska dobrotliwość zniszczyłaby twoje poczucie rzeczywistości, a z przyćmionym poczuciem rzeczywistości cierpiełbyś to, co ja cierpiełem. Naturalnie cała ta obłąkana zagmatwana intryga nie była potrzebna. I tak byś cierpiał, bo poraził Cię tryumf i złoto. Twój zawrotny lot przez krzykliwe i jaskrawe niebo sukcesu i tak dalej. Już choćby wrodzone Ci poczucie prawdy przyprawiłoby Cię o mdłości. Ale moje «rozumowanie» w nie kończących się

wzorach, jak wzory chemiczne na szkolnej tablicy, wprawiało mnie w uniesienia zachwytu. Byłem w euforii. Wyrzucałem słowa z przyprószonego wierzchołka mojej obłąkanej głowy. Potem byłem w depresji i milczałem przez długie, długie dni. Leżałem w klatce. Ponure dni goryla.

Zadaję sobie pytanie, dlaczego uwydatniłeś się tak wyraźnie w moich obsesjach i fiksacjach. Może należysz do tych ludzi, którzy wzbudzają rodzinne uczucia, jesteś typem brata i syna. Zważ, chcesz budzić uczucia, ale niekoniecznie je odwzajemniać. Chodzi o to, że prąd powinien płynąć w twoim kierunku. Ty dałeś zachętę do zaprzysiężenia braterstwa krwi. Byłem obłąkany, na pewno, ale postąpiłem zgodnie z sugestią, która od Ciebie wyszła. Niemniej, powtarzając słowa sentymentalnego śpiewaka, «Choć tyle masz wad, ja kocham cię». Masz w sobie obietnicę wariactwa, to wszystko.

Teraz powiem kilka słów o pieniądzu. Kiedy złożyłem w banku Twój czek, nie spodziewałem się, że będzie honorowany. Zrealizowałem go z wściekłości, bo nie przyszedłeś się ze mną zobaczyć w Bellevue. Cierpiałem. Nie zbliżyłeś się do mnie, jak powinien kochający przyjaciel. Postanowiłem Cię ukarać, dotknąć i nałożyć na Ciebie grzywnę. Przyjąłeś karę, a zatem również grzech. Pożyczyłeś moją duszę i dałeś ją Trenckowi. Mój duch był gwiazdą Broadwayu. Wszystkie te urojenia w biały dzień, pomyłone, zepsute i plugawe! Nie wiem, jak inaczej to wyrazić. Twoja przyjaciółka zginęła w dżungli. Nie pozwoliła Ci przyjść do Bellevue – o tym się dowiedziałem. Och, potęga pieniądza i sztuka w nią uwikłana – dolar jako małżonek duszy: małżeństwo, którego z braku ciekawości nikt nie analizuje.

Wiesz, co zrobiłem z tymi sześcioma tysiącami dolarów? Za część kupiłem oldsmobil. Co miałem zamiar zrobić z tym dużym potężnym samochodem w Greenwich Village, tego nie umiem Ci powiedzieć. Samo trzymanie go w garażu kosztowało mnie mnóstwo pieniędzy, więcej niż komorne za mieszkanie na piątym piętrze bez windy. A co się stało z tym samochodem? Musiałem pójść do szpitala, a jak wyszedłem po kuracji wstrząsowej, nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie go zostawiłem. Nie mogłem znaleźć kwitu ani dowodu rejestracyjnego. Musiałem machnąć na to ręką. Ale przez jakiś czas prowadziłem smoka nie samochód. Nauczyłem się obserwować niektóre z moich symptomów. Powieki zrobiły mi się ciemnofioletowe od chorobliwej bezsenności. Kiedyś późno w nocy przejechałem obok teatru Belasco z kilkoma kumplami i powiedziałem im: «To ten szlagier, który zapłacił za tę potężną maszynę». Oświadczam, że miałem z Tobą na pieńku, ponieważ wydawało Ci się, że zostanę największym amerykańskim poetą tego wieku. Przyjechałeś z Madison w Wisconsin i tak mi powiedziałeś. Ale nie zostałem! A ilu ludzi czekało na tego poetę! Ile dusz ludzkich czekało z nadzieją na moc i słodycz słów, żeby oczyściły świadomość ze stęchłego brudu, żeby mogli usłyszeć od poety, co się stało z trzema czwartymi życia, które zginęły w tak oczywisty sposób! Ale przez te ostatnie lata nie mogłem nawet czytać poezji, nie mówiąc już o pisaniu. Otworzyłem kilka miesięcy temu *Fajdrosa* – i po prostu nie mogłem. To mnie załamało. Mój mechanizm nadaje się na złom, obudowa jest cała w dziurach. Wszystko jest strzaskane. Nie starczyło mi siły, żeby znieść piękno słów Platona, i zacząłem płakać. Nie ma już oryginalnej, nietkniętej jaźni. Ale potem myślę: może zdołam się uzdrowić. Jeżeli będę postępował chytrze. A postępować chytrze, to znaczy zadowalać się prostszymi uciechami. Blake miał słuszną rację, że Uciecha to pokarm Intelaktu. A jeżeli intelekt nie może strawić mięsa (*Fajdros*), tuczymy go biskoptami i ciepłym mlekiem”.

Kiedy przeczytałem jego słowa o oryginalnej, nietkniętej jaźni, sam zacząłem płakać i na ten widok pulchna, dobrotliwa Renata potrząsnęła głową, jakby chciała powiedzieć: „Ci mężczyźni!” Jakby chciała powiedzieć: „Te biedne tajemnicze potwory. Przedzierasz się ścieżkami do środka labiryntu i widzisz tam minotaura lamentującego nad jakimś listem”. Ale ja widziałem Humboldta w czasach jego młodości, wypowiadającego natchnione słowa, serdecznego, inteligentnego. W tamtych czasach jego zło było nieskończenie małą plamką, amebą. Wzmianka o biskoptach przywiodła mi też na pamięć precel, który jadł na chodniku tamtego upalnego dnia. Tamtego dnia kiepsko się spisałem. Postąpiłem bardzo źle. Powinienem był do niego podejść. Powinienem był wziąć go za rękę. Powinienem był go pocałować. Ale czy to prawda, że takie uczynki są skuteczne? A on wyglądał okropnie. Jego głowa była kłębem szarej pajęczyny, jak usychający krzak zżerany przez owady. Oczy miał zaczerwienione, a ogromne ciało pływało w szarym ubraniu. Wyglądał jak stary bizon na ostatnich nogach – więc uciekłem. Może w tym samym dniu napisał do mnie ten piękny list.

– No, daj spokój, malutki – powiedziała Renata łagodnie. – Wytrzymaj oczy. – Podała mi wonną chusteczkę, przepojoną szczególnie zapachem, jak gdyby trzymała ją nie w torebce, tylko między nogami.

Przyłożyłem chusteczkę do twarzy i rzecz szczególna, chusteczka coś zrobiła, przyniosła mi pociechę. Ta młoda kobieta dobrze знаła pewne podstawowe sprawy.

„Tego ranka – ciągnął Humboldt – słońce świeciło jasno. Dla niektórych spośród żyjących był to bardzo ładny dzień. Chociaż bez snu od kilku nocy, pamiętam, jak to było, kiedy się kąpałem, goliłem, jadłem

śniadanie i wychodziłem w świat. Łagodne cytrynowe światło zalewało ulicę. (Nadzieja dla tej obłąkanej złożonej ludzkiej maszyny zwanej Ameryką?) Powiedziałem sobie, że przespaceruję się do Brentana i zajrzę do egzemplarza *Listów Keatsa*. W ciągu nocy myślałem o czymś, co Keats powiedział o Robercie Burnsie. Ze bogata wyobraźnia znieczula swoją subtelność w wulgarności i rzeczach osiągalnych. Bo pierwsi Amerykanie byli otoczeni nieprzebranymi lasami, a potem byli otoczeni rzeczami osiągalnymi i te były również w nieprzebranych ilościach. Problem stał się problemem wiary – wiary w równouprawnioną suwerenność wyobraźni. Stojąc u Brentana, zacząłem przepisywać to zdanie, ale podszedł do mnie sprzedawca i zabrał mi egzemplarz *Listów Keatsa*. Wydawało mu się, że jestem z Bowery. No więc wyszedłem i to był koniec pięknego dnia. Czuję się jak Emil Jannings w jednym ze swoich filmów. Dawny milioner, zrujnowany przez pijaństwo i dziwki, wraca do domu jako nędzarz i usiłuje zajrzeć przez okno do własnego domu, gdzie odbywa się wesele jego córki. Policjant każe mu odejść, więc odchodzi powłócząc nogami, a wiolonczela gra *Elegię Masseneta*.

Teraz, Charlie, przechodzę do biszkoptów i ciepłego mleka. Wielkie przedsięwzięcia są już oczywiście poza mną, ale mój dowcip, chociaż to dziwne, jest nie naruszony. Ten dowcip, rozwinięty w walce z upokorzeniami życia, prawdziwymi czy wymagowanymi jest obecnie moim towarzyszem. Stoi przy mnie i łączy nas dobre stosunki. Słowem, moje poczucie humoru nie zniknęło i teraz, kiedy wyczerpały się większe ambitne namętności, przychodzi i staje przede mną, składa mi staroświecki ukłon ze sztuk Moliera. Nawiązały się między nami zażyłe stosunki.

Pamiętasz, jak bawiliśmy się w Princeton scenariuszem filmowym o Amundsenie, Nobilem i Ludożercy Caldofreddo? Zawsze uważałem, że wyjdzie z tego coś, co pozostanie. Dałem scenariusz jednemu gościowi w Budynku RCA, nazywał się Otto Klinsky. Obiecał, że przekaże go kuzynce fryzjera Sir Laurence'a Oliviera, która była siostrą sprzątaczką w „Timie” i w „Lifie”, która z kolei była matką fryzjerki cheszącej panią Klinsky. Gdzieś na tej drodze nasz scenariusz zginął. Mam jeszcze jego kopię. Znajdziesz ją w tych papierach”.

Rzeczywiście znalazłem. Będzie ciekawe znowu go przeczytać.

„Ale to nie jest mój podarunek. Ostatecznie współpracowaliśmy nad tym scenariuszem i postąpiłbym po świńsku, nazywając go darem. Nie, wymarzyłem inną historię i przypuszczam, że jest warta majątek. To małe dziełko dużo dla mnie znaczy. Między innymi dało mi w niektóre noce wiele godzin zdrowej przyjemności i przyniosło ulgę od myśli o losie. Składanie części w jedną całość było dla mnie przyjemnością, jakiej dostarcza dobra łamigłówka. Była to terapia uciechy. Mówię Ci jako pisarz, że mieszałem już rozmaite dziwaczne amerykańskie ciała, do których trzeba było dopasować strój sztuki. Oczarowanie nie miało dość materiału, żeby przykryć owe monstrualne mamucie cielska, owe nieforemne ręce i nogi. Ale ten wstęp robi się za długi. Na następnej stronie zaczyna się moja Kuracja. Próbowałem ją sprzedać. Proponowałem ją pewnym ludziom, ale nie okazali zainteresowania. Nie mam siły przepychać się dalej. Ludzie nie chcą się ze mną widzieć. Pamiętasz, jak poszedłem do Longstaffa? Już nic z tego. Recepcjonistki mnie przepędzają. Pewnie wyglądam jak ów zmarły w całunie, który skrzeczał i bełkotał na ulicach Rzymu. Ale Ty, Charlie, jesteś w samym środku życia i masz mnóstwo kontaktów. Ludzie wysłuchują «Kawalarza», autora Trencka, biografę Woodrowa Wilsona i Hary'ego Hopkinsa. Dostaniesz to dopiero, jak wyciągnę kopyta. Ale wtedy dostaniesz bajeczny spadki chcę, żebyś go otrzymał. Bo jesteś jednocześnie strasznie nic dobrego i kochany człowiek.

Stary poczciwy Henry James, o którym żona Henry Adamsa mówiła, że przeżuwał więcej, niż ugryzł, powiada nam, że umysł twórczy ma się lepiej karmiony napomknieniami niż rozległą wiedzą. Wiedza nigdy nie stanowiła dla mnie przeszkody. *Donnee* do tej kuracji podchodzi z rubryki plotek towarzyskich, którą zawsze wiernie czytałem. *Verbum sapientiae* – chyba taki jest celownik. Oryginalne zdarzenie jest najwyraźniej prawdziwe.

KURACJA

I

Pewien człowiek nazwiskiem Corcoran, wzięty pisarz, jest od wielu lat niepłodny. Próbował takich tematów, jak nurkowanie i skoki ze spadochronem, ale nic z tego nie wyszło. Corcoran jest żonaty z kobietą o silnym charakterze. Kobieta tego rodzaju byłaby wspaniałą żoną dla Beethovena, tylko że Beethoven nigdy by się na to nie zgodził. Do roli Corcorana myślę o kimś w rodzaju Mastroianniego.

II

Corcoran poznaje piękną młodą kobietę, z którą ma romans. Gdyby żyła biedna Marilyn Monroe, byłaby idealna do tej roli. Po raz pierwszy od wielu lat Corcoran zaznaje szczęścia. Potem w zryw przedsiębiorczości, pomysłowości i odwagi ucieka z nią w dalekie strony. Jego niemiła żona pielęgnuje chorego ojca. Korzystając z tego Corcoran i jego dziewczyna pryskają. Nie wiem dokąd. Na Polinezję, Nową Gwineę, do Abisynii, gdzieś daleko, gdzie jest cudownie i grają cymbały. Piękno tego miejsca jest wciąż nie skażone. Kacykowie przyjmują Corcorana i jego ukochaną. Odbywają się łowy, trwają uczty i tańce. Dziewczyna jest aniołem. Kąpią się razem w sadzawkach, pływają pośród gardenii i hibiskusów. Nocą przybliżają się świetliste plamy niebios. Ośrodki czuciowe rozwierają się. Życie się odnowiło. Paskudztwa i nieczystości parują.

III

Po powrocie Corcoran pisze wspaniałą książkę – książkę o takiej sile i piękności, że nie wolno jej ukrywać przed światem. Ale...

IV

Nie może jej opublikować. Zraniłoby to jego żonę i przekreśliło małżeństwo. On sam też miał matkę, a tylko niewielu ludzi ma dość siły charakteru, żeby odrzucić swoje nowe przesady na temat matek i synów. Nie miałby tożsamości, nawet nie byłby Amerykaninem bez tej obsesji na temat kobiety jędry.

Gdyby Corcoran nie był pisarzem, nie zasmuciłby serca tej anielskiej dziewczyny, pisząc książkę o ich przygodzie. Na nieszczęście jest jednym z tych piszących facetów. Po prostu jest tylko pisarzem. Nie publikować to dla niego śmierć. I wprost komicznie boi się żony. Ta żona powinna być macierzyńska, wesoła, szczerza, trochę ostra, ale nie całkiem groźna. Na swój własny sposób dość pociągająca. Dobry kumpel i apodyktyczna, na wskroś amerykańska dziewczyna. Myślę, że powinna być maniaczką na punkcie odżywiania, która pije Mleko Tygrysie i karmi się Mleczkiem Pszczelim. Może ci się uda coś z tego zrobić.

V

Corcoran zanoszą książkę do swojego agenta, Zane'a Bigoulisa, który jest Amerykaninem greckiego pochodzenia. To niesłychanie ważna rola. Powinien ją grać Zero Mostel. To genialny komik. Ale jak się go nie przyhamuje, zaczyna szarżować. W każdym razie myślę o nim do tej roli. Zane czyta książkę i woła: „Wspaniała!” „Kiedy nie mogę jej wydać, zrujnowałoby to moje małżeństwo”. Otóż, Charlie, Moje małżeństwo! Ponieważ małżeństwo stało się jednym z idoli plemienia (Francis Bacon), źródłem tej komedii jest plebejska powaga, która zastąpiła wyniosłą powagę sfer wyższych epoki wiktoriańskiej. Corcoran ma dość wyobraźni, żeby napisać cudowną książkę, ale jest niewolnikiem mieszczańskich postaw. Podobnie jak ucieka niezbożny, choć go nikt nie goni, tak mieszczaństwo walczy, choć go nikt do walki nie wyzywa. Wrzeszczeli o wolność, runęła na nich jak wody powodzi. Nie pozostało nic prócz kilku unoszących się na wodzie desek psychoterapii. „Co ja pocznę?” woła Corcoran. Naradzają się. Po czym Bigoulis powiada: „Jedynie, co ci zostało, to odbyć z Hepzibą tę samą podróż, którą odbyłeś z Laverną. Dokładnie taką samą, wiernie według książki, i o tej samej porze roku. Jak odtworzysz podróż, będziesz mógł wydać książkę”.

VI

„Nie pozwolę zmienić ani jednego słowa – oznajmia Corcoran. – Żadnych zniekształceń, żadnej zdrady wobec Doświadczenia”. „Zostaw to mnie – mówi Bigoulis. – Będę zjawiał się wszędzie przed tobą z tranzystorami, rajstopami, kieszonkowymi komputerami i tak dalej, i będę przekupywał wodzów. Zmuszę ich, żeby organizowali te same łowy, uczty, powtarzali tańce. Jak twój wydawca zobaczy ten maszynopis, chętnie pokryje wszystkie koszty. „Jest coś naprawdę przerażającego w tym pomysle, żeby powtórzyć to wszystko z Hepzibą. I będę musiał okłamać Lavemę. Ona ma taki sam jak ja stosunek do naszego cudownego miesiąca na wyspie. W tym jest coś uświęconego”. Ale Charlie, jak nam dowodzi *Szkarłatna litera* miłość i kłamstwo zawsze idą w parze w naszym kraju. Prawda jest zgubna. Dimmesdale mówi prawdę i umiera. Jednakże Bigoulis dalej argumentuje: „Chcesz, żeby się książka ukazała? Nie chcesz, żeby Hepziba od ciebie odeszła i jednocześnie chcesz być dalej z Lavemą? Z męskiego punktu widzenia cała rzecz jest jak najbardziej sensowna. Więc... jedziemy na wyspę. Wszystko ci urządzę. Jeżeli schowasz tę książkę do szuflady, stracę sto tysięcy w procentach, a z prawami filmowymi może nawet więcej”.

Widzę, Charlie, że miejscem akcji zrobiłem teraz wyspę. Myśląc o *Burzy*. Prospero jest Hamletem, który mści się poprzez sztukę.

VII

I tak Corcoran powtarza z Hepzibą podróż, którą odbył z Lavemą. Ach, co za różnica! Wszystko teraz jest parodią, profanacją i niegodziwym śmiechem. I wszystko to trzeba ścierpieć. Do wzniesłego pocztu męczenników wiek dwudziesty dodał męczennika farsowego. Którym, rozumiesz, jest artysta. Pragnąc odegrać znaczącą rolę w losie ludzkości, staje się błaznem i pośmiewiskiem. Podwójna kara spada na niego jako na domniemanego rzecznika sensu i piękna. Kiedy artysta walczący nauczy się iść na dno i być wrakiem, przyjmować klęskę i nie dowodzić żadnych swoich racji, przytłumić swoją wolę i zgodzić się na pobyt w piekle współczesnych prawd, wtedy może zostaną mu przywrócone jego orfickie moce, kamienie może znów zaczną tańczyć do jego muzyki. A wtedy niebo i ziemia znów się połączą. Po długim rozstaniu. Z jaką radością po obu stronach, Charlie, z jaką radością!

Ale na wszystko to nie ma miejsca w naszym filmie. W naszym filmie Corcoran i jego żona kąpią się w sadzawce porośniętej hibiskusami. Ona jest zachwycona. On walczy z depresją i modli się, żeby mu starczyło sił do odegrania przyjętej roli. Tymczasem Bigoulis jedzie przodem i inscenizuje każde zdarzenie, przekupując kacyków i wynajmując muzykantów i tancerzy. Dostrzega też na tej wyspie, to już na własny rachunek, szansę lokaty kapitałów, jaka się zdarza raz w życiu. Już projektuje wybudowanie tutaj największego ośrodka wakacyjnego na świecie. Wieczorami wraca do namiotu i szkicuje plany centrum rozrywkowego. Tubylcy będą kelnerami, kucharzami, portierami i chłopcami do noszenia kijów do golfa.

VIII

Koszmarne podróże dobiega końca, Corcoran wraca do Nowego Jorku i publikuje swoją książkę. Sukces jest ogromny. Żona porzuca go i występuje o rozwód. Wie, że nie jest bohaterką tych czułych scen. Laverna jest oburzona, kiedy się dowiaduje, że odbył taką samą podróż, dla niej świętą, u boku Hepziby. Nie może, powiada, kochać człowieka zdolnego do takiej zdrady. Kochać się z inną kobietą pośród tych kwiatów, w blasku księżyca! Wiedziała, że jest żonaty. Z tym się godziła. Ale nie to, nie takie wiarołomstwo. Nie chce go już nigdy więcej widzieć.

Jest zatem sam ze swoim sukcesem, a jego sukces jest ogromny. Wiesz, co to znaczy.

Charles, oto mój podarunek. Jest wart sto razy więcej niż czek, który zainkasowałem. Taki film powinien przynieść miliony i przez rok zapęłnić Trzecią Aleję ogonkami. Żądaj procentów od wpływów kasowych.

Zrobisz z tego szkicu dobry scenariusz, jeżeli będziesz pamiętał mnie, jak ja pamiętam ciebie, układając fabułę. Ty wzięłeś moją osobowość i wykorzystałeś ją w swoim *Trenku*, ja pożyczyłem Ciebie i stworzyłem Corcorana. Uważaj, żeby trzymać te karykatury mocno w rękę. Niech mi będzie wolno zwrócić ci uwagę na opinię Blake'a w tym przedmiocie: «Uciechę kocham – powiada – ale nadmiar Uciechy jest ze wszystkiego rzeczą najobmierzlejszą. Wesołość jest lepsza od Uciechy, a Szczęście jest lepsze od Wesołości. Czuję, że Człowiek może być Szczęśliwy na Tym Świecie. A wiem, że Ten Świat jest Światem Wyobraźni i Wizji... Drzewo, które wzrusza niektórych do łez, jest w Oczach innych tylko Zieloną Rzeczą, która zawadza na drodze. Niektórzy widzą w Naturze samą Śmieszność i Szpetotę, ale nie według nich będę ustalał moje proporcje*.

Humboldt dodał jeszcze kilka zdań. „Wyjaśniłem, dlaczego napisałem taką *Kurację*. Nie byłem w gruncie rzeczy dość silny, żeby udźwignąć wielkie ciężary. Nie powiodło mi się tu, Charlie. Żeby na zakończenie nie zgrzeszyć brakiem smaku, uniknę pompatycznych deklaracji. Powiedzmy, że jestem już jedną nogą na tamtym świecie, że oglądam się i widzę cię gdzieś daleko w tyle, nadal trudzącego się na polach śmieszności.

Pomóż mojemu wujowi Waldemarowi. Bądź pewien, że jeśli jest życie pozagrobowe, powitam cię owacją. Zanim siądziesz do pracy nad tym scenariuszem, zagraj sobie glissando z *Czarodziejskiego fletu* albo przeczytaj *Burzę*. Albo coś E. T. A. Hoffmana. Jesteś leniwy, niezdolny, twardszy, niż ci się zdaje, ale jeszcze nie ze wszystkim stracony. Po części jesteś jako człowiek w porządku. Oczekuje się od nas, że uczynimy coś dla naszych bliźnich. Nie bzikuj na punkcie pieniędzy. Pohamuj chciwość. Więcej szczęścia z kobietami. A na zakończenie pamiętaj: nie jesteśmy istotami przyrodzonymi, tylko istotami nadprzyrodzonymi. Twój kochający Humboldt”.

* * *

– No więc, teraz już wiem, dlaczego nie poszliśmy do La Scali powiedziała Renata. – Mieliśmy bilety na dzisiaj. Cały blask – to cudowne przedstawienie *Cyrulika sewilskiego* – jedyna szansa znalezienia się wśród najwspanialszego audytorium muzycznego Europy! Ale poświęciliśmy to. I dlaczego? Żeby pojechać na Coney Island. A wracamy z głupkowskim szkicem scenariusza. Mogłabym się śmiać na głos – dodała. Już się śmiała. Była w dobrym humorze i piękna jak rzadko, z ciemnymi włosami ściągniętymi do tyłu i upiętymi na czubku

głowy, co dawało poczucie – och, poczucie ocalenia, jedwabiste i cudotwórcze. Było jej najładniej w odcieniach ciemnych i czerwonych. – Tobie to nie przeszkadza, że nam przepadła La Scala. Mimo wszystkich twoich dyplomów, tak naprawdę mało ci zależy na kulturze. W głębi duszy jesteś chłopakiem z Chicago.

– Pozwól, że ci to wynagrodzę. Co dają dziś w Metropolitan?

– Ach nie, jest Wagner, a ta cała Liebestod po prostu mnie nudzi. Ale swoją drogą, ponieważ wszyscy o tym mówią, zobaczymy, czyby się nam nie udało dostać na *Głębokie gardło*. Dobra, widzę, że już się przygotowujesz, żeby powiedzieć coś na temat filmów porno. Nie rób tego. Zaraz ci powiem, jakie jest twoje stanowisko – kiedy się to robi, to jest przyjemne, jak się na to patrzy, to jest plugawe. I pamiętaj, że twoje dowcipy dowodzą braku szacunku dla mnie. Najpierw robię dla ciebie rozmaite rzeczy, a potem staję się kobietą pewnej szczególnej kategorii.

Mimo wszystko była w dobrym nastroju, rozgadana i wyjątkowo serdeczna. Jedliśmy lunch w Sali Dębowej, daleko od szynclii z fasolką w domu starców. Powinniśmy zrobić staruszkom przyjemność i zaprosić ich na miasto. Przy obiedzie Menasza mógłby opowiedzieć mi dużo o mojej matce. Umarła, kiedy byłem dorastającym chłopcem, i bardzo pragnąłem, żeby mi ją opisał dorosły mężczyzna – jeżeli Menasza nim był. Z czasem wyrosła na osobę świętą. Juliusz utrzymywał, że jej wcale nie pamięta. W ogóle niezupełnie ufał mojej pamięci. Skąd to uwielbienie (zaprawione histerią) dla przeszłości? Przypuszczam, że w sensie klinicznym sprowadzało się to do hysterii. W sensie filozoficznym wypadałem trochę lepiej. Platon wiąże wspomnienia z miłością. Ale nie mogłem prosić Renaty, żeby wlokła się razem z tymi dwoma staruszkami do jakiejś knajpy na nadmorskim deptaku i spędziła całe popołudnie, pomagając im czytać menu i otwierać małże, i wycierając plamy masła z ich spodni, i odwracając wzrok, kiedy wyjmowali swoje mostki po to tylko, żebym mógł porozmawiać o mojej matce. Wydawało jej się dziwne, że starszawy facet w moim rodzaju tak koniecznie chce usłyszeć reminiscencje o matce. Przez kontrast z tymi bardzo starymi ludźmi mogłem się wydać odrobinę młodszy, ale z drugiej strony było też możliwe, że w swojej irytacji wepchnie nas wszystkich do jednego worka. A zatem Menaszę i Waldemara ominął poczęstunek.

W Sali Dębowej zamówiła kawior rosyjski. Powiedziała, że to nagroda za jazdę koleją podziemną.

– Potem – zwróciła się do kelnera – sałatka z homara, a na deser *profiterole*. Dla pana Citrine *omelette fines-herbes*. Sam wybierze wino. – Co też zrobiłem, usłyszawszy, czego chce się napić. Zamówiłem butelkę Pouilly-Fuisse. Po odejściu kelnera Renata powiedziała: – Widzę, że przy czytaniu menu oczy ci latają z lewej strony na prawą. Nie masz powodu odgrywać ubożego chłopaczka. Zawsze możesz zarobić pieniądze, kupić pieniędzy. Specjalnie jak się sprężniesz ze mną. Obiecuję ci, że będziemy lordem i lady Citrine. Wiem, że ta wizyta na Coney Island bardzo ci przygnębiła. Wobec tego zrobię ci ekstra przyjemność. Rozejrzyj się po tej sali i przyjrzyj się kobietom – zobacz, jakie czupiradła wzięli sobie na kark potężni maklerzy, ważni prezesi syndykatów, wielcy adwokaci. I porównaj.

– Na pewno masz słuszość. Serce mi krwawi na myśl o nich.

Przyszedł kelner od win i wykonał wszystkie oszukańcze ruchy – pokazał mi etykietę, pochylił się z gotowym korkociągiem. Potem nalał mi trochę wina do skosztowania i zaczął mnie nękać swoimi nieszczerymi uprzejmościami, które musiałem odwzajemnić.

– Swoją drogą dobrze się stało, żeśmy przyjechali do Nowego Jorku, przyznaję teraz – powiedziała Renata. – Twoja misja tutaj została spełniona i dzięki Bogu za to, bo już czas najwyższy, żebyś oparł swoje życie na realnych podstawach i usunął z niego kilka ton śmieci. Twoje sentymenty i głębokie uczucia przynoszą ci może zaszczyt, ale jesteś trochę jak mandolinista. Wydobywasz każdy ton dziesięć razy. To pomysłowe, ale co za dużo, to niezdrowo. Chciałeś coś powiedzieć?

– Tak. Dziwaczność życia na tej ziemi jest bardzo deprymująca.

– Zawsze mówisz „na tej ziemi”. Dostaję od tego gęsiej skórki. Ten stary profesor Scheldt, ojciec twojej pieśniczki Doris, nabił ci głowę swoimi ezoterycznymi wyższymi światami i jak mi o tym wszystkim mówisz, mam uczucie, że oboje jesteśmy stuknięci – wiedza, której niepotrzebny jest mózg, słuch bez uszu, wzrok bez oczu, umarli są wśród nas, dusza opuszcza nasze ciało w czasie snu. Czy ty w to wszystko wierzysz?

– Traktuję te rzeczy dostatecznie poważnie, żeby je studiować. A co do duszy opuszczającej nasze ciało w czasie snu, moja matka głęboko w to wierzyła. Powiedziała mi, kiedy byłem mały. Nie znajduję w tym nic dziwnego. Tylko mój mózg się temu sprzeciwia. Przecucie mówi mi, że matka miała słuszość. To nie może doprowadzić mnie do dziwactwa, już w nie wkroczyłem. Ludzie równie pomysłowi, równie płodni w pragnienia jak ja, a także ci cudowni, lepsi ode mnie, skończyli śmiercią. A czym jest ta śmierć? Znowu –

nessuno sa. Ale niewiedza śmierci niszczy nas. I to właśnie jest owym polem śmieszności, na którym Humboldt widzi mnie wciąż się mozolącego. Żaden uczciwy człowiek nie może odmówić poświęcenia myśli, ofiarowania czasu, oddania się duszą temu największemu z problemów. Śmierć nie natrafia teraz na poważne przeszkody ze strony nauki czy filozofii, czy religii, czy sztuki...

– Więc uważasz, że zbytkowane teorie są najprawdopodobniejsze?

Wymamrotałem kilka słów pod nosem, bo ona słyszała już ten cytat z Samuela Daniela, a jej metafora z mandolinistą powstrzymała mnie od powtórzenia cytatu na głos. Brzmiał on: „Gdy wiedza bojaźliwa stoi i zastanawia się, zuchwała ignorancja dokonuje czynu”. Według mnie życie było w istocie także wszystkim innym, pod warunkiem że nauczylibyśmy się rozumieć. Ale ponieważ nie rozumieliśmy go, serce nam niemal pękało. Mnie serce nieustannie pękało, miałem już tego dość i byłem zmęczony.

Renata powiedziała:

– Naprawdę, co mnie to obchodzi? Oddawaj część, komu chcesz, bardzo to amerykańskie i fundamentalne. Tyle tylko, że jak otwierasz oczy, jest w nich jakiś taki chmurnowaty błysk. To wymyślone słowo, chmurnowaty. Ach, szalenie mi się podobało to, co Humboldt o tobie powiedział, że masz w sobie obietnicę wariactwa. Byłam zachwycona.

Jeśli o mnie idzie, byłem zachwycony wesołością Renaty. Jej brutalność i szczerść były nieskończenie lepsze od jej kawałków modlitewno-kochających. Nigdy nie dałem się na to nabrać, nigdy. Ale jej wesołość, kiedy nakładała mi na grzankę kawior, siekane jajko i cebulę, była dla mnie cudowną, niebywałą pociechą.

– Tylko – ciągnęła Renata – przestań się tak wszystkim emocjonować jak dziesięcioletnia dziewczynka. A teraz załatwmy od razu tę sprawę Humbolta. Wydawało mu się, że ci zostawia cenny majątek. Biedaczysko. Co za bzdety! Kto by chciał kupić taką historię? Co w tym jest? Trzeba by zrobić wszystko dwa razy, najpierw z tą dziewczyną, potem z żoną. Publiczność dostałaby kota. Reżyserzy starają się pójść dalej niż *Bonnie i Clyde*, niż *Francuski łącznik*, *Ojciec chrzestny*. Morderstwo w kolei napowietrznej. Nadzy kochankowie podskakują do góry, w dół, a tymczasem seria karabinu maszynowego rozszarpuje im ciała. Gogusie na stołach masażystów, do których ktoś strzela prosto w okulary. – Bezlitosna, naprawdę dobroduszna Renata roześmiała się, popijając Pouilly-Fuisse, świadoma, że mnie zachwyca jej szyja i kobieca delikatność białych pierścieni na skórze (tutaj zasłona Mai była żywsza niż kiedykolwiek). – No, czy nie jest tak, Charles? A jak Humboldt wygląda w porównaniu? Marzyło mu się, że będzie miał magiczny wpływ na publiczność. Ty też go nie miałeś. Gdyby nie twój reżyser, *Trenck* nie byłby sukcesem kasowym. Sam mi to powiedziałeś. Ile ci dali za te prawa filmowe *Trencka*?

– Honorarium wynosiło trzysta tysięcy. Producent wziął połowę, agent wziął dziesięć procent, władze podatkowe wzięły sześćdziesiąt procent z reszty, pięćdziesiąt tysięcy wpakowałem w dom na Kenwood, który teraz należy do Denise... – Kiedy recytowałem sumy i procenty, twarz Renaty wyrażała zachwycający spokój. – Taki jest koniec mojego sukcesu finansowego – powiedziałem. – I zgadzam się, nigdy nie potrafiłbym go osiągnąć na własną rękę. Wszystko to zasługa Harolda Lamptona i Kermita Bloomgardena. A Humboldt nie był pierwszym człowiekiem, który się skończył, próbując połączyć sukces materialny z poetycką uczciwością – trawiony ogniem poetyckim, jak powiada Swift, nie nadawał się już do Kościoła, Prawa czy Państwa. Ale słuchaj, Renata, myślał o mnie. Scenariusz wyraża jego opinię o mnie – głupota, zawilości, zmarnowana przenikliwość, kochające serce, pewnego rodzaju chaotyczny talent, pewna elegancja konstrukcji. Ten spadek jest też jego tkliwie wyrażoną opinią o mnie. A przy tym starał się, jak mógł. Ib był dar miłości...

– Charlie, patrz, przynoszą ci telefon – przerwała Renata. – Fantastyczne!

– Pan Citrine? – spytał kelner.

– Tak.

Włączył aparat, miałem na linii Chicago. Telefonował Alec Szathmar.

– Charlie, siedzisz w Sali Dębowej? – spytał.

– Tak.

Roześmiał się podniecony. My dwaj, którzy jako dzieci trenowaliśmy w bocznej uliczce w rękawiczkach bokserskich, grzmocąc się po twarzy, aż nam brakło tchu, byliśmy teraz dojrzałymi mężczyznami, którzy wybili się w życiu. Ja obiadałem wykwinicie w Nowym Jorku, on telefonował do mnie z wyłożonego boazerią gabinetu na La Salle Street. Niestety wiadomość, którą mi przekazał, nie pasowała do tego zbytowego otoczenia. A może pasowała?

– Urbanovich jest po stronie Denise i Pinskera. Sąd orzekł, że masz złożyć kaucję. Suma dwieście tysięcy dolarów. Tak się dzieje, kiedy ignorujesz moje rady. Mówiłem ci, żebyś ukrył trochę pieniędzy w Szwajcarii. Ale nie, ty musiałeś być uczciwy. Za nic nie zrobiłbyś kantu. I właśnie ten snobizm cię wykończył. Chcesz żyć ascetycznie? Jesteś o dwieście tysięcy bliżej tego celu, niż byłeś wczoraj.

Słabe echo kazało mi się domyślić, że używa wzmacniacza. Moje odpowiedzi było słychać w wewnętrznym aparacie na jego biurku. To dowodziło, że jego sekretarka, Tulip, słucha. Ponieważ ta kobieta okazywała serdeczne zainteresowanie dla moich poczynań, Szathmar, zawsze kabotyn, zapraszał ją niekiedy do uczestniczenia w naszych rozmowach. Była przystojną kobietą, trochę bladą i otyłą, a jej sposób bycia charakteryzowały smutek i wspaniałomyślność dawnego West Side. Była przywiązana do Szathmara, znała jego słabostki i wybaczała mu je. Tylko sam Szathmar nie był świadomy żadnych słabostek.

– Co zrobisz w sprawie pieniędzy?

– Nie jest to żaden palący problem. Została mi jeszcze jakaś mała suma u ciebie, prawda?

– Uzgodniliśmy, że spłacę pożyczkę na mieszkanie w spółdzielni w pięciu rocznych ratach, a w tym roku miałeś już wypłatę. Widzę, że dziesiątki lat darmowych porad prawnych, jakich ci udzielałem, w ogóle się nie liczą.

– Ubrałeś mnie też w Tomcheka i Srole'a.

– Najznakomitsi adwokaci od spraw rodzinnych w Chicago. Nie mogli się z tobą dogadać. Nikt by nie potrafił.

Renata podała mi następną grzanekę z kawiozem, siekanym jajkiem, cebulą i śmietaną.

– No więc, przekazałem ci polecenie numer jeden – powiedział Szathmar. – Polecenie numer dwa, to żebyś zatelefonował do twojego brata w Teksasie. Jego żona próbowała się do ciebie dodzwonić. Nic się nie stało. Nie trać głowy. Juliusz ma mieć operację serca. Twoja bratowa mówi, że mają mu przeszczepić kilka arterii w związku z tą jego anginą pectoris. Uważała, że jego jedyny brat powinien wiedzieć. Jadą na operację do Houston.

– Masz zupełnie zmienioną twarz, co się stało? – spytała Renata, kiedy odłożyłem słuchawkę.

– Mój brat będzie miał operację serca.

– Och!

– Słusznie. Muszę tam pojechać.

– Nie żądasz chyba, żebym znowu odłożyła wyjazd?

– Możemy równie dobrze wziąć samolot z Teksasu.

– Musisz jechać?

– Naturalnie, muszę.

– Nie znam twojego brata, ale wiem, że to twardy człowiek. Nie zmieniłby swoich planów dla ciebie.

– Słuchaj, Renata, on jest moim jedynym bratem, a te operacje są straszne. O ile wiem, lekarze otwierają klatkę piersiową, wyjmują serce, kładą je na serwetce czy na czymś tam i podłączają układ krwionośny do maszyny. Biedna ludzkość, wszyscy jesteśmy spychani do świata przedmiotów.

– Uff! – jęknęła Renata – mam nadzieję, że nie zrobią ze mnie kiedyś takiej składanki.

– Renata, kochanie, w twoim przypadku sama taka myśl jest bluźnierstwem. – Piersi Renaty, po zdjęciu podtrzymującej je bielizny, opadały lekko na prawo i na lewo, co powodowała zachwycająca okrągłość u ich nasady, a może fakt, że były połączone z biegunami magnetycznymi ziemi. Nie myślało się o Renacie jako o osobie posiadającej zwykle ludzkie piersi – a już z pewnością nie zwykle ludzkie piersi jak mój brat, porośnięte siwym włosem i tłuste.

– Chcesz, żebym z tobą pojechała do Teksasu, prawda? – spytała.

– To by dla mnie bardzo dużo znaczyło.

– I dla mnie też, gdybyśmy byli małżeństwem. Jeździłabym tam dwa razy na tydzień, gdyby ci to było potrzebne. Ale nie zgodzę się, żebyś mnie tam ciągnął i popisował się mną przed tym plugawym staruchem jako swoją dziwką. Nie ufaj za bardzo temu, że zachowuję się jak kobieta niezamężna.

Tb ostatnie było aluzją do owej nocy, kiedy zamknęła przede mną drzwi i leżała w łóżku z Flonzaleyem, królem zakładów pogrzebowych. Płakała, według jej własnych słów, kiedy ja telefonowałam jak obłąkany.

– Ożeń się ze mną – powiedziała mi teraz. – Zmień mój stan cywilny. To mi jest potrzebne. Będę cudowną żoną.

– Powinienem to zrobić. Jesteś wspaniałą kobietą. Dlaczego miałbym licytować się z tobą argumentami?

– Tu nie ma o co się spierać. Lecę jutro do Włoch, możemy się spotkać w Mediolanie. Ale wchodząc do sklepu z wyrobami skórzanymi Biferno, będę w kiepskiej sytuacji. Jako rozwódka bujająca po świecie z kochankiem nie mogę spodziewać się po moim ojcu, że okaże entuzjizm, a realnie mówiąc, trudniej mu będzie przeżyć emocjonalne katharsis w związku ze mną, niż gdybym była niewinną dziewczyną. Zresztą ciągle pamiętam, jak obie z matką zostałyśmy wyproszone na ulicę – prosto na Via Monte Napoleone – i jak stałam przed tą wystawą z pięknymi rzeczami ze skóry i płakałam. Do dzisiaj, jak wchodzę do Gucciego i widzę luksusowe torby i walizki, prawie mdleję na myśl o tym odtrąceniu i bólu.

Intencją niektórych słów jest, żeby uleciały, innych, żeby odbijały się echem. Słowa „zachowuję się jak kobieta niezamężna” wciąż rozbrzmiewały, co zresztą było taktycznym zamiarem Renaty. Ale nie mogłem się z nią ożenić tylko po to, żeby mi była wierna przez kilka dni w Mediolanie.

Poszedłem na górę do pokoju mansardowego i poleciłem telefonistce, żeby mnie połączyła z moim bratem w Corpus Christi.

– Ulick? – spytałem, używając jego zdrobniałego imienia.

– To ja, Chuckie.

– Będę jutro w Teksasie.

– Och, zawiadomili cię – powiedział. – W środę mnie rozplatają. Dobrze, przyjeżdżaj, jeżeli nie masz nic lepszego do roboty. Słyszałem, że się wybierasz do Europy.

– Mogę polecieć z Teksasu.

Naturalnie cieszył się, że chcę przyjechać, ale był podejrzliwy i zastanawiał się, czy nie poluję przypadkiem na jakieś korzyści. Juliusz w rzeczywistości mnie kochał, ale utrzymywał – i nawet w to wierzył – że tak nie jest. Głębia moich braterskich uczuć pochlebiała mu. Ale był zbyt trzeźwy, żeby się oszukiwać. Juliusz nie należał do ludzi sympatycznych i jeżeli zajmował ważne miejsce w moich uczuciach, a te uczucia były żywe, to albo dlatego, że byłem dziwnie niedorozwinięty, niedojrzały, albo może – nie wiedząc, co robię – byłem wmieszany w jakieś oszustwo. Ulick wszędzie widział grandę. Mocno zbudowany, przystojny, o ostrej twarzy, oczach dużych, czujnych, przenikliwych. Wąsy w stylu zmarłego sekretarza stanu Achesona łagodziły drapieżność jego ust. Postawę miał dumną i był tęgim, pełnym wdzięku, zachłannym człowiekiem, ubierającym się w kraty i paski, garnitury krzykliwe, ale elegancko skrojone. Gdzieś między biznesem a polityką zrobił kiedyś fortunę w Chicago, w powiązaniu ze światem podziemnym, chociaż nigdy do niego nie należał. Ale zakochał się i rzucił żonę dla tej drugiej kobiety. Sprawa rozwodowa go wykończyła, stracił wszystko, co posiadał w Chicago. Jednakże zrobił drugą fortunę w Teksasie i założył drugą rodzinę. Nie sposób myśleć o nim w odłączeniu od jego bogactwa. Musiał być bogaczem, mieć tuziny ubrań, setki par butów, niezliczone koszule, spinki do mankietów, kosztowne pierścienie, ogromne domy, luksusowe samochody, wielkopszącącą organizację, którą rządził jak demon. Taki był Juliusz, mój starszy brat Ulick, którego kochałem.

– Słowo honoru – powiedziała Renata – że nie rozumiem, dlaczego masz takiego hysia na punkcie tego twojego brata. Im bardziej tobą pomiata, tym bardziej wielbisz ziemię, po której stąpa. Niech ci przypomnę kilka rzeczy, które mi o nim mówiłeś. Kiedy byłeś mały i bawiłeś się zabawkami na podłodze, deptał ci po palcach. Tarł ci oczy papierem. Bił cię po głowie kijem do baseballu. Jak byłeś dorastającym chłopcem, spalił twój zbiór broszur Marksa i Lenina. Bił się na pięści ze wszystkimi, nie wyłączając czarnej służącej.

– Tak, to była Bama, miała metr osiemdziesiąt wzrostu i trzepnęła go mocno w ucho, co mu się należało.

– Był wmieszany w setki skandali i procesów. Dziesięć lat temu strzelał do samochodu, który zakręcał na jego podjeździe.

– Chciał tylko przebić oponę.

– Owszem, ale trafił w okna i miał sprawę o napaść z bronią... nie mówiłeś mi tego? Wygląda mi na jednego z tych stukniętych brutali, którzy wplątują się w twoje życie. Czy jest na odwrót?

– Najdziwniejsze w tym jest to, że Juliusz nie jest brutalem, jest czarujący, dżentelmeński. Ale przede wszystkim jest moim bratem Ulickiem. Niektórzy ludzie są tak konkretni, że osłabiają mój krytycyzm. Z chwilą kiedy są przy mnie – bezsporni, niezaprzeczalni – nie ma już na nich rady. Ich realność znaczy więcej niż moje praktyczne korzyści. Powyżej pewnego punktu wyrazistości stają się namiętnie przywiązany.

Oczywiście Renata należała do tej kategorii. Byłem do niej namiętnie przywiązany, bo była Renatą. Miała też dodatkową wartość – bardzo dużo o mnie wiedziała. Ulokowałem w niej kapitał, ponieważ tak dużo jej o sobie mówiłem. Zdobyła wiedzę o życiu i poglądach na świat Citrine'a. Taka wiedza o życiu Renaty nie była potrzebna. Wystarczyło na nią patrzeć. A okoliczności tak się składały, że musiałem kupować jej względy. Im więcej faktów w nią łądowałem, tym bardziej mi była potrzebna, a im bardziej mi była potrzebna, tym wyżej rosła jej cena. W życiu, które przyjdzie, nie będzie takiej osobistej i erotycznej niewoli. Nie trzeba będzie przekupywać drugiej duszy, żeby słuchała, kiedy jej tłumaczysz, co masz właśnie zrobić, co zamierzałeś zrobić, co zrobiłeś i co inni zrobili, i tak dalej. (Chociaż w sposób naturalny powstaje pytanie, dlaczego ktoś miałby słuchać gratis takich rzeczy.) Nauka o duchu powiada, że w życiu przyszłym pierwszeństwo mają prawa moralne i że są tak potężne, jak prawa natury w świecie fizycznym. Rzecz jasna, byłem początkujący, znajdowałem się w przedszkolu teozofii.

Ale traktowałem to poważnie. Miałem zamiar wykonać dziwny skok i dać nura w prawdę. Przejadły mi się już współczesne sposoby filozofowania. Raz na zawsze zamierzałem się przekonać, czy jest coś za tymi nieustannymi napomknieniami o nieśmiertelności, które wciąż mnie bombardowały. Poza tym było to największe i najbardziej rewolucyjne przedsięwzięcie, o jakie można się było pokusić, i o niezwyklej wartości. W sensie społecznym, psychologicznym, politycznym sama istota ludzkich instytucji jest konsekwencją tego, co wyobrażamy sobie o śmierci. Renata powiedziała, że intelektualiści doprowadzają mnie do wściekłości, że jestem wobec nich arogancki i mściwy. Zawsze mówiłem, że marnują swój czas i nasz i że chciałbym ich zdeptać, wychłostać. Być może, chociaż Renata przesadzała z tą moją gwałtownością. Miałem dziwne podejrzenie, że sama natura nie jest gdzieś tam na zewnątrz, światem przedmiotu na zawsze oddzielonym od podmiotów, lecz że wszystko zewnętrzne odpowiada w sposób żywy czemuś wewnętrznemu, że te dwie sfery są identyczne i wymienne, i że natura jest moim własnym nieuświadomionym bytem. Który mógłbym z czasem poznać przez pracę intelektualną, studia naukowe i najskrytsze kontemplacje. Każda rzecz w naturze była symbolem czegoś w mojej duszy. W tym momencie w hotelu Plaža oceniłem szybko sytuację. Miałem niewyraźne uczucie, że jestem w przestrzeni kosmicznej. System odniesienia był wiotki i rozedrgany, wszędzie dokoła mnie. Wobec tego należało być twardym i w jakiś praktyczny sposób połączyć metafizykę ze sposobem życia.

A zatem przypuśćmy, że po najintensywniejszej żywości i delikatnym blasku niepamięć jest wszystkim, czego możemy się spodziewać – wielka pustka śmierci. Jaki staje przed nami wybór? Jedna możliwość, to przywyknąć stopniowo do niepamięci, żeby nie zaszła zbyt duża zmiana, kiedy nastąpi śmierć. Inna możliwość, to zwiększać przykrości życia, żeby w rezultacie śmierć była wyzwoleniem. (W tym reszta ludzkości będzie w pełni współpracować.) Jest jeszcze jeden wariant, rzadko wybierany. Chodzi o to, żebyśmy pozwolili najskrytszym elementom w nas ujawnić ich najskrytsze informacje. Jeżeli nie czeka nas nic prócz niebytu i niepamięci, powszechne wierzenia nie zawiodły nas – i na tym koniec. To by mnie zdumiewało, bo powszechne wierzenia rzadko zaspokajają moją żądzę prawdy. Ale trzeba dopuścić tę możliwość. Założmy jednak, że niepamięć nie wchodzi tu w grę. Co ja wobec tego robiłem przez blisko sześć dziesiątków lat? Chyba nigdy nie wierzyłem, że chodzi tu o niepamięć, i przez pięć i pół dziesięcioleci zniekształceń i absurdów kwestionowałem i podważałem domniemaną racjonalność i nieodwołalność tezy o niepamięci.

Takie były myśli wirujące mi w głowie na najwyższym piętrze hotelu Plaža. Renata wciąż wyrzekała na pokój mansardowy. Dotąd podejmowałem ją w Nowym Jorku okazale, miałem szeroki gest, wyrzucałem pieniądze garściami, jak górnik z Klondike. Urbanovich miał podstawy do twierdzenia, że jestem rozbestwionym staruchem, że trwonię kapitały, bo inaczej wpadłyby w ręce wroga, i że on mnie tylko hamuje. Ale te pieniądze nie należały do niego, prawda? Jednakże sytuacja była bardzo dziwna, bo najrozmaitsi ludzie, których prawie nie znałem, rościł sobie do nich pretensje. Na przykład taki Pinsker, adwokat Denise, ten owłosiony gość w krawacie przypominającym omlot z serem. Nawet go nie znałem, nie zamieniliśmy ze sobą słowa. W jaki sposób wsadził łapę do mojej kieszeni?

– Jak załatwimy sprawę? – spytała Renata.

– Twojego pobytu we Włoszech? Czy tysiąc dolarów wystarczy ci na tydzień?

– Charlie, ludzie z Chicago mówią o tobie najpotworniejsze rzeczy. Powinieneś wiedzieć, jaką masz reputację. Naturalnie to robota Denise. Ona wpływa nawet na dzieci i te małe powtarzają jej opinie. Jesteś jakoby nieznośny. Matka słyszy to wszędzie. Ale jak poznać cię bliżej, okazuje się, że jesteś przemiły – najmiłszy facet, jakiego kiedykolwiek znałam. A może byśmy się tak pokochali? Nie musimy zdejmować wszystkiego. Wiem, że czasem lubisz tak pół na pół. – Zdjęła dolne części garderoby, odpięła stanik dla łatwiejszego dostępu i usiadła na brzegu łóżka w całej pełni, gładkości i pięknie swojej dolnej połowy – z twarzą białą i brwiami podnoszącymi się do góry w nabożnym wyrazie. Stałem przed nią w samej koszuli. Powiedziała: – Zmagazynujmy trochę przyjemności na okres rozstania.

I nagle, za nami na stoliku nocnym, światelko telefonu zaczęło bić niemo, pulsować. Ktoś usiłował się ze mną połączyć. Czyje pulsy zaczęły bić pierwsze, oto pytanie.

Renata roześmiała się.

– Znasz najbardziej utalentowanych nudziarzy – powiedziała. – Zawsze wiedzą, kiedy ci przeszkodzić. No więc? Odbierz. Okazja i tak zmarnowana. Wydajesz się niespokojny. Prawdopodobnie myślisz o dzieciach.

Telefonował Thaxter. Powiedział:

– Dzwonię z dołu. Jesteś zajęty? Możesz zejść do Sali Palmowej? Mam ważne wiadomości.

– Dalszy ciąg nastąpi – powiedziała Renata dość pogodnie.

Ubraliśmy się i zeszliśmy na dół, żeby odszukać Thaxtera.

W pierwszej chwili go nie poznałem, bo miał na sobie nowy ekwipunek – kowbojski kapelusz i sztruksowe spodnie wpuszczone w cholewy kowbojskich butów.

– O co chodzi? – spytałem.

– Dobra wiadomość, to że podpisałem właśnie umowę na tę książkę o nieobliczalnych dyktatorach. Kadafi, Amin i tak dalej. Co więcej, Charlie, możemy podpisać jeszcze jedną umowę. Dzisiaj. Gdybyś chciał, jeszcze tego wieczoru. I myślę, że powinniśmy. To dla ciebie naprawdę dobry interes. Ach, byłbym zapomniaw. Przy wewnętrznym telefonie stała obok mnie pani, która też pytała o ciebie. Chyba wdowa po tym poecie Fleisherze albo jego rozwiedziona żona.

– Kathleen? Dokąd poszła? Gdzie jest? – spytałem.

– Wyjaśniłem jej, że mamy bardzo pilną sprawę do omówienia, a ona na to, że i tak musi załatwić jakieś sprawunki. Powiedziała, że może się z tobą spotkać w Sali Palmowej za mniej więcej godzinę.

– Przepędziłeś ją.

– Zanim się zaczniesz wściekać, zapamiętaj, że wydaję dzisiaj koktajl na pokładzie *France*. Trochę się śpieszę.

– A to kowbojskie przebranie co znaczy? – spytała Renata.

– Och, przyszło mi do głowy, że powinienem wyglądać bardziej po amerykańsku, jak ktoś z samego serca naszej ojczyzny. Uznałem, że muszę pokazać, że nie mam nic wspólnego z liberalnymi środkami przekazu i establishmentem Wschodniego Wybrzeża.

– Będziesz udawał, że traktujesz tych facetów z Trzeciego Świata serio – powiedziałem – a potem ich opiszesz jako gburów, imbecyli, szantażystów i morderców.

– Nie, to ma swoją poważną stronę – rzekł Thaxter. – Mam zamiar unikać jaskrawej satyry. Samo zagadnienie ma swoją poważną stronę. Chcę im się przyjrzeć nie tylko jako żołnierzom-demagogom i niegodziwym błaznom, ale również jako przywódcom rzucającym wyzwanie światu zachodniemu. Chcę powiedzieć coś o ich pretensji, że cywilizacja nie zdołała powieść świata dalej niż technologia i system bankowy. Chcę przeanalizować kryzys wartości.

– Tego nie dotykaj. Trzymaj się z daleka od wartości, Thaxter. Chyba lepiej, żebym ci dał kilka rad. Po pierwsze, nie forsuj niczego, nie narzucaj się z tymi wywiadami, nie zadawaj długich pytań. Po drugie, nie wchodź w żadne komitety z tymi dyktatorami i trzymaj się z daleka od wszystkich gier. Jeżeli będziesz grał z nimi w tryktraka albo w ping-ponga, albo w brydża, poniesie cię, a wtedy koniec z tobą. Nie znasz Thaxtera – zwróciłem się do Renaty – jeżeli go nie widziałas z kijem bilardowym w ręku albo wiosłem, albo rakieta, albo

kijem do golfa. Zieje złością, skacze, oszukuje, robi się purpurowy na twarzy i jest gotów bić, grzmocić bez litości każdego: mężczyznę, kobietę czy dziecko. A zaliczkę dużą ci dają?

Był oczywiście przygotowany na takie pytanie.

– Niezłą, zważywszy okoliczności. Ale w Kalifornii toczy się przeciwko mnie tyle procesów, że adwokat mi poradził, żebym wziął raty miesięczne zamiast sumy ryczałtowej. Dostaję pięćset dolarów na miesiąc.

W Sali Palmowej było cicho, orkiestra miała przerwę. Renata sięgnęła pod stół i zaczęła pocierać moje udo. Położyła sobie moją stopę na kolanach, zdjęła z niej mokasyn i gładziła podeszwę, pieściła podbicie. Po chwili przytknęła stopę do siebie, niestrudzenie zmysłowa, i zaczęła skrycie kochać się ze mną, a raczej z sobą samą przeze mnie. To zdarzało się już dawniej, na kolacjach, gdzie towarzystwo przy stole irytowało ją albo nudziło. Miała na głowie piękny aksamitny kapelusz, skopiowany z portretu *Sukiennicy*, pod nim rozmarzona biała twarz, pełniejsza ku dołowi, wyrażała rozbawienie, czułość, komentarz do moich stosunków z Thaxterem, zadowolenie z naszego sekretu. Jak dzięki niej wszystko wydawało się proste i naturalne – dobroć, niegodziwość, pożądlivość. Zazdrościłem jej tego. I zarazem niezupełnie wierzyłem, że to wszystko jest takie proste i naturalne. Podejrzywałem – nie, po prostu wiedziałem.

– Więc jeżeli myślisz o płaceniu, nie mogę dać ci nic a conto – oznajmił Thaxter. – Natomiast mam dla ciebie coś lepszego. Jestem tu, żeby ci przedłożyć konkretną propozycję. Powinniśmy we dwóch zrobić *Kulturalny przewodnik po Europie*. Ten pomysł szalenie podniecił mojego wydawcę. Stewart naprawdę się do tego zapalił. Szczerze mówiąc, twoje nazwisko jest ważne przy tego rodzaju transakcji. Ale ja całą rzecz zorganizuję. Wiesz, że mam do tego talent. A ty nie musiałbyś się o nic kłopotać. Byłbym naturalnie młodszym współnikiem, a ty dostałbyś pięćdziesiąt tysięcy dolarów przy podpisaniu umowy. Wystarczy, żebyś położył swój podpis.

Renata zdawała się nie słyszeć naszej rozmowy. W ogóle nie dotarła do niej wzmianka o pięćdziesięciu tysiącach. Opuściła nas, można powiedzieć, i przyciskała moją stopę mocniej i mocniej. Silnie odczuwała swoją potrzebę. Była wulgarna, olśniewająca, przymilna, a jeśli musiała cierpieć towarzystwo głupców, wiedziała, jakie środki przedsięwziąć, żeby to sobie powetować. Kochałem ją za to. Tymczasem rozmowa toczyła się dalej. Ucieszyła mnie wiadomość, że nadal mogę liczyć na duże zaliczki.

Thaxter nie był specjalnie spostrzegawczy. W ogóle nie zauważył tego, co Renata robił, jej rozszerzonych źrenic, biologicznej powagi, którą skończył się jej pyszny żart. Przechodziła kolejno od rozbawienia do wesołości, do szczęścia i w końcu do punktu szczytowego, przy czym jej ciało wyprostowało się na francuskim, prowincjonalnym krześle Sali Palmowej. Prawie straciła przytomność w długim rozkoszonym dreszczu. A potem jej oczy rozbłysły do mnie i pogłaskała mnie po nodze, czuła i spokojna.

Tymczasem Thaxter mówił:

– Naturalnie niepokoi cię, że masz ze mną współpracować. Naturalnie boisz się, że ucieknę z moją częścią zaliczki i albo będziesz musiał oddać swoją część, albo sam napisać książkę. To pewnie byłby koszmar dla człowieka tak pełnego niepokoju jak ty.

– Pieniądze bardzo by mi się przydały – powiedziałem – ale nie żądaj ode mnie, żebym popełniał samobójstwo. Gdyby się zwała na mnie taka odpowiedzialność, gdybyś nawet i ja sam musiałbym pisać książkę, głowa wybuchnęłaby mi jak bomba.

– Byłbyś w pełni chroniony. Możesz się zabezpieczyć samą umową. Będzie tam powiedziane, że jedynym twoim obowiązkiem jest napisanie zasadniczego eseju o każdym z tych krajów. Krajów ma być sześć – Anglia, Francja, Hiszpania, Włochy, Niemcy i Austria. Prawo druku tych esejów w odcinkach będzie należało do ciebie, w całości. Same te prawa, jeżeli się dobrze koło nich zakrzętniesz, mogłyby ci przynieść pięćdziesiąt tysięcy. Więc moja propozycja jest taka, Charlie: zaczynamy od Hiszpanii, tego najprostszego kraju, i zobaczymy, jak nam pójdzie. A teraz posłuchaj, Stewart mówi, że zafunduje ci miesiąc u Ritza w Madrycie. Bez zobowiązań. Nie mógłbyś żądać przyzwoitszych warunków. Oboje będziecie zachwyceni. Prado jest dosłownie za rogiem. Przewodnik Michelina wymienia kilka pierwszorzędných restauracji, takich jak Escaudron. Ja zmontuję wszystkie wywiady. Będą waliły do ciebie do Ritza tłumy malarzy, poetów, krytyków, historyków, socjologów, architektów, muzyków i przywódców podziemia. Mógłbyś tam siedzieć całe dnie, rozmawiając ze wspaniałymi ludźmi, jedząc i pijąc fantastyczne rzeczy i przy okazji zbijając majątek. Po trzech tygodniach napisałbyś kawałek zatytułowany „Współczesna Hiszpania, rzut oka na kulturę”, czy coś w tym rodzaju.

Renata, wróciwszy do przytomności, przysłuchiwała się teraz z uwagą temu, co mówił Thaxter.

– Czy wasz wydawca naprawdę pokryłby rachunki? – spytała. – Wydaje się, że ten Madryt to cudowny interes.

– Wiesz, jakie są te gigantyczne spółki – odrzekł Thaxter. – Co dla Stewarta znaczy kilka tysięcy dolarów?

– Zastanowię się nad tym.

– Jak Charlie mówi, że się nad czymś zastanowi, znaczy to na ogół „Nie”.

Thaxter pochylił się do mnie w swoim kowbojskim kapeluszu.

– Siedzę twój tok rozumowania – powiedział. – Uważasz, że powinienem wpierw napisać moją książkę o dyktatorach. Thaxter, *avec tout ce qu'il a sur son assiette*? Trzymam dwie sroki za ogon. Ale o to chodzi. Inni ludzie nie daliby rady, ale ze mną jest tak, że im więcej sroczych ogonów trzymam, tym lepiej funkcjonuję. Potrafię załatwić pięciu dyktatorów w trzy miesiące – zapewnił mnie Thaxter.

– Ten Madryt wydaje się zachwycający – powiedziała Renata.

– Kraj ojczysty twojej matki, prawda? – rzuciłem.

– Przedstawię wam teraz krótkie sprawozdanie o sytuacji w międzynarodowych hotelach Ritz. Ritz w Londynie jest skończony: brudny, w ruinie. Ritz w Paryżu należy do arabskich milionerów naftowych, do ludzi w rodzaju Onassisa i do baronów naftowych z Teksasu. Żaden kelner nie zwróci tam na was uwagi. Akurat teraz, z tym całym wrzeniem w Portugalii, Ritz w Lizbonie nie sprzyja wypoczynkowi. Ale Hiszpania wciąż jest na tyle ustabilizowana i feudalna, że zachowano tam prawdziwie staroświeckie tradycje Ritz.

Oto, co łączyło Thaxtera i Renatę: wyobrażali sobie, że są Europejczykami, Renata za sprawą Sefiory, Thaxter za sprawą swojej francuskiej guwernantki, międzynarodowych powiązań rodzinnych i dyplomu z filologii francuskiej w Olivet College, stan Michigan.

Niezależnie od pieniędzy, Renata widziała we mnie obietnicę interesującego życia. Thaxter widział obietnicę życia wyższego i prowadzącego może do ważnej Idei. Piliśmy herbatę i sherry, i jedliśmy ciastka pokryte lukrem w pięknych kolorach, gdy tymczasem ja czekałem na Kathleen.

– Starając się dotrzymać kroku twoim zainteresowaniom – odezwał się Thaxter – czytam tego twojego Rudolfa Steinera, który jest fascynujący. Oczekiwałem czegoś w rodzaju madame Blavatsky, ale okazuje się, że on jest bardzo racjonalnym mistykiem. Jaki jest jego pogląd na Goethego?

– Nie zaczynaj, Thaxter – powiedziała Renata.

Ale mnie była potrzebna poważna rozmowa. Tęskniłem do niej.

– To nie jest mistycyzm – odparłem. – Goethe po prostu nie chciał się zatrzymać na linii granicznej wytyczonej przez metodę indukcyjną. Pozwolił swojej wyobraźni przenikać do wnętrza przedmiotów. Artysta próbuje się czasem przekonać, jak bliski może być temu, żeby się stać gwiazdą czy rzeką, bawi się w gwiazdę czy rzekę, przybierając kształty zjawisk malowanych lub opisywanych. Ktoś nawet pisał o jakimś astronomie trzymającym stada gwiazd, trzodę jego mózgu, na łąkach przestrzeni kosmicznej. Dusza imaginatywna funkcjonuje w taki sposób, więc dlaczego poezja miałaby nie chcieć być nauką? Dla Shelleya Adonais stał się po śmierci częścią tego piękna, które uczynił jeszcze piękniejszym. I tak według Goethego niebieskość nieba była teorią. Istniała myśl o niebieskim kolorze. Niebieskie stawało się niebieskie, kiedy je rejestrował ludzki wzrok. Człowieka tak wspaniałego, jak mój przyjaciel Humboldt, onieśmieliła racjonalna ortodoksja, a ponieważ był poetą, prawdopodobnie zapłacił za to życiem. Czy nie wystarczy, że jest się biednym, gołym dwunogim zwierzęciem i trzeba być też biedną, gołą dwunogą duszą? Czy trzeba żądać od wyobraźni, żeby zrezygnowała ze swoich własnych pełnych i swobodnych kontaktów z wszechświatem – wszechświatem, jak go określał Goethe? Jako żywą szatą Boga? A dzisiaj dowiedziałem się, że Humboldt naprawdę wierzył, że istota ludzka jest istotą nadprzyrodzoną. On też!

– Ale się rozpędził – powiedziała Renata. – Po coś ty go podjudzał do tego gadania?

– Myśl jest istotnym składnikiem istnienia – usiłowałem mówić dalej.

– Charlie, nie teraz! – rzuciła Renata.

Thaxter, na ogół grzeczny dla Renaty, zwracał się do niej oziębło, kiedy wtrącała się do tych wznioślejszych rozmów. Teraz powiedział:

– Bardzo mnie interesuje działanie mózgu Charliego. – Palił fajkę, jego wargi były szeroko rozciągnięte i ciemne pod rondem kowbojskiego kapelusza.

– Spróbuj mieć go na co dzień – zachnęła się Renata. – Charlie w swoim cudacznym teoretyzowaniu składa kombinacje, na które nikt inny by nie wpadł – na przykład sposób, w jaki funkcjonuje kongres amerykański, łączy z Immanuelem Kantem, rosyjskimi gułagami, zbieraniem znaczków pocztowych, głodem w Indiach, miłością i snem, śmiercią, i poezją. Im mniej się mówi o tym, jak działa mózg Charliego, tym lepiej. Ale jak koniecznie chcesz być guru, Charlie, idź na całego; noś jedwabne szaty, spraw sobie turban, zapuść brodę. Będzie z ciebie piekielnie przystojny duchowy przywódca, z brodą i tymi aksamitnymi nozdrzami. Ja bym się też przebrała, zrobilibyśmy furorę. Rozrabiasz nieprawdopodobnie, i to za darmo! Czasem muszę się uszczypnąć. Wyobrażam sobie, że wzięłam pięćdziesiąt valium i mam halucynacje.

– Ludzie o wielkim intelekcie nigdy nie są całkiem pewni, czy to wszystko istnieje, czy nie jest snem.

– Och, wcale nie jest powiedziane, że ludzie, którzy nie wiedzą, czy im się śni, czy są na jawie, mają taki znowu potężny intelekt – odparła Renata. – Uważam, że mnie karzesz tą antropozofią. Wiesz, co chcę przez to powiedzieć. Ta blond karliczka przedstawiła cię swojemu ojcu i od tego czasu wszystko zrobiło się naprawdę niesamowite.

– Dokończ, co zacząłeś mówić – powtórnie zwrócił się do mnie Thaxter.

– Rzecz w tym, że jednostka nie ma sposobu wypróbowania tego, co znajduje się w jej sercu – mam na myśli miłość, głód świata zewnętrznego, wzbierające podniecenie na widok piękna, dla którego nie ma przyjętych terminów naukowych. Prawdziwa wiedza jest jakoby monopolem naukowego spojrzenia na świat. Tylko że istoty ludzkie posiadają najrozmaitsze rodzaje wiedzy. Nie muszą ubiegać się o prawo kochania świata. Ale żeby zrozumieć, jak to w rzeczywistości wygląda, zastanów się nad drogą życiową kogoś w rodzaju Von Humboldta Fleishera...

– Ach, znowu ten facet – mruknęła Renata.

– Czy to prawda, że w miarę jak ta imponująca wiedza postępuje naprzód, poezja siłą rzeczy pozostaje w tyle, że imaginatywny sposób myślenia jest częścią dziecięctwa naszej rasy? Chłopiec w rodzaju Humboldta, pełen serca i wyobraźni, chodzący do biblioteki publicznej i znajdujący w niej książki, wiodący zaczarowane życie otoczone pięknymi horyzontami, czytający stare arcydzieła, w których życie ludzkie ma pełną wartość, pochłaniający Szekspira, u którego jest mnóstwo doniosłej przestrzeni wokół każdej istoty ludzkiej, u którego słowa coś znaczą, a spojrzenia i gesty też są pełne znaczenia. Ach, ta harmonia i słodycz – sztuka! Ale tu nadchodzi koniec. Doniosła przestrzeń kurczy się i znika. Chłopiec wkracza w świat i uczy się jego plugawych, bandyckich sztuczek, oczarowanie pryska. Ale czy to świat został oczarowany?

– Ale skąd! – odezwała się Renata. – Na to pytanie znam odpowiedź.

– To raczej nasze umysły dały się przekonać, że nie istnieje siła wyobraźni zdolna połączyć ze światem stworzonym każdą jego jednostkę oddzielnie.

Przyszło mi nagle do głowy, że Thaxter w swoim farmerskim stroju mógłby równie dobrze być w kościele i że ja zachowuję się jak kapłan. Nie była to niedziela, ale ja tkwiłem na mojej kazalnicy w Sali Palmowej hotelu Plaża. Jeśli idzie o uśmiechniętą Renatę z jej czarnymi oczami, czerwonymi ustami, białymi zębami, gładką szyją, to chociaż przerywała mi i przeszkadzała podczas tych kazań, podniecał ją jednak sposób, w jaki je wygłaszałem. Znałem doskonale jej teorię. Wszystko, co było mówione, co było robione, albo zwiększało, albo zmniejszało przyjemność seksualną i był to jej praktyczny sprawdzian każdej idei. Czy zwiększyła rozkosz?

– Mogliśmy być dziś wieczór w La Scali – powiedziała – i razem z tą zachwycającą publicznością przysłuchiwać się Rossiniemu. Wiesz, Thaxter, cośmy zamiast tego robili? Pojechaliśmy na Coney Island, żeby Charlie mógł odebrać spadek po swoim drogim zmarłym starym przyjacielu, Humboldcie Fleisherze. Cały czas nic tylko Humboldt, Humboldt, Humboldt, zupełnie jak „Figaro, Figaro”. Osiemdziesięcioletni wuj Humboldta dał Charliemu plik papierów i Charlie je czytał i płakał. Od miesiąca słyszę tylko o Humboldcie i śmierci, i o śnie, o metafizyce, o tym, że poeta jest sędzią tego, co odmienne, i o Walcie Whitmanie i Emersonie, i Platonie, i o Jednostce Dziejowopowszechnej. Charlie jest jak Lidia, Królowa Tatuazu, cała pełna informacji. Pamiętasz tę piosenkę *Od Lidii możesz się wiele nauczyć?*

– Czy mógłbym zobaczyć te papiery? – spytał Thaxter.

– Jedź ze mną jutro do Włoch – zwróciła się do mnie Renata.

– Kochanie, dogonię cię za kilka dni.

Skończyła się przerwa i trio Sali Palmowej zaczęło grać utwory Romberga. Renata powiedziała:

– Och, już czwarta. Nie chcę się spóźnić na *Głębokie gardło*. Zaczynają dwadzieścia po czwartej.

– Tak, a ja muszę iść do portu – oznajmił Thaxter. – Przyjdiesz, Charlie?

– Mam nadzieję. Muszę tu zaczekać na Kathleen.

– Wypisałem ci marszrutę mojej wyprawy do dyktatorów – powiedział Thaxter – żebyś mógł się ze mną skontaktować, jakby ci przyszła ochota na Madryt i realizację naszego planu. Powiedz słowo, a wszystko zorganizuję. Wiem, że w Chicago ludzie dobierają ci się do skóry. Na pewno będą ci potrzebne pieniądze, i to dużo... – Spojrzał na Renatę, która przygotowywała się do odejścia. – A w tej mojej propozycji jest kupa forsy.

– Muszę lecieć – powiedziała Renata. – Spotkamy się tu później. – Przewiesiła torbę przez ramię i wyprzedzając Thaxtera, szła po złocie buchającym ze zjeżonej zieleni ogromnego puszystego dywanu, który był częścią dekoracji gwiazdkowej, i dalej przez drzwi wahadłowe.

* * *

Renata wyniosła w swojej dużej torbie mój but. Zorientowałem się, kiedy zacząłem go szukać pod stołem. But zniknął. Zabrała go. Za pomocą tego psikusa powiedziała mi, co myśli o samotnej wyprawie do kina, kiedy ja odbywam podróże sentymentalne ze starą przyjaciółką, niedawno owdowiałą i prawdopodobnie do więzienia. Nie mogłem pójść na górę, bo Kathleen mogła w każdej chwili nadejść, więc siedziałem czując, jak marznie mi jedna noga, i słuchałem muzyki. Renata w swoim rozbawieniu miała symboliczne powody, żeby mi świsnąć but: należałem do niej. Czy ona w taki sam sposób należała do mnie? Kiedy była zaborcza, zaczynałem czuć się nieswojo. Podejrzewałem, że jak tylko jest pewna jednego mężczyzny, swobodnie zastanawia się nad swoją przyszłością z drugim. A ja? Ja widocznie najbardziej pragnąłem posiadać tę kobietę, z której strony najwięcej mi groziło.

– Ach, Kathleen, tak się cieszę – powiedziałem, kiedy podeszła do stolika. Wstałem, przy czym moja szczególna noga była pozbawiona swojego szczególnego buta. Kathleen pocałowała mnie serdecznie w policzek, jak całują starzy przyjaciele. Jej cera nie nabrała rumieńców w słońcu Nevady. Włosy miała jaśniejsze, bo z dodatkiem siwizny. Nie roztyła się, ale przybyło jej ciała. Było to normalne działanie lat – twarz miększa i łagniejsza, i smutniejsza – pociągająca melancholia czy też zapadnięcie policzków. Miała kiedyś blade piegi. Teraz jej twarz była poznaczona większymi plamkami. Ramiona cięższe, nogi cięższe, plecy szersze, włosy jaśniejsze. Była ubrana w czarną szyfonową suknię z delikatnym złotym przybraniem koło szyi.

– Jak przyjemnie cię zobaczyć – powiedziałem, bo tak było.

– A jak przyjemnie zobaczyć ciebie, Charlie.

Siadła, a ja dalej stałem.

– Zdjąłem but, żeby mi było wygodniej, i zginął – powiedziałem.

– Dziwne. Może chłopiec hotelowy go zabrał? Nie sprawdzisz w biurze rzeczy zaginionych? – Wobec tego dla zachowania pozorów kiwnąłem na kelnera i w sposób dystyngowany przeprowadziłem dochodzenie, ale w końcu powiedziałem: – Pójdę do pokoju i włożę inną parę.

Kathleen zaproponowała, że pójdzie ze mną, ale zaprotestowałem, ponieważ rzeczy Renaty leżały rozrzucone na podłodze i łóżko było rozebrane na jednym końcu w sposób, moim zdaniem, niedwuznaczny.

– Nie, nie, lepiej zaczekaj tutaj. Ta ohydna świdrująca uszy muzyka doprowadza mnie do obłędu. Zaraz wracam i pójdziemy się czegoś napić. I tak muszę wziąć palto.

Wobec tego pojechałem znów na górę luksusową klatką windy, myśląc o Renacie – jak zuchwałym, oryginalnym jest stworzeniem i jaką nieustanną walkę prowadzi z groźbą pasywności, uniwersalną groźbą. Jeżeli ja sformułowałem tę myśl, groźba musiała być uniwersalna. W tych ostatnich czasach nie zaprzętałem sobie głowy drobnostkami. Uniwersalizowanie wszystkiego stawało się moją manią, powiedziałem sobie, wkładając drugą parę butów. Były to lekkie jak piórko czerwone buty od Harrodsa, przyciasne w palcach, ale swoją lekkością i elegancją budzące zachwyt czarnego czyścibuta w Klubie. I w tych mokasynach, trochę uwierających lecz wygodnych, zszedłem na dół.

Ten dzień należał do Humboldta, był naładowany jego duchem. Zrozumiałem, jak silne emocje to we mnie budzi, kiedy wkładając kapelusz, poczułem w obu ramionach nie dające się opanować drżenie. Kiedy zbliżałem się do Kathleen, jedna połowa twarzy też mi drgała. Stary doktor Galvani dobrał się do mnie, pomyślałem.

Zobaczyłem dwóch mężczyzn, mężów w grobach, ich rozkładające się ciała. Miłość tej pięknej pani nie uratowała ich od śmierci. I zaraz potem stanęła przede mną wizja ducha Humboldta w kształcie ciemnej, szarej chmury. Miała grube policzki, gęste włosy sterczały wysoko na głowie. Szedłem w kierunku Kathleen, a tymczasem trzysobowy zespół grał utwory, które Renata nazywała „ptifurkową muzyką”. Zabrali się teraz do Carmen, powiedziałem:

– Chodźmy do jakiegoś cichego, ciemnego baru. Przede wszystkim cichego.

Podpisałem kelnerowi oszałamiający rachunek i przechadzaliśmy się z Kathleen po zimnych ulicach, póki nie znaleźliśmy sympatycznego baru na Pięćdziesiątej Szóstej Ulicy Zachodniej. Bar był dostatecznie ciemny, żeby zadowolić wszelkie gusta, i nie za bardzo gwiazdkowy.

Mieliśmy mnóstwo do nadrobienia. Przede wszystkim należało porozmawiać o biednym Tiglerze. Nie mogłem z siebie wydusić, że był miłym człowiekiem, bo wcale nie był miły. Stary koniarz tupał nogą jak Titelitury i wpadał w złość, kiedy rzeczy szły nie po jego myśli. Największą satysfakcję dawało mu nabijanie w butelkę i oskubywanie ludzi. A gardził nimi jeszcze bardziej, jeżeli byli zbyt nieśmiali, żeby protestować.

Jego turyści, a ja byłem jednym z nich, nie dostawali ciepłej wody. Światło gasło i ludzie siedzieli po ciemku.

Jeżeli szli na skargę do Kathleen, wychodzili od niej pełni współczucia i przepraszający – nienawidzili jego i kochali ją. Ale Kathleen nie była jedną z moich „kobiet zyskujących przez kontrast”. Ta blada, piegowata, spokojna kobieta o długich rękach i nogach miała własne niezaprzeczalne zalety. Najważniejszy był jej spokój. Humboldt grał rolę wściekłego turka, a ona była jego chrześcijańską branką, czytającą w wyładowanym książkami wiejskim saloniku, na jałowej ziemi kurzych farm, gdy tymczasem rdzawe słońce z uporem próbowało przesączyć trochę barwy przez małe brudne okna. Potem Humboldt rozkazywał jej włożyć sweter i wyjść na dwór. Uganił się za piłką futbolową, jak dwaj jasnowłosi rekruci. Zataczając się do tyłu na niewygodnych obcasach, Humboldt wybijał piłkę, która leciała nad sznurami do wieszania bielizny i między konarami pożółkłych jesiennych klonów. Pamiętałem każdy szczegół – jak Kathleen biegła do piłki, jak jej głos płynął za nią, jak wyciągała ramiona i schwytawszy drgającą piłkę, przyciskała ją do piersi, jak później ona i Humboldt siedzieli razem na kanapie i pili piwo. Moje wspomnienie było tak pełne, że widziałem w oknie koty, z których jeden miał wąsy Hitlera. Słyszałem swój własny głos. Kathleen dwukrotnie była śpiącą królewną, zaczarowaną przez demonów-kochanków. „Wiesz, co mówią moi zacofofani sąsiedzi? – powiedział Humboldt. Mówią, że buty trzeba im chować do szafy. Czasem, dodał, myślę o Erosie i Psyche”. Pochlebiał sobie. Eros był piękny i przychodził, i odchodził z godnością. A co z godnością Humboldta? Zabrał Kathleen jej prawo jazdy. Schował kluczyki od samochodu. Nie pozwolił założyć ogródka, ponieważ uprawianie ziemi, oznajmił, wyraża chęć reformowania filistra, objawioną przez ludzi z miasta kupujących wymarzony dom na wsi. Koło drzwi kuchennych rośnię kilka pomidorów, ale wysiały się same, kiedy szopy przewróciły kubeł na śmieci. Zapewnił mnie z powagą: „Kathleen i ja mamy do wykonania pracę intelektualną. Zresztą gdybyśmy hodowali owoce i kwiaty, zwróciłoby to na nas uwagę”. Bał się zamaskowanych nocnych jeźdźców i płonących krzyży na swoim podwórzu.

Współczułem bardzo Kathleen, bo tak dużo spała. Zastanawiałem się nad jej sennością. Czy urodziła się, żeby pozostawać w mroku? Nie osiągnięcie świadomości było warunkiem błogostanu psyche. Ale istniało może bardziej praktyczne wyjaśnienie. Obcisłe dzinsy Tiglera ujawniały z przodu ogromny seksualny garb, a Humboldt, kiedy biegł za przyjaciółką Demmie do jej mieszkania, między małutkimi jamnikami, wrzeszczał: „Jestem poetą, mam dużego kutasa!” Ale podejrzewałem, że Humboldt miał charakter tyrana, żądającego od kobiety bierności i że w łóżku był rozszalałym dyktatorem. Nawet jego ostatni list do mnie potwierdzał tę interpretację. Niemniej... skąd można wiedzieć? Kobieta bez tajemnic nie jest w ogóle kobietą, a Kathleen prawdopodobnie zdecydowała się wyjść za Tiglera, ponieważ życie w Nevadzie jest takie samotne. Dość tego pomysłowego analizowania.

Ulegając mojej słabostce mówienia ludziom tego, co pragną usłyszeć, powiedziałem:

– Kathleen, Zachód ci służy. – Zresztą w mniejszym czy większym stopniu była to prawda.

– Wyglądasz dobrze, Charlie, ale jesteś trochę mizerny.

– Życie jest takie irytujące. Może sam powinienem spróbować Zachodu. Kiedy była pogoda, lubiłem leżeć pod czarnym bzem na twoim rancho i całymi dniami przyglądałem się górcom. No, ale Huggins powiedział, że masz jakąś pracę związaną z filmem i wybierasz się do Europy.

– Tak. Byłeś u nas, kiedy ekipa filmowa przyjechała nad Volcano Lake, żeby nakręcić film o Mongolii Zewnętrznej, i wynajęła wszystkich Indian razem z ich konikami.

– Tigler został wtedy konsultantem technicznym.

– A ojciec Edmund... pamiętasz go chyba, ten gwiazdor niemego olmu i duchowny episkopalny... taki był wszystkim przejęty. Biedny ojciec Edmund nie otrzymał swoich święceń kapłańskich. Wynajął kogoś, to mu napisał pracę egzaminacyjną z teologii, ale zostali przyłapani. Wielka szkoda, bo Indianie go uwielbiali i byli dumni, że jego szaty to dawne negliże gwiazd filmowych. Tak, jadę do Jugosławii, a potem do Hiszpanii. Te oba kraje są w ostatnich czasach rajem dla producentów filmowych. W Hiszpanii można wynająć pułk żołnierzy, a Andaluzja nadaje się idealnie do westernów.

– Dziwne, że wspominasz Hiszpanię. Zastanawiam się, czy tam nie pojechać.

– Naprawdę? Od pierwszego marca będę w Grand Hotelu w Almerii. Byłoby cudownie, gdybyśmy się tam spotkali.

– To dobra odmiana dla ciebie – powiedziałem.

– Zawsze życzyłeś mi dobrze, Charlie. Wiem.

– Ten dzień jest wielkim dniem Humboldta, ważnym dniem, od samego rana nabierająca szybkości spirala, więc jestem w szalonym napięciu uczuciowym. A jakby było mało tych emocji, spotkałem u wuja Waldemara kogoś, kogo znam z dzieciństwa. Bardzo mnie to wszystko przejęło.

– Huggins mi mówił, że jedziesz na Coney Island. Wiesz, Charlie, były takie chwile w Nevadzie, kiedy sobie myślałem, że przesadzasz z tym swoim przywiązaniem do Humboldta.

– To możliwe, zresztą próbowałem się hamować. Zadaję sobie pytanie, skąd tyle entuzjazmu? Jego osiągnięcia jako poety czy myśliciela nie były aż tak imponujące. I to nie jest nostalgia za dawnymi dobrymi czasami. Czy chodzi o to, że liczba ludzi w Stanach, którzy traktują poważnie sztukę i myśl, jest tak niewielka, że nie możemy zapomnieć nawet tych, którzy oblali egzamin? – Tutaj byliśmy bliżsi sedna. Miałem zamiar zinterpretować dobro i zło w Humboldcie, zrozumieć jego upadek, wyjaśnić smutek jego życia, zrozumieć, dlaczego taki talent dał mało znaczące rezultaty, i tak dalej. Ale były to cele trudne do dyskusowania nawet w tym moim egzaltowanym nastroju, kiedy miałem tyle czułości dla Kathleen i tyle w sobie cudownego bólu. – Dla mnie Humboldt miał czar, starodawną magię.

– Chyba go kochałeś – powiedziała. – Naturalnie ja za nim szalałam. Przenieśliśmy się do New Jersey, co byłoby piekłem, nawet gdyby on nie miewał nawrotów obłądzenia. Ten mały domek wydaje mi się teraz częścią jakiejś strasznej pułapki. Ale pojechałabym z nim na biegun północny. A radosne podniecenie dziewczyny z college’u, wchodzącej w świat literacki, grało tylko niewielką rolę. Nie lubiłam większości jego przyjaciół. Schodzili się, żeby obejrzeć widowisko, jakie im Humboldt urządzał, jego gierki. Kiedy odchodzili, a on był wciąż natchniony, mnie dawał szkołę. Był człowiekiem towarzyskim. Mówił często jak bardzo chciałby się obracać między błyskotliwymi ludźmi, być częścią świata literackiego.

– Otóż to. Nigdy nie istniał taki świat literacki – powiedziałem. – W dziewiętnastym wieku było kilku naprawdę genialnych samotników... taki Melville czy Poe nie należeli do żadnego świata literackiego. Dla jednego był to urząd celny, dla drugiego szynk. Poeci mimo wszystkich przeciwności wyłaniają się znikąd. Skąd przyszedł Whitman i gdzie znalazł to, co miał? Był W. Withmanem, niepohamowaną jednostką, która coś posiadała i czegoś dokonała.

– No cóż, gdyby było bogate życie literackie i gdyby Humboldt mógł dwa razy na tydzień pić herbatę z Edith Wharton i widywać się z Robertem Frostem i T. S. Eliotem, czułby biedak, że ma oparcie, uznanie i że jego talent jest nagradzany. Po prostu nie umiał wypełnić pustki, jaką odczuwał dokoła siebie – powiedziała Kathleen. – Był naturalnie czarodziejem. Czuję się przy nim taka ślamazarna, ślamazarna! Obmyślał przeciwko mnie niesłychanie pomysłowe oskarżenia. Cała ta inwencja powinna znaleźć się w jego poezji. Humboldt miał za dużo osobistych powiązań. Te powiązania pochłaniały za dużo jego talentu. Jako jego żona musiałam ponosić konsekwencje. Ale nie mówmy o tym. Chcę cię spytać... kiedyś napisaliście scenariusz?

– Och, takie bzdury dla zabicia czasu w Princeton. Wspomniałaś o tym tej młodej kobiecie, pani Cantabile. Jaka ona jest?

– Jest ładna. Jest w staroświecki sposób grzeczna i przysyła ceremonialne liściki, żeby podziękować za miły lunch. I jednocześnie maluje paznokcie jaskrawym lakierem, ubiera się wyzywająco i ma ostry, szorstki głos. Kiedy z nią rozmawiasz, ogłusza cię wrzaskiem. Mówi jak gangsterska dziwka, ale zadaje pytania studentki po

dyplocie. Tak czy inaczej, zabieram się teraz do robienia filmów i ciekawi mnie to, co napisaliście z Humboldtem. Ostatecznie film zrobiony z twojej sztuki był wielkim sukcesem.

– Kathleen, z naszego scenariusza nie mógłby powstać film. Obsada miała się składać między innymi z Mussoliniego, papieża, Stalina, Calvina Coolidge’a, Amundsena i Nobilego. Nasz bohater był ludożercą. Potrzebny nam był sterowiec i wioska sycylijska. W. C. Fields mógł się tym zachwycić, ale tylko obłąkany producent wpakowałby w to pieniądze. Naturalnie w tych sprawach trudno cokolwiek przewidzieć. Kto w roku 1913 zainteresowałby się scenariuszem pierwszej wojny światowej? Albo gdybyś ty, zanim się urodziłem, przedłożyła mi historię mojego życia i poprosiła, żebym żył według niej, czy nie odprawiłbym cię z kwitkiem?

– Ale co z tą twoją szlagierową sztuką?

– Kathleen, uwierz mi. Byłem tylko gąsienicą, która wysnuła jedwabną nić kokonu. Inni ludzie zrobili z tego jedwabiu teatralną szatę. A teraz powiedz, co ci Humboldt zostawił?

– Och, przede wszystkim zdumiewający list.

– Ja też dostałem list. Najzupełniej normalny.

– Mój jest bardziej powikłany. Jest za osobisty, żebym ci go mogła pokazać, nawet teraz. Wyliczył w nim zbrodnie, które jakoby popełniłam. Jego zamiarem było mi przebaczyć wszystko, ale przebacząc, wchodzi w szczegóły i dalej mówi o Rockefellerach. Ale są tam miejsca najzupełniej zrównoważone. Piękne, prawdziwe rzeczy.

– Czy to wszystko, co ci zostawił?

– Nie, Charlie, nie, zapisał mi coś innego. Papiery. Jeszcze jeden pomysł na film. Dlatego pytałam o to, coście we dwóch wymyślili w Princeton. Ale powiedz, co Humboldt zostawił tobie prócz tego listu?

– Zdumiewające! – wybuchnąłem.

– Co jest zdumiewające?

– To, co Humboldt zrobił. Taki był chory, umierał, rozpadał się, a miał jeszcze tyle inwencji.

– Nie rozumiem.

– Powiedz, Kathleen, czy ten dokument... ten szkic scenariusza, jest o pisarzu? I czy ten pisarz ma despotyczną żonę?

I czy ma też młodą i piękną kochankę? I czy wyruszają w podróż? I czy on po tym pisze książkę, której nie może opublikować?

– Ależ tak. Rozumiem. Naturalnie. Dokładnie to samo, Charlie.

– Co za skurwysyn! I jakie to wspaniałe! Wszystko powielił. Ta sama podróż z żoną. I te same papiery dla nas obojga.

Przyglądała mi się w milczeniu. Jej wargi poruszyły się, uśmiechnęły.

– Jak to, myślisz, że dał nam ten sam prezent?

– Czy mogłabyś dać głowę, że jesteśmy jego jedynymi spadkobiercami? Cha, cha! Wypijmy za jego obłąkaną pamięć. Był cudownym człowiekiem.

– Tak, był cudownym człowiekiem. Tak strasznie bym chciała... czy myślisz, że on to wszystko zaplanował? – spytała Kathleen.

– Kto to nie mógł wypić filiżanki herbaty, żeby nie obmyślić wpiern fortelu? Chyba Alexander Pope. Humboldt też był taki. I do końca marzył o cudem zdobytej fortunie. Umierał, ale jeszcze chciał zdobyć dla nas bogactwo. W każdym razie jeżeli do ostatka zachował poczucie humoru, czy choćby jego ślady, już to samo jest zdumiewające. I chociaż był obłąkany, napisał co najmniej dwa racjonalne listy. Popełnię dziwną metaforę – żeby tego dokonać, Humboldt wyłamał się ze swojego pancerza zakrzepłego obłąd. Można powiedzieć, że wyemigrował w ten obłąd już bardzo dawno temu. Osiedł tam na stałe. I może dla nas zdobył się na odwiedzinę Starego Kraju. Żeby jeszcze raz zobaczyć przyjaciół? A mogło to być dla niego tak trudne, jak dla kogoś... powiedzmy dla mnie... przenieść się z tego świata w świat duchów. Albo, używając innego dziwnego porównania, dokonał sztuczki Houdiniego i uciekł ze stwardniałych kręgów paranoi czy psychozy

maniakalno-depresyjnej, cokolwiek to było. Ludzie śpiący budzą się przecież. Wygnańcy i emigranci wracają, a umierający geniusz może ożyć. „Końcowa jasność umysłu”, napisał mi w liście.

– Nie przypuszczam, żeby pod koniec życia miał dość siły na dwa oddzielne podarki, po jednym dla każdego z nas.

– Albo spójrz na to w inny sposób – powiedziałem. – Pokazał nam to, czego miał najwięcej: zamiłowanie do intryg, spisków. Nikt na świecie nie mógłby zrobić z nich lepszego użytku. Pamiętasz tę słynną intrygę z Longstaffem?

– Czy myślisz, że mogło mu chodzić o jeszcze coś innego?

– Jeszcze jeden cel? – spytałem.

– Coś w rodzaju pośmiertnej próby charakterów – powiedziała.

– Był najgłębiej przekonany, że mój charakter jest beznadziejny. Twój chyba też. No cóż, szalenie nas ożywił. Siedzimy tu i śmiejemy się, i podziwiamy go... i jakie to wszystko smutne! Jestem bardzo wzruszony. Oboje jesteśmy wzruszeni.

Kathleen, spokojna i duża, uśmiechała się łagodnie, tylko kolor jej ogromnych oczu nagle się zmienił. Napłynęły do nich łzy. Ale dalej siedziała bierna. Taka była Kathleen. Nie wypadało o tym wspominać, ale kto wie, czy Humboldt nie zamierzał nas połączyć. Niekoniecznie, żebyśmy zostali mężem i żoną, ale żeby zjednoczyć nasze uczucia dla niego i stworzyć wspólny pomnik. Bo po jego śmierci bylibyśmy dalej (przez jakiś czas) czynni na tej złudnej ludzkiej scenie i może dałoby mu to satysfakcję i rozproszyło nudę grobu, gdyby wiedział, że poświęcamy się jego przedsięwzięciu. Bo kiedy taki Platon czy Dante, czy Dostojewski przemawiali za nieśmiertelnością, Humboldt, gorliwy wielbiciel tych ludzi, nie mógł powiedzieć: „Byli genialni, ale nie musimy brać ich idei poważnie”. Ale czy on sam brał nieśmiertelność poważnie? Nic na ten temat nie powiedział. Powiedział natomiast, że jesteśmy nadprzyrodzeni, a nie ziemscy. Dałbym wszystko, żeby się dowiedzieć, co miał na myśli.

– Bardzo trudno jest zastrzec prawa autorskie dla tych scenariuszy czy też nowel filmowych – wyjaśniła Kathleen. – I Humboldt zasięgał widocznie fachowej rady co do ochrony prawnej... Włożył do koperty i zapieczętował oryginał scenariusza, poszedł na pocztę i nadał to listem poleconym na swój adres. Chodziło o to, żeby tego nikt nie otwierał. Myśmy czytali kopie.

– Otóż to. Ja mam dwie takie koperty.

– Dwie?

– Tak – odparłem. – W drugiej jest to, co obmyśliliśmy w Princeton. Teraz już wiem, czym on się zabawiał w tym potwornym hotelu. Obmyślał cały ten plan w najdrobniejszych szczegółach i z ceremonialną formalnością. W sam raz coś dla niego.

– Posłuchaj, Charles, dzielimy się po połowie – powiedziała Kathleen.

– Ależ dziecinko, w sensie handlowym to jest zero – odparłem.

– Wręcz przeciwnie – oznajmiła Kathleen stanowczym głosem. Słyszając to, znowu jej się przyjrzałem. Takie obstawanie przy własnym zdaniu było dla Kathleen, zazwyczaj nieśmiałej, czymś nietypowym. – Dałam to do przeczytania ludziom z filmu i podpisałam formalną umowę. Zapłacili mi honorarium za prawa wyłączności, trzy tysiące dolarów. Połowa jest twoja.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś za to zapłacił?

– Miałam dwie propozycje i mogłam wybierać. Zdecydowałam się na Steinhals Productions. Gdzie mam ci posłać czek?

– W tej chwili nie mam adresu. Jestem tu przejazdem. Ale nie, Kathleen. Nie wezmę tych pieniędzy. – Zastanawiałem się, jak przekazać tę wiadomość Renacie. Tak inteligentnie ośmieszała dar Humboldta, że w imieniu naszej odchodzącej generacji, Humboldta i mojej, czułem się urażony. – Czy ktoś pisze scenariusz?

– Sprawa jest poważnie brana pod rozwagę – powiedziała Kathleen. Od czasu do czasu jej głos wzbijał się aż do dziewczęcego sopranu. Załamywał się.

– Jakie to interesujące. Jakie obłąkane. Jedna spleciona masa nieprawdopodobieństw – powiedziałem. – Chociaż zawsze trochę się chełpiłem moimi osobistymi dziwactwami, zacząłem jednak podejrzywać, że może

są tylko słabym odbiciem tysiąca prawdziwych i potężniejszych dziwactw gdzieś tam, tam – że może nie są mimo wszystko takie osobiste i że jest to może kondycja ogólna. I dlatego burleska, którą Humboldt napisał o miłości i ambicji, i wszystkich tych małych figlach, może się wydawać biznesmenom od filmu wiarygodna.

– Mam dobrych adwokatów i mój kontrakt ze Steinhals Productions opiewa na minimum trzydzieści tysięcy dolarów, jeżeli opcja zostanie wykorzystana. Powinniśmy otrzymać ponad siedemdziesiąt tysięcy, co będzie zależało od budżetu. Dowiemy się o wszystkim w ciągu niecałych dwóch miesięcy. W końcu lutego. A ja uważam, Charlie, że jako współwłaściciele praw powinniśmy spisać oddzielne umowy.

– Słuchaj, Kathleen, nie powiększajmy surrealizmu sytuacji. Żadnych umów. I te pieniądze nie są mi potrzebne.

– Do dzisiaj też bym tak myślała, przecież wszyscy mówią o twoim milionowym majątku. Ale zanim podpisałeś ten rachunek w Sali Palmowej, sprawdzałeś go dwa razy, od góry do dołu i od dołu do góry. Zbladłeś. I widziałam, jak ze sobą walczysz, zanim dałeś napiwek. Nie bądź taki speszony, Charles.

– Nie, nie, Kathleen. Mam mnóstwo pieniędzy. To tylko jeden z moich psychicznych remanentów Wielkiego Kryzysu. A poza tym takie złodziejstwo! To oburza nas, ludzi starej daty.

– Ale wiem, że masz procesy sądowe. Wiem, czym to pachnie, jak sędziowie i adwokaci dobierają się do człowieka. Nie na darmo prowadziłam turystyczne rancho w Nevadzie.

– Naturalnie nie jest łatwo utrzymać pieniądze. To jakby ktoś zamknął w garści kostkę lodu. I nie można tak sobie po prostu zbić majątku i potem żyć spokojnie. Taka ewentualność nie istnieje. I tego Humboldt prawdopodobnie nie rozumiał. Ciekaw jestem, czyjemu się zdawało, że to pieniądze stanowią o sukcesie czy klęsce? W takim razie nic nie rozumiał. Razem ze zdobyciem pieniędzy człowiek przechodzi metamorfozę. I musi walczyć z potężnymi siłami w sobie samym i na zewnątrz. W sukcesie nie ma prawie nic osobistego. Sukces jest zawsze sukcesem pieniędzy.

– Po prostu usiłujesz zmienić temat. Zawsze byłeś bystrym obserwatorem. Przez lata przyglądałam ci się, jak ostrożnie obserwujesz ludzi. Jakbyś ty ich widział, a oni ciebie nie. Ale wiesz, Charlie, nie ty jeden obserwujesz ludzi.

– Czy mieszkałbym w Płaza, gdybym był o krok od bankructwa?

– Z młodą kobietą? Tak.

Ta rosła, zmieniona, ale wciąż przystojna kobieta o załamującym się niekiedy przenikliwym głosie, z wyrazem ładnej melancholii w lekko wklęsłych policzkach, badała uważnie moją twarz. Jej spojrzenie, nadal trochę jakby płochliwe z długiego nawyku bierności, było ciepłe i serdeczne. Natychmiast się wzruszam, kiedy ktoś zadaje sobie trud, żeby zauważyć moją sytuację.

– Wiem, że jesteś w drodze do Europy z tą panią. Huggins mi powiedział.

– To prawda – przyznałem.

– Żeby...?

– Żeby co? – odparłem. – Jeden Bóg wie. – Mogłem powiedzieć jej więcej. Mogłem jej wyznać, że nie biorę już poważnie zagadnień branych poważnie przez wielu poważnych ludzi, zagadnień z dziedziny metafizyki czy polityki, błędnie sformułowanych. A więc czy istniały jakieś powody, żebym miał wyraźnie określony czy praktyczny motyw mojej podróży do Włoch z piękną istotą? Goniłem za szczególną czułością, goniłem za miłością i zaspokojeniem, kierując się pobudkami, które byłyby na miejscu trzydzieści lat temu. Jak by to było, gdybym po sześćdziesiątce dościsnął to, za czym tęskniłem w wieku lat dwudziestu? Co bym zrobił z tym czymś w końcu zdobytym? Namyslałem się, czy nie otworzyć duszy przed tą wspaniałą kobietą. Pewne oznaki zdawały się wskazywać, że ona też wychodzi ze stanu duchowego uśpienia. Moglibyśmy omówić wiele fascynujących tematów – na przykład dlaczego sen uszczelnia ludzką duszę, dlaczego budzenie się jest tak konwulsyjne i czy według niej duch może się poruszać niezależnie od ciała, i czy jej się wydaje, że jest może pewien rodzaj świadomości, która nie potrzebuje oparcia w biologii. Kusilo mnie, żeby powiedzieć Kathleen, że ja osobiście mam pewne pomysły zrobienia czegoś w sprawie śmierci. Zastanawiałem się, czy nie przedyskutować z nią poważnie zadania, jakie wyznaczył pisarzom Walt Whitman, który wierzył, że demokracja upadnie, jeżeli poeci nie ofiarują jej wielkich poematów o śmierci. Czułem, że Kathleen jest kobietą, z którą mogę mówić. Ale sytuacja była zenująca. Stary babiarz, który stracił głowę dla pięknej awanturnicy polującej na pieniądze, romansowy facet, który jest w przededniu spełnienia marzeń swoich lat młodości, nagle chce rozprawiać o nadwrażliwej świadomości i o wielkim poemacie śmierci

poświęconym demokracji! Dajże spokój, Charlie, świat i tak jest dostatecznie pomyłony. Właśnie dlatego, że Kathleen była kobietą, z którą mogłem mówić, milczałem. Z szacunku. Pomyślałem, że poczekam, dopóki nie zastanowią się nad tymi sprawami w sposób bardziej dojrzały, dopóki nie będę wiedział więcej.

Powiedziała:

– W przyszłym tygodniu jadę do Belgradu, zatrzymam się w hotelu Metropol. Będziemy w kontakcie. Każę sporządzić umowę, podpiszę i przyślę ci.

– Nie, nie, dajmy temu spokój.

– Dlaczego? Nie chcesz wziąć ode mnie swoich własnych pieniędzy, ponieważ jestem wdową? Aleja wcale nie chcę twojej części. Spójrz na to od tej strony.

Była dobrą kobietą. I dostrzegła prawdę – wydawałem ogromne sumy na Renatę i niedługo będę zrujnowany.

* * *

– Kochanie, dlaczego ukradłaś mi but? – spytałem.

– Nie mogłam się powstrzymać – odparła wielka Renata. – Jak ci się kuśtykało na górę w jednym bucie? Co sobie twoja przyjaciółka pomyślała? Głowę dam, że była heca. Charlie, humor nas łączy. To fakt.

Humor miał w tym związku przewagę nad miłością. Mój charakter i zwyczaje bawiły Renatę. To rozbawienie było tak intensywne, że moim zdaniem mogło przerodzić się w miłość. Bo w żadnym wypadku nie zamierzałem rezygnować z miłości.

– Zdjąłaś mi też but pod stołem w Paryżu.

– Owszem, tego wieczoru, kiedy ten ohydny człowiek powiedział ci, że twoja wstążeczka Legii Honorowej jest bez żadnej wartości, i umieścił cię w jednej kategorii ze śmieciarzami i hodowcami świń. Była to jakby zemsta, pociecha, frajda, wszystko razem – oznajmiła Renata. – Pamiętasz, co później powiedziałam, co mi się wydawało takie śmieszne?

– Tak, pamiętam.

– Co powiedziałam, Charlie?

– Powiedziałam, że wietrzyć ją to rzecz ludzka.

– Wietrzyć ją to rzecz ludzka, a obnażać to rzecz boska. – Roześmiała się, ciemnowłosa, z pięknym makijażem na twarzy, ubrana w szkarłatny kostium podróżny. – Och, Charlie, daj spokój tej idiotycznej podróży do Teksasu. Będziesz mi potrzebny w Mediolanie. Nie pójdzie mi łatwo z Bifemem. Twój brat wcale nie chce, żebyś do niego przyjeżdżał i nic mu się od ciebie nie należy. Kochasz go, ale on cię terroryzuje, a ty nie umiesz się bronić przed brutalami. Otwierasz przed nimi zbolełe serce, a oni cię kopią w tyłek. Ty wiesz i ja wiem, co on sobie pomyśli. Pomyśli sobie, że przylatujesz w takiej cikliwej chwili, żeby go naciągnąć na udział w jednej z jego korzystnych transakcji. Powiedz, Charlie, czy on nie będzie miał częściowo racji? Nie chcę się wtrącać w twoje sprawy, ale podejrzewam, że przydałaby ci się teraz jakaś radykalna finansowa odmiana. I jeszcze jedno. Będziesz się zmagać z jego żoną o prawo do roli głównego żałobnika, gdyby miało się coś zdarzyć, a co to dla niego za frajda oglądać swoich dwóch głównych żałobników, kiedy idzie pod nóż? Słowem, tracisz czas. Jedź ze mną. Marzę o tym, żeby wyjść za ciebie za mąż w Mediolanie, pod moim prawdziwym panieńskim nazwiskiem, Biferno, prowadzona do ołtarza przez mojego ojca.

Chciałem zaspokoić jej pragnienia. Zasługiwała na to, żeby sprawy układały się po jej myśli. Byliśmy teraz na lotnisku Kennedy'ego i Renata w swoim niezrównanym kapeluszu, w długim, eleganckim kozuchu, szaliku od Hermesa i wysokich butach była równie nieosiągalna jako własność prywatna co wieża w Pizie. A jednak domagała się własnych praw, prawa do problemów tożsamości, do posiadania ojca, męża. Jakie to głupie, co za degrengolada! A jednak z wyższej hierarchicznej płaszczyzny jakiegoś niewidocznego obserwatorowi mogło się zdawać, że ja roszczę sobie podobne prawa do ładu, racjonalności, rozwagi i innych mieszczkańskich cnót.

– Chodźmy się czegoś napić w salonie dla ważnych osobistości. Nie chcę pić w tym hałasie i z brudnych szklanek.

– Kiedy ja już do nich nie należę.

– Charles – powiedziała – jest ten gość Zitterbloom... ten, przez którego straciłeś rok temu dwadzieścia tysięcy dolarów na wierceniach naftowych, kiedy niby miał ci wyrobić ulgi podatkowe. Zadzwoń do niego, niech to załatwi. W zeszłym roku sam proponował. „W każdej chwili, Charlie”.

– Czuję się przez ciebie jak rybak z bajki Grimma, któremu żona kazała pójść nad brzeg morza i poprosić zaczarowaną rybę o pałac.

– Uważaj, co mówisz. Ja nie jestem jędrza – powiedziała.

– Mamy prawo napić się na pożegnanie w trochę elegantszym miejscu, a nie między tym rozpychającym się wstrętnym tłumem.

Wobec tego zadzwoniłem do Zitterblooma, którego sekretarka z łatwością wszystko załatwiła. Skłoniło mnie to do refleksji, jak dużo człowiek może uratować ze swoich klęsk i strat, jeżeli naprawdę mu na tym zależy. W posepnym nastroju pożegnania piłem wódkę z sokiem pomidorowym, rozmyślając o ryzyku, jakie podejmuję dla mojego brata, i jak mało on to doceni. Ale mimo wszystko muszę ufać Renacie. Idealna męskość tego wymaga i praktyczny rozsądek musi się pogodzić z wymaganiami idealnej męskości. Nie chciałem jednak, żeby mi ktoś kazał z miejsca przepowiedzieć, jak się to wszystko skończy, bo gdybym musiał przepowiedzieć, wszystko zniknęłoby w trąbie powietrznej.

– A co myślisz o flakonie Ma Griffe w sklepie bezcłowym? – spytała.

Kupiłem jej duży flakon, mówiąc:

– Dostarczą ci to na pokładzie samolotu i nawet nie będę wiedział, jak pachniesz.

– Nie martw się, zaoszczędzimy wszystko na ponowne spotkanie. Tylko niech ci twój brat nie podsuwa jakichś dziewczyn w Teksasie.

– To byłaby chyba ostatnia rzecz, jaka by mu przyszła do głowy. Ale co z tobą, Renata, kiedy ostatni raz mówiłaś z Flonzaleyem?

– Możesz zapomnieć o Flonzaleju. Zerwaliśmy na dobre. To nawet miły człowiek, ale nie mogę się przyzwyczaić do tej jego pogrzebowej branży.

– Jest bardzo bogaty.

– Tak, robi krocie w tej robocie – powiedziała, w stylu, za który ją kochałem. – Jako prezes nie musi już sam zajmować się nieboszczykami, ale nie mogę zapomnieć, że na początku balsamował ciała. Naturalnie nie zgadzam się z tym Frommem, który mówi, że nekrofilia zakradła się do cywilizacji. Ale mówiąc poważnie, Charlie, jak bym wyglądała, gdybym z takim ciałem jak moje nie była całkiem normalna.

Niemniej byłem dość markotny i zastanawiałem się, ile prawdy mówi mi Renata, a nawet czy się jeszcze zobaczymy. Ale mimo wszystkich osaczających mnie trosk czułem, że duchowo robię postępy. W najbardziej nawet sprzyjających okolicznościach rozstania i odjazdu wytrącają mnie z równowagi, więc dręczył mnie teraz wielki niepokój, czułem jednak, że mam w środku coś, na czym mogę polegać.

– Do widzenia, kochanie. Zatelefonuję do ciebie jutro z Mediolanu – powiedziała Renata i całowaliśmy się wiele razy. Wydawała się bliska płaczu, ale nie było łez.

Szedłem tunelem linii TWA, jakby to był nie kończący się kanał czy korytarz z ekspresjonistycznego filmu, po czym sprawdzono, czy nie mam broni, i w końcu wsiadłem do samolotu odlatującego do Houston. Przez całą drogę do Teksasu czytałem okultystyczne książki. Było w nich wiele przejmujących ustępów, do których za jakiś czas wrócę. Do Corpus Christi dotarłem po południu i wynająłem pokój w motelu. Stamtąd pojechałem do domu Juliusza – dom był duży, nowy, otoczony palmami, dzakarandami, śliwkami japońskimi i drzewkami cytrynowymi. Trawniki wyglądały jak sztuczne, przypominały zieloną wełnę drzewną czy papierowe wiórki do pakowania. Na podjeździe stały zaparkowane luksusowe samochody, a kiedy nacisnąłem guzik przy wejściu, rozbrzmiały gongi i dzwony, i psy zaczęły szczekać. System alarmowy był bardzo wymyślny. Odbezpieczono ciężkie rygle i moja bratowa, Hortensja, otworzyła szerokie drzwi, pokryte polinezyjskimi płaskorzeźbami. Wrzasnęła na psy, ale w jej głosie brzmiała nuta czułości. Potem zwróciła się do mnie. Była szorstką, porządną osobą o niebieskich oczach i pulchnych wargach. Trochę oślepiona dymem papierosa, którego nie wyjęła z ust, powiedziała:

– Charles? Jak się tu dostałeś?

– Wynająłem samochód. Jak się masz, Hortensjo?

– Juliusz na ciebie czeka. Ubiera się teraz. Idź do niego.

Psy były niewiele mniejsze od koni. Uspokoiła je i poszedłem w kierunku sypialni pana domu, witając po drodze dzieci, moich bratanków, którzy nie odpowiedzieli ani słowem. Nie miałem wcale pewności, czy jestem dla nich członkiem rodziny. Wszedłem i zobaczyłem mojego brata, Ulicka, w prążkowanych bokierskich szortach sięgających kolan.

– Przypuszczałem, że to ty, Chuckie – powiedział.

– No więc jestem, Ulick – odparłem. – Nie wyglądał dobrze. Brzuch miał duży, sutki piersi sterczące. Między nimi rosły gęsto jedwabiste siwe włosy. Ale jak zwykle panował nad sytuacją. Było coś władczego w jego długiej głowie z prostym nosem i doskonale ostrzyżonymi gładkimi siwymi włosami, we władczym wąsie i dowcipnych oczach rzucających ostre błyski spod obwisłych powiek. Zawsze nosił luźne szorty, wołał takie. Ja z zasady wołałem krótsze i bardziej obcisłe. Rzucił mi jedno ze swoich zawziętych spojrzeń. Całe życie było między nami. Dla mnie było nieprzerwane, ale Ulick należał do ludzi, którzy zawsze chcą na nowo układać warunki. Niczego nie należy brać za rzecz trwałą. Braterskie uczucia, jakie przywoziłem, dezorientowały go i krępowały, pochlebiali mu i budziły w nim podejrzliwość. Czy jestem przyzwoitym człowiekiem? Czy jestem naprawdę niewinny? I w ogóle czy jestem coś wart? Ulick miał wobec mnie te same trudności z ostateczną klasyfikacją, jakie ja miałem z Thaxterem.

– Jak już musiałeś przyjechać, trzeba było lecieć prosto do Houston. Jutro tam jedziemy. – Widziałem, że walczy ze swoimi braterskimi uczuciami. Wciąż jeszcze były natrętnie obecne. Ulick bynajmniej się ich wszystkich nie wyżył.

– Och, ten dodatkowy lot nie miał znaczenia. Zresztą nie miałem nic specjalnego do roboty w Nowym Jorku.

– Słuchaj, muszę dzisiaj po południu obejrzyć pewną posiadłość. Chcesz jechać ze mną czy wolisz popływać w basenie? Jest ogrzewany. – Kiedy ostatni raz wszedłem do basenu, jeden z jego ogromnych psów ugryzł mnie w nogę, bardzo krwawiło. I nie przyjechałem, żeby się kąpać, a on o tym wiedział. – No cóż, cieszę się, że jesteś – dodał. Odwrócił swoją imponującą twarz i spojrzał w przestrzeń, podczas gdy jego mózg, doskonale wyćwiczony w kalkulacjach, obliczał szanse. – Ta operacja spaskudzi dzieciom gwiazdkę – powiedział. – A ty nawet nie będziesz przez święta ze swoimi małymi.

– Posłałem im mnóstwo zabawek przez FAO Szwarz. Przykro mi, bo nie pomyślałem, żeby przywieźć prezenty dla twoich chłopców.

– Co byś im dał? Mają wszystko. Kupienie im zabawki to cholerna zgadywanka. No więc wyjeżdżam na tę operację. Robili mi w szpitalu w Houston wszystkie badania, musiałem leżeć w łóżku. Zapisalem tej budzie dwadzieścia tysięcy dolarów, dla uczczenia pamięci papy i mamy. Jestem przygotowany do operacji, tyle tylko, że ważę kilka kilogramów za dużo. Chuck, oni rozpiłowują człowieka i nawet podejrzewam, że te skurwysyny wyjmują serce z klatki piersiowej. Ich zespół robi tysiące takich poprawek serca. Mam nadzieję, że będę z powrotem w biurze pierwszego lutego. Jesteś przy gotówce? Masz z pięćdziesiąt tysięcy? Mógłbym ci je dobrze ulokować.

Od czasu do czasu Ulick telefonował do mnie z Teksasu i mówił:

– Przyślij mi czek na trzydzieści... nie, na czterdzieści pięć tysięcy. – Bez słowa wypisywałem i posyłałem mu czek. Nie było żadnych pokwitowań. Czasem w pół roku później przychodziła umowa. Za każdym razem sumy powiększały się w dwójnasób. Cieszył się, że może to dla mnie zrobić, chociaż jednocześnie był wściekły, że nie potrafię zrozumieć szczegółów tych transakcji i nie doceniam jego finansowej przebiegłości. Jeśli idzie o moje zyski – cóż, powierzałem je Zitterbloomowi, płaciłem nimi Denise, subsydiowałem Thaxtera, oddawałem władzom skarbowym, utrzymywałem Renatę w luksusowym Lake Point Towers, dawałem je Tomchekowi i Srole'owi.

– Co masz na myśli? – spytałem.

– Kilka rzeczy – odparł. – Wiesz, jaka jest stopa procentowa banków. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby podskoczyła niedługo do osiemnastu procent.

Trzy aparaty telewizyjne nadawały program, wzbogacając jaskrawe barwy pokoju. Tapeta miała wzór tłoczony w złocie. Dywan zdawał się przedłużeniem oślepiającego trawnika. Wnętrze i plener zlewały się ze sobą przez szybę panoramicznego okna, łącząc sypialnię z ogrodem. Z boku stał niebieski rower do ćwiczeń, na półkach trofea sportowe, bo Hortensja była wielką gwiazdą golfa. Ogromne szafy, specjalnie zbudowane,

pękały od ubrań i butów ustawionych na długich stelażach, od setek krawatów i pudeł na kapelusze. Ostentacyjny, dumny z posiadanych rzeczy, w sprawach smaku Juliusz uważał się za wybrednego krytyka i przeprowadzał inspekcję mojej powierzchowności, jak gdyby był Douglasem MacArthurem ubioru.

– Zawsze wyglądałeś jak patałach, Chuckie, a teraz wydajesz pieniądze na ubrania i chodzisz do krawca, ale dalej wyglądasz jak patałach. Gdzie kupiłeś te potworne buty? I ten płaszcz z derki końskiej? Pięćdziesiąt lat temu kramarze sprzedawali takie buty pętałom z prowincji i na dokładkę dawali im haczyk do zapinania guzików. Weź to. – Rzucił mi czarny płaszcz z wikunii, z aksamitnym kołnierzem. – Tu u nas jest za ciepło i mam z niego mało pożytku. Przyda ci się. Chłopcy wezmą twój płaszcz do stajni, to dla niego odpowiednie miejsce. Zdejm swój, włóż mój.

Zrobiłem, jak mi kazał. Tak się objawiała jego miłość. Kiedy byłem zmuszony sprzeciwić się Ulickowi, robiłem to w milczeniu. Włożył pięknie skrojone spodnie z podwójnie tkanego kordu, z szerokimi mankietami, ale nie mógł ich zapiąć w pasie. Wrzasnął do Hortensji, która była w sąsiednim pokoju, że spodnie skurczyły się w pralni.

– Jasne, skurczyły się – odpowiedziała.

Taki styl panował w tym domu. Żadnego mamlania według mody uniwersytetów Wschodniego Wybrzeża, żadnych stonowanych wypowiedzi.

Dostałem też jego buty. Mieliśmy dokładnie takie same stopy. I takie same wypukłe oczy i proste nosy. Nie bardzo wiem, co zawdzięczam tym rysom. Jemu nadawały one wygląd autokratyczny. A ponieważ myślałem już teraz o każdej ziemskiej egzystencji jako o jednej z długiego szeregu, zacząłem zastanawiać się nad duchową karierą Ulicka. Kim był przedtem? Ewolucja biologiczna i historia świata zachodniego w żadnym wypadku nie mogły stworzyć osoby takiej jak Ulick w ciągu sześćdziesięciu pięciu parszywych lat. Przyniósł tu ze sobą swoje głębsze cechy. Jakikolwiek było jego poprzednie wcielenie, podejrzewałem, że jako bogaty, twardy Amerykanin stracił część swojego stanu posiadania. Ameryka wystawiała ludzkiego ducha na ciężką próbę. Nie dziwiłbym się, gdyby cofała wszystkich w rozwoju. Pewne wyższe właściwości zdawały się być w zawieszeniu i czuwająca część duszy robiła to, na co miała ochotę, przy całym swoim materialnym komforcie. Ach, te przyjemności życia, te zwierzęce pokusy! Co to za dziennikarz powiedział, że są kraje, w których nasze odpadki byłyby przysmakami?

– Więc jedziesz do Europy. Jakiś specjalny powód? Podjąłeś się czegoś? Czy chcesz się powłóczyć, jak zwykle? Nigdy nie jeździsz sam, zawsze z jakąś dziewczyną. Co to za kurewka ciągnie cię ze sobą tym razem?... Mógłbym się wepchnąć w te portki, ale będziemy dużo jeździli i byłoby mi niewygodnie. – Wściekły ściągnął spodnie i rzucił je na łóżko. – Powiem ci, gdzie jedziemy. Jest taki fenomenalny obiekt, czterdzieści czy pięćdziesiąt akrów, cały półwysep wrzynający się w Zatokę, należy do Kubańczyków. Kupił go przed laty jakiś generał, który był dyktatorem przed Batistą. Powiem ci, na czym polegał jego kant. Kiedy banknoty się zużywały, zbierano je w bankach w Hawanie i ładowano na ciężarówki. Miały pójść do pieca, ale nikt ich nie palił. O nie, wysyłano je za granicę i deponowano na koncie starego generała. Teraz mają to wszystko w rękę jego spadkobiercy. Sami nicponie, banda playboyów. Ostatnio córki i synowie zażądali od tych playboyowatych spadkobierców, żeby się zaczęli zachowywać jak mężczyźni. A oni nic, tylko żeglują po morzu, piją, śpią, sprowadzają dziwki i grają w polo. Narkotyki, samochody wyścigowe, awionetki – wiesz, jak to wygląda. Kobiety szukają inwestora, który oszacuje ich posiadłość. Złoży ofertę. Trzeba będzie wybulić miliony, Charlie – to przecież cały cholerny półwysep. Mam swoich własnych Kubańczyków, imigranci, którzy znali tamtych jeszcze w kraju. Jesteśmy chyba na właściwym tropie. Aha, póki pamiętam, adwokat Denise pisał do mnie w twojej sprawie. Masz jeden procent udziału w moich blokach mieszkalnych Peony i oni chcą wiedzieć, ile to jest warte. Czy musiałeś mówić im o wszystkim? Kto to jest ten Pinsker?

– Nie miałem wyboru. Zażądali sędownie moich wykazów podatkowych.

– Ach, ty biedny ośle, ty superwykształcony tępaku. Wyrosłeś z dobrego pnia i nie urodziłeś się głupcem, siłą narzuciłeś sobie głupotę. A jak już koniecznie chciałeś być intelektualistą, dlaczego nie zostałeś jednym z tych ostrych facetów, jak Herman Kahn czy Milton Friedman – jednym z tych agresywnych gości, o których czyta się w „Wall Street Journal”! Ach, ty i twój Woodrow Wilson i inni nieboszczycy. Nie mogę czytać tych bzdur, które piszesz. Po dwóch zdaniach zaczynam ziewać. Ojciec powinien był ci spuszczać baty, jak mnie. To by cię może obudziło. Nie wyszło ci na dobre, że byłeś jego ulubieńcem. A potem trach – żenisz się z tą wściekłą blond jędzą. Pasowałaby świetnie do symbionistów albo do grup terrorystycznych Frontu Wyzwolenia Palestyny. Jak zobaczyłem jej ostre zęby i te włosy skręcone na skroniach, zaraz pomyślałem, że wylądujesz w przestrzeni kosmicznej. Od urodzenia starałeś się udowodnić, że życie na tej ziemi jest czymś niewykonalnym.

Zgoda, zebrałeś już prawie wszystkie dowody. Boże, chciałbym mieć twoją kondycję. Grasz dalej w piłkę z Langobardim? Podobno zrobił się z niego prawdziwy dżentelmen. Jak wygląda twoja sprawa sądowa?

– Kiepsko wygląda. Sąd kazał mi złożyć kaucję. Dwieście tysięcy.

Zbladł, usłyszawszy tę sumę.

– Położyli ci areszt na pieniądzach? Już ich nie zobaczysz. Kto jest twoim adwokatem? Ciągłe ten twój koleżka szkolny, grubodupy Szathmar?

– Nie, Forrest Tomchek.

– Znałem Tomcheka jeszcze na prawie. Oszust z rodzaju tych, co bronią praworządności. Gładki jak czopek, tylko że jego czopki zawierają dynamit. A sędzia jak się nazywa?

– Urbanovich.

– Tego nie znam. Ale wydał orzeczenie na twoją niekorzyść i wszystko jest dla mnie jasne. Dogadali się z nim. Brudne sprawki ciemną nocą. Skorzystał z okazji, żeby kogoś spłacić. Jest komuś coś winien i wyrównuje porachunki twoją gotówką. Zaraz to sprawdzę. Znasz w Chicago faceta nazwiskiem Flanco?

– Solomon Flanco? Jest adwokatem mafii.

– Będzie wiedział. – Ulick szybkimi ruchami wycisnął numery na tarczy telefonu. – Flanco? – spytał, otrzymawszy połączenie. – Mówi Juliusz Citrine z Teksasu. W wydziale spraw rodzinnych chicagowskiego sądu jest gość nazwiskiem Urbanovich. Bierze łąpówki? – Słuchał uważnie. Powiedział: – Dziękuję, Flanco, odezwę się do ciebie później. – Po odłożeniu słuchawki wybrał koszulę sportową. Zwrócił się do mnie. – Nie, Urbanovich nie bierze łąpówek. Chce się dobrze zapisać w sądownictwie. Jest bardzo zręczny. Gruboskórny. Jeżeli się na ciebie uwziął, rozstanieś się ze swoimi pieniędzmi, jak żółtko rozstaje się z białkiem. Dobra, spisz to na straty. Zarobię dla ciebie więcej. Odłożyłeś coś na boku?

– Nie.

– Nic w sejfie? Żadnego numerowanego konta w jakimś banku? Żadnego pośrednika?

– Nie.

Spojrzał na mnie groźnie. A potem jego twarz, wyżłobiona wiekiem, zmartwieniami i zakorzenionymi postawami wobec świata, nagle jakby złagodniała i uśmiechnął się pod swoim wąsem a la Dean Acheson.

– Pomyśleć, że my jesteśmy braćmi – powiedział. – Słowo daję, to jest temat do poematu. Podsuń go swojemu koleżce, Von Humboldtowi Fleisherowi. A co z nim, z tym twoim kumplem poetą? Kiedyś w latach pięćdziesiątych przyjechałem po was taksówką i zabrałem na zwiedzanie lokali Nowego Jorku. Bawiliśmy się wspaniale w Copacabanie, pamiętasz?

– Cudowna była ta noc spędzona na mieście. Humboldt był zachwycony. Nie żyje – powiedziałem.

Ulick włożył koszulę z płomiennie błękitnego włoskiego jedwabiu, piękną. Zdawało się, że koszula tęskni do idealnego ciała. Obciągnął ją na piersiach. Podczas mojej ostatniej wizyty Ulick był smukły i miał na sobie wspaniałe spodnie biodrówki, prążkowane jak łupina melona i ozdobione w szwach meksykańskimi srebrnymi peso. Osiągnął tę nową figurę dzięki drakońskiej diecie. Ale nawet wtedy na podłodze jego cadillaca walały się łupinki orzeszków ziemnych, a teraz był znowu gruby. Widziałem stare, otyłe ciało, które znałem całe życie i które nie miało dla mnie tajemnic – brzuch, piegi na niezdiscyplinowanych ramionach, eleganckie dłonie. Wciąż widziałem w nim otyłego, jakby dławiącego się chłopca, pożądlivego, folgującego sobie smarkacza, którego oczy nieustannie mówiły, że nie przyznaje się do winy. Znałem go na wylot, nawet w sensie fizycznym – pamiętałem, że pięćdziesiąt lat temu wlaźł do strumienia w Wisconsin i rozplątał sobie udo stłuczoną butelką, i że patrzyłem na żółty tłuszcz, na pokłady tłuszczu, przez które musiała przepychać się krew. Znałem myszkę na przegubie jego dłoni, znałem nos, złamany i potem nastawiony, znałem fałszywy wyraz niewinności, znałem jego chrapanie, jego zapachy. W pomarańczowym piłkarskim dresie, oddychając przez usta (jeszcze nie było nas stać na operację nosa), trzymał mnie na ramionach, żebym mógł obejrzeć paradę wojskową na Michigan Boulevard. Był to chyba rok 1923. Trzymał mnie za nogi. Sam nogi miał grube, opięte czarnymi pończochami w prążki i był w wydymających się, przypominających majtki spodenkach do gry w golfa. Potem stał za mną w męskiej toalecie przed wysokimi żółtymi pisuarami Biblioteki Publicznej, podobnymi do otwartych sarkofagów, i pomagał mi wyłowić moje dziecinne przyrodzenie spośród skomplikowanych warstw bielizny. W roku 1928 został tragarzem w firmie przewozowej American Express. Potem pracował w zajezdni autobusów, gdzie zmieniał ogromne opony. Z pomocą pięści rozprawił się z tyranizującymi go chłopcami na

ulicy i sam tyranizował innych. O własnych siłach przebrnął przez Instytut Lewisa i skończył wieczorowe kursy prawnicze. Robił i tracił fortuny. We wczesnych latach pięćdziesiątych wziął swojego packarda do Europy i kazał go przewieźć samolotem z Paryża do Rzymu, ponieważ jazda po górskich drogach go nudziła. Wydawał na samego siebie sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt tysięcy dolarów rocznie. Nie zapomniałem żadnego faktu z jego życia. To mu pochlebiało. Ale jednocześnie go złościło. A jeżeli wkładałem tyle serca w pamiętanie, czego to właściwie dowodziło? Że Kocham Ulicka? Niektórzy klinicyści uważają, że taka pełnia pamięci jest objawem histerii. Sam Ulick twierdził, że ma pamięć tylko do interesów.

– Więc ten twój znikowany przyjaciel Von Humboldt Fleisher nie żyje. Mówił niezrozumiałym intelektualnym żargonem i był jeszcze gorzej ubrany od ciebie, ale go lubiłem. I trzeba przyznać, że pił dobrze. Na co umarł?

– Wylew. – Musiałem powiedzieć to miłosierne kłamstwo. Choroby serca były dzisiaj tabu. – Zostawił mi spadek.

– Co, miał pieniądze?

– Nie, po prostu różne papiery. Ale wyobraź sobie, że jak pojechałem do domu opieki, żeby je odebrać od jego starego wuja, spotkałem Menaszę Klingera.

– Coś takiego – Menasza! Ten dramatyczny tenor, taki rudzielec! Przyjechał z Ypsilanti i mieszkał u nas w Chicago. W życiu nie widziałem takiego pomyłonego obłąkańca. W młodości słoń mu nastąpił na ucho. Wszystko, co zarobił, wydawał na lekcje i koncerty. Jak raz chciał zrobić coś, co byłoby dla niego z korzyścią, złapał trypra i potem wenerolog dzielił jego zarobki z nauczycielem muzyki. Jest już taki stary, że musi być w domu opieki? No cóż, ja mam sześćdziesiąt pięć, a on miał jakieś osiem lat więcej. Wiesz, co znalazłem teraz któregoś dnia? Tytuł własności naszego grobu rodzinnego na cmentarzu Waldheim. Są jeszcze dwa puste miejsca. Nie odkupiłbyś mojego? Nie mam zamiaru leżeć w ziemi. Każę się spalić. Potrzebny mi ruch. Wolę sobie pofrunąć w atmosferę. Szukaj mnie w prognozach pogody.

On też miał bzika na punkcie grobu. W dzień pogrzebu ojca powiedział mi: „Co za cholerna pogoda, jest za ładnie i za ciepło. To okropne. Widziałeś kiedyś takie piękne popołudnie?” Grabarze zwinęli i odsunęli dywan sztucznej trawy i pod nią, w brązowej piaszczystej ziemi, zobaczyłem wykopaną śliczną, chłodną jamę. Daleko w tle miłego majowego krajobrazu wznosiło się ku górze coś, co wyglądało jak hałda węgla. Świadomy tej góry węglowej, zbliżającej się groźnie do ukwieconego cmentarza – czas kwitnienia bzów! – oblałem się potem. Mały dźwig zaczął opuszczać trumnę na gładko przesuwających się parcianych pasach. Nie było nigdy człowieka, który by tak niechętnie schodził w dół, przekraczał posępną bramę, jak Ojciec Citrine – który by jak on nie umiał leżeć spokojnie. Ojciec, ten wspaniały sprinter, ten mistrz biegów na przełaj, teraz powalony ciężką maszyną śmierci.

Ulick chciał mi pokazać, jak Hortensja przemeblowała pokoje dzieciinne. Tak powiedział, ale domyślałem się, że będzie szukać tabliczek czekolady. W kuchni szafki były zamknięte na kłódkę, a dostęp do lodówki zakazany.

– Hortensja ma świętą rację – powiedział. – Muszę przestać jeść. Pamiętam, zawsze mówiłeś, że to fałszywy apetyt. Radziłeś, żebym wkładał palce głęboko do gardła i wstrzymywał oddech, kiedy mi się będzie zdawało, że jestem głodny. Co to niby ma robić, wpływać na skurcze mięśni przepony, czy co? Zawsze miałeś silną wolę i byłeś wysportowany, podciągałeś się na drążku i wymachiwałeś hantlami i maczugami gimnastycznymi, i grzmociłeś rękawicą w worek, biegałeś dookoła bloku, wieształeś się na drzewach jak Tarzan. Musiało cię gryźć sumienie z powodu tego, co robiłeś, kiedyś się zamykał w ubikacji. Jesteś mały rozpustny drań, przy tym całym twoim wzniosłym życiu duchowym. Ta twoja zaszrana twórczość! Ani rusz nie mogłem zrozumieć sztuki, którą napisałeś. Wyszedłem w środku drugiego aktu. Film był lepszy, ale były w nim miejsca nudne. Mój stary kumpel Ev Dirksen też miał literackie ciągoty. Wiedziałeś, że senator pisywał wiersze okolicznościowe, drukowane na kartach z życzeniami? Ale to był sprytny, stary oszust – prawdziwy człowiek z krwi i kości i chyba największy cynik na świecie. Słuchaj, wiedziałem, że w kraju będą kłopoty, jak tylko ludzie zaczęli zarabiać na sztuce duże pieniądze.

– Jestem innego zdania – odparłem. – Zrobić kapitalistów z artystów było pomysłem zabawnym i nie pozbawionym głębi. Ameryka postanowiła zmierzyć aspiracje za pomocą miarki dolarowej. Może czytałeś transkrypcję taśm Nixona, gdzie mówi, że nie chce mieć nic wspólnego z tym literackim i artystycznym gównem. To dlatego, że nie dotrzymywał kroku. Stracił kontakt z duchem Kapitalizmu. Zupełnie go nie rozumiał.

– Hola, tylko nie zaczynaj mi tu jednego ze swoich wykładów. Ciągłe obrzucałeś nas przy stole jakimiś teoriami – Marks albo Darwin, albo Schopenhauer, albo Oskar Wilde. Jak nie jedno, to drugie. Miałeś największy w naszym bloku zbiór książek Modern Library. I stawiam jeden przeciwko pięćdziesięciu, że w tej chwili tkwisz po tyłek w jakiejś zbrakowanej teorii. Nie mógłbyś bez tego żyć. Chodźmy. Mamy wstąpić po tych dwóch Kubańczyków i tego Irlandczyka z Bostonu, który z nami pojedzie. Ja nigdy nie miałem ciągot do sztuki, chyba przynasz?

– Próbowaleś zostać fotografem.

– Ja? Kiedy?

– Jak się odbywały pogrzeby w cerkwi rosyjskiej – pamiętasz, cała w stiukach, z kopułą jak cebula, na rogu Leavitt i Haddon? – otwierali zawsze trumnę na stopniach przed wejściem i robili fotografie rodziny stojącej obok nieboszczyka. Próbowaleś ubić interes z popem, żeby cię przyjął jako urzędowego fotografa.

– Naprawdę? Duże brawo dla mnie! – Moje słowa zrobiły Ulickowi przyjemność. Ale uśmiechnął się spokojnie, z łagodnym stężeniem rysów, zadumany nad sobą. Obmacał obwisłe policzki i powiedział, że ogolił się za dokładnie, ma obolałą skórę. To chyba ból z klatki piersiowej rozprzestrzenił się i uwrażliwił mu skórę na twarzy. Zdenerwowała go ta moja wizyta sugerująca ostateczne rozstanie. Uznał, że zrobiłem dobrze, przyjeżdżając, ale jednocześnie mnie za to nienawidził. Umiałem spojrzeć na tę rzecz z jego punktu widzenia. Po co przyjechałem i trzepoczę się wokół niego z moją miłością jak ćma trupia główka? Ale nie było dla mnie dobrego wyjścia, bo gdybym nie przyjechał, zrobiłby mi z tego zarzut. Potrzebował, żeby go krzywdzono. Znajdował rozkosz w gniewie i prowadził rachunki.

Należało to do jego rytuału, że od pięćdziesięciu lat powtarzał te same dowcipy i śmiał się z nich, ponieważ były takie infantylne i głupie. „Wiesz, kto jest w szpitalu? Chorzy!” Albo: „Wziąłem kiedyś pierwszą nagrodę za historię, ale nauczyciel zobaczył, jak ją brałem, i mi odebrał”. W czasach, kiedyśmy się jeszcze kłócili, mówiłem mu: „Jesteś autentycznym populistą i nieukiem, zaprzepaściłeś swój żydowsko-amerykański mózg z czystego patriotyzmu. Jesteś własnego chowu ignorantem i jesteś prawdziwym Amerykaninem”. Ale już dawno przestałem mówić takie rzeczy. Wiedziałem, że zamyka się w swoim gabinecie z pudełkiem rodzyneków i czyta Arnolda Toynbee i R. H. Tawneya, albo prace Cecila Rotha i Salo Barona o historii Żydów. Jeżeli któraś z tych lektur pojawiła się w rozmowie, można było się założyć, że będzie błędnie wymawiał kluczowe słowa.

Prowadził swojego cadillaca pod jaskrawym słońcem. Po samochodzie przesuwwały się cienie, które mogły być cieniami wszystkich ludzi świata. Ulick był amerykańskim przedsiębiorcą budowlanym i milionerem. Miliardy dusz trzepotały się, podobne zjawom, na błyszczącym lakierze ogromnej czarnej maski. W dalekiej Etiopii ludzie chorzy na dyzenterię kucali nad rowami i otwierając zostawione przez turystów egzemplarze „Business Week” widzieli jego twarz albo twarze ludzi do niego podobnych. Ale wydawało mi się, że niewiele ludzi ma twarz do niego podobną – ten drapieżny profil przywodzący na myśl łacińskie słowo *rapax* albo któregoś z wymierzających śmierć, despotycznych, oszalałych królów na sztychach Rouaulta. Przejechaliśmy obok już zrealizowanych przez niego projektów osiedla mieszkalnego Peony, Trumbull Arms. Mówiliśmy o wielu jego inwestycjach budowlanych.

– Peony o mało mnie nie wykończyło. Architekt uparł się, żeby zrobić pływalnię na dachu. Ale ilość betonu przewidziana w planach okazała się o wiele za mała, nie mówiąc już o tym, że przekroczyliśmy teren budowy o całą stopę. Nikt na to nie wpadł, a ja pozbyłem się tego draństwa. Musiałem wziąć kupę papieru. – Miał na myśli duże sumy na drugiej hipotece. – A teraz posłuchaj, Chuck. Wiem, że jest ci potrzebny jakiś dochód. Ta zwariowana jędza nie uspokoi się, dopóki nie wsadzi twojej wątroby do zamrażalnika. Jestem zdumiony, naprawdę zdumiony, że nie odłożyłeś jakiejś gotówki. Masz chyba nie całkiem dobrze w głowie. Ludzie muszą być ci winni ciężkie pieniądze. Lokowałeś kupę gotówkę za pośrednictwem tego Zitterbloom z Nowego Jorku, który obiecał ci ulgi podatkowe, przyrzekł chronić twoje dochody – przed Wujem Samem. Nabił cię w butelkę. Nie zobaczysz od niego ani centa. Ale od innych na pewno należą ci się grube tysiące. Ułóż się z nimi. Zaproponuj spłatę połowy, ale gotówką. Odbierz pieniądze, a tak je zaczarujemy, że znikną. Potem pojedziesz do Europy. Po co do cholery siedzisz w tym Chicago? Nie masz dość tego nudnego miasta? Dla mnie nie było nudne, bo wychodziłem między ludzi i coś się dokoła mnie działo. Ale ty? Ty wstajesz, wyglądasz, jest pochmurno, zaciągasz zasłony i bierzesz do ręki książkę. Miasto huczy, ale ty tego nie słyszysz. Jeżeli przy takim życiu Chicago nie rozwaliło ci dotąd twojego zasranego serca, jesteś człowiekiem ze stali. Posłuchaj, mam myśl. Kupimy do spółki dom, gdzieś nad Morzem Śródziemnym. Moje dzieciaki powinny nauczyć się obcego języka, zdobyć trochę kultury. Mógłbyś się nimi zająć. Posłuchaj, jeżeli zdołasz wykrobać pięćdziesiąt tysięcy, zagwarantuję ci dwadzieścia pięć procent dochodu, a tyle powinno ci za granicą wystarczyć.

Tak perorował, a ja rozmyślałem o jego losie. Jego los! I nie mogłem zakomunikować mu moich myśli. Nie sposób ich było przekazać. Wobec tego jaki z nich pożytek? Ich dziwaczność i ekscentryczność były zdradą. Myśli powinny być prawdziwe.

Słowa powinny mieć określone znaczenie i człowiek powinien wierzyć w to, co mówi. Na to skarżył się Hamlet, mówiąc do Poloniusza: „Słowa, słowa, słowa”. Słowa nie są moimi słowami, myśli nie są moimi myślami. Cudownie jest mieć myśli. Myśli mogą dotyczyć nieba gwiaździstego i prawa moralnego – jak majestatyczne jest to pierwsze i jak wzniosłe to drugie. Nie tylko Ulick obciążał swoją hipotekę. Wszyscy obciążamy nasze hipoteki, bardzo obciążamy. A ja nie miałem zamiaru przekazywać mojej hipoteki Ulickowi, nie w takiej chwili. Moje nowe idee, owszem. Te były bardziej do rzeczy. Ale nie byłem jeszcze gotów mu o nich wspomnieć. A powinienem być gotów. W przeszłości myśli były zbyt rzeczywiste, żeby je przechowywać jak portfel akcji i papierów wartościowych kultury. Za to teraz posiadamy intelektualne aktywa. Tyle poglądów na świat, ile się komu podoba. Pięć różnych teorii poznania w ciągu jednego wieczoru. Proszę sobie wybierać. Wszystkie są sympatyczne i ani jedna nie jest wiążąca czy niezbędna, nie posiada prawdziwej siły i nie przemawia prosto do duszy. I właśnie to obciążanie hipoteki, puszczanie w obieg intelektualnej waluty, w końcu wyprostowało mi kręgosłup. Ale mój kręgosłup prostował się bardzo powoli i niechętnie. Toteż nie byłem przygotowany do powiedzenia Ulickowi czegoś naprawdę interesującego. Nie miałem nic do zaoferowania mojemu bratu, który zbierał odwagę w obliczu śmierci. Nie wiedział, co o niej myśleć, więc był wściekły i przestraszony. Powiedzenie mu czegoś należało do moich obowiązków jako brata myślącego. I w rzeczy samej chciałem, kiedy może zbliżał się jego koniec, napomknąć mu o bardzo ważnych sprawach. Ale z napomykania niewielki jest pożytek. Nie odrobiłem zadanej mi lekcji. Warknąłby: „Co to za gadanie. Duch! Nieśmiertelność? O to ci chodzi”? A ja nie byłem jeszcze przygotowany do wyjaśnień. Sam dopiero zabierałem się do tego na serio. Może pojedziemy z Renatą do Taorminy, mógłbym tam siedzieć w ogrodzie i skoncentrować na tym wszystkie myśli.

Nie ma co, nasi poważni rodzice ze Starego Świata wyprodukowali parę amerykańskich kłownów – jeden demoniczny kłown milioner, a drugi kłown intelektualny. Ulick był otyłym chłopcem, którego uwielbiałem, był drogim mojemu sercu człowiekiem i kiedy teraz siedział chory za kierownicą, i kiedy wylaniał się już przed nim nieuchronny drugi brzeg, chciałem mu powiedzieć, że gdy ta cudowna oszałamiająca druzgocąca rozkoszna bolesna rzecz (miałem na myśli życie) dobiega końca, kończy tylko to, co znamy. Nie kończy nieznanego, a ja podejrzewałem, że jest jakiś dalszy ciąg. Ale nie mogłem dać temu mojemu trzeźwemu bratu ani jednego dowodu. Przeraziła go ta zbliżająca się pustka, to ukwiecone zakończenie pewnego miłego dnia w maju, z hałdą węgla w tle, ta przyjemna chłodna jama w ziemi. Więc gdybym do niego przemówił, naprawdę mógłbym mu powiedzieć tylko tyle: „Słuchaj, pamiętasz, jak przenieśliśmy się z Appleton do Chicago i mieszkaliśmy w tym ciemnym mieszkaniu na Rice Street? I ty byłeś gruby, a ja byłem chudy? I mama wodziła za tobą wielbiącymi czarnymi oczami, a ojciec dostawał ataków szału, jak moczyłeś chleb w kakao? I zanim przeniósł się do handlu drzewem, harował jak niewolnik w piekarni, bo tylko tam mógł dostać pracę. Dżentelmen, a pracował nocą? I wracał do domu i wieształ swój biały kombinezon na drzwiach w łazience, więc ubicajka zawsze pachniała piekarnią, a zlepiąca mąka spadała w łuskach na podłogę? I spał, taki przystojny i taki zły, cały dzień na boku, z jedną ręką pod głową, a drugą między podciągniętymi kolanami? A tymczasem mama gotowała bieliznę na węglowym piecu, a my dwaj zmykaliśmy do szkoły? Pamiętasz to wszystko? Zaraz się dowiesz, dlaczego o tym mówię – z ważnych powodów estetycznych nie powinno to być bezpowrotnie wymazane z rejestru. Nikt nie wkładałby tyle serca w rzeczy skazane na zapomnienie i nicość. Ani tak dużo miłości. Miłość jest wdzięcznością za istnienie. Ta miłość zmieniałaby się w nienawiść, Ulick, gdyby to było zwykłym oszustwem”. Ale tego rodzaju słowa były z pewnością nie do przyjęcia dla jednego z największych inwestorów budowlanych południowo-wschodniego Teksasu. Takie przesłania były zabronione w myśl istniejących intelektualnych reguł cywilizacji, która dowiodła swego prawa do narzucania owych reguł, ponieważ dokonuje tak wielu praktycznych cudów – jak przewiezienie mnie w cztery godziny z Nowego Jorku do Teksasu, czy przepiłowanie klatki piersiowej i wszczepienie nowych żył do serca. Ale pogodzenie się z ostatecznością śmierci należało do życiowego programu Ulicka. Nie miało zostać po nas śladu. Tylko kilka dziur w ziemi. Tylko glina wygarnięta z krecich korytarzy przez wymarłe istoty, które kiedyś tu myszkowały.

Tymczasem Ulick mówił, że mi pomoże. Za pięćdziesiąt tysięcy sprzeda mi dwa udziały w już skończonym kompleksie domów.

– To powinno dawać od dwudziestu pięciu do trzydziestu procent. Więc gdybyś miał rocznie piętnaście tysięcy, plus to, co zarobisz pisaniną, mógłbyś żyć całkiem przyzwoicie w jakimś tanim kraju, w Jugosławii czy Turcji, i powiedzieć tej bandzie w Chicago, żeby cię pocałowali w dupę.

– W takim razie pożycz mi te pięćdziesiąt tysięcy – powiedziałem. – Tyle na pewno zmobilizuję w ciągu roku i będę mógł cię spłacić.

– Sam musiałbym pożyczyć w banku – odparł. Ale byłem z rodu Citrine'ów, ta sama krew płynęła w naszych żyłach i Ulick nie oczekiwał, że uwierzę w takie oczywiste kłamstwo. Dodał po chwili: – Charlie, nie żądaj ode mnie, żebym się zachował tak nie po kupiecku.

– Chcesz powiedzieć, że gdybyś wypłacił mi tę sumę z góry i nic byś na mnie nie zarobił, straciłbyś szacunek dla samego siebie?

– Czego to ja bym nie napisał z twoim darem związłego wyrażania myśli! – Zaśmiał się. – Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że wiem tysiąc razy więcej od ciebie. Jasne, że musiałbym coś na tym zarobić. Ostatecznie jestem tym facetem, który wybiera miód z ula. Ale byłoby to podstawowe minimum. Z drugiej strony, jeżeli zmęczył cię twój sposób życia, a nie mógł cię nie zmęczyć, mógłbyś osiąść tu w Teksasie i zrobić się obrzydliwie bogaty. Ten kraj ma rozmach, olbrzymie wymiary.

Ale ta wzmianka o rozmachu i olbrzymich wymiarach nie rozbudziła we mnie biznesowych ambicji, przypominała mi tylko poruszającą wypowiedź pewnego jasnowidza, którą czytałem w samolocie. Otóż ta rzecz zrobiła na mnie bardzo duże wrażenie i usiłowałem ją zrozumieć. Kiedy dwaj Kubańczycy i osobnik z Bostonu wsiedli do samochodu i zaczęli palić cygara, wskutek czego zrobiło mi się niedobrze, rozmyślanie o jasnowidzeniu było takim samym dobrym zajęciem jak każde inne. Samochód wypadł z miasta i mknął wzdłuż linii wybrzeża.

– Tu zaraz jest fenomenalny sklep rybny – powiedział Ulick. – Zatrzymam się i kupię Hortensji wędzonych krewetek i wędzonego marlina. – Stanęliśmy i załatwiliśmy sprawunek. Zagłodzony Ulick rwał i wkładał do ust kawałki marlina, zanim ryba została zdjeta z wagi. Zanim ją zapakowano, zdążył oderwać cały ogon.

– Nie opychaj się tak – powiedziałem.

Nie zwrócił na mnie uwagi i miał słuszość. No cóż, opychał się. Gaspar, jego kubański kumpel, wziął kierownicę, a Ulick usiadł z tyłu ze swoją rybą. Trzymał ją pod siedzeniem.

– Muszę trochę zostawić dla Hortensji, przepada za marlinem – powiedział.

Ale w tym tempie niewiele mogło zostać dla Hortensji. Nie moją rzeczą była walka z demonami takiej niesłychanej żarłoczności, trwającej całe życie, i powinienem go zostawić w spokoju. Musiałem jednak dorzucić moje braterskie trzy grosze i wzbudzić w nim tę odrobinę skruchy, bo chyba tego człowiek oczekuje po rodzinie, kiedy w przededniu operacji na otwartym sercu opycha się wędzoną rybą.

Jednocześnie koncentrowałem się na wizji, którą jasnowidz opisał z niezwykłą dokładnością. Podobnie jak dusza i duch opuszczają ciało we śnie, tak też można je usunąć z ciała w pełni świadomości, a to w celu obserwowania wewnętrznego życia człowieka. Pierwszy skutek tego świadomego usunięcia, to że wszystko jest teraz odwrócone. Zamiast widzieć świat zewnętrzny, jak go normalnie widzimy zmysłami i intelektem, wtajemniczeni widzą wyodrębnioną jaźń z zewnątrz. Dusza i duch wylewają się na świat, który normalnie oglądamy od środka – chmury, góry, lasy, morza. Tego zewnętrznego świata nie widzimy już teraz, bo jesteśmy nim. Świat zewnętrzny jest teraz światem wewnętrznym. Jako jasnowidzący znajdujemy się w przestrzeni, którą dawniej oglądaliśmy. Z tego nowego obwodu spoglądamy ku środkowi, a w środku jest nasza jaźń. Ta jaźń, nasza jaźń, jest teraz światem zewnętrznym. Boże miłosierny, widzimy ludzki kształt, nasz kształt. Widzimy naszą własną skórę i krew w środku, i widzimy to tak, jak widzimy przedmioty zewnętrzne. Ale co za przedmioty! Nasze oczy są teraz dwoma promieniejącymi słońcami – wypełnionymi światłem. Ta promienistość pozwala nam rozpoznać nasze oczy. Nasze uszy rozpoznajemy po dźwięku. Od skóry bije łuna. Z postaci ludzkiej emanuje światło, dźwięk oraz iskrzące się elektryczne siły. Taki jest byt fizyczny, kiedy patrzy na nie Duch. I widać nawet życie myśli wewnątrz tej promienistości. Widzimy nasze myśli jako ciemne fale przepływające przez obszar światła, powiada jasnowidz. I tej wspaniałości towarzyszy wiedza o gwiazdach istniejących w przestrzeni, w której przedtem zdawaliśmy się stać beczynniami. Nie jesteśmy beczynni, tylko poruszamy się wraz z tymi gwiazdami. Istnieje świat gwiazd w naszym wnętrzu, który możemy zobaczyć, kiedy Duch zajmie tę nową, dogodniejszą pozycję poza ciałem. A jeśli idzie o mięśnie, są one osadem Ducha i mają pieczęć kosmosu. W życiu i śmierci nosimy w sobie pieczęć kosmosu.

Jechaliśmy teraz przez bagnistą, kamienistą okolicę. Rosły tu lasy mangrowe. Wzdłuż drogi iskrzyła się Zatoka. Ale teren był zaśmiecony, bo półwysep służył jako wysypisko i cmentarz starych samochodów. Popołudniowy upał męczył. Drzwi ogromnego cadillaca otworzyły się, wysiedliśmy wszyscy. Tamci, podnieceni, rozbiegli się na wszystkie strony, badali grunt, usiłowali uzmysłwić sobie topografię terenu, zmagali się już z przyszłymi trudnościami budowlanymi. W ich rozplomienionych umysłach rodziły się wspaniałe pałace, zdumiewające wieże, oszałamiająca ogrody, lśniące od kryształowej rosy.

– Lita skała – powiedział Irlandczyk z Bostonu, rozgrzebując ziemię białym półbutem z cielejcej skóry.

Wyznał mi, że wcale nie jest Irlandczykiem tylko Polakiem. Jego nazwisko, Casey, jest skrótem od „Casimir”. Jako brat Ulicka byłem w jego oczach biznesmenem. Kim innym mógł być gość o nazwisku Citrine?

– Ten człowiek to prawdziwie twórczy inwestor. Pański brat Juliusz ma wyobraźnię, to geniusz budowlany – powiedział Casey.

Kiedy mówił, jego płaska piegowata twarz obdarzyła mnie owym fałszywym uśmiechem, który zrobił w Ameryce furorę jakieś piętnaście lat temu. Żeby go wyczarować, należało wysunąć górną wargę, odsłonić zęby i jednocześnie patrzeć na rozmówcę z wdziękiem. Alec Szathmar robił to lepiej niż ktokolwiek inny. Casey był dużym, prawie monumentalnym i jakby pustym od środka osobnikiem, przywodzącym na myśl tajniaka z Chicago – ten sam typ. Uszy miał nieprawdopodobnie pofałdowane, jak chińska kapusta. Mówił z pedantyczną grzecznością, jak gdyby uczył się na kursach korespondencyjnych prowadzonych w Bombaju. To mi się nawet podobało. Chciał najwyraźniej, żebym powiedział za nim dobre słowo w rozmowie z Ulickiem, a ja rozumiałem tę jego potrzebę. Jako częściowy inwalida był na emeryturze i szukał sposobów ochrony swojego majątku przed inflacją. A także rozglądał się za jakimś działaniem. Działanie albo śmierć. Pieniądz nie może dreptać w miejscu. Odkąd poświęciłem się badaniom ducha, wiele spraw ukazywało mi się w wyraźniejszym świetle. Widziałem na przykład, jakie wulkaniczne emocje skrywa w sobie Ulick. Stał na górze śmierci, jedząc wędzone krewetki i udawał, że chłodno ocenia perspektywy tego półwyspu jako terenu budowy.

– To jest nawet obiecujące – powiedział. – Widzę tu pewne szanse. Ale będą cholerne kłopoty. Trzeba by zacząć od wysadzania w powietrze. Problem wody będzie piekielnie trudny. To samo z kanalizacją. I nawet nie wiem, jaki tu jest podział administracyjny na strefy.

– Ależ mógłby pan tu wybudować luksusowy hotel – powiedział Casey. – Domy mieszkalne z obu stron, a poza tym bulwar nadmorski, port dla jachtów, korty tenisowe.

– To tylko brzmi łatwo – powiedział Ulick. Och, chytij Ulick, mój ukochany brat! Widziałem, że jest w ekstazie przebiegłości. To miejsce może być warte setki milionów, a on je znalazł akurat wtedy, kiedy chirurdzy ostrzą na niego noże. Otłuszczone, obciążone, skrzepowate chore serce groziło, że zaprowadzi go do grobu w chwili, w której jego dusza zobaczyła przed sobą swoją najświetniejszą okazję. To pewne, że kiedy człowiek śni najpiękniej, ktoś zaczyna walić w drzwi – słynny Chłopiec Od Rzeźnika z Porlocka. W tym przypadku osoba ta miała na imię Śmierć. Rozumiałem Ulicka i jego namiętności. A czemu nie? Przez całe życie byłem jego stronnikiem. I wobec tego wiedziałem, jaki raj dostrzegał na tym wysypisku śmieci – wieżowce w nadmorskiej mgiełce, importowana trawa połyskuje perłami wilgoci, pływalnie pośród krzewów gardenii, na pływalniach dziewczyny opalają piękne ciała, a wszyscy ciemnoskórzy meksykańscy służący w haftowanych koszulach szepcą „Si, senior” – mnóstwo Meksykańczyków przekraczało nielegalnie granicę.

Wiedziałem też, jak będzie wyglądało zestawienie bilansowe Ulicka. No cóż, będzie to drugi *Homer* w tłumaczeniu Chapmana – iluminowane strony, bogactwo złota. Gdyby podział na strefy stanął na przeszkodzie tej okazji, byłby gotów wydać milion dolarów na łapówki. Wyczytałem to z jego twarzy. On był pozytywnym, a ja negatywnym grzesznikiem. On mógł nosić jaskrawe barwy cesarstwa. Ja mogłem mieć na sobie garnitur jednego ze Śpiochów Doktora Dentona. Naturalnie miałem się do czego obudzić, czekało mnie wielkie wyzwanie. Chwilowo tylko kipiałem i w końcu będę musiał dojść do punktu wrzenia. Trzeba będzie załatwić sprawę w imieniu całej ludzkości – ciążyła na mnie nie tylko odpowiedzialność wypełnienia własnego losu, ale także losu niektórych moich nieudanych przyjaciół, jak Von Humboldt Fleisher, który nigdy nie zdołał przebić się w wyższe rejony jawy. Już moje koniuszki palców wprawiały się na naciskaniu kłapek trąby, trąby wyobraźni, kiedy w końcu będę gotów na niej zagrać. Huk tego instrumentu dętego będzie słycać poza ziemią, w przestrzeni kosmicznej. Kiedy ów mesjasz, owa zbawcza zdolność – wyobraźnia – zostanie rozbudzona, będziemy w końcu mogli ponownie spojrzeć otwartymi oczami na całą rozblęszczoną ziemię.

Ulickowie tego świata (a również Cantabile'owie) mieli nade mną taką dużą władzę, ponieważ znali dokładnie swoje pragnienia. Te pragnienia mogły być niskie, ale oni dążyli do ich osiągnięcia na jawie. Thoreau zobaczył w Walden świstaka, którego oczy były bardziej rozbudzone niż oczy farmerów. Naturalnie ów świstak wybierał się właśnie na pole ciężko mozolącego się farmera, żeby zeżreć część jego zbiorów. Cóż, Thoreau mógł sobie reklamować świstaki i wybrzydzać na farmerów. Jeżeli jednak społeczeństwo jest masowym moralnym bankructwem, farmerzy mają po co spać. Albo spójrzmy na obecną chwilę. Ulick był czujny na pieniądze; ja, z nabrzmiewającym w piersi pragnieniem, żeby postępować słusznie, uświadamiałem sobie, że dobry liberalny sen amerykańskiego chłopiństwa trwa pół wieku. I nawet teraz przyjechałem tu, żeby coś od Ulicka dostać – wracałem ponownie do warunków dzieciństwa, które ukształtowały moje serce. Ślady

woni tego ożywczego czasu, tego wczesnego i słodkiego czasu-marzenia o dobroci, wciąż się go trzymały. Właśnie teraz, kiedy twarz Ulicka obracała się ku jego (może) ostatniemu słońcu, wciąż czegoś od niego chciałem.

Ulick okazywał obu Kubańczykom tyle szacunku, ile polski Casey okazywał jemu. Byli nieodzowni jako negocjatorzy. Chodzili do szkoły razem z właścicielami posiadłości. Od czasu do czasu dawali do zrozumienia, że są z nimi spowinowaceni. Dla mnie wyglądali jak playboye z wysp Morza Karaibskiego, typ łatwy do rozpoznania – silni, tłuścawi mężczyźni o świeżych okrągłych twarzach i błękitnych, niekoniecznie dobrych oczach. Grali w golfa, w polo, jeździli na nartach wodnych, uprawiali jeździectwo, siadali za kierownicą samochodów wyścigowych, pilotowali awionetki. Zнали Riwierę, Alpy, Paryż i Nowy Jork równie dobrze, jak nocne lokalne i jaskinie gry Indii Zachodnich. Powiedziałem do Ulicka:

– To twardzi faceci. Emigracja ani trochę ich nie zmięczyła.

– Wiem, że są twardzi – odparł Ulick. – Będę musiał znaleźć jakiś sposób wciągnięcia ich do tej transakcji. Nie jest to pora na małostkowość... mój Boże, Chuckie, tym razem wszyscy mogą się obłowić – dodał szeptem.

Zanim odbyła się ta rozmowa, zatrzymaliśmy się dwukrotnie. W drodze powrotnej z półwyspu Ulick oznajmił, że chce zjechać na plantację owoców tropikalnych. Obiecał Hortensji, że przywiezie jej śliwki daktylowe. Ryba została już zjedzona. Siedzieliśmy pod drzewem, ssąc czerwone jak płomień owoce wielkości piersi. Sok trysnął mu na koszulę sportową, więc skoro i tak miała iść do prania, wycierał o nią palce. Oczy mu się zapadły, poruszały się szybko w oczodołach. W tym momencie był nieobecny. Kubańczycy wyjęli z bagażnika torbę z kijami golfowymi Hortensji i zabawiali się wybijaniem piłki na łące. Byli doskonałymi, ostrymi graczami, mimo ciężkich zadów i fałd tłuszczu tworzących im się pod brodą, kiedy pochylali głowy nad piłką. Grali kolejno, z elastyczną siłą grzmocili w elastyczną piłkę – trrrach! – wysyłając ją w nieznaną. Obserwowałem ich z przyjemnością. Ale kiedy przygotowywaliśmy się do odjazdu, okazało się, że kluczyki od stacyjki zostały zatrzęsnięte w kufrze. Właściciel plantacji pożyczył narzędzia i po półgodzinie Kubańczycy zdołali wyważyć zamek. Naturalnie zniszczyli lakier nowego cadillaca. Ale to nie miało znaczenia.

– Nic, nic! – powiedział Ulick. Był wściekły, rzecz jasna, ale tym kuzynom Gonzalesów nie należało teraz okazywać nienawiści. – Jakie to ma znaczenie... kawałek blachy, odrobina lakieru. – Wstał ciężko i powiedział: – Zatrzymamy się teraz, żeby coś zjeść i wypić.

Poszliśmy do meksykańskiej restauracji, gdzie Ulick pochłonął przyrządzoną na zamówienie pierś kury w sosie *mole* – gorzkim, pikantnym, tłustym, czekoladowym. Nie mogłem skończyć mojej porcji. Wziął ode mnie talerz. Potem zamówił ciasto orzechowe a *Za mode* i wreszcie filiżankę meksykańskiej czekolady.

Kiedy wróciliśmy do domu, powiedziałem, że pojedę do motelu i położę się; byłem bardzo zmęczony. Staliśmy chwilę w ogrodzie.

– Czy ty zaczynasz już mieć jakieś wyobrażenie o tym półwyspie? – spytał. – Z takim kawałkiem ziemi mógłbym zrobić najlepszy interes w życiu. Te sprytne kubańskie dupki będą musiały grać w moje karty. Pociągnę za sobą tych sukinsynów. Przygotuję plan... w czasie rekonwalescencji każę zrobić pomiary terenu, sporządzić mapę, a jak w końcu uderzę do tych leniwych hiszpańskich wałkoni z międzynarodowego high-life'u, będę miał gotowe makiety i cały plan finansowy. Oczywiście jeżeli... wiesz co. Skosztujesz tych śliwek japońskich? – Pośpiesznie sięgnął ręką do jednego ze swoich drzewek i zerwał garść owoców.

– Po tym wszystkim, co zjadłem, mam w ustach smak żółci – odparłem.

Stał, zrywając owoce i jedząc, wypluwając pestki i skórki, ze wzrokiem utkwionym gdzieś poza mną. Od czasu do czasu ocierał mały wąsik Achesona. Arogancki, zmizerowany, wypełniony nie dającymi się wyrazić myślami. Były one wypisane gęstym i drobnym pismem na każdym calu jego wewnętrznej powierzchni.

– Nie będziemy się widzieli w Houston przed operacją, Charlie – powiedział. – Hortensja stanowczo protestuje. Uważa, że będę się przez ciebie za bardzo wzruszał, a ta kobieta wie, co mówi. Teraz chcę ci coś powiedzieć, Charlie. Jeżeli umrę, ożenisz się z Hortensją. Sam takiej kobiety nigdy nie znajdziesz. Uczciwa jak mało kto. Ufam jej w stu procentach, a wiesz, co to znaczy. Jest trochę szorstka, ale stworzyła mi cudowne życie. Nie będziesz już miał kłopotów finansowych, tego możesz być pewien.

– Mówiłeś o tym z Hortensją?

– Nie, napisałem jej w liście. Prawdopodobnie się domyśla, że chcę, żeby wyszła za Citrine'a... gdybym umarł na stole. – Wbił we mnie surowe spojrzenie i powiedział: – Zrobi, co jej każę. Ty też.

Późne popołudnie zawisło ścianą złota. A między nami był ogrom miłości, tylko że ani Ulick, ani ja nie wiedzieliśmy, co z nią zrobić.

– No więc w porządku, do widzenia. – Odwrócił się do mnie plecami. Wsiadłem do wynajętego samochodu i odjechałem.

* * *

Hortensja powiedziała przez telefon:

– Udało się. Wyjęli mu żyły z nogi i podłączyli do serca. Będzie teraz silniejszy niż dotąd.

– Bogu dzięki. Czy niebezpieczeństwo już minęło?

– Och, naturalnie, i możesz go jutro odwiedzić.

Podczas operacji Hortensja nie życzyła sobie mojego towarzystwa. Kładłem to na karb rywalizacji „żona-brat”, ale później zmieniłem zdanie. Rozpoznałem w moim uczuciu jak gdyby bezgraniczność czy histerię, a tego na jej miejscu też bym unikał. Ale przez telefon usłyszałem w jej głosie ton, którego dawniej tam nie było. Hortensja hodowała egzotyczne kwiaty i wrzeszczała na psy i ludzi – taki miała styl. Jednakże tym razem czułem, że otrzymuję, coś, co z reguły przeznaczano dla kwiatów, i mój stosunek do niej całkowicie się zmienił. Humboldt zwykle mi mówił, a był surowym sędzią charakterów, że wcale nie jestem łagodny, tylko przeciwnie, za twardy. Moja poprawa (jeżeli była to poprawa) sprawiłaby mu przyjemność. W tej krytycznej epoce ludzie idąc za nauką (w gruncie rzeczy jest to fantazjo-nauka) twierdzą, że nie mają złudzeń co do siebie nawzajem. Dzięki prawu sknerstwa umniejszanie staje się bardziej realistyczne. Dlatego miałem moje zastrzeżenia co do Hortensji. Teraz uznałem, że dobra z niej kobieta. Leżałem na królewskim motelowym łóżku, czytając papiery Humboldta i książki Rudolfa Steinera, i byłem potwornie zdenerwowany.

Nie wiem, czego się spodziewałem w pokoju Ulicka – może plam krwi albo pyłu kostnego z mechanicznej piły. Otworzyli mu klatkę piersiową i wyjęli serce; wyłączyli je jak mały silnik i położyli gdzieś na boku, a jak byli gotowi, podłączyli je z powrotem. Nie mogłem dać sobie z tym rady. Ale wszedłem do pokoju pełnego słońca i kwiatów. Nad głową Ulicka wisiała mała mosiężna tabliczka z imionami ojca i matki. Twarz miał żółtą i zieloną, nos mu sterczał z twarzy, siwe wąsy pod nim rosły sztywno. Ale minę miał szczęśliwą. I nie stracił dawnej zaciekłości, co mnie ucieszyło. Był słaby, to zrozumiałe, ale znowu pochłaniały go interesy. Gdybym mu powiedział, że wygląda trochę jak z tamtego świata, słuchałby moich słów z pogardą. Były tu przecież wypolerowane okna, były wspaniałe róże i dale, była ubrana w dżersejowy komplet pani Juliuszowa Citrine o krótkich, pulchnych nogach – przystojna, niska, silna kobieta. Życie toczy się dalej. Jakie życie? To życie. A czym jest to życie? Ale nie był to moment na metafizykę. Czułem się bardzo wzruszony, bardzo szczęśliwy. Jednakże trzymałem pewne sprawy pod korcem – moim szczególnym korcem.

– No jak, mały – powiedział, a głos miał wciąż słaby – cieszysz się, co?

– Naturalnie, Ulick.

– Serce można naprawić jak but. Zmienić zelówkę. Nawet dać nowe przyszwę. Jak u Novinsona na Augusta Street...

Przypuszczam, że byłem dla Ulicka specjalistą od nostalgii. Plemienni kacykowie w Afryce trzymali kiedyś koło siebie urzędowych przypominaczy; ja byłem przypominaczem Ulicka.

– Novinson miał na wystawie pamiątki z okopów z roku 1917 – powiedziałem. – Były tam mosiężne łuski naboarów i hełm podziurawiony przez kule. Nad warsztatem wisiał kolorowy rysunek zrobiony przez jego syna, Icka, a na rysunku klient i wymierzone w niego grabie. Klient skakał w powietrze wrzeszcząc: Ratuunuku! Posłanie było takie: „Nie pozwól, żeby cię szewc ograbił za naprawę butów”.

Ulick zwrócił się do Hortensji:

– Wystarczy nacisnąć w nim klawisz.

Uśmiechnęła się z głębi miękkiego fotela, nogi miała skrzyżowane. Jej dżersejowy komplet był koloru przywędłej róży czy też świeżej cegły. Twarz miała tak białą, jak upudrowana tancerka kabuki, bo mimo jasnych oczu w jej rysach było coś japońskiego – kości policzkowe i małe pulchne usta pokryte purpurową szminką.

– Ulick, wyjadę teraz, kiedy masz już wszystko za sobą.

– Posłuchaj, Chuck, od dawna chciałem cię prosić, żebyś mi coś kupił w Europie. Piękny obraz morski. Zawsze przepadałem za malarstwem morskim. Ale żeby nie było nic prócz morza. Nie chcę oglądać żadnych skał czy łodzi, czy ludzi. Tylko ocean przy wspaniałej pogodzie. Woda, woda, wszędzie woda. Znajdź coś takiego, Chuckie, a zapłacę pięć tysięcy, osiem tysięcy. Zatelefonuj, jak trafisz na właściwy towar, a ja telegraficznie przyślę ci pieniądze.

Dał mi do zrozumienia, że mam prawo do prowizji – nieoficjalnej, rzecz jasna. Byłoby nienaturalne z mojej strony, gdybym czegoś dla siebie nie załapał. Tak się czasem objawiała jego hojność. Wzruszyło mnie to.

– Rozejrzę się po galeriach – powiedziałem.

– Świetnie. A teraz co z tymi pięćdziesięcioma tysiącami? Zastanowiłeś się nad moją propozycją?

– Och, naturalnie chciałbym z tego skorzystać. Taki dochód jest mi bardzo potrzebny. Depeszowałem już do mojego przyjaciela, Thaxtera. Płynie teraz do Europy na pokładzie *France*. Zawiadomiłem go, że zgadzam się pojechać do Madrytu i wziąć się do czegoś, co on sobie wymarzył. Taki jego pomysł – coś w rodzaju bedekera kulturalnego... Więc lecę prosto do Madrytu.

– Doskonale. Tobie są potrzebne pomysły. Wracaj do pisania. Znam cię. Jak przestajesz pracować, wpadasz w kłopoty.

Przez tę zmiję w Chicago i jej adwokatów twoja praca stanęła na martwym punkcie. Ona dobrze wie, co dla ciebie znaczy taka przerwa... słuchaj, Hortensja, musimy teraz zająć się trochę Charliem.

– Zgadzam się z tobą – powiedziała Hortensja. Z minuty na minutę coraz bardziej podziwiałem i kochałem Hortensję. Jaka to cudowna i wrażliwa kobieta, naprawdę, i jakie bogactwo uczuć kryła ta maska japońskiej tancerki. Jej szorstkość zmyliła mnie. Ale pod tą szorstkością ile dobroci, jaki ogród różany. – A może zrobiłbyś jeszcze jeden wysiłek i doszedł do porozumienia z Denise? – spytała.

– Ona nie chce się ułożyć – wtrącił Ulick. – Chce mieć jego żołądek w słoju na półce nad kominkiem. Kiedy jej proponuje więcej pieniędzy, podwyższa żądania. To nie ma sensu. Ten chłopak sika pod wiatr w Chicago. Potrzebne mu kobiety, ale wybiera takie, które go niszczą. Wracaj do roboty, Chuck, i zacznij produkować. Jak nie będziesz pchał publiczności przed oczy swojego nazwiska, ludzie pomyślą, że wykitowałeś, tylko nie zauważyli twojego nekrologu. Ile możesz zarobić na tej umowie o przewodnik kulturalny? Pięćdziesiąt? Upieraj się przy stu. I nie zapomnij o podatkach. Na spadku akcji też straciłeś? No naturalnie. Jesteś przecież ekspertem od Ameryki. Musisz doświadczyć tego, co doświadcza cały kraj. Wiesz, co ja bym zrobił? Kupiłbym stare akcje kolei. Niektóre można dostać za czterdzieści procent nominalnej wartości. Tylko koleją da się przewozić węgiel, a kryzys energetyczny wzmaga zapotrzebowanie na ten surowiec. Swoją drogą powinniśmy kupić trochę terenów węglowych. Pod Indianą i Illinois, pod całym Środkowym Zachodem jest jeden pokład węgla. Można go kruszyć, mieszać z wodą i pompować rurociągami, ale to nieekonomiczne. Nawet woda zaczyna się robić towarem deficytowym – ciągnął Ulick, rozpoczynając jedną ze swoich kapitalistycznych fug. Jeśli idzie o węgiel, był poetą romantycznym, Novalisem mówiącym o tajemnicach ziemi. – Zbierz i przyślij mi trochę gotówki. Ja ci ją ulokuję.

– Dzięki, Ulick – powiedziałem.

– Dobra, a teraz zmykaj. Siedz w Europie. Po jaką cholerę masz tu przyjeżdżać. Kup mi widok morza.

Wrócili z Hortensją do swoich planów zabudowy półwyspu. Zajadle wykorzystywał wszystkie swoje talenty na studiowanie map i dokumentacji, gdy tymczasem Hortensja zamawiała mu rozmowy telefoniczne z bankierami. Pocałowałem mojego brata i jego żonę i odjechałem wynajętym samochodem na lotnisko.

* * *

Chociaż rozpierała mnie radość, wiedziałem, że w Mediolanie sprawy wyglądają kiepsko. Niepokoiła mnie myśl o Renacie. Nie wiedziałem, co ona zamyśla. Wczoraj wieczorem zatelefonowałem do niej z motelu. Spytałem, co się dzieje.

– Nie będę opowiadała szczegółów w transatlantycznej rozmowie, Charlie, to byłoby za drogie. – Ale potem płakała przez pełne dwie minuty. Nawet jej międzykontynentalny szloch był żywszy od płaczu kobiety tuż obok. Potem, wciąż łzawa, zaczęła się śmiać z siebie i powiedziała: – Zapłacisz dziesięć centów za łzę, najmniej. Tak, będę na ciebie czekała w Madrycie.

– Czy siñor Biferno jest twoim ojcem?

– Mówisz, jakby cię ta niepewność zabijała. Wyobraź sobie, ile mnie to kosztuje. Tak, myślę, że Biferno jest moim papciem. Czuję, że jest.

– A co on czuje? Jest chyba piekielnie przystojnym mężczyzną. Byle wyskrobek nie mógłby spłodzić kobiety w twoim rodzaju.

– Jest stary i wysuszony. Wygląda jak ktoś, kogo zapomnieli ewakuować z Alcatraz. I nie rozmawiał ze mną. Za nic nie chce.

– Dlaczego?

– Zanim wyjechałam, matka mi nie powiedziała, że decyduje się wystąpić przeciwko niemu do sądu. Sprawa o uznanie ojcostwa. Alimony na dziecko. Szkody moralne.

– Alimony? Masz prawie trzydzieści lat. I Señora nie powiedziała ci, że knuje ten spisek? – spytałem.

– Kiedy w twoim głosie jest zdumienie, kiedy mówisz tym niedowierzającym tonem, wiem, że tak naprawdę jesteś wściekły. Złosisz się o pieniądze wydane na tę podróż.

– Słuchaj, czy Señora musiała zarzucać Biferna pozwami do sądu akurat teraz, kiedy jesteś o krok od rozwiązania zagadki twojego urodzenia? Którą notabene ona powinna rozwikłać. Podjęłaś się tego w imię swoich uczuć czy w imię własnej tożsamości – tygodniami dręczyłaś się problemem swojej tożsamości... i potem własna matka robi ci taki kawał. Nie możesz mieć do mnie pretensji, że czuję się zawiedziony. To przecież obłąkane. Co za plany podboju wykluły się w głowie tej starej kobiety? Wszystko to... bomby zapalające, zwycięstwo, bezwarunkowa kapitulacja.

– Przykro ci słyszeć, że kobieta pozywa mężczyznę do sądu. Nawet nie wiesz, co zawdzięczam mojej matce. Wychowanie takiej dziewczyny jak ja było dość trudnym przedsięwzięciem. A co do kawału, jaki mi zrobiła, przypomnij sobie ludzi, którzy tobie robią kawały. Taki Cantabile, niech się smaży w piekle, czy Szathmar, czy Thaxter. Strzeż się Thaxtera. Zgódź się na ten miesiąc w Madrycie, ale nie podpisuj żadnych umów czy czegoś takiego. Thaxter weźmie swoją część pieniędzy i zwali ci na głowę całą robotę.

– Nie, Renata, to dziwak, ale w gruncie człowiek godny zaufania.

– Do zobaczenia, kochany – powiedziała. – Strasznie za tobą tęsknię. Pamiętasz, co mi kiedyś powiedziałeś o lwie brytyjskim, który stoi, trzymając łapę na kuli ziemskiej? Powiedziałeś, że kiedy położyłeś swoją łapę na mnie, byłam dla ciebie więcej warta niż imperium. Na Renacie słońce nigdy nie zachodzi! Jadę do Madrytu i czekam tam na ciebie.

– Wydaje się, że Mediolan cię zmęczył.

Zamiast odpowiedzi powiedziała mi, jak Ulick, że powinienem zacząć pracować.

– Tylko na miłość boską nie pisz tych nudziarstw, którymi mnie ostatnio częstowałaś – dodała.

Ale w tym momencie cały Atlantyk chyba się między nami rozkołysał albo migotliwe cząstki w wyższych warstwach atmosfery posypały się na satelitę komunikacyjnego. Tak czy inaczej, rozmowa załamała się, skończyła.

Jednakże kiedy samolot wystartował, czułem się nieprawdopodobnie lekki, swobodny – poniosły mnie krzywe orle nogi odrzutowca, wbiłem się do lotu na ogromnych skrzydłach, maszyna przechodziła z warstwy do warstwy w coraz czystszej atmosferze, a ja trzymałem teczkę między nogami jak jeździec, gdy tymczasem moja głowa leżała na łonie fotela. Zważywszy wszystko, uznałem, że nikczemny i zwariowany proces sądowy Sefiory poprawił moją sytuację. Skompromitowała się. Moja łagodność, cierpliwość, umiar, wyższość, pozyskają mi Renatę. Teraz wystarczy, żebym trzymał język za zębami i zachował spokój. Myśli o niej opadły mnie gęstym rojem – było tam wszystko, od zagadnienia, jaki jest wkład pięknych dziewczyn w przyszłe losy demokracji kapitalistycznej, aż do – sięgając znacznie dalej – poważniejszych kwestii. Spróbuję to chociaż częściowo wyjaśnić. Renata prawie już sobie uświadamiała, jak teraz uświadamia to sobie bardzo dużo osób, że „żyje w historii”. Otóż należała, jako biologicznie szlachetna piękność, do fałszywej kategorii – *Maja Goi* paląca cygaro albo *Zagniewana Konkubina* Wallace’a Stevensona, szepcząca na boku „Tfu!” To znaczy Renata pragnęła zignorować i przechytryć kategorię, do której zaliczyła ją powszechna opinia. Ale z tą opinią Renata też współdziałała. A jeżeli historia wyznacza nam jakąś misję, jest nią zerwanie z fałszywymi kategoriami. Zdejmijcie maski. Kiedyś podsunąłem jej taką myśl:

– Kobieta w twoim rodzaju można nazwać głupią idiotką, tylko pod warunkiem, że istnienie i wiedza są całkowicie rozdzielone. Ale jeśli istnienie jest także formą wiedzy, nasze własne istnienie jest do pewnego stopnia naszym własnym osiągnięciem.

– Więc mimo wszystko nie jestem głupią idiotką. Nie mogę być, jeżeli jestem piękna. To wspaniałe! Zawsze jesteś dla mnie taki dobry, Charlie.

– Bo cię kocham, dziecino.

A potem chwilę płakała, bo seksualnie wcale nie była taka, za jaką ją uważano. Miała swoje problemy. Czasem oskarżała się gwałtownie, wołając: „Chcę prawdy! Jestem oszustką! Wolę to robić pod stołem”. Powiedziałem jej, żeby nie przesadzała. Wyjaśniłem, że Jażń uwolniła się od Słońca i musi doznawać cierpienia tego wyzwolenia (Steiner). Nowoczesna ideologia seksualna nie jest zdolna temu przeciwdziałać. Programy pozbawionej hamulców naturalnej rozkoszy nigdy nie wyzwolą nas spod uniwersalnej tyranii osobowości. Ciało i krew nigdy nie zdołają żyć stosownie do takiej zapowiedzi. I tak dalej.

Tak czy inaczej, ogromny odrzutowiec wyniósł nas na wysokość dziesięciu kilometrów – oświetlona pieczara, teatr, kawiarnia – a pod nami w bladym świetle dnia szalejący Atlantyk. Usłyszeliśmy od pilota, że statkom dostają się mocne ciągi w sztormie. Ale z tej wysokości zmarszczki na powierzchni oceanu wydawały się nie większe niż fałdy na podniebieniu pod dotknięciem języka. Stewardessa rozniosła whisky i łupane hawajskie orzeszki. Przecinaliśmy linie długości geograficznej planety, tego tajemniczego miejsca, o którym uczyłem się myśleć jako o wielkiej szkole dusz, materialnym siedlisku ducha. Głębiej niż dotąd wierzyłem, że dusza ze swoimi sporadycznymi przebłyskami dobra nie może oczekiwać, że osiągnie cokolwiek w ciągu jednego życia. Teoria Platona o nieśmiertelności nie była, jak niektórzy uczeni chcieli to przedstawić, metaforą. On to traktował dosłownie. Jeden krótki okres mógł tylko doprowadzić cnotę do rozpacz. Tylko głupiec usiłowałby pogodzić dobro z jednorazową śmiertelnością. Albo jak mogłaby to wyrazić Renata, ta kochana dziewczyna: „Jak ma być raz, to lepiej w las”.

Słowem, pozwalałem sobie myśleć, o czym miałem ochotę, i wysyłałem myśli na wszystkie strony. Czułem jednak, że samolot wraz ze mną zdąży we właściwym kierunku. Madryt to doskonały wybór. W Hiszpanii zaczęę prostować moją drogę. Przeżyjemy tam z Renatą miły, spokojny miesiąc. Wyobraziłem sobie – myśląc o stolarskiej poziomnicy – że może uda się przymilaniem ściągnąć nasze indywidualne banieczki z powrotem do punktu środkowego. A wtedy można się będzie pokusić o rzeczy, które naprawdę zaspokajają, w sposób naturalny zaspokajają wszystkie serca i umysły. Kiedy ludzie mówią o tym, co jest prawdą i dobrem, czują się jak oszuści, jest tak, ponieważ ich banieczka się zabłąkała, ponieważ sądzą, że podporządkowali się prawdom myśli naukowej, której nic a nic nie rozumieją. Ale nie moją też sprawą było igrać z ogniem czy romansować z jedynymi, jakie jeszcze pozostały, ideami rewolucyjnymi. Myśląc w kategoriach polisy ubezpieczeniowej, miałem jeszcze dziesięć lat, żeby odrobić całe życie, w większości źle przeżyte.

Nie mogłem marnować czasu na wyrzuty sumienia czy skruchę. Czułem też, że Humboldtowi, gdzieś tam na obszarach śmierci, potrzebna jest moja pomoc. Umarli i żywi nadal tworzą jedną społeczność. Ta planeta nadal jest bazą operacyjną. Było spartaczone życie Humboldta i moje spartaczone życie i ja miałem obowiązek coś zrobić, wykonać ostatni pożądaną skręt kierownicą, przekazać wyrozumiałość moralną z tego świata, gdzie ją znajdujemy, do tamtej egzystencji, w której jest nam potrzebna. Naturalnie miałem jeszcze moich innych zmarłych. Tu nie chodziło o samego Humboldta. Było też konkretne podejrzenie obłądzenia. Ale czemu miałaby moja wrażliwość leć pod ciężarem takiego podejrzenia? Przeciwnie – i tak dalej. Zakończyłem konkluzję: Zobaczymy, co zobaczymy. Lecieliśmy na bezcienistych wysokościach i w czystym powietrzu wyższych warstw zobaczyłem, że piękny brązowy alkohol w mojej szklance zawiera mnóstwo krystalicznych drobinek i linii termicznych wytwarzającego ciepło zimnego płynu. Tak oto zabawiałem się i spędzałem czas. W Lizbonie mieliśmy długi postój i wylądowaliśmy w Madrycie z wielogodzinnym opóźnieniem.

Odrzutowiec, ze swoim wielorybim garbem, rozwarł się i z wnętrza wypłynęli ludzie, wśród nich pełen zapału Charlie Citrine. W tym roku turyści, przeczytałem w folderze linii lotniczych, przewyższyli liczebnie ludność Hiszpanii o dziesięć milionów. Ale mimo to który Amerykanin zdołałby uwierzyć, że jego przyjazd do Starego Świata nie jest szczególnym wydarzeniem? Sposób zachowania się pod tym niebem znaczył dużo więcej, niż znaczyłby w Chicago. Musiało tak być. Istniała tu pełna znaczenia przestrzeń. Po prostu musiałem tak to odczuwać. A Renata, też otoczona przestrzenią pełną znaczenia, czekała na mnie u Ritza. Tymczasem moi rodacy z samolotu, grupa starszych ludzi z Wichita Falls, szli zmęczeni, powłócząc nogami, przez długie korytarze, podobni pacjentom z ambulatorium szpitalnego. Minąłem ich z szybkością strzały. Byłem pierwszy przy okienku kontroli paszportowej, pierwszy przy konwejerze bagażowym. I potem okazało się, że moja walizka jest ostatnia ze wszystkich. Turyści z Wichita Falls odeszli i zacząłem podejrzewać, że walizka z

elegancką garderobą, z krawatami od Hermesa, z gogusiowatymi obcisłymi marynarkami i tak dalej, zaginęła, kiedy nagle zobaczyłem ją, podrygującą samotnie na długiej, długiej taśmie. Zbliżała się do mnie jak kobieta bez gorsetu, skacząca po kocich łbach.

Potem w taksówce wiozącej mnie do hotelu znowu byłem z siebie zadowolony i pomyślałem, że dobrze zrobiłem, przyjeżdżając późno w nocy, kiedy ulice są puste. Nie było korków, taksówka jechała z szaleńczą szybkością, będę mógł natychmiast pójść do pokoju Renaty, rozebrać się i położyć z nią do łóżka. Nie z żądzy, tylko z zapału. Wypełniała mnie bezgraniczna potrzeba dawania pociechy i otrzymywania pociechy. Nie potrafię wam powiedzieć, jak bardzo zgadzałem się z Mistrzem Eckhardtem w jego poglądach na wieczną młodość duszy. Od pierwszej chwili do ostatniej, powiada, dusza jest taka sama, ma tylko jeden wiek. Ale reszta nas nie jest tak niezmienna. Więc pomijanie tej sprzeczności, odrzucanie myśli o rozkładzie i zaczynanie życia wciąż i wciąż od nowa, ma niewiele sensu. Tu, z Renatą, chciałem jeszcze raz spróbować, przysięgając sobie gorączkowo, że ja będę czulszy, a ona wierniejsza i bardziej człowiecza. Naturalnie nie miało to sensu. Ale nie należy zapominać, że do czterdziestego roku życia byłem stuprocentowym głupcem, a potem częściowym głupcem. Zawsze będę w mniejszym czy większym stopniu głupcem. Mimo wszystko uważałem, że jest nadzieja, i pędziłem taksówką do Renaty. Wkraczałem w końcowe strefy śmiertelności, ufając, że nie gdzie indziej, tylko tu w Hiszpanii, tu w łóżku, dopełnią się – nareszcie! – wszystkie słuszne ludzkie sprawy.

W okrągłym holu wejściowym Ritza dystyngowani fagasi wzięli moją walizkę i teczkę, wszedłem przez obrotowe drzwi, rozglądając się za Renatą. To niemożliwe, żeby czekała na mnie w jednym z tych okazałych foteli. Taka królewska kobieta nie może siedzieć w holu z nocną zmianą, o godzinie trzeciej nad ranem. Na pewno leży, czuwając, piękna, wilgotna, oddychająca spokojnie i czeka na swojego nadzwyczajnego, swojego jednego jedyne Citrine'a. Są inni odpowiedni mężczyźni, przystojniejsi, młodsi, energiczni, ale taki Charlie jest tylko jeden i Renata, jak sądzę, była tego świadoma.

Kierując się szacunkiem dla samej siebie, nie zgodziła się przez telefon na wspólny apartament.

– W Nowym Jorku to nie ma znaczenia, ale mamy przecież różne nazwiska w paszportach i w Madrycie wyglądałoby to trochę kurwiszonowato. Wiem, że to będzie kosztować podwójnie, ale trudno, tak musi być.

Zwróciłem się do telefonisty, żeby mnie połączył z panią Koffritz.

– Nie ma u nas pani Koffritz – odpowiedział.

– W takim razie pani Citrine? – podsunąłem.

Pani Citrine też tu nie było. Niegodziwe rozczarowanie. Przeszedłem przez krąg dywanu, pod kopułą, i zwróciłem się do portiera. Wręczył mi depeszę z Mediolanu. „Mała zwłoka. Biferno mięknie. Zatelefonuję jutro. Uwielbiam cię”.

Potem zaprowadzono mnie do mojego pokoju, ale mój stan ducha nie pozwolił mi podziwiać jego wspaniałości: okazałe hiszpański, z rzeźbionymi skrzyniami i ciężkimi draperiami, na podłodze tureckie dywany, fotele, marmurowa łazienka, staromodne lampy i wyłączniki w bogatym stylu dawnych wagonów sypialnych. Łóżko stało za kotarą w alkowie i było przykryte narzutą z mory. Moje serce zachowywało się dziwnie, kiedy nagi wpełzłem do łóżka i położyłem głowę na wałku. Od Thaxtera też nie było wiadomości, a na pewno dotarł już do Paryża. Muszę się z nim porozumieć. Niech natychmiast zawiadomi Stewarta w Nowym Jorku, że przyjmuję jego zaproszenie na miesięczny pobyt w Madrycie. Ta sprawa była dość ważna. Zostało mi już tylko cztery tysiące dolarów i nie mogłem sobie pozwolić na dwa apartamenty u Ritza. Dolar spadał na łeb, peseta wywindowała się na surrealistyczną wysokość, a ja nie wierzyłem, żeby Biferno zmiękł.

W sercu czułem głuchy ból. Nie chciałem podsuwać mu słów, które by wypowiedziało. Przeklinałem stan, w jakim się znalazłem. Tb było daremne, daremne, daremne. O wiele tysięcy mil od mojego ostatniego łóżka w Teksasie leżałem sztywny i bezgranicznie smutny, z temperaturą ciała przynajmniej o trzy stopnie poniżej normalnej. Litowanie się nad sobą było czymś, czym nauczono mnie gardzić. Moje amerykańskie wychowanie nauczyło mnie między innymi być energicznym i pozytywnym, kwitnącym organizmem siły, i zdobywcą, a kiedy zdobyłem dwie nagrody Pulitzera i medal klubu Zig-Zac, i bardzo dużo pieniędzy (z których obrabował mnie sąd), postawiłem sobie ostateczny i jeszcze wyższy cel, mianowicie nieodzowną rewizję metafizyczną, bardziej właściwy sposób myślenia o sprawach śmierci! A teraz przypomniałem sobie cytaty z Coleridge'a przytoczony przez Von Humboldta Fleishera w papierach, które mi pozostawił, dotyczący osobliwych poglądów metafizycznych. Jak to było? Osobliwe poglądy metafizyczne w godzinie udręki są zabawkami przy łóżeczku śmiertelnie chorego dziecka. Wstałem i zacząłem rozgrzebywać teczkę w poszukiwaniu dokładnego cytatu. Ale nagle dałem spokój. Zrozumiałem, że strach przed porzuceniem mnie przez Renatę jest czymś zupełnie różnym od śmiertelnej choroby. A poza tym – niech ją diabli – dlaczego naraża mnie na tę udrękę i

zmusza, żebym nagi schylał się i grzebał w teczce, i wyciągał papiery nieżyjącego człowieka przy świetle lampy jak z wagonu sypialnego. Uznałem, że jestem tylko przemęczony i odczuwam różnicę czasu po locie odrzutowym.

Dałem spokój Humboldtowi i Coleridge'owi i zwróciłem się ku teoriom George'a Swiebla. Zrobiłem to, co zrobiłby George. Przygotowałem sobie gorącą kąpiel i kiedy wanna się napełniała, stałem na głowie. Potem zrobiłem mostek zapaśnika, opierając cały ciężar na piętach i tyle głowy. Potem wykonałem kilka ćwiczeń zalecanych przez słynnego doktora Jacobsena, tego specjalistę od relaksu i snu. Studiowałem kiedyś jego podręcznik. Należało rozładować w sobie napięcie, kolejno jeden po drugim palce u nóg, palce u rąk. Nie był to dobry pomysł, bo przypomniało mi się, co Renata robiła z palcami u rąk i nóg w momentach erotycznej pomysłowości. (Nie wiedziałem o palcach u nóg, dopóki Renata mnie nie nauczyła.) Po tym wszystkim położyłem się do łóżka i błagałem moją roztrzęsioną duszę, żeby sobie poszła na jakiś czas – proszę! – i pozwoliła odpocząć umęczonemu ciału. Sięgnąłem po depezę Renaty i wpiłem wzrok w „Uwielbiam cię”. Pilnie przypatrując się tym słowom, postanowiłem uwierzyć, że mówi prawdę. Po tym akcie wiary natychmiast zasnąłem. Przez wiele godzin leżałem bez świadomości za kotarą alkowy.

I potem odezwał się telefon. W odizolowanym, odgradzonym mroku alkowy sięgnąłem do kontaktu. Nie mogłem go znaleźć. Podniosłem słuchawkę i spytałem, która godzina.

Było dwadzieścia po jedenastej.

– Jakaś pani idzie właśnie do pańskiego pokoju – powiedział telefonista.

Jakaś pani! Renata przyjechała. Odśloniłem okna i pobiegłem umyć zęby i twarz. Włożyłem szlafrok, przejechałem włosy szczotką, żeby przykryć łyse miejsca i wycierałem się jednym z grubych luksusowych ręczników, kiedy kołatka odezwała się wiele razy, jak stuk telegrafu, tylko delikatniej, sugestywnie. Wrzasnąłem:

– Kochanie!

Otworzyłem drzwi na oścież i zobaczyłem starą matkę Renaty. Miała na sobie swój ciemny kostium podróżny, z wieloma wykonanymi własnoręcznie udoskonaleniami, i kapelusz z welonem.

– Señora! – wykrzyknąłem.

Wkroczyła w swoim średniowiecznym stroju. Już za progiem wyciągnęła za siebie urękawiczoną dłoń i wprowadziła do pokoju synka Renaty, Rogera.

– Roger! – zawołałem. – Dlaczego Roger jest w Madrycie? Co pani tu robi, Señora?

– Biedny mały. Spał w drodze i kazałam go wynieść z samolotu.

– Przecież święta z dziadkami w Milwaukee... co się stało?

– Jego dziadek miał wylew. Może umrzeć. A jego ojca nie udało nam się znaleźć. Nie mogłam trzymać Rogera u siebie, mam małe mieszkanie.

– Jest przecież mieszkanie Renaty.

Nie, Señora ze swoimi *affaires de coeur* nie mogła zajmować się małym dzieckiem. Poznałem niektórych z jej przyjaciół. Rozsądek nakazywał nie narażać dziecka na kontakty z nimi. Na ogół starałem się nie myśleć o tych jej romansach.

– Czy Renata wie?

– Ależ naturalnie, wiedziała, że przyjeżdżamy. Omówiliśmy wszystko przez telefon. Charles, proszę, zamów dla nas śniadanie. Roger, dziecinko, zjesz trochę pysznych płatków z cukrem? Dla mnie gorąca czekolada, kilka croissarcis i kieliszek koniaku.

Dziecko siedziało przechylone nad poręczą wysokiego hiszpańskiego krzesła.

– Chodź, mały, połóżysz się na moim łóżku. – Zdjąłem mu buciki i zaprowadziłem do alkowy. Señora obserwowała mnie, kiedy przykrywałem małego kołdrą i zaciągałem kotarę. – Więc Renata kazała go pani tu przywieźć.

– Naturalnie. Możesz tu siedzieć miesiącami. To było jedyne wyjście.

– Kiedy Renata przyjeżdża?

– Jutro jest Boże Narodzenie – powiedziała Señora.

– Niestychane! Ale co znaczy ta pani informacja? Czy będzie tu na święta, czy też spędza święta ze swoim ojcem w Mediolanie? Czyjej sprawy posunęły się naprzód? Ale to niemożliwe, skoro pani wytoczyła proces panu Biferno.

– Charles, byliśmy w powietrzu dziesięć godzin. Nie mam dość siły, żeby odpowiadać na pytania. Proszę, zamów śniadanie. I chciałabym, żebyś się ogolił. Nie mogę patrzeć na zarosniętą męską twarz po drugiej stronie stołu.

Zacząłem badać wzrokiem twarz Sefiory. Miała mnóstwo godności. Siedziała w swoim kwefie jak Edith Sitwell. Jej wpływ na córkę, której tak bardzo potrzebowałem, był ogromny. Dopatrzyłem się jakiejś wężowej suchości dokoła jej oczu. Tak, Señora była stuknięta. Jednakże jej opanowanie, z dużą domieszką szaleńczego irracjonalizmu, wydawało się niewzruszone.

– Ogołę się, Sefiora, kiedy pani będzie czekała na swoje kakao. Ciekaw jestem, dlaczego wybrała pani akurat ten moment, żeby występować do sądu przeciwko panu Biferno?

– Czy to nie moja sprawa?

– A nie jest to też sprawa Renaty?

– Mówisz, jakbyś był jej mężem – odparła. – Renata pojechała do Mediolanu, żeby dać temu człowiekowi szansę uznania jej za córkę. Ale istnieje też matka. Kto dał tej dziewczynie wychowanie i zrobił z niej tak niezwykłą kobietę? Kto zrobił z niej kobietę na poziomie i nauczył ją wszystkich ważnych rzeczy? Trzeba skończyć z całą tą niesprawiedliwością. Biferno ma trzy brzydkie, pospolite córki. Jeżeli chce mieć to wspaniałe dziecko, które ja mu urodziłam, niech zapłaci rachunek. Charles, nie próbuj pouczać kobiety rasy latynoskiej, jak się załatwia takie sprawy.

Siedziałem w moim niezupełnie czystym jedwabnym beżowym szlafroku. Pasek był za długi i przez wiele lat chwosty wlokły się po podłodze. Wszedł kelner, szerokim gestem odsłonił tacę i zasiedliśmy do śniadania. Kiedy Señora niuchała swój koniak, badałem wzrokiem jej pożyłkowaną skórę, ślad wąsika nad wargą, orli nos z operowymi nozdrzami i przedziwny kurzy połysk jej gałek ocznych.

– Bilety na samolot wzięłam od twojej agentki w biurze podróży... ta Portugalka, w kaszmirowym turbanie, pani Da Cintra. Renata kazała mi wziąć je na twój rachunek, nie miałam centa. – Pod tym względem Señora przypominała Thaxtera. Oboje należeli do ludzi, którzy mówią z dumą, nawet z rozkoszą, że są zupełnie goli. – I zamówiłam tu pokój dla siebie i dla Rogera. Moja instytucja zamyka się na ten tydzień. Będę miała wakacje.

Kiedy wspomniała o instytucji, pomyślałem o domu wariatów, ale nie, Señora miała na myśli szkołę handlową, w której uczyła korespondencji hiszpańskiej. Zawsze podejrzewałem, że jest Węgierką. Jakkolwiek rzecz się miała, studenci bardzo ją cenili. Nie warto chodzić do szkoły, w której nie ma efektownych dziwaków i romantycznych obłąkańców. Ale wkrótce Señora będzie musiała iść na emeryturę, a kto wtedy będzie pchał jej fotel na kółkach? Czy to możliwe, że ona teraz widzi mnie w tej roli? A może ta stara kobieta podobnie jak Humboldt, wymarzyła sobie, że zrobi fortunę na procesie sądowym? Czemu nie? Może w Mediolanie jest sędzia podobny do mojego Urbanovicha?

– No więc spędzimy święta razem.

– Malec wydaje mi się bardzo blady. Nie jest chory?

– To tylko zmęczenie – odparła Señora.

Jednakże Roger zachorował na gripę. Dyrekcja hotelu sprowadziła doskonałego hiszpańskiego lekarza, absolwenta uniwersytetu Northwestern, który snuł wspomnienia o Chicago i obdarł mnie ze skóry. Zapłaciłem mu amerykańskie honorarium. Dałem Señorce pieniądze na podarki gwiazdkowe, kupiła najrozmaitsze przedmioty. W dniu Bożego Narodzenia myślałem o moich córeczkach i było mi ciężko na duszy. Cieszyłem się, że jest Roger, i dotrzymywałem mu towarzystwa, czytałem bajki i wycinałem z nim i kleiłem łańcuchy z hiszpańskich gazet. W pokoju był nawilżacz powietrza, wzmagający zapachy kleju i papieru. Renata nie zatelefonowała.

Przypomniałem sobie, że Boże Narodzenie roku 1924 spędziłem w sanatorium przeciwgruźliczym. Siostry dały mi grubo żyłkowaną laseczkę cukru lodowego o smaku mięty i bożonarodzeniową pończochę napełnioną czekoladowymi monetami w złotej folii, ale była to radość przygnębiająca, bo zatęskniłem za ojcem i matką, i nawet za moim wstrętnym bratem Juliuszem. Teraz wyrosłem już z tych drzeń i tych rozpaczy i byłem

starszawym zbiegiem, ofiarą sądów, który siedział w Madrycie i wzdychając, ciął i kleił papier. Malec, rozgorączkowany i blady, z oddechem woniejącym czekoladą i klejem, lepił teraz łańcuch tak długi, że po dwukrotnym opasaniu pokoju trzeba go było przerzucić przez kandelabr. Starałem się być miły i spokojny, ale od czasu do czasu moje uczucia chlustały we mnie (ach, te wstrętne uczucia), jak woda w spuszczeniu promu, kiedy szeroki statek przybija do brzegu i cofające się śruby bełtają śmieci i potopione skórki pomarańczy. Zdarzało się to, kiedy nie panując nad sobą, zaczynałem sobie wyobrażać, co Renata robi w Mediolanie, pokój, w którym mieszka, mężczyznę, który jest przy niej, ich pozycje w łóżku, palce u nóg tamtego faceta. Postanowiłem, że nie – w żadnym wypadku nie zgodzę się być zmalretowanym, porzuconym, cierpiącym na chorobę morską rozbitkiem, ofiarą katastrofy. Usiłowałem cytować w myślach Szekspira – coś w tym sensie, że Cezar i Niebezpieczeństwo to dwa lwy urodzone w tym samym dniu, przy czym Cezar był starszy i straszniejszy. Ale mierzyłem za wysoko i nic mi to nie pomogło. Co więcej, dwudziestemu wiekowi niełatwo zaimponować tego rodzaju cierpieniami. Widział już wszystko. Nie można mieć do niego pretensji, że po ofiarach ciepłopalnych nie interesują go takie trudności osobistej natury. Sam wyliczyłem krótką listę prawdziwych problemów stojących przed światem – embargo na ropę naftową, upadek Wielkiej Brytanii, głód w Indiach i Etiopii, przyszłość demokracji, los oczekujący ludzkość. Pomogło mi to nie więcej niż Juliusz Cezar. Osobiście byłem nadal przygnębiony.

Dopiero kiedy siedziałem w obitym brokatem fotelu osiemnastowiecznej niszy (fryzjer tylko dla gości Ritza), gdzie poszedłem nie dlatego, że miałem za długie włosy, tylko ponieważ tęskniłem za dotknięciem ludzkiej ręki – dopiero wtedy zacząłem myśleć jaśniej o Renacie i Señorze. Jak się to stało, że zaledwie ojciec Koffritz został po wylewie sparaliżowany z jednej strony, Roger był gotów do wyjazdu? Jakim cudem to stare babsko wyrobiło mu tak szybko paszport? Odpowiedź była prosta. Kiedy poszedłem na górę i zbadałem dyskretnie paszport, okazało się, że wystawiono go w październiku. Panie planowały bardzo dokładnie, tylko ja nie byłem przewidujący. Wobec tego postanowiłem wziąć inicjatywę w swoje ręce.

Mądrym posunięciem byłoby poślubić Renatę, zanim zdoła się dowiedzieć, że jestem bankrutem. Nie powinienem tego robić tylko z zemsty. Nie, mimo jej kręactw ciągle za nią szalałem. Kochałem ją, więc byłem gotów patrzeć przez palce na pewne drobiazgi. Prowokowała mnie, zamykając mi drzwi przed nosem którejs nocy i ostentacyjnie tak umieszczając swoje środki antykoncepcyjne w otwartej torbie, żebym je zobaczył na lotnisku Heathrow, kiedy w zeszłym roku pod koniec kwietnia rozstawaliśmy się na trzy dni. Ale czy to było takie ważne? Czy nie znaczyło tylko, że nigdy nie wiadomo, kiedy się spotka interesującego mężczyznę? Pytanie zasadnicze, to czy ja, ze wszystkimi moimi myślami, albo właśnie z ich powodu, będę kiedykolwiek zdolny zrozumieć kobietę w rodzaju Renaty. W przeciwieństwie do Humboldta nie ulegałem nigdy napadom zazdrości. Przypominałem sobie jego minę w Connecticut, kiedy cytował mi króla Leontesa na moim podwórzu nad brzegiem morza. „Czuję *tremor cordis*: moje serce tańczy; ale nie z radości, nie z radości”. Ten taniec serca jest klasyczną zazdrością. Ja nie ulegałem klasycznej zazdrości. Renata robiła rzeczy skandaliczne, to prawda. Ale może były to kroki wojenne. Walczy, żeby mnie zdobyć, i będzie inna, kiedy zostaniemy mężem i żoną. Bez wątplenia jest osobą niebezpieczną, ale mnie nie interesowałaby nigdy kobieta niezdolna do wyrządzenia krzywdy, kobieta, ze strony której nie groziłoby mi, że ją stracę. Moje serce należało do gatunku tych, które muszą pokonać melancholię i uwolnić się od wielu przygnębiających ciężarów. To hiszpańskie tło bardzo się do tego nadawało. Renata występowała jako Carmen, a Flonzaley, bo to prawdopodobnie chodziło o Flonzaleyę, był toreadorem Escamillo, natomiast ja, dwa i pół raza za stary do tej roli, grałem Don Josego.

W pośpiechu naszkicowałem plan najbliższej przyszłości. Śluby cywilne prawdopodobnie nie istnieją w tym katolickim kraju. Węzeł będzie chyba można zawiązać w ambasadzie amerykańskiej, może zrobi to attache wojskowy albo – kto wie – notariusz. Poszukam w antykwariatach (przepadam za madryckimi antykwariatami) i kupię dwie obrączki, i każę przygotować kolację z szampanem u Ritza – i żadnych pytań o Mediolan. A jak odeślemy Señorę do Chicago, przeniesimy się w trójkę do Segowii, miasta dobrze mi znanego. Po śmierci Demmie dużo podróżowałem i byłem też w Segowii. Oczarował mnie akwedukt rzymski, pamiętam że zachwyciłem się widokiem tych wysokich gruzłowatych kamiennych łuków – kamienie, które z natury rzeczy powinny spadać czy tonąć, tkwiły tam lekko w powietrzu. Ib osiągnięcie trafiało do przekonania – było dla mnie przykładem. Jeśli idzie o medytację, Segowia jest bezkonkurencyjna. Moglibyśmy zamieszkać *en familie* na jednej ze starych uliczek i kiedy ja usiłowałbym rozstrzygnąć, czy naprawdę zdołam przenieść się ze świadomości intelektualnej w czystsza świadomość ducha, Renatę może bawiłoby przeczesywanie miasta i szukanie antyków, które ewentualnie sprzedawałaby dekoratorom wewnątrz w Chicago. Może nawet zarobiłaby parę dolarów. Roger chodziłby do przedszkola, a z czasem przyjechałyby do nas moje córki, bo jak tylko Denise wygra proces i zainkasuje pieniądze, będzie się ich chciała pozbyć. Akurat starczyłoby mi pieniędzy, żeby osiąść w Segowii i dać Renacie zawodowy start. Mógłbym nawet napisać proponowany mi przez Thaxtera esej o współczesnej kulturze hiszpańskiej, jeżeli da się to zrobić bez nadmiernego oszustwa. A jak Renata potraktuje mój podstęp? Potraktuje go jako pyszną komedię, a komedię ceniła więcej niż cokolwiek innego w

życiu. A kiedy jej powiem po ślubie, że mamy już tylko kilka ostatnich tysięcy, roześmieje się radośnie, od ucha do ucha, i powie: „Och, co za heca!” Przywoływałem w myślach Renatę śmiejącą się radośnie, bo tak naprawdę miałem ciężki atak mojej życiowej choroby – tęsknota, wzbierające serce, rozdzierające pragnienie porzuconych, bolesna ostrość niesprecyzowanej potrzeby. To się ciągnęło od najwcześniejszego dzieciństwa aż po granicę starości. Pomyślałem: Niech to diabli, skończmy z tym raz na zawsze. A potem, żeby uniknąć komentarzy wścibskiego personelu u Ritza, poszedłem na główną pocztę Madrytu, z jej okazałymi salami i zwariowanymi wieżami (hiszpański biurokratyczny gotyk) i nadałem telegram do Mediolanu. „Renata, kochanie, mam cudowny pomysł. Wyjdź za mnie jutro. Twój prawdziwie kochający wierny Charlie”.

I nie spałem całą noc z powodu użytego słowa „wierny”. To może zepsuć cały interes, implikując oskarżenie i napomykając, czy też robiąc aluzję do przebaczenia. Aleja naprawdę nie chciałem nic złego. Byłem ani taki, ani siaki. To znaczy, gdybym był prawdziwym hipokrytą, nie miałbym tych nieustannych wpadek. Z drugiej strony, gdybym był naprawdę niewinny i czystego serca, nie musiałbym gryźć się całą noc myślami o tym, co Renata robi w Mediolanie i jak zrozumie moją depeszę. Ale spędziłem bezsenną noc na darmo. Dobór słów w depeszy nie miał znaczenia. W ogóle mi nie odpowiedziała.

A zatem tego wieczoru, w romantycznej restauracji Ritza, gdzie każdy kęs kosztuje fortunę, zwróciłem się do Señory:

– Nigdy by pani nie zgadła, o kim dzisiaj myślałem. – Nie czekając na odpowiedź, wymówiłem nazwisko Flonzaley, co miało być atakiem przez zaskoczenie na jej linii obronne. Ale Señora była zrobiona z okropnie twardego materiału. Zdawało się, że w ogóle nie usłyszała. Powtórzyłem: – Flonzaley! Flonzaley! Flonzaley!

– Dlaczego tak głośno mówisz? Co się stało, Charles?

– Może by mi pani powiedziała, co się stało. Gdzie jest pan Flonzaley?

– Dlaczego miałabym się interesować miejscem jego pobytu? Czy zechciałbyś powiedzieć *camarero*, żeby nalał wina?

Señora życzyła sobie, żebym to ja zwracał się do kelnerów nie tylko dlatego, że ona była damą, a ja dżentelmenem. Mówiła po hiszpańsku płynnie, z pewnością, ale akcent miała zdecydowanie węgierski. Co do tego nie było już teraz wątpliwości. Nauczyłem się od Señory kilku rzeczy. Na przykład: czy ja sobie wyobrażam, że wszyscy ludzie zbliżający się do schyłku życia będą się gorączkowali, żeby zawrzeć ugodę z własną duszą? Przeszedłem przez mękę przygotowań, zanim wyrzuciłem z siebie nazwisko Flonzaley, a ona poprosiła o więcej wina. A przecież to z pewnością ona obmyśliła genialny plan przywiezienia Rogera do Madrytu. To ona przypilnowała, żebym był tu unieruchomiony, bo inaczej pognałbym do Mediolanu i wdarł się do Renaty. Bo Flonzaley był tam z nią, to pewne. Szalał za Renatą i nie miałem mu tego za złe. Człowiekowi, który spotyka więcej ludzi na płycie w kostnicy niż w towarzystwie, nie należy robić wyrzutów, że traci głowę w taki sposób. Nieczęsto widzi się żywe ciało dorównujące ciału Renaty. A jeśli idzie o Renatę, narzeką na element chorobliwości w jego uwielbieniu, ale czy mogłem być naprawdę pewien, że jej to nie pociągało? Nie byłem pewien niczego. Siedziałem i robiłem, co mogłem, żeby się upić butelką kwaskowatego wina, ale wino nie zdołało zwalczyć mojej zgorzkniałej trzeźwości... Nie, nie rozumiałem.

Działanie wyższej świadomości wcale nie musiało usprawnić zrozumienia. Nadzieję takiego zrozumienia rozbudził we mnie mój podręcznik *Wiedza o wyższych światach i jej osiągnięcia*. Były tam ściśle określone instrukcje. Jedno z proponowanych ćwiczeń polegało na tym, żeby w pewnej określonej sytuacji starać się wniknąć w pragnienie drugiej osoby. Aby tego dokonać, należało pozbyć się wszystkich własnych opinii, wszystkich stających na przeszkodzie osądów; nie należało być ani za, ani przeciw takiemu pragnieniu. W taki sposób można było stopniowo wczuwać się w to, co czuje druga dusza. Przeprowadziłem to doświadczenie z moją córeczką Mary. Bardzo pragnęła dostać na ostatnie urodziny rower na dziesięć biegów. Nie miałem pewności, czy jest dość duża, żeby jeździć na takim rowerze. Kiedy szliśmy do sklepu, wcale nie było pewne, czy go jej kupię. Otóż: jakie było to jej pragnienie i co przeżywała? Chciałem wiedzieć i usiłowałem pragnąć w taki sposób, w jaki ona pragnęła. Było to moje dziecko, które kochałem i wobec tego powinienem bez najmniejszego trudu odgadnąć, czego ta młoda duszyczka pożąda z taką intensywnością. Ale nie mogłem. Próbowalem, aż pot zaczął ze mnie spływać, czułem się upokorzony, zhańbiony niepowodzeniem. Jeżeli nie mogę zrozumieć pragnień tego dziecka, czy zdołam zrozumieć pragnienie innych ludzi? Wypróbowywałem to na wielu osobach. I wreszcie, pokonany, zadałem sobie pytanie: co właściwie jest ze mną? I co naprawdę wiem o innych? Jedynymi pragnieniami, jakie rozumiałem, były moje własne oraz pragnienia ludzi nie istniejących, jak Makbet czy Prospero. Te znałem, bo intuicja i język geniusza uczyniła je zrozumiałymi. Kupiłem Mary rower, a potem wrzeszczałem: „Na miłość boską, nie jedź po krawężnikach, rozwalisz koło!” Ale był to wybuch rozpacz, że nie umiałem się dowiedzieć, co jest w sercu tego dziecka. A przecież byłem do tego

przygotowany. Nastawiłem się na to, że je poznam w najbogatszych barwach, wraz z najgłębszymi uczuciami, w najczystszej świetle. Byłem zwierzęciem, wyładowanym najświetniejszymi zdolnościami, których nie umiałem użyć. Nie będę wchodził znowu w szczegóły i szczyptał każdą strunę mandoliny dziesięć razy, o co mnie oskarżała ta moja droga przyjaciółka. Moim zadaniem, raz na zawsze, było przełamać zgubną samowystarczalność świadomości i przenieść resztkę moich sił do Duszy-Wyobraźni. Co powinien też zrobić Humboldt.

Nie wiem, z kim inni panowie w restauracji Ritza jedli kolację, sceneria ludzka była dla mnie w tej chwili zbyt zagęszczona i brzemienna w komplikacje, i mogę powiedzieć tylko jedno: Cieszyłem się, że cele tej rajfurzającej starej wiedźmy po drugiej stronie stolika były celami czysto konwencjonalnymi. Gdyby polowała na moją duszę, tę resztkę, która została, przepadłbym. Ale ona pragnęła tylko prehandlować swoją córkę w jej szczytowym momencie. A czy ja już z tym skończyłem? Czy było już po wszystkim? Przez kilka lat dobrze mi się żyło z Renatą – koktajle na szampanie, stół udekorowany orchideami i ta ciepła piękność w piórach i przepasce na biodrach podająca kolację, gdy tymczasem ja jadłem, i piłem, i śmiałem się aż do kaszlu z jej erotycznych przekomarzań – burleska wielkości herosów i królów. Zegnajcie, żegnajcie, cudowne doznania. Przynajmniej moje były autentyczne. A jeśli jej nie były, trzeba przyznać, że była dobrym i wyrozumiałym kumplem. W swoim batystowym łóżku. W swoim niebie miękkich poduszek. Wszystko to prawdopodobnie już się skończyło.

A kim można być w restauracji Ritza, jeśli nie rozpieszczanym biesiadnikiem? Dbają tam o ciebie lokaje i kuchmistrze, i różni *maitres*, i kelnerzy, i maleńki pikolak, ubrany jak amerykański chłopiec hotelowy i napełniający szklanki krystaliczną lodowatą wodą, i zbierający okruchy z obrusa szeroką srebrną łopatką. On mi się najbardziej podobał. W tych warunkach nie mogłem zaspokoić rosnącego we mnie pragnienia szloch. Była to moja godzina rozpacz. Bo nie miałem gotówki, o czym ta stara wiedźma wiedziała. Ten pomarszczony wyschły wór, Señora, znała stan moich finansów. Flonzaleyowi z jego nieboszczykami nigdy nie zabraknie pieniędzy. Same prawa natury idą mu na rękę. Nowotwory i aneuryzmy, zawały i wylewy są podstawą jego bogactwa i zapewniają mu szczęście. Wszyscy ci zmarli, jak świetny dwór Jeruzolimy, śpiewają: „Żyj po wsze czasy, Salomonie Flonzaley!” I tak Flonzaleyowi dostawała się Renata, a ja tymczasem, pozwoiliwszy sobie na moment litości nad samym sobą, zobaczyłem, jak bardzo stary i oszołomiony stoję w ubikacji jakiegoś mieszkania. Może na podobieństwo doktora Lutza będę wkładał dwie skarpetki na jedną nogę i siusiał do wanny. A to, powiedziała Naomi, jest już koniec. Dobrze się stało, że tytuły własności tych grobów na cmentarzu Waldheim odnalazły się w biurku Juliusza. Kto wie, czy nie będę ich potrzebował przedwcześnie. Jutro, z ciężkim sercem, pójdę do Prado popatrzeć na Velasqueza, czy też miał to być Murillo przypominający Renatę – ten portret, o którym wspominał kanclerz skarbu na Downing Street. No więc siedziałem w tym krajobrazie srebrzystej usługi, płomyków zapalonego koniaku i cudownych błysków zastawy.

– Zadepeszowałem wczoraj do Renaty i poprosiłem, żeby za mnie wyszła – powiedziałem.

– Naprawdę? Jak to ładnie z twojej strony. Należało to zrobić już dawno – oznajmiła nieubłagana Señora. – Nie wolno tak traktować dumnej kobiety. Swoją drogą byłabym szczęśliwa, że mam tak dystyngowanego zięcia, a Roger kocha cię, jakbyś był jego ojcem.

– Tylko że ona mi nie odpowiedziała.

– Poczta działa okropnie. Nie słyszałeś, że Włochy się rozpadają? Telefonowałeś?

– Próbowałem, Señora. Nie chciałem dzwonić w środku nocy. Zresztą nigdy jej nie ma.

– Może wyjechała z ojcem na święta. Może Biferno ma jeszcze willę w Dolomitach.

– A może pani użyłaby swojego wpływu, wstawiła się za mną? – powiedziałem. Ta kapitulacja była błędem. Odwoływanie się do pewnych szczególnych mocy jest rzeczą najgorszą, jaką można zrobić. Te wulkanizowane serca stają się jeszcze odporniejsze, kiedy prosimy je o litość. – Wie pani, że jestem w Hiszpanii, żeby opracować nowy typ bedekera. Z Madrytu pojechalibyśmy z Renatą, jeżeli się pobierzemy, do Wiednia, Rzymu i Paryża. Mam zamiar kupić nowego mercedesa-benza. Moglibyśmy wziąć dla chłopca guwernantkę. Zarobię na tym mnóstwo pieniędzy. – Zacząłem teraz rzucać nazwiskami, przechwalać się świetnością moich koneksji w stolicach europejskich, paplałem. Robiło to na niej coraz mniejsze wrażenie. Kto wie, może odbyła rozmowę z Szathmarem. Nie wiem dlaczego, ale Szathmar lubił zdradzać moje sekrety. Nagle powiedziałem: – Señora, a może poszlibyśmy do kabaretu Flamenco? Wie pani, to coś, co się ogłasza po całym mieście. Przepadam za głośnym śpiewem i za stukotem obcasów tancerzy. Znajdziemy kogoś, kto posiedzi przy Rogerze.

– Doskonale – odparła.

Wobec tego spędziliśmy wieczór z Cyganami, a ja cały czas usiłowałem jej imponować i zachowywałem się jak człowiek z mnóstwem pieniędzy w portfelu. W każdej przerwie, kiedy milkły gitary i oklaski, dyskutowałem z nią o pierścionkach i prezentach ślubnych.

– Czy chodząc po Madrycie, widziała pani coś, na co Renata mogłaby mieć ochotę? – spytałem.

– Och, szalenie eleganckie rzeczy ze skóry i zamszu. Płaszcz, rękawiczki, torebki, buty – odparła. – Ale trafiłam na ulicę, gdzie sprzedają peleryny i rozmawiałam z prezesem Towarzystwa Przyjaciół Peleryny, Los Amigos de la Capa. Pokazał mi zachwycające ciemnozielone cuda, z kapturem i bez.

– Kupię jej taką jutro z samego rana.

Gdyby Sefiora zniechęciła mnie choć jednym zawołanym słowem, wiedziałbym, jaka jest moja sytuacja. Ale ona spojrzała tylko na mnie oschle. Błysk przeleciał nad stołem. Zdawało mi się nawet, że wyszedł z dna jej oka w górę, jak ruchoma błona srebrzysta w oku niektórych zwierząt. Zobaczyłem nagle polankę w lesie, z której odpełzał wąż, kiedy ja na nią wyszedłem pośród suchego i złocistego jesiennego dnia, przepojonego wonią gnijących liści. Wspominam o tym, cokolwiek może to być warte. Prawdopodobnie nic. Ale w każdej wolnej chwili zachodziłem do Prado, tuż za rogiem od Ritza, i patrzyłem na rozmaite dziwne obrazy, zwłaszcza na makabryczne wizje Goyi i malarstwo Hieronima Boscha. I dlatego mój umysł był gotów przyjąć nawiedzające mnie obrazy i nawet halucynacje.

– Gratuluję ci, żeś w końcu zmądrzał – powiedziała stara kobieta. Nie powiedziała, zważcie, że zmądrzałeś na czas. Dodała: – Tak wychowałam Renatę, żeby była idealną żoną dla mądrego człowieka.

Jako urodzona ofiara wywnioskowałem z jej słów, że to ja jestem tym mądrym człowiekiem i że panie nie podjęły jeszcze nieodwołalnej decyzji. Uczciłem tę możliwość dużą ilością koniaku Lepanto. W rezultacie spałem mocno i obudziłem się wypoczęty. Rano otworzyłem wysokie okna i z miłym uczuciem patrzyłem na pojazdy sunące w słońcu i szlachetny plac z białym Pałace Hotel w głębi. Przyniesiono mi znakomite bułeczki i kawę, wraz z rzeźbionym pięknie masłem i dżemem marki Hero. Przez dziesięć lat żyłem z rozmachem, doskonale ubrany, w koszulach szytych na miarę, kaszmirowych skarpetkach i jedwabnych krawatach, co mi dawało estetyczną satysfakcję. Teraz ten głupi Splendor kończył się, ale ja, z moimi doświadczeniami nabytymi w czasie Wielkiego Kryzysu, znałem niedostatek. Przez większość życia zaciskałem pasa. Niedostatek nie oznaczał, że będę zmuszony mieszkać w sublokatorskich pokojach, tylko że stanę się jeszcze jednym starym facetem, niezdolnym już pobudzić ładne kobiety do kalkulacji „od maja do grudnia”, czy do wizji zostania panią zamku, jak żona Charlie Chaplina, rodząca dziesięcioro dzieci swojemu jesienno-zimowemu mężowi o światowej sławie. Czy zdołam żyć, nie mając takiego wpływu na kobiety? Z drugiej strony kto wie, może Renata kocha mnie dostatecznie głęboko, żeby zgodzić się na życie pełne ograniczeń? Z piętnastu tysiącami dolarów rocznie, które przyrzekł mi Juliusz, jeżeli dam mu do ulokowania pięćdziesiąt tysięcy, można by się bardzo miło urządzać w Segowii. Pogodziłbym się nawet z obecnością Señory do końca jej życia. Które, miałem nadzieję, nie będzie długie. Nie życzę jej źle, rozumiecie, ale byłoby przyjemnie wkrótce ją stracić.

Próbowałem dodzwonić się do Thaxtera, w Paryżu zatrzymywał się zawsze w hotelu Pont-Royal. Zamówiłem też rozmowę z Carlem Stewartem w Nowym Jorku. Chciałem osobiście porozmawiać z wydawcą Thaxtera o bedekerze kulturalnym. Ponadto chciałem się upewnić, czy zapłaci za mój pobyt u Ritza. Thaxter nie zajechał do Pont-Royal. Może mieszka u przyjaciółki swojej matki, księżnej de Bourbon-Sixte. Nie zaniepokoiło mnie to. Omówiwszy szczegóły mojej nowojorskiej rozmowy z telefonistką, postanowiłem spędzić dziesięć spokojnych minut przy oknie. Cieszyła mnie zimowa rzeźkość i słońce. Starłem się traktować słońce nie jako rozszalały termojądrowy stos gazów i rozszczepiających się atomów, tylko jako istotę, jako realne istnienie, obdarzone życiem i własnymi znaczeniami, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

Dzięki penicylinie Roger czuł się na tyle dobrze, że mógł pójść z babką do parku Retiro, więc tego ranka nie musiałem się nim zajmować. Wykonałem trzydzieści pompek i stałem na głowie: potem ogoliłem się, ubrałem i wyszedłem na miasto. Zostawiwszy za sobą wielkie bulwary, znalazłem się na małych uliczkach starego miasta. Moim celem było kupno pięknej peleryny dla Renaty, ale pamiętałem, że Juliusz życzył sobie mieć widok morza, a ponieważ czasu miałem dosyć, wstępowałem do antykwariatów i galerii sztuki. Ale na wszystkich tych błękitach i zielonościach, w pianie i słońcu, w ciszy i burzy, zawsze była jakaś skała albo żagiel, albo komin, a Juliusz ich sobie nie życzył. Jakoś nikt nie chciał malować czystego żywiołu, nieludzkiej wody, środka oceanu, bezkształtnych głębi, wody zatapiającej świat. Myślałem o Shelleyu pośród Wzgórz Eugenejskich.

Wielu potrzeba wysp, zielonych wysp,

By żeglarz, który płynie przez to wielkie,

*Głębokie morze Niedoli...*¹⁰

Ale Juliusz wcale nie uważał, że cokolwiek być powinno w jakimkolwiek morzu. Odwrotnie niż Noe wysłał swojego gołąbka-braciszka, pięknie ubranego, ciężko skłopotanego, udręczonego myślą o Renacie, na poszukiwanie samej wody. Obsługa w sklepach, same dziewczyny i wszystkie w czarnych fartuchach, wynosiła stare widoki morza z piwnicy, ponieważ byłem hulającym Amerykaninem z czekami w kieszeni. Nie czułem się wśród Hiszpanów jak cudzoziemiec. Przypominali mi rodziców i moje imigrantki-ciotki i kuzynki. Rozstaliśmy się, kiedy wypędzono stąd Żydów w roku 1492. Jeżeli nie traktuje się czasu z nadmiernym skapstwem, nie było to tak bardzo dawno.

I zastanawiałem się, jak amerykański jest mimo wszystko mój brat Ulick. Od początku uważał, że Ameryka jest owym materialnie zasobnym, szczęśliwym krajem, który nie musi zaprzętać sobie głowy myśleniem, i machnął ręką na kulturę wyższych sfer, a także ich ideały i aspiracje. Otóż słynny Santayana zgadzał się w pewnym sensie z Ulickiem. Ludzie z wyższych sfer nie mogą osiągnąć swoich ideałów i są przez to nieszczęśliwi. Pańska Ameryka była upośledzona przez ubóstwo ducha, wodnistość temperamentów i mierność talentu. Nowa Ameryka z czasów młodości Ulicka żądała tylko wygody, tempa i dobrego jedzenia, zdrowia i alkoholu, meczów futbolowych i kampanii wyborczych, wycieczek, wesołych pogrzebów. Ale ta nowa Ameryka objawiała teraz inne upodobania, nowe kaprysy. Okres miłej, ciężko spracowanej obfitości i umiejętności praktycznych oraz techniki ściśle na usługach życia materialnego też się kończył. Dlaczego Juliusz, pragnąc uczcić nowe żyły wszczępione do jego serca dzięki cudom technologii medycznej, chciał kupić widok morza? Ponieważ nawet on nie żył już tylko biznesem. On też odczuwał metafizyczne impulsy. Może zawsze je miał w swojej wiecznie czujnej, praktycznej amerykańskiej duszy. W ciągu sześćdziesięciu lat poznał wszystkie grandy, wywąchał wszystkie świństwa i męczyła go już rola absolutnego i chorego pana i władcy swojej jaźni. Co oznacza widok morza pozbawiony wszelkich punktów orientacyjnych? Czy nie oznacza żywiołowej wolności, uwolnienia od rutyny i zgrozy napięć? O Boże, wolność!

Wiedziałem, że jeśli popytam w Prado, znajdę malarza, który namaluje mi widok morza. Jeżeli weźmie ode mnie dwa tysiące dolarów, będę mógł policzyć Juliuszowi pięć tysięcy. Ale odepchnąłem od siebie myśl o zarobieniu kilku tysięcy na bracie, z którym łączyły mnie więzy z tak nieziemskiej materii. Obejrzałem wszystkie obrazy marynistyczne w jednym kącie Madrytu i odwiedziłem sklep z pelerynami.

A tam dokonałem transakcji z prezesem międzynarodowego towarzystwa Los Amigos de la Capa. Był śniady i drobny, trochę przekrzywiony na bok, jak akordeon, który się zaciał, a poza tym miał zepsute zęby i niemły oddech. Ponieważ Amerykanie nie tolerują u siebie takich niedoskonałości, poczułem, że jestem w Starym Świecie. Drewniana podłoga w sklepie była popękana. Wszędzie u sufitu wisały peleryny. Kobiety uzbrojone w długie tyczki zdejmowały te piękne okrycia, podbite aksamitem, obszyte brokatem, i przymierzały je dla mnie. Strój włoskich karabinierów, noszony przez Thaxtera, wydawałby się przy nich okropny. Kupiłem czarną pelerynę z czerwoną podszewką (Renacie było najlepiej w tych dwóch kolorach) i wybuliłem dwieście dolarów czekiem na American Express. Wymieniliśmy mnóstwo podziękowań i uprzejmości. Kolejno uściśnałem wszystkie ręce i nie mogłem się doczekać, aż wrócę z moim sprawunkiem do hotelu i pokażę go Señorze.

Ale Señory nie było. W moim pokoju zastałem Rogera, siedział na kanapie, z nogami na zapakowanej torbie podróżnej. Pokojówka miała go na oku.

– Gdzie jest babcia? – spytałem. Usłyszałem od pokojówki, że mniej więcej przed dwiema godzinami Señora odjechała, wezwana w nagłej sprawie. Zatelefonowałem do recepcji, gdzie mi powiedziano, że mój gość, dama z pokoju 482, wyprowadziła się i że jej rachunek będzie dołączony do mojego. Potem zadzwoniłem do portiera. Ach tak, powiedział, limuzyna zawiozła Madame na lotnisko. Nie, nie wiedzą, dokąd się udała. Nie załatwiali dla niej biletu lotniczego.

– Charlie, masz czekoladę? – spytał Roger.

– Tak, malutki, przyniosłem ci. – Nigdy nie miał dość słodczy, dałem mu całą tabliczkę.

A jednak czyjeś pragnienia rozumiałem. Roger pragnął być ze swoją mamą. Pragnęliśmy tej samej osoby. Biedny mały, pomyślałem, kiedy wyjmował czekoladę z folii i pakował ją sobie do ust. To dziecko budziło we

¹⁰ P. B. Shelley: *Wiersze napisane wśród Eugenejskich Wzgórz* (Lines written among the Eugenean Hills), przełożył Z. Kubiak.

mnie prawdziwe uczucia. Był w owym rozgorączkowanym pięknym stanie delikatnego dziecięctwa, kiedy całe ciało nam pulsuje – nic, tylko pragnące, bezbronne, łakome serce. Bardzo dobrze pamiętam ten stan. Dowiedziawszy się, że mówię trochę po hiszpańsku, pokojówka spytała, czy Rogelio jest moim wnukiem.

– Nie! – odparłem.

Nie dość, że zwalili mi go na kark – czy muszę jeszcze na dodatek być dziadkiem? Renata pojechała w podróż poślubną z Flonzaleyem. Señora nigdy nie była zameżna i teraz szalała, żeby zdobyć pozycję społeczną dla córki. A Renata, choć erotycznie rozwinięta, była posłusznym dzieckiem. Może knując dla dobra córki, Señora czuła się odmłodzona. Wystrychnięcie mnie na dudka odjęło jej pewnie kilka dziesiątków lat. A jeśli idzie o mnie, dostrzegałem teraz związek między wieczną młodością i głupotą. Jeżeli nie byłem za stary na to, żeby się uganiać za Renatą, byłem dość młody na to, żeby cierpieć młodzieńcze rozpacze.

Wobec tego powiedziałem pokojówce, że nie jesteśmy z Rogelio spokrewnieni, chociaż jestem dość stary, żeby być jego *abuelo*, i dałem jej sto pesetów za popilnowanie go jeszcze przez jedną godzinę. Bo wprawdzie byłem na progu bankructwa, ale miałem dość pieniędzy na zaspokajanie pewnych subtelnych potrzeb. Stać mnie było, żebym cierpiał jak džentelmen. W takiej chwili nie mogłem zajmować się dzieckiem. Coś mnie gnało, żeby pójść do Retiro, gdzie mógłbym oddać się rozpaczy i bić się pięściami po głowie, albo tupać, albo przeklinać, albo płakać. Kiedy wychodziłem z pokoju, zadzwonił telefon. Poderwałem słuchawkę w nadziei, że usłyszę głos Renaty. Ale dzwonił Nowy Jork.

– Pan Citrine? Tu Stewart z Nowego Jorku. Nie znamy się. Ale naturalnie wiem o panu wszystko.

– Tak... Chcę pana o coś spytać. Pan wydaje książkę Pierre'a Thaxtera o dyktatorach?

– Łączymy z tym wielkie nadzieje – odparł.

– Gdzie jest teraz Thaxter, w Paryżu?

– W ostatniej chwili zmienił plany i poleciał do Ameryki Południowej. O ile wiem, siedzi teraz w Buenos Aires i robi wywiad z wdową po Peronie. Bardzo interesujące. W tym kraju jest zamęt.

– Wie pan zapewne – powiedziałem – że jestem w Madrycie, żeby się zastanowić nad możliwościami napisania przewodnika kulturalnego po Europie.

– Ach tak?

– Thaxter panu nie mówił? Byłem pewien, że mamy pana błogosławieństwo.

– Pierwsze słyszę – zdziwił się.

– Jest pan pewien? Nic sobie pan nie przypomina?

– O czym pan mówi, panie Citrine?

– Żeby się nad tym nie rozwodzić – powiedziałem – tylko jedno pytanie: czy jestem w Madrycie jako pański gość?

– Nic mi o tym nie jest wiadomo.

– Ay, que lio!

– Słucham?

Za kotarą w alkowie zrobiło mi się nagle zimno, wpełzłem ze słuchawką do łóżka.

– To takie hiszpańskie wyrażenie, jak *malentendu* albo zabałaganiony, albo jeszcze raz okpiony. Przepraszam. Proszę mi wybaczyć tę przesadę. Jestem zdenerwowany.

– Czy będzie pan dobry wyjaśnić mi to w liście? – powiedział Stewart. – Pracuje pan może nad jakąś książką? Bardzo by nas to interesowało...

– Nic nie piszę – odparłem.

– Ale gdyby pan zaczął...

– Dam panu znać – powiedziałem. Płaciłem za tę rozmowę.

Rozwścieczony teraz, kazałem telefonistce połączyć się jeszcze raz z Renatą. Powiem tej dziwce do słuchu. Ale kiedy dostałem Mediolan, powiedziano mi w hotelu, że się wyprowadziła i nie zostawiła adresu. Zanim

dotarłem do parku Retiro – zamierzając się wyładować, nie było już nic do wyładowania. Rozpocząłem medytacyjną przechadzkę. Doszedłem do tego samego wniosku, do jakiego doszedłem u sędziego Urbanovicha w jego gabinecie. Co mi to da, jeżeli wyliczę Renacie jej sprawki? Gwałtowne i piękne mowy, doskonałe w swojej logice, dojrzałe w swoich osądach, głębokie w swoim mądrym gniewie, niebiańskie w swojej poezji, były w sam raz dla Szekspira, aleja nie będę miał z nich najmniejszego pożytku. Żądza wypowiedzenia się nadal istniała, ale nie było komu wysłuchać mojej namiętnej przemowy. Renata wysłuchać jej nie chciała, zaprzętały ją inne sprawy. No cóż, przynajmniej powierzyła mi Rogelia i w wygodnej dla siebie chwili przyśle po niego. Pozbywszy się mnie, oddała mi prawdopodobnie przysługę. Przynajmniej sama tak to będzie widziała. Powiniennem dawno się z nią ożenić. Jestem człowiekiem małej wiary, moje wahania miały w sobie coś obraźliwego i słusznie, że zostałem sam, żeby zająć się jej dzieckiem. Co więcej, panie doszły zapewne do przekonania, że Rogelio przygwoździ mnie do miejsca i uniemożliwi pościg. Zresztą nie miałem zamiaru jej ścigać. Teraz nie mógłbym już sobie na to pozwolić. Przede wszystkim, rachunek u Ritza był astronomiczny. Señora wielokrotnie telefonowała do Chicago, żeby utrzymać kontakt z pewnym młodym człowiekiem, który zajmował się naprawą telewizorów, bohaterem jej obecnej *affaire de coeur*. Co więcej, gwiazdka w Madrycie, wliczając w to chorobę Rogera i kupione dla niego prezenty, pelerynę Renaty i wystawne obiady, uszczupliła mój majątek o blisko jedną trzecią. Przez wiele lat, od sukcesu *Von Trencka*, co zbiegło się mniej więcej ze śmiercią Demmie Vonghel, wydawałem swobodnie, żyłem sobie wesoło, a teraz będę musiał wrócić do dawnego etapu pokoi do wynajęcia. Żeby zostać u Ritza, musiałbym przyjąć guwernantkę. To było teraz niemożliwe. Kończyły mi się pieniądze. Najlepszym wyjściem było przenieść się do *pensión*.

Musiałem wytłumaczyć się jakoś z tego dziecka. Jeżeli podam się za jego wuja, może to wyglądać podejrzanie. Jeżeli powiem, że jestem jego dziadkiem, będę musiał zachowywać się jak dziadek. Najlepiej być wdowcem. Roger nazywał mnie Charliem, ale dzieci amerykańskie z reguły mówią do rodziców po imieniu. Zresztą chłopiec był w pewnym sensie sierotą, a ja bez żadnej przesady byłem w żałobie. Wyszedłem i kupiłem dla siebie chusteczki z czarnym szlaczkiem i kilka bardzo ładnych czarnych jedwabnych krawatów, a dla Rogelia czarne ubranko. W ambasadzie amerykańskiej przedstawiłem niesłychanie prawdopodobną relację okoliczności, w jakich straciłem paszport. Na szczęście dla mnie młody człowiek, który zajmował się tego rodzaju sprawami, znał moje książki o Thomasie Woodrow Wilsonie i Harrym Hopkinsie. Studiował historię na Uniwersytecie Cornella i słuchał kiedyś mojego wykładu na zebraniu Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego. Wyjaśniłem mu, że moja żona zmarła na leukemię i że kiedy tu, w Madrycie, wsiadałem do autobusu, skradziono mi portfel z paszportem. Młody człowiek powiedział, że to miasto słynie z kradzieży kieszonek.

– Opróżniają kieszenie księżom pod sutanną. Naprawdę są zręczni. Niektórzy Hiszpanie nawet się przechwalają, że Madryt jest światowym centrum tego procederu. Żeby zmienić temat... nie zgodziłby się pan na wykłady dla USIA?

– Jestem za bardzo przybity. Zresztą przyjechałem tu zbierać materiały. Przygotowuję książkę o wojnie hiszpańsko-amerykańskiej.

– Mieliśmy w rodzinie przypadki leukemii. Ta powolna śmierć jest udręką dla bliskich.

Powiedziałem właścicielce *pensión* La Roca, że matka Rogera zginęła w Barcelonie pod kołami samochodu ciężarowego, kiedy chciała przejść przez jezdnię.

– Och, jakie to straszne.

– Tak – powiedziałem. Skorzystałem z pomocy słownika hiszpańskiego i byłem doskonale przygotowany. Dodałem niezwykle płynnie: – Moja biedna żona... klatkę piersiową miała zdruzgotaną, twarz zniekształconą, płuca przebite. Umierała w męczarniach.

Leukemia, uznałem, była dla Renaty o wiele za dobra.

W *pensión* było pod dostatkiem ludzi towarzyskich. Niektórzy mówili po angielsku, niektórzy po francusku i kontakt z nimi był możliwy. Mieszkał tam pewien kapitan z żoną, a także kilka pań z ambasady duńskiej. Jedna z nich, najbardziej rzucająca się w oczy, była sztywnowłosą blondynką koło pięćdziesiątki. Niekiedy ostra twarz i wystające zęby sprawiają miłe wrażenie, a ona miała wygląd dość sympatyczny, mimo jakby pergaminowej skóry na skroniach i maleńkiego garbu. Ale była to silna osobowość, jedna z tych, które dominują nad salą jadalną czy salonem – nie dlatego, że mówią dużo, tylko ponieważ znają sekret proklamowania własnej wyższości. Jeśli idzie o personel, pokojówki, które pełniły też funkcje kelnerek, były niesłychanie życzliwe. Czerni znacząco mniej na protestanckiej północy. W Hiszpanii żałoba nadal robi silne wrażenie. Czarne ubranko Rogelia było nawet bardziej skuteczne niż moje obrzeżone czernią chusteczki i

opaska na rękawie. Kiedy w czasie obiadu zacząłem go karmić, porwaliśmy całą widownię. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, że krajałem małemu mięso na talerzu. Robiłem to zwykle w Chicago. Ale jakoś w tej niewielkiej, pozbawionej okien jadalni pensjonatu była to rewelacja – takie niespodziewane objawienie macierzyńskich uczuć Amerykanina wstrząsnęło ludźmi. Moja czuła dbałość o dziecko była chyba przeraźliwie smutna. Kobiety zaczęły mi pomagać. Wciągnąłem *empleadas del hogar* na moją listę płac. Po kilku dniach mały mówił po hiszpańsku. Ranki spędzał w przedszkolu. Późnym popołudniem jedna z pokojówek zabierała go do parku. Mogłem przechadzać się po ulicach Madrytu albo leżeć i medytować. Moje życie było znacznie spokojniejsze. Pełnego spokoju w tych okolicznościach nie mogłem się spodziewać.

Nie takie życie wyobrażałem sobie, siedząc w małym pluszowym fotelu odrzutowca, mknąc nad głębokim rowem Atlantyku. Wtedy, jak sobie to powiedziałem, może dałoby się ubłagać małą banieczkę w stolarskiej poziomnicy, żeby wróciła do środka. Teraz nawet nie byłem pewien, czy w ogóle mam tę banieczkę. A poza tym była przecież Europa. Dla wykształconych Amerykanów Europa nie przedstawiała w naszych czasach większej wartości. W niczym nie przewodziła światu. Trzeba było być kimś niedouczonej (wulgarną dziwką jak Renata, nie owijając w bawełnę), żeby przejeżdżając tu, oczekiwać głębokich przeżyć kulturalnych. Coś z tego, co propagują kobiece pisma piszące o modzie. Muszę jednak wyznać, że tym razem ja też przyjechałem z pobożnymi ideałami, czy też z resztkami takich ideałów. Ludzie dokonywali tu kiedyś wielkich rzeczy, rzeczy natchnionych. Do dziś pozostały relikty świętości i sztuki. Nie znaleźlibyśmy św. Ignacego, św. Teresy, Jana od Krzyża, El Greka, Escorialu na Dwudziestej Szóstej Ulicy czy w Klubie Playboya w Chicago. Ale z drugiej strony w Segowii nie było rodziniki Citrine'ów, z tatusiem usiłującym doprowadzić do rozdziału świadomości od jej biologicznego podłoża, gdy tymczasem zmysłowa, podniecająca mamusia zajmowałaby się handlem antykami. Nie, Renata kopnęła mnie w tyłek i zrobiła to w sposób bardzo raniący moją godność. Żałoba, którą nosiłem, pomogła mi się trochę opamiętać. Czerń ubrania zjednywała mi życzliwą uprzejmość Hiszpanów. Widok cierpiącego wdowca i bladziutkiej cudzoziemskiej sieroty wzruszał sprzedawców w sklepach, zwłaszcza kobiety. Sekretarka z ambasady duńskiej okazywała nam szczególne zainteresowanie. Była bardzo blada, ale jej bladość miała zupełnie inne źródło niż bladość Rogera. Wydawała się bez tchu, rozgorączkowana i skórę miała tak niezwykle białą, że szminka krwawiła na jej wargach. Używała jej po obiedzie z piorunującym efektem. Ale intencji nie miała złych. Wzięła mnie na spacer w niedzielę po południu, kiedy nie byłem w najlepszej formie. Włożyła na głowę kapelusz w kształcie dzwonu czy też kubekka i szliśmy powoli, bo miała chory staw biodrowy. Kiedy na ścieżce wmieszaliśmy się w świąteczny tłum, zaczęła mnie pouczać na temat smutku.

– Pańska żona była ładna?

– Och, bardzo ładna.

– Wy Amerykanie jesteście tacy niepohamowani w żalości. Jak dawno umarła?

– Sześć tygodni temu.

– W zeszłym tygodniu mówił pan, że trzy.

– Sama pani widzi, że straciłem poczucie czasu.

– No cóż, musi pan znowu stanąć na nogi. Przychodzi taka chwila, kiedy należy zapobiec dalszym stratom. Jak się to mówi?

Rozwinąć kłębek do końca. Mam dobry koniak w pokoju. Niech pan wpadnie, kiedy mały zaśnie, napijemy się. Śpi pan z nim na podwójnym łóżku?

– Obiecali, że postarają się o dwa pojedyncze.

– Czy on się nie rzuca? Dzieci strasznie kopiają.

– Śpi bardzo spokojnie. Zresztą ja nie śpię. Leżę i czytam.

– Może znajdziemy coś lepszego do roboty w nocy – powiedziała. – Jaki ma sens tak się zamartwiać? Odeszła.

Odeszła z całą pewnością. Zostało to w pełni potwierdzone. Napisała do mnie z Sycylii. W sobotę, zaledwie wczoraj, kiedy zaszedłem do Ritza spytać o pocztę, wręczono mi jej list. To dlatego w niedzielę nie byłem w najlepszej formie; całą noc nie zmrużyłem oka, wczytując się w każde słowo listu Renaty. Jeżeli nie słucałem uważnie tego, co mówiła panna Rebecca Volsted, ta wściekle biała utykająca kobieta, to dlatego, że cierpiałem. Niewiele brakowało, a życzyłbym sobie, żeby Roger nie był takim dobrym dzieckiem. Nawet nie kopał we śnie. Nie sprawiał mi najmniejszych kłopotów. Kochany smyk.

Renata i Flonzaley pobrali się w Mediolanie i spędzali miesiąc miodowy na Sycylii. Myślę, że pojechali do Taorminy. Nie wymieniła miejscowości. Napisała: „Rogerowi z nikim nie byłoby tak dobrze jak z Tobą. Dowodziłeś wielokrotnie, że kochasz go dla niego samego i nigdy go nie wykorzystywałeś, żeby trafić do mnie. Matka jest zbyt zajęta, żeby się nim opiekować. Będziesz wściekły i rozgoryczony i będziesz mnie nazywał podstępną, bezwstydną dziwką – takich słów używasz, kiedy coś Ci dopiecze. Ale w głębi, Charles, jesteś człowiekiem sprawiedliwym. Zawiniłeś wobec mnie i wiesz o tym. Miałeś szansę to naprawić. Przegapiłeś ją. Och, przegapiłeś! Nie mogłam Cię zmusić, żebyś zaczął to naprawiać!” Tu Renata wybuchnęła lamentem. Ja wszystko zmarnowałam. „Wyznaczyłeś mi rolę idiotki. Byłam twoim rozkosznym seks-błazenkiem. Żądałeś, żebym ci gotowała obiad w cylindrze i z gołą pupą”. O nie, o nie, to był jej pomysł. „Byłam dobrą koleżką i pozwalałam Ci się bawić. Dla mnie to też była frajda. Nie odmawiałam ci niczego. Ale ty mi odmawiałeś wielu rzeczy. Nie chciałeś pamiętać, że mam dziecko. Popisywałeś się mną w Londynie jako swoją efektowną dziwką z Chicago, tego Rozpustnego Miasta. Lord kanclerz pomacał mnie wiesz gdzie. A jakże, bydlak. Machnęłam na to ręką przez pamięć na dawną wielkość Anglii. Ale nie zrobiłby tego, jakbym była Twoją żoną. Postawiłeś mnie w sytuacji kurwy. Nie wiedziałam, że trzeba być profesorem anatomii, żeby zrozumieć związek między tyłkiem a sercem. Gdybyś uznał, że mam serce w piersi, jak jego szlachetna wysokość Chevalier Citrine, i odpowiednio postępował, wszystko mogło być dobrze między nami. Ach, Charlie, nigdy nie zapomnę, jak przemyciłeś dla mnie z Montrealu cygara kubańskie. Założyłeś na każde opakowanie marki Cyrus Wielki. Byłeś dobry i byłeś zabawny. Wierzyłam Ci, kiedy mówiłeś, że szczególna stopa musi mieć szczególny but i że my dwoje jesteśmy szczególną stopą i szczególnym butem, butem i stopą. Ach, gdyby Ci tylko przyszła do głowy taka oczywista myśl: «To jest dziewczyna, która wychowywała się w holach hotelowych i jej matka nigdy nie wyszła za męża», zeniłbyś się ze mną kolejno we wszystkich ratuszach i wszystkich kościołach Ameryki, i w końcu miałabym w Tobie opiekuna. Ten Rudolf Steiner, którym doprowadzałeś mnie do białej gorączki, mówi chyba, że jak ktoś jest tym razem mężczyzną, w następnym wcieleniu jest kobietą, i że ciało eteryczne (choć nie jestem całkiem pewna, co to jest ciało eteryczne – to chyba ta konieczna część, dzięki której ciało żyje, prawda?) zawsze ma tę drugą płęć. Ale gdybyś miał być kobietą w następnym życiu, musiałbyś się między jednym a drugim dużo nauczyć. Zresztą coś Ci powiem. Każda kobieta przyzna, jeżeli jest uczciwa, że naprawdę uwielbiałaby mężczyznę skombinowanego z wielu mężczyzn – taki składany mąż czy kochanek. Kocha to u Iksa, a to u Igreka, i jeszcze coś innego u Zeta. No więc jesteś czarujący, zachwycający, wzruszający, na ogół jest cudownie być z Tobą. Mógłbyś być moim Iksem i częściowo moim Igrekiem, ale jako Zet jesteś kompletnym osłem.

Tęsknię za Tobą bez przerwy, a co więcej, Flonzaley o tym wie. Ale jedyna korzyść wynikająca z jego branży, to że nauczył się dzięki niej stać nogami na ziemi. Powiedzieliście mi kiedyś, że poglądy Flonzaleya są na pewno bardzo plutoniczne – cokolwiek to znaczy. Ja bym powiedziała, że branżę ma niewonna, lecz duszę przestronną. Wcale nie nalega, żebym Cię nie kochała. Pamiętaj, że nie uciekłam do kogoś obcego. Po prostu do niego wróciłam. Kiedy rozstawaliśmy się na Idlewild, nie wiedziałam, że to zrobię. Ale straciłam do Ciebie ciepłość. W Twoim usposobieniu za dużo jest zygzaków. Obojgu nam potrzebne są poważniejsze związki”.

Zaraz, chwileczka. Mówiła to i mówiła tamto, ale czy rzuciła mnie, ponieważ kończyły się moje pieniądze? Z Flonzaleyem takiego kłopotu nigdy nie będzie. Renata prawdopodobnie wiedziała, że zaczynam myśleć o surowszym trybie życia. Nie wyrzekałam się pieniędzy dla zasady. Urbanovich mi je zabierał, co wychodziło na jedno. Ale zacząłem dostrzegać, czym naprawdę jest ta amerykańska pogoń za dolarem. Przybrała rozmiary kosmicznej mocy. Stała się między nami a prawdziwymi mocami. Zaledwie ta myśl przyszła mi do głowy, zrozumiałem jeden z powodów, dla których Renata mnie rzuciła – rzuciła mnie, ponieważ miałem takie myśli. Nawet mi to powiedziała na swój własny sposób.

„Teraz możesz napisać swój wielki esej o nudzie i może ludzkość będzie Ci wdzięczna. Cierpi, a Ty chcesz jej pomóc. To cudowna rzecz, łamać sobie głowę nad takimi głębokimi problemami, ale ja osobiście wolę nie być przy Tobie, kiedy będziesz to robił. Przyznaję, że jesteś mądry. To mi nie przeszkadza. Powinieneś być tak tolerancyjny wobec przedsiębiorców pogrzebowych, jak ja jestem wobec intelektualistów. Jeśli idzie o mężczyzn, moje oceny są całkowicie kobieco-ludzkie, niezależnie od rasy, wyznania czy dawnego niewolnictwa, jak powiedział Lincoln. Gratuluję, inteligencję masz najwyższej próby. Ale zgadzam się z Twoją eks-ukochaną, Naomi Lutz. Nie chcę być wciągana we wszystkie te duchowe, intelektualne, uniwersalne brednie. Jako kobieta piękna i jeszcze młoda wolę brać rzeczy tak, jak miliardy ludzi brały je na przestrzeni dziejów. Pracujesz, zdobywasz chleb, całujesz się z chłopakami, rodzisz dziecko, dożywasz osiemdziesiątki i załazisz wszystkim za skórę, albo kończysz na szubienicy, albo się topisz. Ale nie wolno spędzać lat na próbach wydostania się z kondycji ludzkiej. To jest dla mnie nudne”. Tak, przeczytawszy te słowa, zobaczyłem genialnych myślicieli rzucających gmatwaninę wierzeń i dążeń na głowy milionów. Zobaczyłem ich, jak napastują ludzkość swoimi kaprysami, programami i widzeniem świata. Z czego nie wynika, że sama ludzkość była bez winy. Ale posiadała nieprawdopodobny dar pracy, dar odczuwania, dar wierzenia i ci, którzy byli

przekonani, że są najmądrzejsi i znieważali ludzkość swoimi projektami, żądali od niej, żeby udzielała tych swoich darów tu i udzielała ich tam. „Nigdy mnie o to nie pytałeś – ciągnęła Renata – ale mam swoje własne przekonania. Wierzę, że żyję w przyrodzie. Myślę, że jak człowiek umiera, to umiera i koniec, kropka. I Flonzaley też jest za tym. Umarły to umarli i Flonzaley pracuje w nieboszczykach, a ja jestem teraz jego żoną. Flonzaley w sposób praktyczny służy społeczeństwu. Jak hydraulicy, jak wydział kanalizacji, jak zakład oczyszczania miasta. Ale człowiek oddaje innym przysługę, a potem tamci się odwracają i mają do niego uprzedzenia. W pewnym sensie przypomina to moją własną sytuację. Flonzaley godzi się na swoje zawodowe piętno, ale jest za to dodatkowa opłata, którą umieszcza w rachunku. Niektóre twoje idee są bardziej niesamowite od jego zawodu. On trzyma rzeczy w oddzielnych przegródkach. Kolor jednej nie przecieka do drugiej”.

Nie stawiała sprawy uczciwie. Ta płomienna osoba, Renata, cudowna dla mnie, ponieważ w sensie biblijnym nie była czysta, wzbogaciła moje życie podniętą odchylen i łamanymi prawami. Jeżeli Flonzaley, ponieważ był człowiekiem skalanym przez nieboszczyków, był dla niej w porównaniu ze mną kimś wspaniałym, czemu mi tego nie powiedziała – zrozumiałem, że w dziedzinie Z, a Renata nie wyjaśniała mi, co to jest takiego, Flonzaley był wszystkim, czym ja nie byłem. To mnie bardzo zraniło, aż do bólu serca. Dotknęła mnie, jak się to mówi, do żywego. Ale mogła mi oszczędzić argumentów, którymi Flonzaley uzasadniał, dlaczego zdziera z osieroconych skórę. Znałem w Chicago filozofów biznesu, nieraz słyszałem mędrkujących chicagowskich bogaczy. Wiedziałem wszystko o tych dowcipnych rozmowach w stylu Bernarda Shaw, jakie się słyszy przy stole na Lake Shore Drive: chcieli zrobić z Flonzaleya pariasa, czandale, ale on zabierze ich złoto w mroki i będzie tam księciem – ten rodzaj bredni, bez których mogłem się doskonale obejść. A jednak Renata była cudowna. To naturalne, że mówiła wielkie słowa i chciała mi pokazać, jak dobrze zrobiła. Straciłem cudowną kobietę. Cierpiałem nad stratą Renaty. Odeszła sobie, rzecz można, w długich butach i pióropuszu, a ja zostałem, usiłując zrozumieć, co jest co i dlaczego, i co robić.

I starając się odgadnąć, co to jest Z.

„Mówiłeś zawsze, że Twoje życie przebiega tak zupełnie inaczej, że nie możesz zrozumieć pragnienia innych ludzi. To prawda, że nie znasz ludzi od środka i nie wiesz, czego chcą – jak nie rozumiałeś, że ja chcę stabilizacji – i może nigdy nie będziesz wiedział. Wydało się to, kiedyś mi wspomniał, jak usiłowałeś wczuć się w emocje Twojej córki pragnącej roweru na dziesięć biegów – i nie mogłeś. No więc pożyczam Ci Rogera. Opiekuj się nim, dopóki po niego nie przyślę, i badaj jego pragnienia. To on jest Ci teraz potrzebny, nie ja. Jedziemy z Flonzaleyem do Afryki Północnej. Sycylia nie jest dla mnie dość ciepła. Chcę Ci teraz poradzić, żebyś – póki jeszcze wracasz do korzeni swoich uczuć – myślał trochę o swoich przyjaciółkach Szathmarze, Swieblu, Thaxterze. Twoja pasja dla Von Humboldta Fleishera przyspieszyła rozkład naszych stosunków”.

Nie napisała, kiedy przyśle po małego.

„Jeżeli Ci się zdaje, że jesteś na ziemi po to, żeby osiągnąć taki bardzo specjalny cel, naprawdę nie wiem, dlaczego się upierasz przy myśli o szczęściu z kobietą czy szczęśliwym życiu rodzinnym. Jest to albo głupia naiwność, albo szczyt zboczenia. Jesteś naprawdę szalenie niekonwencjonalny i schodzisz się z osobą, która na swój sposób też jest niekonwencjonalna, a potem mówisz sobie, że naprawdę jest ci potrzebne życie proste i pełne czułości. No cóż, miałeś w sobie dość ciepła i dość uroku, żeby mnie przekonać, że mnie pragniesz i potrzebujesz. Twoja zawsze kochająca Cię przyjaciółka”. Zapisała papier i na tym skończył się list.

Po przeczytaniu tego nie mogłem powstrzymać się od płaczu. Tamtej nocy, kiedy Renata zamknęła przede mną drzwi, George Swiebel mi powiedział, jak bardzo szanuje we mnie zdolność odczuwania udręk miłości w moim wieku. Zdjął przede mną kapelusz. Ale był to ów witalny, młodzieńczy stosunek do świata, o którym Ortega, jeden z pisarzy madryckich, których właśnie czytałem, mówi lekceważąco w swoim *Temacie współczesnym*. Przyznawałem mu słuszność. Jednakże w sypialni z oknem na podwórze trzeciorzędnej pensji byłem takim właśnie starym głupcem, który rozrabia jak młody chłopiec. Byłem jak nigdy dotąd łysy i pomarszczony i z brwi zaczęły mi wyrastać siwe sztywne włosy. Byłem teraz opuszczonym mamutem popłakującym w obrzydliwy sposób, bo piękna dziwka obrzuciła mnie obelgami. Zapomniałem, że mogę też być Jednostką Dziejowo-Powszechną (poniekąd); że powinienem może zetrzeć na proch intelektualną bzdurę epoki albo uczynić coś, co by pomogło duchowi ludzkiemu wyrwać się z jego duchowej trumny. Renata nie miała pochlebnego zdania o takich aspiracjach, jeżeli potraktować jej ucieczkę z Flonzaleyem, który pracował w nieboszczykach, jako wyraz jej poglądów. I wciąż płacząc, zerknąłem na zegarek i zorientowałem się, że Roger wróci ze spaceru za piętnaście minut. Mieliśmy grać w domino. Nagle życie włącza wsteczny bieg. Znowu jesteśmy w pierwszej klasie. Zbliżając się do sześćdziesiątki, musimy zacząć wszystko od nowa, żeby się przekonać, czy zdołamy zrozumieć pragnienie drugiego człowieka. Kobieta, którą kochamy, robi wyraźnie

postępy w życiu, niezależnie krocząc naprzód w Marrakeszu czy gdzieś tam. Niepotrzebna jej droga usłana różami. Gdziekolwiek stąpnie, tam wyrastają róże.

Naturalnie miała słuszność. Wiążąc się z nią, narażałem się na kłopoty. Dlaczego? Może te kłopoty miały na celu pchnąć mnie głębiej w rejony dziwacznych, acz koniecznych myśli? Jedna z tych dziwacznych myśli nawiedziła mnie teraz. Mianowicie, że piękność kobiety takiej jak Renata nie jest zupełnie na miejscu. Jest anachroniczna. Jej fizyczna doskonałość była typu klasycznego, greckiego czy renesansowego. A dlaczego ten typ urody jest historycznie nie na miejscu? Otóż sięga to czasów, kiedy duch ludzki zaczął się właśnie uwalniać od natury. Do tego momentu człowiekowi nie przychodziło do głowy, żeby myśleć o sobie oddzielnie. Nie odróżniał swojego własnego bytu od bytu natury, lecz był jej częścią. Ale zaledwie intelekt się obudził, człowiek został odłączony od natury. Jako jednostka, spojrzał i dostrzegł piękno świata zewnętrznego, w tym piękno ludzkie. Był to moment święty w historii – złoty wiek. Po wielu stuleciach renesans usiłował odzyskać to pierwsze poczucie piękna. Ale już nawet wtedy było za późno. Zarówno intelekt, jak duch postąpiły naprzód. Inny rodzaj piękna, bardziej wewnętrznego, zaczął się rozwijać. To piękno wewnętrzne, ukazywane w sztuce i poezji romantycznej, było wynikiem swobodnej unii ducha ludzkiego z duchem natury. I dlatego Renata była osobliwym widmem. Moja namiętność do niej była namiętnością antykwariusza. Ona sama wydawała się tego świadoma. Wystarczy spojrzeć na jej fanfaronady i błazeństwa. Attycka uroda, czy uroda kobiet Botticellego, nie pali cygar. Nie wstaje i nie robi wulgarnych rzeczy w wannie. Nie zatrzymuje się w galerii obrazów i nie wykrzykuje: „Nareszcie malarz z jajami!” Nie mówi takich rzeczy. Ale jaki żal! Jak ja za nią tęskniłem! Jaka to była rozkoszna kobieta, ta oszustka! Ale była reliktem innych epok. Nie mogę powiedzieć, że ja sam posiadałem ten nowy rodzaj wewnętrznego piękna. Byłem tępym starym głupcem. Ale słyszałem o tym pięknie, otrzymałem o nim wcześniej wiadomość. Co miałem zamiar zrobić w sprawie tego nowego piękna? Jeszcze nie wiedziałem. W tym momencie czekałem na Rogera. On bardzo pragnął grać w domino. Ja bardzo pragnąłem dojrzeć w dziecinnej twarzy ślad jego matki, kiedy usiądę po drugiej stronie nad rozrzuconymi kostkami.

* * *

Wymizerowana Dunka, Rebecca Volsted, wstąpiła po mnie i poszliśmy na spacer do parku Retiro. Szedłem wolno, ona kuśtykała przy mnie. Obcisły toczek nasunięty był nisko na czoło, twarz, zdradzająca w przeblaskach gorycz, miała błądliwość błyskawicy. Wypytywała mnie bardzo dokładnie. Spytała, dlaczego spędzam tyle czasu w pokoju. Czuje się lekceważona. Nie w sensie towarzyskim. Towarzysko jestem bardzo przyjazny. Ale lekceważę ją – no, tak z zasady. Chciała, zdaje się, powiedzieć, że gdybym stoczył z nią namiętną walkę w łóżku, mogłaby, biodro nie biodro, uleczyć moje dolegliwości. Przeciwnie; przekonałem się wreszcie z własnego doświadczenia, że gdybym skorzystał z jej propozycji, wziąłbym sobie tylko na utrzymanie jeszcze jedną (i być może umyślowo chorą) osobę.

– Co pan robi cały dzień w swoim pokoju?

– Odrabiam zaległości w korespondencji.

– Pewnie musi pan zawiadamiać ludzi o śmierci żony. A właściwie na co ona umarła?

– Umarła na tężec.

– Wie pan, panie Citrine, zadałam sobie trud odszukania pana w *Who's Who* w Stanach Zjednoczonych.

– Po co pani to zrobiła?

– Ach, nie wiem – powiedziała. – Coś mnie tknęło. Przede wszystkim, chociaż ma pan amerykański paszport, nie zachowuje się pan jak Amerykanin. Miałam wrażenie, że musi być w panu coś niezwykłego.

– Więc dowiedziała się pani, że urodziłem się w Appleton, w stanie Wisconsin. Tak samo jak Harry Houdini, wielki żydowski magik, mistrz ucieczki. Zastanawiam się, dlaczego on i ja wybraliśmy Appleton na miejsce urodzenia.

– Czy jest w tym element wyboru? – spytała Rebecca. W swoim głębokim kapeluszu, płomiennie blada, kulejąca u mego boku w tym hiszpańskim ogrodzie, przemówiła głosem rozsądku. Zacząłem iść wolniej, żebyśmy mogli rozmawiać.

– Oczywiście, nauka jest po pani stronie – powiedziałem. – A jednak, wie pani, to wszystko jest dość dziwne. Ludzie, którzy przebywali na ziemi tylko przez jakieś dziesięć lat zaczynają nagle komponować fugi i udowodniać subtelne twierdzenia matematyczne. Jest bardzo możliwe, panno Volsted, że przynosimy ze sobą na ten świat przeróżne zdolności. W kronikach zapisano, że kiedy miał się urodzić Napoleon, jego matka

chętnie odwiedzała pola bitwy. Ale czy nie jest rzeczą możliwą, że ten mały gangster, już na wiele lat przed swoim urodzeniem, szukał takiej krwiożerczej matki? Podobnie było z rodziną Bachów, z rodziną Mozartów, z rodziną Bemoullich. Kto wie, czy takie grupy rodzinne nie przyciągały dusz muzycznych lub matematycznych. Jak wspomniałem w pewnym artykule o Houdinim, rabin Weiss, ojciec magika, był całkowicie prawowiernym Żydem z Węgier. A jednak musiał wyjechać ze starego kraju, bo miał z kimś pojedynek na szable i w ogóle był dziwakiem. A poza tym, jak to się dzieje, że ja i Houdini, obaj z Appleton, stan Wisconsin, zmagamy się tak zawzięcie z problemem śmierci?

– Czy Houdini to robił?

– Tak, Houdini wypowiedział wojnę wszelkim formom skrupowania i ograniczenia swobody, nie wyłączając grobu. Wydostawał się absolutnie ze wszystkiego. Zakopywali go w ziemi i uciekał. Zatapiali go w zamkniętych skrzyniach i uciekał. Nałożyli mu kaftan bezpieczeństwa i kajdanki i powiesili głowę w dół za nogę na maszcie flagowym budynku Flatiron w Nowym Jorku. Sarah Bernhardt, która przyjechała na to widowisko, siedziała w swojej limuzynie na Piątej Alei i widziała, jak się uwalniał z więzów i dotarł w bezpieczne miejsce. Jeden z moich przyjaciół, poeta, napisał o tym balladę pod tytułem *Harry Arlekin*. Sarah Bernhardt była już bardzo stara i miała amputowaną nogę. Płakała i kiedy ich odwożono samochodem, zawisła na szyi Houdiniego i błagała go, żeby zwrócił jej nogę. On mógł wszystko. W carskiej Rosji Ochrona rozebrała go do naga i zamknęła w stalowym furgonie używanym do wywozek na Syberię. Z tego też się uwolnił. Uciekał z najściślej strzeżonych więzień. I zawsze po powrocie do domu z tak triumfalnej podróży szedł prosto na cmentarz. Kładł się na grobie matki i leżąc na brzuchu, opowiadał jej szeptem poprzez trawę o swoich wędrówkach, o tym, gdzie był i czego dokonał. Później spędził całe lata, demaskując spirytystów. Ujawniał wszystkie triki oszukańczych mediów. Zastanawiałem się kiedyś w jakimś artykule, czy przypadkiem nie wiedział czegoś o zbliżaniu się zagłady i nie obmyślał sposobów ucieczki z obozów śmierci. Ach! Gdyby tylko europejscy Żydzi zdążyli się nauczyć tego, co on umiał. Ale potem pewien student medycyny dźgnął go dla eksperymentu w brzuch i Houdini umarł na zapalenie otrzewnej. Więc widzi pani, nikt nie potrafi przewyciężyć tego ostatecznego faktu w świecie materii. Oślepiający materializm, płomienna świadomość, genialna zręczność – na śmierć nie ma rady. Houdini wyeksploatował do końca jeden kierunek poszukiwań. Czy zagłądała pani ostatnio do otwartego grobu, panno Volsted?

– W obecnym momencie pańskiego życia taka obsesja jest całkiem zrozumiała – odparła. Podniosła na mnie wzrok, jej twarz była rozpalona do białości. – Można zrobić tylko jedno. To oczywiste.

– Oczywiście?

– Niech pan nie udaje naiwnego – powiedziała. – Zna pan odpowiedź. Byłoby nam dobrze ze sobą. Przy mnie pozostałby pan wolny. Mógłby pan przychodzić i odchodzić wedle swojej woli. Nie jesteśmy w Ameryce. Ale co pan właściwie robi w swoim pokoju? *Who's Who* mówi, że ma pan nagrody z dziedziny biografii i historii.

– Przygotowuję się do pisania o wojnie hiszpańsko-amerykańskiej – odparłem. – I odrabiam zaległą korespondencję. Teraz właśnie muszę nadać ten list...

Napisałem do Kathleen do Belgradu. Nie wspomniałem ani słowem o pieniądzach, ale miałem nadzieję, że nie zapomni o mojej części honorarium za prawa do scenariusza Humboldta. Wymieniła sumę tysiąca pięciuset dolarów, będą mi wkrótce potrzebne. Z Chicago nadchodziły monity – Szathmar przesyłał mi pocztę. Okazało się, że Señora polecała do Madrytu pierwszą klasą. Biuro podróży prosiło o przekazanie należności. Napisałem do George'a Swiebla z zapytaniem, czy wpłynęły już pieniądze za moje perskie dywany, ale George nie był skory do korespondencji. Wiedziałem, że Tomchek i Srole przyślą olbrzymi rachunek za przegranie sprawy i że sędzia Urbanovich pozwoli Ludożercy Pinskerowi uszczknąć sporą sumkę z moich zamrożonych funduszków.

– Zdaje się, że pan coś mamrocze do siebie w swoim pokoju – powiedziała Rebecca Volsted.

– Jestem pewien, że nie podsłuchiwała pani pod drzwiami – odparłem.

Zarumieniła się – to znaczy, zrobiła się jeszcze bledsza – i odpowiedziała:

– Pilar twierdzi, że pan rozmawia ze sobą.

– Czytam bajki Rogerowi.

– Ale nie wtedy, kiedy jest w szkole. A może próbuje pan rolę okropnie złego wilka...

Czym było owo mamrotanie? Nie mogłem przecież powiedzieć pannie Rebecce Volsted z ambasady duńskiej w Madrycie, że przeprowadzam ezoteryczne eksperymenty i czytam głośno zmarłym. Już i tak wydawałem się jej trochę dziwny. Niby to wdowiec ze Środkowego Zachodu i ojciec małego chłopca, a tymczasem okazuje się według *Who's Who*, że laureat nagród literackich, autor biografii i sztuk, *chevalier* Legii Honorowej. Ten owdowiały *chevalier* wynajmował najgorszy pokój w *pensión* (naprzeciwko szybu wentylacyjnego z kuchni). Jego brązowe oczy były zaczerwienione od płaczu, ubierał się z wyszukaną elegancją, chociaż wyziewy kuchenne nasyciły jego garderobę wyraźnie zjełczałym zapachem, z uporczywą próżnością starał się zaczesywać rzadkie i siwiejące włosy na łysy środek głowy, ogarniało go zawsze przygnębienie, kiedy stwierdzał, że czaszka łśni mu w świetle lampy. Nos miał prosty, jak John Barrymore, ale na tym kończyło się podobieństwo. Był człowiekiem, którego cielesna powłoka wyraźnie się strzępiła. Zaczynały się zmarszczki na podbródku, koło uszu i pod smutnymi, życzliwymi oczami, które spoglądały rozumnie w niewłaściwym kierunku. Zawsze liczyłem – w sensie higieny – na regularne stosunki seksualne z Renatą. Na pozór zgadzam się z George'em Swieblem, który mówił, że zaniedbywanie normalnego życia płciowego może doprowadzić do poważnych kłopotów. Był oczywiście pewien tekst, który świadczył o czymś przeciwnym – zawsze miałem na podorędziu tekst, który świadczył o czymś przeciwnym. Ów tekst pochodził z Nietzschego i zawierał interesujący pogląd, że wstrzeźliwość niezmiernie wzmacnia umysł, ponieważ plemniki są ponownie wchłaniane przez organizm. Nic lepszego dla intelektu. Tak czy inaczej, zdawałem sobie sprawę, że zaczynam mieć nerwowe tiki. Brakowało mi moich partii squasha w klubie – ale muszę powiedzieć, że rozmów z członkami tego klubu nie brakowało mi ani trochę. Im nigdy nie mogłem powiedzieć tego, co naprawdę myślę. Oni też nie wypowiadali przy mnie swoich myśli, ale te myśli przynajmniej nadawały się do wypowiedzenia. Natomiast moje były niezrozumiałe i stawały się coraz niezrozumialsze.

Miałem się stąd wyprowadzić, kiedy Kathleen przyśle czek, ale do tego czasu musiałem żyć bardzo oszczędnie. Wydział podatkowy, zawiadomił mnie Szathmar, ponownie zajął się moimi dochodami z 1970 roku. Odpisałem mu, że teraz niech się o to martwi Urbanovich.

Co rano budziła mnie intensywna woń kawy. Potem napływały amoniakalne zapachy smażonych ryb, a także kapusty, czosnku, szafranu i grochówki gotowanej na kościach od szynki. *Pensión* La Roca używał kiepsko rafinowanej oliwy, do której trzeba się było trochę przyzwyczaić. Z początku przelatywała przeze mnie bardzo szybko. Ubikacja w holu była wysoka i bardzo zimna, łańcuch do spuszczenia wody był z zielonego brązu. Idąc tam miałem na rękę pelerynę, którą kupiłem dla Renaty, i kiedy siadałem, narzucałem ją sobie na ramiona. Siadanie na lodowatej zimnej desce było przeżyciem przywodzącym na myśl świętego Sebastiana. Po powrocie do pokoju robiłem pięćdziesiąt pompek i stawałem na głowie. Kiedy Roger był w szkole, spacerowałem po cichych uliczkach albo szedłem do Prado lub siedziałem w kawiarni. Długie godziny poświęcałem moim steinerowskim medytacjom i robiłem co w mojej mocy, żeby się zbliżyć do zmarłych. Miałem w tej sprawie bardzo zdecydowane poglądy i nie mogłem dłużej lekceważyć żadnej możliwości nawiązania z nimi kontaktu. Zwykle spirytyzm odrzucałem. Wyznawałem tezę, że w każdej istocie ludzkiej tkwi jądro wieczności. Gdyby to był problem czysto rozumowy bądź logiczny, rozwiązałbym go za pomocą logiki. Ale nie był niczym w tym rodzaju. Miałem do czynienia z czymś innym: z wiedzą całego życia. Musi ona być albo wytrwałą iluzją, albo też głęboko zagrzebaną prawdą. Intelktualną szacownością przyzwoitych członków wykształconego społeczeństwa nauczyłem się gardzić z całego serca. Przyznaję, że ta pogarda podtrzymywała mnie na duchu, ilekroć ezoteryczne teksty wprawiały mnie w zakłopotanie. Bo były takie passusy u Steinera, które pozostawiały we mnie uczucie niesmaku. Mówiłem sobie, że to czyste wariactwo. Potem mówiłem, że to poezja, wspaniała wizja. Ale brnąłem dalej, systematycznie porządkując to wszystko, co mówił nam o życiu duszy po śmierci. A poza tym, jakie to miało znaczenie, co ja robię ze sobą? Podstarzały, z obolałym sercem, medytujący pośród kuchennych smrodów, otulający się w kłozecie peleryną Renaty – kogo może obchodzić, co taki człowiek z sobą robi? Dziwność życia, im większy jej stawiamy opór, tym bardziej nas przytłacza. Im silniej umysł sprzeciwia się poczuciu dziwności, tym więcej wytwarza zniekształceń. A gdyby tak chociaż raz ugiąć się przed tym poczuciem? Ponadto, byłem przeświadczony, że w świecie materii nie istnieje nic, co by wyjaśniało subtelniejsze pragnienia i doznania ludzi. Zgadzałem się z umierającym Bergottem z powieści Prousta. W codziennym doświadczeniu nie było racji bytu dla dobra, prawdy i piękna. Aja byłem zbyt dziwnie wyniosły, by szukać oparcia w szacownym empiryzmie, w jakim zostałem wychowany. Zbyt wielu głupców podpisywało się pod nim. Co więcej, ludzie się właściwie nie dziwili, kiedy im się mówiło o duszy i duchu. Zdumiewające! Nikt się nie dziwił. Jedynie ci bardziej wyrafinowani wyrażali zdziwienie. Być może fakt, że nauczyłem się stać na uboczu moich własnych ułomności i absurdalnych cech mojego charakteru, oznaczał, że sam jestem trochę umarły. Ta obojętność przynosił a jakby otrzeźwienie. Myślałem często, jak bardzo przekroczenie owej gorzkiej bramy musi otrzeźwić zmarłych. Koniec zjedzeniem, krwawieniem, oddychaniem. Pozbawiona dumy cielesnego istnienia, wystraszona dusza na pewno staje się rozsądniejsza.

W moim rozumieniu nieuczenni zmarli błędzą i cierpią w swojej niewiedzy. Szczególnie w pierwszej fazie dusza, namiętnie przywiązana do swojego ciała, skalana ziemią, nagle od niego oddzielona, odczuwa pewne żądze, podobnie jak człowiek po amputacji czuje brakującą nogę. Nie darmo zmarli widzą, od początku do końca, wszystko, co im się przydarzyło, znają całe swoje żałosne życie. Płoną z bólu. Dzieci, zwłaszcza zmarłe dzieci, nie potrafią rozstać się z życiem, lecz pozostają niewidoczne blisko tych, których kochały, i płaczą. Dla tych dzieci potrzebne nam są jakieś rytuały – coś dla dzieciaków, na miłość boską! Starsi zmarli są lepiej przygotowani, przychodzą i odchodzą znacznie mądrzej. Ci, co odeszli, działają w nieświadomej części każdej duszy żywej i jest bardzo możliwe, że niektóre z naszych najszczytniejszych celów są nam przez nich wpojone. Stary Testament nakazuje nam nie mieć w ogóle nic do czynienia ze zmarłymi, a to dlatego, mówi pismo, że dusza w swojej pierwszej fazie wkracza w sferę namiętnych uczuć po śmierci, sferę czegoś, co przypomina stan krwi i nerwów. Kontakt ze zmarłymi w tej pierwszej sferze może wyzwolić niskie impulsy. Na przykład, kiedy tylko zaczynałem myśleć o Demmie Vonghel, odczuwałem przyływ gwałtownych wrażeń. Widziałem ją zawsze taką, jaka była za życia, ładną i nagą, wyglądającą tak, jak w chwilach orgazmu. Ten zawsze przebiegał w konwulsjach, było ich kilka, jej twarz stawała się intensywnie czerwona. I zawsze w zachowaniu Demmie w czasie aktu był jakby cień przestępstwa, a we mnie był zawsze cień współnictwa, grzesznego współdziałania. Teraz zalała mnie fala skojarzeń seksualnych. Na przykład taka Renata, w niej nigdy nie było nic gwałtownego, zawsze się uśmiechała i zachowywała jak kurtyzana. Albo panna Doris Scheldt, drobna dziewczynka, niemal dziecko o jasnych włosach, chociaż coś w jej profilu wskazywało, że tkwi w niej jakiś Savonarola i że pewnego dnia przekształci się we władczą małą kobietkę. Najbardziej uroczą cechą panny Scheldt były jej niefrasobliwe wybuchy śmiechu na zakończenie aktu płciowego. Najmniej uroczy był jej ponury strach przed ciążą. Leżąc naga w nocy w moich objęciach, zamartwiała się, czy aby jakiś zbłąkany plemnik nie zrujnuje jej życia. Mimo wszystko wydaje się, że nie ma ludzi nieosobliwych. Dlatego tak się cieszyłem na zawarcie znajomości ze zmarłymi. Oni powinni być trochę bardziej ustabilizowani.

A ponieważ byłem dopiero w stadium przygotowań, jeszcze przed wtajemniczeniem, nie bardzo mogłem się spodziewać, że dotrę do swoich zmarłych. Mimo to pomyślałem, że spróbuję, ponieważ bolesne doświadczenia życiowe kwalifikują jednak niektórych ludzi do szybszego postępu w rozwoju duchowym. Tak więc usiłowałem wprowadzić się w odpowiedni stan do takiego kontaktu, koncentrując myśli zwłaszcza na moich rodzicach, Demmie Vonghel i Von Humboldcie Fleisherze. Moje teksty mówiły, że prawdziwa komunikacja z kimś, kto umarł, jest możliwa, jakkolwiek trudna, ale wymaga dyscypliny i czujności, a także jasnego uświadomienia sobie, że wszelkie niskie instynkty mogą się przy tym wyzwolić i rozpętać w człowieku istne piekło. Te namiętności muszą być trzymane w korbach przez czystość intencji. O ile mi było wiadomo, moje intencje były czyste. Dusze zmarłych łakną zakończenia ich czyśćca, łakną prawdy. Ja, w *pensión* La Roca, kierowałem ku nim moje najbardziej intensywne myśli, przesycając je całym ciepłem, jakie było we mnie. I mówiłem sobie, że jeśli tylko nie wyobrażamy sobie śmierci jako brutalnego partyzanta i kidnapera, który porywa naszych ukochanych, jeśli nie jesteśmy tchórzliwi i nie chcemy poddać się temu terrorowi, jak to dziś robią cywilizowani ludzie w każdej dziedzinie życia, wówczas musimy chwycić, badać, wykorzystywać każdą możliwość, szukać wszędzie, próbować wszystkiego. Istotne pytania, jakie stawiamy zmarłym, muszą być przesiąknięte prawdziwym uczuciem. Same przez się abstrakcje nie potrafią wędrować. Muszą przejść przez serce, aby można je było przekazać. Właściwą porą na zadanie zmarłym jakiegoś pytania jest ostatni moment świadomości przed zaśnięciem. Jeśli chodzi o zmarłych, docierają do nas najłatwiej w chwili, gdy się budzimy. Oto dwie kolejne chwile w rachubie czasu duszy, a osiem astronomicznych godzin między jedną a drugą to tylko biologia. Była pewna tajemna osobliwość, do której nie mogłem się przyzwyczaić: pytania, jakie zadajemy, rodzą się nie w nas, lecz w zmarłych, do których są skierowane. Kiedy zmarli odpowiadają, w rzeczywistości przemawia nasza własna dusza. Taki odwrócony, jakby lustrzany obraz trudno było pojąć. Spędzałem dużo czasu, rozważając tę sprawę.

I tak właśnie przebyłem w Madrycie styczeń i luty, czytając, *sotto voce*, pomocne teksty tym, którzy odeszli, i starałem się do nich zbliżyć. Można by pomyśleć, że ta nadzieja znalezienia się tuż obok zmarłych powinna nadwątlić mój umysł. Ale nie. Chociaż mam tylko własne świadectwo na poparcie tego, co powiem, mój umysł chyba zyskał na sprawności. Przede wszystkim wydawało się, że odzyskuję jakąś niezależną i indywidualną więź ze światem, z całą hierarchią bytu. Mówi się, że dusza człowieka cywilizowanego i rozumnego jest wolna, ale w rzeczywistości jej swoboda jest bardzo ograniczona. Chociaż człowiek ten teoretycznie wierzy, że może z całkowitą swobodą bujać, gdzie zechce, i jest dlatego naprawdę czymś, w rzeczywistości czuje się kimś zupełnie nieważnym. Ale przyjąć, choćby nie wiem jak irracjonalnie, że dusza jest nieśmiertelna, uwolnić się od brzemienia śmierci, które każdy dźwiga na sercu – tak, to stwarza, podobnie jak wyzwolenie się od wszelkiej obsesji (obsesji pieniądza, obsesji seksu), naprawdę ogromne możliwości. Przypuśćmy, że ktoś nie myśli o śmierci tak, jak wszyscy rozsądni ludzie ze swoim wzniosłym realizmem zgodzili się o niej myśleć. Pierwszym wynikiem tego jest pewna nadwyżka, nadmiar, który służy dobru. Groza

śmierci krępuje tę energię, ale kiedy ona się wreszcie wyzwoli, możemy ją skierować w stronę dobra, nie odczuwając przy tym zakłopotania, że jesteśmy anachroniczni, nielogiczni, masochistycznie bierni, umyślowo ograniczeni. Dobro nie jest wówczas ani trochę podobne do męczeństwa pewnych Amerykanów (domyślenie się, kogo mam na myśli), przenikniętych blaskiem poezji jeszcze w szkole, a potem dających świadectwo chwale swojego (nie dającego się udowodnić, nierealnego) dobra przez popełnienie samobójstwa – we wspaniałym stylu, jedynym stylu godnym poetów.

Groziło mi bankructwo, i to w obcym kraju, ale nie odczuwałem w związku z tym prawie żadnego niepokoju. Problem pieniędzy jakby nie istniał. Martwiło mnie natomiast, że jestem rzekomym wdowcem, dłużnikiem pań z naszego *pensión*, które pomagały mi zajmować się Rogelio. Rebecca Volsted, ze swą płonąco białą twarzą, przystawiała się do mnie. Chciała się ze mną przespać. Ale ja po prostu uprawiałem nadal moje ćwiczenia. Czasami myślałem: „Och, ta głupia Renata, czy ona naprawdę nie widziała różnicy między karawaniarzem i przyszłym wieszczem?” Otulałem się w jej pelerynę – znacznie cieplejszy strój niż płaszcz z wigonii, który dał mi Juliusz – i wychodziłem z domu. Z chwilą gdy byłem na świeżym powietrzu, Madryt stawał się dla mnie wielkim zbiorem klejnotów i dzieł sztuki: fascynujące zapachy, cudowna perspektywa, ładne twarze, zimowe barwy parku przepojone mroźną zielenią i przecięte pionowymi kreskami drzew zimujących bez wysiłku, wreszcie para z ust i pysków ludzi i zwierząt widoczna wszędzie na ulicach. Szliśmy z synkiem Renaty, trzymając się za ręce. Chłopiec był niezwykle spokojny i bardzo łagodny. Kiedy wędrowaliśmy z nim po parku Retiro, gdzie wszystkie trawniki miały barwę ciemnej i chłodnej zieleni Atlantyku, ten mały Roger mógł mnie niemal przekonać, że dusza jest w pewnej mierze rzeźbiarzem własnego ciała, i wydawało mi się, że czuję, jak on trzodzi się w sobie samym. Od czasu do czasu odczuwamy prawie całkiem wyraźnie, że jesteśmy w towarzystwie kogoś, kto został poczęty w jakiś cudowny sposób, zanim został poczęty fizycznie. We wczesnym dzieciństwie ta niewidzialna praca zapładniającego ducha może jeszcze trwać. Wkrótce roboty budowlane przy małym Rogerze dobiegną końca i to niezwykle stworzenie zacznie się zachowywać w najzwyczajniejszy i najnudniejszy sposób lub wręcz szkodliwie, jak jego matka i babka. Humboldt wiecznie opowiadał o czymś, co nazywał „światem rodzinnym”, światem Wordswortha, Platona, światem, który istnieje, zanim padnie nań cień więzienia. Bardzo możliwe, że wtedy właśnie wkłada się nuda, że to jest punkt dojścia. Humboldt stał się nudny w szatach kogoś „lepszego”, z owym stylem „wyższej” kultury i wszystkimi związanymi z tym abstrakcjami. Setki tysięcy ludzi noszą dziś kostium szlachetnego nieszczęścia. Straszne to plemię, te wykształcone gnidy, intelektualni nudziarze najcięższego kalibru. Świat nigdy takich nie widział. Biedny Humboldt! Co za pomyłka! Cóż, kto wie, czy nie spróbuje jeszcze raz. Kiedy? Och, za kilkaset lat jego duch może powrócić. A tymczasem mogłem go wspominać jako pięknego człowieka, człowieka szlachetnego, złote serce. Od czasu do czasu przeglądałem papiery, które mi zostawił. Tak bardzo wierzył w ich wartość. Wzdychając sceptycznie, kładłem je z powrotem do jego teczki.

* * *

Świat zgłaszał się do mnie niekiedy, z różnych części globu nadchodziły wieści. Najbardziej pragnąłem dostać list od Renaty. Marzyłem, żeby usłyszeć, że żałuje, że nudzi się z Flonzaleyem i jest przerażona tym, co zrobiła, że on ma haniebne nawyki przedsiębiorcy pogrzebowego – i w myślach odbywałem próby tej wspaniałej sceny, kiedy przyjmę ją z powrotem. Kiedy byłem w mniej przyjaznym nastroju, dawałem babie najwyżej miesiąc z jej milionerem-balsamistą. Kiedy byłem zły i przygnębiony, uważałem, że mimo wszystko oziębłość i pieniądze, jak o tym wszyscy wiedzą od czasów starożytnych, są kombinacją dość stałą. Jeśli dodać do tego śmierć, najsilniejszy utrwalacz na świecie, uzyskuje się coś wyjątkowo trwałego. Przypuszczałem, że zdążyli wyjechać z Marrakeszu i spędzają miesiąc miodowy gdzieś na Oceanie Indyjskim. Renata ciągle powtarzała, że chciałaby spędzić zimę na Seszelach. W głębi duszy zawsze wierzyłem, że potrafiłbym uleczyć Renatę z jej dolegliwości. Potem przypominałem sobie, zwracając ostrze wspomnień przeciwko samemu sobie, jak to Humboldt zawsze pragnął zrobić coś dobrego dla dziewczyn, ale one nie chciały spokojnie na to czekać, i jak mówił o przyjaciółce Demmie, Ginnie, w Greenwich Yillage: „Miód z lodówki... Zimne słodczyce trudno rozsmarować”. Nie, Renata nie pisała. Koncentrowała się na swoim nowym związku i mogła nie martwić się o Rogera, póki był pod moją opieką. U Ritza znalazłem kilka widokówek zaadresowanych do małego. Moje domysły były słuszne. Młoda para niedługo bawiła w Maroku. Kartki Renaty miały teraz znaczki z Etiopii i Tanzanii. Roger dostał także kilka pocztówek od swojego ojca, który był na nartach w Aspen i Vail. Koffritz wiedział, gdzie jest jego dziecko.

Kathleen napisała z Belgradu, zapewniając o radości, jaką sprawił jej list ode mnie. Wszystko jest w jak najlepszym porządku. Spotkanie w Nowym Jorku było czymś niezapomnianym, wspaniałym. Marzy o tym, żeby znowu ze mną porozmawiać, ma nadzieję, że będzie przejazdem w Madrycie, w drodze do Almerii, gdzie miała kręcić film. Chyba będzie mi mogła powiedzieć sporo bardzo miłych rzeczy. W liście nie było czeku.

Najwidoczniej nie domyślała się, jak rozpaczliwie potrzebuję pieniędzy. Przez tyle lat wiodło mi się tak dobrze, że nikomu coś podobnego nie przychodziło na myśl. W połowie lutego przyszedł list od George'a Swiebla, ale George, który dużo wiedział o mojej sytuacji materialnej, też nie wspominał o pieniądzach. Było to o tyle zrozumiałe, że pisał do mnie z Nairobi, a więc nie mógł jeszcze otrzymać moich próśb o pomoc i pytań w sprawie sprzedaży wschodnich dywanów. Przebywał już w Kenii od miesiąca, szukając w buszu kopalni berylu. A może była to tylko żyła? Wolałem myśleć o kopalni. Gdyby George trafił na taką kopalnię, ja, jako równoprawny wspólnik, byłbym na zawsze wolny od kłopotów pieniężnych. Chyba że, oczywiście, sąd znalazłby jakiś sposób na odebranie mi także i tego. Sędzia Urbanovich z jakiegoś powodu postanowił być moim śmiertelnym wrogiem. Za wszelką cenę chciał ze mnie zedrzeć ostatnią koszulę. Nie wiem dlaczego, ale tak było.

George pisał: Nasz kumpel z Muzeum Fielda nie mógł wybrać się ze mną na tę wycieczkę. Ben po prostu nie potrafił obmyślić dobrej historyjki. Podmiejska dzielnica willowa nie chciała wypuścić go ze swoich szponów. Zaprosił mnie w niedzielę na kolację, żebym zobaczył na własne oczy, jakie ma piekło w domu. Nie wydało mi się takie straszne. Zona jest gruba, ale wygląda dobrodusznie, jest miły dzieciak i dość typowa teściowa, a także angielski buldog i papuga. On mówi, że teściowa żyje tylko migdałowymi obwarzankami i kakao. Musi chyba jeść w nocy, bo jeszcze nigdy nie widział, żeby coś wzięła do ust – ani razu od piętnastu lat. No cóż, pomyślałem sobie, też ma się o co pieklić! Jego dwunastoletni synek pasjonuje się wojną domową i razem z tatą, papugą i buldogiem tworzą coś w rodzaju klubu. Poza tym ma bardzo przyjemny zawód, bo martwi się tylko o swoje skamieliny, a w lecie razem z chłopcem biorą przyczepę i przewożą do domu trochę nowych kamieni. Więc na co tak narzeka? Po starej przyjaźni dopuściłem go do naszej spółki, ale to nie jego wzięciem ze sobą do Afryki Wschodniej.

Prawdę mówiąc, nie chciałem samotnie odbywać tej długiej podróży. Właśnie wtedy zaprosiła mnie na kolację Naomi Lutz. Chciała, żebym poznał jej syna, tego samego, który pisał dla miejscowej gazety artykuły o swoim wyzwoleniu się z narkomanii. Przeczytałem je i bardzo się zainteresowałem tym młodym człowiekiem. Naomi powiedziała, że przecież mógłby jechać ze mną. A ja rzeczywiście pomyślałem sobie, że byłby odpowiednim towarzyszem podróży.

Przerywam na chwilę, żeby wtrącić, że George uważał się za szczególnie uzdolnionego w zakresie kontaktów z młodzieżą. Młodzi nigdy go nie traktowali jak komicznego staruszka. Szczycił się swoją umiejętnością rozumienia ich. Miał wielu bardzo niezwykłych i wyjątkowych przyjaciół. Był akceptowany przez młodzież, przez czarnych, przez Cyganów i murarzy, przez Arabów na pustyni i przez koczowników w najodleglejszych zakątkach, jakie kiedykolwiek odwiedził. Wśród przedstawicieli różnych egzotycznych nacji robił istną furorę: natychmiast nawiązywał z nimi bliski, ludzki kontakt, był zapraszany do ich namiotów i piwnic, na najintymniejsze prywatne zebrania. Jak Walt Whitman pośród wozaków, poławiaczy małży i chuliganów, jak Hemingway wśród włoskich piechurów i hiszpańskich toreadorów, tak George zawsze czuł się swojsko w południowo-wschodniej Azji, na Saharze albo w Ameryce Łacińskiej, czy wszędzie tam, gdzie się akurat znajdował. Odbywał takie podróże, kiedy tylko mógł, a krajowcy zawsze byli mu braćmi i po prostu za nim przepadali.

Oto, co pisał dalej: Tak naprawdę Naomi chciała, żeby chłopak był z Tobą. Pamiętasz, że mieliśmy się spotkać w Rzymie? Ale kiedy byłem gotów do wyjazdu, Szathmar ciągle jeszcze nie miał od Ciebie wiadomości. Mój znajomy z Nairobi czekał na mnie, więc kiedy Naomi poprosiła, żebym zabrał jej syna, Louie – potrzebne mu jest męskie towarzystwo, a jej własny przyjaciel, z którym pije piwo i chodzi na mecze hokeja, nie jest typem, który by mógł pomóc, ściśle mówiąc, stanowi raczej element trudności tego chłopca – okazałem zrozumienie. Pomyślałem sobie, że sam chętnie dowiedziałbym się czegoś o problemie narkomanii, a temu chłopcu nie brak chyba charakteru, sam rozumiesz, skoro zrzucił tę małpę z karku (jak mawialiśmy w naszej młodości) bez żadnej pomocy z zewnątrz. Naomi dobrze karmi, było mnóstwo jedzenia i picia, zrobiłem się bardzo dobrotliwy i powiedziałem temu brodatemu Louie: „Okey, synku, spotkamy się na O'Hare, lot TWA, numer taki a taki, czwartek, piąta trzydzieści”. Przyrzekłem Naomi, że w drodze powrotnej zostawię go u ciebie. To poczciwa kobiecina. Uważam, że powinieneś się z nią ożenić trzydzieści lat temu. Ona jest jedną z nas. Uściskała mnie z wdzięczności i trochę popłakała. No więc w czwartek, w porze odlotu, ten brodaty chudzielec kręci się koło wyjścia do samolotu w trampkach i bez marynarki. „Gdzie masz marynarkę?”, powiadam, a on na to: „Po co mi marynarka w Afryce?” Ja go pytam: „Gdzie jest twój bagaż?”, a on mówi, że lubi podróżować bez bagażu. Dałem mu to i owo z własnego worka z odzieżą. W Londynie potrzebna mu była wiatrówka. Wziąłem go do sauny, żeby się trochę rozgrzał, i postawiłem mu żydowski obiad w East Endzie. Jak dotąd, chłopak był dobrym towarzyszem i opowiedział mi bardzo dużo o narkomanii. Piekielnie ciekawe rzeczy. Poleciliśmy do Rzymu, z Rzymu do Chartumu i z Chartumu do Nairobi, gdzie mój przyjaciel Ezekiel miał mnie oczekiwać. Ale Ezekiel się nie pokazał. Był w buszu, gdzie zbierał beryle. Zamiast niego przyjechał

po nas jego kuzyn Theo, wspaniały czarny mężczyzna, zbudowany jak chart wyścigowy, i czarny, czarny, aż lśniący od intensywnej czerni. Louie powiedział: „Podoba mi się ten Theo. Nauczę się suahili i pohasamy sobie z nim. Dobra, proszę bardzo. Następnego dnia wynajęliśmy mikrobus w Niemieckiej Agencji Turystycznej, gdzie pracowała kiedyś madame Ezekiel. To ona organizowała tę podróż, którą odbyłem z nim przed czterema laty. Potem kupiłem coś do ubrania na busz, nawet parę zamszowych butów dla Louie, i specjalne czapki, i przydymione okulary, i mnóstwo innych rzeczy – i wyruszyliśmy do buszu. Dokąd zmierzamy, nie wiedziałem, ale bardzo szybko nawiązałem kontakt z Theo. Jeżeli chcesz znać prawdę, byłem szczęśliwy. Jak wiesz, zawsze wydawało mi się, że Afryka to miejsce, w którym rodzaj ludzki wziął swój początek. Takie właśnie uczucie ogarnęło mnie, kiedy byłem w wąwozie Olduvai i spotkałem profesora Leakeya w czasie mojej ostatniej podróży. To on mnie przekonał, że człowiek pochodzi stąd. Wiedziałem intuicyjnie, było to jakby uczucie powrotu w rodzinne strony, że Afryka to mój dom. A nawet gdyby tak nie było, jest w każdym razie lepsza niż południowe Chicago i wolę spotkanie z lwami od korzystania z publicznych środków komunikacji. W czasie ostatniego weekendu przed moim wyjazdem z Chicago było tam, jak podano, dwadzieścia pięć morderstw. Strach pomyśleć, jaka musi być rzeczywista liczba. Ostatnio, jak jechałem kolejką nadziemną przez Jackson Park, dwóch łotrzyków odcinało żyłkami kieszeń od spodni jakiegoś faceta, a on udawał, że śpi. Byłem jedną z dwudziestu osób, które na to patrzyły. Nie można było nic zrobić.

Przed wyjazdem z Nairobi zwiedziliśmy rezerwat dzikich zwierząt i widzieliśmy lwicę rzucającą się na dzikie świnię. To był naprawdę wspaniały widok. Potem odjechaliśmy stamtąd i wkrótce spowity nas tumany ciemnoczerwonego pyłu wiejskich dróg i pędziliśmy pod cudownymi olbrzymimi drzewami, jak gdyby mającymi korzenie w powietrzu, i wszyscy czarni wyglądali w swoich strojach przypominających nocne koszule i pidżamy na somnambulików. Wjeżdżaliśmy do jakiejś wioski, w której cała masa tubylców pracowała przy starych singerowskich maszynach do szycia poruszanych nożnym pedałem, i znowu, wypadaliśmy między olbrzymie mrowiska, wyglądające jak brodawki rozsiane po całym terenie. Wiesz, jak lubię przyjazną, serdeczną atmosferę i naprawdę było mi dobrze jak nigdy z tym wspaniałym czarnym Theo. Szybko staliśmy się sobie bardzo bliscy. Ale z Louie były kłopoty. W mieście zachowywał się znośnie, za to jak wjechaliśmy w busz, nagle stał się innym człowiekiem. Naprawdę nie wiem, co jest z tymi smarkaczami. Są słabi, chorzy czy co? To pokolenie lat sześćdziesiątych, mają teraz po dwadzieścia osiem lat – i już kaleki nadające się do przytułku. Całymi dniami leżał, był chyba zamroczony. A potem zmordowani przyjeżdżaliśmy naszym mikrobusem do jakiejś wioski i ten chłopak, który przez dwie godziny nic tylko jęczał i narzekał, zaczynał krzyczeć, że chce mleka. Tak, właśnie mleka. Butelkowanego, homogenizowanego amerykańskiego mleka. Nigdy w życiu nie brakowało mu mleka i teraz wpadał w szał. Łatwiej mu przyszło odzwyczaić się od heroiny niż od mleka. Wyglądało to dosyć niewinnie, nawet zabawnie, bo właściwie dlaczego dzieciak z hrabstwa Cook w stanie Illinois nie miałby się napić swojego zakichanego mleka? Ale powiadam ci, Charlie, że kiedy znaleźliśmy się o dwa dni drogi od Nairobi, sytuacja zrobiła się rozpaczliwa. Dowiedział się od Theo jak jest „mleko” w suahili, i kiedy przejeżdżaliśmy koło choćby kilku lepianek, wychylał się z okna i wrzeszczał o mleko. *Mizuah! Mizuah! Mizuah! Mizuah!* – a samochód podskakiwał na wybojach. Można by pomyśleć, że wije się w męczarniach, łaknąc swojej szprycy. Co krajowcy mogli wiedzieć o tym jego przeklętym *mizuah*? Mieli kilka małych puszek, dla Anglików do herbaty, i nie mogli zrozumieć, o co mu chodzi, nigdy nawet nie widzieli szklanki z mlekiem. Starali się, jak mogli, nalewając mu stróżkę swojego jałowego płynu, a ja czułem się... no, naprawdę byłem upokorzony. W taki sposób trudno było podróżować. Po kilku dniach ten chudzielec, z tymi swoimi włosami i brodą, i cienkim nosem, i zupełnie zwariowanymi oczami – nie, po prostu nie było z nim kontaktu. I nagle nawaliło mi zdrowie. Zacząłem odczuwać ostry kłujący ból w jednej stronie brzucha, było mi niewygodnie siedzieć, nawet leżeć. Wszystko w środku miałem rozpalone, wrażliwe – okropność! Próbowałem związać się jakoś bliżej ze środowiskiem naturalnym i całym tym pierwotnym życiem, zwierzętami itd. Powinna to być dla mnie prawdziwa rozkosz. Tę rozkosz widziałem już prawie przed sobą, jak fale gorąca na drodze, ale nie mogłem jej dogonić. Sam się pozwoliłem z niej wykopsać, wszystko przez ten mój idiotyczny altruizm. I sytuacja była coraz gorsza. Ezekiel zostawiał wiadomości po drodze i Theo twierdził, że powinniśmy go dogonić za kilka dni. Do tej chwili nie zauważyłem jeszcze ani śladu berylu. Ezekiel objeżdżał podobno wszystkie miejsca, gdzie się ten beryl znajdował. My nie mogliśmy do nich dotrzeć naszym mikrobusem. Potrzebny był do tego landrover albo jeep. Ezekiel miał jeepa. No więc wlekleśmy się tak i co pewien czas trafialiśmy na jakiś hotel dla turystów, gdzie Louie domagał się *mizuah* i zagarniał najlepsze jedzenie. Jeżeli były sandwicze, zabierał mięso i zostawiał mi ser i konserwową szynkę. Jeżeli było trochę gorącej wody, kąpał się pierwszy i zostawiał mi same brudy. Na widok tego chudego durnia wycierającego się ręcznikiem ogarniało mnie tylko jedno gorące pragnienie: albo sprać mu tyłek kijem od baseballu, albo dać mu mocnego kopniaka.

Moment obrachunku nadszedł, kiedy przyczepił się do Theo, żeby ten nauczył go różnych słów w suahili, i naturalnie pierwszą rzeczą, o jaką spytał, był „matkojebca”. Otóż posłuchaj, Charlie, w suahili nie ma nic

takiego. Ale Louie nie mógł przyjąć do wiadomości, że w samym sercu Afryki nie istnieje takie wrażenie. Powiedział: „Człowieku, to przecież ostatecznie jest Afryka. Ten Theo chyba żartuje. Czy to jakaś tajemnica, której oni nie chcą zdradzić białemu?” Przysięgał, że nie wróci do Ameryki, jeżeli nie będzie umiał tego powiedzieć. Otóż chodzi o to, że Theo nie mógł nawet zrozumieć samej idei. Nie miał trudności z drugą częścią, tj. aktem płciowym. I oczywiście rozumiał pierwszą część, „matkę”. Ale połączenie tych dwóch rzeczy przerastało jego możliwości. Przez kilka długich dni Louie męczył się żeby to z niego wydobyć. Potem pewnego wieczoru Theo wreszcie zrozumiał. Złożył obie części do kupy. Kiedy wszystko stało się jasne, skoczył jak oparzony, schwycił lewarek z mikrobusu i cisnął go tamtemu w głowę. Rąbnął go bardzo paskudnie w ramię i unieruchomił chłopaka. To mi nawet dało pewną satysfakcję, ale musiałem przerwać walkę. Zwaliłem Theo z nóg, przycisnąłem ramię kolanami i przytrzymałem głowę, jednocześnie starając się przemówić mu do rozsądku. Mówiłem, że to nieporozumienie. Ale Theo był naprawdę wstrząśnięty i od chwili, gdy to bluźnierstwo na temat matki do niego dotarło, już się ani razu nie odezwał do Louie. A ten smarkacz tak długo nudził i pieklił się o to swoje ramię, że musiałem przerwać poszukiwanie Ezekieła. Postanowiłem, że wrócimy do miasta i tam na niego zaczekamy. Właściwie zatoczyliśmy tylko ogromne koło i teraz byliśmy zaledwie o pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt mil od Nairobi. Nie wyglądało mi na to, że w ogóle jest jakaś kopalnia berylu. Doszedłem do wniosku, że Ezekiel zbierał tu i tam, a może nawet kradł kawałki berylu. W Nairobi prześwietliliśmy chłopaka. Nie było żadnych złamań, ale lekarz unieruchomił mu rękę na temblaku. Zanim odwiozłem go na lotnisko, siedzieliśmy w kawiarni na powietrzu, gdzie wypił kilka butelek mleka. Miał dosyć Afryki. Stała się nieprawdziwa pod wpływem cywilizacji, wyparła się swego dziedzictwa. Louie powiedział: „Jestem wstrząśnięty Jadę prosto do domu”. Wziąłem od niego cały ekwipunek, który mu kupiłem na wyprawę do buszu, i oddałem Theo. Potem Louie oświadczył, że musi przywieźć matce jakieś pamiątki z Afryki. Poszliśmy do sklepu dla turystów, gdzie kupił dla Naomi ohydny dzidę masajską. Miał wylądować w Chicago o trzeciej rano. Wiedziałem, że jest bez grosza. „Jak dostaniesz się do domu z O’Hare?” – spytałem. „Zwyczajnie. Zadzwonię do mamy”. „Nie budź matki. Weź taksówkę. Nie możesz jechać autostopem z Mannheim Road z tą cholerną dzidą”. Dałem mu dwadzieścia dolarów i zawiozłem go na lotnisko. Szczęśliwy chyba pierwszy raz od miesiąca, przypatrywałem się, jak bez kurtki i z ręką na temblaku wchodzi do samolotu i wnosi wólcznik dla mamy. Potem z szybkością naziemną chyba tysiąca mil na godzinę wystartował do Chicago.

Jeśli idzie o beryl, Ezekiel pojawił się wreszcie z całą beczułką. Poszliśmy do angielskiego adwokata, którego nazwisko dał mi Alec Szathmar, i spróbowaliśmy ubić interes. Ezekielowi potrzebne było wyposażenie wartości około pięciu tysięcy dolarów, landrover, ciężarówka itd. „W porządku” – powiedziałem. – „Mamy przecież współnika, więc zostawiam tu czek w depozycie, a on przekaze pieniądze, jak tylko pan mu prześle tytuł własności tej kopalni”. Nie zanosilo się na żaden tytuł własności ani też nie sposób było udowodnić, że te półszlachetne kamienie zostały zdobyte drogą legalną. Jadę teraz na wybrzeże, żeby zwiedzić stare porty załadunku niewolników i spróbować coś ocalić z tej podwójnej katastrofy – najpierw syn Naomi, a potem nasz smętny interes z berylem. Przykro mi, ale chyba kryło się w tym jakieś afrykańskie oszustwo. Nie uważam, żeby Ezekiel i Theo zachowali się uczciwie, Szathmar przesłał mi Twój adres na ręce swojego kolegi z Nairobi. Nairobi jest fantastyczne, jak nigdy. Śródmieście bardziej przypomina Skandynawię niż Afrykę Wschodnią. Biorę teraz nocny pociąg do Mombasy. Powrót do domu via Addis Abeba i może nawet Madryt. Ściskam serdecznie.

* * *

Byłem właśnie pochłonięty wyciąganiem ości z kawałka merluzy przeznaczonej dla Rogera, kiedy do jadalni weszła Pilar i pochyliwszy nade mną swoje wysoko opięte fartuchem łono, szepnęła, że pyta o mnie jakiś pan z Ameryki. Byłem zachwycony. W każdym razie przejęty. Nikt mnie dotąd nie odwiedzał, ani razu przez te dziesięć tygodni. Czy to Georgie? Albo Koffritz, który przyjechał po Rogera? Na dodatek Pilar, nachylona nade mną w swoim chłodnym fartuchu, z ciepłą białą twarzą, dużymi brązowymi oczyma i zapachem pudru, była niezwykle dyskretna. Czyżby nigdy nie dała się nabrać na historię o wdowcu? Czy mimo to wiedziała, że mam głębokie, prawdziwe troski, a także istotne powody, żeby się ubierać na czarno?

– Mam poprosić, żeby Señor przyszedł do jadalni i wypił kawę? – zapytała Pilar, przenosząc wzrok ze mnie na chłopca i z powrotem na mnie.

Powiedziałem, że porozmawiam z gościem w bawialni, jeżeli ona posiedzi przy sierocie i zmusi go do zjedzenia ryby.

Potem skierowałem kroki do salonu, pokoju rzadko używanego i zapchanego starymi, pluszowymi, zakurzonymi przedmiotami. Panował tam zawsze półmrok, jak w kaplicy, nigdy nie widziałem w tym wnętrzu

słońca. Teraz wtargnęło tu światło i ujawniło dużo świętych obrazów i skarby starych bibelotów na boazeriach. Pod nogami rozścielone były tandetne dywaniki, w których grzęzły stopy. Wszystko to sprawiało wrażenie epoki ginącej wraz z uczuciami, jakimi się ją darzyło, i ludźmi, którzy tych uczuć doznawali. Mój gość stał pod oknem, dobrze wiedząc, że przepojone pyłem promienie słońca oślepiają i nie mogą dojrzeć jego twarzy. Kurz wirował wszędzie. Te pyłki tak gęsto mnie otaczały, jak banieczki powietrza otaczają rybę w akwarium. Mój gość szerzej rozsunął zasłony, żeby wpuścić więcej światła, i strzepnął z nich kurz całego stulecia.

– To ty? – powiedziałem.

– Tak – odparł Rinaldo Cantabile. – Nikt inny. Myślałeś, że jestem w więzieniu?

– Myślałem i pragnąłem tego. I miałem nadzieję. Jak mnie tu wytropiłeś i czego chcesz?

– Jesteś na mnie zły. W porządku, przyznaję, że to była nieprzyjemna scena. Ale przyjeżdżam, żeby ci to wynagrodzić.

– I w tym celu tu przyjechałeś? Jedyne, co możesz dla mnie zrobić, to odejść. To by mi najbardziej odpowiadało.

– Słowo daję, przyjechałem, żeby ci pomóc. Wiesz – ciągnął – kiedy byłem małym chłopcem, moja babka leżała w trumnie na Taylor Street w podobnym salonie, z całą toną kwiatów. To kapitalne, nie przypuszczałem, że jeszcze zobaczę drugi taki pokój, pełen tych staroświeckich rupieci. Ale na Charliego Citrine’a można liczyć. Popatrz na te gałązki z Palmowej Niedzieli sprzed pięćdziesięciu lat. Na schodach śmierdzi, a ty przecież jesteś bardzo wymagający gość. Ale tobie to chyba służy. Wyglądasz nieźle, właściwie lepiej niż przedtem. Nie masz tych brązowych kręgów pod oczami, jak w Chicago. Wiesz, co ja myślę? Ta gra w squasha za bardzo ci męczyła. Siedzisz tu sam?

– Nie, jest ze mną synek Renaty.

– Synek? A gdzie ona?

Nie odpowiedziałem.

– Puściła cię kantem. Rozumiem. Nie masz grosza, a ona nie jest z tych, co by mieszkały w takim śmierdzącym pensjonacie. Zeszła się z kimś innym, a ciebie zostawiła, żebyś pilnował dziecka. Jesteś „nianią”, jak mówią Anglicy. To prawdziwy szlagier. A po co ta czarna opaska?

– Tu jestem wdowcem.

– Jesteś oszustem – powiedział Cantabile. – To mi się nawet podoba.

– Nie umiałem wymyślić nic innego.

– Nie wydam cię. Uważam, że to wspaniałe. Nie mogę zrozumieć, jak ty się pakujesz w tego rodzaju sytuacje. Jesteś superinteligentny, masz nieprzeciętny mózg, jesteś przyjacielem poetów, sam kimś w rodzaju poety. Ale udawanie wdowca w takiej norze to kawał na maksimum dwa dni, a ty siedzisz tu już dwa miesiące i tego właśnie nie rozumiem. Jesteś przecież bardzo ruchliwy. Kiedyśmy łazili po tych pomostach na wieżowcu, w silnym wietrze, na wysokości sześćdziesięciu pięt – to było coś, pamiętasz? Słowo daję, nie byłem pewien, czy ci starczy odwagi.

– Byłem zastraszony.

– Bardzo dobrze wszedłeś w rolę. Ale chcę ci powiedzieć coś trochę ważniejszego. Ty i ten poeta Fleisher byliście naprawdę doskonałą spólką.

– Kiedy wyszedłeś z więzienia?

– Chyba żartujesz? A kiedy ja byłem w więzieniu? W ogóle nie znasz swojego rodzinnego miasta. Każda mała Polka w dniu bierzmowania wie więcej niż ty ze wszystkimi twoimi książkami i nagrodami.

– Miałeś sprytnego adwokata.

– Kary przestają być modne. Sądy ich nie uznają. Sędziowie zrozumieli, że żaden realnie myślący, zdrowy na umyśle człowiek nie porusza się po Chicago bez ochrony.

No tak, to był cały on. Zjawił się niczym nawałnica, jak gdyby tylny wiatr, który popychał jego odrzutowiec, przedostał się jakoś do jego wnętrza. Był podniecony, bujny, pozerski, otaczała go zwykła aura rozpasania, dziwaczných zagrożeń – ja to nazywałem ryzykanctwem.

– Właśnie przyleciałem z Paryża – powiedział – blady, czarnowłosy, uszczęśliwiony. Jego ryzykanckie oczy błyszczały pod brwiami w kształcie rękojeści sztyletu, nos był mięsisty i biały. – Znasz się na krawatach. Co myślisz o tym, kupiłem go na rue de Rivoli? – Ubrany był z oszałamiającą elegancją w garnitur z grubo tkanego diagonalu i czarne buty z jaszczurki. Śmiał się, jego policzki i skronie pulsowały nerwowo. Znał tylko dwa nastroje, śmiechu i gróźb.

– Trafiłeś do mnie przez Szathmara?

– Gdyby Szathmar mógł cię wpakować na wózek ręczny, sprzedawałby cię po kawałku na Maxwell Street.

– Szathmar to na swój sposób porządny facet. Od czasu do czasu mówię o nim z niechęcią, ale naprawdę przepadam za tym człowiekiem. Wymyśliłeś te bzdury o kleptomance.

– Tak, ale co z tego? To mogła być prawda. Nie, nie dostałem twojego adresu od niego. Lucy dostała go od wdowy po Humboldcie. Zatelefonowała do niej do Belgradu, żeby sprawdzić pewne dane. Już prawie skończyła swoją pracę doktorską.

– Jest bardzo wytrwała.

– Powinieneś przeczytać jej dysertację.

– Nigdy – powiedziałem.

– Dlaczego? – Nie obraził się. – Jest bardzo zdolna. Mógłbyś się nawet dowiedzieć czegoś ciekawego.

– Może mógłbym.

– Ale nie chcesz już dłużej słuchać o swoim kumplu, o to chodzi?

– Coś w tym rodzaju.

– Dlatego, że mu się nie udało... że nawalił? Taki wspaniały wesoły człowiek, taki utalentowany, i tak się wykończył, po prostu zasrany wykołajeniec, wariat i pasożyt, więc koniec z nim?

Nie odpowiedziałem. Nie miało sensu rozmawiać o takich rzeczach z Cantabilem.

– A co byś powiedział, gdybym cię poinformował, że twój przyjaciel Humboldt odniósł sukces z za grobu? Sam rozmawiałem z tą kobietą, Kathleen. Było kilka spraw, które musiałem z nią omówić, i pomyślałem, że mogłaby mi odpowiedzieć na to i na owo. Nawiasem mówiąc, ona cię naprawdę lubi. Masz w niej przyjaciela.

– Co to znaczy, ten sukces z za grobu? O czym z nią mówiłeś?

– O jednym scenariuszu filmowym. Tym, który opowiedziałeś Polly i mnie przed samym Bożym Narodzeniem w twoim mieszkaniu.

– Biegun Północny? Amundsen, Nobile i Caldofredo?

– Chodzi o Caldofreda. Tak, Caldofredo. Ty to pisałeś? Czy Humboldt? Czy obaj?

– Robiliśmy to razem. Takie idiotyczne żarty. W chwilach dobrego humoru, jaki miewaliśmy czasem. Bajeczki dla grzecznych dzieci.

– Posłuchaj, Charlie, musimy zawrzeć wstępną umowę, jakieś porozumienie. Ja już wziąłem na siebie pewną odpowiedzialność, włożyłem w to pieniądze i sporo wysiłku, porobiłem przygotowania. Należy mi się dziesięć procent, minimum.

– Jeszcze chwila i spytam, o czym ty u licha mówisz. Ale najpierw powiedz mi coś o Stronsonie. Co się z nim dzieje?

– Mniejsza o Stronsona. Zapomnij o Stronsonie. – I nagle Cantabile ryknął: – Pieprzyć Stronsona! – Usłyszano to chyba w całym *pensiön*. Jego głowa zatrzęsała się kilkakrotnie, jakby pod działaniem wibrującej sprężyny. Ale wkrótce się opanował, wyciągnął mankiety koszuli z rękawów marynarki i powiedział zupełnie innym tonem: – Och, Stronson. No cóż, w jego biurze była straszna awantura, urządzili ją ludzie, których wykiwał. Ale jego tam nawet nie było. Główne kłopoty Stronsona są chyba dla ciebie całkiem jasne. Stracił mnóstwo pieniędzy należących do mafii. Siedział u nich w kieszeni. Musiał robić wszystko, co mu kazali. No więc, jakiś miesiąc temu zgłosili się po swoją należność. Czytałeś o włamaniu u Fraxo w Chicago? Nie? Och, to był sensacyjny skok. I kto poleciał do Kostaryki z walizką, ogromną walizką pełną dolarów przeznaczonych na zamelinowanie?

– Złapali Stronsona?

– Władze w Kostaryce wpakowały go do więzienia. Teraz siedzi. Charlie, możesz naprawdę udowodnić, że ty i Von Humboldt Fleisher rzeczywiście napisaliście tę historię o Caldofreddo? O to pytałem Kathleen. Masz jakiś dowód?

– Tak sędzę.

– Ale chciałbyś wiedzieć dlaczego. To dlaczego jest trochę dziwne, ledwo uwierzysz. Jednak ty i ja musimy zawrzeć porozumienie, zanim ci wytłumaczę, o co chodzi. To dość skomplikowane. Ja się tym zająłem. Ułożyłem plan. Mam ludzi do pomocy. Naprawdę zrobiłem to wszystko głównie z przyjaźni. A teraz popatrz na to. Przygotowałem papierek i chcę, żebyś go podpisał. – Położył przede mną jakiś dokument. – Nie śpiesz się – dodał.

– To jest normalna umowa. Nie znoszę czytać takich rzeczy. Czego ty chcesz, Cantabile? W życiu nie przeczytałem żadnej umowy do końca.

– Ale podpisywałaś umowy, może nie? Setki umów, założę się. Więc podpisz i tę.

– Och, Boże! Cantabile, wróciłeś, żeby mnie znowu dręczyć. Tak już się dobrze czułem w Madrycie. Byłem już o tyle spokojniejszy. I silniejszy. Nagle ty się zjawiasz.

– Jak wpadasz w furję, Charlie, robisz się beznadziejny. Spróbuj wziąć się w garść. Na miłość boską, przecież zjawiam się, żeby ci oddać poważną przysługę. Nie ufasz mi?

– Von Humboldt Fleisher zadał mi kiedyś to samo pytanie, a ja powiedziałem: „Czy ufam Golfsztrömowi albo biegunowi południowemu, albo orbicie księżycy?”

– Charles (żeby mnie uspokoić, zwrócił się do mnie bardziej oficjalnie), po co się tak podniecać? Po pierwsze, to jest bardzo prosta transakcja. Mnie ona zapewnia coś w rodzaju normalnej prowizji agenta, dziesięć procent od twoich wpływów brutto do wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów, piętnaście procent od następnych dwudziestu pięciu tysięcy i dwadzieścia procent od pozostałej sumy, ale tylko do wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy. Więc nie mogę z tego wyciągnąć więcej niż dwadzieścia tysięcy, wszystko jedno, z której strony na to popatrzeć. Czy to taka olbrzymia fortuna? I robię to bardziej dla ciebie i dla odrobiny mocniejszych wrażeń, ty tumanie. Jakbyś miał dużo do stracenia! Pieprzona niańka do dzieci w hiszpańskim pensjonacie!

Przez ostatnie tygodnie byłem z dala od świata, patrzyłem nań ze znacznej wysokości i w dość dziwny sposób. Ten białonosy, piekielnie nerwowy, pragnący wszystkich przechytryć, gwałtowny jak huragan Cantabile sprowadził mnie na ziemię w stu procentach.

– Przez krótką chwilę byłem prawie zadowolony, że cię widzę, Rinaldo. Zawsze lubiłem ludzi, którzy wydają się wiedzieć, czego chcą, i zachowują się odważnie. Ale z prawdziwą radością oświadczam ci, że nie podpiszę żadnych papierów.

– Nawet ich nie przeczytasz?

– Na pewno nie.

– Gdybym był naprawdę taki zły, poszedłbym sobie i pozwolił ci przegapić kupę pieniędzy, ty durniu. No dobrze, zawrzyjmy ustną umowę. Ja ci dam cynk, jak masz zdobyć sto tysięcy dolarów. Kieruję całą transakcją, a ty przyrzekasz mi dziesięć procent.

– Ale dlaczego?

– Zdaje się, że nigdy nie czytasz „Time’a” ani „Newsweeka”, chyba że w poczekalni u dentysty. Ale idzie teraz rewelacyjny film, największy szlagier roku. Na Trzeciej Alei kolejka po bilety sięga do trzeciej przecznicy, to samo jest w Londynie i Paryżu. Wiesz, jak się nazywa ten szlagier? Nazywa się *Caldofreddo* i jest oparty na scenariuszu, któryście napisali z Humboldtem. Na pewno przyniesie miliony.

– I to jest to samo? Jesteś pewien?

– Poszliśmy z Polly na ten film w Nowym Jorku i oboje przypomnieliśmy sobie, co nam opowiadałeś w Chicago. Nie musisz mi wierzyć na słowo. Możesz to sam zobaczyć.

– Idzie teraz w Madrycie?

– Nie, będziesz musiał polecieć ze mną do Paryża.

– No cóż, Caldofreddo to imię; które nadaliśmy naszemu protagoniście, to się zgadza. Jeden z tych, co przeżyli katastrofę sterowca Umberta Nobilego na Arktyce, tak?

– Je ludzkie mięso! Zdemaskowany przez Rosjan jako kanibal! Wraca do swojej wioski na Sycylii! Sprzedawca lodów! Wszystkie dzieciaki w mieście go uwielbiają.

– Powiadasz, że ktoś zrobił coś z tych bredni?

Cantabile krzyknął:

– Kanciarze! Kanciarze! Kanciarze! Te kutasy po chamsku cię okradły! Zrobili film z twojego pomysłu. Jak w ogóle mogli się do tego dobrać?

– No cóż – powiedziałem – wiem tylko tyle, że Humboldt podał ogólny zarys scenariusza człowiekowi nazwiskiem Otto Klinsky. To było w gmachu RCA. Wyobrażał sobie, że przez krewną jakiejś sprzątaczkę, która była matką przyjaciółki żony Klinsky’ego, może dotrzeć do faceta, będącego fryzjerem sir Lawrence’a Oliviera. Czy rzeczywiście dotarli do Oliviera? On gra tę rolę?

– Nie, to jakiś inny Anglik, ktoś w typie Charlesa Laughtona albo Ustinova. Charlie, to fantastyczny film. Posłuchaj, Charlie, jeżeli potrafisz udowodnić swoje autorstwo, będziemy mieli tych facetów w ręku. Już im powiedziałem, że jestem gotów poderznąć im gardła. Mogę ich powiesić za jaja.

– Kiedy przychodzi do gróźb, mało kto ci dorówna – powiedziałem.

– A co myślisz, musiałem ich trochę przy dusić, nie chcę przecież długich korowodów w sądzie. Potrzebna nam szybka ugoda. Jakie masz dowody?

– Humboldt zrobił jedną rzecz – powiedziałem. – Wysłał listem poleconym kopię scenariusza na swój adres. Ta koperta nigdy nie została otwarta.

– Masz ją?

– Tak, znalazłem w papierach, które mi zostawił, razem z notatką wyjaśniającą wszystko.

– Dlaczego nie zastrzegł sobie praw autorskich?

– W takich przypadkach nie ma innego sposobu. Ale ta metoda jest całkowicie zgodna z prawem. Kto jak kto, ale Humboldt by wiedział. Miał zawsze więcej doradców prawnych niż Biały Dom.

– Te łobuzy z filmu nie mogły znaleźć dla mnie czasu. Teraz zobaczymy. Następne posunięcie będzie takie – powiedział. – Lecimy do Paryża...

– My?

– Daję ci zaliczkę na koszty.

– Aleja nie chcę jechać. W tej chwili nie powinienem być nawet tutaj. Po obiedzie na ogół siedzę w swoim pokoju.

– Po co? Tak po prostu siedzisz?

– Siedzę i zatapiam się w sobie.

– To jakiś cholerny egoizm.

– Przeciwnie, staram się widzieć i słyszeć świat zewnętrzny bez żadnego obciążenia od wewnątrz, jak puste naczynie, i w zupełnym milczeniu.

– I niby co ci to ma dać?

– Otóż zgodnie z moim podręcznikiem, jeżeli siedzisz wystarczająco spokojnie, wszystko w świecie zewnętrznym, każdy kwiat, każde zwierzę, każde działanie, wszystko to w końcu odsłoni przed tobą tajemnice, o jakich ci się nigdy nie śniło. To cytat.

Wpatrywał się we mnie swoimi rzykanckimi oczami spod brwi w kształcie sztyletów.

– Niech to diabli, nie zrobisz z siebie przecież jednego z tych transcendentalnych maniaków. To ci chyba nie sprawia przyjemności, po prostu tak sobie siedzisz i milczysz?

– To mi sprawia ogromną przyjemność.

– Jedź ze mną do Paryża.

– Rinaldo, ja nie chcę jechać do Paryża.

– Stawiasz opór w nieodpowiednich momentach i jesteś bierny w nieodpowiednich momentach. Wszystko jest u ciebie do góry nogami. Jedź ze mną do Paryża i obejrzyj ten film. Wszystko potrwa najwyżej dzień lub dwa. Możesz się zatrzymać w George V albo w Meurice. To bardzo wzmocni naszą pozycję. Wynajęłam dwóch dobrych adwokatów, jednego Francuza i jednego Amerykanina. Będziemy musieli otworzyć tę kopertę w ambasadzie amerykańskiej i mieć przy tym attaché handlowego i attaché wojskowego. No jazda, Charlie, pakuj walizkę. Za dwie godziny mamy samolot.

– Nie, chyba nie pojedę. To prawda, że nie mam pieniędzy, ale ostatnio lepiej mi jest bez pieniędzy niż wtedy, kiedy je miałem. I nie chcę zostawić dziecka.

– Nie zachowuj się jak stara babcia w stosunku do tego małego.

– Zresztą nie lubię Paryża.

– Nie lubisz Paryża? A co masz przeciwko Paryżowi?

– Jakieś uprzedzenie. Dla mnie Paryż to miasto widmo.

– Chyba zwariowałaś. Powinieneś zobaczyć tych ludzi w kolejkach na Champs-Elysees, jak czekają, żeby się dostać na *Caldofreddo*. Na twoje dzieło. To powinno dać ci poczucie jakiejś tajemnej mocy... być prawdziwym przeżyciem. Wiem, że masz żal do Francuzów, bo zrobili z ciebie lipnego kawalera orderu, a ty uznałeś to za obrażę. A może ich nienawidzisz z powodu Izraela? Albo za to, jak się zachowywali w czasie ostatniej wojny?

– Nie mów bzdur.

– Kiedy próbuję zgadnąć, co myślisz, muszę zacząć od bzdur. Inaczej trwałoby milion lat, zanim wykombinowałbym, dlaczego Paryż dla ciebie to miasto widmo. Czy starzy radni miejscy z Chicago przenosiliby się do miasta-widma, żeby tam wydawać forszę, jaką zarobili na łapówkach? Jazda, Charlie, dziś wieczorem będziemy jeść kaczkę w galarecie w Tour d'Argent.

– Nie, choruję po takim jedzeniu.

– Wobec tego daj mi ten materiał, a ja go zabiorę ze sobą. Tę kopertę, którą Humboldt nadał na swój adres.

– Nie, Cantabile, tego też nie zrobię.

– Dlaczego nie, u licha?

– Bo nie jesteś godny zaufania. Chociaż, co prawda, mam drugą kopię. To możesz dostać. I chętnie napiszę list. Uwierzytelniony notarialnie.

– To nie wystarczy.

– Jeżeli twoi znajomi chcą zobaczyć oryginał, mogą przyjechać do Madrytu.

– Flaki się we mnie przewracają – powiedział Cantabile. – Za chwilę zacznę łązić po suficie. – Rozwścieczony, patrzył na mnie z nienawiścią. Potem jeszcze raz spróbował drogi rozsądku. – Humboldt ma jakąś rodzinę, prawda? Pytałam Kathleen. Jest stary wuj na Coney Island.

Zapomniałem o Waldemarze Waldzie. Biedny staruszek, gnieździł się w kuchennych smrodach, w pokoju od podwórza. Trzeba go wybawić od tego przytułku, to pewne.

– Masz rację, jest wuj – powiedziałem.

– Co z jego częścią? Tylko dlatego, że ty masz jakiegoś bzika na punkcie Paryża? To wielki interes, Charlie.

– Tak, może jednak powinienem pojechać – odpowiedziałem.

– Teraz mówisz do rzeczy.

– Spakuję walizkę.

Więc poleciliśmy. Tego samego wieczoru byłem z Cantabilem na Champs-Elysees, czekaliśmy z biletami w ręku, żeby się dostać do dużego kina w pobliżu rue Marbeuf. Nawet jak na Paryż pogoda była fatalna. Padał deszcz ze śniegiem. Czułem, że jestem za lekko ubrany i nagle uświadomiłem sobie, że podeszwy moich butów

są zdarte i nogi mam przemoczone. W kolejce był straszny ścisk, młodzi ludzie w tym tłoku zachowywali się bardzo wesoło, ale Cantabile i ja byliśmy poirytowani. Zapieczętowana koperta Humboldta została zamknięta w hotelowym sejfie i ja miałem numerka od niego. Rinaldo sprzeczał się ze mną, kto ma przechować ten mosiężny krążek. Chciał go mieć w swojej kieszeni jako dowód, że jest moim prawdziwym przedstawicielem.

– Daj mi go – powiedział.

– Nie. Dlaczego miałbym ci dać?

– Bo to naturalne, że powinienem go pilnować. Jestem od takich rzeczy.

– Ja go popilnuję.

– Wyciągniesz chusteczkę i zgubisz numerka – powiedział. – Ty przecież nie wiesz, co robisz. Jesteś roztargniony.

– Zatrzymam numerka.

– Z tą umową też się upierałeś. Nawet nie chciałeś jej przeczytać – złościł się Cantabile.

Kawałki lodu były o mój kapelusz i ramiona. Bardzo mi przeszkadzał dym francuskich papierosów. Nad nami, w świetle reflektorów, widniały kolosalne plakaty z Otwayem w roli Caldofredda i włoskiej aktorki, Silvii Sottotutti, czy coś w tym rodzaju, która grała jego córkę. Cantabile miał w pewnym sensie słusność: było istotnie ciekawym przeżyciem stanowić nierozpoznane źródło tej publicznej atrakcji i stać tak w zimnym deszczu – człowiek czuł się jak widmo. Po dwóch miesiącach właściwie zupełnej izolacji w Madrycie przebywanie tutaj, we mgle i blasku Champs-Elysees, pod lodowatym gradem, dawało mi uczucie jakby powrotu do dawnego nałogu. Na lotnisku w Madrycie kupiłem egzemplarz *Dzienników poufnych* Baudelaire'a, żeby je poczytać w samolocie i odizolować się od szaleńczej gadaniny Cantabilego. U Baudelaire'a znalazłem następującą ciekawą radę: ilekroć otrzymasz list od wierzyciela, napisz pięćdziesiąt wersów na jakiś pozaziemski temat, a będziesz ocalony. Stąd płynie wniosek, że *vie quotidienne* odrywa nas od globu, ale był też i głębszy wniosek, a mianowicie, że prawdziwe życie płynie między tu i tam. Prawdziwe życie jest pewnym stosunkiem między tu i tam. Cantabile, w tysiącu procentach tu, był potwierdzeniem tego. Rozrabiał bez przerwy. Gorączkował się z powodu numerka od sejfu. Kłócił się z *ouvreuse*, która zaprowadziła nas na nasze miejsca. Rozwścieczył ją zbyt małym napiwkami. Wzięła go za rękę i z głośnym klaśnięciem wcisnęła mu monetę do dłoni.

– Ty jędo! – wrzasnął i chciał pognać za nią między krzesłami.

Złapałem go za ramię i powiedziałem:

– Spokojnie.

I znów byłem częścią francuskiej widowni. W kwietniu Renata i ja oglądaliśmy film w tym samym kinie. Ściśle mówiąc, w 1955 roku mieszkałem w Paryżu. Szybko przekonałem się, że to nie miejsce dla mnie. Potrzeba mi trochę więcej ciepła ze strony ludzi, niż cudzoziemiec może go tu otrzymać, a poza tym cierpiałem jeszcze wtedy po śmierci Demmie. Jednakże nie było już czasu na myślenie o takich rzeczach. Zaczynał się film. Cantabile powiedział:

– Pogrzeb w kieszeni. Sprawdź, czy masz jeszcze ten numerka. Jeżeli go zgubiłeś, wszystko na nic.

– Jest, jest. Spokojnie, chłopcze – powiedziałem.

– Daj mi go. Niech mam przyjemność z tego filmu – poprosił. Nie zwróciłem na to uwagi.

A potem wśród potężnych huków muzyki, potoczyła się akcja filmu. Zaczynała się seria ujęć z lat dwudziestych, utrzymanych w stylu dawnych kronik – pierwszy podbój bieguna północnego, dokonany przez Amundsen i Umberta Nobilego, którzy polecili sterowcem ze Skandynawii na Alaskę. Grali to świetni komicy, bardzo wystylizowani. Byłem zachwycony. Zobaczyliśmy papieża, który błogosławił wyprawę, a także Mussoliniego, jak peroruje ze swojego balkonu. W rywalizacji między Amundsenem i Nobilem było coraz więcej wrogości. Kiedy mała dziewczynka wręczała Amundsenowi bukiet kwiatów, Nobile sprzątnął mu go sprzed nosa; Amundsen wydawał rozkazy, Nobile je odwoływał. Na pokładzie sterowca Norwegowie kłócili się z Włochami. Stopniowo, jakby na tle tych wydarzeń, przedstawionych w stylu audycji „Czas kroczy naprzód”, odkrywaliśmy obecność starego pana Caldofredda, przebywającego teraz w swojej starej wiosce na Sycylii. Te przebłyski wspomnień nakładały się na codzienne bytowanie owego sympatycznego starszego pana, sprzedawcy lodów, którego uwielbiają wszystkie maluchy, czulego ojca Sylvii Sottotutti. W młodości Caldofreddo odbył wraz z Nobilem dwa loty polarne. Trzeci, pod wyłącznym dowództwem Nobilego,

zakończył się katastrofą. Sterowiec runął na morza Arktyki. Załoga rozproszyła się na pływającej krze. Otrzymałszy sygnały radiowe od rozbitków, rosyjski lodolamacz *Krasin* przybył na ratunek. Depeszę z wiadomością o katastrofie doręczono Amundsenowi w momencie, kiedy tego popijał na jakimś bankiecie – według Humboldta, który miał prywatne informacje o wszystkim, ten człowiek zawsze pił jak smok. Natychmiast obwieścił, że organizuje ekspedycję ratunkową. Wszystko było dokładnie tak, jak naszkicowaliśmy to sobie w Princeton przed wielu laty. Amundsen wynajął samolot. Miał ostrą sprzeczkę ze swoim francuskim pilotem, który uprzedzał, że samolot jest niebezpiecznie przeciążony. Mimo to kazał mu startować. Spadli do morza. Byłem wstrząśnięty, widząc niesamowity efekt komediowej interpretacji tej katastrofy. Przypomniałem sobie, że Humboldt i ja mieliśmy w tej sprawie różne zdania. On upierał się, że to ma być niesłychanie zabawne. I było. Samolot utonął. Tysiące ludzi wybuchnęło śmiechem. Ciekawe, jak by mu się to podobało?

Następna część filmu była cała moja. To ja zebrałem dokumentację i napisałem sceny, w których wyratowany Caldofredo szaleje na pokładzie *Krasina*. Grzech kanibalizmu okazał się zbyt ciężkim brzemieniem. Ku zdumieniu rosyjskiej załogi opanowała go mordercza furia, wyrzaskiwał niezrozumiałe słowa. Wielkim nożem pociął stół, próbował pić wrzątek, całym ciałem rzucał się na ściany. Marynarze siłą obalili go na ziemię. Podejrzliwy lekarz okrętowy zrobił mu pompowanie żołądka i znalazł pod mikroskopem ludzką tkankę. Dodałem także wściekłość Mussoliniego po otrzymaniu tej wiadomości i spokój Calvina Coolidge'a, który właśnie kładł się w Białym Domu do łóżka na swoją codzienną sjęstę. Na wszystko to patrzyłem w stanie uniesienia. Moje! To wszystko zrodziło się w mojej głowie, w Princeton w stanie New Jersey, przed dwudziestu laty. Nie było to wielkie osiągnięcie. Nie biło w dzwony w dalekim wszechświecie. Nie zdołało zaradzić brutalności, nieludzkości, niewiele wyjaśniło, niczemu nie zapobiegło. Niemniej jednak, coś w tym filmie było. Podobał się setkom tysięcy, milionom widzów. Oczywiście był świetnie reżyserowany, a George Otway jako Caldofredo stworzył znakomitą kreację. Ten Otway, trzydziestokilkuletni Anglik, był bardzo podobny do Humboldta. W momencie, kiedy miotał się między ścianami kabiny, jak to robiły kiedyś na moich oczach oszalałe małpy w ogrodzie zoologicznym, grzmocąc ciałem o cienkie przegrody z rozdzierającą serce, szaleńczą brawurą, mój mózg przeszła myśl o tym, jak Humboldt bił się z policjantami, kiedy go zabierali do Bellevue. Ach, ta nieszczęsna postać, ten biedny, walczący, oszalały, płaczący, piekający się Humboldt. Jego kwiaty więdły już w zarodku. Barwy nigdy nie ujrzały światła, gniły w jego piersi. A podobieństwo między Otwayem w tej kabine i Humboldtem było tak niesamowite, że zacząłem płakać. Podczas gdy całe kino szalało z zachwytu i zanosilo się od śmiechu, ja głośno szlochałem. Cantabile szepnął mi do ucha:

– Ale film, co? Nie mówiłem? Nawet ty pękasz ze śmiechu.

Tak, a teraz Humboldt leżał gdzieś w grobie, jego dusza przebywała w jakiejś innej części wszechświata, tam gdzie dusze czekają na strawę, którą jedynie my, żyjący, możemy im przesłać z ziemi, tak jak wysyłamy zboże do Bangladeszu. Biada nam, których się rodzą miliony, miliardy, jak bąbelki w musującym napoju. Przelotnym, zamglonym, obejmującym cały świat spojrzeniem ogarnąłem żywych i umarłych, ludzkość albo zanoszącą się od śmiechu, gdy sceny z komedii o kanibalizmie rozgrywały się na ekranie, albo ginącą w wielkim potopie śmierci, w płomieniach i męczarniach bitew, na głodujących kontynentach. A potem miałem bardziej osobistą wizję lotu na ślepo w ciemnościach, a następnie przelatywania nad jakąś metropolią. Połyskiwała na ziemi jakby zlodowaciałymi kroplami, daleko w dole. Próbowałem odgadnąć, czy lądujemy, czy lecimy dalej. Polecieliśmy dalej.

– Trzymają się waszego scenariusza? Korzystają z niego? – spytał Cantabile.

– Tak. Robią to bardzo dobrze. Dodali mnóstwo własnych pomysłów – odpowiedziałem.

– Nie bądź taki wspaniałomyślny. Chcę, żebyś jutro był w bojowym nastroju.

Powiedziałem Cantabilemu:

– Rosjanie udowodnili swoją tezę, zgodną z oświadczeniem lekarskim, nie tylko przez pompowanie żołądka, ale i przez zbadanie wydzielin tego człowieka. Stolec głodujących jest twardy i suchy. On twierdził, że nic nie jadł. Ale było jasne, że opuścił niewiele posiłków na tej krze.

Akcja przeniosła się do małego sycylijskiego miasteczka, gdzie nikt nie wiedział o grzechu Caldofreda; był tam po prostu wesołym starym człowiekiem, który sprzedaje lody i gra w wiejskiej orkiestrze. Kiedy przysłuchiwałem się jego Hukaniu, czułem, że jest coś doniosłego z kontraście między tymi cichutkimi arpedżiami i straszliwą współczesną złożonością jego sytuacji. Szczęśliwy ów, kto nie ma więcej do powiedzenia lub zagrania niż te łatwe melodyjki. Czy są jeszcze tacy ludzie? Kiedy Otway dał w trąbkę,

przykro też było patrzeć na twarz tak bardzo podobną do twarzy Humboldta. I odkąd Humboldt wdarł się do filmu, szukałem tam również siebie. Wydawało mi się, że coś z mojego charakteru można by dostrzec w córce Caldofredda, granej przez Silvię Sottotutti. Była w niej jakby bolesna gotowość, czy też radosny niepokój, które, jak mi się zdawało, ja też posiadałem. Nie bardzo podobał mi się męczyzna grający rolę jej narzeczonego – te jego krótkie nogi, kwadratowa szczeka, płaska twarz i za niskie czoło. Możliwe, że utożsamiałem go z Flonzaleyem. Kiedyś, na wystawie mebli, siedł za nami jakiś męczyzna i był to chyba Flonzaley. Wymieniali znaki z Renatą... Nawiasem mówiąc, wyobrażałem sobie, że Renata w charakterze pani Flonzaley będzie miała dość ograniczone życie towarzyskie w Chicago. Przedsiębiorcy pogrzebowi nie są chyba zbyt pożądanymi gośćmi dla kogokolwiek – z wyjątkiem innych przedsiębiorców pogrzebowych. Żeby się uwolnić od tej profesjonalnej klątwy, będzie musiała mnóstwo z nim podróżować, i nawet na wycieczce na Morzu Karaibskim, siedząc przy kapitańskim stole, będą musieli modlić się i mieć w Bogu nadzieję, że nie zjawi się ktoś z ich rodzinnego miasta, kto zapyta: „Czy pan jest przypadkiem ten Flonzaley z Zakładu Pogrzebowego Flonzaleya?” Tak więc szczęście Renaty będzie nieco nadwreżone, podobnie jak wspaniałość sycylijskiego nieba była dla Caldofredda skażona przez jego złowieszczy uczynek na Arktyce. Wyczuwałem to nawet w jego grze na trąbce. Pomyślałem, że ta trąbka ma jedną klapkę, która naciśnięta godzi prosto w serce tego człowieka.

Do miasteczka przyjechał teraz skandynawski dziennikarz zbierający materiały do książki o Amundsenie i Nobilem. Wytropił biednego Caldofredda i zaczął go molestować. Stary mówił: „Trafił pan do nie tego faceta. To nie byłem ja”. „Nie, to właśnie pan”, mówił dziennikarz. Był to jeden z tych wyzwolonych ludzi z Europy Północnej, którzy wygnali wstyd i mrok ze swoich serc, doskonale obsadzona rola. Dwaj mężczyźni odbyli rozmowę na zboczu góry. Caldofreddo błagał dziennikarza, żeby odszedł i zostawił go w spokoju. Kiedy ten odmówił, Caldofreddo dostał ataku podobnego do tego, jaki miał na pokładzie *Krasina*. Ale tym razem po czterdziestu latach, było to szaleństwo starca. Miało w sobie siłę i niegodziwość raczej duszy niż ciała. W tym napadzie błagalnej wściekłości, słabości i demonicznej rozpaczki Otway był po prostu niezwykły.

– Tak było w waszym scenariuszu? – zapytał Cantabile.

– Mniej więcej.

– Daj mi ten numer – powiedział. Wpakował mi rękę do kieszeni. Zorientowałem się, że natchnął go do tego atak Caldofredda. Był tak podniecony, że stracił głowę. Bardziej, żeby się bronić, niż żeby zachować krążek, schwyciłem go za ramię.

– Wyjmij rękę z mojej kieszeni, Cantabile.

– Muszę go pilnować. Ty jesteś nieodpowiedzialny. Facet, którego baba wodzi za nos. Niespełna rozumu.

Szamotaliśmy się całkiem jawnie. Nie widziałem, co robi maniak na ekranie, bo ten drugi maniak skoczył na mnie. Jak mówiła jedna z moich powag naukowych, różnica między „rozkazać” i „przekonać” jest różnicą między demokracją i dyktaturą. Oto był człowiek, który szalał, bo nigdy nie musiał o niczym siebie przekonywać! Nagle sam fakt, że o tym pomyślałem, przepełnił mnie podobną rozpaczką, jak konieczność odpierania ataków Cantabilego. To myślenie robi ze mnie kretyna. Tak było, kiedy Cantabile groził mu kijami do baseballu, a ja myślałem o wilkach Lorenza i ciernikach, albo kiedy wepchnął mnie siłą do toalety, a ja myślałem... Wszystkie okazje były tłumaczone na myśli, a wszystkie myśli zwracały się przeciwko mnie. Umrę od tych intelektualnych igraszek. Ludzie za nami zaczęli wykrzykiwać: *Dispute! Bagarre! Emmerdeurs!* Wrzeszczeli: *Dehors...!* albo *Flanquez les a la porte!*

– Wołają wykidajkę, ty idioto! – powiedziałem.

Cantabile wyjął rękę z mojej kieszeni i znowu skupiliśmy uwagę na filmie, właśnie w porę, żeby zobaczyć, jak wielki głąz, obluźowany przez Caldofredda, toczy się w dół po zboczu w stronę dziennikarza siedzącego w swoim volvo, podczas gdy starzec, przerażony tym, co zrobił, ostrzega go krzykiem, a potem pada na kolana i dziękuje Najświętszej Pani, kiedy skandynawski gość unika śmierci. Po tej próbie zabójstwa Caldofreddo odbył publiczną spowiedź na wiejskim rynku. Wreszcie sąd przysięgłych, złożony z mieszkańców miasteczka, rozpatruje jego sprawę w ruinach greckiego teatru na zboczu sycylijskiego wzgórza. Kończyło się to wszystko chóralną sceną przebaczenia i pojednania – dokładnie tak, jak Humboldt, który myślał o *Edypie w Kolonie*, byłby sobie życzył.

Kiedy zapaliły się światła i Cantabile poszedł do najbliższego przejścia między krzesłami, ja wyszedłem przez najdalsze. Dogonił mnie na Champs-Elysees i powiedział:

– Nie gniewaj się, Charlie. Ja jestem pies takiej rasy, że zawsze muszę pilnować różnych rzeczy, jak tego numerka od sejfu. A jak ci dadzą po łbie i obrabują? Nikt wtedy nie będzie nawet wiedział, w której skrytce jest ta koperta. Przecież jutro przychodzi pięć osób, żeby obejrzeć dowody. Masz rację, jestem przewrażliwiony. Chcę tylko, żeby wszystko grało. A ty tak dostałeś w skórę od tej dziwki, że jesteś sto razy bardziej stuknięty niż kiedykolwiek w Chicago. To miałem na myśli, jak mówiłem, że baba cię wodzi za nos. No, a teraz, dlaczego nie mielibyśmy sobie poszukać dwóch francuskich kurewek? Ja płacę. Podbuduj trochę swoje ego.

– Idę spać.

– Próbuję ci wszystko wynagrodzić. Wiem, że komuś takiemu jak ty niełatwo przychodzi dzielić tę ziemię z takimi wariatami jak ja. No, chodźmy się czegoś napić. Cały jesteś nastroszony i zdenerwowany.

Ale właściwie nie byłem ani trochę zdenerwowany. Ciężki, wypełniony dzień, nawet wypełniony bzdurami, uwalnia mnie od poczucia nie spełnionego obowiązku, zadowala moje sumienie. Po czterech kieliszkach calvadosu w barze hotelowym poszedłem do łóżka i spałem doskonale.

Rano spotkaliśmy się z *maitre* Furetem i amerykańskim adwokatem, straszliwie agresywnym człowiekiem, który nazywał się Barbash; był to dokładnie taki typ prawnika, jakiego mógł wybrać Cantabile. Cantabile promieniał. Obiecał przecież dostarczyć mi dowody – teraz zrozumiałem, dlaczego wpadł w taki szal z powodu tego numerka – i oto zjawiliśmy się zgodnie z umową i wszystko było doskonale skoordynowane. Producenci *Caldofreddo* wiedzieli, że niejaki Charles Citrine, autor granej na Broadwayu sztuki *Von Trenck*, później przerobionej na szlagier filmowy, twierdzi, że od niego pochodzi oryginalny pomysł, na którym został oparty ich światowy przebój. Na spotkanie z nami przysłali dwóch facetów z dyplomami harwardzkiego wydziału ekonomii. Biedny Stronson, siedzący w więzieniu w Miami, był o całe mile od tego ideału. Ci dwaj schludni, ładnie się wysławiający, wykształceni, umiarkowani, zupełnie łysi, niezwykle stanowczy ludzie czekali w kancelarii Barbasha.

– Czy panowie mają pełnomocnictwa do załatwienia sprawy? – spytał ich Barbash.

– Ostatnie słowo będzie należało do naszych szefów.

– Więc sprowadźcie swoich szefów, tych z forszą. Żadnego marnowania czasu! – zawołał Cantabile.

– Spokojnie, tylko spokojnie – powiedział Barbash.

– Citrine jest sto razy ważniejszy od waszych zafajdanych szefów! – wrzasnął Cantabile. – To człowiek wybitny w swojej dziedzinie, *chevalier* Legii Honorowej, przyjaciel nieboszczyka prezydenta Kennedy’ego i nieboszczyka senatora Kennedyego, a nieboszczyk Von Humboldt Fleisher, ten poeta, był jego kumplem i współpracownikiem. Nie opowiadajcie mi tu bzdur! Citrine jest zajęty, ma ważne sprawy w Madrycie. Jeżeli on mógł znaleźć czas, żeby tu przyjechać, to ci wasi forsiaści szefowie też mogą. On tu nie będzie grał ważnego. Ja to za niego zrobię. Załatwajcie sprawę jak należy albo zobaczymy się w sądzie.

Wypowiedzenie tej pogroźki przyniosło mu jakąś cudowną ulgę. Jego wargi (nieczęsto milczące) wydłużyły się w niemy uśmiechu, kiedy jeden z młodych ludzi powiedział:

– Wszyscy słyszeliśmy o panu Citrine.

Rozmowę pokierował teraz Barbash. Jego główny problem polegał, rzecz jasna na tym, żeby poskromić Cantabilego.

– Oto fakty. Pan Citrine i jego przyjaciel, pan Fleisher, napisali szkic scenariusza tego filmu jeszcze w roku 1952. Możemy to udowodnić. Pan Fleisher przesłał kopię scenariusza na swój adres w styczniu 1960 r. Dowód znajduje się tutaj, w tej zaklejonej kopercie, na której jest stempel pocztowy i potwierdzenie nadania.

– Chodźmy do ambasady amerykańskiej i odtwórzmy to przy świadkach – powiedział Cantabile. – I niech ci wasi szefowie też przytaszczą swoje tyłki na Place de la Concorde.

– Czy pan widział film *Caldofreddo*? – zwrócił się do mnie Barbash.

– Tak, wczoraj wieczorem. Doskonała rola Otwaya.

– I czy ten film jest podobny do oryginalnego opowiadania pana i pana Fleishera?

Teraz dopiero zauważyłem, że w rogu pokoju siedzi przy trójnogu stenotypistka, która protokołuje rozmowę. Cienie sali sądowej Urbanovicha! Citrine jako świadek.

– Ten film nie mógł mieć żadnego innego źródła – powiedziałem.

– Więc skąd te typy wzięły pomysł? Ukradli go – przerwał Cantabile. – Mogą być oskarżeni o plagiat.

Kiedy koperta przechodziła z rąk do rąk i każdy ją oglądał, poczułem ostry ból w kiszkiach. A jeżeli roztargniony, szalony Humboldt wypchał kopertę listami, starymi rachunkami, pięćdziesięcioma wierszami na jakiś pozaziemski temat?

– Czy panowie są pewni, że ta koperta jest nie otwierana, oryginalna? – spytał *maitre* Furet. – To będzie przedmiotem zaprzysiężonego zeznania.

Harvardzcy handlowcy zgodzili się, że koperta jest bezwzględnie autentyczna. Potem ją rozcięto: zawierała rękopis zatytułowany:

„Oryginalny scenariusz filmowy. Współautorzy: Charles Citrine i Von Humboldt Fleisher”. Kiedy poszczególne kartki zaczęły wędrować z rąk do rąk, odetchnąłem z ulgą. Rzecz została udowodniona. Nie było żadnej wątpliwości, że rękopis jest autentyczny. Scena po scenie, ujęcie po ujęciu, film szedł za naszym scenariuszem. Barbash złożył wyczerpujące i szczegółowe oświadczenie do protokołu. Przedtem otrzymał kopię scenopisu. Nie było niemal żadnych odchyień od naszego wątku.

Humboldt, niech Bóg ma go w swojej opiece, tym razem załatwił wszystko jak należy.

– To rzecz w pełni oryginalna – powiedział Barbash. – Bezspornie autentyczna. Domyślam się, że panowie są ubezpieczeni na wypadek tego rodzaju roszczeń?

– A co to nas obchodzi? – krzyknął Cantabile.

Oczywiście była polisa ubezpieczeniowa.

– Nie wydaje mi się, żeby nasi scenarzyści wspominali kiedykolwiek o jakiejś oryginalnej noweli filmowej – zauważył jeden z młodych ludzi.

Tylko Cantabile wciąż się awantuował. Wbił sobie do głowy, że wszyscy powinni być podnieceni. Ale dla ludzi interesu była to po prostu jeszcze jedna sprawa. Nigdy bym nie oczekiwał takiego spokoju i dobrych manier. Panowie Furet, Barbash i absolwenci Harvardu uznali zgodnie, że należy uniknąć długich i kosztownych procesów.

– A co ze współautorem pana Citrine’a?

Więc nazwisko Von Humboldt Fleisher tylko tyle znaczyło dla ludzi, którzy są absolwentami jednego z naszych wielkich uniwersytetów!

– Umarł! – powiedziałem. Ale tylko w moich uszach to słowo rozbrzmiało echem uczucia.

– Są jacyś spadkobiercy?

– Wiem o jednym.

– Przekażemy sprawę naszym szefom. O jakiej sumie panowie myślą?

– O dużej – powiedział Cantabile. – O procencie od waszych wpływów brutto.

– Uważam, że mamy prawo prosić o zestawienie dochodów – dowodził Barbash.

– Pomówmy bardziej realistycznie. To będzie traktowane głównie jako żądanie odszkodowania za pomniejsze straty moralne.

– Pomniejsze straty? Chodzi o cały film – krzyknął Cantabile. – Możemy zniszczyć was wszystkich!

– Troszkę spokojniej, panie Cantabile, bardzo proszę. Nasze roszczenia są bardzo poważne – powiedział Barbash. – Chcielibyśmy usłyszeć, co panowie powiedzą po głębszym namyśle.

– Czy można liczyć na zainteresowanie pomysłem na scenariusz, pochodzącym z tego samego źródła? – wtrąciłem.

– A jest taki pomysł? – zapytał jeden z harwardczyków. Mówił gładko, nie był zaskoczony. Podziwiałem jego znakomitą tresurę. Takiego człowieka nie sposób przyłapać na błędzie.

– Czy jest? Właśnie pan słyszał. My to panu mówimy – powiedział Cantabile.

– Mam tu drugą zaklejoną kopertę – ciągnąłem – która zawiera inny oryginalny pomysł na film. Pan Cantabile, nawiasem mówiąc, nie ma z tym nic wspólnego. Nawet nie słyszał o istnieniu tego scenariusza. Jego udział ogranicza się do *Caldofredda*.

– Miejmy nadzieję, że wiesz, co robisz – powiedział Ronald, bardzo zły.

Tym razem wiedziałem doskonale.

– Chcę poprosić pana Barbasha i *maître* Fureta, żeby mnie reprezentowali także i w tej sprawie.

– Nas reprezentowali! – powiedział Cantabile.

– Mnie – powtórzyłem.

– Pana, oczywiście – rzucił pospiesznie Barbash.

Nie na darmo traciłem całe wory pieniędzy. Wreszcie opanowałem handlowy żargon. A ponadto, jak kiedyś zauważył Juliusz, byłem z urodzenia Citrine'em.

– Ta zaklejoną koperta zawiera zarys fabuły, wywodzący się z tego samego mózgu, w którym został poczęty *Caldofreddo*. Może by panowie spytali ludzi, których reprezentujecie, czy nie zechcą na to popatrzeć. Moja cena za popatrzenie – tylko za popatrzenie, proszę pamiętać, wynosi pięć tysięcy dolarów.

– Właśnie tyle żądamy – powiedział Cantabile.

Ale nikt nie zwrócił na niego uwagi. Za to ja czułem się panem sytuacji. Więc tak wyglądał biznes. Juliusz, jak już wspominałem, zawsze starał się mnie nakłonić do uznania, że istnieje coś, co nazywał romantyzmem biznesu. I to był ów słynny romantyzm biznesu? Przecież w tym nie ma nic prócz rozpychania się łokciami, szybkości, bezczelności. Uczucie, że się postawiło na swoim, było czymś płytkim. W porównaniu z satysfakcją, jaką dawała kontemplacja kwiatów czy coś naprawdę poważnego – na przykład próby nawiązania kontaktu ze zmarłymi – było niczym, absolutnie niczym.

Paryż nie wyglądał zbyt atrakcyjnie, kiedyśmy szli z Cantabilem wzdłuż Sekwany. Cały brzeg był teraz superautostradą. Woda przypominała stare lekarstwo.

– No co, zrobiłem ich na szaro, może nie? Obiecałem, że zarobię dla ciebie dużo forsy. Co tam teraz twój mercedes? Małe piwo. Żądam dwudziestu procent.

– Zgodziliśmy się na dziesięć.

– Dziesięć, jeżeli mnie dopuścisz do tego drugiego scenariusza. Myślałeś, że go ukryjesz przede mną, co?

– Napiszę do Barbasha, że masz dostać dziesięć procent. Za *Caldofredda*.

– Jesteś niewdzięczny – powiedział. – Nie czytasz gazet, ty pało, i gdyby nie ja, cała rzecz przeszłaby ci koło nosa. Zupełnie jak ta historia z Thaxterem.

– Jaka historia z Thaxterem?

– A widzisz? W ogóle nic nie wiesz. Nie chciałem ci mówić o Thaxterze, żeby cię nie denerwować przed negocjacjami. Nie wiesz, co się stało z Thaxterem? Porwali go w Argentynie.

– Nieprawda! Kto, terroryści? Ale dlaczego? Dlaczego Thaxtera? Czy mu coś zrobili?

– Ameryka powinna dziękować Bogu za swoich gangsterów. Mafia przynajmniej ma jakiś sens. Te rozpolitykowane typy porywają i mordują ludzi w całej Ameryce Południowej bez ładu i składu. Skąd mam wiedzieć, dlaczego wybrali właśnie jego?

Musiał się zachowywać jak ważna figura. Pozwolili mu wysłać jeden list, wymienił w nim twoje nazwisko. Nawet nie wiedziałeś, że jesteś w całej prasie światowej.

– Co napisał?

– Zwrócił się o pomoc do światowej sławy historyka i dramaturga Charlesa Citrine'a. Oświadczył, że on za niego poręczy.

– Ci ludzie nie wiedzą, co robią. Mam nadzieję, że nie skrzywdzą Thaxtera.

– Będą wściekli jak diabli, kiedy się dowiedzą, że to hochsztapler.

– Nie rozumiem. Kogo udawał? Za kogo go wzięli?

– Oni tam w tych krajach mają sieczkę w głowie – powiedział Cantabile.

– Ach, mój stary przyjaciel, profesor Durnwald, ma prawdopodobnie słuszość, kiedy twierdzi, że byłoby dobrze odciąć północną półkulę na przesmyku i pozwolić południowej części gdzie odpłynąć. Tylko, że teraz to dotyczy tyłu części kuli ziemskiej.

– Charles, im większą prowizję mi zapłacisz, tym mniej ci zostanie dla tych terrorystów.

– Mnie? Dlaczego mnie?

– Och, to będziesz ty, szkoda gadać.

* * *

Myśl o uwięzieniu Thaxtera przez terrorystów była dla mnie udręką. Serce mi się krajało, kiedy wyobrażałem go sobie zamkniętego w celi ze szczurami, śmiertelnie lękającego się tortur. Uważałem, że jest mimo wszystko człowiekiem raczej nieszkodliwym. To prawda, że nie był absolutnie bez zarzutu, ale większość jego win polegała po prostu na szaleństwie. Niespokojny, szukający możliwości działania, znalazł się nagle wśród jeszcze groźniejszych, bardziej obłąkanych osobników, którzy odcinali ludziom uszy i instalowali bomby w skrzynkach pocztowych albo uprowadzali odrzutowce i masakrowali pasażerów. Ostatnim razem, kiedy zadałem sobie trud przeczytania gazety, zwróciłem uwagę, że jakieś towarzystwo naftowe po zapłaceniu okupu w wysokości dziesięciu milionów dolarów nadal nie mogło uzyskać od argentyńskich porwaczy zwolnienia jednego ze swoich dyrektorów.

Tego samego popołudnia napisałem z hotelu do Carla Stewarta, który był wydawcą Thaxtera: „Dowiaduję się, że Pierre został uprowadzony i że w swoim apelu o pomoc wymienił moje nazwisko. Cóż, oczywiście oddam wszystko, co posiadam, dla uratowania mu życia. Na swój sposób – wyłącznie swój sposób – jest to cudowny człowiek i naprawdę go kocham; dochowuję mu przyjaźni od ponad dwudziestu lat. Domyślam się, że jest pan w kontakcie z departamentem stanu i ambasadą amerykańską w Buenos Aires. Chociaż pisywałem na tematy polityczne, nie mam nic wspólnego z polityką. Sformułuję to tak: przez czterdzieści lat w chwilach najgorszych kryzysów cywilizacji, pilnie czytałem gazety i to pilne czytanie nie przyniosło nikomu korzyści. Nie zapobiegło niczemu. Stopniowo zaprzestałem czytania wiadomości. Dziś jednak wydaje mi się, a mówię to jako beznamiętny obserwator, że między dyplomacją kanonierek na jednym krańcu a uleganiem aktom piractwa na drugim powinno być w środku jakieś miejsce dla wielkiego mocarstwa. Pod tym względem gnuśność Stanów Zjednoczonych jest przygnębiająca. Czyżbyśmy dopiero teraz zaczęli wyciągać wnioski z pierwszej wojny światowej? Sarajewo nauczyło nas, że nie należy dopuszczać, by akty terroru rozpętywały wojnę, a Woodrow Wilson, że małe kraje mają prawa, które wielkie narody muszą respektować. Ale na tym koniec – i oto utkwiliśmy w epoce sprzed jakichś sześćdziesięciu lat i dajemy światu nędzny przykład, bo pozwalamy się zastraszać.

Powracając jednak do Thaxtera, jestem o niego strasznie niespokojny. Nie dalej jak trzy miesiące temu mógłbym ofiarować okup w wysokości 250 000 dolarów. Ale to wszystko zniknęło w wyniku niefortunnego procesu. Obecnie są widoki na trochę więcej pieniędzy. Być może wkrótce będę mógł zaproponować dziesięć czy nawet dwadzieścia tysięcy i gotów jestem tyle zaofiarować. Ale nie sądzę, żebym mógł się posunąć dalej niż dwadzieścia pięć tysięcy. Musiałby pan te pieniądze wyłożyć. Dałbym panu na to mój weksel. Może udałoby się znaleźć jakiś sposób zwrócenia mi pieniędzy z honorariów Pierre’a.

Jeżeli ci południowoamerykańscy bandyci go puszcza, napisze ogromny reportaż o swoich przeżyciach. Wszystko to uległo takiemu wypaczeniu. Dawniej najtragiczniejsze nieszczęścia wzbogacały jedynie serca nieszczęśników albo miały wartość wyłącznie duchową. Ale obecnie każde przerażające wydarzenie może stać się żyłą złota. Jestem pewien, że biedny Thaxter, jeżeli się z tego wygrzebie, jeżeli go wypuszczą, napisze książkę i to będzie jego żyłą złota. Setki tysięcy ludzi, których w tej chwili nic nie obchodzi jego los, będą cierpieć dotkliwie wraz z nim. Z sercem ściśniętym będą wdychać i płakać. Właściwie jest to rzecz bardzo doniosła. Chcę przez to powiedzieć, że zdolność odczuwania współczucia ulega teraz osłabieniu wskutek nie dającego się zaspokoić ogromu wymagań. Ale nie warto się zagłębiać w te sprawy. Byłbym panu wdzięczny za wszelkie wiadomości, a ten list może pan uważać za zobowiązanie z mojej strony, że nie poskapię dolarów dla Thaxtera. Musiał tak się przechwalać i zadawać szyku w swoim stetsonie i kowbojskich butach, że w końcu zrobił wrażenie na tych latynoskich maoistach czy trockistach. Cóż, przypuszczam, że jest to jedna z tych spraw historii świata, tak typowych dla naszych czasów”.

Wysłałem list do Nowego Jorku i polecałem z powrotem do Hiszpanii. Cantabile odwiózł mnie taksówką na Orły; teraz już kłócił się o piętnaście procent i zaczynał grozić.

Ledwie znalazłem się w *pensión* La Roca, wręczono mi liścik na papierze listowym Ritza. Był od Señory, która pisała: „Zechcesz uprzejmie przyprowadzić Rogera do holu jutro o godzinie 10.30 rano. Wracamy do Chicago”. Wiedziałem, dlaczego zastrzegła, że to ma być hol. W publicznym miejscu nie mogłem użyć wobec niej siły. W jej pokoju mógłbym ją złapać za gardło albo próbować utopić w misce klozetowej.

A zatem następnego ranka poszedłem z małym na spotkanie z tą starą kobietą – tym zdumiewającym zagęszczeniem najdzikszych uprzedzeń. W wielkim kręgu hotelowego holu, pod kopułą Ritza, oddałem jej dziecko.

– Do widzenia, Roger – powiedziałem. – Jedziesz do domu, kochanie.

Mały zaczął płakać. Señora nie mogła go uspokoić i zarzuciła mi, że go demoralizuję, przywiązując do siebie za pomocą czekoladek.

– Przekupujesz chłopca słodyczami.

– Mam nadzieję, że Renata jest szczęśliwa w swoim nowym stanie cywilnym – powiedziałem.

– Naturalnie, że jest szczęśliwa. Flonzaley to mężczyzna dużego kalibru. Jego iloraz inteligencji jest niebywale wysoki. Pisanie książek nie dowodzi, że człowiek jest mądry.

– To wielka prawda – odparłem. – I ostatecznie pochówek był wielkim krokiem naprzód. Vico mówi, że był taki czas, kiedy zwłokom pozwalano leżeć na ziemi i gnić, a psy, szczury i sępy zjadały naszych bliskich i najdroższych. Nie można mieć wszędzie dokoła zmarłych. Chociaż Stanton, członek gabinetu Lincolna, przez prawie rok trzymał swoją nieboszczkę żonę w domu.

– Wyglądasz na wyczerpanego. Masz za dużo kłopotów – powiedziała.

To wina intensywności przeżywania. Wiem, że to prawda, ale nie cierpię, jak mi to mówią. Ogarnia mnie wtedy rozpacz.

– *Adios*, Roger. Świetny z ciebie chłopak, bardzo cię kocham. Zobaczymy się niedługo w Chicago. Niech ci dobrze leci z babcią. Nie płacz, mój mały – powiedziałem. Sam byłem bliski łez.

Wyszedłem z holu i skierowałem się w stronę parku. Niebezpieczeństwo wpadnięcia pod któryś z rozjeżdżonych samochodów, walących ze wszystkich stron, nie pozwoliło mi uronić więcej łez.

W *pensión* oświadczyłem, że odesłałem Rogera do domu; zamieszka u dziadków, dopóki nie zdołam jakoś przyjść do siebie. Dunka z ambasady, panna Volsted, nadal była w pogotowiu, chętna do spełniania humanitarnych uczynków dla mojego dobra. Wyjazd Rogera tak mnie przygnębił, że byłem już niemal wystarczająco zdemoralizowany, żeby przyjąć jej zaproszenie.

Cantabile telefonował codziennie z Paryża. Uczestniczenie w tych transakcjach było dla niego sprawą najwyższej wagi. Można by przypuszczać, że Paryż, miasto tak wielu możliwości dla człowieka typu Cantabilego, odciągnie go od spraw finansowych. Otóż nic podobnego. Zajmował się tylko interesami. Prześladował *maitre* Fureta i Barbasha. Irytował Barbasha, działając za jego plecami i próbując negocjować na własną rękę.

Barbash skarżył mi się z Paryża. Producenci, informował mnie Cantabile, chcą doprowadzić do ugody, proponując dwadzieścia tysięcy dolarów.

– Jak im nie wstyd? I jakie wrażenie zrobił na nich ten Barbash, jeżeli złożyli mu taką śmieszłą, obraźliwą ofertę? On jest do niczego. My żądamy dwustu tysięcy. – Nazajutrz donosił: – Teraz już mówią o trzydziestu. Znowu zmieniłem zdanie. Barbash jest naprawdę twardy. Jest chyba wściekły na mnie i odgrywa się na tych bubkach. Co dla nich znaczy dwieście tysięcy przy takiej kasie? tyle co pryszcz na dupie. Jeszcze jedno. Musimy pamiętać o podatkach, i czy nie powinni nam zapłacić w obcej walucie. Wiem, że możemy dostać więcej w lirach. *Caldofreddo* robi olbrzymią forszę w Mediolanie i Rzymie. Przed kinami kolejki, po dziesięciu frajerów obok siebie. Ciekawe, dlaczego kanibalizm tak działa na Włochów, przecież są wychowani na makaronie. W każdym razie, jak weźmiesz liry, możesz zarobić dużo więcej pieniędzy. Oczywiście Włochy się rozpadają.

– Wezmę dolary. Mam brata w Teksasie, który je korzystnie zainwestuje.

– Szczęściar z ciebie, że masz dobrego brata. Chyba się czujesz jak na mrowisku u tych Latynosów?

– Ani trochę. Jestem tu jak u siebie w domu. Studiuję antropozofię i medytuję. Oglądam Prado, centymetr po centymetrze. A co z drugim scenariuszem?

– Nie mam w tym udziału, więc po co mnie pytać?

– To prawda, nie masz – powiedziałem.

– W takim razie nie widzę powodu, żeby ci cokolwiek mówić. Ale powiem i tak, z czystej uprzejmości. Są zainteresowani. Są cholernie zainteresowani. Zaproponowali Barbashowi trzy tysiące za trzytygodniową opcję. Mówią, że muszą mieć czas, żeby pokazać Otwayowi.

– Otway i Humboldt są bardzo podobni. Może to podobieństwo coś oznacza. Jakies niewidzialne ogniwo. Jestem przekonany, że Otway zainteresuje się tą historią Humboldta.

Następnego dnia w godzinach południowych przyjechała do Madrytu Kathleen Tigler. Była przejazdem do Almerii, gdzie miała zacząć pracę nad nowym filmem.

– Przykro mi – powiedziała – ale ludzie, którym sprzedałam prawo pierwszeństwa do scenariusza Humboldta, postanowili zrezygnować z opcji.

– O czym ty mówisz?

– Pamiętasz ten scenariusz, który Humboldt zostawił nam w spadku?

– Naturalnie.

– Powinam przesłać ci twoją część tych trzech tysięcy. Do Madrytu przyjechałam między innymi dlatego, żeby pomówić z tobą na ten temat i zawrzeć umowę, podzielić się z tobą. Prawdopodobnie zupełnie o tym zapomniałeś.

– Nie, nie zapomniałem – odparłem. – Ale właśnie przyszło mi do głowy, że przecież próbuję na własną rękę sprzedać ten sam towar innej firmie.

– Rozumiem – powiedziała. – Chodzi o sprzedaż tej samej rzeczy dwóm kontrahentom. To byłoby bardzo niezręczne.

Przez cały ten czas, rozumiecie, był to biznes. Biznes, ze szczególną autonomią biznesu, robił swoje. Czy nam się to podobało, czy nie. Myśleliśmy jego kategoriami, mówiliśmy jego językiem. Cóż go to obchodziło, że poniosłem klęskę w miłości lub że opierałem się Rebecce Volsted o natarczywie rozplamioną twarz, że zgłębiałem nauki antropozofii? Biznes, pewny swojej transcendentnej mocy, zmuszał nas wszystkich do interpretowania życia w świetle jego praktyk. Nawet w tym momencie, kiedy ja i Kathleen mieliśmy tyle prywatnych spraw do rozważenia, i to spraw niezmiernej ludzkiej doniosłości, mówiliśmy o kontaktach, opcjach, producentach, pieniądzu.

– Oczywiście – powiedziała – nie byłbyś prawnie związany żadną umową zawartą przeze mnie na własną rękę.

– Kiedyśmy się spotkali w Nowym Jorku, mówiliśmy o scenariuszu filmowym, który ja i Humboldt wysmażyliśmy w Princeton...

– Tym, o który pytała mnie Lucy Cantabile? Jej mąż też do mnie telefonował do Belgradu i zadreślał mnie tajemniczymi pytaniami.

– ...żeby się rozerwać, wtedy jak Humboldt spodziewał się, że dostanie katedrę poezji.

– Powiedziałeś mi, że to była bzdura, i więcej już o tym nie myślałam.

– Scenariusz przepadł na jakieś dwadzieścia lat, a potem ktoś ukradł nasz oryginalny pomysł i zrobił z niego film pod tytułem *Caldofreddo*.

– Nie! To stąd jest *Caldofreddo* ty i Humboldt!

– Widziałaś film?

– Oczywiście. Wielki, ogromny popis Otwaya, to dzieło was dwóch? Trudno w to uwierzyć.

– Tak. Właśnie wracam ze spotkania w Paryżu, na którym udowodniłem producentom nasze autorstwo.

– Ugodzą się z tobą? Powinni. Masz bardzo mocną sprawę.

– Myśl o procesie mnie przeraża. Znowu dziesięć lat w sądach? Dla moich adwokatów to miałyby wartość czterech czy pięciu tysięcy w postaci honorariów. Ale dla mnie, człowieka bliskiego sześćdziesiątce i wkraczającego w siódmy krzyżyk, nic by nie zostało. Wezmę moje czterdzieści czy pięćdziesiąt tysięcy teraz.

– Jak zwykle odszkodowanie za straty moralne? – zapytała oburzona Kathleen.

– Nie, wezmę je jako człowiek, który ma tyle szczęścia, że przez kilka lat ktoś będzie subsydiował jego duchową działalność. Naturalnie podzielę się pieniędzmi z wujem Waldemarem. Wiesz, Kathleen, kiedy usłyszałem o testamencie Humboldta, pomyślałem, że to tylko jego pozagrobowa metoda uprawiania tych wzruszających błazenstw. Ale kroki prawne, jakie podjął, były bardzo rozsądne, i niech to diabli – nie mylił się co do wartości swoich papierów. Zawsze miał obłądną nadzieję, że trafi na żyłę złota. No i co ty na to? Trafił! I nie jego dzieła okazały się użyteczne dla świata. Właśnie te błazenady.

– I twoje błazenady – powiedziała Kathleen.

Kiedy się tak łagodnie uśmiechała, na jej skórze pojawiało się sporo delikatnych linii. Z zalem patrzyłem na te oznaki wieku u kobiety, której urodę tak dobrze pamiętałem. Ale z tym można żyć, jeżeli tylko ma się na to odpowiedni pogląd. Ostatecznie te zmarszczki były wynikiem wielu, bardzo wielu lat życzliwej dobroci. Były tragiczną ofiarą złożoną w dobrej sprawie. Zaczynałem rozumieć, w jaki sposób można się pogodzić z takimi zmianami.

– Ale jak sądzisz, co Humboldt powinien był zrobić, żeby go brano poważnie?

– Czyja wiem, Kathleen? Robił, co mógł, i żył, i umarł godniej niż większość ludzi. Szaleństwo było konkluzją żartu, w jaki Humboldt starał się obrócić swoje rozczarowanie. Był tak głęboko rozczarowany. Jedyne, czego naprawdę domaga się tego rodzaju człowiek, to szansa włożenia całego serca w jakieś wzniosłe dzieło. Ludzie tacy jak Humboldt... tacy ludzie wyrażają pewien sens życia, formułują poglądy swojego czasu albo odkrywają znaczenia, bądź odnajdują prawdy natury, wykorzystując możliwości, jakie im daje ich epoka. Kiedy te możliwości są duże, rodzi się miłość i przyjaźń między wszystkimi, którzy biorą udział w tym samym przedsięwzięciu. Możesz to dostrzec w sposobie, w jaki Haydn chwali Mozarta. Kiedy możliwości są mniejsze, rodzi się niechęć, wściekłość, szaleństwo. Byłem związany z Humboldtem przez prawie czterdzieści lat. Ten związek miał charakter ekstazy. Nadzieja na poezję... radość, że zna się człowieka, który tworzy poezję. Wiesz co? W Ameryce leżą zagrzebane fantastyczne, niesłychane wprost złoża poezji, ale żadną z konwencjonalnych metod znanych kulturze nie można nawet rozpocząć ich eksploatacji. No, ale to dotyczy całego świata. Udręka sięga zbyt głęboko, chaos jest zbyt wielki na podejmowanie przedsięwzięć artystycznych w dawnym stylu. Zaczynam teraz rozumieć, do czego zmierzał Tołstoj, kiedy wzywał ludzkość, żeby przestała odgrywać fałszywą i niepotrzebną komedię historii i po prostu zaczęła żyć. Rozpacz i szaleństwo Humboldta pozwoliły mi to dostrzegać z coraz większą jasnością. On przeżył wszystkie burzliwe etapy tej procedury. Ta droga była decydująca. Tego – jest to obecnie całkiem jasne – nie można kontynuować. Teraz musimy wsłuchiwać się tajemnie w dźwięk prawdy, którą wszczepia nam Bóg.

– I to właśnie nazywasz działalnością duchową... to mają subsydiować pieniądze, jakie dostaniesz za *Caldofredda*... Rozumiem – powiedziała Kathleen.

– Zgodnie z często spotykanym założeniem, najzwyczajsze zdarzenia w życiu mogą być jedynie absurdalne. Wiara była nazywana czymś absurdalnym. Ale teraz wiara może poruszyć te góry rozsądnej absurdalności.

– Miałam zamiar zaproponować, żebyś wyjechał z Madrytu i wybrał się ze mną do Almerii.

– Ach, tak. Martwisz się o mnie. Źle wyglądam.

– Właściwie nie. Ale widać, że żyjesz w olbrzymim napięciu. Nad Morzem Śródziemnym będzie teraz przyjemna pogoda.

– Morze Śródziemne, owszem. Och, marzyłbym o miesiącu błogosławionego spokoju. Ale mam za mało pieniędzy na takie manewry.

– Jesteś goły? Myślałam, że jesteś nadziany.

– Zostałem rozdiany.

– Więc źle zrobiłam, że ci nie posłałam tych półtora tysiąca dolarów. Przypuszczałam, że to dla ciebie drobiazg.

– Cóż, jeszcze przed kilkoma miesiącami to był drobiazg. Możesz znaleźć dla mnie jakąś robotę w Almerii?

– To by ci nie odpowiadało.

– Nie wiem, co znaczy „to”.

– Chodzi o pracę w tym filmie *Wspomnienia kawalera*. Według Defoe’ego. Walki, oblężenia i tym podobne.

– Nosiłbym kostium?

– To nie dla ciebie, Charlie.

– Dlaczego nie? Posłuchaj, Kathleen. Jeśli wolno mi mówić przez chwilę dobrą angielszczyzną...

– Ależ proszę cię bardzo.

– Żeby wymazać błędy czy też usunąć braki pięćdziesięciu lat, jestem gotów spróbować wszystkiego. Nie jestem za ważny na to, żeby pracować w filmie. Nawet się nie domyślasz, jaka to byłaby dla mnie radość, gdybym mógł statystować w tym historycznym obrazie. Czy nosiłbym wysokie buty i krótkie spodnie? Hełm albo kapelusz z piórami? To by mi świetnie zrobiło.

– Czy to by cię zbytnio nie rozpraszało, w sensie intelektualnym? Masz... różne sprawy do załatwienia.

– Jeżeli sprawy, które mam do załatwienia, nie zdołają ominąć owych stojących na drodze gór absurdu, to są to sprawy beznadziejne. Wiesz, z tego wcale nie wynika, że mam zupełnie spokojną głowę. Martwię się o moje córki i bardzo się martwię o mojego przyjaciela Thaxtera. Porwali go argentyńscy terroryści.

– Zastanawiałam się nad tym – powiedziała Kathleen. – Czytałam tę historię w „Herald Tribune”. Czy to ten sam Thaxter, którego poznałam w hotelu Plaža? Miał kowbojski kapelusz z ogromnym rondem i poprosił, żebym przyszła później. W artykule wymieniono twoje nazwisko. Zwrócił się do ciebie o pomoc.

– Jestem tym wstrząśnięty. Biedny Thaxter. Jeżeli scenariusze rzeczywiście przyniosą jakieś pieniądze, może będę je musiał wydać na okup. Ale nie bardzo mnie to martwi. Mój romans z bogactwem już się skończył. To, co teraz zamierzam robić, nie jest zbyt kosztowne...

– Wiesz, Charlie, Humboldt często mówił cudowne rzeczy. Przypominasz mi go. Z Tiglerem było mnóstwo zabawy. To był człowiek bardzo aktywny, absorbujący. Ciągłe byliśmy poza domem, polowaliśmy, łowili ryby... stale zajęci. Ale nie przepadał za konwersacją i nikt tak ze mną nie rozmawiał od bardzo, bardzo dawna, więc już oduczyłam się słuchać. Strasznie lubię, jak mówisz. Ale to wszystko nie jest dla mnie zbyt jasne.

– Nic dziwnego, Kathleen. To moja wina. Za dużo rozmawiam sam z sobą. Ale istoty ludzkie tkwią zbyt głęboko w tej fałszywej, niepotrzebnej komedii dziejów: w zdarzeniach, w rozwoju wypadków, w polityce. Powszechny kryzys jest czymś aż nadto realnym. Czytaj gazety, ta cała przestępczość i plugastwo, morderstwa, perwersje, okropności. Nigdy nie mamy tego dosyć. Mówimy, że to rzecz ludzka, ludzka skala.

– Czy istnieje coś innego?

– Inna skala. Wiem, Walt Whitman mówił, że nie wytrzymujemy porównania ze zwierzętami. One nie użalają się nad swoim losem. Rozumiem, co chciał powiedzieć. Spędzałem kiedyś mnóstwo czasu, obserwując wróble. Zawsze uwielbiałem wróble. I uwielbiam do dziś. Spędzam całe godziny w parku, patrząc, jak podskakują i hasają dookoła, i jak się kąpią w piasku. Ale wiem, że mają uboższe życie umysłowe niż małpy. Orangutany są czarujące. Byłbym bardzo zadowolony, gdyby jakiś zaprzyjaźniony orangutan dzielił ze mną mieszkanie. Ale wiem, że rozumiałby mniej niż Humboldt. Pytanie brzmi następująco: dlaczego zakładamy, że ów ciąg kończy się na nas?

W rzeczywistości, jak podejrzewam, zajmujemy miejsce w wielkiej hierarchii, która wybiega daleko poza nas. Obowiązujące powszechnie przesłanki zaprzeczają temu. Czujemy, że się dusimy, i nie wiemy dlaczego. Istnienie duszy jest nie do udowodnienia zgodnie z tymi obowiązującymi przesłankami, niemniej jednak ludzie nadal zachowują się tak, jakby mieli duszę. Zachowują się tak, jak gdyby przybyli z innego miejsca, innego życia, i mają instynkty i pragnienia, których nic na tym świecie, żadna z obowiązujących przesłanek, nie jest w stanie wyjaśnić. Według obowiązujących przesłanek los ludzkości jest imprezą sportową, to bardzo pomysłowe. Fascynujące. Póki nie staje się nudne. W tej sportowej teorii dziejów straszy widmo nudy.

Kathleen jeszcze raz powiedziała, że w małżeństwie z Tiglerem, ujeżdżaczem koni, brakowało jej takich rozmów. Naprawdę ma nadzieję, że przyjadę do Almerii i wystąpię w filmie jako halabardnik.

– To takie miłe miasto.

– Owszem, prawie już dojrzałem do wyniesienia się z *pensión*. Czuję na karku oddechy ludzi. Ale powinienem raczej zostać w Madrycie, bo stąd będę mógł lepiej śledzić bieg wydarzeń... Thaxter, Paryż. Może

nawet będę musiał wrócić na jakiś czas do Francji. Mam tam teraz dwóch pełnomocników, a to podwójny kłopot.

– Adwokaci nie budzą twojego zaufania.

– No cóż, Abraham Lincoln był adwokatem, a zawsze go czciłem. Ale dziś to jest tylko nazwisko, które umieszczają władze stanu Illinois na tablicach rejestracyjnych.

Wyjazd do Paryża okazał się jednak niepotrzebny. Przyszedł list od wydawcy Stewarta.

Stewart pisał: „Widzę, że od pewnego czasu nie śledzi pan prasy. To prawda, że Pierre Thaxter został uprowadzony w Argentynie. Jak i dlaczego tak się stało, a także czy jest jeszcze w ich rękach, tego nie umiem powiedzieć. Ale mówię panu w zaufaniu, ponieważ jest pan jego starym kumplem, że nie bardzo wiem, co o tym wszystkim myśleć, i zastanawiam się czasem, czy sprawa jest całkiem czysta. Proszę pamiętać, że nie sugeruję bynajmniej, jakoby to porwanie było od początku do końca sfingowane. Jestem gotów uwierzyć, że ludzie, którzy porwali Thaxtera z chodnika, byli przekonani, że to ktoś ważny. Nic także nie wskazuje, że porwanie zostało przygotowane z góry, jak mogło być w przypadku panny Hearst i symbionistów. Ale załączam artykuł z kroniki towarzyskiej „The New York Times”, pióra naszego przyjaciela Thaxtera. Podobno przesłał go z jakiejś kryjówki czy lochu, w którym go trzymają. Jak to się stało, pytam pana, że mógł napisać i przesłać do „Timesa” ten mały esej o przebiegu porwania? Zapewne zauważy pan, tak samo jak ja, że nawet robi aluzje do funduszków na okup. Słyszę, że jacyś pełni współczucia czytelnicy przesłali już czeki do ambasady Stanów Zjednoczonych w Argentynie, żeby Thaxter mógł się znowu połączyć z dziewięciorgiem swoich dzieci. Nie tylko jest cały i zdrowy, ale zachowuje się jak wielki aktor i mam wrażenie, że te przeżycia poprawiły jego literacki styl. To po prostu bezcenna reklama. Pana przewidywania, że kto wie, czy nie natrafił na żyłę złota, są prawdopodobnie słuszne. Jeżeli nie ukreć mu łba, będzie bogaty i sławny”.

Thaxter pisał między innymi: „Trzej mężczyźni przystawili mi pistolety do głowy w chwili, gdy wychodziłem z restauracji na ruchliwej ulicy w Buenos Aires. W tych trzech lufach dostrzegłem daremność wszelkiej intelektualnej strategii zmierzającej do przechytrzenia gwałtu, jaką kiedykolwiek uprawiałem. Aż do tego momentu nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jak często człowiek współczesny antycypuje ową krytyczną chwilę. W mojej głowie, która może za chwilę miała być roztrzaskana, roiło się od chytrych planów ratunku. Wsiadając do czekającego samochodu, pomyślałem: «Już po mnie». Nie stosowano wobec mnie przemocy fizycznej. Wkrótce stało się jasne, że jestem w rękach ludzi intelektualnie wyrafinowanych, o postępowych poglądach politycznych i bez reszty oddanych ideałom wolności i sprawiedliwości, rozumianym na ich własny sposób. Ludzie, którzy mnie uwięzili, wierzą, że powinni przedstawić swoją sprawę cywilizowanej opinii publicznej i wybrali mnie, abym sformułował ją w ich imieniu, ponieważ upewnili się, że jestem dość znanym eseistą i dziennikarzem, by zwrócono uwagę na to, co piszę”. (Nawet teraz robił sobie reklamę.) „Jako partyzanci i terroryści chcieliby, żeby wiedziano, że nie są bezdusznymi i nieodpowiedzialnymi fanatykami, lecz że mają wielką własną tradycję. Powołują się na Lenina i Trockiego jako na założycieli i budowniczych, którzy odkryli, że siła jest dla nich nieodzownym narzędziem. Znają klasyków tej tradycji, od dziewiętnastowiecznej Rosji po dwudziestowieczną Francję. Wyprowadzano mnie z mojej piwnicy na seminaria, których tematem byli Sorel i Jean-Paul Sartre. Na swój sposób są to ludzie wysoce pryncypialni i bardzo poważni. Mają ponadto cechę, którą Garcia Lorca określał terminem *duende* – wewnętrzną siłę porażającą krew niczym sproszkowane szkło, duchowną moc, która nie proponuje, lecz rozkazuje”.

Spotkałem się z Kathleen w kawiarni i pokazałem jej wycinki. Było tego więcej, wszystko w podobnym stylu. Powiedziałem:

– Thaxter ma szaloną słabość do wygłaszania zasadniczych stwierdzeń. Ja bym chyba raczej poprosił, żeby mi przystawiono trzy rewolwery do głowy i pociągnięto za spust, niżbym miał siedzieć na tych seminariach.

– Nie bądź dla niego za surowy. Ten człowiek chce uratować życie – odparła. – To zresztą fascynująca sprawa, naprawdę. Gdzie jest ta wzmianka o okupie?

– Tutaj, „...suma pięćdziesięciu tysięcy dolarów, i wolno mi skorzystać z tej okazji, żeby zwrócić się do moich przyjaciół i członków mojej rodziny z prośbą o zapłacenie tej ceny. W nadziei ujrzenia znowu moich nieletnich dzieci...” i tak dalej. „Times” nie szczędzi mocnych wrażeń swoim czytelnikom. Publiczność, która czyta kronikę towarzyską, jest naprawdę bardzo rozpieszczana.

– Nie sądzę, żeby terroryści najpierw kazali mu pisać te usprawiedliwienia przed światową opinią publiczną, a potem mieli go wykończyć.

– Tak, to nie byłoby zbyt konsekwentne. Kto wie, co ci faceci zechcą zrobić. Ale odczuwam pewną ulgę. Myślę, że nic mu się nie stanie.

Kathleen wypytywała mnie o wszystko dokładnie. Chciała wiedzieć, co zamierzam robić, kiedy Thaxter będzie miał już to wszystko za sobą, kiedy życie będzie płynęło spokojniej i trochę się ustabilizuje. Odpowiedziałem, że prawdopodobnie spędzę miesiąc w Dornach pod Bazyleą, w szwajcarskim Ośrodku Steinerowskim, Goetheanum. Może uda mi się wynająć tam dom, w którym Mary i Lish mogłyby spędzić ze mną lato.

– Powinieneś dostać sporo pieniędzy od producentów *Caldofredda* – powiedziała. – A poza tym wydaje się, że Thaxter lada chwila wydobędzie się z tarapatów, jeżeli w ogóle w nich był. Bardzo możliwe, że już jest wolny.

– Słusznie. Nadal mam zamiar podzielić się z wujem Waldemarem i dać mu całą część Humboldta.

– A na ile szacujesz ewentualną wysokość tej ugody?

– Na jakieś trzydzieści tysięcy dolarów, maksimum czterdzieści.

Ale te przewidywania okazały się zbyt ostrożne. Barbash w końcu wytargował od producentów aż osiemdziesiąt tysięcy. Zapłacili także pięć tysięcy za przeczytanie scenariusza Humboldta i w rezultacie wzięli prawa i na to.

– Nie mogli przepuścić takiej okazji – powiedział mi Barbash przez telefon. Cantabile był w tym momencie w kancelarii, perorując głośno i natarczywie. – Tak, jest u mnie – mówił dalej Barbash. – To najgorszy drań, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia. Załatwiał sprawy za moimi plecami, robił mnóstwo szumu, a ostatnio zaczął grozić. Jest potwornie dokuczliwy i gdyby nie to, że ma pana pełnomocnictwo, panie Citrine, dawno bym go stąd wyrzucił. Niech mi pan pozwoli wypłacić mu jego dziesięć procent i wreszcie się go pozbyć.

– Panie mecenasie, zgadzam się, żeby mu pan z miejsca wypłacił osiem tysięcy dolarów – powiedziałem. – Jak wygląda oferta na drugi scenariusz?

– Zaczęli od pięćdziesięciu tysięcy. Ale ja dowodziłem, że nieboszczyk Fleisher naprawdę był kimś. Kimś współczesnym, wie pan, co chcę powiedzieć? Miał właśnie to, czego publiczność jest do dziś spragniona. Pan też może to mieć, panie Citrine. Nie będzie mi pan miał za złe, jak powiem, że nie wolno się panu teraz wycofywać. Jeżeli zechce pan napisać nowelę filmową do tej nowej rzeczy, mogę panu załatwić fantastyczny kontrakt. Chciałby pan to robić za dwa tysiące tygodniowo?

– Niestety to mnie nie interesuje, panie Barbash. Mam inne plany.

– Jaka szkoda. Może pan się zastanowi? Prosił o to kilka razy.

– Nie, dziękuję. Nie, jestem teraz zajęty całkiem inną działalnością – odparłem.

– A może konsultacja? – podsunął Barbash. – Ci ludzie nie mają nic prócz pieniędzy i chętnie zapłaciliby dwadzieścia tysięcy dolarów tylko dlatego, że pan rozumiał psychikę Von Humboldta Fleishera. *Caldofreddo* robi furorę na całym świecie.

– Nie mów „nie” na wszystko. – To był Cantabile, który wziął słuchawkę. – I słuchaj, Charlie, powinienem dostać coś z tej drugiej rzeczy, bo gdyby nie ja, cała sprawa w ogóle by się nie zaczęła. Poza tym jesteś mi winien za samoloty, taksówki, hotele i jedzenie.

– Pan Barbash ureguluje twoje rachunki – powiedziałem. – A teraz żegnaj, Cantabile, nasza znajomość dobiegła końca. Bądźmy znowu obcymi ludźmi.

– Och, ty niewdzięczny, inteligencki, zasrany draniu – powiedział Cantabile.

Barbash dorwał się znowu do telefonu.

– Jak mam być z panem w kontakcie? Zostaje pan jakiś czas w Hiszpanii?

– Może polecę na jakiś tydzień do Almerii, a potem wrócę do Stanów – odparłem. – W Chicago mam mnóstwo rzeczy, których muszę się pozbyć. Muszę zobaczyć dzieci i pomówić z wujem Von Humboldta Fleishera. Kiedy pozłatwiam wszystkie ważne sprawy i uporządkuję różne drobiazgi, wrócę do Europy. Żeby zacząć całkiem inne życie – dodałem.

Tylko mnie popytajcie, a powiem wszystko. Ciągłe jeszcze udzielałem szczegółowych wyjaśnień ludziom, których to absolutnie nic nie obchodziło.

* * *

Oto, jak się zdarzyło, że pewnego ciepłego kwietniowego dnia ja i Waldemar, wraz z Menaszą Klingerem, ponownie pochowaliśmy Humboldta i jego matkę, jedno obok drugiego, w nowych grobach na cmentarzu Valhalla. Sprawilo mi to przyjemność, bardzo smutną przyjemność, że załatwiłem wszystko w sposób przyzwoity, w naprawdę dobrym stylu. Humboldta nie pogrzebano w mogile nędzarzy, tylko w dalekiej Wiosce Śmierci, w stanie New Jersey, w jednej z tych ogromnych nekropolii, o jakich Koffritz, pierwszy mąż Renaty, opowiadał staremu Myronowi Swieblowi w parowej łaźni na Division Street. „Oszukują człowieka”, mówił o tych miejscach, „skąpią, nie dają przepisowej liczby metrów kwadratowych. Leży pan skulony, w za krótkim całunie. Czy nie ma pan prawa leżeć wyprostowany przez całą wieczność?”

Zbadawszy sprawę, stwierdziłem, że pogrzebem Humboldta zajął się wtedy ktoś z Fundacji Belisha. Jakaś wrażliwa osoba – podwładny Longstaffa – przypomniałszy sobie, że Humboldt kiedyś tam pracował, wydostała go z kostnicy i wyprawiła w ostatnią drogę z małego kościoła na Riverside.

A zatem ciało Humboldta zostało ekshumowane i przewiezione w nowej trumnie przez most Waszyngtona. Wstąpiłem po dwóch starców do ich niedawno wynajętego mieszkania na Upper West Side. Znaleźli kobietę, która im sprzątała i gotowała, i byli dobrze urządzeni. Przekazując znaczną sumę pieniędzy wujowi Waldemarowi, byłem trochę zakłopotany i powiedziałem mu o tym.

– Posłuchaj, chłopcze – odpowiedział – wszystkie konie, jakie znałem w życiu, to od wielu lat już tylko widma. I nawet nie wiedziałbym, jak się skontaktować z bukmacherem. Moja stara dzielnica to teraz sami Portorykańczycy. Tak czy inaczej, Menasza nie spuszcza mnie z oka. Chcę ci powiedzieć, mój mały, że niewielu młodych ludzi dałoby mi pełny udział, jak ty mi dałeś. Jeżeli po mnie coś zostanie, będziesz to miał z powrotem.

Czekaliśmy w wynajętej limuzynie na nowojorskim końcu mostu wiszącego, przed sobą mając rzekę Hudson, a kiedy karawan przejechał na naszą stronę, podążyliśmy za nim na cmentarz. Wietrzny dzień byłby łatwiejszy do zniesienia niż ten dzisiejszy – przytłaczający, przypominający błękitną morę, parny. Na cmentarzu jechaliśmy wijącą się drogą wśród ciemnych drzew. Powinny już dawać cień, ale stały tylko między grobami, kruche i schematyczne. Matka Humboldta też miała nową trumnę, którą ustawiono obok grobu, gotową do spuszczenia. Dwaj posługacze otwierali drzwiczki karawanu, my, idąc bardzo powoli, stanęliśmy za nimi. Waldemar włożył na siebie wszystkie żałobne szaty, jakie zdołał znaleźć w swojej garderobie bywalca wyścigów. Kapelusz, spodnie i buty były czarne, ale sportowa marynarka miała dużą czerwoną kratę, a włoski na materiale lśniły w promieniach słońca tej spóźnionej i zbyt ciepłej wiosny. Menasza, smutny, uśmiechnięty, w grubych szklach, brnął po omacku przez trawę i żwir, stąpając tym ostrożnie, że spoglądał w górę na drzewa. Niewiele mógł tam zobaczyć, najwyżej kilka jaworów i wiązów, i ptaków, i wiewiórek, które zjawiały się i znikwały po swojemu, nagłymi zrywami. Była to przygnębiająca chwila. Groziło powszechne fiasko, jak gdyby zaraz miał wybuchnąć strajk generalny przeciwko naturze. Co będzie, jeżeli krew przestanie krążyć, jeżeli jedzenie nie będzie trawione, oddech się zatrzyma, soki nie zdołają przezwyciężyć ciężaru drzew? I tylko śmierć, śmierć, śmierć, śmierć, jak niezliczone pchnięcia nożem, jak morderstwo – brzuch, plecy, pierś i serce. Ta chwila była niemal ponad moje siły. Trumna Humboldta czekała.

– Panowie poniosą? – spytał jeden z grabarzy. Popatrzył na naszą trójkę.

Nie najlepiej tu z siłą roboczą. Dwóch starych mamutów i jakiś półprzytomny facet, niewiele od nich młodszy. Zajęliśmy szczytne pozycje po obu stronach trumny. Chwyciłem jedną z rączek – mój pierwszy kontakt z Humboldtem. Ciężar wewnątrz był bardzo niewielki. Oczywiście już nie wierzyłem, że jakkolwiek ludzki los można wiązać z tego rodzaju resztkami czy nadwyżkami. Bardzo możliwe, że kości były jakby podpisem władz ducha, projekcją kosmosu w pewnych tworach wapnia. Ale może nawet tak eleganckie białe kształty, jak kości udowe, żebra, knykcie, czaszka, już znikły. Przy ekshumacji grabarze mogli byli zgarnąć łopatą jakieś strzępki i okopcone grudki ludzkiego pochodzenia, lecz niewiele z wdzięku, werwy i gorączkowej pomysłowości, niewiele ze zgubnego szaleństwa Humboldta. Humboldta, naszego koleżki, naszego siostrzeńca i brata, który miłował dobro i piękno, a jednym ze swoich mniej wartościowych pomysłów zabawiał publiczność na Trzeciej Alei i Champs-Elysees, i zarabiał, w tym właśnie momencie, stosy dolarów dla każdego z nas.

Grabarze wzięli od nas trumnę i umieścili ją na płóciennych pasach elektrycznego dźwigu. Zmarli byli teraz obok siebie w swoich dwóch masywnych pudłach.

– Znałeś Bess? – zapytał Waldemar.

– Widziałem ją kiedyś, na West End Avenue – powiedziałem.

Może myślał w tym momencie o pieniądzach, które wyjął z jej torebki i przegrał na wyścigach przed laty, o kłótniach, skandalicznych scenach i przekleństwach.

W ciągu tych długich lat, odkąd po raz ostatni uczestniczyłem w pogrzebie, wprowadzono wiele mechanicznych usprawnień. Była tam na przykład niska, żółta maszyna, która najwidoczniej kopała grób, a następnie spychała z powrotem ziemię. Mogła także służyć jako dźwig. Widząc to, oddałem się rozmyśleniom, w jakich wyćwiczył mnie sam Humboldt. Ta maszyna, każdy centymetr kwadratowy jej metalu, była efektem współpracy inżynierów i innych wynalazców. System zbudowany na podstawie odkryć wielu znakomitych mózłów posiada zawsze większą moc niż to, co zostało wytworzone dzięki wyłącznemu działaniu jakiegoś jednego umysłu, który sam z siebie może zdziałać niewiele. Tak mówił stary doktor Samuel Johnson, dodając jednocześnie, że pisarze francuscy są powierzchowni, bo nie studiowali żadnych nauk, lecz opierają się wyłącznie na sile własnego umysłu. Cóż, Humboldt podziwiał tychże pisarzy francuskich i też przez pewien czas opierał się wyłącznie na sile własnego umysłu. Potem sam zaczął zerkać w stronę fenomenu zbiorowości. Jako on sam, otworzył usta i wypowiedział wiele zachwycających wierszy. Ale potem stchórzył. Ach, Humboldt, jakże mi żal! Humboldt, Humboldt – oto, co z nas zostaje.

Przedsiębiorca pogrzebowy spytał:

– Czy ktoś chce odmówić modlitwę?

Wyglądało na to, że nikt nie chce odmówić, czy też nie zna żadnej modlitwy. Ale Menasza oświadczył, że chciałby coś zaśpiewać. I zaśpiewał. Jego styl ani trochę się nie zmienił.

Zapowiedział:

– Zaśpiewam arię z *Aidy*: *In questa tomba oscura*.

Po czym wiekowy Menasza przygotował się do występu. Uniósł twarz. Odsłonięte w ten sposób jabłko Adama nie przypominało już tego, które miał, kiedy był młodym chłopcem obsługującym prasę tłoczącą w chicagowskiej fabryce, ale nie zniknęło. Nie zniknęło też dawne podniecenie. Wspiał się na palce i z dłońmi splecionymi, z takim samym uczuciem jak w naszej kuchni na Rice Street, głosem słabszym, nadal fałszując, piskliwie, ale wzruszony, straszliwie wzruszony, odśpiewał swoją arię. Była to tylko rozgrzewka. Kiedy skończył, oświadczył, że wykona teraz *Goin' Home*, stary amerykański spiritual, wykorzystany przez Dworzaka w symfonii *Z Nowego Świata*, dodał w charakterze notatki w programie. Wtedy to, o Boże! przypominałem sobie, jak kiedyś tęsknił do Ypsilanti, jak w latach dwudziestych wzdychał do swojej dziewczyny i z tęsknoty za nią wciąż wyśpiewywał „Do domu, do domu, ja jadę do domu”, aż moja matka powiedziała: „Na miłość boską, więc jedź”. A kiedy wrócił ze swoją otyłą, łagodną, zapłakaną oblubienicą, z tą dziewczyną, która siedziała w wannie i jej ramiona okazały się za tłuste, żeby mogła sobie polać głowę wodą, mama weszła do łazienki, umyła jej głowę i owinęła ręcznikiem.

Wszyscy oni odeszli, wszyscy prócz nas.

A zaglądać do otwartych grobów wcale nie było przyjemniej niż za dawnych czasów. Brązowa glina, grudki, kamyki... – czy to wszystko musi być takie ciężkie? Ale zauważyłem jeszcze jedną innowację. Wewnątrz grobu była otwarta betonowa skrzynia. Trumny zjechały w dół, a wtedy mała żółta maszyna ruszyła z miejsca i mały dźwig, warkocząc gardłowo, podniósł płytę betonu i położył ją na tej skrzyni. W ten sposób trumna znalazła się w zamknięciu i ziemia nie spadała wprost na nią. Tak, ale jak się stąd wydostać? Nie można się wydostać, nie można, nie można! Trzeba tam tkwić, trzeba tkwić! Przy zetknięciu z betonem dał się słyszeć suchy, lekki zgrzyt, jakby przesuwanych naczyń glinianych albo cukru w cukiernicy. W taki właśnie sposób kondensacja zbiorowej inteligencji i wspólny wysiłek wynalazców rozprawiły się z pojedynczym poetą. To samo zrobiono z matką poety. Na niej również położono szare wieko, po czym Waldemar wziął łopatę, słabymi ruchami wykopał kilka bryłek ziemi i wrzucił po jednej do grobu. Stary gracz płakał, więc odeszliśmy na bok, żeby go nie krępować. Stał przy grobach, kiedy spychacz rozpoczął swe dzieło.

My z Menaszą poszliśmy w stronę samochodu. Bokiemy stopy odgarnął kilka ostatnich jesiennych liści i spoglądając przez grube szkła, zwrócił się do mnie:

– Co to jest, Charlie? Jakiś wiosenny kwiat?

– Tak. Myślę, że wiosna mimo wszystko nadejdzie. W taki gorący dzień jak dzisiejszy wszystko wydaje się sto razy bardziej martwe.

– Więc to jest mały kwiatusek – powiedział Menasza. – Opowiadali kiedyś taki kawał o chłopcu, który pytał swojego gderającego starego w czasie spaceru po parku: „Jak się nazywa ten kwiat, tato?” A stary jest w złym humorze i wrzeszczy: „Skąd mam wiedzieć? Czy ja jestem modystka?” O, tu jest jeszcze jeden. Jak one się mogą nazywać, Charlie?

– Zabij mnie, ale nie mam pojęcia – powiedziałem. – Sam jestem z miasta. To chyba są krokusy.